

# CZARNA SERIA

Åke Edwardson napisał powieść kryminalną pełną żywych dialogów, głęboką i wciągającą od samego początku do końca.

Vadstena Tidning



# Åke Edwardson

Wolanie z oddali

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!  
Drugi tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

**Åke**  
**Edwardson**  
**Wołanie z oddali**

przełożyła Alicja Rosenau

Tytuł oryginalny: Rop från långt avstånd

Wydawnictwo Czarna Owca

Warszawa 2011

*Dla Ingrid i Georga Lejtzénów*

## Część I

DŁUGO SIEDZIAŁA Z MAMĄ. Przysnęła na moment na tylnym siedzeniu, ale potem znów usiadła. W samochodzie było zimno. Mama uruchomiła silnik, a po chwili go zgasiła. Nie odpowiedziała na jej pytanie. Powtórzyła je, ale jej głos brzmiał szorstko, więc zamilkła.

- Czemu jeszcze go nie ma? - powiedziała mama, ale nie do niej, tylko gdzieś przed siebie. - Gdzież on się, na Boga, podziewa?!

Ktoś miał przyjść, żeby ją stąd zabrać i zawieźć do domu, ale się nie pojawił. Chciała zostać z mamą, ale chciała też położyć się do łóżka. Ściemniało się i padał deszcz. Nie mogła wyrzeć na zewnątrz, bo szyby były zaparowane. Przysunęła się do drzwi i wytarła szybę rękawem swetra. Obok przejeżdżały samochody, a ich światła wpadały do środka.

- Czemu nie możemy już jechać? - zapytała.

Mama nie odpowiedziała, zapytała więc jeszcze raz.

- Cicho - odparła mama.

Nie odzywała się więcej. Bała się, bo głos dobiegający z przedniego siedzenia był bardzo szorstki. Mama powiedziała kilka brzydkich słów. Słyszała je już wiele razy, nie zrobiły więc na niej wrażenia. Sama już używała takich słów i nigdy nie spotkało ją za to nic straszniejszego. Wiedziała jednak, że z jakiegoś powodu nie powinno się tak mówić.

Deszcz bębnił o dach. Pam-pararam-pam-pam. Dość długo odtwarzała ten dźwięk w myślach, zaczęła go wybijać palcami na siedzeniu obok siebie: pam-pararam-pam- pam.

- Na Boga - powiedziała mama i powtórzyła to jeszcze wiele razy. - Zostań tu - dodała i otworzyła przednie drzwi.

- Musisz tu zostać, a ja pójdę zadzwonić - rzuciła, a ona tylko pokiwała głową z ciemnego kąta na tylnym siedzeniu.

- Ledwo cię widzę - powiedziała mama. - Musisz mi odpowiedzieć.

- Dokąd idziesz?

- Pójdę tylko zadzwonić z budki telefonicznej za rogiem. To potrwa chwilę. - Gdzie to jest? Nie mogę iść z tobą?

- Masz tu zostać! - odparła mama tym niemłym głosem, więc odpowiedziała, że dobrze, a mama zatrasnęła drzwi, tak że krople deszczu ochlapały ją na tylnym siedzeniu.

Siedziała nieruchomo i nasłuchiwała odgłosu kroków. Wydawało jej się, że słyszy, jak buty mamy uderzają o nawierzchnię: klike-tik-klike-tik-klike-tik-klak. To mógł być ktoś inny, ale nic nie widziała. Była mgła.

Aż podskoczyła, kiedy mama wróciła.

- Nikt nie odbiera! - powiedziała, czy raczej krzyknęła. - Dobry Boże, już wyjechali. - Włączyła silnik i ruszyły.

- Jedziemy już do domu?

- Już niedługo - odparła mama. - Ale najpierw musimy zrobić jeszcze jedną rzecz.

- Ja chcę do domu.

- Pojedziemy do domu, tylko najpierw musimy coś zrobić - odpowiedziała mama i zatrzymała samochód. Przesiadła się na tylne siedzenie, usiadła obok niej. Miała mokrą twarz.

- Mamo, jesteś smutna?

- Nie, to krople deszczu. Posłuchaj. Musimy najpierw pojechać do jednego domu i zabrać stamtąd kilku wujków. Słyszysz, co mówię?

- Mamy zabrać kilku wujków.
- Tak. Kiedy przyjedziemy, wujkowie zaczną biec i to będzie gra, w którą musimy z nimi zagrać. Nie zatrzymamy samochodu tak do końca i kiedy dobiegną, będą musieli wskoczyć do środka. Rozumiesz?
- Będą musieli wskoczyć do środka?
- Będziemy jechać powoli, oni wskoczą, a potem odjedziemy.
- Czy potem już pojedziemy do domu?
- Chwilę potem.
- Ja już chcę do domu.
- Pojedziemy do domu, ale najpierw musimy zagrać w tę grę.
- Nie możemy zagrać w nią jutro, kiedy będzie jaśniej? Jestem zmęczona. To głupia gra.
- Musimy to zrobić teraz. A najważniejsze jest to, że musisz się wtedy położyć na podłodze. Masz się położyć na podłodze, kiedy ci powiem. Rozumiesz?
- Dlaczego?

Mama patrzyła na nią, co chwila zerkając na zegarek. Było ciemno, ale i tak go widziała.

- Dlatego że wujkowie będą biegli tak szybko, że inni, którzy się z nami nie bawią, może też będą chcieli wskoczyć do samochodu. Mogą ci zrobić krzywdę. Dlatego masz się położyć na podłodze za moim siedzeniem.

Pokiwała głową.

- Chcę, żebyś teraz spróbowała.
- Ale mówiłaś, że...
- Kładź się!

Mama objęła ją bardzo, bardzo mocno, aż zabolęła ją szyja. Położyła się na podłodze. Śmierdziało, było zimno i mokro. Trudno jej było oddychać. Leżała przytulona do zimnej podłogi i kaszłała. Bolało ją ramię.

Mama wróciła na swoje miejsce i uruchomiła silnik, a ona z

powrotem usiadła. Jechały przez jakiś czas, a potem mama znów kazała jej położyć się na podłodze.

- Zaczyna się gra?

- Tak. Jesteś już na dole?

- Tak. Już się schowałam.

- Nie wolno ci się podnosić. To może być bardzo niebezpieczne - powiedziała mama, a później jeszcze przez chwilę mówiła o tym, co niebezpiecznego może się stać. - Musisz też być cicho.

To głupio, że gra jest niebezpieczna, pomyślała, ale nie miała odwagi tego powiedzieć.

- Cicho! - powiedziała mama niemiłym głosem, chociaż ona nic nie mówiła.

Leżała bez ruchu i wsłuchiwała się w dźwięk dobiegający z dołu. Miała wrażenie, jakby leżała na drodze: skaketi-skaketi-skak, bulteli-bulteli-bul. Kiedy samochód zwolnił, znów zaczęła powtarzać w myślach ten rytmiczny wierszyk. Skaketi-skaketi-skak... i nagle usłyszała krzyk, potem następny. Mama głośno do kogoś wołała. Ktoś otworzył drzwi nad jej głową. Poczowała, że przygniata ją coś ciężkiego, chciała krzyczeć, ale nie mogła. Słyszała, jak drzwi się otwierają i zamykają, a potem znowu otwierają i znowu zamykają. Kiedy drzwi z przodu trzasnęły po raz kolejny, rozległ się huk. Brzmiało to jak fajerwerki, jakby nagle deszcz zaczął uderzać w samochód o wiele, wiele mocniej. Zobaczyła, że szyba w drzwiach tuż nad nią popękała, ale się nie rozpadła. Szkło nie posypało się ani na nią, ani na tylne siedzenie.

Wszyscy krzyczeli, nie mogła jednak zrozumieć, co mówią. Na próżno nasłuchiwała głosu mamy. Chciała wstać, ale nie mogła. Samochód się zakołysał i skręcił gwałtownie, a potem ruszyli. Spod spodu dobiegał dziwny odgłos, jakby krzyk. Leżała nisko, więc go słyszała. Słyszała też wujka, który siedział na tylnym siedzeniu. Miała wrażenie, że płacze.

Dziwnie było słyszeć płaczącego wujka. Pomyślała, że ta gra w ogóle jej się nie podoba. Bała się, ale nie chciała się ruszać. Próbowwała się skupić na swoim wierszyku: skaketi-skaketi-skak.

## 1

ERIK WINTER OBUDZIŁ SIĘ PÓŹNO. Był owinięty prześcieradłem, więc zaczął się wiercić. W końcu udało mu się wyplątać z pościeli. Przez drzwi balkonowe widać było wiszące na niebie słońce. Mieszkanie już się ogrzało.

Usiadł na rogu łóżka i przejechał dłonią po zarośniętej twarzy. Głowę miał ciężką od niespokojnego, przerywanego snu. Siedział z zamkniętymi oczami i nie myślał o niczym. W nocy budził się co godzinę, ocierał pot z czoła, poprawiał poduszkę i prześcieradło. Dwa razy wstawał, żeby wypić dużą szklankę wody. Wsłuchiwał się w dźwięki nocy. Tego lata słyhać je było bez przerwy.

Podniósł się wreszcie i przeszedł po drewnianej podłodze do łazienki. Stał pod prysznicem i czekał, aż woda stanie się trochę cieplejsza. Tchórz ze mnie, pomyślał. Kiedy byłem młodszy, wchodziłem pod pierwsze lodowate strumienie, jak na faceta przystało.

Namydlił ciało. Lewą ręką chwycił się za krocze i poczuł, jak jądra i penis twardnieją mu w dłoni.

Przedwczoraj Angela wróciła do domu po podwójnym dyżurze w szpitalu. Nad ranem się kochali. Znowu poczuł się młody i silny, a płomienny orgazm przeszywał całe jego ciało tak długo, że aż krzyczał. Słyszał, jak krzyk odbija się między nimi echem. Na twarzy czuł jej pot, a jego smak przypominał mu sól, którą czuł na języku, gdy latem skakał z klifu i nurkował w morzu.

Później leżeli obok siebie bez ruchu. Kiedy się podniósł, miał wrażenie, że rusza się niemrawo jak starzec. Angela leżała na boku i patrzyła na

niego, a on po raz kolejny podziwiał miękki zarys jej bioder, przypominający górę wznoszącą się nad krajobrazem. Twarz częściowo przesłaniały jej włosy, mokre, a przez to delikatnie ciemniejsze u nasady.

- Wydaje ci się, że to ty mnie wykorzystujesz, ale jest na odwrót - powiedziała i zaczęła powoli kręcić palcem w gęstych włosach na jego torsie.

- Przecież tu nikt nikogo nie wykorzystuje - odpowiedział.

- W naszych krótkich, pełnych pasji spotkaniach chodzi przede wszystkim o zaspokajanie moich potrzeb.

- Dobrze, że mi to pani wyjaśniła, pani doktor.

- Doszłam jednak do wniosku, że potrzebujemy czegoś więcej niż seksu.

- Co to za bzdura?

- To, że potrzebujemy czegoś więcej niż seksu?

- Nie, to, że potrzebujemy tylko seksu, że nie robimy nic poza tym.

- A co takiego robimy? - zapytała i zdjęła rękę z jego torsu.

- Cóż to za pytanie? Przecież robimy wiele różnych rzeczy.

- Takich jak.

- Na przykład teraz rozmawiamy. Rozmawiamy o naszym związku.

- To chyba pierwszy raz - powiedziała i usiadła. - Jedna rozmowa na dziesięć stosunków.

- Teraz chyba żartujesz.

- Może, ale jeśli nawet, to tylko trochę. Ja chcę czegoś więcej.

- Czego?

- Wiesz, o czym mówię, Eriku. Rozmawialiśmy już o tym.

- O mojej dojrzałości.

- Właśnie.

- O tym, że wreszcie powinienem dojrzeć jako mężczyzna i wziąć odpowiedzialność za rodzinę, której jeszcze nie mam.

- Masz przecież mnie - powiedziała, znów na niego



spoglądając.

- Przepraszam, wiesz, o co.

- Nie, właściwie to nie do końca wiem, o co ci chodzi. Taki układ już mi nie wystarcza.

- Nawet jeśli możesz mnie wykorzystywać?

- Nawet.

- Nawet jeśli to przede wszystkim twoje potrzeby będą zaspokajane?

- Wyglupiałam się tylko, mówiąc to. Niepotrzebnie. Teraz będziesz miał kolejny temat do żartów.

- Angela, daj spokój. Dobrze, już jestem poważny.

- Nie zawsze będziesz młody, Eriku, już zacząłeś się starzeć. Pomyśl o tym.

- Już o tym myślałem.

- Pomyśl o tym. I o nas.

Miał trzydzieści siedem lat i był komisarzem jednostki śledczej komendy rejonowej. Został nim w wieku trzydziestu pięciu lat, co było rekordem w Göteborgu i w Szwecji, ale dla niego awans oznaczał jedynie to, że nie musiał już wykonywać czyichś rozkazów tak często jak kiedyś.

Wcześniej w pracy czuł się młody i silny, teraz zaczęły go dopadać wątpliwości. Wydawało mu się, że w krótkim czasie postarzał się o pięć, dziesięć lat. Sprawa, nad którą pracował ostatniej wiosny, wyczerpała go tak bardzo, że kiedy ją rozwiązał, latem, zastanawiał się, czy da radę nadal być policjantem i swego rodzaju aktywną przeciwwagą dla panoszącego się zła.

Na początku lata wziął tydzień urlopu i spędził go, wędrując w promieniach północnego słońca po bezkresach Laponii. Wrócił do pracy, ale chyba nie był już taki jak kiedyś. Próbował się zanurzyć w atmosferze lata i wolnego czasu. Nie golił się. Włosy zakrywały mu już uszy i rosły dalej, zbliżając się do ramion. Jego wygląd wciąż się zmieniał. Może teraz bardziej pasuje do mojego skomplikowanego wnętrza,

pomyślał pewnego dnia, stojąc przed lustrem, i zaciskając wargi, wykrzywił twarz. Może dzięki temu będą wyglądał jak porządny glina.

Siedział sam przy kuchennym stole nad dwoma tostami i filiżanką herbaty.

Angela się pożegnała i wróciła do siebie. Pot znów wystąpił mu na czoło, kiedy panujący na zewnątrz upał zaczął się sączyć do środka przez żaluzje. Była jedenasta. Kiedy przed chwilą spojrział na umieszczony w zacienionym kącie balkonu termometr, wskazywał dwadzieścia dziewięć stopni. Z drugiej puli urlopu zostały mu jeszcze cztery dni. Postanowił dalej korzystać z wypoczynku.

W przedpokoju zadzwonił telefon. Wstał, wyszedł z kuchni i podniósł słuchawkę.

- Tu Steve, jeśli mnie jeszcze pamiętasz - powiedział ktoś ze szkockim akcentem.

- Jak mógłbym zapomnieć rycerza z Croydon?

Steve Macdonald był komisarzem policji, pracował w południowym Londynie. Wiosną prowadzili wspólnie tę ostatnią trudną sprawę. Zaprzyjaźnili się, tak przynajmniej wydawało się Winterowi. Pracowali razem w Londynie i w Göteborgu. Ostatnio rozmawiali w wiosenny wieczór w mieszkaniu Wintera, kiedy po zakończeniu sprawy wszyscy próbowali się nawzajem pocieszać.

- To raczej ty jesteś rycerzem - powiedział Macdonald. - Masz błyszczącą zbroję i całą resztę.

- To już chyba przeszłość - odparł Winter.

- Co?

- Jestem nieogolony, a włosów nie obcinałem od miesięcy.

- Czy miałem na ciebie aż taki wpływ? Ja byłem na Jermyn Street i szukałem garniturów Baldessarinięgo. Pomyślałem, że powinienem dodać sobie powagi. Gdybyś został u nas w komendzie dłużej, zaczęliby słuchać twoich rozkazów.

- I jak poszło?

- Z czym?
  - Znalazłeś garnitur?
  - Nie. Zwykłych ludzi nie stać na ciuchy, które ty nosisz. A propos, muszę cię o to spytać jeszcze raz: czy to prawda, że nie musisz czekać z zakupami do pierwszego?
  - Skąd ci to przyszło do głowy?
  - Sam tak mówiłeś wiosną.
  - Naprawdę? Musiałem być tak skupiony na tym, co robiliśmy, że sam siebie nie słuchałem wystarczająco uważnie.
  - Czyli potrzebujesz pensji?
  - A jak myślisz? Mam trochę odłożone w banku, ale nie aż tyle.
  - Dobrze to słyszeć.
  - To ma jakieś znaczenie?
  - Nie wiem. Może. Po prostu chciałem wiedzieć.
  - To dlatego zadzwoniłeś?
  - Właściwie to chciałem się dowiedzieć, jak się masz. Wtedy, wiosną, nie było łatwo.
  - Nie było.
  - Więc?
  - Co?
  - Jak leci?
  - Jest gorąco. Mamy rekordowe temperatury, chociaż lato powinno się już skończyć. A ja nadal jestem na urlopie.
  - Dzięki za pocztówkę z Alp.
  - To z Gór Skandynawskich w Laponii, w Szwecji.
  - Bez różnicy. I tak dzięki.
- Zapadła cisza. Winter słyszał równomierny szum unoszący się nad rozgrzaną wodą. Macdonald odchrząknął głośno.
- Odezwiąj się kiedyś.
  - Może wpadnę na Boże Narodzenie zrobić zakupy - odparł Winter.

- Co będziesz kupował? Cygara? Koszule?
- Myślałem o dzinsach.
- Uważaj, bo staniesz się taki jak ja.
- Mógłbym powiedzieć to samo.

Pożegnali się i Winter odłożył słuchawkę. Nagle zakręciło mu się w głowie, chwycił się mocno krawędzi blatu. Po chwili zawroty ustały. Wrócił do kuchni i wypił łyk zimnej już herbaty. Zastanowił się, czy zaparzyć nową, ale zrezygnował i wstał, żeby odstawić naczynia do zlewu.

Ubrał się w szorty i bawełniany T-shirt, na nogi włożył sandały. Do kieszeni T-shirta wcisnął portfel i sprawdził, czy w drugiej kieszeni ma pęk kluczy, który włożył do niej wczoraj. Komórkę celowo zostawił na nocnej szafce.

Kiedy chwycił klamkę, usłyszał listonosza. Wsunięte przez otwór w drzwiach listy spadły mu na stopy. Schylił się i przejrzał pocztę: „Gazeta Policyjna”, dwa listy z banku, magazyn zapakowany w szarą kopertę oraz zawiadomienie o nadejściu przesyłki o wadze przekraczającej kilogram, do odbioru w urzędzie pocztowym przy Avenyn. Z całej tej sterty białego papieru wyróżniała się kolorowa pocztówka. Podniósł ją i obrócił. To Macdonald przesyłał mu pozdrowienia z wizyty w swoich rodzinnych stronach, na północy Szkocji. „My też mamy Alpy”, pisał. Winter znów obrócił kartkę i przyjrzał się ośnieżonemu szczytowi wznoszącemu się nad domkami. Wyglądały staroświecko, jakby z innej epoki.

Na twarzy czuł gorące powietrze. Vasaplatsen połyskiwał, jakby ktoś rozciągnął na nim szklane nici. Kilka osób stało w cieniu na przystanku tramwajowym po drugiej stronie parku. Widać było tylko ich czarne sylwetki.

Wyciągnął rower z piwnicy i pojechał wzdłuż Vasagatan, a potem w prawo.

Minął Skanstorget. Zanim dojechał do Linnéplatsen, koszulkę miał mokrą od potu, ale było to miłe uczucie. Plecak

obiął mu się o łopatki. Zamiast w kierunku Långedrag, postanowił pojechać na południe. Jechał w pełnym słońcu w stronę plaży w Askim. Na plaży zrobił sobie przerwę, napił się czegoś zimnego i ruszył dalej. Minął pole golfowe w Hovås i dojechał do Järkholmen. Zostawił rower wśród innych, stojących wzdłuż ścieżki. Zszedł na dół, na niewielką plażę, i tak szybko, jak tylko się dało, zanurzył się w wodzie. Leżał w słońcu i czytał, a kiedy było mu za gorąco, wchodził do wody. Miał urlop i właśnie tak chciał spędzać wolny czas tego lata. Lubił to uczucie suchości na stopach, kiedy otrzepywał je z piachu i zakładał sandały, gdy po południu zbierał się do domu, a słońce świeciło nisko, z lewej strony. Sprawiało mu to przyjemność i chciał, żeby to trwało jeszcze trochę, bo było dla niego symbolem wszystkiego, co na świecie dobre.

## 2

ANECIE DJANALI ZŁAMANO KOŚĆ ŻUCHWY chwilę po północy. Spacerowała wzdłuż Östra Hamngatan, wokół było pełno ludzi. Nie była na służbie, ale nawet gdyby była, nie miałoby to większego znaczenia, ponieważ Aneta, jako inspektor wydziału śledczego, w godzinach pracy nie nosiła munduru.

Była z przyjaciółką. We dwie zauważyły bijatykę w ciemnej, odchodzącej w bok Kyrkogatan. Zobaczyły, że trzech mężczyzn bije i kopie kogoś leżącego na ziemi. Aneta krzyknęła i zrobiła kilka kroków w ich kierunku. Mężczyźni podnieśli wzrok, po czym podeszli do Anety i jej przyjaciółki. Dziesięć sekund później jeden z nich, mijając Anetę, uderzył ją w twarz. Uderzył tylko raz i najpierw Aneta nic nie czuła, ale po chwili ból przeszył całą głowę i klatkę piersiową. Ten, który wymierzył jej cios, krzyknął coś o jej kolorze skóry, a kiedy upadła na ziemię, poszli dalej. Aneta Djanali była

czarna, ale po raz pierwszy z tego powodu padła ofiarą przemocy.

Cały czas była przytomna. Próbowwała coś powiedzieć przyjaciółce, ale nie mogła. Lis jest biała jak mało kto, pomyślała. Może dla niej to jeszcze większy szok niż dla mnie.

Wokół nieprzerwanie trwały festiwalowe imprezy. Tłumy kręciły się między scenami i namiotami z piwem. Noc była ciepła. Nad miastem unosił się zapach grilla i ludzi - na ulicach czuć było alkohol i pot. Podniesione głosy mieszały się ze sobą i gdzieś w tej kakofonii zginął krzyk przyjaciółki Anety. Spacerując po opanowanym przez festiwal mieście, mijaly to miejsce już trzeci raz tego wieczoru. Do trzech razy sztuka, pomyślała Aneta Djanali, czując pod policzkiem nierówną powierzchnię asfaltu. Ból w głowie nie był już tak silny. Widziała tylko nogi, mnóstwo nóg w sandałach i w mokasynach, a potem ktoś ją podniósł i zaniósł do samochodu. Domyśliła się, że to karetka. Czowała, jak ktoś jej delikatnie dotyka, a potem straciła przytomność.

Fredrik Halders dowiedział się o tym następnego dnia rano, kiedy o wpół do dziewiątej przyszedł do komendy. Był ostrzyżonym na jeża gliną, który, ilekroć nadarzyła się ku temu okazja, dogryzał innym, a najchętniej Anecie Djanali, i to z powodu jej koloru skóry i pochodzenia. Czasami wychodził na rasistę i seksistę, ale niewiele go to obchodziło. Był sam, odkąd rozwiódł się trzy lata wcześniej. Bez przerwy wkurzony i agresywny czterdziestoczteroletni facet o cholernie pogmatwanym wnętrzu, który powinien wreszcie zrozumieć, że musi z kimś porozmawiać. Ale: Fredrik Halders u psychoterapeuty? Wolalby już publicznie zwalić sobie konia. Wiedział jednak, że ta negatywna energia, która się w nim nagromadziła, może go zaprowadzić na skraj przepaści. Poczul to też teraz, kiedy usłyszał, co się przydarzyło Anecie Djanali.

Chciał. chciał. chciał, do kurwy nędzy, rozerwać na strzępy tych pieprzonych skurwysynów. Chodził wokół sali konferencyjnej, a Lars Bergenheim, kiedy już wszystko mu opowiedział, zamilkł.

- Są jacyś świadkowie?! - krzyknął Halders.

- Tak. - zaczął Bergenheim.

- Gdzie?

- Przyjaciół.

- Dawaj ją tu! - wrzasnął Halders. - Zresztą, pieprzyć to - rzucił i podszedł do drzwi.

- Dokąd idziesz?

- A jak, kurwa, myślisz?

- Jest pod narkozą, albo przynajmniej była przez jakiś czas, kiedy nastawiali jej szczękę.

- Skąd wiesz?

- Przed chwilą gadałem ze szpitalem.

- Czemu nie zadzwonili do mnie? - zapytał Halders. - Takie coś może być niebezpieczne. Może dojść do zakażenia albo innego syfu. Powinni ją dać na intensywnej opiekę.

Taa, ty oczywiście znasz się na tym lepiej niż lekarze, pomyślał Bergenheim.

- Przecież to ja najczęściej z nią współpracuję - powiedział Halders.

- Ty prawie nigdy nie pracowałeś z Anetą w terenie!

- Skąd mogli o tym wiedzieć - odparł cicho Bergenheim.

- Co?

- Nic.

- To co ze świadkami? - zapytał Halders.

- Próbuję ci właśnie powiedzieć, że przyjaciółka Anety będzie tu za. - Bergenheim spojrzał na zegarek - za kwadrans.

- Była tam?

- Tak.

- Ktoś jeszcze?

- Wiesz, że trwa festiwal. Były tam tłumy, a w takich sytuacjach nikt nigdy nic nie widzi.

- Cholera - powiedział Halders. - Chyba się wyprowadzę z tego pieprzonego miasta.

Bergenheim nie odpowiedział.

- Lubisz to miasto? - spytał Halders. Na chwilę usiadł, potem wstał i znów usiadł.

Bergenheim zastanawiał się, co odpowiedzieć. Fredrik był zdenerwowany i nie było to nic nowego, ale tym razem było inaczej, jakby jego gniew miał w sobie coś ze świętości. To było coś więcej niż współczucie dla koleżanki z pracy. Za chwilę pewnie pojedzie do szpitala i niech Bóg ma w swojej opiece wszystkich kierowców, którzy będą go spowalniać na światłach.

- Nastaly nowe czasy - powiedział Bergenheim. - To nowoczesne, wieloaspektowe miasto.

- Wiele co? Co to, kurwa, znaczy?

- Że znajdziesz tu i dobro, i zło - odparł Bergenheim, uświadamiając sobie, jak banalne zdanie właśnie wypowiada.

- Nie można po prostu posłać całego miasta do diabła.

- Niedługo trzeba będzie to zrobić - powiedział Halders. - Człowiek spaceruje sobie po ulicy, a jakiś drań podchodzi i rozwala mu głowę. Jakie tu masz aspekty? I gdzie niby to twoje wieloaspektowe miasto?

Bergenheim nie odpowiedział.

- Nie no, wiem, że są porządni i szczęśliwi ludzie, i niektóre miejsca są w porządku, i w ogóle, ale chodzi o to, że... chodzi o to. - dodał Halders dziwnie niskim głosem i odwrócił się od Bergenhema, wciskając głowę w ramiona.

Bergenheim zobaczył, jak Halders podnosi prawą rękę i przeciera twarz. Płacze, pomyślał. Albo zaraz zacznie. Czyli jest jeszcze nadzieja dla Fredrika. Ale właściwie to on ma rację, a już na pewno jeśli chodzi o to lato. Ile prowokacji



mieliśmy w ostatnim miesiącu? Piętnaście? To niemal jak przygotowania do wojny, partyzanckiej wojny między plemionami Göteborga. Wczoraj ucierpiała.

- Kto będzie gadał z tą babką? - Głos Haldersa dobiegł jakby z oddali. - Z jej przyjacielką?

- Ja i ty, jeśli chcesz - odpowiedział Bergenhem.

- Ty się tym zajmij - odparł Halders. - Ja spadam do szpitala. A co z tym drugim biedakiem? Tym, którego też pobili?

- Żyje - powiedział Bergenhem.

Był zniecierpliwiony i nie zauważył nawet, że powietrze wpadające przez nawiew jest cieplejsze od tego w samochodzie. Pot spływał mu po karku, ale nie zwracał na to uwagi.

Kiedy wszedł do sali, Aneta siedziała na łóżku, czy raczej leżała, opierając się na poduszkach. Oczy miała czerwone, popękały jej naczynka. Chyba lepiej iść się uchlać, pomyślał Halders. Twarz ma owiniętą bandażami. Dopiero co się obudziła, nie powinno mnie tu być.

Obok niej stał plastikowy kubek ze zgiętą wpół słomką. Przed jednoosobową salą, w której leżała, na szpitalnym stoliku stało dziesięć róż. Pielęgniarka powiedziała, że nie chcieli ich wносить do środka ze względu na zagrożenie infekcją. Główni kwiatów pochylały się w kierunku blatu. Nie nalali wody do wazonu, czy co, pomyślał Halders. To mogły być kwiaty ode mnie. Wziął stołek i usiadł przy łóżku.

- Dorwiemy ich - powiedział.

Leżała nieruchomo. Potem zamknęła oczy i Halders nie był pewien, czy nie zasnęła.

- Zanim wyzdrowiejesz, te dranie będą siedzieć. Przecież czarni obywatele też mają prawo chodzić po ulicach po zapadnięciu zmroku.

Nie zareagowała. Halders wpatrywał się w stertę poduszek za jej plecami. Chyba nie było jej wygodnie.

- W takiej chwili można pomyśleć, że lepiej by było, gdybyś została w domu, w Wagadugu - powiedział Halders, powtarzając stary, dobrze znany im obojgu żart. Aneta Djanali urodziła się przecież w Göteborgu. - W Wagadugu - powiedział jeszcze raz, jakby to słowo miało ukoić jego nerwy albo sprawić, że Aneta poczuje się lepiej.

- Właściwie taka chwila już się nie powtórzy - odezwał się po kilku minutach milczenia. - Mogę powiedzieć coś ważnego, a ty mi nie przerwiesz i nie będziesz się wymądrzać. Mam pole do popisu, mogę powiedzieć, co myślę. Mogę ci wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi.

Aneta otworzyła oczy i rzuciła mu spojrzenie, które dobrze znał. Oberwała, ale uszkodzili jej tylko dolną część czaszki, pomyślał. To jest ta jedyna chwila, kiedy mogę dojść do słowa.

- Chodzi o utrzymanie kontroli - powiedział. - Kiedy złapiemy tych skurwysynów, będziemy się kontrolować tak długo jak się da, a potem popełnimy jeden czy dwa błędy, pokazując, że my też jesteśmy ludźmi. Że gliny są ludźmi.

Jak, do licha, udaje jej się pić z tego kubka, pomyślał. Przecież w bandażu nie ma żadnego otworu na słomkę. Czy te przedmioty stoją tu tylko po to, żeby dobrze wyglądać? Czy nie dostaje wszystkiego, czego potrzebuje, w kroplówce? I jak długo będzie tu leżeć?

- Mówią, że Winterowi odbiło po tej ostatniej sprawie - powiedział. - Cały urlop przechodził w obciętych dżinsach i w T-shircie z napisem „London Calling”. Podobno był w komendzie, żeby zabrać papiery. Miał zarost i zapuścił włosy. Aneta znów zamknęła oczy.

- Nie mogę się doczekać poniedziałku - dodał. - Zbierzemy się wtedy wszyscy, to znaczy wszyscy z wyjątkiem ciebie, ale mogę położyć coś na twoim krześle, jakbyś z nami była. - Pochylił się do przodu. - Na razie się kuruj. - Wciągnął powietrze, wdychając ciężki zapach unoszący się w

sali. - Brakuje mi ciebie - powiedział.

Wstał i nieporadnie zabrał ze sobą stołek. Minął łóżko i wyszedł z pokoju. Na korytarzu zajrzał do wazonu z różami - był napełniony wodą. Dlaczego w takim razie kwiaty więdną?, pomyślał.

Winter nie czekał do poniedziałku. Kiedy zadzwonił do niego Ringmar i od razu powiedział, o co chodzi, natychmiast postanowił zakończyć urlop. Wcale nie z poczucia obowiązku. Przeciwnie, było to egoistyczne posunięcie, może nawet element swego rodzaju terapii.

- Nie jesteś tu jeszcze potrzebny - powiedział Ringmar.

- Mam dość leżenia na plaży i otrzępywania nóg z piachu - odparł Winter.

Po południu wszedł do swojego biura i podciągnął żaluzje. W pokoju unosił się zapach pracy i kurzu. Błat biurka był pusty. Stan idealny, pomyślał. Może mogę być jak szef i na blacie nie trzymać nic, a raporty upychać do szuflad.

Sture Birgersson, szef wydziału śledczego, był na tyle mądry, by całą odpowiedzialność zrzucić na swojego zastępcę. Oznaczało to, że to Winter dowodził trzydziestką policjantów walczących z przestępczością. Oficjalnie dawny Wydział Śledczy został zastąpiony Jednostką Śledczą Komendy Rejonowej, ale w praktyce nic się nie zmieniło. I tak nadal zajmowali się tym samym: przemocą i kradzieżami. Ci, którzy wcześniej byli sierżantami, zostali mianowani aspirantami. Wreszcie człowiek do czegoś doszedł, stwierdził Halders, kiedy w 1995 roku wszyscy zostali awansowani. Chociaż wyższy stopień nie oznaczał wyższej pensji. A jednak teraz wychodzi się na nędzne ulice Göteborga z większymi ambicjami, uważał.

- Zamknij drzwi - powiedział Winter, kiedy Ringmar stanął w progu. - I jak? - zapytał, zanim Ringmar zdążył usiąść na krześle po drugiej stronie biurka.

- Sprawdzamy już najgorsze szumowiny, ale mogli być

spoza miasta - odpowiedział Ringmar.

- Tak sądzisz?

- Tak mówią. Poza tym panuje jakiś bałagan. Nie wiem, ile wiesz, ale przecież oglądasz telewizję albo przynajmniej słuchasz wiadomości. Mówią, że może to wszystko przez upały, a może przez coś innego.

- Te demonstracje?

- Tak, ale nie tylko. W mieście aż kipi, w pewnym sensie. W ostatnim tygodniu mieliśmy ze dwanaście przypadków gangsterskich porachunków. To wojna gangów albo jej początek. No i bójki. Nie wiem, ile narodowości, włączając Szwedów, brało w nich udział. Paskudnie to wygląda. Coś jest na rzeczy. Nie wiem co. jakaś zawiść, agresja... coś, co sprawia, że ludzie atakują innych albo nienawidzą ich bardziej niż kiedykolwiek. Mimo to próbujemy robić, co w naszej mocy. Może stoją za tym jakieś skurwysyny, które dolewają oliwy do ognia, kierują tym, przynajmniej po części. Bertil Ringmar dowodził grupą zwiadowczą, którą tworzyło dziesięcioro policjantów mających wtyczki w świecie przestępczym i której celem było kontrolowanie zarówno zwykłych szumowin, jak i przestępczości zorganizowanej. Mieli „stać w pierwszym szeregu, prowadząc innych w stronę postępu”, jak to określił Sture Birgersson, kiedy przeorganizowywano ich jednostkę.

- Przecież Anetę znają trochę w mieście - powiedział Ringmar. - Myślę, że gdyby nie chodziło o samoobronę, nie posunęliby się do zaatakowania kogoś z naszych.

- Może właśnie w tym rzecz - stwierdził Winter.

- W czym?

- Wydaje nam się, że oni wiedzą, że my wiemy, że oni wiedzą, że myślimy, że nigdy by czegoś takiego nie zrobili, i może właśnie dlatego to zrobili.

Ringmar nie odpowiedział.

- Nie sądzisz?

- Tak, to klasyczny problem - odparł Ringmar. - O ile dobrze cię zrozumiałem.
  - Tak czy inaczej, wracacie do punktu wyjścia?
  - Na to wygląda.
- Winter wpatrywał się w blat biurka. Było wypolerowane na wysoki połysk, jakby sprzątaczką gorączkowo je czyściła, kiedy tylko się okazało, że komisarz wraca wcześniej. Widział odbicie swojej twarzy. Włosy wyglądały jak kolczasta otoczka przyczepiona do głowy. Z paczki schowanej w kieszeni koszuli wyciągnął krótkie cygare i zapalił je. Upuścił zapalną. Oparzyła go w udo, poczuł szybkie ukłucie. Ringmar zauważył, że Winter ma na sobie szorty, ale nie skomentował tego. Sam był ubrany w długie spodnie khaki. Wyglądają, jakby je kupił w sklepie z wyposażeniem brytyjskiej armii kolonialnej, pomyślał Winter.
- Jeśli są stąd, znajdziemy ich - ciągnął Ringmar.
  - Wierzysz w siły dobra? W naszych informatorów?
  - Wierzę, że siły dobra ukryte w szeregach sił zła zaprowadzą nas właśnie do tych złych - odparł Ringmar.
  - Tych gorszych - dodał Winter. - Tych najgorszych.
  - Przyjaciółce Anety wydaje się, że może rozpoznać któregoś z nich - powiedział Ringmar.
  - Mieli na sobie jakieś symbole nazistowskie albo faszystowskie?
  - Nie. Z wyglądu zupełnie niewiniątka.
- Winter strzepnął popiół na dłoń. Ktoś pewnie zwinął mu z biurka popielniczkę, kiedy go nie było.
- Inni świadkowie?
  - Z tysiąc, ale tylko kilka osób odezwało się do nas po komunikacie. I nie są pewni, jak ci kolesie wyglądali.
  - Niewiniątka, mówisz?
  - Tak.
  - Nie upłynęła jeszcze doba.
  - Nie.

Rozległ się dzwonek stojącego z prawej strony biurka telefonu.

- I jeszcze ktoś dzwoni - powiedział Winter i podniósł słuchawkę. Wymamrotał swoje nazwisko.

Ringmar patrzył, jak Winter, zgarbiony i ze zmarszczonym czołem, wsłuchuje się w głos dyżurnego policjanta. Rzucił kilka słów i się rozłączył.

- Idzie tu jakiś koleś. Śledził ich - powiedział.

- O kurwa. Czemu wcześniej się nie odezwał? - spytał Ringmar.

- Chyba dziecko mu ciężko zachorowało w nocy.

- Gdzie jest?

- Zaraz tu będzie - powiedział Winter. - A propos, byłem w szpitalu zobaczyć Anetę. Spotkałem Fredrika. Wychodził akurat z jej sali i miał zaczerwienione oczy.

- Aha - odparł Ringmar.

### 3

WINTER WSTAŁ I PODSZEDŁ DO OKNA. Na plecach miał mokry ślad od oparcia krzesła. Zatrząsł się, stając pod nawiewem klimatyzacji. Ten dreszcz zimna, który przeszedł go od środka, sprawił, że lato tam, na zewnątrz, też wyglądało na chłodne. Przez okno, którego nie można było otworzyć, wydawało się szare. Niebo było niewyraźne, a upalne powietrze bezgłośnie wisiało nad miastem. Było przedpołudnie, a mało kto chodził po ulicach. Na murawie starego stadionu Ullevi ustawiono zraszacze.

Pomyślał o Anecie Djanali i zacisnął prawą dłoń. Kiedy uświadomił sobie, co jej się przydarzyło, poczuł. agresję. To nagle uczucie stało się jego częścią. Może to prymitywna chęć zemsty, a może coś więcej. Powrócił do swojego pełnego agresji świata. Odwrócił się. Ringmar wciąż siedział w biurze i patrzył na niego bez słowa. Jest ode mnie starszy o

piętnaście lat i już zaczął wyczekiwać lepszych czasów, pomyślał Winter. Może kiedy już przepracuje ostatni dzień, popłynie łodzią do swojego domku letniskowego na Vrångö i nigdy tu nie wróci.

- Co oznacza ten napis na koszulce? „London Calling”? - spytał Ringmar.

- To tytuł rockowej płyty. Macdonald mi ją przysłał.

- Rockowej? Przecież ty nie masz pojęcia o rocku.

- Słyszałem jeden zespół. The Clash. Przysłał mi ich płytę razem z T-shirtem.

- The Clash?

- Po angielsku znaczy starcie.

- Chodziło mi o zespół. Co to za jedni? Potrafisz odróżnić hard rock od popu?

- Nie. Ale ich muzyka mi się podoba.

- Nie wierzę. Przecież ty lubisz Coltrane'a.

- Podoba mi się - powtórzył Winter. - Grali, kiedy miałem z dziećmi piętnaście lat, ale i tak są bardzo współcześni.

- Czyli hard rock - stwierdził Ringmar.

Do pokoju wszedł świadek, na którego czekali.

Zaczął opowiadać. Na jego twarzy widać było napięcie i zmęczenie po nieprzespanej nocy. Przeżycia ostatnich godzin zostały w jego oczach wyraźny ślad niepokoju. W nocy jego dziecko doznało wstrząsu alergicznego. Ledwo uniknęły tragedii. Winter coś do niego powiedział.

- Przepraszam, nie usłyszałem. Zakręciło mi się w głowie.

- Powiedział pan, że pan za nimi poszedł.

- Tak.

- Ilu ich było?

- Z tego co widziałem, trzech.

- Jest pan pewien, że byli razem?

- Dwóch z nich czekało, podczas gdy ten trzeci, ten, który ją uderzył, czekali na niego - świadek przetarł oczy. - Przypominam sobie, że ten, który uderzył, był mniejszy od

pozostałych.

- Był niższy?

- Tak to wyglądało.

- I poszedł pan za nimi?

- Szedłem tak długo, jak się dało. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Człowieka paraliżuje, nie wiadomo co zrobić. Potem pomyślałem, że to straszne, co zrobili, i poszedłem za nimi, żeby zobaczyć, dokąd idą, ale na Kungstorget były tłumy ludzi, a później zadzwoniła żona. Krzyczała, że Astrid się dusi. Astrid to nasza córka.

- Tak - powiedział Winter i spojrzał na Ringmara. Bertil miał dziecko. Winter nie, ale miał dziewczynę, która stwierdziła, że nie ma zamiaru dłużej czekać, aż on dojrzeje do tego, żeby wziąć odpowiedzialność za dziecko. Oświadczyła mu to wczoraj, zanim wyjechała do mamy, żeby tam wyregulować swój zegar biologiczny. Kiedy wróci, będę mógł usłyszeć, jak się przesuwały wskazówki, pomyślał.

- Ale już w porządku - powiedział mężczyzna, chyba sam do siebie. - Już w porządku z Astrid.

Winter i Ringmar czekali. Powietrze w pokoju krążyło powoli. Mężczyzna był ubrany w te same spodenki i koszulkę polo, które miał na sobie poprzedniego wieczoru. Na brodzie widniał cień zarostu, a jego oczy jakby zapadły się w głąb czaszki.

- Jesteśmy wdzięczni, że przyszedł pan do nas od razu po tym przykrym incydencie. - powiedział Winter. - Że przyszedł pan prosto ze szpitala.

Siedzący naprzeciwko niego świadek wzruszył ramionami.

- Wiele osób w ogóle nie reaguje - odparł. - Ktoś łązi po ulicach i bije innych.

No przecież, do cholery, krew może człowieka zalać, jak się na to patrzy. Winter czekał na dalszy ciąg.

- To jak z tą durną gadką o imigrantach, którą się słyszy w pracy. Jakby poprawność polityczna pozwalała mówić, że w



kraju jest za dużo imigrantów, uchodźców i czarnych.

- Gdzie dokładnie zgubił pan tę bandę? - zapytał Ringmar.
- Przy Saluhallen, niedaleko Kungssportsplatsen. To znaczy tuż przed wejściem na plac.
- Słyszał pan, czy coś mówili?
- Ani słowa.
- Domyśla się pan, skąd mogli być?
- Jak dla mnie, mogli być i z piekła rodem.
- Czyli nie wie pan.
- Nie, ale to byli Szwedzi, prawdziwi Szwedzi, jak to się mówi.

Zapytali go, jak wyglądali, więc ich opisał. Kiedy wyszedł, Winter zapalił kolejne cygaro i znów upuścił zapalną na gołę udo.

- Zauważyłeś, że uważa Anetę za uchodźcę? - rzucił.
- Co masz na myśli? - zapytał Ringmar.
- Zawsze będziemy dzielić ludzi na kategorie, pokolenie za pokoleniem. Bez względu na to, gdzie się urodzili.
- Tak.
- Wieczni tułacze.
- Co?
- Jest takie określenie. Tak nazywają tych, którzy w poszukiwaniu rajów krążą od jednego państwa do drugiego, ale nigdzie ich nie wpuszczają.

- Ładne określenie - stwierdził Ringmar. - Takie romantyczne. Ale nie dotyczy naszej Anety.

- Nie, ale kiedy wreszcie wpuszczą ich do jakiegoś rajku, co się dzieje? - powiedział Winter i dogasił cygaro w popielniczkę, którą znalazł za zasłoną.

Na zewnątrz, na placu Ernsta Fontella, powietrze było ciężkie od gorąca. Słońce stało w zenicie. Pot zaschnięty na ciele Wintera znów zaczął spływać po plecach. Czuł, jak swędzą go pachwiny. Założył okulary słoneczne, podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Źle wyliczył kąt padania cienia

od drzew. Przednie siedzenie było nagrzane nie do wytrzymania. Oddychając powoli, usadowił się i uruchomił silnik. Włączył klimatyzację.

Ruszył na wschód. Minął nowy stadion Ullevi i skręcił na podwórze dużej willi w Lund. Pies z sąsiedniej posesji ujadła jak wściekły. Winter słyszał szczęk jego kolczatki.

Wejście do domu było ocienione. Nacisnął dzwonek i czekał. Nacisnął jeszcze raz, ale nikt nie otwierał. Zszedł ze schodów i skręcił w lewo, w asfaltową ścieżkę. Czuł zapach rosnących obok krzewów czarnych porzeczek, ale też jakiś inny, którego nie mógł rozpoznać.

Za domem słońce odbijało się w tafli basenu. W powietrzu czuć było chlor i olejek do opalania. Przy północnej krawędzi basenu stał leżak, na którym leżał nagi mężczyzna. Ciężkie ciało całe miał opalone na intensywny kolor, odcinający się na tle ręcznika, który miał chronić materiał leżaka przed potem i olejkiem. Ręcznik był biało- niebieski i pod stopami mężczyzny widniał na nim napis „Swedcom”. Winter zakaszał cicho i mężczyzna otworzył oczy.

- Wydawało mi się właśnie, że coś słyszałem.

- To dlaczego nie otworzyłeś?

- I tak wszedłeś.

- To mógł być ktoś inny.

- Ale niestety to ty - powiedział mężczyzna, nadal leżąc w tej samej pozycji. Jego obwisły penis spoczywał na umięśnionym udzie.

- Ubierz się i zaproponuj mi coś do picia, Benny.

- Muszę to zrobić w takiej kolejności? Nabawiłeś się homofobii?

- To kwestia estetyki. - Winter rozejrzał się za krzesłem.

Benny Vennerhag, bo tak nazywał się mężczyzna, wstał i chwycił leżący na niskim stolku biały ręcznik, po czym wskazał na basen.

- Tymczasem możesz się wykąpać.

Poszedł w kierunku domu, a kiedy był na werandzie, odwrócił się i powiedział:

- Przyniosę parę piw. Kąpielówki znajdziesz w schowku pod stołkiem. Fajny T- shirt, ale komu by się chciało jechać do Londynu?

Winter ściągnął spodenki i T-shirt i zanurzył się w wodzie. Poczul na skórze orzeźwiający chłód. Zanurkował i przepłynął na drugi koniec basenu. Z impetem przebił powierzchnię wody i położył się na plecach. Przez chwilę miał wrażenie, że słońce nie jest już tak blisko. Znów zanurkował i obrócił się. Patrzył na niebo przez tafelę wody. Wyglądała jak szklany dach. Słyszał trzask wydobywający się z wykafelkowanych ścian basenu, a może trzeszczało mu w uszach? Długo nie wypływał, a kiedy wreszcie to zrobił, zobaczył nad sobą twarz.

- Próbowales pobić rekord? - spytał Vennerhag i schylił się nad krawędzią basenu, żeby mu podać piwo.

Winter odgarnął włosy z czoła. Wziął od Vennerhaga butelkę i poczul jej chłód w dłoni.

- Dobrze ci się wiedzie - powiedział, popijając piwo.

- Zasługuję na to.

- O tak, jak nikt inny.

- Po co ta ironia, komisarzu.

Winter podciągnął się i usiadł na krawędzi basenu.

- Kapałeś się w majtkach? Gdzie się podziała twoja klasa i styl?

Winter nie odpowiedział. Wychylił piwo do dna i odstawił butelkę na jedną z płyt, którymi obłożono brzeg basenu. Potem zdjął mokre bokserki i założył szorty.

- Dostaniesz ode mnie foliową torebkę na te mokre gatki - powiedział Vennerhag z uśmiechem. Znów rozwalil się na leżaku. Miał na sobie krótkie spodnie khaki, opinały mu się na biodrach.

- Kto tak urządził moją Anetę? - zapytał Winter, odwracając się do Vennerhaga.
  - O czym ty mówisz? - odparł Vennerhag i wyprostował się.
  - Dziewczynę z mojego team. z mojego wydziału pobito wczoraj w nocy i jeśli wiesz, kto to zrobił, też chcę się dowiedzieć - powiedział Winter. - Teraz albo w najbliższym czasie.
  - Takie zachowanie też nie jest w twoim stylu.
  - Zmieniłem się.
  - Aha, to może.
  - To poważna sprawa, Benny. - Winter się podniósł. Podeszedł do leżaka i przykucnął. Jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Benny'ego. Czuł zapach alkoholu i olejku kokosowego.
  - Będę cię tolerował dopóty, dopóki będziesz wobec mnie uczciwy. Jeśli przestaniesz być wobec mnie uczciwy, przestanę cię tolerować.
  - O rany, a cóż by to miało oznaczać?
  - Koniec z tym wszystkim - powiedział Winter z kamienną twarzą.
- Vennerhag rozejrzył się po swojej posiadłości.
- Co to za pogróżki? I skąd mam niby wiedzieć, co się przytrafiło twojej współpracownicy?
  - Znasz osobiście więcej szumowin ode mnie - odparł Winter. - To nie pierwszy atak na czarnoskórą osobę, choć tym razem chodzi o czarnoskórą policjantkę.
  - Zrozumiałem.
  - Jesteś przestępcą i rasistą. Jeśli o czymś usłyszysz, chcę, żeby to trafiło do mnie. Powinieneś się orientować.
  - Jestem też twoim byłym szwagrem - powiedział Vennerhag z uśmiechem. - I nie chcę, żebyś tu przyłaził i kozaczył.
- Winter złapał go nagle za szczękę i ścisnął mocno.

- Złamali jej tę część twarzy - powiedział, pochylając się bliżej i ściskając jeszcze mocniej. - Czujesz, Benny? Czujesz ten ucisk?

Vennerhag gwałtownie odchylił głowę na bok i Winter go puścił.

- Odpiardoliło ci, kurwa - stwierdził Vennerhag, rozmasowując sobie brodę i policzki. - Czemu to zrobiłeś? Powinieneś się leczyć, naprawdę.

Winterowi zakręciło się w głowie. Przymknął oczy i w głowie usłyszał zgrzyt, podczas gdy Vennerhag znów złapał się za brodę.

- Cholera - powiedział Vennerhag. - Nie powinni cię wypuszczać na ulicę, ty pieprzony outsiderze.

Winter otworzył oczy i spojrzał na swoje dłonie. Czy są jego? Przyjemnie było zacisnąć palce na szczęce Vennerhaga.

- Chyba trzeba pogadać z Lottą - stwierdził Vennerhag.

- Nie zbliżaj się do niej - odpowiedział Winter.

- Ona zresztą jest nie mniej walnięta od braciszka.

Winter się podniósł.

- Zadzwoń do ciebie za parę dni - powiedział. - A ty tymczasem zbieraj informacje.

- Miło cię było gościć, kurwa - odparł Vennerhag.

Winter wcisnął mokre bokserki do kieszeni i założył koszulkę. Wrócił tą samą ścieżką, wsiadł do samochodu i pojechał z powrotem do miasta. Minął komendę i pojechał do szpitala. Z samochodu miasto wyglądało tak, jakby panował w nim chłód.

Zarząd zieleni miejskiej obsadził wejście do szpitala trzema palmami, ale przez przyciemnione szyby mercedesa Wintera drzewa zdawały się zamarzać w donicach.

Wszedł do sali i zobaczył Anetę. Zastygła, próbując sięgnąć po coś leżącego na stoliku. W jej oczach dostrzegł zdziwienie. Szybko podszedł do łóżka i z uśmiechem podał jej gazetę.

- Posiedzę tylko chwilę - powiedział. - Zaczekam, aż

najgorszy upał zelżeje.

#### 4

MAMY JUŻ TAM NIE BYŁO. Wołała ją, ale wujek powiedział, że mama niedługo przyjdzie, więc czekała, nic nie mówiąc. Było ciemno, a nikt nie zapalił lampy. Czemu jej nie zapala, skoro jest ciemno?, pomyślała. Siedziała na krześle przy oknie i chciało jej się siku, ale wstydziła się do tego przyznać, więc musiała wstrzymywać. Przez to było jej jeszcze zimniej.

Przez szparę w zasłonie widziała, że tuż za oknem rośnie las. Wiatr poruszał gałęziami. W środku nieładnie pachniało. Swędziała ją skóra pod bluzką. Mama powinna szybko przyjść.

Jeden wujek powiedział coś do drugiego, tego, który właśnie wszedł do domu. Przynęła się do ściany. Była głodna, ale bardziej dokuczał jej strach. Czemu, kiedy już stamtąd odjechali i kiedy te wszystkie straszne rzeczy już się skończyły, nie wrócili do domu? To jeden z wujków prowadził. Jeździł w tę i z powrotem pomiędzy domami, a potem inny wujek wyskoczył z samochodu i wyniósł ją. Wsiadli do drugiego samochodu i szybko odjechali. Kiedy odważyła się podnieść wzrok, rozejrzała się, ale mamy już nie było.

Mamo!, zawołała, ale wujek powiedział, że mama zaraz przyjdzie. Zawołała jeszcze raz, ale wujek bardzo się zdenerwował i ścisnął ją mocno za ramię. Był dla niej niemiły.

Plakała i trzymała się za ramię, siedząc z wujkiem na tylnym siedzeniu. Potem zasnęła i prawie się obudziła, kiedy się zatrzymali, a wujek wniósł ją do tego domu albo tego czegoś, co wyglądało jak dom.

To nie są prawdziwi wujkowie, pomyślała teraz. To panowie,

k którzy krzyczą i brzydko pachną. Słyszała ich i rozumiała, co mówią, kiedy nie mówili zbyt głośno.

- Co robimy z małą? - powiedział jeden z nich, ale nie słyszała, co odpowiedział ten drugi. Mówił niewyraźnie, jakby nie chciał, żeby go usłyszała.

- Musimy zdecydować jeszcze dzisiaj w nocy - powiedział ten, który mówił głośniej.

- Nie krzycz, kurwa, tak głośno - odpowiedział drugi.

Pomyślała, że to dziwne, że tak powiedział. Albo się krzyczy i wtedy zawsze jest się głośno, albo się mówi normalnie.

- Idziemy do kuchni.

- A mała?

- Co?

- Co z małą?

- O co ci chodzi? Dokąd niby miałyby uciec?

Nadal siedziała przy oknie. Poszli sobie. Usłyszała pohukującą w lesie sowę. Podciągnęła trochę zasłonę, żeby lepiej widzieć, i pod oknem zobaczyła krzak. Zobaczyła też samochód. Niebo nad drzewami było już jaśniejsze. Spojrzała w stronę pokoju, nie wypuszczając zasłony z ręki. Wyglądało to tak, jakby przez okno wpadł do pokoju promień światła. Jakby ktoś trzymał latarkę, która trochę słabo świeci, pomyślała.

Strumień światła padł na podłogę - coś leżało na środku pokoju. Kiedy puściła zasłonę, światło zniknęło i nie widziała już tego czegoś. Znow chwyciła zasłonę i strumień znow padł na podłogę. Zobaczyła coś, co wyglądało jak kawałek papieru. Puściła zasłonę i wstała z krzesła. Powoli ruszyła w tamtą stronę. Teraz widziała więcej niż przedtem.

Panowie rozmawiali gdzieś za ścianą. Miała wrażenie, że są daleko. Ukłękła i zaczęła po omacku szukać tego czegoś. Znalazła i wzięła do ręki - kawałek papieru. Schowała go w sekretnej kieszonce spodni. Tego dnia chciała założyć właśnie te spodnie: pod zwykłą kieszenią miały wszytą drugą,

tajną.

Podeszła z powrotem do krzesła przy ścianie i znów się na nie wdrapała.

W kieszeni mam sekret. Sekrety są zabawne i ciekawe, ale nie teraz. I tak się boję. A jeśli pan, który upuścił ten kawałek papieru, zacznie go szukać i zorientuje się, że to ja go zabrałam? Powinnam go odłożyć, pomyślała, ale w tym momencie panowie wrócili do pokoju i zaczęli się jej przyglądać. Widziała to, bo podeszli bliżej i jeden z nich ją podniósł, a drugi wyjrzał przez okno.

Pojechali. Starła się nie zasnąć, ale powieki same jej się kleiły. Kiedy się obudziła, było już jasno. Zastanowiło ją to i spytała, gdzie jest mama.

- Znajdziemy twoją mamę - powiedział pan, który siedział z przodu i prowadził samochód.

Zaczęła płakać, ale pan siedzący obok niej nie zwracał na nią uwagi. Nie miała żadnej przytulanki, bo swoją lalkę zgubiła, kiedy się przesiadali do innego samochodu. Gdzie jest moja lalka?, pomyślała.

## 5

JÖRAN QVIST, ŚWIADEK, oraz towarzyszący mu Halders i Bergenhem chodzili powoli wokół placu Kungstorget. Była jedenasta wieczorem i trudno było się przeciskać wśród setek ludzi. Na scenie występowała jakaś kapela. Halders pomyślał, że ich muzyka jest do dupy. Powiedział to Bergenhemowi, ale jego młodszy kolega udął, że nie słyszy. Próbował wychwycić z falującego wokół nich tłumy twarze poszczególnych osób.

Policjanci wraz ze świadkiem powoli zbliżali się do kanału, którym przepływał właśnie statek wycieczkowy. Z jednego z ogródków restauracyjnych słychać było dudniącą rockową muzykę. Gwar głosów rozbrzmiewał donośniej niż w wyżej



położonej części placu. W ustawionych wzdłuż murku setkach grilli głośno skwierczało. Ludzie tłoczyli się, jedni trzymali plastikowe kubki z piwem, inni próbowali nie upuścić papierowych talerzyków, z których jedli węgierskie langosze z czarnym kawiolem i kwaśną śmietaną. Większość zdawała się dobrze bawić.

- Co za kretyńska impreza - powiedział Halders. - Fast foody i drogi jak cholera pilzner w plastikowych kubkach. A do tego ścisk.

- Ludziom się podoba - odpowiedział Bergenhem. - Nie ma w tym nic złego.

- Jest do dupy - stwierdził Halders.

- Nie każdy musi mieć tak wyszukany gust jak ty - odparł Bergenhem.

- Co mówisz?

- Że nie każdy.

- Tam siedzą - powiedział Jöran Qvist.

Bergenhem zamilkł. Spojrzał na Qvistä, a on dyskretnym ruchem głowy wskazał stolik stojący nad brzegiem kanału. Jeden z reflektorów umieszczonych nad barem był skierowany na trzech mężczyzn. Siedzieli na ławach pod parasolem, przed nimi stały szklanki z piwem. Jaskrawe światło oświetlało ich jak na scenie. Co za aroganckie bydlaki, pomyślał Bergenhem. Jak oni śmiają?

Halders, o dziwo, się nie odzywał. Odwrócił się tylko do Qvistä.

- Jest pan pewien?

- Na sto procent.

- To tych trzech? Rozpoznał pan wszystkich?

- Tak, są ubrani tak samo. A ten mały ma tę samą czapeczkę baseballową.

- Dzwonimy po posiłki - powiedział Bergenhem.

- Jebać to.

- Fredrik.

Ale Fredrik Halders nie słuchał. Ruszył już w tłum, powoli, jak na zwykłym spacerze.

Porusza się jak płatny zabójca chwilę przed atakiem, pomyślał Bergenhem.

- Co teraz? - zapytał Qvist.

Bergenheim wymamrotał coś w odpowiedzi.

- Co?

- Nie mam pojęcia - odparł Bergenhem i zadzwonił do centrali. Opisał sytuację, po czym wetknął telefon do kieszeni koszuli. - Proszę zaczekać tutaj - powiedział i skierował się do stolika, przy którym siedzieli mężczyźni. Dzieliło go od nich może z dziesięć metrów, Halders był już w połowie drogi. Jeden z podejrzanych wstał, żeby pójść po kolejne piwa, ale zakolysał się i usiadł z powrotem, a pozostali zaczęli się śmiać.

Bergenheim cały się spocił. Już wcześniej było mu gorąco, ale teraz pot zalewał mu czoło, piekł w oczy. Czuł, że ma mokro pod pachami i w butach. Przetarł oczy i kiedy obraz znów się wyostrzył, zobaczył, jak Halders siada na ławie obok jednego z nich.

Siedział bez ruchu. Wyglądał, jakby był pochłonięty własnymi myślami. Bergenhem był ze trzy metry od stolika. Wreszcie dotarł i przysiadł obok Haldersa, zajmując ostatnie już miejsce na ławie. Qvist ruszył za nimi. Bergenhem widział, że siedzi dwa stoliki dalej, zwarty i gotowy, jakby się szykował do bitwy.

Halders był spięty. Bergenhem poczuł to, kiedy dotknął jego lewego ramienia. Halders spojrział na niego mętным wzrokiem.

Nie ruszali się. Bergenhem nie wiedział, czy Halders przysłuchuje się rozmowie, ale sam słyszał, co mówią do siebie mężczyźni.

- Czy wupał człowiek upija się szybciej?

- Niee.

- A właśnie, że tak. W upał szybciej się upijasz.
- Piwo się skończyło.
- A gdzie wódka?
- Też się skończyła.
- Napiłbym się jeszcze piwa - powiedział ten, który mówił o upale. Podniósł się. W tej samej chwili wstał też Halders, wyciągając z kieszeni portfel i pokazując legitymację.
- Policja - powiedział.
- Co?

Bergnhem też się podniósł.

- Policja - powtórzył Halders. - Chcielibyśmy, żebyście poszli z nami i opowiedzieli nam o wczorajszym wieczorze. Cała trójka.
- Co?

- Chcemy się dowie. - zaczął Halders, ale w tym momencie stojący przed nim mężczyzna kopnął go w nogę i rzucił się w lewo. Halders krzyknął, zwijając się z bólu. Dwaj pozostali podnieśli się od stołu i też próbowali się ulotnić, ale ludzie siedzący wokół odcięli im drogę. Jeden z mężczyzn odwrócił się do Bergnhemem i zamachnął się na niego, ale Bergnhem uchylił się i nadal twardo stał na nogach. Mężczyzna stojący przed nim zdawał się wypatrywać kolegi, który uderzył Haldersa i uciekł. Bergnhem spojrział kątem oka w bok i zobaczył Qvista pochylającego się nad czymś, co leżało na ziemi. Kurwa, pomyślał. Qvist to typ twardziela, ale będzie miał przez to kłopoty.

Mężczyzna stojący przed Bergnhemem nie ruszał się, jakby go sparaliżowało. Wyglądało to tak, jakby policjant zahipnotyzował go wzrokiem. Nie mogąc mrugnąć, pomyślał Bergnhem.

Ich nagłe, szybkie ruchy przyciągnęły uwagę większości siedzących wokół ludzi. Wokół policjantów i dwóch podejrzanych utworzył się krąg. Rockowa muzyka ucichła. Kapela przerwała w połowie akordu barré. Cały festiwal

wstrzymał oddech.

Jeden z podejrzanych przerwał ten bezruch i rzucił się do tyłu, przecinając pojedynczy rząd gapiów. Wskoczył do kanału i po chwili dało się słyszeć, jak płynie, rozchlapując wodę.

Ten, który stał przed Bergenhemem, usiadł z powrotem na ławie i, zwiesiwszy

głowę między nogami, zaczął wymiotować. Halders podszedł szybko do krawędzi kanału i zobaczył, jak mężczyzna niezdarnie płynie w kierunku rozświetlonego Teatru Wielkiego po drugiej stronie. Na uciekiniera padł snop światła z reflektora nad barem. Mężczyzna zatrzymał się i zaczął bezładnie wymachiwać rękoma. Uderzał o powierzchnię wody, a potem zaczął tonąć.

- Topi się! - krzyknął Bergenhem, ale Halders już zanurkował.

Skurczybyków w końcu aresztowano, a Halders przebrał się w suchą bieliznę. Stwierdził, że olewa, nie założy koszulki. Siedzieli na ławce przed komendą. Bergenhem już nie pamiętał, kiedy był tak zmęczony.

Na placu Ernsta Fontella panował spokój. Wszystkie furgony i wozy patrolowe były w terenie. Dochodziło wpół do czwartej rano, dwadzieścia trzy stopnie ciepła. Zaczęła się już druga połowa sierpnia, było więc ciemno, ale goręcej niż zazwyczaj o tej porze.

- Kiedy średnia dobową temperaturą przekracza dwadzieścia jeden stopni, klimat zalicza się do tropikalnych - rzucił Halders, przerywając długie milczenie.

- Skąd wiesz?

- Aneta tak mówiła, a ona przecież wie takie rzeczy - powiedział Halders.

Bergenhem odwrócił się w jego stronę, ale nie widział, czy Halders się uśmiecha. Spojrzał w niebo. Przejaśniało się już i słońce powoli zaczynało oświetlać fasadę budynku kasy

ubezpieczeń stojącego po drugiej stronie Smålandsgatan. Minęła ich taksówka. Przed komendę zajechał wóz patrolowy. Stał z wyłączonym silnikiem i włączonymi światłami, skierowanymi na drzwi.

- Czemu, kurwa, nie wyłączają świateł - powiedział Halders, wciągając powietrze.

Kierowca ponownie odpalił silnik i stał nadal. Po dwóch minutach Halders podniósł się i podszedł do auta stojącego przed ciemnym budynkiem komendy. Bergenhem usłyszał rozbrzmiewający głośno i wyraźnie w nocnej ciszy głos Haldersa.

- Co wy, do kurwy nędzy, wyprawiacie, pojeby?

Bergenhem usłyszał mrukliwą odpowiedź, a potem znów Haldersa.

- Co powiedziałaś? Tylko powtórz!

I kolejne mruknięcie.

- Wylaż z tego samochodu, gnoju!

Bergenhem podniósł się szybko, podbiegł do auta i złapał Haldersa. Właśnie miał przywalić pięścią w głowę policjantowi siedzącemu w samochodzie.

- Zwariował - stwierdził tamten.

Halders próbował się wyrwać z uścisku, ale Bergenhem był silniejszy.

- Do cholery, Fredrik!

- Mamy go zabrać? - zapytał policjant z samochodu. - Jest pijany?

Halders się uspokoił.

- Jest po prostu zmęczony - wyjaśnił Bergenhem. - To była ciężka noc.

- Znam go. Zawsze stwarza problemy.

- Stoję tu, możesz mówić do mnie.

Policjant nie odpowiedział. Był w mundurze, miał około pięćdziesiątki i wyglądał na poukładanego faceta. Zasalutował niedbale, po czym wsiadł z powrotem do

samochodu. Jego kolega siedział cicho na przednim siedzeniu, jakby spał.

- W Göteborgu tylko minutę możesz stać z włączonym silnikiem! - krzyknął Halders, kiedy samochód wykręcił i ruszył w kierunku Södra Vägen. Kierowca jedynie mu pomachał.

- Nie wyżywaj się na kolegach z pracy.

- Trzeba było coś zrobić - odparł Halders.

- Wcześniej jakoś udało ci się zachować spokój.

- Aneta jest tego warta - stwierdził Halders.

Bergnhem nic nie odpowiedział. Nic nie trwa wiecznie, pomyślał.

Trzy minuty później na ogólny numer alarmowy przyszło zgłoszenie. Po chwili trafiło do policjanta dyżurującego w komendzie, dokładnie dwadzieścia pięć metrów od miejsca, w którym nadal stali Halders i Bergnhem.

W pobliżu jeziora Delsjö znaleziono ciało zamordowanej kobiety. Lato się skończyło. Zaczynał się sezon. Telefon Wintera rozdzwonił się na nocnej szafce. Był czwartek, osiemnasty sierpnia, czwarta rano. Winter podniósł słuchawkę.

## 6

WINTER ZOBACZYŁ NIEBIESKIE ŚWIATŁA, kiedy już dojeżdżał do wzgórza przy zjeździe na Delsjömotet. Kręcał się po zachodnim brzegu. Brakuje tu tylko helikoptera, pomyślał.

Przejechał pod wiaduktem, minął parking i restauracje, w których mieszkańcy Kallebäck spędzali wolny czas. Skręcił w prawo i dojechał do tunelu pod trasą na Borås. Zatrzymał się przy wyasfaltowanym wjeździe na parking, tak daleko od miejsca znalezienia zwłok, jak tylko mógł. Widział pracujących kawałek dalej kolegów. Już było ich tam zbyt wielu. Dwóch techników i pełniący obowiązki szefa wydziału

technicznego. To akurat było w porządku. Lekarz sądowy - też w porządku, ale ekipa śledczych była zbyt liczna, a już na pewno kręciło się tam za dużo ciekawskich ze służb porządkowych. Ilu z nich przed jego przyjazdem wydeptało ślady wokół ofiary?

Umundurowany policjant czekał przy taśmie oddzielającej teren. Był młody i blady. Winter pokazał mu legitymację. Wyciągając portfel z kieszeni, poczuł ciepły powiew południowego wiatru. Dzień już się zaczął.

- Czy to ty byłeś tu pierwszy?

- Tak. Dostaliśmy zgłoszenie i natychmiast przyjechaliśmy.

- A ten facet, który dzwonił? Jest tu?

- Tak, siedzi tam dalej - powiedział policjant, ruchem głowy wskazując jakiś punkt w mroku.

W nikłym świetle brzasku Winter dostrzegł zarys głowy odcinający się na tle jaśniejszego porannego nieba. Przy wjeździe na parking stał znak drogowy zakazujący rozstawiania przyczep kempingowych.

- Czy wszystko zostało otoczone taśmą? - zapytał Winter.

- Tak.

- W porządku. A co z samochodami?

Na parkingu stało pięć samochodów prywatnych, dwa radiowozy i dwa nieoznakowane auta policyjne, którymi przyjechali technicy i ich szef.

- Co?

- Zająłeś się samochodami?

- Zająłem?

- Czy spisałeś ich numery, oddzieliłeś teren wokół nich i zacząłeś sprawdzać właścicieli? - powiedział Winter tak łagodnie, jak tylko potrafił.

- Jeszcze nie.

- To zacznij. Pozostali chyba też potrzebują czegoś do roboty

- stwierdził Winter

i spojrzał na świadka.

- Był tu ktoś jeszcze, kiedy przyjechaliście?
- Tylko ten tam.
- Nie widzieliście nikogo, kto by stąd odjeżdżał?
- Nie.

Nagle Winter poczuł, że robi mu się zimno, jak gdyby dopiero teraz do niego dotarło, po co tu przyjechał i co za chwilę zobaczy. Pomyślał, że może zapali cygaro, ale zrezygnował. Potrzebował kawy. Znów zawiął wiatr i Winter poczuł gęsią skórę na udach. Miał na sobie szorty i puszczone luźno koszulę.

- Gdzie jest ścieżka?

Młody policjant nie rozumiał. Winter się rozejrzał. Wszystko działo się jakieś pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów dalej. Trudno było zobaczyć, co tam się rozgrywało. Podniósł rękę. Ktoś z ekipy go zauważył i podszedł.

- Dopiero co przyjechałem - powiedział komisarz Göran Beier. - Leży tam dalej.

Winter poszedł za nim. Przecięli parking, przeszli między dwoma samochodami, skręcili w lewo i idąc ostrożnie szeroką ścieżką, dotarli do rowu, częściowo przesłoniętego sosną i kilkoma brzoźami. Na ścieżce przecinającej zagajnik technicy wydzielili swoją ścieżkę - wąską i już zabezpieczoną, po której wszyscy mieli chodzić.

Winter usłyszał odgłos silnika samochodu i rozejrzał się. Zobaczył snop świateł, właściwie już niepotrzebnych, bo niebo było jasne. Z samochodu wysiadł Ringmar - musiał przesłuchać świadka.

Winter odwrócił się w stronę rowu. Na jego dnie, za sosną, leżała kobieta, zwrócona twarzą do góry. Podszedł, by przyjrzeć się jej z bliska. Mogła mieć ze dwadzieścia, trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Wyglądała na blondynkę, ale trudno było to stwierdzić, ponieważ włosy miała mokre od porannej rosy. Miała na sobie krótką spódnicę, bluzkę i kardigan czy inny sweter. Ubrania nie były



w nieładzie. Wpatrywała się w blade niebo. Winter pochylił się jeszcze niżej i zauważył małe czerwone plamki na uszach ofiary i popękane naczynka w jej otwartych oczach. Domyślał się, że została

uduszona, ale nie był ekspertem. Było już dość jasno i dostrzegł, że twarz ma siną i mocno spuchniętą. Zęby były odsłonięte, jakby chciała coś powiedzieć.

Technicy od razu zadzwonili po lekarzkę sądową. Według Wintera był to dobry pomysł, ale wiedział, że Ringmar tego nie lubi. Uważał, że na miejscu znalezienia zwłok, a zatem na potencjalnym miejscu przestępstwa, lekarka może się niepotrzebnie czymś zasugerować. Ringmar sądził, że po raz pierwszy powinna widzieć ciało na stole, w prosektorium.

Winter skinął w kierunku stojącej na dnie rowu Pii E:son Fröberg. Wpatrywała się właśnie w termometr. Wyglądało to tak, jakby martwa kobieta czekała na poradę lekarską. Oczy ofiary przyciągnęły wzrok Wintera. Wydawało mu się, że przestała patrzeć w niebo i zaczęła się przyglądać rutynowym ruchom Pii. Jest w dobrych rękach, pomyślał. Jej ciało jest w dobrych rękach.

Rozejrzał się dookoła. To najważniejszy moment dochodzenia. Ciało leżało w pobliżu znaku KABEL WYSOKIEGO NAPIĘCIA. ZAGROŻENIE ŻYCIA. Za rowem rosnący na mchu niski zagajnik robił się coraz gęstszy, właściwie nie do przejścia. Drzewa i krzewy, jeszcze bezbarwne, kołysały się w porannej mgle. Rów ciągnął się z lewej strony, tuż obok długiej na siedem i pół kilometra ścieżki okalającej całe jezioro i będącej częścią szlaku turystycznego Bohusleden. Na prawo od ścieżki ciągnął się brzeg. Woda połyskiwała delikatnie między brzoźowymi gałęziami. Winter widział też przeciwległy brzeg. Jezioro przypominało język wciśnięty w teren. Nad wodą unosiły się smugi mgły. Słysząc było skrzekliwy głos nurów i innych wodnych ptaków, których Winter nie umiał rozpoznać.

Nagle zapadła cisza. Wszystko umilkło, słyszał jedynie stłumiony szum nielicznych samochodów jadących w stronę Borås. Poranny ruch jeszcze się nie zaczął.

Ktoś coś do niego powiedział.

- Co?

- Czy to nie było

- Osiem do dziesięciu godzin - powiedziała Pia E:son Fröberg. pierwsze pytanie?

- Jeszcze go nie zadałem.

, bo wskutek

- Tak czy inaczej, masz już odpowiedź. To nie do końca pewne upału stężenie postępuje szybciej.

- Aha.

- Właśnie próbuję jakoś to ustalić.

Winter ponownie spojrział w twarz martwej kobiety. Była okrągła, zaokrąglona.

Oczy szeroko osadzone, usta duże. Włosy długie, jakby od dawna nieobcinane, ale Winter nie był pewien. To chyba zależy od wieku, może też od mody.

- Nic przy sobie nie ma - powiedział stojący obok Wintera Beier. - Zupełnie nic. Żadnego dowodu ani legitymacji, nic.

Winter zamrugał, porażony światłem flesza z aparatu techników. Skończyli robić zdjęcia terenu i mieli się zabrać do fotografowania ciała podczas obdukcji. Kolejną sesję miał wykonać zawodowy fotograf w laboratorium, uwieczniając każdą sztukę odzieży, każdy palec, wszystko.

Znów błysnęło na dnie rowu. Winter był zaskoczony, że światło lampy jest takie mocne, chociaż dookoła jest już jasno.

- Myślę, że ktoś ją tutaj przeniósł - powiedziała Pia E:son Fröberg. - Ciało nie leżało tu tak długo.

Winter skinął głową. Na razie nie było sensu pytać o nic więcej. Później, w prosektorium, Pia zbada plamy opadowe. Najważniejsze to zabezpieczyć wszystkie ślady tu, na miejscu.

Założyli, że kobietę zamordowano gdzie indziej, a potem przeniesiono do rowu. Ktoś musiał się zatem tutaj poruszać. Nie wiadomo, kim była. To nie przypadek, że nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Winter wiedział, czuł to. Jej anonimowość miała jakieś znaczenie, sama w sobie była swego rodzaju przerażającą wiadomością. Zidentyfikowanie jej zajmie im dużo czasu. Winterowi znowu zrobiło się zimno, poczuł, jak chłód przeszywa mu głowę.

- Co to za znak, tam, na sośnie? - zapytał Beiera.

- Nie wiem.

- To leśnicy go zrobili?

- Mówiłem, że nie wiem. Ktoś coś namalował na korze.

- To czerwona farba?

- Tak wygląda, ale przy tym świetle.

- Tam jest coś napisane. Co? - zapytał Winter, ale pytanie skierował do siebie. Próbował odcyfrować znak, jakieś słowo lub chociaż litery, ale mu się nie udało.

- Weźmiemy próbkę - powiedział Beier.

- Ja zapytam nadleśnictwo albo gminę, albo jeszcze kogoś innego, kto może niszczyć tutejsze lasy - odparł Winter. - Mogę pójść dalej tą ścieżką?

Beier spojrział na jednego ze swoich techników.

- Można iść środkiem - odpowiedział tamten.

Winter ruszył w kierunku brzegu jeziora. Ciągający się z lewej strony rów kończył się parę metrów dalej. Minął kilka innych sosen, ale z tego co widział, na żadnej z nich nic nie było namalowane. To musi coś oznaczać, pomyślał. Morderca, który maluje po ścianach czy innych drzewach. To mi się nie podoba.

Dotarł do niewielkiej polany. Rosła na niej osobiwie wygięta sosna. Pogięta i połamana. Uszkodzona jeszcze jako młode drzewko, wyrosła naznaczona nieodwracalnym kalectwem.

Winter spojrział na wodę. Wokół nic się nie ruszało, nie było też już słyhać ptasich śpiewów. Czy przez całą dobę nie było

tu żadnego wędkarza? Czy nikt tędy nie przepływał? Czy morderca dotarł tu łódką, zostawił ofiarę i zniknął?

- Sprawdźcie cały brzeg - powiedział, kiedy wrócił. - Może przywieziono ją tu łodzią.

- Może masz rację - przytaknął Beier.

Winter skierował się na parking. W oddali, na ogrodzeniu, widać było szyld okręgowego Klubu Wędkarskiego, informujący o tym, że na terenie Delsjö łowić mogą tylko osoby posiadające kartę wędkarską. Trzeba będzie sprawdzić wszystkich, którzy mają karty.

Na lewo stała tablica i mapa rezerwatu przyrody i terenu chronionego. Winter widział z dołu samochody na trasie, słyszał, że ruch się nasila. Jeszcze raz powoli podszedł do brzegu i zobaczył znak przestrzegający przed kruchym lodem na jeziorze.

Po dwóch godzinach ekipa badająca miejsce zbrodni zakończyła działania wstępne. Było jeszcze wcześniej. Technicy zakleili przezroczystą taśmą wszystkie otwory w ciele ofiary i czekali na ludzi z zakładu pogrzebowego. Kiedy w końcu przyjechali, zapakowali ciało do plastikowego worka, ułożyli na noszach i odwieźli na oddział histopatologii do szpitala Östra. Wkrótce miał zostać otwarty nowy oddział medycyny sądowej w szpitalu akademickim Sahlgrenska, ale na razie to szpital Östra zajmował się ofiarami zbrodni.

Ciało kobiety leżało teraz na nierdzewnym stole. Lampy zastąpiły jej światło dnia, które Winter widział, jadąc za karawanem.

To w ten sposób śmierć się dopełnia - w świetle reflektorów kobieta umarła po raz drugi. Kiedy leżała w tym pieprzonym dole, była jeszcze na tym świecie, pomyślał

Winter, ale teraz już jest po wszystkim. Na jej twarz pada teraz to obsceniczne światło, a skóra jest napięta i przezroczysta.

Pia E:son Fröberg i dwaj technicy, Jonas Wall i Bengt Sundlöf, zaczęli rozbierać ciało. Nie zdjęli tylko taśmy zabezpieczającej ewentualne ślady, które morderca mógł zostawić przy bliskim kontakcie z ofiarą: włosy, włókna ubrań, skórę, kurz, kamień.

Göran Beier mówił cicho do dyktafonu, podczas gdy oni ją rozbierali. Na taśmę nagrywały się jego uwagi dotyczące ubrań, ich wyglądu, stanu, uszkodzeń. Technicy ostrożnie odkładali każdą sztukę do papierowej torebki.

Kiedy ciało było nagie, Pia E:son rozpoczęła oględziny. Technicy robili zdjęcia. Pia E:son nagrywała na dyktafon spostrzeżenia dotyczące wszystkich widocznych uszkodzeń. Winter słyszał, jak opisuje ślady na rękach ofiary, które powstały, kiedy kobieta broniła się przed napastnikiem, i które on sam zauważył. Widział też punktowe krwiaki, które pojawiły się, kiedy była duszona - ciśnienie krwi musiało się podnieść, naczynia krwionośne w głowie zostały odłączone, kość gnykowa złamana, aż w końcu ofiara zmarła. Jeśli to rzeczywiście była przyczyna zgonu. Pia opisywała teraz uszkodzenia gardła. Kobieta miała na sobie golf. Pod nim, na szyi, widać było wyraźne siniaki.

Na brzuchu, piersiach i na przedniej stronie ud miała białe plamy. Kiedy ją znaleziono, leżała na plecach. Oznaczało to, że przeniesiono ją tam po zabójstwie. Winter nie wierzył, że to samobójstwo, że ktoś tylko przeniósł zwłoki. Chociaż, dlaczego nie? Mogło być i tak.

Pewne było tylko, że kobieta umarła, a potem leżała przez co najmniej godzinę na brzuchu. Krążenie w jej ciele ustało, krew opadła do najniższej położonych części ciała, a ściśnięte naczynia pozostawiły plamy, które nadal bieliły się w świetle lamp prosektorium.

Technicy pobrali odciski palców.

Pia E:son przystąpiła do dalszych oględzin, o które poprosił Göran Beier, a za które trzeba było dodatkowo płacić. Winter

słyszał grające gdzieś w oddali radio, muzyki nie dało się rozpoznać. Dźwięki wpadały do sali przez drzwi, ale Winter nie spuszczał wzroku z leżącego na stole ciała. Miał nadzieję na jakiś szczególny znak, który ułatwiłby im identyfikację: tatuaż, bliznę po oparzeniu lub po operacji, kolczyki. Ale widział tylko gładką, sinawą skórę naznaczoną białymi plamami. Na razie nie czuł jeszcze żadnego zapachu.

- Nigdy nie farbowała włosów - powiedziała Pia E:son.

Winter nie odpowiedział. Patrzył na twarz martwej kobiety. Próbował wyobrazić ją sobie w ruchu, kiedy funkcjonowały jeszcze wszystkie umieszczone pod skórą nerwy.

Kiedy działało to, czego trzeba, by się uśmiechnąć, zrobić grymas.

- Ile miała lat? - zapytał.

- W tej chwili myślę, że około trzydziestu, ale musisz poczekać. Może była o parę lat młodsza lub starsza. Cerę ma bardzo dobrą, żadnych zmarszczek wokół ust i oczu.

- Żadnych zmarszczek od śmiechu?

- Może nie miała się z czego śmiać - powiedziała Pia E:son Fröberg, a Winter przez chwilę zastanawiał się, czemu rzuciła taki komentarz. - Ale jej smutki już się skończyły. Chcesz zostać przy sekcji?

- Tak, zostanę jeszcze chwilę - odparł Winter.

- Ja już idę - powiedział Beier, spoglądając na Wintera. - Zadzwoń do ciebie.

Winter przytaknął. Jego wzrok znów powędrował w kierunku twarzy ofiary. Teraz, kiedy zamknięto jej oczy, wyglądała na starszą. Lampy rzucały na jej ciało pionowe cienie, światło przeszywało ją na wskroś.

Pia E:son obejrzała organy wewnętrzne, odłożyła zawartość żołądka, pobrała próbkę moczu oraz próbkę krwi z tętnicy udowej. Winter wyszedł na chwilę z prosektorium, żeby zadzwonić do Ringmara.

- Czemu jeszcze tam jesteś? - zapytał Ringmar.

- Myślałam, że może sekcja pomoże nam w identyfikacji.
  - Tak, możliwe. Ludzie się tatuują i zakładają sobie kolczyki w najdziwniejszych miejscach. Znalazłeś coś?
  - Nic, tylko nieumalowaną twarz.
  - Co?
  - Nie miała makijażu.
  - Czy to coś wyjątkowego w dzisiejszych czasach?
  - To zależy, w jakich kręgach się obracasz. W lepszym towarzystwie to możliwe, ale nie wydaje mi się, żeby do takiego należała.
  - Co masz na myśli?
  - Wygląda na biedną. Ubrania tanich marek i takie tam. Chociaż to może nie do końca tak.
  - Co mówi Beier?
  - Jeszcze nic.
  - Ja mam kogoś, kto mówi trochę więcej.
- Winter przypomniał sobie sylwetkę, którą widział na parkingu. Rozmawiał chwilę ze świadkiem, ale potem przekazał przesłuchanie Ringmarowi, a sam dołączył do konduktu przewożącego zwłoki do szpitala.
- Co powiedział?
  - Jest właścicielem jednego z samochodów z parkingu.
  - Co tam robił o czwartej rano? Umiał to wyjaśnić?
  - Mówi, że był na imprezie w Helenevik i wypił o jedno piwo za dużo. Bał się wjeżdzać do miasta, więc zdecydował się zatrzymać na parkingu przy jeziorze i przespać w samochodzie.
  - Kretyńska historyjka złodzieja. Mnie też zdążył ją sprzedać, przynajmniej część.
  - Twierdzi, że to prawda.
  - Robiliście mu test alkomatem?
  - Tak szybko, jak się dało, ale nie miał więcej niż dwie dziesiąte promila. Pił, ale nie aż tyle.

- Dobra. Co jeszcze mówił? Co widział?
- Siedział chwilę w samochodzie i zachciało mu się sikać. Odszedł kawałek i wtedy ją zobaczył.
- Jak?
- Mówi, że zanim się wysikał, zauważył coś dalej w rowie. Podszedł i zobaczył ciało. Miał przy sobie telefon i natychmiast do nas zadzwonił.
- Musimy sprawdzić jego ogłoszenie.
- Jasne.
- O której to było?
- Kiedy dzwonił? Mniej więcej za kwadrans czwarta. W centrali mają dokładną godzinę.
- Widział coś jeszcze?
- Mówi, że nic. I nikogo.
- A co z innymi samochodami?
- Sprawdzamy to jeszcze.
- Przesuwamy poranne spotkanie o pół godziny.
- Chcesz, żeby wszyscy przyszli?
- Tak. Wszyscy.

Winter wrócił do prosektorium. Kobieta leżąca na stole nadal była bezimiennym ciałem. Zazwyczaj ofiary morderstw mają jakieś imię, które, kiedy jest już po wszystkim, może spoczywać w pokoju i które zostaje ich bliskim. Teraz przestrzeń między lampami a niemy ciałem wypełniał niepokój.

- Zęby wyrównane - powiedziała Pia E:son. - Trochę przebarwione, ale w dobrym stanie.
  - Mamy szanse, tylko jeśli ktoś zgłosił jej zaginięcie - stwierdził Winter. - Chciałbym dostać protokół z sekcji tak szybko, jak się da. Dzięki.
  - Jak zwykle.
  - Odwalasz kawał dobrej roboty, Pia.
  - Jak słyszę taką gadkę, nabieram podejrzeń.
- Winter nic już nie powiedział. Podszedł do drzwi. Suche



powietrze wypełniające salę sprawiło, że zachciało mu się pić i poczuł się zmęczony.

- Erik, co robisz dziś wieczorem? - zapytała Pia, kiedy był już na progu.

Przystanął i spojrział na nią. Sprzątała stół.

- Myślałem, że znów wyszłaś za męża.

- Nie udało się. Znowu.

- Nie wydaje mi się, żeby.

- Nie - stwierdziła, zanim skończył. - Masz zupełną rację.

Pytałam głównie po to, żeby ci powiedzieć, że nie powinienesz za bardzo balować teraz, na początku śledztwa. Wszyscy musimy oszczędzać siły.

- Wieczorem pójdę spać i może porozmawiam z Angelą o przyszłości - odpowiedział na nieaktualne już pytanie. - I będę o niej myślał. Jest u mamy.

- Jeszcze jedno - powiedziała Pia E:son. - Kolejna rzecz do przemyślenia. Urodziła dziecko.

- Ma dziecko? - powtórzył Winter.

- Nie wiem, jak to wygląda teraz, ale urodziła. Jedno, może więcej.

- Kiedy?

- Nie mogę ci powiedzieć, jeszcze nie teraz. Ale widać po jej.

- Nie musisz mnie wprowadzać w szczegóły, przynajmniej nie teraz - przerwał

Winter.

W głowie poczuł pulsowanie. Możliwe, że gdzieś tam są jej dzieci. To mogło pomóc w śledztwie albo skończyć się frustracją. Może nawet czymś gorszym.

DYŻURNY WACHLOWAŁ SIĘ podwójnie złożonym formularzem, prawdopodobnie drukiem „Poszlaki w śledztwie w sprawach karnych dot. ciężkich przestępstw”.

Papiery walały się wszędzie dookoła. W najbliższych dniach na biurko Wintera miały trafić stosy takich druków, wypełnionych zeznaniami tych, którzy nie wiedzieli albo „być może” wiedzieli.

W nagrzanym słońcem korytarzu czuć było zapach potu, w znajdującej się po lewej poczekalni śmierdziało kaczkiem. Jakiś żartowniś tuż obok ogłoszenia zachęcającego do wstępowania w szeregi policji kryminalnej powiesił obrazek przedstawiający plażę z palmą. Tuż pod nim nieznany mu mężczyzna spał z otwartymi ustami. Z kącika spływała mu strużka śliny, ciągnęła się aż do oparcia obitej materiałem sofy. Wyglądało to jak jakaś sztuczka. Mógłby zrobić z tego przedstawienie, pomyślał Winter, wchodząc do windy. Wjechał na trzecie piętro, do swojego biura.

Wszedł i szybko przetarł twarz, przeciągając rękami po zaroście na brodzie i policzkach. Zmęczenie minęło, kiedy wracał ze szpitala Östra. Adrenalina uszła z niego wraz ze strugami potu spływającymi po plecach. To nie było zwykłe morderstwo.

Wiedział to podświadomie. Czuł to napięcie, które być może będzie mu towarzyszyć miesiącami.

Przeszedł znowu korytarzem, idąc do wspólnej kuchni, w której pachniało świeżo zaparzoną kawą. Napełnił kubek i stał przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w poranek za oknem. Druga fala dojeżdżających do pracy wypływała właśnie z Ullevimotet. Strumień samochodów rozdzielał się, wpadając w Ullevigatan i Skånegatan. Winter słyszał uliczny szum. Termometr za oknem pokazywał dwadzieścia siedem stopni, a zegar wskazywał dopiero dwadzieścia po ósmej. Winter wiedział jednak, że dla niego sezon plażowy się skończył.

W sali konferencyjnej było pełno ludzi. Niektórzy - ci siedzący tam od początku

- wyglądali na zmęczonych. Pozostali czekali niecierpliwie,

rozparci na krzesłach. W innych okolicznościach nastrój panujący w pokoju można by określić jako wyczekiwanie, ale w tej sytuacji nie było to odpowiednie słowo. Ringmar napisał na białej tablicy: WIZUALIZACJA MORDERSTWA. Winter stał z długopisem w rękę, próbując w myślach znaleźć słowo pasujące do atmosfery spotkania. Atmosfera była pusta, jak niezapisana kartka. Miał nadzieję, że uda im się zachować na tyle profesjonalnie, żeby nie popełnić zbyt wielu błędów na początku. Za każdym razem czuł to samo.

Zatem widzimy się ponownie po letnim wypoczynku, pomyślał.

Napisał na tablicy: X.

- Mamy niezidentyfikowaną kobietę. Około trzydziestu lat, prawdopodobnie uduszona, znaleziona między trzecią trzydzieści a trzecią czterdzieści pięć dziś rano przez mężczyznę, którego będziemy jeszcze przesłuchiwać przed południem. W obecnej chwili nie mamy wobec niego żadnych podejrzeń, ale, jak wiecie, nigdy nie wiadomo.

- Jak złożył zawiadomienie? - zapytała Sara Helander. - Trafiło do nas od razu. Musiał mieć przy sobie komórkę.

- Tak, miał - odpowiedział Ringmar.

- Jak wszyscy teraz - dorzucił Halders.

- Czy możemy kontynuować? - spytał Winter i zamilkł, wpatrzony w X na tablicy. Zaczął rysować i jednocześnie mówił: - Znaleziono ją tutaj. - Zakreślił kółkiem miejsce, w którym leżały zwłoki. - Później dokładniej przyjrzymy się mapie, na razie naszkicuję wam tę okolicę. Jeśli pojedzie się dalej starą drogą na Borås, minie się przejazd pod autostradą i dojedzie do skrzyżowania, z którego odchodzi droga na Helenevik i Gunnebo, ale o tym za chwilę. Tak więc kobietę znaleziono tutaj - powtórzył, wskazując narysowane kółko. - W rowie, za którym ciągną się gęste zarośla, dochodzące do ulicy Kalvmossen, która łączy się z Gamla Boråsvägen. - Narysował boczną ulicę odbiegającą od J.A. Fagerbergs Väg.

- Tam przecież jest nasz dom letniskowy - stwierdził Halders.
  - Tak - powiedział Winter. - Jak pewnie większość z was wie, kawałek dalej, przy tej drodze, znajduje się policyjny ośrodek sportu i rekreacji.
  - Tam wyprawiałem czterdzieste urodziny - dodał Halders.
  - Nie mieli tam wczoraj jakiejś imprezy?
  - Ci z biura kontroli urządzili tam małe przyjęcie, wczesnym wieczorem - powiedział Ringmar.
  - Jak wczesnym? - zapytał Möllerström.
  - Ostatnia osoba odjechała około czwartej - powiedział Ringmar. - Pewnie taksówką.
  - Co do. - zaczął Halders, ale Ringmar mu przerwał.
  - Przesłuchamy pracowników ośrodka.
  - To chyba nie dalej niż sto metrów od tego rowu? - zapytał Bergenhem.
  - Racja - odpowiedział Winter. - W każdym razie nikt nie korzystał ze strzelnicy.
  - Czy tam obok nie ma przypadkiem hodowli psów? - spytał Halders.
  - Tak, jest. Tuż za skrzyżowaniem. Tam też zrobimy przesłuchanie.
  - Będziemy przesłuchiwać psy? - zapytał Halders z niewinną miną.
  - Jeśli będzie trzeba - odparł Winter. - Przy tej drodze stoi kilka budynków. Strzelnica klubu Örgryte kilkaset metrów dalej, klub golfowy Delsjö i ośrodek treningowy klubu GAIS. A przy skrzyżowaniu Gamla Boråsvägen z Frans Perssons Väg jest więcej domów mieszkalnych. O, tutaj - powiedział, rysując na tablicy kilka kwadracików.
  - Czyli mamy tam bandę przypadkowych glin - stwierdził Halders.
- Winter nie odpowiedział. Skończył szkicować i z powrotem odwrócił się do zgromadzonych.

- Miejsce znalezienia zwłok nie jest miejscem zbrodni. Ofiara została przeniesiona do rowu, w którym ją znaleźliśmy, co najmniej godzinę po tym, jak ją zabito. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, nie żyła od ośmiu do dziesięciu godzin. Na razie tyle. Czekam na protokół z sekcji.

- Przemoc seksualna? - zapytał Halders. Mimo trudnej nocy czuł się wypoczęty. Udało mu się pospać parę godzin i to wystarczyło.

- Jeszcze nie wiemy. Ale ubrania raczej nie były w nieładzie, a Pia E:son nie zauważyła żadnych wyraźnych oznak gwałtu.

- Inni świadkowie? - zapytał Janne Möllerström, asystent Wintera, skrupulatny inspektor kryminalny, dbający o to, by wszystkie materiały ze śledztwa trafiły do bazy komputerowej.

- Właśnie tym będziemy się teraz zajmować - odpowiedział Winter. - Ale jak dotąd nikt nie zgłosił się dobrowolnie, nie licząc tego kolesia, który czeka piętro niżej.

- Pracujemy nad czterema samochodami - dodał Ringmar.

- Dwa z nich zgłoszono jako skradzione.

- To dobrze - powiedział Lars Bergenhem i wszyscy zrozumieli, o co mu chodzi. Skradziony samochód mógł być poszlaką łączącą miejsce znalezienia zwłok z miejscem zbrodni.

- Dziś przeszukamy samochody - stwierdził Ringmar.

- A co mówią właściciele? - zapytała Sara Helander.

Winter spojrzał na nią. Weszła w skład jego głównego zespołu w czasie tego ostatniego trudnego dochodzenia. Chciał, żeby została na stałe, a nie jako pracownik wypożyczony z grupy zwiadowczej.

- Dwoje było bardzo zadowolonych, że znaleźliśmy ich auta. Tak przynajmniej mówią. Dwoje pozostałych musi nam wyjaśnić, skąd się tam wzięły ich samochody.

- Przede wszystkim dlaczego zatrzymali się właśnie tam - powiedział Halders.

- Otóż to - dodała Veine Carlberg. - Po co ktoś parkuje na takim zadupiu, po co zostawia tam samochód na noc?
  - To właśnie zbadamy - powiedział Winter.
  - Miała jakieś obrażenia wskazujące na to, że się bronila? - zapytała Sara Helander, spoglądając na dwa zdjęcia, które trzymała w ręku. - Trudno cokolwiek zobaczyć na tych zdjęciach.
  - Wygląda na to, że walczyła o życie - odparł Winter. - Ma obrażenia na przedramionach, chyba że powstały potem.
- musimy poczekać na protokół z sekcji. Tu są zdjęcia z obdukcji - powiedział, wręczając jej gruby pakiet. - Tu je widać.
- Czyli niezidentyfikowana - wymamrotał Halders.
  - Urodziła dziecko - powiedział Winter. - To może nam pomóc.

Nikt tego nie skomentował. Wielu spośród obecnych zdawało się o czymś myśleć. Winter przyjrzał się twarzom zgromadzonych i zaczął przydzielać zadania. Chciał, żeby poranne zebranie było krótkie. Dziś to praca w terenie mogła okazać się najważniejsza dla całego śledztwa.

Wyzначyl już ludzi, którzy mieli się zająć przeglądaniem rejestru osób zaginionych. To rutynowe postępowanie: policja, przyjmując zgłoszenie o zaginięciu, dostaje również informację o dentyście, u którego leczyła się zaginiona osoba. Mogą się z nim skontaktować i dostarczyć kartę pacjenta odontologowi z zakładu medycyny sądowej. To najszybszy sposób identyfikowania ofiar. Odontolog prześwietla zęby ofiary i porównuje z danymi z karty. Czasem wystarczy tylko porównać informacje z karty ze stanem uzębienia.

Winter czekał na wiadomość. Oczywiście pobrali próbki DNA.

Śledztwo ruszyło - zaczęli przeglądać własną bazę i wpisywać w wyszukiwarkę rysopis. Wszystko zależało od tego, jakimi danymi nakarmią komputer.

Musieli przejrzeć krajowy rejestr karny. Istniała szansa, że kobieta była wcześniej zatrzymana i aresztowana, może skazana, i że jej odciski palców pomogą znaleźć mordercę. Szansa była jednak niewielka.

Musieli również wpisać ją jako poszukiwaną w policyjnym systemie SPAN. Jakiś policjant mógł ją przecież rozpoznać na zdjęciu umieszczonym na piątej lub siódmej stronie wychodzącej co tydzień gazety. Przed Winterem, na biurku, leżało zdjęcie, na którym nie było za bardzo widać, że kobieta nie żyje. Wygląda, jakby wciąż należała do tego świata, jakby tylko spała, pomyślał.

Mogli mieć nadzieję, że ktoś jej szuka. Nie mogli jednak siedzieć beczynnie, czekając, aż ten ktoś sam się zgłosi.

Winter zaczął myśleć o ofierze jako o matce.

Powinni zapukać do wszystkich domów znajdujących się w pobliżu miejsca znalezienia zwłok. Będą też musieli znaleźć roznosiciela gazet i wszystkich, którzy mogli tamtędy przechodzić lub przejeżdżać w nocy.

Trzeba też będzie sprawdzić taksówkarzy. To zadanie przydzielono Haldersowi. Skrzywił się, chociaż uwielbiał samochody. To bez sensu, pomyślał, ale nie odezwał się.

- Wiem, że myślisz, że to bez sensu, ale trzeba to zrobić - powiedział Winter.

- Tym razem może być inaczej - odrzekł Halders. - Na pewno były jakieś kursy z ośrodka rekreacyjnego. Ale, cholera, taksjarze nigdy się do nas nie zgłaszają i nigdy niczego nie widzą. Kiedyś było lepiej.

Kiedyś było lepiej, pomyślał Winter. Kiedyś wystarczyło zadzwonić do centrali miejskiego przedsiębiorstwa taksówkowego, a oni przekazywali kierowcom wiadomość, żeby „ci, którzy mieli zmianę w nocy, zadzwonili do Wintera”. Wtedy śledczym łatwiej się pracowało.

- Wolny rynek przewoźników utrudnia nam robotę - powiedział Halders. - Te wszystkie nowe firmy... ile jest tych

z białymi samochodami albo, cholera, tych z czarnymi, żółtymi czy zielonymi. Ilu z tych pieprzonych kierowców urząd imigracyjny powinien wziąć pod lupę? Nigdy się do nas nie zgłaszają, i tyle.

Winter odwrócił się w kierunku stołu, ale Halders ciągnął dalej:

- Na przykład to morderstwo zeszłej wiosny na Ramberget. Ilu taksiarzy przewinęło się tamtej nocy przez okolicę? Dwudziestu? Trzydziestu? Ilu z nich się do nas odezwało? Żaden! - Rozejrzył się. Czy oni go słuchają?

Urząd imigracyjny, pomyślał Winter. Kobieta mogła być cudzoziemką. Trzeba przejrzeć akta w urzędzie. No i Interpol. Spokojnie, Winter. Spojrzył na strzałki i cyfry na tablicy. Nie mieli właściwie nic. Byli w punkcie wyjścia.

Była jedenasta. Siedzieli w biurze Wintera. Winter palił przy otwartym oknie, ale było tak gorąco, że nie robiło to żadnej różnicy. Dym unosił się, rozpełzał pod sufitem, po czym opadał na nich obu. Ringmar zakasłał. Winter odłożył cygaro.

- A więc witaj, tym razem na poważnie - powiedział Ringmar.

- Tak czy inaczej, zaczynało mi się już nudzić na urlopie.

- Dobrze jest mieć jakieś hobby - stwierdził Ringmar. - Wtedy łatwiej zagospodarować wolny czas.

- Jeździłem na rowerze i kąpałem się - odpowiedział Winter. - I słuchałem rocka. Właściwie to rock może stać się moim hobby. Jazz to praca, ale rock mogę traktować jako hobby. Trzeba trochę czasu, zanim człowiek nauczy się go słuchać.

- Tak, do cholery - powiedział Ringmar.

Winter znowu chwycił cygaro, ale zaraz je odłożył. Zza okna dobiegał szum samochodów i szydery śmiech mew śledzących przyjeżdżające i wyjeżdżające radiowozy.

- Żadnego zgłoszenia o zaginięciu - powiedział Winter. -



Może to dobrze, a może źle.

- Co może w tym być dobrego?

- Niecałą dobę temu ta kobieta gdzieś była, coś robiła. Ktoś ją widział, może z nią rozmawiał. I nie mam na myśli zabójcy. Jest taka możliwość.

- Zgłoszenie może przyjść dzisiaj albo jutro.

- Dopóki go nie dostaniemy, stan jej uzębienia na nic nam się nie przyda.

- Potrzebujemy dentysty - powiedział Ringmar.

- Potrzebujemy imienia, miejsca zamieszkania i śladu - odparł Winter. - Mam wrażenie, jakby mówienie o niej było czymś nieprzyzwoitym. A ty?

- Nie, nie mam takiego wrażenia.

- Ja mam je zawsze, kiedy ofiara morderstwa jest anonimowa. Wiesz, o co chodzi. Żadnego wiecznego odpoczynku.

Ringmar przytaknął.

- Myślę, że warto poczekać do jutra z ogłoszeniami w gazetach i plakatami - powiedział Winter.

- Plakatami? Zaczniemy od plakatów?

- Tak. Tak robi policja w Londynie. Chciałbym wypróbować tę metodę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- To działa?

- Co?

- W Londynie przynosi to jakieś rezultaty?

- Właściwie to nie wiem.

- Aha.

- Dziś wieczorem napiszę szkic ogłoszenia.

- Jakie damy zdjęcie?

- Nie wiem jeszcze. Może weźmiemy to? - Winter wyciągnął zdjęcie twarzy zmarłej. - Nie jest takie jak zazwyczaj, ale jest to jakaś opcja. Innego nie mamy.

- Mogę spojrzeć? - powiedział Ringmar, wyciągając rękę po zdjęcie.

Obejrzał uwiecznioną na nim twarz i oddał zdjęcie Winterowi.

- Mam mieszane uczucia, ale jeśli nic się nie wydarzy, chyba będziemy musieli tak to załatwić. Ofiara nie żyje od niedawna i zdjęcie jest znośne, ale to będzie pierwsza taka akcja w Göteborgu.

- A pamiętasz, co zrobili ci Niemcy z Wirtembergii? Wtedy po wybuchu? Kobietę dosłownie rozerwało na strzępy, a chirurg plastyczny poskładał jej twarz i opublikowali zdjęcie.

- To nieprzyzwoite.

- Gorsze było to, że ktoś zdetonował ładunek - odpowiedział Winter.

Ringmar wstał i przeciągnął się, podnosząc ręce i postępując.

- Czuję się, jakby już był wieczór.

- Weź się w garść - powiedział Winter. - Dzień się dopiero zaczął.

- I zaraz będzie konferencja prasowa - stwierdził Ringmar, siadając z powrotem i zakładając nogę na nogę.

Jego spodnie khaki i koszula w cienkie paski wyglądały zdecydowanie bardziej elegancko niż szorty i sprany T-shirt, które miał na sobie Winter. Winter podrapał się mocno po udzie. Czuł, że musi się wykapać i coś zjeść.

- Konferencja prasowa? Kto o tym zdecydował? Birgersson?

- Nie. Szukali cię, kiedy byłeś w drodze ze szpitala. Wellman.

Henrik Wellman był komendantem policji okręgowej. To do niego komisarze z wydziału śledczego zwracali się z prośbą o środki na niezbędne podróże służbowe, nowe samochody i tym podobne.

Przełożoną Wellmana była Judith Söderberg. Wyżej był już tylko Bóg.

- Henrik ma zamiar zjawić się we własnej osobie? - spytał Winter z uśmiechem.

- Musisz go zrozumieć - odparł Ringmar. - Zamordowano

młodą kobietę, ciało nie zostało zidentyfikowane. Obrady parlamentu jeszcze się nie zaczęły. Sezon hokejowy też nie. Prasa rzuciła się na ten temat. Wakacyjne morderstwo.

- Wakacyjne morderstwo - powtórzył Winter. - A my odgrywamy swoje role w śledztwie w sprawie klasycznego wakacyjnego morderstwa. To marzenie prasy brukowej.

- To przez te cholerne upały - powiedział Ringmar. - Gdyby nie było już tak gorąco, wszystko wyglądałoby inaczej. Mam na myśli gazety.

- Morderstwo jesienne - powiedział Winter. - O ile to morderstwo. To znaczy jest to morderstwo, ale jeszcze nieoficjalnie. I może niedługo będzie wiadomo, jak się nazywała. Taa... Może konferencja dla naszych przyjaciół dziennikarzy to dobry pomysł. Rozumiem, że to ja występuję w naszym imieniu.

- O czternastej. Na razie.

Ringmar wstał i wyszedł z pokoju. Winter zapalił kolejne cygaro i przez dziesięć sekund gapił się w sufit. Potem chwycił za telefon i próbował połączyć się z Beierem, ale nie było go jeszcze w biurze.

Teraz potrzebują jakiegoś pokoju, domu lub mieszkania. Skoro nie mają nazwiska, punktem wyjścia musi być adres. Możliwości szybko się wyczerpią, jeśli nie zdobędą adresu, od którego mogliby zacząć.

Wysunął górną lewą szufladę biurka i wyciągnął z niej kopertę. Otworzył ją i wyjął zdjęcia z miejsca znalezienia zwłok. Próbował sobie wyobrazić, co się działo, na chwilę zanim zostawiono tam zwłoki. Może przeciągnięto ją z drugiej strony rowu, przez mech i zarośla? Silny mężczyzna mógłby to zrobić. Ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilo. Ślady na jej szyi mógł zostawić ktoś o dużych dłoniach i palcach, ale tego nie byli pewni. Niesiono ją. Jak dotąd ani na parking, ani na ścieżce, ani w trawie nie znaleźli śladów ciągnięcia. Parking - przywieziono ją na parking,

wyciągnięto z samochodu i zaniesiono do rowu. Tak to mogło wyglądać. Czy użyto do tego jednego z samochodów stojących na parkingu? Może. Jednego z dwóch skradzionych? Czemu nie. Już wkrótce się dowie. Ktoś kogoś zabija, potem wychodzi na ulicę, kradnie samochód, znosi zwłoki i odjeżdża. Czy ty byś tak zrobił, Winter, gdybyś kogoś zamordował? Pojechałbyś nad jezioro Delsjö? Czemu właśnie tam? Czemu to tam zostawiono ciało? Ilu przestępców, których już znamy, lubi dusić ofiary? Czy mają ulubione miejsca? Co wiemy o tym właśnie miejscu? Co działo się wcześniej w okolicy parkingu i nad brzegiem jeziora?

Czy to nie tam parę lat temu zbierała się grupa satanistów?

Zaczął myśleć o jeziorze. Może przewieziono ją tam łódką? Jego ludzie już sprawdzali długą niemal na dziesięć kilometrów linię brzegową. Jak można wyciągnąć łódkę na brzeg tak, żeby nikt nie widział?

Może ktoś uprawiał nad jeziorem jogging? Tego nigdy się nie przewidzi.

Wybór miejsca, w którym zostaną znalezione zwłoki, zawsze ma znaczenie, pomyślał Winter. Nawet jeśli morderca nie jest tego świadomy. Jego wybór stanowi dla nas wskazówkę. Coś musiało go skłonić, żeby pojechać właśnie tam. Coś, co mu się przydarzyło w przeszłości.

Miejsce. Od tego musimy zacząć. Ja od tego zacznę. Pojadę tam jeszcze raz.

Włożył kopertę z powrotem do szuflady, wsunął ją i podniósł się tak szybko, że na chwilę zakreśliło mu się w głowie.

Wcześniej czuł, że jest głodny. Teraz głód zniknął, ale wiedział, że musi coś zjeść. Podjechał do znajdującej się niedaleko chińskiej restauracji, zjadł szybki lunch i wypił litr wody.

Goście ubrani byli w koszule i sukienki przesiąknięte potem. Nikt już się tym nie przejmował.

PO DRODZE, kiedy był na wysokości parku Liseberg, wysłuchał lokalnych wiadomości. „Policja nie trafiła jeszcze na żaden ślad.”. Bez względu na to, kto poinformował o tym Radio Göteborg, wiadomość była prawdziwa. Po południu będzie musiał szczegółowo wyjaśniać to, czego sami nie wiedzą.

Przez szyby samochodu dzień wydawał się ponury. Winter nie chciał się przeziębnić, przykręcił więc klimatyzację do dwudziestu stopni. Miał wrażenie, że na zewnątrz jest chłodniej, ale wiedział, że kiedy otworzy drzwiczki, zaprze mu dech z gorąca.

Widział przeróżne karuzele kręcące się w parku i uświadomił sobie, że nie był tam od lat.

Koła zapadały się w miękki asfalt. Jadące obok samochody wyglądały niewyraźnie, jakby były rozmyte. Pojazdy i ulica stopiły się ze sobą. Z prawej strony zobaczył termometr wskazujący temperaturę w powietrzu i przy powierzchni drogi. Trzydzieści cztery w powietrzu, czterdzieści dziewięć przy asfalcie. Na miłość boską.

Na wzgórzu za Kallesbäcksmotet, na przeciwległym pasie, zobaczył kontrolę drogową. Jeden z umundurowanych policjantów machał uprzejmie na kierowców. Kawalek dalej, przy krawędzi drogi, stał jego kolega z kamerą w ręku.

Wideokamera. Winter kątem oka zauważył kamerę i trzymającego ją policjanta. Widział go jeszcze we wstecznym lusterku. On też musiał go zauważyć. Na taśmę nagrywano przejeżdżające pojazdy. Winter widział policjanta i widział, że kamera była skierowana na niego. Oznaczało to, że został uwieczniony na taśmie, on i inni kierowcy jadący w przeciwnym kierunku znaleźli się na nagraniu, choć to nie oni byli w centrum zainteresowania.

Skręcił w prawo, w Delsjömotet, przejechał tunelem pod

trasą na Borås, mijając restauracje. Dokuczliwy upał zatrzymał ludzi w domach, na trawnikach i wokół parkingu nie było widać nikogo.

Miał skręcić tam, gdzie znaleziono zwłoki, ale zdecydował się pojechać dalej starą drogą biegnącą równolegle do nowej, hałaśliwej trasy na Borås. Za wiaduktem, na polu z lewej strony, zobaczył konie. Minał dwa gospodarstwa. Dojechał do znajdującego się niecały kilometr dalej skrzyżowania i skręcił w prawo, na parking. Wyłączył silnik, wysiadł i opierając się o bok samochodu, zapalił cygaro.

Myślał o policjancie z kamerą. To mógł być przełom. Czy drogówka przypadkiem nie wysyłała patroli w nocy albo wcześniej rano? Mieli chyba kamery, którymi można nagrywać w ciemności. Czy nie chcieli testować kamer termowizyjnych? Wydawało mu się, że czytał o tym w mailu na Group Wise, na ich policyjnym serwerze.

Gdzie byli ostatniej nocy? Czy testy nie powinny się odbywać głównie tutaj, na drogach wschodniej części miasta?

Gdyby wszystko funkcjonowało idealnie, ktoś z nadzoru drogowego poinformowałby Wintera o tym, że jakiś patrol faktycznie był w tej okolicy w ciągu ostatniej doby. Ale przepływ informacji nie był taki szybki, czasem trwało to kilka dni. Błędy i nieporozumienia na wstępie śledztwa mogły się okazać nie do naprawienia. Oczywiście zdarzały się, nawet dość często, ale przecież policjanci to tylko ludzie, pomyślał Winter.

Niestety reorganizacja przeprowadzona w 1995 roku zaszczepiła w policjantach z różnych jednostek skłonność do skupiania się tylko na własnym rewirze.

Winter chwycił za słuchawkę umieszczoną na desce rozdzielczej i połączył się z drogówką. Przedstawił się dyżurnemu i poprosił o rozmowę z szefem wydziału.

- Kronvall jest zajęty.
- Kiedy będzie wolny?

Winter niemal widział wzruszenie ramion, słyszał westchnienie, które z drugiej strony słuchawki posłał mu dyżurny, jakby mówił: Czemu nie możesz zadzwonić do kogoś innego?

- Pytam, kiedy będzie wolny.

- Może pan powtórzyć, kim pan jest?

- Komisarz Erik Winter, pełniący obowiązki szefa wydziału śledczego.

- Nie może pan porozmawiać z kimś innym?

- Jak to?

- Kronvall jest zajęty.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i muszę porozmawiać z Walterem Kronvallem. To bardzo ważne.

- Dobrze, dobrze, proszę poczekać - powiedział męski głos w słuchawce, więc Winter czekał. Gdzieś nad nim, sunąc bezgłośnie po niebie, przeleciał samolot kierujący się na lotnisko Landvetter. Winter usłyszał dźwięk silników, dopiero kiedy zniknął. Przy krawędzi lasu, jakieś sto metrów od miejsca, w którym stał, zobaczył jelenia. Wychylał się zza płotu okalającego pastwisko. Kolor jego sierści zlewał się z wypaloną trawą, a kiedy zwierzę ruszyło biegiem, przypominało powiew wiatru przesuwającego się nad polem. Winter słyszał koniki polne i pobrzmiwający jeszcze na pustym niebie odgłos silników samolotu. Czekał. Cygaro, które trzymał w ręku, zgasło już dawno.

- Słucham, tu Kronvall.

- Mówi Erik Winter.

- Byłem zajęty.

- Nadal pan jest.

- Słucham?

- Jest pan zajęty rozmową ze mną, ale będę się streszczał. Chcę się dowiedzieć, czy wczoraj w nocy używaliście kamer w terenie. Chodzi mi o okolice trasy na Borås, przy Delsjömotet. Wczesnym rankiem, kiedy jeszcze było ciemno.

- Chodzi o kontrolę prędkości?
- To chyba wie pan lepiej ode mnie.
- A w czym rzecz?
- Nie słyszał pan jeszcze o morderstwie? Dziś rano znaleziono uduszoną kobietę.
- Tak, słyszałem. Mimo że wymiana informacji funkcjonuje, jak funkcjonuje, że tak powiem.

Winter czekał na ciąg dalszy. Czuł, że pot zalewa mu oczy i policzek, przy którym trzyma słuchawkę. Usiadł w ukrytym w cieniu samochodzie i wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

- Chce pan wiedzieć, czy nagrywaliśmy ruch w tamtej okolicy? Kiedy jeszcze było ciemno? Możliwe. Na co dzień nie mamy takiego sprzętu, mówię o kamerach termowizyjnych, ale pożyczylimy je od tych z policyjnego helikoptera, żeby je przetestować. Skontaktuję się z policją w Härlandzie i sprawdzę to.

- Może pan to zrobić teraz?

- Tak, przecież musi pan zdążyć zobaczyć taśmę. Jeśli faktycznie ktoś tam nagrywał.

- Jak to?

- Nie wie pan, komisarzu, jak to działa? Policjanci z wozów ze sprzętem nagrywającym sprawdzają taśmy, potem je czyszczą i przejmuje je następny patrol. Ale może. niewykluczone, że wstrzymali się jeszcze trochę z wyruszeniem w inne miejsce, żeby więcej osób mogło obejrzeć taśmę. Jak już mówiłem, to faza testowania.

- Czyli normalnie taśmę się czyści i nagrywa na nią jeszcze raz?

- Tak, wydział drogowy ma ograniczone środki.

- Proszę jednak do nich zadzwonić.

- Jak mam się z panem skontaktować?

Winter podał mu numer i rozłączył się. Wysiadł, wetknął telefon do kieszeni, stanął krok od samochodu i opierając się o niego, zaczął się rozciągać, tak że strzeliło mu w kościach.



Powiniennem się więcej ruszać, pomyślał. Nie będę przecież bez końca najmłodszym komisarzem. Bergenhem proponował, żebym grał w unihokeja. To idiotyczny pomysł, ale może się przyłączyć. Albo mogę co trzeci dzień biegać w parku. Chociaż właściwie przez całe lato jeździłem na rowerze.

Przeszedł asfaltową drogą na przystanek linii 701. Autobus stał właśnie w zatoczce. Zapewne jechał albo wracał z Broplatsen i Frölunda Torg. Pierwszy kurs rusza kwadrans po piątej, ostatni o dwudziestej trzeciej czterdzieści trzy. Będą musieli to sprawdzić. Kolejne zadanie dla biorących udział w śledztwie. Każde dochodzenie jest jak odkurzacz wciągający wszystko: przesłuchania, ślady, dobre koncepcje i szalone przypuszczenia, a większość z nich najczęściej nie miała nic wspólnego ze sprawą. Ale powoli zbieramy elementy, które do siebie pasują, i wtedy możemy sformułować hipotezę, pomyślał Winter.

Telefon w kieszeni zaczął dzwonić.

- Winter, słucham?

- Tu jeszcze raz Walter Kronvall. Miał pan rację. Faktycznie jeden z patroli z kamerą był wczoraj w nocy i dziś nad ranem we wschodniej części miasta. To oferta specjalna dla naszych klientów - tylko w tym tygodniu.

- Dobra - powiedział Winter. - Stali przy trasie na Borås?

- Oczywiście. A kilku kamer, którymi nagrywali w nocy, jeszcze dziś nie używano.

- Czy to już wszystkie kamery?

- Nie bardzo rozumiem.

- Wspomniał pan o kilku. Czy są jakieś inne, których używano w tej okolicy?

- Z tego co zrozumiałem, nie.

- Muszę obejrzeć te taśmy.

- Gdzie?

- Czy dacie radę podrzucić je po południu do wydziału

śledczego?

- Jasne. Na takie okazje mamy specjalne wozy kurierskie - powiedział Kronvall i Winter się roześmiał.

- Dzięki za pomoc.

- Jeśli dzięki temu rozwiążecie sprawę, zażądamy specjalnego podziękowania.

- Oczywiście.

- Podanie, które pozwoliło zdobyć gola, zawdzięczamy komisarzowi wydziału drogowego Walterowi Kronvallovi. Albo coś w tym stylu.

- My, wydział śledczy, nie zapominamy o przyjaciółach. - Po tych słowach Winter się rozłączył i stał jeszcze chwilę przed rozkładem jazdy autobusów. Jeleń znów się pokazał, tym razem bliżej. Skakał między jednym krańcem pola a drugim, zataczając szeroki krąg. Wbiegł na wznoszący się pośrodku pagórek i przez chwilę było go widać prawie całego. Winter był dość blisko, żeby zobaczyć, jak jego mięśnie współpracują, składając się na harmonijny, perfekcyjny ruch. On nie musi się przeciągać jak ja, pomyślał.

Jeleń zamarł w bezruchu, patrząc w jego stronę. Przyglądał mu się, a Winter stał jak sparaliżowany. Zwierzę zahipnotyzowało go na kilka sekund. Winter nigdy nie polował, ale to musi tak wyglądać: ofiara, myśliwy, broń, mierzenie się wzrokiem, które zdaje się trwać godzinami. Chwila zawieszenia przed śmiercią: uniesiona broń, przeraźliwy dźwięk w powietrzu, rozrywane eksplozją ciało.

Jeleń stał bez ruchu, wyczekiwał. Winter też się nie ruszał. Odległość między nim a jeleniem nie zmieniła się. Nie polował na niego, ale na jego miejscu mógłby stać ktoś inny. W czasie polowań chyba taka właśnie odległość dzieli myśliwego od zwierzyny. To brzmiało znajomo. Odległość między myśliwym a zwierzyną, powtórzył w myślach. Właściwie był myśliwym, taki miał zawód. Dla niego zwierzyną byli przestępcy. Czy mordercę można nazwać

zwierzyną? Czy to nie morderca jest myśliwym, a ofiara jego zwierzyną?

Pomyślał znowu o kobiecie, która jeszcze niedawno leżała w pobliżu. Zaciągnięto ją tam jak zabite zwierzę. Ofiara. a może i zwierzyna. Jej bezimienne ciało samo w sobie zawiadamiąło o tym, co się wydarzyło. Dlaczego? Przed oczyma znów miał jej odsłonięte zęby i usta w półotwarte jakby w niemym okrzyku. Jakby wołała z oddali.

Jeleniowi zapewne zabraloby za ledwie chwilę dostanie się do miejsca, w którym ją znaleźli, gdyby tylko odważył się wbiec do tunelu pod autostradą.

Winter odwrócił się, wsiadł do samochodu i ruszył. Poroże wciąż tkwiło w miejscu, na środku pola. Winter przejechał kawałek drogą wygiętą w kształt litery U i zobaczył, że jeleni też zatoczył tymczasem półkole i skierował się w stronę zagajnika.

Winter wrócił tam, gdzie znaleziono kobietę. Zaparkował i ruszył ścieżką biegnącą przez oddzielony taśmami teren. Na rosnącej w rowie trawie nadal było widać wgniecenie zostawione przez ciało. Obrócił się i przyglądał się własnym śladom. To długa droga, jeśli trzeba przenieść ciało, żywe czy martwe. Zwłoki są ciężkie, ale za to nie stawiają oporu.

Ten, kto je niósł, nie musiał być duży. Strach przed tym, że zbrodnia wyjdzie na jaw, mógł dodać mordercy sił, o ile w ogóle się tym przejmował. A może więcej osób przeszło tędy w nikłym świetle wczesnego poranka? Więcej osób działających pod wpływem obłądu, może adrenaliny?

Może przeniesiono ją przez te pagórkowate pola pokryte mgłą? Czemu nie?

Policjanci próbowali pracować w terenie, poruszając się wzdłuż rozsądnie wytyczonej linii, ale było to niezmiernie trudne. Nie mogli kręcić się po okolicy na oślep, ale jeśli było ich zbyt wielu, wszystko tak właśnie robiono.

Winter wzdrygnął się, kiedy usłyszał strzał. Po chwili kolejny

huk przerwał wczesnopołudniową ciszę panującą w naturze i zagłuszył szum samochodów.

Przenikliwy dźwięk odbijał się echem od brzoź i rozciągającej się za nimi wody. Strzelnice znów zostały otwarte.

Kaseta wideo leżała na jego biurku. Powietrze w pokoju jakby zastygło. Ringmar zapukał do otwartych drzwi, zanim Winter zdążył wyjąć mokrą od potu koszulę.

- Słońce ma swoje pięć minut.

- Lubię słońce.

- Kiedy będziesz gotowy, czekają na ciebie dżentelmeni z prasy.

- Żadnych kobiet?

- Nie ma dziennikarek zajmujących się zbrodniami.

- Gdyby były, wiele spraw wyglądałoby inaczej - powiedział Winter, przeczesując palcami wilgotne włosy.

- Możemy iść?

- Trzeba to szybko załatwić. Zaraz potem chcę obejrzeć te taśmy.

Winter wyjaśnił sprawę Ringmarowi, kiedy szli korytarzem. Zjechali windą na dół i spotkali się z przedstawicielami prasy. Wszyscy wyglądali, jakby szli na plażę: szorty, przewiewne T-shirty, ktoś miał okulary słoneczne. Spoko gość, pomyślał Winter, zajmując miejsce przy stole w drugim końcu pokoju.

- Nie wiemy jeszcze, kim była ofiara - odpowiedział na pierwsze pytanie. - I być może będziemy potrzebowali waszej pomocy, żeby się dowiedzieć.

- Macie jakieś zdjęcie?

- W pewnym sensie.

- Co to znaczy? - zapytał Hans Bulów z dziennika „GT”. Był jednym z nielicznych dziennikarzy, których Winter znał na tyle dobrze, żeby zapamiętać, jak się nazywają.

- Zrobiliśmy zdjęcie zwłok. Jak dobrze wiecie, nieczęsto się nam zdarza pokazywać takie zdjęcia publicznie.

- Ale jeśli musicie?
  - Wrócimy do tego.
  - Ale zamordowano ją?
  - Nie mogę w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie. To mogło być samobójstwo.
  - Czyli ofiara odebrała sobie życie, a potem pojechała nad jezioro i położyła się w rowie? - zapytała kobieta z lokalnego radia. Winter popatrzył na nią i pomyślał o tym, co powiedział Ringmar o dziennikarkach zajmujących się tematyką sądową.
  - A kto powiedział, że ofiara zginęła gdzie indziej? - odparł. Kobieta zerknęła na Hansa Bulöwa - to w ostatnim wydaniu „GT” ukazał się artykuł, w którym spekulowano na temat tego, co mogło się wydarzyć.
  - Do tej pory nie udało się nam stwierdzić, co tak naprawdę się wydarzyło - powiedział Winter.
  - Kiedy się dowiemy, czy to było morderstwo?
  - Za jakiś czas. Po południu otrzymam sprawozdanie lekarza sądowego.
  - Czy są świadkowie?
  - Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.
  - Jak znaleziono ciało?
  - Otrzymaliśmy zgłoszenie.
  - Od świadka?
- Winter wykonał rękoma gest, który każdy mógł odczytać, jak chciał.
- Czy to Szwedka?
  - Nie wiem.
  - Przecież wiecie chyba, jak wygląda? Czy wygląda na Szwedkę albo osobę ze Skandynawii? Czy pochodziła gdzieś z zagranicy?
  - Za wcześniej na takie spekulacje.
  - Jeśli nie wygląda na Skandynawkę, łatwiej będzie się zorientować, w której dzielnicy Göteborga mieszkała -

powiedział młody dziennikarz, którego Winter, z tego co pamiętał, nigdy wcześniej nie widział.

- Co ma pan na myśli?

- Nie wie pan, gdzie mieszkają imigranci?

Winter nie odpowiedział. Pomyślał o północnych przedmieściach. Według niego było to uproszczenie.

- Jeszcze jakieś pytania?

- Na ile lat wygląda ofiara?

- Tego oczywiście też nie jesteśmy pewni, ale miała około trzydziestu lat.

Dziennikarze notowali albo podtykali mikrofony. Wakacyjne morderstwo w Göteborgu.

- Czym teraz zajmuje się policja?

- Rozpoczęliśmy zakrojone na szeroką skalę działania dochodzeniowe. Pracujemy nad zabezpieczeniem śladów na miejscu znalezienia zwłok, podjęliśmy też wysiłki w celu zidentyfikowania ofiary - powiedział Winter.

- Kiedy do tego doszło?

- Do czego?

- Do zabójstwa czy też zgonu. Kiedy do tego doszło?

- To również trudno określić, ale wczoraj, późnym wieczorem. Nie mogę powiedzieć na ten temat nic więcej.

- Kiedy ją znaleziono?

- Dziś rano.

- O której?

- Około czwartej.

- Czy policjanci rozmawiali już z osobami, które w tym czasie były w okolicy?

- Próbujemy przesłuchać wszystkich, którzy mogli coś widzieć. Jeśli ktoś uważa, że mógł coś widzieć, jest proszony o zgłoszenie się na policję.

- Motyw?

- Nie możemy jeszcze odpowiedzieć na to pytanie.

- Czy ofiara została zgwałcona?

- Nie mogę odpowiedzieć.
- Czy jest w tej sprawie coś, co wygląda znajomo?
- To znaczy?
- Czy badacie stare sprawy, które rozegrały się tutaj lub gdzie indziej, ale przypominają ten przypadek?
- Niestety ze względu na dobro śledztwa nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.
- Zatem ofiara nie jest znana policji?
- Wydaje mi się, że mówiłem już, że nie zidentyfikowaliśmy ofiary.
- Czy to normalne?
- Proszę?
- Czy często się zdarza, że tożsamość ofiary pozostaje nieznaną po tak długim czasie?
- Upłynęło. - Winter spojrzał na zegarek - .mniej niż dwanaście godzin od chwili, kiedy znaleźliśmy zwłoki. Nie można mówić o długim czasie.
- Oczywiście, że to długo - stwierdził dziennikarz w okularach słonecznych.
- Jeszcze jakieś pytania? - powiedział Winter, świadomy, że ten facet ma rację. Upłynęło dużo czasu.

## 9

CAŁY DZIEŃ PADAŁ DESZCZ, a ona siedziała przy innym oknie. Panowie gdzieś poszli. Bała się, ale nie aż tak jak wtedy, kiedy byli obok. Kiedy jechali samochodem, zaczęła krzyczeć, a jeden z nich spojrzał tak, jakby chciał ją uderzyć. Nic jej nie zrobił, ale wyglądał na takiego, co bije.

Wiedziała, że ten dom jest gdzie indziej, bo drzewa za oknem wyglądały inaczej. Wokół nie było innych domów, na drodze nie widziała nikogo. Nie słyszała żadnych samochodów ani pociągów. W pewnym momencie rozległ się nad głową

pomruk - to mógł być samolot. Próbowwała spojrzeć do góry, ale dach jej zasłaniał.

Rozglądała się za telefonem, ale go nie znalazła. Gdyby znalazła telefon, mogłaby podnieść słuchawkę, wcisnąć guziki i porozmawiać z mamą.

Mama powinna niedługo przyjść. Może panowie poszli jej szukać. Odjechali, a potem wrócili, a potem znów odjechali i wrócili. Jeden gdzieś pojechał, drugi też gdzieś zniknął, ale nie wsiadł z tamtym do samochodu. Może był gdzieś tutaj. Pomyślała, że może siedzi teraz w innym pokoju, i wtedy zobaczyła go przed domem. Do lasu był tylko kawałek. Pan wyszedł z lasu i spojrzał w okno, prosto na nią. Poczula się bardzo nieswojo, zeszła więc ze stołka i cofnęła się na środek pokoju.

Kiedy się obudziła następnym razem, leżała na podłodze. Chciało jej się spać, a w pokoju coś pachniało. Rozejrzała się i zobaczyła stojący na podłodze parujący talerz.

- Zjedz to.

Przetarła oczy, ale obraz nadal był niewyraźny. Przetarła jeszcze raz. Teraz zobaczyła, że nad talerzem unosi się mnóstwo pary.

- To zupa. Musisz zjeść teraz, póki gorące - powiedział pan, stojąc nad nią. Widziała jego buty i nogi.

Spytała o mamę.

- Mama niedługo przyjedzie.

Spytała, gdzie jest mama, ale nie odpowiedział, spytała więc jeszcze raz.

- Teraz masz jeść. Tu jest łyżka.

Powiedziała, że chce jej się pić.

- Jeśli zjesz, przyniosę wodę.

Wzięła łyżkę, zanurzyła ją w misce i spróbowała, ale zupa była jeszcze za gorąca. Nie czuła smaku.

Czekała, aż trochę wystygnie. Siedząc na podłodze, czuła, że ubranie ma wygniecione. Pomyślała o kawałku papieru



schowanym w ukrytej kieszeni spodni. Nikt go nie szukał, kiedy wyjeżdżali z tamtego domu. Wszystko działo się tak szybko. To dobrze, bo nie mieli czasu zajmować się tym papierkiem, ale z drugiej strony miała dosyć tego pośpiechu.

- Musisz teraz zjeść.

Spojrzała w talerz. Zupa nadal wyglądała na zbyt gorącą. Zacisnęła powieki.

Nagle poczuła, że boli ją ucho. Otworzyła oczy i zobaczyła rękę tuż przy swojej buzi. Znowu ją zabolalo.

- Jeśli nie zaczniesz jeść, znowu pociągnę cię za ucho.

Ręka zniknęła, a ona znowu zanurzyła łyżkę w parującej misce. Zaczęła płakać. Znowu będzie ją bił i ciągnął za ucho. Mama też ją biła, ale mama to mama.

## 10

WINTER PRZECZYTAŁ PROTOKÓŁ Z OBDUKCJI, strona po stronie. Pia E:son Fröberg opisała szczegółowo każdy organ. Czytając takie protokoły, Winter zawsze porównywał je do dziwacznych list umundurowania i ekwipunku, które podpisywał, będąc na szkoleniu wojskowym.

Pia złożyła podpis dokładnie pod obowiązkową formułką: „powyższe wyniki wskazują na to, że zgon nastąpił z powodu.”.

Uduszenie. Ofiarę zamordowano. Na rękach miała obrażenia, które powstały, kiedy się broniła, na piersiach i na twarzy rany zadane ostrym narzędziem: nożem, śrubokrętem lub czymś podobnym. Na ciele nie było dużych ran klutych, ale na niektórych zdjęciach widniały zadrapania na skórze. Czy sprawca od początku miał przy sobie broń i groził nią kobiecie, czy też chwycił ją w trakcie, z kuchennego blatu albo innego miejsca?

Grupa z wydziału technicznego badała ślady na skórze kobiety. Winter rozważał w myślach treść protokołu. Miała

około trzydziestu lat, może trochę mniej. Urodziła dziecko, ale nie można było stwierdzić kiedy. Żłobek? Przedszkole? Szkoła? Opiekunka? Może koledzy, którzy zastanawiali się, czemu ich towarzysz lub towarzyszka zabaw nie wychodzi ostatnio na podwórko? A może to już nie było dziecko, tylko nastolatek lub nastolatka?

Nie miała żadnych blizn pooperacyjnych, ale na twarzy, obok ucha, widać było małe blizny. Poza tym po wewnętrznej stronie lewego uda miała ślady po poparzeniach drugiego stopnia, których doznała w dzieciństwie. Winter nie dostrzegł ich w niebieskim świetle prosektorium.

Palila. Wątroba w normie. Musiał poczekać na wyniki z laboratorium. Mieli znaleźć ewentualne ślady alkoholu lub narkotyków.

Czekał też na informację z głównego biura śledczego w Sztokholmie. Miał mu je przekazać ich wydział zajmujący się osobami zaginionymi, czy też raczej jeden z jego pracowników. Gdyby ktoś gdzieś w kraju zgłosił zaginięcie kobiety, w Sztokholmie mogli ją zidentyfikować.

Oni sami nie znaleźli jej w swojej bazie. Nie figurowała też w ich rejestrze karnym. Miała nieskazitelną przeszłość. Nigdy nie została aresztowana ani zatrzymana na dłużej.

Kto przycinał jej włosy? Ile salonów fryzjerskich jest w mieście?

Ubrania, które miała na sobie, nie miały metek ekskluzywnych marek. Winter pomyślał o plakatach H&M, które widział za każdym razem, gdy był w mieście. Przypomniało mu to o plakatach, które sam miał przygotować. Odłożył raport na biurko.

Nie miała butów. Nie znaleźli ich również policjanci przeszukujący okolicę. Natrafili wprawdzie na całą masę przedmiotów zostawionych tam dawno temu, w tym butów, ale żadne nie należały do niej.

Jej krótkie białe skarpetki były przemoczone albo

przynajmniej wilgotne. Od trawy? Było przecież stosunkowo sucho. Od wody? Wyobraził sobie łądz sunącą miękko po jeziorze, z dulkami owiniętymi szmatą, żeby stłumić dźwięki. Kiedy tak siedział, czuł ciężące mu od środka zmęczenie. Wstał i przeciągnął się. Przetarł twarz, a gęsty zarost zachrząścił mu pod palcami, zagłuszając na chwilę szum klimatyzacji.

Podszedł do szafki i otworzył prawe drzwiczki. Z najwyższej półki wziął piankę i maszynkę do golenia i poszedł do łazienki. Zmoczył twarz i nałożył piankę. W mdłym świetle jego twarz wyglądała jak maska z pobłyskującymi oczami. Pochylił się do lustra i zobaczył, że białka oczu ma poprzecinane cienkimi czerwonymi liniami. Zdarzało mu się to, kiedy przez kilka godzin o czymś intensywnie myślał. Podczas lunchu znowu zakręciło mu się w głowie, ale trwało to zaledwie parę sekund.

Golił się długimi pociągnięciami. Miło było poczuć, jak skóra się napina, a zarost znika. Potem jeszcze raz przemył twarz i zaczął czekać, aż sama wyschnie, podczas gdy on znów przeglądał się w lustrze. Nagle wydał się sobie szczuplejszy, jakby zarost dodawał mu kilogramów. Pod oczami miał cienie, ale może to kwestia światła.

Po goleniu poczuł się rześki. Wrócił do pokoju, zamknął drzwi i pilotem włączył telewizor i odtwarzacz. Sprzęt szumiał. Usiadł, opierając się plecami o biurko. Na ekranie pojawiło się pierwsze nagranie. Obraz był ciemny i nieostry, więc próbował go poprawić, zwiększając pilotem kontrast.

Film wyglądał jak negatyw. Urządzenie umożliwiające nagrywanie w ciemności nadawało nocy sztuczny, srebrny kolor. Można było zobaczyć wszystko, ale treść nagrania wydawała się nierzeczywista, jakby oglądał sen.

W tle pojawiły się dwa samochody. Jechały wzdłuż trasy, ale nie wjechały na nią wjazdem od strony Kallebäcksmotet. Próbował zobaczyć, co znajduje się za nimi, po drugiej

stronie autostrady. W dolnym rogu pokazała się godzina: druga trzy. Później, tym razem na pierwszym planie, pojawił się samochód jadący w stronę miasta. Na drugim pasie nie było nikogo. Policjant trzymający kamerę stał na samym czubku wzgórza, z obiektywem skierowanym na zachód. Schował się, więc nieliczni o tej porze kierowcy go nie widzieli. Winter spostrzegł na ekranie zjazd na Delsjömotet, ale obraz był niewyraźny. Taśma przesuwała się do przodu, ale nie było widać żadnego pojazdu

jadącego na zachód. Nagle w lewym rogu ekranu pojawił się samochód, ale kiedy tylko Winter go zauważył, obraz znikł.

Przewinął kasetę i jeszcze raz prześledził sekwencję. Widział nadjeżdżający samochód, jego zarys, ale potem ekran robił się biały i pusty.

Obejrzał ten moment jeszcze cztery razy, ale właściwie nie zobaczył nic więcej niż za pierwszym razem. Ktoś musi mu pomóc, może warto. Wyciągnął kasetę z odtwarzacza i załadował następną. Po czterech sekundach dwa samochody nadjechały szybko od strony Mölnlycke. Przyszło mu do głowy, że może kierowcy powinni zostać ukarani za przekroczenie prędkości.

Potem zobaczył samochód jadący przeciwnym pasem i skręcający w zjazd. Od początku pierwszej taśmy upłynęło dziesięć minut.

Kamera drgnęła, a potem znów znieruchomiała. Trasa była pusta, w obu kierunkach. Coś błysnęło z prawej strony ekranu i pokazał się samochód osobowy jadący na zachód. Widać było, jak kierowca włącza kierunkowskaz i skręca w stronę jeziora. Winter nie mógł rozpoznać marki. Było to trudne, bo nowoczesne modele aut są do siebie bardzo podobne, są jak swego rodzaju klony. Winter oglądał dalej. Na ekranie pojawił się kolejny samochód i również skręcił w prawo. Wydawało mu się, że auto wygląda na jeden z mniejszych modeli Forda, ale nie był pewny.

Czekał. W rogu ekranu znów mignęła godzina. Więcej samochodów przyjeżdżało od lewej strony, w kierunku miasta. Kamera stała nieruchomo. Może policjant postawił ją na statywie, pomyślał Winter.

Coś zamigotało na dole ekranu. Jakiś samochód nadjechał od strony restauracji. Winter zaczekał, aż minie obiektyw, i na ekranie zrobi się pusto, a potem przewinął taśmę.

Samochód pojawił się trzy minuty przed trzecią, jechał w stronę miasta. Winter jeszcze raz przestudiował tę sekwencję. To mógł być ten sam samochód, który czternaście minut wcześniej zjeżdżał w kierunku jeziora. Dojazd od zjazdu do parkingu zajmował nie więcej niż minutę, może półtorej. Tyle samo czasu na powrót, może mniej. To dawałoby temu komuś przynajmniej jedenaście minut na miejscu: otworzyć drzwiczki, obejść samochód, wyjąć ciało, przenieść je pięćdziesiąt metrów, ułożyć w rowie, rozejrzeć się, wrócić po swoich śladach.

Przejrzał taśmę do końca, ale nie znalazł już nic interesującego. Wrócił więc do sekwencji, w której ten sam samochód zjeżdża z autostrady, a potem wraca na nią, po czternastu minutach.

- Jeszcze tu jesteś? - zapytał Ringmar, uchylając drzwi i wtykając głowę do środka.

- Pozwól tu na chwilę.

Ringmar wszedł i zbliżył się do Wintera. Winter wskazał na ekran.

- Zobacz to. Poczekaj... widzisz samochód po drugiej stronie trasy?

- To nagranie z Kallebäck?

- Tak. Widzisz samochód, który wjeżdża na wzgórze?

- Nie jestem ślepy, mimo tego światła. Patrząc na to, człowiek może się poczuć, jakby tracił wzrok.

- Ta. widzisz, że zjeżdża w kierunku jeziora? Cofnę taśmę.

Żaden z nich się nie odzywał, kiedy Winter wziął do ręki

pilota. Na ekranie znów pojawił się obraz.

- Widzisz, co to za marka?

- Nieee. możesz zatrzymać taśmę?

Winter wcisnął pauzę i samochód zastygł, lekko tylko podskakiwał na ekranie.

- Nie da się usunąć tych drgań.

- Może to ford? - powiedział Ringmar.

- Mnie też się tak wydaje. Jesteś pewien? Znasz się na samochodach lepiej niż ja.

- Nie, nie jestem pewien, ale wygląda jak. escort. To Fredrik orientuje się najlepiej w samochodach.

- To auto potem wraca - powiedział Winter i przewinał taśmę czternaście minut do przodu.

- Teraz jest bliżej, ale i tak pod tym kątem trudno zobaczyć, co to za model - stwierdził Ringmar.

- Ktoś siedzi na przednim siedzeniu.

- Gdyby nikogo nie było, toby dopiero była sensacja.

- Prawie widać twarz.

- Gorzej z rejestracją.

- To niełatwe, ale możliwe - powiedział Winter.

Odwrócił się do Ringmara i kolega zobaczył w jego oczach dziwny blask. Może to odblask ekranu.

- Ktoś był w pobliżu tuż po tym, jak zostawiono tam ciało, albo chwilę przedtem, albo w trakcie.

- Musimy zbadać ten samochód - stwierdził Ringmar, ale to i tak było jasne, więc dodał: - Są jakieś zaawansowane metody, żeby na tych obrazach coś dało się zobaczyć?

- Chodzi ci o to, żeby były jasne i wyraźne?

- Chodzi o to, żeby były na tyle ostre, by dało się zobaczyć kilka cyfr, liter albo rysy twarzy - odpowiedział Ringmar. - A potem możemy pogadać z tym chłopakiem, który trzymał kamerę. Z kamerzystą.

- Trzeba porozmawiać z Beierem - stwierdził Winter.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał

się właśnie Beier.

- Wiemy już coś o tym znaku - powiedział.

- Znaku?

- O tym napisie na korze sosny. Tym czerwonym, nad ciałem ofiary.

- Już wiem.

- Sprawdziliście to w nadleśnictwie?

- Chwileczkę - powiedział Winter. Odłożył słuchawkę i zaczął przeglądać leżący na stole stos protokołów. - Czy ktoś już sprawdzał w biurze Lasów Państwowych albo gdzie indziej, o co chodzi z tym znakiem na drzewie? - zapytał, ale Ringmar nie wiedział.

- Nie dostaliśmy jeszcze wszystkich sprawozdań na dziś - powiedział Winter do słuchawki. - Tak więc odpowiedź na twoje pytanie brzmi nie, jeszcze nie.

- Tak czy inaczej, te bazgroły są świeże.

- Jak świeże?

- Mogły być zrobione w nocy.

- Nie mów, że to krew.

- Nie, to farba akrylowa, jeden ze stu odcieni czerwieni.

- I jest tylko na tym jednym drzewie?

- Na to wygląda.

- A co to takiego?

- Co?

- Co przedstawia?

- Przyglądamy się, ale, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Może to krzyż, ale to tylko przypuszczenia.

- Ile macie zdjęć tego znaku?

- Wystarczająco dużo odbitek, jeśli o to pytasz.

- Roześlijcie je po wydziałach. To może być jakiś gang, jakaś młodociana banda albo coś w tym stylu.

- Albo sataniści. Znają przecież okolice Delsjö.

- Jezioro jest duże.

- Dajcie znać, jak sprawdzicie w nadleśnictwie - powiedział

Beier.

- Przyślij mi od razu kilka odbitek. Miałem właśnie do ciebie dzwonić. Mam tu parę taśm wideo, chciałbym, żebyś na nie zerknął - wyjaśnił Winter.

- Przyślij je nam - odparł Beier i rozłączył się.

Telefon zadzwonił jeszcze raz. Ringmar patrzył, jak Winter słucha uważnie i coś notuje. Potem rzucił „na razie” i spojrzął na Ringmara.

- Facet, który ma psiarnię przy lesie, obudził się w środku nocy, bo psy zaczęły ujadać. Wyszedł i zobaczył samochód. Zawrócił obok domu, a potem pojechał z powrotem drogą i dalej w kierunku wjazdu na autostradę albo przynajmniej w kierunku restauracji.

- Widział, co to za samochód?

- Lampa przy bramie była zapalona i facet jest pewny, że to był ford escort.

- To ten wóz. Co on tam robił? O której to było?

- Tuż przed tym, jak widzieliśmy go na taśmie - powiedział Winter, pokazując głową w kierunku pustego ekranu. - Wspominał też, z którego rocznika był ten model.

- To możliwe?

- Widział go na własne oczy.

- Teraz będzie mógł obejrzyć powtórkę.

- Czasem mam wrażenie, że lepiej występować w powtórce - stwierdził Winter. - W powtórce, a nie w trudnych pierwszych ujęciach.

## 11

GLÓWNE BIURO ŚLEDTCZE W SZTOKHOLMIE skontaktowało się z Winterem. Siedział teraz nad zdjęciem przedstawiającym twarz zamordowanej. Rysopisy niektórych zaginionych zgadzały się wprawdzie z rysopisem ofiary, ale podobieństwa nie były wystarczające. Podobieństwa,



podobieństwa, powtórzył w myślach. Przypomniawszy sobie też o laboratorium, które miało nawał pracy, co oznaczało, że będą musieli poczekać na informacje o ewentualnych chorobach ofiary, o narkotykach i lekach, o jej zwyczajach i nałogach.

Posłaniec przyniósł zdjęcia z wydziału technicznego, od Beiera. Winter wyciągnął je z koperty i przyglądał się znakowi namalowanemu na korze. Próbował skojarzyć różne ugrupowania z symbolami. Zamknął oczy i starał się zrozumieć, co kryje się za znakiem: mieli przecież w archiwum zbiór takich symboli. Czasem ktoś próbuje nam coś przekazać. Albo nas zwieść, pomyślał.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść.

W progu stanął młody policjant z protokołem w ręku.

- Co to? - zapytał Winter.

- Byłem w urzędzie gminy i jeśli chodzi o ten znak.

- Dzięki - powiedział Winter, wstając. Kojarzył tego chłopaka, ale nie pamiętał, jak się nazywa. Był nowy w wydziale, przyszedł kilka miesięcy temu. To musi być jego pierwsze śledztwo w sprawie morderstwa, pomyślał.

Policjant położył protokół na biurku.

- Może sam o tym opowiedz - zachęcił Winter. - Proszę, usiądź.

Chłopak usiadł na krześle przy biurku i próbował ukryć zakłopotanie. Na czole pojawiły mu się krople potu i zdawał sobie z tego sprawę. Twarz miał czerwoną, a na koszuli widać było mokre plamy. Nosił marynarkę, która wyglądała na lekką i przewiewną, ale niedorzecznością było ubierać się w coś takiego przy takiej pogodzie. Spodnie miał porządne i drogie. Dress code Wintera był znany również wśród najmłodszych pracowników wydziału, więc Winter zastanawiał się, co chłopak sądzi o jego T-shircie i obciętych dżinsach.

- Dajesz radę myśleć w tej marynarce? - zapytał.

- Słucham?

- Zdejmij marynarkę i wyciągnij koszulę ze spodni. Chyba ci gorąco.

Chłopak uśmiechnął się, jak zazwyczaj śmieją się ludzie, którzy nie zrozumieli żartu, i założył nogę na nogę.

- Mówię poważnie. W pracy policjanta kryminalnego dobre jest to, że można się ubierać tak, jak się chce.

Chłopak wyglądał, jakby mimo wszystko miał zamiar zgrywać kozaka.

- To chyba zależy od zadania i od śledztwa?

- Czasami.

- Czasem trzeba się dopasować.

- W takim razie dobrze ci idzie.

Chłopak uśmiechnął się i zdjął marynarkę.

- Na dworze jest cholernie gorąco.

- Co powiedzieli w gminie?

- Nie byli tam, to znaczy w tej okolicy. W ostatnim czasie nikt nie robił żadnych znaków na drzewach. Ziemia należy do gminy.

- Co to znaczy?

- Co?

- W ostatnim czasie. Kiedy byli tam ostatnio? - Winter pochylił się nad biurkiem i sięgnął po dwie kartki, które policjant położył na blacie. - Przypomnij mi, jak się nazywałeś.

- Eh. Börjesson, Erik Börjesson.

- No tak - powiedział Winter, szukając w protokole odpowiedzi na pytanie, które właśnie zadał. - Miesiąc. Nie robili nic w lesie wokół jeziora od miesiąca.

- Zgadza się. Nie robili tam nic takiego.

- Zastanawiałeś się, kto jeszcze mógł to zrobić? - zapytał Winter, ale zauważył, że to pytanie zaskoczyło chłopaka. Wziął głęboki wdech. Widzi, że ja widzę, że on widzi, że oczekuję od niego jednoznacznego stanowiska, pomyślał. -

Kto mógł to namalować na drzewie?

- Tak.
- Wędkarze? Klub wędkarski?
- Sprawdziłeś to?
- Niee, jeszcze nie.
- Jeszcze jakieś pomysły?
- Ma pan na myśli coś, co da się łatwo wyjaśnić?
- Mam na myśli coś, co nie pasuje do morderstwa.
- Może jakieś nastolatki?
- Są tam takie ślady?
- Ja. właściwie to nie wiem.
- Chyba warto to sprawdzić.
- Może jakaś zakochana para.
- Hm.
- Rycie imion w korze i takie tam - dodał Börjesson.
- Ta okolica jest popularna wśród tych, którzy szukają odrobiny odosobnienia - powiedział Winter.
- Może o to chodziło - przytaknęła Börjesson. - Może to taki znak.

Wygląda na dumnego, pomyślał Winter. Młody jest jednym z ludzi biorących udział w śledztwie, ale teraz, omawiając coś z szefem, jest kimś. Powinienem częściej tak robić. Chyba kiepski był ze mnie pedagog.

- Co oznaczają te żłobienia, rysunek, czy co to tam jest?
  - Czy nie zajmuje się tym wydział techniczny?
  - Chciałem wiedzieć, co ty o tym sądzisz - odparł Winter.
- Za oknem usłyszał odgłos śmigieł helikoptera i zobaczył, jak maszyna startuje z płyty, z lewej, a potem przelatuje obok nich. Popołudnie przechodziło w wieczór. Kolejki na wieczorne imprezy festiwalowe wydłużały się. Pomyślał o Anecie Djanali i nagle poczuł, że ma kwaśno w ustach. Zapalił cygaro, żeby się pozbyć smaku przemocy i pijaństwa. Gdyby się podniósł i podszedł do okna, zobaczyłby ludzi idących w stronę centrum. Niektórzy wyglądali, jakby się

zataczali.

Zamknął oczy. Policja konna powinna pejciami zapędzić tłum demonstrantów na ogrodzony teren przy Lilla Bommen i Kungstorget. Tam mogliby na siebie wrzeszczeć, póki by nie padli z przepicia. Potem policjanci powinni zejść z koni, przesiąść się do furgonetek i przewieźć sterty nieprzytomnych ciał do pustego, niezbyt czystego pomieszczenia znajdującego się cztery piętra pod gabinetem, w którym Winter właśnie siedział, rozmyślając o kilku pierwszych latach swojej służby w policji porządkowej. Siedział kiedyś na koniu i obserwował ten motłoch, to poruszające się przestraszone morze. Ten młodzieńczy cynizm - to właśnie był niebezpieczny bagaż, który można było zabrać ze sobą w kolejne lata służby. Patrzenie na ludzi jak na bydło. Wypieranie tego, co oczywiste: że przecież wszyscy oni są przestraszeni, zagubieni, zdesperowani.

Wszyscy strasznie się boją, pomyślał Winter i otworzył oczy. Börjesson patrzył na niego. Winter wstał i podszedł do okna, ale nic nie widział, oślepiiony mocnym światłem zachodzącego słońca, które zdawało się wisieć na wysokości położonego nad morzem Långedrag. Za kilka godzin zniknie, obiecując powrót.

Zmrużył oczy i zobaczył transparenty, na których cienie mieszały się ze światłem. Nie dało się odczytać żadnych słów ani liter. Niesiono je na kolejne starcie między grupami o różnych poglądach.

Wieczorem znów będą bójki.

Imprezy trwały nadal, a wraz z nimi trwały różnice.

- Mam nadzieję, że to ma sens - Winter usłyszał słowa Börjessona.

Obrócił się, nadal oślepiiony. Zamrugnął, żeby się uwolnić od wypełniającego mu głowę słonecznego światła.

- Nie wiem, co przedstawia ten znak - powiedział Börjesson. - Ale to nie może być zbieg okoliczności, że

pojawił się tam razem z. ze zwłokami.

- Słusznie - odparł Winter.

Znów widział przed sobą twarz Börjessona. Młody policjant wyglądał na dorosłego mężczyznę. Winter stał niespokojnie, zaczęła go pochłaniać kolejna myśl. - Próbuję się dowiedzieć, czy w okolicy są jakieś znaki namalowane przez satanistów.

- Satanistów? - spytał Börjesson.

- Oni lubią lasy i życie na łonie natury.

- Tak, może to o to chodzi.

- Popatrz na to jeszcze raz - powiedział Winter, obchodząc biurko i siadając obok Börjessona. - Co ci to przypomina?

Chłopak podniósł zdjęcie i trzymał je w wyciągniętej przed siebie ręce. Potem przysunął je bliżej i odłożył na biurko. Wyglądało to na dwie pionowe linie przeciągnięte przez środek linii poziomej. Ale farba się rozmasała i pierwotny zamysł autora czy wiadomość, którą chciał przekazać, mogły się zmienić.

- To może być H - powiedział Börjesson.

- Tak.

- Pan też tak myśli?

- Przypomina H.

- Albo to jakiś chiński znak.

- To niezła koncepcja.

- Chińskie znaki mają swoje znaczenie. Chodzi mi o to, że symbolizują słowa. Mogą oznaczać jakąś rzecz, jakiś przedmiot.

- Uczyłeś się chińskiego?

- W liceum, przez parę lat. Chodziłem do klasy humanistycznej.

- I zostałeś policjantem?

- To źle?

- Wręcz przeciwnie. Policja potrzebuje tylu humanistów, ilu tylko może zdobyć.

Börjesson zaśmiał się i znów spojrział na zdjęcie.

- Mogę to porównać ze znakami w moich podręcznikach.
- Ile jest tych znaków?
- Kilkadziesiąt tysięcy, ale tylko kilku tysięcy używa się na co dzień.

Winter nie odpowiedział, wpatrywał się jedynie w rysunek na drzewie. Musi tam pojechać i przyjrzeć się konturom drzewa. Wygląda na to, że ten, kto malował na pniu, wzorował się na jego konturach. Na pniu widać było ślad po obciętym dawno temu konarze. Spod niego wyrastała cienka gałązka. Znak wyglądał tak, jakby wpisywał się w drzewo.

Musi tam pojechać i sprawdzić. Czuł brutalną siłę płynącą ze zdjęcia, jakąś szaleńczą moc z innego świata, ze świata zła. Jak wiadomość z przeszłości, zostawiona kilkanaście godzin wcześniej wraz z ciałem kobiety.

Potrząsnął lekko głową. Myśli znowu zaczynały się kolidować rozchodzić po jego mózgu.

Według niego znak wyglądał na literę H. To by zresztą pasowało. W myślach ochrzcił kobietę od nazwy pobliskiej osady - Helenevik.

Dla niego została Helene, zanim jeszcze zaczął na poważnie badać znak na drzewie. Helene. Miał wrażenie, że imię pozwoli mu się dowiedzieć, kim była.

Nie żyła, a nieżywi nie mają przyjaciół. On jednak chciał być jej przyjacielem do czasu, kiedy odzyska swoje imię.

## 12

WINTER POGLĄDZIŁ SIĘ RĘKĄ PO BRODZIE. Wydawała się miękka, jakby zatopiona w twarzy. Był sam w swoim biurze. Słabe światło za oknem odchodziło właśnie na drugą półkulę.

W środku wszystko było biało-czarne, bez odcieni szarości. Kartki przyklejone do tablicy wiszącej na ścianie

naprzeciwko jego biurka wyglądały jak puste prostokąty. Siedział w ciszy. Nagle wszystko wokół umilkło. Poczul dojmujące zmęczenie, zdawało się zlewać z panującym w pokoju bezruchem. Niewiele możemy teraz zrobić, pomyślał. To, co mogliśmy zrobić dla Helene, zrobiliśmy w ciągu pierwszych kilku godzin.

Zacisnął powieki, a myśli jakby się rozmyły. Zobaczył twarz dziecka, otworzył oczy. Znow je zamknął i znow ukazała mu się twarz. Włosy były bezbarwne, a oczy dziewczynki, bo była to dziewczynka, patrzyły wprost na niego.

Nagle poczul, że zsuwa się z krzesła, i szybko podskoczył. Usiadł prosto. Musiałem zasnąć, pomyślał.

Nie widział już twarzy dziewczynki, ale miał ją w pamięci. Zadzwoił telefon.

- Ach, więc wróciłeś do pracy.

To była jego siostra.

- Tak, dziś rano. Wcześniej rano. Właściwie wróciłem trochę wcześniej, ale dopiero teraz na serio.

- Co się stało?

- *Somebody's got murdered.*

- Co?

- Somebo. Kogoś zamordowano. O to mi chodziło. Zacytowałem tylko tytuł piosenki zespołu, którego słucham, żeby jakoś dojść do siebie.

Słyszał, jak się zaśmiała.

- Oczywiście Coltrane?

- The Clash. Angielska kapela rockowa. Macdonald, ten mój kolega z Anglii, którego poznałem wiosną, przysłał mi kilka płyt.

- Przecież ty nigdy w życiu nie słuchałeś rocka.

- I właśnie dlatego.

- Jak to?

- To tak, jakby. no nie wiem. Potrzebuję czegoś nowego.

- A teraz masz nowe morderstwo.
- Tak.
- Czyli rozwiązaliście już sprawę napaści fizycznej, czy jak to się tam nazywa? Czy odłożyliście ją na bok?
- Napaści fizycznej?
- Mówię o twojej koleżance, Agnecie, tej o obco brzmiącym nazwisku.
- Anecie.
- Właśnie. Napadnięto ją. A wiesz, kto ostatnio do mnie dzwonił?

Winter zobaczył przed oczyma basen, nagiego mężczyznę, słońce odbijające się w wodzie i niemal poczuł duszący zapach olejku do opalania.

- Chyba wiem.
- Jak mogłeś być tak głupi, żeby jechać do domu tego bydlaka i grozić, że go zabijesz?
- Tak powiedział?
- Mówił, że byłeś u niego i próbowałeś go udusić.
- To nie tak.
- Tak mówił.
- Potrzebowałem informacji.
- To nie jest właściwy sposób.

Winter nie odpowiedział. Wyparł to już ze świadomości. Nie pamiętał już dokładnie, jak to było.

- Benny nie odzywał się do mnie od lat - powiedziała Lotta.
- Właściwie to samo można powiedzieć o tobie.
- Przykro mi.
- Czasami się zastanawiam, kiedy przestałeś być moim bratem.
- O czym ty mówisz?
- Nie było cię, kiedy cię potrzebowałam. Nie. to brzmi zbyt dramatycznie i emocjonalnie. Chodzi mi o to, że czasem chciałam z tobą pogadać.
- Staram się.



- Okazujesz to w osobliwy sposób.
- Mogę się poprawić.
- Myślisz, że poprawa nastąpi z wiekiem?
- Bycie coraz starszym jest ważne i potrzebne.
- W takim razie możemy sobie nawzajem pogratulować.
- Może tak.
- *We 'll meet again, don't know where, don't know when.*

Winter wiedział, że siostra ma rację. Kiedy przeżywała trudne chwile, on myślał tylko o karierze? Czy też o tym, czym jest teraz dla mnie moja praca, pomyślał.

Był niedojrzały. W niektórych sprawach wciąż brakowało mu siły i umiejętności współodczuwania. Lotta ma rację, pomyślał.

- Ale wróćmy do Benny'ego Vennerhaga - powiedziała. - Dzwonił i użalał się. Prosił, żebym cię trzymała od niego z daleka.

- Pogadam z nim.
- Po co? Chyba już dość narobiłeś.
- Wiesz dlaczego.
- Policja nie może sobie poradzić, nie wykorzystując osobistych kontaktów z drugą stroną? Czy nie znaleźliście tych facetów, którzy pobili twoją koleżankę?

- Złapaliśmy ich, ale i tak potrzebujemy każdej możliwej pomocy, żeby rozwiązać inne sprawy. A ten drań nie powinien dzwonić do ciebie do domu.

- Cóż, przynajmniej ktoś do mnie dzwoni.
- Teraz przesadzasz.
- Tak?
- Poprawię się. Åke nie sprawia już kłopotów?

Jego siostra rozwiodła się z Åkem Deventerem, a proces przysporzył jej mnóstwa żartów. Teraz mieszkała sama z dwójką dzieci w domu, w którym obydwójce się wychowali.

- Trzyma się z daleka, a to oznacza, że nie przysparza kłopotów. W każdym razie

zdążyłam już zapomnieć o błędzie młodości, jakim był Benny Vennerhag. Do czasu kiedy wczoraj usłyszałam jego głos w słuchawce.

- Rozumiem. Kiedy się pobraliście?
- Byliśmy kiedykolwiek małżeństwem? Pamiętam tylko nieustanne tornado, a potem ulgę po rozstaniu.
- Już wiem. Nie miałaś jeszcze dwudziestu pięciu lat.
- O Boże, w tym wieku człowiek teoretycznie jest już dorosły.
- Musiał się wystraszyć.
- Co?
- Benny. Musiał mieć cykora.
- Przecież próbowałaś go zabić.

Winter nic nie odpowiedział. Ktoś na korytarzu krzyknął coś niezrozumiałego.

- Czy to było miłe uczucie?
- Co?
- Spróbować kogoś zabić. Czy to miłe uczucie?

Winter milczał. W pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej. Ledwo mógł rozpoznać prostokąty na tablicy. Pomyślał o rękach zaciśniętych na szyi Benny'ego Vennerhaga. Nie przypominał sobie, co wtedy czuł. To nie były jego ręce.

- Jesteś tam? - zapytała.
- Jestem.
- A właściwie to jak się czujesz?
- Nie wiem. Kobieta, która miała niewiele ponad trzydziestkę, nie żyje, a my nie wiemy, jak się nazywała. To mnie dołuje. Bardziej niż powinno, przynajmniej na tak wczesnym etapie śledztwa.

- Czemu nie wpadniesz? Minęło już tyle miesięcy.  
No właśnie, czemu nie? Znów rozejrzał się po pokoju. Kiedy rozmawiał z siostrą, nic się nie zmieniło. Wszystko powinno być na swoim miejscu. Jego anonimowe, ponure biuro jest na swój sposób trwalsze od życia. Było, zanim tu przyszedł,

będzie, kiedy on odejdzie.

Oczekiwał odpowiedzi na wiele pytań, ale pewno to jeszcze trochę potrwa. Nie miał teraz nikogo innego, do kogo mógłby pójść.

- Ale dziś wieczorem?

- Teraz, za pół godziny, czy ile potrzebujesz czasu, żeby tutaj dojechać.

- Dobra. Mam coś kupić?

- Nie. To znaczy, że przyjedziesz?

- Jesteś sama?

- Pytasz o Bim i Kristinę? Teraz ich nie ma, ale przyjdą później. Chętnie się z tobą spotkają.

Winter pomyślał o siostrzenicach. Był beznadziejnym wujkiem. Beznadziejnym.

- Naprawdę. Jeszcze cię pamiętają.

Przeszedł pustym korytarzem wydziału śledczego. Zmrok wyglądał jak związane w miotły strużki słabego światła wymiatające z budynku resztki dnia. Ktoś zapomniał zgasić światło w sali konferencyjnej. Winter stanął przed tablicą i spojrzał na narysowane przez siebie kreski, strzałki, punkty i krzyżyki. Wziął z okna kolorowy mazak i przy krzyżyku oznaczającym miejsce znalezienia zwłok napisał: Helene. Na prawo od mapki, na pustym polu, napisał: transport, i zaznaczył czas pojawienia się samochodu, który widział na taśmie. Teraz ludzie Beiera badali nagrania. Powiedział im, że zależy mu na czasie.

Znów pomyślał o jeziorze, o wodzie. Ile osób trzyma na jeziorze łodzie? Na pewno można to sprawdzić. Czy komuś skradziono łódź, choćby na kilka godzin? Może w klubie wędkarskim będą wiedzieć.

Możliwości było nieskończenie wiele. Rozczarowań czekało jeszcze więcej. Odłożył mazak i odwrócił się. Pobiegł myślami do dziecka, do dziewczynki, która mu się ukazała. Nie widział już jej twarzy, ale była jak wycięta ze snu, była swego rodzaju

pozdrowieniem z odległej, przerażającej krainy, którą trzeba odwiedzić tak szybko, jak to możliwe. Musimy poznać twoje imię, Helene, pomyślał.

Na parkingu nie było nikogo. Daleko po prawej stały trzy motocykle. Kiedy tylko wyszedł z komendy, znowu się spocił. W skroniach poczuł silne pulsowanie. Znowu zakreśliło mu się w głowie. Miał wrażenie, że na parę sekund w środku myśli pojawiła się pustka, jakby na chwilę zniknęła.

Założył okulary słoneczne. Swędziała go skóra głowy i wszystkie części ciała pokryte włosami. Czuł się naelektryzowany, jakby był owinięty kilkoma warstwami rozgrzanej skóry.

Dwa balony szybowały po niebie, kierując się na wschód. Z prawej strony widać było księżyc w pełni. Jeden z balonów zasłonił go i na chwilę zrobiło się ciemno. Jakiś radiowóz minął go, wjeżdżając na parking, a mężczyzna za kółkiem skinął mu głową. Winter odpowiedział na powitanie, unosząc rękę, i poszedł dalej, do mercedesa. Stacja Shella po drugiej stronie ulicy wyglądała jak wesołe miasteczko: jaskrawe światła neonów nadawały otoczeniu nastrój zabawy. Winter czuł zapach grillowanej kiełbasy i upalnego późnego lata. Usłyszał łoskot i podniósł wzrok. Tam, gdzie przed chwilą widać było balony, wisiał teraz helikopter. Śmigła przecinały światło księżyca, zmieniając je w krótkie rozbłyski nad miastem. Helikopter obrócił się niezgrabnie w powietrzu i poleciał w kierunku centrum. Festiwal czekał. Za stacją benzynową ciągnęły się korki. Winter widział też samochody stojące przed stadionem Ullevi. Znowu całe miasto było zakorkowane. Doszedł do mercedesa i zaczął się głupio wpatrywać w kluczyki, które trzymał w dłoni, i w stojący przed nim samochód. Pewnie w ciągu godziny nie da rady zajechać daleko.

Zawrócił do wjazdu na parking i podszedł do stojaka na rowery. Zawsze trzymał tam zapasowy rower. Na takie

właśnie okazje. Uśmiechnął się do adwokatki, która właśnie wyszła, po kilku godzinach pracy w areszcie. Usiadła na ławce i Winter domyślił się, że czeka na taksówkę.

- Może podwieźć? - zapytał, wskazując na bagażnik. Kojarzył ją skądś. Nie odpowiedziała, odwróciła wzrok w drugą stronę. Na pewno adwokatka, pomyślał. Widziałem ją w sądzie. Nie poznaje mnie, może przez te okulary, T-shirt i obcięte dżinsy. Pewnie dla niej to ubranie decyduje, kim się jest.

Minął dworzec i pojechał na zachód, w kierunku rzeki. Musiał kluczyć między ludźmi kręcącymi się wokół namiotów z piwem przy Lilla Bommen. Przed Operą ktoś wszedł na ulicę na czerwonym świetle i Winter prawie się z nim zderzył, brakowało paru centymetrów. Skręcił kierownicą w prawo i na chwilę stracił równowagę. Musiał się złapać przechodnia, żeby nie upaść na asfalt.

- Jak jeździsz, do cholery, pieprzony idioto! - krzyknął mu w twarz. - Zabieraj łapy!

Winter czuł od niego alkohol i widział błysk wściekłości w oczach.

- Dobra - powiedział, próbując uwolnić kierownicę z uścisku mężczyzny.

- Nie odjedziesz stąd, ty cioto na rowerze - powiedział tamten, mocniej chwytając kierownicę.

Świetne zakończenie dnia pracy, pomyślał Winter. Zszedł gwałtownie z roweru i zrobił dwa kroki do tyłu. Zaskoczony mężczyzna zwolnił chwyt, a potem stanął Winterowi na drodze. Przyglądało im się kilka osób.

- Hej, Nasse! - krzyknął ktoś.

Winter pomyślał, że twarz faceta przypomina świński ryj. Nasse znowu chwycił rower, więc Winter go puścił. Wyciągnął z tylnej kieszeni portfel i wyjął z niego legitymację. Przypomniawszy sobie, jak zaciskał ręce na szyi Benny'ego Vennerhaga. To nie mogło się powtórzyć.

- Daję ci szansę - powiedział. - Jestem policjantem. Możesz natychmiast odejść albo będziesz miał poważne problemy.

Mężczyzna wpatrywał się w legitymację, a potem odwrócił się w stronę gapiów.

- Siema, Nasse! - krzyknął znów ktoś z nich, a Nasse spojrzął na Wintera.

- Znikaj. Masz na to pięć sekund.

Winter schylił się i podniósł rower, a mężczyzna stał bez ruchu. Chyba nie jest aż tak pijany, jak mi się wydawało, pomyślał. Wsiadł na rower i odjechał tak szybko, jak się dało. Festiwal to niebezpieczna impreza, zwłaszcza dla glin, ale miałem więcej szczęścia niż Aneta.

Kiedy stawiał rower przy metalowym ogrodzeniu, czuł zapach świeżo skoszonej trawy. Krótką ścieżką poszedł w stronę schodów. Nie był tu od miesięcy. Jadąc spokojnymi ulicami Hagen, zastanawiał się, dlaczego. Może siostra mogła by mu pomóc znaleźć odpowiedź, ale jeden z powodów znał. Parkując rower, spojrzął w lewo, w kierunku domu sąsiadów. W oknach było ciemno. Pół roku temu próbował wyjaśnić sprawę zabójstwa dziewiętnastolatka, który właśnie tam dorastał. Przyszedł do tego domu i rozmawiał z rodzicami chłopaka. Było to straszne przeżycie.

Drzwi były uchylone. Nacisnął dzwonek.

- Możesz przejść naokoło - usłyszał jej głos ze środka. Domyślił się, że siedzi w altanie. Zszedł ze schodów i, przecinając trawę, skierował się na tyły domu. Lotta wstała i uściskała go. Pachniała zmięszchem i winem. Włosy miała krótsze, niż zapamiętał, może też ciemniejsze. Rysy wokół ust i oczu były bardziej wyraziste, skóra napięta. Obejmując ją, czuł jej szczupłe ramiona i tułów. Wiedział, że za dwa miesiące, osiemnastego października, skończy czterdzieści lat. Nie był pewny, czy zrobi tego dnia jakąś imprezę.

- Napijesz się wina? Białe. Schłodzone.

- Chętnie. I poproszę trochę wody.
  - Nie słyszałam samochodu.
  - Bo przyjechałem na rowerze.
  - Aha.
  - Ulice znowu są zapchane.
  - Festiwal?
  - Tak. Byłaś tam?
  - A ty?
  - Nie w celach rozrywkowych - powiedział Winter z uśmiechem.
  - Jesteś takim samym snobem jak zawsze, ale przynajmniej ubrałeś się normalnie.
  - Nie jestem już taki.
- Lotta podała mu kieliszek wina i poszła po wodę i szklanki.
- W zeszłym tygodniu wpadłam na Angelę - powiedziała, kiedy wróciła i usadowiła się na sofie obok niego. - Na korytarzu, po obchodzie. Była na rentgenie.
  - Aha.
  - Nie mówiła za wiele. Dawno jej nie widziałam. Mam wrażenie, że zaczyna się do ciebie upodabniać, chyba przez to milczenie. Jak wspomniałam, nic nie mówiła.
  - O czym?
  - O was na przykład.
- Winter czekał na ciąg dalszy. Jego siostra była ordynatorem jednego z oddziałów w szpitalu Sahlgrenska, a Angela przeniosła się tam niedawno z Mölndal.
- Dwie najważniejsze kobiety w moim życiu są lekarkami. Ciekawe, co to oznacza.
  - To znaczy, że jesteś przypadkiem, którym trzeba się zająć. Ale zapominasz o mamie.
  - No tak.
  - Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś?
  - Kiedy dzwoniła, jakieś dwa tygodnie temu. A ty?

- Wczoraj.
  - I jak?
  - Chyba strzeliła sobie dwie szklaneczki martini przed lunchem - powiedziała i zaśmiali się oboje. - Ale mówiąc serio, pije mniej. Tata chyba przemówił jej do rozumu.
  - Tata? Żartujesz.
  - Kiedy ostatnio z nim rozmawiałeś?
- Winter przestał pić. Widział, że ręka delikatnie mu drży, widział też, że Lotta również to zauważyła.
- Kiedy się przeprowadzili do Hiszpanii.
  - Wiem.
  - W takim razie po raz kolejny to potwierdziłem.
  - Dwa lata. To długo.
  - Miał wybór. Poza tym mógł zrobić ze swoimi pieniędzmi, co chciał. I nie chodzi mi o mnie ani o nas. To jego pieniądze, ja mam swoje. Nic z tego, co mam, nie było jego. - Winter odstawił kieliszek. - Ostatecznie dokonał złego wyboru.
  - Czy nie jest ciężko bez przerwy być sędzią?
  - Nie jestem sędzią, tylko policjantem.
  - Wiesz, o co mi chodzi.
  - To był jego wybór.
  - Mama pojechała z nim.
  - Mama nie jest poczytalna.
  - Jesteś okropny - powiedziała podniesionym głosem i wyprostowała się. - Kto, do cholery, dał ci prawo osądzać najbliższych?
- Sięgnął po butelkę wina, jakby ogłuchł.
- Napijesz się jeszcze?
- Niechętnie podsunęła kieliszek.
- Mają wybór. Mogą wrócić i zapłacić za siebie.
  - A co by to zmieniło?
  - Nie chodzi o. ale czy musimy o tym mówić? - spytał Winter. - Nie możemy posiedzieć chwilę i po prostu napić się wina?



SIEDZIELI W CISZY. Powoli zapadała noc. Winter nie mógł już odczytać napisów na etykietce. Napił się. Wino miało smak ziemi i metalu. Wziął kolejny łyk i kiedy poruszył ręką, miał wrażenie, że traci równowagę.

- Jak długo jesteś na nogach? - zapytała Lotta.
- Od czwartej rano.
- Boże.
- Pierwsze godziny są ważne.
- Wiem. Najważniejsze. Ale jeśli komisarz nie może o tej porze myśleć? On albo j ego załoga?
- I tak ważne są pierwsze godziny.
- Ale teraz ważne pierwsze godziny minęły.
- O tyle o ile.
- Ale polowanie trwa.
- Jeśli można to nazwać polowaniem.
- Chcesz o tym pogadać?

Kolejny raz sięgnął po kieliszek, ale zrezygnował i cofnął rękę. Czuł, że jeśli jeszcze trochę wypije, nie będzie mógł powiedzieć już ani słowa.

Wstał, podszedł do balustrady i oparł się o nią. Czuł delikatny powiew od strony ogródka. Przy żywopłocie, za klonem, widać było domek do zabawy. Stał tam przez wszystkie te lata. Nocował w nim, kiedy mając dziewięć, dziesięć, może jedenaście lat, chciał przeżyć prawdziwą przygodę.

Miał ochotę podejść do domku, ale się nie ruszył. Jeśli postoi tu dłużej, zrobi się tak ciemno, że nie będzie już mógł go dostrzec. Będzie się tylko mógł domyślać, gdzie stoi. Zmęczenie sprawiło, że wrócił myślami do dzieciństwa. Tęsknota. Człowiek ma przed oczyma dawne życie, ale ono już odeszło, pomyślał. Wkrótce wszystko zostanie przeorane i

zmieni się w coś nowego.

Odwrócił się do siostry. Zarzuciła na ramiona szal, wyglądała w nim obco. Znowu powiało od strony ogrodu, poczuł, jak podmuch muska włosy na jego gołych nogach. Nie było mu zimno.

- Jest dziecko - powiedział. - Kobieta, którą zamordowano i której nie zidentyfikowaliśmy. Jak już ci mówiłem. Urodziła dziecko i ono musi gdzieś być.

- To cię dręczy?

- Ciebie by nie dręczyło?

- No tak.

- Nie daje mi to spokoju. Dziś kilka razy nie mogłem się skoncentrować na tym, co robiłem, bo myślałem o dziecku Helene.

Lotta spojrzała na niego.

- Ale przed chwilą powiedziałaś, że nie wiecie, jak się nazywała.

- Proszę?

- Kobieta, którą zamordowano, nie została przecież zidentyfikowana, a nazwałaś ją Helene.

- Naprawdę? Powinienem się pilnować. Nadałem jej to imię, żeby. żeby móc być bliżej, kiedy się nad tym wszystkim zastanawiam.

- Dlaczego akurat Helene?

- Znaleźliśmy ją przy Delsjö, w pobliżu Helenevik.

- Helenevik? Nie słyszałam takiej nazwy.

- Osiedle kilku ładnych domów, po drugiej stronie autostrady. Z widokiem na jezioro Rådasjön.

- Czyli Helene?

- Tak. W myślach nazywam ją Helene. Myślę też o jej dziecku.

Zauważył, że Lotta zadrżała. Miał wrażenie, że z powodu jego słów, a nie wieczornego chłodu.

- Czyli trzeba ją szybko zidentyfikować. I ustalić, gdzie

mieszkała.

Winter nie odpowiedział.

- Nie?

- Oczywiście, ale jeśli o to chodzi, jestem pesymistą. To jak powtórne zstąpienie do piekieł. Może to tylko dzisiaj, ale tak właśnie na to patrzę. Możliwe, że musimy poczekać, aż ten, kto wynajmował jej mieszkanie, zadzwoni i zgłosi, że zalega z czynszem.

- Ale to przecież może potrwać. Bardzo długo.

- Cztery miesiące - powiedział, siadając z powrotem na krześle.

- Żartujesz.

- Mam nadzieję. Mam nadzieję, że to żart.

- Zdążyłeś się już podzielić swoim pesymizmem z kimś z wydziału?

- Oczywiście, że nie.

- Czy to nie jest twój problem? I nie mówię tylko o tej sytuacji, ale w ogóle.

- Co masz na myśli?

- Przecież wiesz.

- Rozmawiam ze współpracownikami.

- Ale nie mówisz nikomu o tym, że jesteś w danej sprawie pesymistą.

- Jasne, że nie.

- Ale mnie o tym mówisz.

- Do czego zmierzasz? - spytał, podnosząc kieliszek.

- Chyba wiesz.

Winter nie odpowiedział. Pociągnął tylko łyk wina i poczuł w ustach jego chłodny smak.

- Samotność może być ciężarem - ciągnęła Lotta. - Uwierź mi, wiem, co mówię. Z jakiegoś powodu tu dzisiaj przyszedłeś i chodziło ci o coś więcej niż spotkanie z ukochaną siostrą. Chciałeś się z kimś podzielić wątpliwościami, chciałeś to z siebie wyrzucić, żeby móc

pracować dalej.

- To brzmi jak spowiedź.

- Bo dla ciebie to spowiedź. Kiedy masz wątpliwości, wydaje ci się, że grzeszysz.

- Taca.

- Zawsze taki byłeś. Od dziecka.

- Nie wiem, co odpowiedzieć.

- Powinieneś odpowiedzieć, że ty też chcesz normalnie żyć, a to z kolei znaczy, że chcesz mieć kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać o swoim nienormalnym życiu.

- Nienormalnym?

- Mówię o twojej pracy.

- Lotta, daj spokój.

- Nie można dwadzieścia cztery godziny na dobę żyć czymś, co jest tylko namiastką życia.

- Przecież tego nie robię, a jeśli już, to tylko kiedy muszę.

- Trochę zbyt często musisz.

- Nie ja o tym decyduję.

Wstał, kołysząc się, i spojrział na zegarek. Był na nogach od osiemnastu godzin. Od tych pierwszych, najważniejszych godzin. Ruszył przed siebie.

- Dokąd idziesz?

- Do domku zabaw. Jest tam jeszcze dmuchany materac?

Fredrik Halders nie popierał wygrywania bitwy, a przegrywania wojny. Kompromisy są dla frajerów. Ten, kto chce wygrać wojnę, musi się nastawić na wygranie wojny. To jedyne wyjście - dla glin i dla władz. Wynika to zresztą z definicji słowa władza.

Wrócił do centrum po rozmowie z właścicielem psiarni przy Gamla Boråsvägen. Facet był pewny tego, co mówi. O tej i o tej porze stary ford escort CLX kombi sedan cofnął się stąd i pojechał w kierunku skrzyżowania. Rocznik dziewięćdziesiąty drugi, dziewięćdziesiąty trzeci albo czwarty, kolor śnieżnobiały. Czy jest pewien? Tak, w świetle lampy było

widać, że auto jest białe. Nie można wprawdzie być pewnym, ale przecież i tak wiadomo, że na rynek wypuszczono miliony śnieżnobiałych egzemplarzy tego modelu, powiedział. Pytanie tylko, czy ten model występuje w innym kolorze.

- Ale nie był to starszy model?

- Ewentualnie z dziewięćdziesiątego pierwszego, ale nie starszy. Jak pan może wie, w dziewięćdziesiątym pierwszym zaczęli produkować nowe escorty. Takie o bardziej zaokrąglonych kształtach. I wyższe. Ten właśnie taki był.

- Ale to był CLX?

- Słucham?

- Mówił pan, że to CLX. Dlaczego nie RS?

Mężczyzna spojrział na Haldersa, jakby w końcu powiedział coś mądrego.

- Czyli wie pan coś o samochodach?

Halders przytaknął.

- W takim razie wie pan, że model RS ma skrzydło na bagażniku - powiedział właściciel psiarni. - A ten samochód go nie miał.

- Widział pan tablicę?

- Nie miałem przy sobie notatnika, ale pamiętam, że numer zaczynał się od HE.

- HE? Żadnych cyfr?

- Nie było widać. Literę widać jakoś lepiej niż cyfry.

- Tak?

- Przecież nie rozmawiamy cyframi, no nie? Wydaje mi się, że dlatego literę widać lepiej.

Kompletny idiota, który ma dobre oczy i zna się na samochodach, pomyślał Halders. Przytaknął i zanotował.

- Coś jeszcze?

- Czy coś jeszcze widziałem?

- Tak. A może pan słyszał?

- To od czego mam zacząć?

- Czy widział pan coś poza samochodem?

- Na pewno nie widziałem kierowcy. Światło padało tak, że od strony kierowcy było ciemno.
- Żadnego pasażera?
- Ja nie widziałem.
- Skąd przyjechał samochód?
- Nie wiem, ale kiedy był na ścieżce, wykręcał w stronę miasta.

Halders znowu coś zapisał.

- Czyli musiał przyjechać z przeciwnej strony - powiedział mężczyzna. - Od strony jeziora albo Helenevik, no nie?

Halders nie odpowiedział.

- No nie? - powtórzył mężczyzna. - Nawet moje wyżły by to wydedukowały. Halders rzucił mu spojrzenie znad notatnika.

- Kierowca mógł się pomylić albo rozmyślić, albo po prostu wybrał się na przejażdżkę, tu zakręcił i wrócił do domu - powiedział. Co za kretyn, dodał w myślach.

- Aha - powiedział facet. - Teraz już wiem, jak pracuje policja. Sam bym chyba na to nie wpadł - dodał, pokazując palcem na czoło.

- Słyszał pan coś?

- Coś poza samochodem?

- Tak. Przedtem, w trakcie lub potem.

- Od czego mam zacząć?

Halders westchnął głośno.

- Robi się późno, obaj jesteśmy zmęczeni - powiedział.

- Ja nie jestem zmęczony - odparł facet.

- Słyszał pan coś? - powtórzył Halders.

- Nie.

- I nie widział pan już nic niezwykłego ani wczoraj wieczorem, ani w nocy?

- No, chyba byłoby trudno, no nie?

- Nie rozumiem. - Halders czekał na ciąg dalszy. Stali na schodach przed domem mężczyzny. Kiedy Halders

przyjechał, usłyszał szczekanie, ale potem zrobiło się cicho. Za rogiem domu zauważył stalową siatkę wyznaczającą zagrodę psów. Połyskiwała w świetle lampy zawieszanej nad ścieżką. Facet nie zaprosił go do środka. Był niski, jakby guzowaty, i natychmiast, jak tylko wysoki Halders przed nim stanął, przyjął postawę obronną. Zapewne w ramach obrony własnej. Facet nie powiedział niczego więcej. - Nie zrozumiałem ostatniego zdania - powtórzył Halders.

- Trudno było zauważyć coś niezwykłego, skoro przez cały wieczór na drodze było pełno samochodów jadących do waszego ośrodka, no nie?

Haldersa zaczęło wkurwiać „no nie”, którym facet kończył zdania. Zrozumiał jednak, o co mu chodziło.

- Mówi pan o imprezie zorganizowanej wczoraj w policyjnym ośrodku sportowym?

- Chyba raczej ośrodka piwnym, no nie?

- Przeszkadzało to panu w jakiś sposób?

- Nie to, żeby przeszkadzało, po prostu ruch był duży.

- Ma pan na myśli samochody?

- Ruch to chyba właśnie samochody, no nie?

- Żadnych przechodniów?

- Ja nikogo nie widziałem. Ale przecież bywały już takie imprezy w ośrodku piwnym, że w nocy wasi goście włązili na moją ziemię, to tu, to tam. Raz jakiś policjant w cywilu i prawie naga kobieta postanowili się przespać na mchu, tam, za psiarnią - powiedział, wskazując ruchem głowy za róg domu.

To mogła być impreza z okazji mojej czterdziestki, pomyślał Halders.

- Ale tej nocy nikt tu nie biegał?

- Ja nikogo nie słyszałem. Ale pogadajcie lepiej z kolegami.

- Właśnie to robimy.

- To chyba dobry pomysł, no nie?

- Ale co do samochodu jest pan pewny? - spytał Halders,

zdumiony własną cierpliwością.

- Przecież powiedziałem, no nie? Obgadaliśmy mnóstwo szczegółów, no nie?

- W takim razie dziękuję za rozmowę. Jeśli przypomni się panu coś jeszcze, cokolwiek, odezwie się pan do nas, no nie? To może być też coś, co wydarzyło się wcześniej, albo ktoś, kto przechodził tędy kilka razy. Cokolwiek. Rozumie pan, co mam na myśli, no nie? - powiedział, odpalił silnik i ruszył w kierunku miasta z krzywym uśmiechem na ustach.

Zaparkował przed komendą i ruszył wzdłuż rzeki. Miasto wokół niego trajkotało. Nie mógł znaleźć na to innego określenia. Otaczający go tłum trajkotał. Na ulicach było za mało policjantów, bo też chcieli normalnie żyć. Powinno być tylu policjantów, ilu obywateli, pomyślał, kiedy doszedł do Sheratona. Jeden policjant na obywatela, zakładając, że policjant jest porządny i uczciwy.

Przebiegł Drottningtorget. Przed budynkiem giełdy jakaś para piła coś z przezroczystych plastikowych kubków. To nie sok, pomyślał Halders. Powiniennem podejść, wyrwać im kubki z rąk, chwycić ich i zawlec do aresztu. Karać za małe wykroczenia. Zero tolerancji. To wprawdzie idiotyczne wyrażenie, ale coś znaczy. Społeczeństwo powinno pokazywać, że absolutnie nie akceptuje takich rzeczy. Każda główniana sprawka, która jest przestępstwem, powinna być traktowana jak przestępstwo. Tym, którzy jeżdżą na rowerach bez świateł, powinno się odbierać karty. Tych, którzy piją w miejscach publicznych, powinno się wsadzać. Pozbawienie wolności na jakiś czas, za każde wykroczenie. Tak zrobili w Nowym Jorku. Wtedy w mieście by się uspokoiło. W kraju by się uspokoiło.

Uspokoiliby się wszystko i wszyscy poza mną, pomyślał. Im więcej myślę o spokoju, tym bardziej jestem wkurwiony. Jak długo bym pociągnął, gdyby społeczeństwo dało zielone światło zerowej tolerancji? A inni policjanci? Co by robili?



Niektórzy tylko ściemniają, inni nie idą na kompromisy. Dla tych drugich cały czas trwa wojna.

On i tysiąc innych osób czekało przed przejściem przy Götavägen. Po chwili znalazł się wśród dziesiątek tysięcy na Packhuskajen. Zaczęły strzelać fajerwerki. Czuł, jak głowa mu pęka. Kupił kufel piwa i usiadł przy narożniku długiego stołu. Wpatrywał się uporczywie w mężczyznę siedzącego naprzeciwko. Po chwili mężczyzna wstał i odszedł.

Halders podniósł wzrok i obserwował wybuchające na niebie fajerwerki. Światło odbijało się w twarzach ludzi. Ich czoła wyglądały jak wytatuowane, na policzkach i brodach widać było odcisnięty wzór, którego Halders nie mógł rozszyfrować. Pociągnął z kufła. Na chwilę zamknął oczy i pomyślał, że już nigdy nie będzie mógł zasnąć. Przez zaciśnięte powieki świat wydawał się czerwono-żółty od rozbłysków na niebie. Kiedy fajerwerki się skończyły, zrobiło się ciemniej. Otworzył oczy i przez chwilę miał mdłości. Pomyślał o Anecie leżącej na białym szpitalnym łóżku i złe myśli wróciły.

Winter wczołgał się do domku zabaw i położył się na materacu. Był nadmuchany tylko do połowy, więc czuł, jak słoje podłogowych desek odciskają mu się na plecach. Może w materacu było wciąż to samo stare powietrze. Może coś jeszcze się uchowało w twardych narożnikach. Możliwe, że leżał teraz na powietrzu z czasów dzieciństwa. Przynajmniej pachniało dzieciństwem: delikatny, suchy zapach, którego nigdy nie da się zapomnieć. Był przezroczysty, a mimo to wyraźny.

Rozłożył ramiona i z obu stron dotknął ścian. Zasnął.

## 14

O ŚWICIE WRÓCIŁ NA ROWERZE do domu. Wbrew rozsądkowi próbował wrócić już około północy.

- Połóż się w gościnnym - powiedziała Lotta. Tak też zrobił.

Jadąc przez zielony park Slottskogen, rozbudził się zupełnie. Ulice zamiatano po nocy. Asfalt splukano wodą i Winter omal się nie wywrócił, kiedy, mimo zakazu, przecinał na skos Linnéplatsen.

W mieszkaniu pachniało upałem i kurzem. Zrzucił sandały i schylił się po gazetę. Dziennik „GP” pisał o morderstwie w tonie umiarkowanym, bez spekulowania. Szukał dobrych pomysłów, które mógłby wykorzystać podczas zebrania, za dwie godziny, ale nic nie znalazł.

Helene nadal była bezimiennym, zimnym ciałem zamkniętym w lodówce, w plastikowej torbie z suwakiem. Był piątkowy poranek. Od chwili kiedy zobaczył jej twarz, upłynęły dwadzieścia cztery godziny. Próbował przypomnieć sobie jej rysy, ale złyły się ze wszystkimi martwymi twarzami, które widział.

Odłożył gazetę na stojak.

Ściągnął T-shirt, szorty i bokserki. Zostawił je na podłodze w przedpokoju. Stał pod prysznicem. Kiedy strumienie wody zaczęły mu spływać po głowie i ramionach, nie myślał o niczym. Ogolił się w zaparowanej łazience, wytarł się niedbale i wyszedł do kuchni, z ręcznikiem przewiązonym na biodrach. Po drugiej stronie Vasaplatsen słońce wspinało się po dachach domów. Przekręcił żaluzje. Wyciągnął młynek i zmielił afrykańską kawę. Poczul jej mocny aromat i orzeźwienie przyszło, zanim jeszcze ją zaparzył.

Przygotował dwie bułki, które kupił w piekarni na parterze, zanim wszedł do domu. W ustach czuł zimne masło. Zjadł dwa grube plastry sera. Za oknem turkotały tramwaje, a przez drzwi w salonie widział mewę, która przysiadła na balkonie. Podniosła się, skrzecząc, i niezdarnie przeleciała przed kuchennym oknem. Pijąc kawę, w ciszy słyszał trzepot jej skrzydeł.

Zebranie trwało krótko. Winter powiesił marynarkę na oparciu krzesła, zakasał rękawy koszuli i strzepnął coś z

nogawki spodni.

Cerutti, pomyślała Sara Helander. Z przewiewnego materiału.

- Zatem nadal nie wiemy, kim była - powiedział Winter. - Ani w głównym biurze śledczym w Sztokholmie, ani u nas nie udało się jej zidentyfikować.

- Dziś przepytamy ludzi z okolicy - powiedział Halders. - Jak to się nazywa?

- Helenevik - odpowiedział Bertil Ringmar.

- Będzie was siedmioro - dodał Winter.

- Siedmioro?

- Na tyłu możemy sobie teraz pozwolić. Chodzi o całą okolicę, o której wspominałem ostatnio.

- Chodziło mi o to, że siedem osób to dużo - odparł Halders. - Jestem pod wrażeniem.

Winter spojrział na niego, ale się nie odezwał. Postawa Fredrika zaczynała być coraz poważniejszym problemem. Trzeba będzie z nim pogadać. Czy to tak wygląda starzenie się? Przekroczenie magicznej granicy czterdziestu lat i powolne staczenie się?

- Ilu z nas ma rozmawiać z policjantami? - zapytał Berghem.

- Jak to? - nie zrozumiał Carlberg.

- Chodzi o tę imprezkę, którą urządziło biuro kontroli - wyjaśniła Sara Helander.

- Sami nie mogą tego sprawdzić? - spytał Halders.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - jęknął Möllerström.

- Biuro kontroli może się samo skontrolować.

- Fredrik, daj spokój - powiedział Winter.

- O co ci cho.

- Powiedziałem, żebyś dał spokój - powtórzył Winter i schylił się po kartkę, tak jakby sprawa została załatwiona. To najlepszy sposób, żeby człowieka skrytykować, a przy tym oszczędzić mu żalosego ciągu dalszego.

- Ty i Börjesson zajmiecie się imprezowiczami - powiedział Ringmar do Bergenhema.

- Niektórzy z nich pewnie są jeszcze trochę zmęczeni - stwierdził Bergenhem.

- Nie tylko oni - powiedziała Sara Helander.

Wszyscy zebrani, a w sali siedziały dwadzieścia cztery osoby, pomyśleli o zbliżającym się weekendzie. Wielu z nich na ten lub następny wieczór zaplanowało przyjęcie z okazji rozpoczęcia sezonu na raki. Czy będą mieli siłę dobrze się bawić? Czy dadzą radę dojść do domu? Ile nadgodzin szykują dla nich przełożeni?

- Tutaj nikt nie jest zmęczony - powiedział Winter, ziewając, i gestem odprawił zgromadzonych. W drzwiach zrobiło się ciasno, wszyscy chcieli wyjść.

Winter wszedł na schody prowadzące do wydziału technicznego i minął podwójne drzwi chroniące tę część budynku przed nieproszonymi gośćmi. Beier i jego ekipa nie ryzykowali. Za pierwszymi drzwiami znajdowało się biuro, w którym trzeba było wyjaśnić cel wizyty i w którym zostawiało się przyniesione przedmioty. Beier przyjmował tylko te zapakowane w torebki lub kartony. Bez tego materiały mogą zostać poważnie uszkodzone, pomyślał Winter. Teraz w każdym samochodzie są papierowe torebki z wydziału technicznego, a mimo to niektórzy bezmyślnie wysyłają znalezione przedmioty tradycyjną pocztą.

Poszedł dalej. Zaraz za wejściem, na prawo, znajdowały się laboratoria. W tym to, w którym przeprowadzano analizy śladów. Pracował tam technik badający broń oraz chemik zajmujący się narkotykami, śladami na ubraniach i chemicznymi metodami

ujawniania odcisków palców. Ślady linii papilarnych analizowane były również w oddzielnym laboratorium, w którym zatrudniano dwóch policjantów oraz jednego pracownika cywilnego. Poza tym w Göteborgu było trzech

fotografów, którzy niemal na pełen etat zajmowali się odciskami palców. Był też jeszcze jeden specjalista w odległej o osiemdziesiąt kilometrów Uddevalli.

W skład grupy terenowej wchodziło w sumie trzynaście osób, w tym technicy i policjanci zajmujący się oględzinami miejsca zbrodni. Do tego dochodziło dwóch komisarzy i dwie osoby z biura.

Kilka osób siedziało w nowym pokoju socjalnym. Krajowe Biuro Technik Kryminalistycznych przyznało wydziałowi sporo pieniędzy dosłownie chwilę przed tym, jak pomieszczenia miały zostać uznane za nienadające się do pracy. Beier mógł więc wszystko przebudować i rozbudować. Wcześniej miał tylko jedno laboratorium, w którym trzeba było prowadzić wszystkie rodzaje badań. Teraz miał laboratorium, do którego przyjmowano przedmioty, laboratorium chemiczne, laboratorium badające ślady

- Winter właśnie je minął - laboratorium daktyloskopijne oraz laboratorium, w którym badano odzież i włókna. To ostatnie składało się z dwóch oddzielnych pomieszczeń. Technicy nie chcieli przyjmować w jednym pokoju ubrań ofiar i podejrzanych. W ten sposób nie ryzykowali, że nitki i włókna się pomieszają. Odzieżą ofiar i odzieżą podejrzanych zajmowały się też różne osoby - tak było najlepiej.

Robi wrażenie, pomyślał Winter. Nie był tu od jakiegoś czasu. Na korytarzu pojawił się Beier.

- Napijesz się kawy?

- Chętnie.

- Jest w socjalnym.

Przeszli korytarzem z powrotem do pokoju, a kiedy weszli, Beier zamknął za sobą drzwi.

- Od czego zaczynamy?

- Od samochodu.

- Zdjęcia z kamery były niewyraźne.

- Ale to ford?
- Tak sądzimy.
- Escort CLX.
- Może. Prawdopodobnie.
- Gadałeś z ludźmi z telewizji?
- Nie znają się na takich analizach. Ja i ty mamy tak samo dobre oczy jak oni.
- Da radę trochę lepiej zobaczyć kierowcę?
- Jensen próbuje właśnie dojrzeć coś na tym zamazanym obrazie, ale twierdzi, że szanse są niewielkie. Ja zresztą się z tym zgadzam.
- Widać, czy to mężczyzna?

Beier wzruszył ramionami.

- Czasami nie widać tego nawet na ostrych zdjęciach.
- Jak to?
- Kobiety mogą być równie ładne jak mężczyźni.
- Rozumiem.
- Różnica może być żadna.
- No jasne.

Winter zabębnił palcami w stół.

- Jeszcze jedno ważne pytanie - powiedział. - Numer rejestracyjny.
- Jeśli o to chodzi, to chyba coś mamy. Trzy litery: HEL albo HEI.
- Na ile jesteście pewni?

Beier znów wzruszył ramionami.

- Będziemy próbowali dalej, ale ty też możesz się za to zabrać, jeśli masz ludzi. Beier podał kawę. Winter pił, nie czując w ogóle smaku.
- Wiemy, że ten samochód mógł się zatrzymać przy miejscu znalezienia zwłok właśnie wtedy, kiedy je tam zostawiono - powiedział Winter.
- Zgadza się.
- To też musimy zbadać.

- Musisz tylko namierzyć wszystkie fordy escorty w mieście. Albo w kraju.

- Escorty CLX.

- Tego nie wiesz.

- Nie, ale od tego zacznę. W tej sprawie, nad którą pracowałem wiosną w Londynie. Jeden policjant od nich opowiadał mi, jak szukali samochodu, mając tylko jego kolor i niepotwierdzoną markę. My jesteśmy w lepszej sytuacji.

- Być może.

- Oczywiście, że w lepszej, Göran. Siedząc tu z tobą, czuję, jak rośnie we mnie optymizm.

- Może powinienem go przyhamować.

- Czemu?

- Nie znalazłem nic nowego o tych dziwnych symbolach na drzewie, czy jak tam to nazwać.

- Jeden chłopak od nas zasugerował, że to chińskie znaki.

- To by uprościło sprawę.

- No właśnie.

- Wtedy miałbyś tylko miliard Chińczyków do przesłuchania.

- Zapominasz o ludziach z Zachodu znających chiński.

- Proponuję, żebyś zaczął od tego.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, popijając kawę i wsłuchując się w buczenie klimatyzacji. Winterowi wydawało się, że niemal zamarza od zimnego powiewu. Beier miał na sobie wzorzystą marynarkę, białą koszulę i krawat w kolorze wpadającym w bordo. Jesteśmy dzisiaj chyba jedynymi policjantami w tym budynku, którzy mają krawaty, pomyślał Winter i poluzował swój. Znowu miał na sobie swój pancerz, swój specjalny uniform. Beier tego nie skomentował.

- Jestem pewien, że to się wiąże z morderstwem - powiedział Winter.

- Dlaczego?

- Przeczucie, ale silne.

- Zatem myślisz pozytywnie.
- To byłby zbyt duży zbieg okoliczności, gdyby ktoś niemal w tym samym czasie namalował coś na drzewie.
- Może ktoś, kto coś wie, zgłosi się dzisiaj albo kiedy wystosujemy apel o pomoc,  
o informacje.
- Wstrzymam się z tym jeszcze.
- Byle nie za długo, komisarzu.
- Wiesz przecież, że to może być niebezpieczne. Może już wkrótce będziemy mogli wykorzystać to podczas przesłuchania.
- Taaak.
- To może mieć decydujące znaczenie.
- Może była częścią. ceremonii?
- Nie.
- Nie?
- Ta zatoczka chyba była kiedyś kryjówką satanistów i innych świrów. Może nadal nią jest, ale ona nie brała udziału w niczym takim.
- Może nie miała wyboru.
- Wiesz, o co mi chodzi - powiedział Winter. - To do siebie nie pasuje. Na pewno byłyby jakieś ślady. Ktoś by pewnie coś usłyszał.
- Na przykład ten właściciel psiarni od Haldersa?  
Fredrik opowiedział o nim Winterowi, który z kolei opowiedział Beierowi.
- Winter się uśmiechnął i łyknął trochę kawy, ale była za zimna.
- Albo policjanci z biura kontroli?
- Mają kilku wybitnych ludzi.
- Wybitnych w każdych okolicznościach?
- Policjant jest zawsze przygotowany?
- Na co?
- Na najgorsze - powiedział Winter i objął spoważnieni. -



Często wychodzi na to, że wybór miejsca nie był przypadkowy. Morderca wybiera miejsce. Może to jeden z takich przypadków.

- Chyba się z tobą zgadzam.

- Musimy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ofiara leżała właśnie tam. Czemu nad Delsjö. A po drugie, czemu akurat na tym krańcu jeziora.

- Stamtąd jest blisko do drogi.

- Możliwe. Poza tym musimy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właśnie w tym miejscu. Czemu nie pięć metrów w tę czy w tamtą stronę.

- Myślisz, że nawet taki szczegół jest ważny?

- Niewykluczone. Może ukierunkować myślenie.

- Bardzo lubisz takie ukierunkowania.

- Bo to przeciwieństwo zastoju.

- Pięknie powiedziane - podsumował Beier.

Halders zdecydował się na samotny spacer wzdłuż Sjöstigen. Miał nawet ochotę wykąpać się w jeziorze Rådasjön, ale poszedł dalej na wschód i wrócił na Rådvägen. Wille na szczycie zbrocza stały spokojnie, jakby spały.

Okolica przypominała mu, że jest tylko biednym policjantem kryminalnym i że nigdy nie będzie nikim więcej. Wiedział, że nigdy nie zostanie komisarzem, ale nie był jeszcze pewien, czy tego żałuje. Gdzieś głęboko w nim tkwiło przekonanie, że nie nadaje się do takiej roboty, na razie jednak nie chciał sobie tego uświadamiać.

Gdyby tylko znalazł się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie, jego szczęście mogłoby tam na niego czekać. Wziąłby je wtedy pod rękę i wrócił do siedziby policji przy placu Erika Fontella, a komendant wezwałby go do siebie, krzycząc jednocześnie na Wintera, by ustąpił miejsca temu oto komisarzowi Haldersowi.

Przesłuchania rozpoczął od domu stojącego w pobliżu szkoły, której nazwy nie znał. Zadzwonił do drzwi i czekał. Echo

dzwonnka rozniosło się po wnętrzu dużej willi.

Zadzwoił jeszcze raz. Stał w cieniu markizy wiszącej nad drzwiami, więc pot wolniej spływał mu po czole, zatrzymywał się na powiekach. Zamrugał i przechylił głowę, i w tym momencie drzwi otworzyła kobieta w szlafroku. Miała ciemne włosy, ale może tak tylko wyglądała na tle rozświetlonych drzwi. Drzwi było przynajmniej troje, wpuszczały do środka światło z ogrodu, znajdującego się zapewne jakieś dwadzieścia metrów dalej. Zieleń w głębi wyglądała jak na filmie, jakby patrzył na nią przez tunel. W środku dom jest na pewno większy, niż się wydaje z zewnątrz.

- Przepraszam, że przeszkadzam, jestem z policji. Z policji kryminalnej - powiedział Halders, wyciągając legitymację. Potem niezdarnie wepchnął ją do portfela. Wszystko to trwało jakieś pięć sekund.

- Tak?

- Przeprowadzamy właśnie.

- Chodzi o zabójstwo po drugiej stronie Boråsleden? Czytałam o nim. I właśnie o tym rozmawialiśmy - powiedziała kobieta i nagle tuż za nią pojawił się mężczyzna z nagim torsem, w samych kąpielówkach.

Halders nie zauważył, żeby facet przyszedł tym tunelem od strony ogrodu.

- To rutynowe działanie. Musimy przesłuchać wszystkich w okolicy, zapytać, czy nie widzieli lub nie słyszeli czegoś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Dwadzieścia cztery godziny, licząc od kiedy? - zapytał mężczyzna. - Tak na marginesie, nazywam się Petersén - powiedział, wyciągając rękę. Halders ją uściśnął.

- Właśnie - powiedziała kobieta, uśmiechając się i również wyciągając dłoń, którą Halders delikatnie uściśnął. - Denise.

- Halders.

- Proszę wejść - zaprosił go mężczyzna i Halders wkroczył

do świetlistego tunelu prowadzącego do ogrodu. Idąc za parą, doszedł do tarasu pokrytego czymś, co wyglądało na mozaikę.

- Podać coś do picia? - zapytał mężczyzna, a Halders przyjął propozycję.

- Może drinka? Gin z tonikiem?

- Niestety.

- Piwo?

- Chętnie.

Mężczyzna wszedł do domu, a kobieta rozsiadła się na składanym krześle o skomplikowanej konstrukcji. Na czubek nosa założyła okulary słoneczne i Haldersowi zdawało się, że mu się przygląda. On też spojrział na nią. Kołysała zawieszonym na stopie sandałkiem, który w świetle słońca był czerwony jak płomień.

- Jestem do pańskiej dyspozycji - powiedziała.

Nie pozwól, żeby fantazje cię rozproszyły, pomyślał Halders. Musisz zachować choć odrobinę oleju w głowie.

Mężczyzna wrócił z tacą z trzema butelkami piwa.

## 15

ZADZWONIŁ BENNY VENNERHAG. Winter już o nim zapomniał. Przeglądał właśnie zdjęcia.

- Słyszałem, że już to rozwiązaliście.

Winter się nie odezwał. Nadal przyglądał się zdjęciu drzewa, w którego cieniu leżały zwłoki. Nie było ich widać, ale wiadomo było, że tam są.

- Pobicie waszej koleżanki - ciągnął Vennerhag. - Słyszałem, że sprawa została wyjaśniona.

Winter nie odpowiedział. Myślał o swoich dłoniach zaciśniętych na szyi Vennerhaga.

- Nadal mnie to boli - powiedział Vennerhag.

- Co?

- Brutalizacja w szeregach policji. To, co mi ostatnio zrobiliś. Mógłbym.

- Może już wkrótce znowu będę potrzebował twojej pomocy

- powiedział Winter słodkim głosem.

- Nie lubię u ciebie tego tonu - odparł Vennerhag. - W takim razie będziemy to musieli załatwić przez telefon. - Czekaj, ale Winter nic już nie powiedział. - A o co chodzi?

- Jeszcze nie wiem, ale niewykluczone, że wkrótce się odezwę.

- A jeśli wyjadę z miasta?

- Nie radzę.

- Nie mogę wyjechać z miasta?

- Kiedy wyjeżdżałeś ostatnim razem, Benny?

- To nie ma nic do rzeczy, komisarzu.

- Nie wyjechałeś poza granice miasta od czterech lat.

- Skąd wiesz?

- Czyżby król złodziei stał się naiwny?

Vennerhag zaśmiał się ostro.

- Dobra, dobra. I tak rozumiem, o co chodzi. Umiem czytać. Nie wiem tylko, na co mogę się przydać. Kim ona w ogóle była?

- Kto?

- Ta zabita, do cholery. Ofiara. Kim była?

- Nie wiemy.

- Daj spokój, coś takiego jak niezidentyfikowane zwłoki już nie istnieje.

- Może w twoim świecie.

- Co masz na myśli?

Wintera zdudził głos Vennerhaga. Chciał już skończyć tę rozmowę. Od gorąca panującego w pokoju i od nagrzanego słuchawki przyciśniętej do ucha swędziało go policzek.

- Nie żartuję, kiedy mówię, że nie wiemy, kim była - powiedział. - Może będę potrzebował twojej pomocy. A wtedy chętnie mi pomożesz, prawda, Benny?

- Tylko jeśli będziesz miły.
- Policjanci zawsze są mili. To jest najważniejsze. Ludzie muszą wiedzieć, że policjanci są mili. - Znów usłyszał w słuchawce ostry śmiech Vennerhaga.
- A wszyscy inni są źli. A propos, co tam u Lotty?
- Mówiła mi, że dzwoniłeś i narzekałeś.
- Nie narzekałem. Zresztą zrobiłem to dla twojego dobra.

Nie wolno tak

postępować. Jest upał, ale trzeba trzymać nerwy na wodzy.

- Nie dzwoń do niej więcej i trzymaj się z daleka.
- Z jak daleka? Przecież nie mogę wyjeżdżać z miasta.
- Do usłyszenia, Benny - powiedział Winter i odłożył słuchawkę. Dłoń miał mokrą. Wstał, zdjął marynarkę i odwiesił ją na oparcie krzesła. Z początku materiał wokół nadgarstków przynosił mu ochłodę, ale teraz zaczął mu ciążyć. Zdjął poluzowany wcześniej krawat i odwiesił go na krzesło, na marynarkę. Wyglądał na niej jak rozciągnięty wąż.

Podciągnął rękawy białej koszuli i zatęsknił za T-shirtem i obciętymi džinsami. Dziś rano postanowił, że dość tego, że zaczęła się praca, a praca wymaga tego drogiego pancerza, którym zawsze się otaczał. Dla niego była to ochrona. Dzięki niej wysyłał innym sygnały. Jakie? O tym rozmawiał w nocy z siostrą. Sygnały słabości, tak twierdziła. Ten, kto musi się chować za garniturem od Armaniego albo Bossa, nie czuje się dobrze w swoim ciele. Od Baldessariniego albo od Ceruttiego, odpowiedział, nie od Armaniego czy Bossa. Takie się nosi, reperując samochód. Zaśmiała się i powiedziała:

Oj, jest z tobą gorzej, niż sądziłam. Po prostu chcę być dobrze ubrany. Czy nie można spojrzeć na to z tej strony?, odparł. Przecież nie kryje się za tym nic więcej. Kryje się, powiedziała Lotta.

I powiedział jej. O strachu, który go przenikał, gdy zbliżał się do samego serca zła. O tym, że strach ciągle narasta. O

słabości, która rosła w nim jak nadmuchiwana powietrzem bańka. Świadomość, że nie może nic zrobić ze swoim życiem, że nic nie chce z nim zrobić, stała się ciężarem w chwili, kiedy zrozumiał, co to tak naprawdę oznacza. Kiedy przychodziła noc, nie mógł zrzucić z siebie dnia, odwiesić go jak jednej ze swoich marynarek, nie mógł się ubrać w domowe ciuchy i zacząć myśleć o czymś innym. Jakby ten cholerny garnitur od Ceruttiego miał na sobie, nawet kiedy szedł do łóżka.

Ale było coś jeszcze. Być może dało się to wyjaśnić, przynajmniej częściowo. Eleganckie ubrania były swego rodzaju osłoną przed nieustannym lękiem. Dzięki niej nie przenikał do samego ciała. To może być odpowiedź, powiedziała Lotta. Problem tkwił jednak w tym, że to, co na zewnątrz, rzadko pomagało mu w sprawach dotyczących wnętrza. Pomyśl o tym, kiedy będziesz prasował swoją pancerną koszulę, dodała, a noc wokoło zaczynała już znikać, przechodząc w dzień.

\*

Powierzchnia wody wyglądała jak pokryta połyskliwą warstwą srebrnego pyłu, który ktoś rozsypał po tafli jeziora. Winter poczuł ukłucie w oczach, kiedy spojrzał na północ. Słońce odbijało się w taśmie oddzielającej miejsce, gdzie znaleźli Helene. Słońce jest fałszywe, igra ze wszystkim, co napotka, nawet z taśmą znaczącą miejsce śmierci. Podszedł ścieżką do drzewa rosnącego na krawędzi torfowiska. Słychać było koniki polne. Taki odgłos wydaje długi, ciężki upał. Delikatny powiew przyniósł ze sobą zapach wilgoci znad wyschniętego niemal do cna bagna ukrytego w środku ciemnego terenu.

Winter nie widział dookoła nikogo, ale wiedział, że policjanci krążą wokół jeziora w poszukiwaniu śladów i ludzi

mieszkających przy brzegu.

Dochodziła dwunasta. Z tyłu, z trasy, dobiegał szum nielicznych samochodów. Winter stał pod drzewami. Doliczył się dwudziestu różnych odcieni zieleni. Nawet światło słońca i niebo przeblyskujące od zachodu między liśćmi i gałęziami były zielone. Tylko symbol namalowany na korze dwadzieścia centymetrów od jego głowy był czerwony. Winter uważał, że to właśnie symbol. Symbol czego? Widział literę H, ale może tylko dlatego, że chciał ją widzieć. Czuł, że znak ma coś wspólnego z tym miejscem i z tym, co się tu wydarzyło. Przerazało go to uczucie.

Kiedy po raz kolejny spojrzął na wodę, na jej powierzchni zamiast srebra unosiła się zielona substancja. Wiedział, że to złudzenie optyczne, ale widok pasował do drzew i do rowu w lesie, do tego, co się tu zdarzyło, do ciszy zamkniętej w tym symbolu.

Niemal się uśmiechnął. Jeśli złamię szyfr, krzyk rozniesie się echem po jeziorze, zagłuszając strzały z policyjnej strzelnicy po drugiej stronie torfowiska. W podmokłym terenie zostawiono mnóstwo śladów stóp, ale nie dało się go przeczesać, bo tylko w niektórych miejscach można było znaleźć grunt. Mokradło podnosiło się i opadało, obracało, kształtując na nowo. Widoczne wcześniej ślady stóp zapadły się w głąb, przesunęły na bok, zniknęły pod ziemią i trawą.

Winter usłyszał coś za plecami i odwrócił się. Ktoś się do niego zbliżał, ale widać było tylko zarys postaci. Kiedy ten ktoś wszedł w cień, Winter zobaczył, że to Halders.

- A więc szef ma czas, żeby tu sobie stać. - Halders miał na sobie samą koszulę, wypuszczoną na spodnie. Jego twarz częściowo zasłaniał cień, ale Winter widział pot połyskujący na wspinającym się wysoko na wystrzyżoną czaszkę czole. - Chłodno tu. I spokojnie.

- Przyszędłeś tu z Helenevik? Nie słyszałem samochodu.

- Stoi tam - powiedział Halders i odwrócił się, wskazując za

siebie, jakby nie chciał się przyznać, że przeszedł pięć kilometrów w taki upał. - Chyba miałem podobny pomysł. Chciałem obejrzeć to miejsce, skoro i tak jestem w pobliżu.

- Tak.

- To pierwszy raz - powiedział Halders tak, że zabrzmiało to jak oskarżenie.

Winter nie odpowiedział. Spojrzał w kierunku drzewa, a Halders podszedł bliżej.

- A więc to jest ten cholerny znak. Może to jacyś gówniarze go namalowali?

- Może, ale trzeba to sprawdzić.

- To na pewno farba?

- Tak.

- Nie krew?

- Nie.

- Ale może to miała być krew. To znaczy miała wyglądać na krew, żebyśmy tak właśnie pomyśleli.

- Możliwe - powiedział Winter.

- Czy jest sens łączyć to z morderstwem i z tą kobietą? - Halders podniósł rękę. - Nie, nie musisz nic mówić. Tak tylko głośno myślę. Dzieciaki bawią się tu i malują na drzewie, a potem kończy im się farba. nie, ktoś ich zaskakuje. albo nie, chcą po prostu, żeby to był mistyczny znak. A teraz zastanawiają się, czy już to widzieliśmy. zastanawiają się, czemu jeszcze nic o tym nie powiedzieliśmy, czemu nie daliśmy znać prasie, nie pokazaliśmy zdjęć.

- Dzisiaj młodzi chyba wiedzą, że gliny zachowują pewne informacje dla siebie, zwłaszcza jeśli chodzi o materiał dowodowy.

- Nie pomyślałem o tym - powiedział Halders, waląc się dłonią w czoło.

- Jak tam mieszkańcy Helenevik? - zapytał Winter.

- Mili i uprzejmi.

- Tak?



- Para z ogromnej willi zaproponowała mi drinka.
- Miło z ich strony. Odmówiłeś?
- Powiedziałem, że jestem na służbie.
- Może przegapiłeś szansę, żeby się dowiedzieć czegoś ważnego.

- Czego? Mam wrócić?

Winter wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Jest jeszcze coś. ale to tylko moja wyobraźnia. Może wszystko opacznie zrozumiałem - powiedział Halders.

- Co?

- Nic. Poza tym pukanie do wszystkich drzwi w okolicy przynosi taki skutek, jakiego mogliśmy się spodziewać. Nikt nic nie widział i nie słyszał.

- Facet od psów coś widział i słyszał.

- On nie jest normalny.

- Czasem właśnie tacy najbardziej nam pomagają.

Od strony jeziora dobiegł ich warkot motorówki. Plastikowa łódź z silnikiem o mocy dziesięciu koni nadpływała z północy i kierowała się w stronę zatoczki, pięćdziesiąt metrów od nich. Motor zgasł, a łódź wślizgnęła się na ląd, tuż przy taśmie. Wiatr unosił głosy, słów nie dało się jednak zrozumieć.

Zobaczyli dwóch chłopców wychodzących na brzeg i Halders ruszył ścieżką w ich kierunku. Wrócił z nimi po pięciu minutach. Wyglądali na dwunasto-, trzynastolatków. Każdy miał ze sobą przynajmniej dwie wędki, jakby się bali zostawić cokolwiek w łodzi. Winter słyszał, jak Halders pyta ich, czemu zostawili łódź właśnie tam. Powiedzieli, że to ich miejsce. Zazwyczaj się tam zatrzymują.

- Gdzie była wasza łódź wczoraj w nocy? - zapytał Winter, kiedy znaleźli się wystarczająco blisko.

- Bo co?

- On też jest z policji kryminalnej - wyjaśnił Halders.

- Wczoraj wczesnym rankiem nie było tu żadnej łodzi -

ciągnął Winter.

- No nie, ktoś ją zabrał - powiedział jeden z chłopców i obaj spuścili wzrok.

- Jak to? - zapytał Halders, a chłopcy wyglądali, jakby się trzęśli pod kamizelkami ratunkowymi, których jeszcze nie zdjęli.

- Kiedy zabrano stąd łódź? - spytał Winter i dał Haldersowi dyskretny znak.

- Dziś rano - powiedział ten, który mówił wcześniej.

- Przyszliście tu rano i zorientowaliście się, że łodzi nie ma?

- Tak.

- O której to było?

- Gdzieś kwadrans po ósmej.

Winter spojrział na zegarek. To dokładnie cztery godziny temu.

- I co zrobiliście? - zapytał Halders.

Chłopcy spojrzeli po sobie.

- Noo. Zaczęliśmy jej szukać.

- Z całym tym balastem?

- Co?

- Z całym tym pieprzonym sprzętem wędkarskim? - powiedział Halders. - Czy zostawiliście go gdzieś, kiedy szukaliście łodzi?

- Zostawiliśmy sprzęt tutaj - powiedział cicho ten bardziej wygadany.

- I co zrobiliście potem?

- Obeszliśmy jezioro.

- I gdzie była łódź?

- Po drugiej stronie - powiedział chłopak, wskazując ręką w stronę ukrytej za drzewami wody.

- Musicie nam pokazać, gdzie dokładnie.

- Oczywiście.

- I tak po prostu tam stała? - spytał Halders. - Z silnikiem i wszystkim innym?

- Niece. Silnik zawsze zabieramy ze sobą.

- A wiosła? Je też ze sobą zabieracie?

Jeden z chłopców, ten, który do tej pory się nie odzywał, zachichotał nerwowo. Po dwóch sekundach ucichł.

- Czyli można było wiosłować?

- Tak.

- Ale była przymocowana łańcuchem?

- Łańcuch był zerwany - powiedział chłopak, który przed chwilą chichotał.

- Zerwany - powtórzył Halders. - Często się to zdarza?

- Nam się jeszcze nigdy nie zdarzyło, ale innym tak - wyjaśnił chłopak, robiąc przy tym gest, który miał wskazywać na właścicieli wszystkich łodzi na jeziorze.

- Co zrobiliście, kiedy znaleźliście łódź? - zapytał Winter.

- Przy płynęliśmy tutaj na wiosłach, zamocowaliśmy silnik i popłynęliśmy na ryby.

- Kiedy to było?

- Co?

- Kiedy wypłynęliśmy na ryby?

Chłopak spojrzał na zegarek.

- Parę godzin temu.

- Kiedy znaleźliście łódź, nie było w niej nic, co nie było wasze?

- Nie. Bo co by miało być? - odpowiedział, ale Winter wiedział, co chłopak tak naprawdę myśli.

- Cokolwiek, czego nie było w niej wcześniej - powiedział Halders.

- Nic takiego nie zauważyliśmy.

- Żadnych śmieci ani papierków? Nic takiego? Żadnych plam ani czegoś podobnego?

- Przecież tak dokładnie nie sprawdzaliśmy, ale łódź stoi tam - odparł chłopiec, ruchem głowy wskazując na ścieżkę i stojącą w głębi łódź.

- Rozumiecie oczywiście, że musimy na trochę pożyczyć łódź, żeby ją zbadać - powiedział Winter. Myślał o tym, ile czasu już upłynęło. Czemu wcześniej nie zauważyli tej łodzi po drugiej stronie? Czy nie było jej tam wczoraj rano, za dnia albo w nocy? Czy ją przeoczyli? Czy to możliwe, żeby któryś z policjantów zignorował łódkę albo jej nie zauważył? Możliwe. Wszystko jest możliwe podczas śledztwa w sprawie morderstwa.

- Nie ma sprawy - powiedział chłopak z entuzjazmem, jakby czekała ich jakaś przygoda.

Wrócili do łodzi. Była wypełniona wodą, na głębokość dziesięciu centymetrów.

- Wybieraliście wodę po tym, jak znaleźliście łódź? - spytał Halders.

- Nie.

- W porządku. A gdzie macie ryby?

Chłopcy spojrzeli po sobie, a potem na Haldersa.

- Wypuściliśmy je, bo tym razem zrobiło nam się ich żal.

- Rozumiem. - Wędkarze kłamią na tysiąc różnych sposobów, pomyślał Halders. Ci młodzi też są cholernie cwani.

Podszedł bliżej i stanął przy dziobie. Pochylił się i zaczął się przyglądać burtom od środka.

- Co to jest, to tam, przy dulkach? - powiedział, pokazując palcem. - Chodźcie bliżej, to zobaczycie. O, tam. Na lewo, dziesięć centymetrów nad wodą.

Chłopcy spojrzeli, ale żaden się nie odezwał.

- Poznajecie to? - zapytał Halders.

- Wygląda na jakiś znak - powiedział jeden z nich, patrząc na czerwoną plamę na brudnej żółtej ścianie łodzi. - Albo coś takiego. Ale nie było tu tego wcześniej.

NA DOLE NIE BYŁO OKIEN, więc nie wiedziała, czy jest wieczór, czy rano. Zasnęła i dopiero co się obudziła, ale miała wrażenie, że w ogóle nie spała. Światło lampy zatrzymywało się jakby w połowie drogi, zawisając w powietrzu, a niżej, tam gdzie siedziała, docierało go tylko trochę. Ledwo widziała dłoń, którą wyciągała przed siebie. Machała nią w tę i z powrotem. Próbowwała utrzymać palec w powietrzu, tylko jeden, bo pozostałe przyciskała do dłoni. Najtrudniej szło z palcem serdecznym, musiała sobie pomóc drugą ręką, by pozostałe palce pozostały ściśnięte.

Nie było jej już zimno, bo dostała dwa koce i gorącą wodę, w której rozpuścili trochę cukru. Kiedy ją wypila, zasnęła, a kiedy się obudziła, jakby w ogóle nie pamiętała, czy spała. Było to bardzo dziwne, ale cieszyło ją, bo śpiąc, nie odczuwała strachu. Nie można się bać, kiedy człowiek nie wie, co się dzieje.

Teraz w końcu się obudziła i słyszała jakiś dźwięk dobiegający znad sufitu. Przestraszyła się. Chciała krzyknąć: Chcę do mamy!, ale nie miała odwagi. Może pan przyniesie jeszcze trochę słodkiej wody, po której znowu zaśnie. Wcześniej, kiedy nie spała już od jakiegoś czasu, przyniósł nową filiżankę i zabrał pustą. Teraz jednak nie było go widać, chociaż wydawało jej się, że dźwięk, który słyszała, oznaczał, że się zbliża.

Nikt jej już nie bił. W ogóle o tym nie myślała. Teraz myślała o lecie i o tym, że idąc ulicą lub plażą, pod stopami czuje się ciepło. Chodziła z mamą po piachu, kiedy przepływały łodzią przez wodę. Kiedy wjechały na tę łódź samochodem, okropnie chrobotą, a panowie machali na nich, żeby wjechały dalej. Wkrótce potem chodziła po piachu. Mama trochę z nią posiedziała, a potem ona się kąpała, a mama czekała na brzegu, a jeszcze później mama poszła kupić napoje od pana stojącego na plaży. Butelka była śmieszna, taka mała i żółta, a napój smakował cytryną i nazywał się

lemoniada. I nie było to to samo, co woda z cukrem, chociaż kiedy poszła z mamą po kolejny napój, pan wymawiał tę nazwę jakiś dziwnie.

Zacisnęła powieki i zrobiło się jeszcze ciemniej. Kiedy zacisnęła je jeszcze mocniej, zrobiło się czerwono, jak w głowie. Miała wrażenie, że widzi gwiazdy, jakby leciała przez kosmos, między planetami. Świeciły i połyskiwały w jej głowie. Fajniej było zamknąć oczy i odlecieć w kosmos. Wiedziała, że tu, na dole, jest brzydko, że nie ma stołu ani krzeseł, a materac, na którym siedzi, śmierdzi. Chciała się od niego odwrócić, więc próbowała leżeć nosem do góry, ale było to trudne, a teraz przestała już czuć smród. Jakby o nim zapomniała. Czowała go tylko wtedy, kiedy o nim myślała.

Zaszeleściła papierkiem, który miała w kieszeni. Bała się go wyjąć i obejrzeć. Miała go jednak, to był jej sekret. Dlatego się bała, ale też cieszyła. Wydawało jej się, że panowie byliby źli, gdyby się dowiedzieli, że go ma. To było straszne, ale z drugiej strony fajne, bo wiedziała o czymś, o czym oni nie wiedzieli. Tak jakby dzieliła ten sekret z mamą. Opowie o tym mamie, jak tylko mama wróci.

Potem pomyślała, że mama nie żyje. Nie żyje i już nigdy jej nie spotka. Przecież inaczej już by tu była. Mama nie zniknęłaby na tak długo, nic jej nie mówiąc, nie dzwoniąc ani nic, ani nawet nie pisząc wiadomości, którą panowie mogliby jej pokazać i przeczytać.

Usłyszała, że drzwi na górze otwierają się z trzaskiem, i aż podskoczyła. Drzwi znajdowały się przy schodach, które ledwo widziała, bo światło nie sięgało tak daleko. Myślała, że dostanie jeszcze ciepłej wody, wzięła więc kubek i postawiła go przy materacu, tam gdzie stały poprzednie kubki.

Zobaczyła nogi pana. Schodził po schodach. Schyliła głowę i kiedy podszedł do materaca, nadal widziała tylko jego nogi.

- Wyjeżdżamy. Musisz wstać.

Spojrzała w górę, ale nie widziała jego twarzy, bo lampa

świeciła wprost na niego. Próbowwała coś powiedzieć, ale jakoś nie mogła. Zabrzmiało to jak krakanie.

- Wstawaj.

Odsunęła koce i najpierw uklękła, a potem wstała. Poczowała, że boli ją noga. Zdrętwiała, bo przygniotła ją sobie, kiedy spała. Kłuło ją, jakby w całej nodze, od brzucha aż do stopy, miała mnóstwo szpilek.

Znowu spróbowała coś powiedzieć:

- Pojedziemy do. mamy?

- Nie musisz go zabierać ze sobą - powiedział pan i zabrał jej jeden z koców, który trzymała w ręce. - A teraz idziemy.

Wskazał na schody. Ruszyła, a on za nią. Zapomniała już, że stopnie są tak wysokie. Musiała się na nie wspinać, tak jak to robią w górach. Od światła padającego wprost na nią przez otwarte drzwi na górze bolały ją oczy. Zamknęła je, a potem znów otworzyła i zrobiło się ciemniej. Ktoś stanął przy drzwiach, więc widziała lepiej.

## 17

STURE BIRGERSSON BYŁ DYSKRETNY. Jak zwykle usunął się na drugi plan i ze wzrokiem skierowanym w górę spoglądał na władzę najwyższą. Szef wydziału wezwał zastępcę.

Winter wiedział, że Sture czekał na podróż w nieznaną: podczas urlopu gdzieś zniknął i nikt nie wiedział, dokąd pojechał. Wielu się nad tym zastanawiało, ale Sture nie zdradził się ani słowem. Winter miał jego numer, ale nie przyszłoby mu do głowy, żeby z niego skorzystać.

Szef palił przy otwartym oknie. Dym wylatywał na zewnątrz, zatruwając powietrze aż do Heden. Twarz Birgerssona była jak wycięta z kartonu. Siedział tak, że z lewej strony padało na niego światło. Na biurku nie stało nic poza popielniczką. Wizyty tu zawsze są fascynujące, pomyślał Winter. Ani śladu

papieru. Nigdy nie było tu komputera. Szafka wygląda, jakby nie dało się jej już otworzyć. Sture tylko pali i myśli. Daleko go to zaprowadziło.

- Skończyłem już czytać - powiedział Birgersson. Zgasił peta i spojrzął na rękę.

Z wewnętrznej kieszeni jasnej marynarki wyciągnął paczkę papierosów i zapalił kolejnego. - Śladów jest sporo.

- Wiesz, jak to jest, Sture.

- Przypominam sobie tylko jeden stary przypadek, kiedy nie udało nam się zidentyfikować ofiary w ciągu doby.

Winter czekał. Wyciągnął cygaro i zaciągnął się. Birgersson wyglądał, jakby wertował w pamięci kolejne pliki. Nie oszukasz mnie, stary, pomyślał Winter. Doskonale wiesz. Czy taki przypadek był tylko jeden, czy było ich więcej.

- Może ty lepiej kojarzysz? - powiedział Birgersson i spojrzął mu w oczy.

Winter z uśmiechem pochylił się nad biurkiem i strzepnął popiół.

- Według naszej rachuby był tylko jeden taki przypadek.

- Mam na myśli czasy współczesne - powiedział Birgersson.

- Jeśli obaj myślimy o chłopaku z mola, to mam nadzieję, że był to jedyny przypadek.

Jakiś mężczyzna wpadł do wody i utonął, a kiedy próbowali się dowiedzieć, kim był, okazało się, że nikt w kraju nie zgłosił jego zaginięcia. Miał na sobie strój do joggingu, a w kieszeniach żadnych pieniędzy, kluczyków, dowodu osobistego, żadnego pierścionka z inskrypcją, nic. Po tak długim czasie w wodzie ledwo udało się pobrać odciski palców, ale i tak im to nie pomogło. Pochowano go, ale pozostał bezimienny.

- To też się stało podczas festiwalu - powiedział Birgersson.

- I to wystarczający powód, żeby zlikwidować to cholerstwo i powstrzymać szaleństwo.



- Dla niektórych festiwal to dobra zabawa.
- Nie udawaj. Nienawidzisz widoku tłumów ludzi pijących piwo z jednorazowych kubków i wmawiających sobie, że dobrze się bawią. Albo takich, którym się wmawia, że dobrze się bawią. I pomyśl tylko, co się przytrafiło naszej Anecie. Festiwal Göteborgski! A propos, co z nią?
- Ma problemy z gryzieniem. - Winter starał się odsunąć myśli o Anecie, ale nie był to najlepszy pomysł. - Mam zamiar ją niedługo odwiedzić.
- Hm, mam nadzieję, że szybko do nas wróci. Chodzi o morale. O nią samą też. No i lubię ją. Nie boi się, zwłaszcza mnie, a to znaczy, że jest twarda.
- Tak, Sture, ciebie ludzie się boją.
- O co chodzi z tym mistycznym znakiem? - zapytał Birgersson, zmieniając temat.
- Znaleźli.
- Tak, tak, to wiem. Chodzi mi o to, co ty o tym sądzisz. Winter zrobił gest i z cygara jak z kadzidła rozszedł się po pokoju aromatyczny zapach.
- Kurwa, ależ to śmierdzi - powiedział Birgersson. - Nie machaj rękami. Chodzi mi o to, czy uważasz, że to jest ślad, nad którym warto się głowić. Nad którym ja miałbym się głowić. Bo ty już, zdaje się, miałeś z nim trochę kłopotu.
- Nie wiem - powiedział Winter, odkładając cygaro na brzeg popielniczki. - Tak naprawdę to nie wiem. Z początku nie poświęcałem mu wiele uwagi, ale potem byliśmy z Fredrikiem nad jeziorem i zresztą czytałeś przecież.
- To musiało umocnić twoje przekonanie o tym, jakie znaczenie dla śledztwa ma intuicja - stwierdził Birgersson. - Że też byłeś na miejscu, kiedy pojawili się tam ci chłopcy.
- Faktycznie, byłem na miejscu. Przeczucie kazało mi tam pojechać i nie zawiodło mnie.

- Jak zatem wyjaśnić to, że Halders też się tam zjawiał? Nie sądzę, by nasz poczciwy Fredrik wiedział, jak się pisze słowo przeczucie.

- Wcale nie tak łatwo je napisać bez błędu. Ty wiesz, jak się to pisze?

- Gdybym miał kartkę i długopis, pokazałbym ci, ale akurat ani na tym biurku, ani w ogóle w całym pokoju nie znajdziesz nic takiego.

Aha, pomyślał Winter. Czyli nie ma tu nic do pisania dlatego, że się boi, że ktoś mu każe z zaskoczenia napisać jakieś trudne słowo. Wsadzę rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, jakbym chciał wyciągnąć notatnik. Długopis, jak widać, już mam w ręku.

Birgersson uśmiechnął się i podniósł rękę.

- Zatem byłeś na miejscu, ale co z tego wynika?

- Co masz na myśli?

- Znak na łódce niczego nie dowodzi.

- Oczywiście, że nie, ale to taki sam znak jak na drzewie.

- Może chłopcy zrobili go sami.

- W takim razie dobrze kłamią.

- Coraz więcej osób uczy się dobrze kłamać - powiedział Birgersson.

- To dzięki temu praca w policji jest taka urozmaicona i fascynująca. Zmusza do tego, by cały czas wspinać się na palce, nie sądzisz? Niczego już nie można uważać za pewne. Wszyscy kłamią, jeśli tylko mogą.

- Tak jak ty, kiedy przed chwilą twierdziłeś, że wiesz jak się pisze przeczucie.

- Erik, jesteś dla mnie jak syn, ale nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Winter zapalił kolejne cygaro.

- Chłopcy mogli zrobić ten znak - powiedział. - Albo raczej jakieś inne nastolatki, albo ktokolwiek, kto chciał po sobie zostawić jakiś ślad. Albo ktoś, kto z nas kpi.

- To by oznaczało poważniejszy problem.  
- Tak.  
- W takim razie może to być albo bardzo łatwa, albo bardzo trudna sprawa - powiedział Birgersson. - Wiesz, o co mi chodzi?

- Szaleniec.

- Szaleniec, który ma jakiś cel i który albo czuje się już usatysfakcjonowany i zmęczony, więc czeka na nasz ruch, albo dopiero zaczął.

Winter milczał. Nie słyszał żadnych dźwięków, ani z ogrodu, ani z domu, w którym siedzieli. Twarz Birgerssona kryła się za cieniami przeplecionymi promieniami światła.

- Oczywiście niezwykle ważne jest zidentyfikowanie tej kobiety - powiedział Birgersson.

Helene, pomyślał Winter. Matki i ofiary morderstwa.

- I gdzie, do cholery, jest jej dziecko? - spytał Birgersson, jakby czytał Winterowi w myślach. - Jeśli jest jakieś dziecko.

Winter odchrząknął cicho. Nagle odrzucił go smak cygara, jakby dym zamienił się w gaz.

- Wellpapp robi się nerwowy - powiedział Birgersson. Komendanta policji okręgowej Henrika Wellmana tak właśnie nazywali policjanci. - Chodzi o prasę czy jak to teraz mówią, o media. Wellpapp chce, żebyśmy pokazali trochę więcej rezultatów.

- Mogę pokazać zdjęcia jej martwej twarzy. Zastanawiałem się zresztą, czy tego nie zrobić.

- Że co? Jak to?

- Takie ogłoszenie, coś jak afisz.

- Ze zdjęciem martwej twarzy?

- Innego nie mamy.

- Nie ma mowy - powiedział Birgersson. - Jak by to wyglądało, do cholery? Co by ludzie powiedzieli?

- Powinni właśnie coś powiedzieć. Może to by nam

pomogło.

- I tak ją znajdziemy. Dowiemy się, kim była.

- Robimy, co możemy.

- Wiem, wiem. Ale, Erik, chodzi o to, że, nie wiem, jak to powiedzieć. Wydaje mi się, że idziesz w zbyt wielu kierunkach. W tym śledztwie jest za dużo dróg.

- Co masz na myśli?

- Cóż, czasami jesteś zbyt mądry. Może już w fazie wstępnej widzisz zbyt wiele alternatywnych rozwiązań. Twój mózg się nakręca, a ludzie się rozpraszaają.

Faza wstępna, kolejne mądre sformułowanie, pomyślał Winter.

- Z tego co mówisz, wynika, że lepiej by było, gdyby za śledztwo odpowiadał jeden tępy gлина. - Winter pierwszy raz podczas tej rozmowy skrzyżował nogi.

- Nie, nie.

- O co w takim razie ci chodzi? Sprawdzamy wątek samochodu i znaku, przesłuchujemy ludzi z okolicy. Sprawdzamy samochody, które stały tam w nocy, i korzystamy ze wszystkich źródeł, żeby zidentyfikować tę kobietę.

- Dobrze.

- Mógłbym jeszcze puścić ogłoszenie, ale uważasz, że to niewłaściwe.

- Zacznijmy od tego, że to nie ja tak uważam.

- Nie. Zacznijmy od tego, że najcięższym jarzmem w tej pieprzonej robocie są wredni szefowie, którzy nie wiedzą i nie rozumieją. I nie chodzi mi o ciebie.

- Sam jesteś szefem. Następcą tronu, a to coś znaczy.

- Może już niedługo nie będę. Okazuje się, że nie jestem odpowiednio tępy.

- Erik, zapomnij o tym. Chodziło mi tylko o to, że musimy iść dalej. Ale sam wspomniałeś o samochodach, to dobry ślad. Jakiś konkret.

- Setki tysięcy podobnych modeli Forda. Tak, to jest konkret.

Birgersson nie słyszał. Może dla niego ta wizyta już nie miała znaczenia.

- To dobry pomysł ta nocna kamera.
  - Tylko nie zacznij mi teraz schlebiać.
  - Ale coś z tego może będzie.
  - Robimy, co w naszej mocy. I w ten czy inny sposób rozwiążemy tę sprawę. Czuję to. Intuicyjnie.
- Birgersson podniósł wzrok, bawił się paczką papierosów.
- Zaden z policjantów, którzy byli na imprezie w ośrodku, nic nie widział i nie słyszał? Mówię o tych z biura kontroli.
  - Bergenhem jeszcze nie dał mi sprawozdania. Ale gdyby tak było, to chyba powinien się zgłosić sam z siebie. Albo już powinien był to zrobić.
  - Erik, nie próbuj mnie oszukać, że nagle stałeś się naiwny. Ile czasu trzeba, żeby ci wróciła pamięć po miłym wieczorze z kolegami z pracy?
  - Mnie nie pytaj. Nigdy na takim nie byłem.

## 18

BERGENHEM SŁUCHAŁ i pytał, ale nikt nic nie wiedział. Nikt też podczas imprezy nie zwracał uwagi na torfowisko. Czy raczej podczas niezobowiązującego spotkania, w zależności od tego, jak się to nazwało. Prawie bez alkoholu, nie licząc paru wyjątków. Oczywiście policjanci z biura kontroli byli tak samo zaskoczeni jak wszyscy, kiedy się dowiedzieli. Chryste, wakacyjne morderstwo tuż obok. Nikomu taka możliwość nie przyszła do głowy, kiedy siedzieli przy stołach albo chodzili łyknąć świeżego powietrza. Na parkingu nad jeziorem stały cztery samochody. Dwa zgłoszono jako skradzione. Wyglądało na to, że ukradziono je zgodnie z zasadami obowiązującymi w branży, z jednym wyjątkiem: parking nie jest miejscem, gdzie zazwyczaj zostawia się takie auta. Właściciele twierdzili, że nie mają nic

wspólnego ze wschodnią częścią Göteborga. Złodzieje natomiast mogli mieć. Kiedy samochody dojechały nad jezioro, miały już puste baki. Właściciele mieli alibi.

Okazało się też, że jest problem z pozostałymi dwoma pojazdami. Właściciel jednego z nich się zgłosił.

Drugiego nadal szukali. Bergenhem przejechał się po terenie zakładów w Högsbo i zaparkował przed hotelem robotniczym. Uchylił drzwiczki, wpuszczając do środka ciepłe powietrze wczesnego popołudnia. Koszula przykleiła mu się do pleców. Swędziało go lewe jądro, podniósł się więc, chwycił ręką za krocze i pociągnął do siebie, aż poczuł ulgę.

Ze znajdującej się kawałek dalej piekarni Pääls pachniało chlebem i wypieczoną mąką. Czując wokół siebie ten zapach, pomyślał o kawie z drożdżówką i trochę go zemdliło. Próbował myśleć o tym, dlaczego przy wysokiej temperaturze budynki jakby unoszą się w powietrzu, i wtedy zaczęło go łaskotać w przeponie. Z kasety dochodził głos Nicka Cave'a - *People ain't no good*. Bergenhem postawił nogę na asfalcie i cicho wybijał takt. Nagle zobaczył mężczyznę. Wyszedł z budynku naprzeciwko i zaczął schodzić schodkami prowadzącymi na parking.

Kiedy pokonał wszystkie dwadzieścia stopni, Bergenhem wysiadł z samochodu i zdjął okulary słoneczne, a wtedy twarz mężczyzny pojaśniała jak wszystko wokół.

Znowu poczuł zapach chleba, niemal mógł go dotknąć. Podniósł rękę i przywitał się z mężczyzną. Przedstawił się jako Peter von Holten. Był parę lat starszy od Bergenhema, chyba niedawno skończył trzydziestkę, i miał ostre rysy, chociaż mogła to być kwestia światła.

- To ja dzwoniłem - powiedział Bergenhem. Odjedziemy kawałek?

Mężczyzna mówił wcześniej, że nie chce rozmawiać w pracy. Bergenhem się zgodził, czasem musieli się dopasować.

- Niedaleko, przy Pripps, jest mały park - powiedział von

Holten.

Pojechali na południe i zatrzymali się przy gęstych zaroślach na poboczu. Von Holten nic nie mówił po drodze, bębnił tylko palcami po klapie schowka, wybijając rytm mrocznej muzyki z kasyty.

Usiedli na ławce. Tutaj z kolei czuć było zapach piwa dobiegający z browaru i Bergenhem zaczął się zastanawiać, co pachnie gorzej.

Nagle zatęsknił za zapachem swojej czteromiesięcznej córeczki.

- A zatem nie zgłosił pan zaginięcia samochodu - powiedział.  
- Skąd mogłem wiedzieć, że wóz będzie zaplątany w sprawę morderstwa.

- Czemu stał tam? Albo dlaczego go pan tam zostawił?

- To była pomyłka. Mogę to wyjaśnić. Ale to, że tak powiem, delikatna sprawa.

Bergenhem czekał na ciąg dalszy. Nad ich głowami przeleciało dwanaście mew. Chwiały się w nierównym kluczu, jakby się upiły przesiąkniętym aromatem piwa wiatrem.

- Jestem po prostu bardzo zaskoczony, że samochód jeszcze tam jest. To nie tak miało być - powiedział von Holten.

Bergenhem przytaknął i czekał dalej.

- To było tak. Mam dziewczynę, z którą się czasami spotykam, i przedwczoraj wieczorem pojechaliśmy nad tę zatoczkę, bo naprawdę miło spędza się tam ciepłe, letnie wieczory. I potem. zdecydowaliśmy, że to ona zabierze stamtąd samochód. - Von Holten potarł usta palcami i cofnął rękę z powrotem. - Jestem żonaty.

- Pańska. dziewczyna miała więc odjechać stamtąd samochodem? Czy dobrze zrozumiałem?

- Tak.

- Jak się nazywa?

- Czy to konieczne?

- Oczywiście.

Von Holten podał nazwisko i Bergenhem zapisał je w czarnym oprawionym notatniku, który zabrał ze sobą z samochodu.

- Gdzie mieszka?

Von Holten podał adres.

- Mieszka sama.

- A jak pan stamtąd wrócił?

- Na piechotę.

- Wzdłuż autostrady?

- Są tam przecież ścieżki dla pieszych prowadzące do miasta. A ja mieszkam nie tak daleko od Delsjö. Półtorej godziny wolnym krokiem.

- Wiem, ale czemu to ona miała wziąć samochód?

- Czasami tak robimy. Ona nie ma samochodu, no a ja mam jeszcze jeden. Ten to samochód służbowy, o którym nie wie moja żona.

*People ain't no good*, pomyślał Bergenhem, ale kim był, by go osądzać. Sam zgrzeszył nie tak dawno, w tym roku. Omal nie przyplącił tego życiem.

- Ale nie wzięła samochodu? - zapytał Bergenhem.

- To, kurwa, jakieś szaleństwo - powiedział von Holten.

- Czemu go nie wzięła? Chyba pan z nią rozmawiał?

- No właśnie o to chodzi. Nie udało mi się z nią skontaktować w ostatnich dniach. Nikt nie odbiera. Byłem u niej i zostawiłem wiadomość pod drzwiami, ale nie od.

- Jak wygląda? - zapytał Bergenhem, czując, jak krew zaczyna mu tętnić w skroniach. - Jak wygląda. - Zerknął do notatnika. - Jak wygląda Andrea?

- Brązowe włosy, bardzo ciemne, twarz chyba przeciętna, to znaczy według mnie ładna, ale trudno opisać jakieś szczególne cechy. około metra siedemdziesięciu. - Von Holten spojrział na Bergenhema. - Nie sądzi pan chyba, że to.

- Że co?

- Że to Andrea tam zginęła?



- Dlaczego nas pan nie powiadomił? Dlaczego nie powiadomił pan policji?

Nagle von Holten zaczął płakać. Przeciągnął ręką po ustach i zacisnął powieki.

- To przecież nie może mieć z nią nic wspólnego - powiedział z zamkniętymi oczami.

- Na pewno czytał pan wiadomości albo oglądał telewizję.

Von Holten otworzył oczy i skierował wzrok na drzewa, czy może na mewy, których krzyk Bergenhem słyszał nad głową i za plecami. *Birds ain't no good.*

- Ja, nie rozumiałem, nie myślałem o tym. Mam rodzinę, która wiele dla mnie znaczy.

Bergenhem milczał.

- Wiem, co pan myśli, ale nad takimi rzeczami trzeba się zastanawiać.

Trzeba się zastanowić, zanim się ściągnie spodnie w towarzystwie cudzoziemki,

pomyślał Bergenhem. Wszystko może się zdarzyć. Widział już całkiem sporo w ciągu tych kilku lat w policji, najpierw w służbach porządkowych, a potem w policji kryminalnej. Facet, który dostał ataku serca, do połowy zanurzony w kochance. Wypadek samochodowy w niewłaściwym towarzystwie. Zatrzaśnięte drzwi cudzego mieszkania. Napad w miejscu, w którym tego kogoś nie powinno być o tej porze. W niewłaściwym czasie, w niewłaściwym miejscu, choć Bergenhemowi szczególnie podobało się to powiedzenie. Można się przecież znaleźć we właściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Albo w niewłaściwym miejscu we właściwym czasie. Choć najlepiej być we właściwym miejscu we właściwym czasie. Zawsze. Może on właśnie jest w takiej sytuacji. Może wykonuje robotę, która popchnie śledztwo do przodu.

- No właśnie. Zastanowić się - powiedział.

- To był błąd - przyznał von Holten zmęczonym głosem. -

Powiniennem był się zgłosić, ale myślałem, że ona, że Andrea się do mnie odezwie. Moją zwłokę można zresztą jakoś wyjaśnić. To mogło trochę potrwać, zanim ona by zadzwoniła, a ja nie mogłem wiedzieć, że samochód nadal tam stoi.

- Mogła go pożyczyć na dłużej?

- Miała pojechać na kilka dni na południe. Może zresztą tak zrobiła - powiedział von Holten z rozjaśnioną twarzą.

- Ale nie pańskim samochodem - dodał Berghem. - On nadal tam stoi.

- Dobry Boże.

W pokoju Wintera von Holtenowi pokazano zdjęcia. Na ich widok zwymiotował wprost na biurko Wintera. Winter zabrał zdjęcia, zanim trafiła na nie zawartość żołądka świadka.

- Przynieście ścierkę i wiadro - powiedział Winter do Berghema. Sam poszedł nalać do szklanki wody z karafki stojącej w szafce. Za jego plecami kochanek zwymiotował jeszcze raz. Jego marynarka wisiała w bezpiecznej odległości. Podszedł do von Holtena i podał mu wodę. Berghem wrócił i razem spokojnie sprzątnęli to, co poleciało na biurko. Nie pierwszy raz. Spokojne ruchy rąk, wykonywane tak, jakby to należało do ich codziennych obowiązków - to miało swój cel. Tymczasem świadek doszedł do siebie. Smród unosił się w powietrzu jeszcze przez jakiś czas, ale po chwili o nim zapomnieli.

- Co za okropne zdjęcia - powiedział von Holten.

- Czy rozpoznaje pan tę twarz?

- Nie - odpowiedział, odwracając wzrok od zdjęć, które trzymał przed nim

Winter. - To przez tę pieprz. Kto mógłby rozpoznać taką twarz? Ona nie jest. nie jest ludzka.

- To martwy człowiek - powiedział Winter. - To twarz martwej kobiety.

- Myślę, że to nie jest Andrea.

- Jest pan całkowicie pewien?

- Pewien czego? - zapytał von Holten z takim wyrazem twarzy, jakby zaraz znów miał się źle poczuć. Czekali. Von Holten zamknął oczy i znów zwymiotował, tym razem do wiadra, które Bergenhem postawił na podłodze. - Niczego już nie jestem pewien - powiedział ze łzami w oczach. - Mają panowie ręcznik?

Bergenhem przyniósł ręcznik i podał von Holtenowi. Von Holten wytarł sobie usta.

- Wydaje mi się, że to nie ona, ale kto to może powiedzieć z całą pewnością? Nie wiem, co powiedzieć.

- Czy Andrea. Meltzer miała jakieś znaki szczególne? - zapytał Winter. - Znamiona, blizny, na przykład po jakimś wypadku?

- Ja nie wiem o niczym takim. A powinienem?

Winter wykonał ręką nieznaczny gest w powietrzu, wypełnionym zapachem potu i wymiocin.

- Nasze relacje nie były aż tak intymne. nie do tego stopnia - powiedział von Holten. - Nie tak, żebyśmy wiedzieli o wszystkim. Nie mogę powiedzieć, że wiem na przykład, że miała znamię po wewnętrznej stronie uda.

O intymności porozmawiamy później, pomyślał Winter. Teraz zajmujemy się tym. Nie wspomniał nic o tych dwóch małych bliznach przy uchu. Nie wie o nich albo nie podnosił jej włosów. Albo nie chce o niczym wiedzieć. Albo nie wie.

- Chcielibyśmy, żeby poszedł pan z nami i ją obejrzał - powiedział Winter tak delikatnie, jak umiał. - To ważne, sam pan rozumie.

- Muszę?

- Przecież pan wie.

- Mogę się umyć?

Winter skinął na Bergenhema i Bergenhem poszedł z von Holtenem do łazienki.

Światło miało niebieski kolor. Nawet biel była niebieska. Winter poczuł, jak z zimna cierpnie mu skóra, a pot zamarza, tworząc na ciele twardą powłokę. W środku też powinno mu być zimno, ale nie było. Z korytarzy dobiegał stukot wózków na zwłoki. Wokół więcej było martwych niż żywych. To miejsce było przedsionkiem cmentarza. Umarli leżeli tu, ale nie było to miejsce ich spoczynku. Czekali.

W świetle lamp twarz Helene niewyraźnie połyskiwała kolorem, który nie ma odpowiednika w świecie żywych. Kiedy wysuwano nosze, von Holten się trząsł i szczekał zębami, jakby zamarzał.

Winter patrzył teraz na niego, nie na ofiarę. Von Holten spojrział w dół i wyraz jego twarzy się zmienił. Nagle zaczął sprawiać wrażenie szczęśliwego. Winter widział, że próbował to ukryć, ale mu się nie udało.

Helene nadal była Helene, nie Andream. Winter widział, jak von Holtenowi krew wraca do twarzy.

- To nie ona - powiedział.

- Nie.

Bergenhem popatrzył na Wintera, a on odwzajemnił jego spojrzenie.

- Jestem absolutnie pewny, że to nie ona- powiedział von Holten.

Winter spojrział na twarz kobiety. Mocne, jasne światło z sufitu nie zostawiło na niej ani jednego cienia. Tak wygląda ktoś, kto nie ma ani imienia, ani przeszłości. Może ma przyszłość, pomyślał Winter. Ode mnie zależy, czy odpowiednio szybko znajdziemy jej przyszłość. Może tu leżeć rok albo można jej wystawić porządną nagrobek. Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca.

Kiedy wyszli, słońce rozpuściło zamarzniętą powłokę potu i skóra znów zrobiła się miękka i wilgotna. Przez tę zmianę von Holtenowi popękały naczynka w oczach i w jednej chwili zaczął wyglądać tak, jakby dostał porządny cios w twarz.

- Musimy się dowiedzieć wszystkiego o pańskiej znajomej - powiedział Winter.

- O Andrei Meltzer.

- Czy moja żona musi się o tym dowiedzieć? Musi się dowiedzieć o Andrei?

Winter nie odpowiedział. Jechał w stronę miasta, zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Będę z wami współpracował, jak tylko się da - powiedział von Holten. - Zrobię wszystko.

- Proszę zatem opowiedzieć.

- Co za dupek - powiedział Ringmar.

- Jeden z wielu.

- Ludzie to ułomny gatunek.

- No to mamy zaginięcie związane z morderstwem - stwierdził Winter.

Siedzieli w biurze Ringmara, popijając czarną kawę, tak gorącą, że parzyła w usta. Ringmar miał pod pachami mokre plamy wielkości piłki futbolowej, ale Winter nic nie czuł. On też się tak pocił, ale miał na sobie koszulę, na której nie było tego widać.

- Mogła coś zobaczyć? - powiedział Ringmar.

- Mogła zobaczyć to? - odparł Winter.

- Mogła kogoś zaskoczyć?

- Może siedziała w samochodzie, myśląc o przyszłości?

- Czy ktoś mógł skrócić na parking, skoro w jednym z samochodów na placu ktoś siedział?

- Czy to było widać?

- Może mogła odjechać, ale bała się spróbować?

- Może ją to zaciekawilo?

- Może to ją ktoś zaskoczył?

- Może ktoś ją uderzył?

- Może ktoś ją stamtąd wywiózł?

- Może była w to zamieszana?

- Może była winna?
  - Może wyszła na drogę i próbowała złapać okazję?
  - Może pojechała pierwszym rannym autobusem?
  - Może miała inne powody, żeby nie brać samochodu?
  - Może nie jest tym, kim powinna?
  - Może von Holten ją sobie wymyślił? O to ci chodzi?
  - Możemy to sprawdzić w ciągu pół godziny?
  - Tak - odparł Winter. - Już to zrobiliśmy. Pod adresem, który podał nam von Holten, mieszka Andrea Meltzer, w mieszkaniu jest telefon, ale nikt nie odpowiada. I nikt nie otwiera. Börjesson tam był i pukał do drzwi.
  - Czyli wchodzimy.
  - Chcę z tym poczekać do jutra, to znaczy jeśli nie odezwie się do jutra.
  - Czemu?
  - Coś tu się nie zgadza.
  - Tak, trudno się nie zgodzić.
  - Ona tu nie pasuje - powiedział Winter. - Musimy się skoncentrować.
  - Jak określić to, co teraz mówisz? Myślenie niezyczyniowe?
  - Przeglądam wszystko jeszcze raz - odpowiedział Winter. - Ona się zjawi najpóźniej jutro.
  - Czemu jesteś tego taki pewien?
- Winter nie odpowiedział. Podniósł wzrok znad papierów, które miał przed sobą, i spojrzał na Ringmara.
- Czy odciski palców w samochodzie von Holtena zostały jednoznacznie rozpoznane?
  - Nie. Używało go wiele osób. To auto służbowe, ale pożyczal je innym.
  - Innym kobietom?
  - On w każdym razie tego nie powiedział. Mówił o innych ludziach z pracy.

Z MIEJSCA, W KTÓRYM LEŻAŁA, świat za przyciemnionymi szybami wydawał się bardzo odległy. Dzień był taki sam od rana do wieczora, ale wieczór przychodził szybciej i na pół godziny szarość stawała się jaśniejsza. Zanim na zewnątrz zrobiło się ciemno, schodzące coraz niżej światło wpadało do pokoju i przez chwilę płonęło na ścianie, spalało się i znikало bez śladu w tapecie. Na swój sposób te wieczory były piękne. Aneta Djanali zaczynała dochodzić do siebie. Coraz rzadziej zapadała w stan długiego odrętwienia, coraz mniej godzin spędzała, blakając się w tę i z powrotem we śnie. Zaczęła tęsknić za głosami. Wsłuchiwała się w słowa sprzątaczkі mówiącej niesamowitą mieszanką języków. Siedziała na łóżku, a obok siedział Winter. Wskazała na ścianę i coś wymamrotała.

- Tak, ładne - powiedział.

Przytaknęła i wskazała na przenośny odtwarzacz CD leżący obok niej na łóżku. Winter wyciągnął z kieszeni torebkę.

- To był ostatni egzemplarz w sklepie - powiedział. - Nie mieli tej płyty Dylana, której nazwę mi zapisałaś, więc pozwoliłem sobie sam wybrać zespół, który coś w sobie ma.

Aneta Djanali wyciągnęła z torby płytę *London Calling* i spojrzała na Wintera pytającym wzrokiem.

- Ee esz?

- Tak, The Clash.

- Oy epól?

- Nowy zespół? A nie? - powiedział z uśmiechem.

Aneta Djanali napisała „1979” w notatniku, który leżał obok, i podała go Winterowi.

- Czas płynie - stwierdził. - Ale dla mnie są nowi. Macdonald mi ich polecił, a nawet przysłał mi płytę. Pewnie myślał, że tutaj, wśród lodowców, czegoś takiego się nie dostanie.

Kiedy mówił, Aneta włożyła płytę do odtwarzacza, wcisnęła

start i założyła słuchawki na uszy. *London calling to the underworld* - kiwała się w tę i z powrotem w rytm piosenki i wystukiwała takt kciukiem, żeby pokazać Winterowi, jak bardzo podoba jej się muzyka i to, że może posłuchać czegoś, co zostawiła za sobą wieki temu. Jeśli żartował, to umiał zachować kamienną twarz, ale wydawało jej się, że to nie żart.

Zainteresował się rockiem, a w takim razie czemu nie miałyby się zainteresować The Clash. Dalej by już nie poszedł, pomyślała, słuchając muzyki na cały regulator. *London calling to the zombie of death* - to temat w sam raz dla komisarza policji kryminalnej lubiącego posępne, przeraźliwe klimaty - *a nuclear terror but I have no fear*.

„Słuchałeś innych kawałków?”, napisała w notatniku.

- Jeszcze nie - odpowiedział. - Ten pierwszy wymaga dłuższej analizy.

„Teraz leci inny. Nazywa się *Jimmy Jazz*”, napisała.

- Tak? Mogę posłuchać?

Podala mu płytę.

„Ten powinien ci się podobać”, napisała i podała mu słuchawki. Winter zaczął słuchać.

- Przecież to nie jazz - stwierdził, a Aneta Djanali musiała się przytrzymać brzegu łóżka, żeby się nie roześmiać i nie uszkodzić dopiero co nastawionej szczyki.

- Ale nie sprawdziłaś tej drugiej płyty z torebki - powiedział. - To jazz, dobra płyta dla tych, którzy nie słuchali wcześniej muzyki podziemia.

Wyciągnęła CD z czarną twarzą na okładce i trzymając ją przed sobą, napisała na kartce: „O, lusterko!”.

Winter wybuchnął śmiechem. Aneta Djanali udawała, że przegląda się w opakowaniu płyty.

- Lee Morgan. *Search for the New Land*.

Aneta odłożyła płytę.

„Jak się ma Fredrik?”, napisała.



- Bez ciebie nie najlepiej. Najwidoczniej między wami jest jakaś chemia, która opiera się na wzajemnej niechęci.

„Właśnie. Jak między czarną a skinheadem”.

- On jest w porządku.

„Pilnuj go”.

- Jak to?- To samo można powiedzieć o innych.

„Nie powinnam tego pisać, ale on jest - oderwała długopis od kartki, zastanawiała się - znerwicowany. zdesperowany”.

- Znasz przecież Fredrika.

A cholera go wie, pomyślała. Rozboliła mnie ręka. Za dużo mówię. Nie trzeba być pracownikiem opieki społecznej, żeby wiedzieć, jaki jest Fredrik. Erik też to widzi, ale czeka. Siedzi tu, a ja nie wiem, czy to dobrze dla niego albo dla mnie. W porządku, ale na końcu wszystko się zbiega w jedno wielkie bagno, od którego chce się uciec. Mogłam być telefonistką i mieć do czynienia ze świrami, ale tylko na odległość. Tacy są wszędzie, ale nie trzeba spotykać się z nimi osobiście w godzinach pracy. Czy weźmie mnie za tchórza? Erik nigdy by tego nie powiedział. Każdy wyciąga własne wnioski. Człowieka osądzają według jego czynów. Arystoteles. Pamiętam.

Oparła się z powrotem o stertę poduszek i zamknęła oczy.

- Jesteś zmęczona. - Wstał i sięgnął po płytę leżącą na kołdrze. - Tylko nie zapomnij o Lee Morganie.

\*

Wyszedł i zaciągnął się wieczornym powietrzem. Pachniało piachem i solą. Zmieszały się ze sobą w ostatnich upalnych miesiącach. To nie jest zapach północy, pomyślał. Przynajmniej nie o tej porze roku, nie tak późno. Co by pomyśleli turyści z południa. Nie po to tu przyjeżdżają. Jestem zmęczony upałem, bo jestem Szwedem. Infrastruktura w tym mieście nie jest przystosowana do przemocy, jak w innych miastach, gdzie nikogo nie

zaskakuje, że inni nie są tak dobrzy, jak można by sądzić. Szedł na parking. Przed budynek powoli zajechał ambulans, zatrzymał się przed wejściem na izbę przyjęć. Dwóch sanitariuszy wyprowadziło łóżko na kółkach. Przenieśli na nie pacjenta z karetki, a następnie przewieźli go przez podwójne drzwi, które wyglądały jak rozświetlone wrota otoczone ciemnością. System wentylacyjny szumiał wokół budynków niczym pustynny wiatr.

Pojechał do domu. Zaparkował w podziemnym garażu i przeszedł do ogródka restauracyjnego. Pił piwo i słuchał rozmów dobiegających od nielicznych stolików, choć i tak nic nie słyszał.

Tramwaje huczały w pustej przestrzeni na rozciągającym się przed nim Vasaplatsen. W pewnym momencie w jednym z tramwajów zauważył twarz, którą chyba znał, skądś ją niejasno kojarzył. Kelnerka zabrała szklanekę i spytała go, czy chce jeszcze jedno piwo. Podziękował i zapalił cygaro. Widział dym nad parkiem. Grupa ludzi idących w stronę uniwersytetu przeszła chodnikiem tuż przed nim. Z któregoś z otwartych okien słychać było muzykę rockową, ale wiedział, że to raczej nie The Clash. Czy właśnie rodzę się na nowo?, pomyślał. Czy wszystko zaczyna się jeszcze raz?

Czuł, że dziś wieczorem, teraz, potrzebuje Angeli. Kiedy wróci od mamy? Jaka będzie?

Wyciągnął telefon i włączył go. Trzy nieodebrane połączenia, w tym jedno od Angeli. Oto nadchodzę, pomyślał i wybrał jej numer.

## 20

POJECHAŁ NA ROWERZE do jej domu przy Kungshöjd. Mieszkała na piątym piętrze. Siedzieli na balkonie wychodzącym na zachód i patrzyli na morze, którego czerń odcinała się na tle jasnej przestrzeni nieba. W świetle

księżyca dachy budynków wyglądały jak posypane popiołem. Kiedy przyszedł, Angela na sekundę mocno się do niego przytuliła, a potem wskazała na balkon. Na stole stały woda i wino, i coś, co pachniało przyprawami i solą.

- Przyjechałaś wczoraj?

- Tak. Już ci mówiłam.

Miała na sobie miękki sweter i szorty, włosy związała w kucyk, nie była umalowana. Kiedy Winter zobaczył jej profil na tle jasnego tynku, pomyślał o konturze kobiecych rysów. Wszystko jest mniejsze i delikatniejsze, takie jak powinno. Niczego w twarzy Angeli nie trzeba podkreślać. Nie potrzeba żadnych dodatkowych kolorów ani kresek.

- Co robiłaś?

- Przeważnie siedziałam na balkonie. Wczoraj wieczorem widać było mielizny i te łodzie rybackie, z których korzystają wędkarze. Widziałam, jak nimi kołysało.

- Na samą myśl dostaję choroby morskiej.

- Ja nie - powiedziała i napiła się wody. - To był widok przepiękny i spokojny.

- Brzmi okropnie.

- Myślałam o nas.

Zaczyna się, pomyślał. Zaliczyliśmy ledwie parę minut spokojnej rozmowy o drobiazgach.

- Jak się czuje mama? - zapytał.

- Doskonale. Dopóki nie zaczęłam z nią rozmawiać o nas.

- Aż tak źle chyba nie jest. I czy musiałaś to koniecznie zrobić?

- Co?

- Rozmawiać z mamą o nas. Chyba sami umiemy to rozważyć.

- Rozważyć? Kiedy chcesz zacząć rozważać?

- Inni uważają, że jestem rozważny i rozsądny.

- Inni? Nie widzę tu teraz żadnych innych, którzy mieliby jakieś wspólne zdanie na twój temat.

- Angela.
  - Rozmawiamy o tobie i o mnie.
  - Tak się po prostu mówi.
  - Mówi się? I co niby się teraz mówi o Eriku Winterze?
- Zamoczył kawałek selera w zimnym sosie z anchois i czarnych oliwek. Sos miał delikatny słono-gorzki smak.
- Dobre.

Popatrzyła na niego, nic nie mówiąc. Tak bardzo chciał tu być, ale jakoś nie wychodziło. Kiedy znowu pochylił się nad miskami, zobaczył twarz Helene oświetloną niebieskim światłem, jak wtedy, w kostnicy.

- Przepraszam - powiedział, jakby umiała czytać w jego myślach.

- Skądś to znam. I nie mówię tego, żeby narzekać jak żona policjanta czekająca na niego w domu w nocy.

- W takim razie ja też czekam - odpowiedział.

Kiedy sięgnął po szklankę z wodą, złapała go za rękę.

- Na co czekasz?

Na co czekał? To dobre pytanie. Na wszystko, począwszy od imienia ofiary, przez imię mordercy, aż po wieczny spokój ducha. Na zwycięstwo dobra nad złem. I na nią.

- Dziś czekałem na ciebie.

- Najbardziej na moje ciało.

- Ublizasz mi w ten sposób. Chcę cię mieć całą - powiedział i przycisnął mocno jej dłoń.

Puściła jego rękę i napiła się. Od północy powiał wiatr. Porwał serwetkę i uniósł ze sobą w przestrzeń, pod balkon. Winter patrzył, jak znika jak motyl w cieniach nocy.

- Musisz to wyraźniej okazywać - powiedziała.

- Okazuję. Próbuję to okazywać na swój sposób.

- Tak często jesteś gdzie indziej.

- Wiem, to prawda, ale nie zawsze.

- Ale teraz tak.

- To przez tę sprawę.

- Zawsze jest jakaś sprawa. Wiesz, że nie wymagam od ciebie, żebyś zmienił pracę. Ale ona. ona jest wszędzie, leży jak warstwa kurzu na nas i wszystkim, co nas otacza.

- Nie kurz - odpowiedział. - Nie ma żadnego kurzu, bo ja ciągle się ruszam. Możesz to porównać do czego chcesz, ale nie do kurzu.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Winter zobaczył, że wiatr znów wieje, bo włosy Angeli się uniosły. Złapał serwetkę, zanim podmuch zdążył ją porwać. Zamiast niej porwał papierowy ręcznik, którym przykryty był chleb. To sposób natury na sortowanie śmieci, pomyślał.

- Angela, nie mogę nic na to poradzić. To przecież część mnie. I mojej pracy, czy jak to nazwać.

Opowiedział jej o twarzy Helene, którą widział przed chwilą. Była tam, w samym środku kolacji. Nie szukał jej, to ona szukała jego. Nie pytała go o Helene i wiedział, że nie spyta. I dobrze. Może potem, ale nie teraz.

- Przecież ty też czasami nosisz w sobie obrazy pacjentów.

- Z tobą jest inaczej.

- Nic na to nie poradzę- powtórzył.- Poza tym to mi pomaga.

- Naprawdę? Tobie, temu świetnemu, nadnaturalnemu komisarzowi? W końcu można od tego. to może się stać silniejsze od ciebie.

- W końcu mogę oszaleć? Może już jestem wariatem? Zwariowanym akurat na tyle, żeby nadal pracować w policji.

- Walka ze złem. Twój ulubiony temat.

- Wiem, że to brzmi patetycznie.

- Nie, Eriku. I wiesz, że tak nie uważam. Ale czasem jest tego za dużo. Czasem to jest zbyt mocne.

Co miał powiedzieć? Przystępność jest jak armia. Jest policjantem, ale nie jest cyniczny. Wierzy w siłę dobra i dlatego mówił o sile zła, której się nie da przeniknąć. To tak, jakby próbować zranić przeciwnika przez szklany pancerz. Jest tam, dobrze widoczny, ale nieosiągalny. Jest jak potwór,

którego nie da się zrozumieć. Ten, kto próbuje ogarnąć zło rozumem, przegrywa. Zaczynał się już tego uczyć, ale miał przed sobą jeszcze długą drogę. Chciał podejść blisko, żeby móc zwyciężyć potwora. Jego praca polega na namierzaniu potwora, przebijaniu się przez pancierz i pokonywaniu go. Czym ma się kierować, jeśli nie rozumem? Jeśli nie da się zbliżyć do zła dzięki dobroci i rozsądkowi, to jak inaczej? Przez głowę przemknęła mu myśl. Przerażliwa myśl, czarna dziura w samym środku rzeczywistości: zło można pokonać tylko. złem.

\*

Bergnhem dmuchał w szyję Ady, tuż za uszami, a ona piszczała. Miał nadzieję, że z radości. Ich świat pokrył się mgłą talku, po tym jak strącił łokciem otwarty pojemnik z półki pod stolikiem do przewijania.

Kiedy dmuchnął znowu, kilka pyłków oderwało się od jej ucha. Cały czas mówiła. Z jej gaworzenia rozumiał więcej niż ze wszystkiego, co dziś usłyszał. Niedługo miała skończyć pół roku. Trzymając ją w ramionach, myślał o tym, jak osobliwymi torami toczy się życie.

On sam wrócił. Przez chwilę był jak martwy, czy może balansował na tej cienkiej granicy. Stało się to niemal w tym samym momencie, kiedy urodziła się Ada. Często o tym myślał, czasami w nocy, kiedy pot wywołany tymi myślami pokrywał cienką warstwą pot od gorąca nagromadzonego w ścianach ich szeregowego domku.

Podniósł córkę i zniósł ją ostrożnie po schodach do salonu. Ułożył ją na kocu rozłożonym na parkiecie. Położył się obok niej, z twarzą tuż przy jej twarzy. Kontynuowali rozmowę.

- Myślałem, że może zjemy na dworze - powiedziała Martina. Weszła właśnie do

pokoju z kuchni.

- Dobrze. I tak wszędzie jest tak samo gorąco.

- W altanie jest chłodniej.
- Rozłóż tam koc. - Wziął Adę pod jedno ramię, koc pod drugie i poszedł do altany. - Byłem dziś świadkiem czegoś okropnego - powiedział.

Martina przyniosła talerze i sztuce i zaczęła nakrywać do stołu.

- Tak?
- Jeden facet ucieszył się na widok martwego człowieka.
- Naprawdę?
- Był przygotowany na to, że to ktoś inny. Był zupełnie pewien. Ja też, choć nie umiem wyjaśnić, dlaczego. Tak jakby nagle wszystko zaczęło się zgadzać. Jakbyśmy nagle wiedzieli, kim była zamordowana.

Pożałował, że to powiedział, kiedy usłyszał przy uchu gaworzenie córeczki. Miał wrażenie, że powiedział coś brzydkiego, że zepsuł tę chwilę. Martina to zauważyła.

- To przecież naturalna reakcja.
  - Tak, ale w atmosfera była pełna. sprzeczności. Nagły przypływ radości.
  - To pierwsza reakcja. Takie są natychmiastowe, nie da się nad tym zapanować.
  - Jesteś taka mądra.
  - Wiem.
  - Jak to się robi?
  - Co?
  - Jak można się stać takim mądrym człowiekiem?
  - Najpierw trzeba się urodzić kobietą - powiedziała.
- Bergnhem znów podmuchał w szyję córeczki, za uszami, życząc jej w ten sposób wszystkiego najlepszego. Zapiszczała. Miał nadzieję, że z radości.

\*

- Nie ma na co czekać - powiedziała Angela, kiedy już złapali oddech.

Białe światło rozszczepiło mu głowę i jeszcze raz doznał tego uczucia, kiedy dusza i ciało skąpane w bieli na kilka sekund stają się jednym, a różnice między nimi znikają. Nagle stracił poczucie, co jest rzeczywistością, a co snem.

Później poczuł słodkie zmęczenie, spokój. Potem znów usłyszał jej głos.

- Na co czekamy? - powtórzyła. - Mam ochotę rzucić te pieprzone tabletki w ką.

Nie mógł odpowiedzieć. Cokolwiek by powiedział, i tak wyszłoby źle. Podniósł się.

- Przyniosę coś do picia.

- Wracaj, tchórze!

- Muszę się napić - powiedział i, zeskakując z łóżka, jednym ruchem wciągnął szorty. Wyszedł na balkon po butelkę i kieliszki. Nie wiało już tak jak wcześniej, było jeszcze cieplej niż w pokoju. Na ulicy nie było nikogo. Słysząc było wrzaski, ale dobiegały gdzieś z oddali, od zachodu.

Spojrzał na puste niebo. Mogła być pierwsza albo druga w nocy. Mógłbym powiedzieć, że mam pracę, i wrócić do domu, ale to byłoby tchórzostwo. Mógłbym powiedzieć, że chcę posiedzieć godzinę nad PowerBookiem, w miłym elektrycznym blasku ekranu. W pewnym sensie tak było, ale nie brzmiało to rozsądnie.

Przyniósł do kuchni dwa kieliszki napełnione w połowie winem, a w połowie wodą, ale nie znalazł w zamrażarce lodu. Poszedł do sypialni i podał kieliszek Angeli. Napiła się.

- W takim razie powiedz mi, na co czekamy - powiedziała. - Jestem zmęczona tym układem.

- Jakim układem?

- Tym wszystkim - wyjaśniła, znowu łapczywie popijając. - Nie chcę, żebyśmy nadal mieszkali osobno.

- Od samego początku to był twój pomysł.

- Nieważne, czyj to był pomysł. Mam wrażenie, że całe lata minęły, odkąd byliśmy yuppie.



- Nadal nimi jesteśmy.
  - Erik, masz trzydzieści siedem lat, niedługo skończysz czterdzieści. Ja mam trzydzieści. Zabawa się skończyła. Wypił łyk wina. Usłyszał samochód. Przejechał szybko po Kungsgatan, w kierunku Rosenlund. Może to taksówka, a może samochód osobowy jadący do jednego z burdeli przy Feskekörka. Czasami mnóstwo frajerów przejeżdżało pod jej oknami, ale dziś było w miarę spokojnie. Zastanawiał się, dlaczego. Idealny wieczór na takie wizyty.
  - Może to brzmi śmiesznie, ale zabawa się skończyła. Wiesz, że wcześniej nie stawiałam ci żadnych wymagań, ale teraz stawiam - powiedziała.
  - Tak.
  - Czy to źle? Jesteśmy ze sobą już dwa lata. Biorąc pod uwagę, ile mamy lat i to, że mieszkamy osobno, to długo.
  - Możliwe.
  - Erik, musisz wreszcie wziąć za siebie odpowiedzialność. Milczał. Co miał odpowiedzieć?
  - W przeciwnym razie nie będę ci już mogła ufać. Może tobie taki układ pasuje. Mnie to nie wystarcza, przynajmniej na dłuższą metę.
  - Chcesz, żebyśmy zamieszkali razem?
  - Wiesz, czego chcę, ale to i tak dopiero początek.
  - Ty i ja w jednym mieszkaniu?
  - Chyba to właśnie znaczy zamieszkać razem?
  - No tak.
  - Nigdy o tym nie słyszałeś?
- Nie mógł się powstrzymać i zachichotał jak nastolatek. Sytuacja była okropna, nie do zniesienia. Kazano mu się wytłumaczyć z potrzeby życia w pojedynkę. Z Angielką odsuniętą na dogodną odległość, którą można pokonać na rowerze w ciepły wieczór. Miała rację. Tak było. Zabawa się skończyła.
- Czasami trzeba dokonać wyboru - powiedziała delikatnie,

jak do niezdecydowanego dziecka. - Erik, to chyba nie jest dla ciebie zaskoczenie.

- Możemy się przecież widywać częściej.

- Czyli nie jesteś na to przygotowany.

- Tego nie powiedziałem.

- To twoja jedyna szansa - odrzekła.

Ta świadomość towarzyszyła mu, kiedy szedł do salonu włączyć odtwarzacz. Ukłął przed stojakiem i wziął jedną z leżących na stosie płyt. Nie spojrzął nawet jaką, tylko wyjął krążek z pudełka i włączył odtwarzacz, wybierając piosenkę na chybił trafił. Pokój wypełnił ledwo mu znany nosowy głos. W dyszharmonijnym bluesowym stylu zaczął śpiewać, że nie może już czekać: I can't wait for you to change your mind, it's late, I'm tryin' to walk the line.

- Boże - powiedziała, stając w drzwiach. - Nie wiedziałam,

że tak dobrze znasz nową płytę Dylana. Że w ogóle go znasz. -

Podeszła bliżej i wskazała na odtwarzacz. - Czy to dotyczy nas obojga?

Winter odwrócił się do niej, wyglądał na zmieszanego.

## 21

OPUŚCIŁ KUNGSHÖJD udreżony słońcem. Ciemne okulary stłumiły niemiłe uczucie w ciemieniu. Obudził się z bólem głowy, który jeszcze nie minął, mimo że łyknął już dwie tabletki przeciwbólowe.

Wczoraj zabrał ze sobą ubrania na zmianę. Angela machała do niego z balkonu, kiedy schodził w dół zbocza. Dostał czas do namysłu, choć nie było to zbyt trafne określenie. Nie przychodziło mu jednak do głowy lepsze. Nie mógł się teraz skupić na sprawach osobistych. Wiedział, że znaczą więcej, niż mu się wydawało.

Z boisk na Heden słychać było uderzenia piłki. Kilkoro młodych ludzi grało w nogę na jednym ze zwirowych boisk.

Unosiły się nad nim tumany kurzu. Studenci, pomyślał Winter. Kiedy przez rok studiował nauki społeczne, był środkowym pomocnikiem w dwóch drużynach studenckich. Najlepszy był zespół Znowu Przemokło. Doszedł do finału mistrzostw rozgrywanych tu, na Heden, może nawet na tym boisku, ale przegrał z drużyną Akademii Medycznej Per Rectum. Winter został usunięty z boiska w drugiej połowie. Sędzia był idiotą, popełniał fatalne błędy.

- Nie dała znaku życia - powiedział Ringmar po porannej odprawie.

- Jedziemy tam?

Winter się zastanawiał. Nie potrzebował nakazu prokuratora. Jako prowadzący śledztwo sam mógł podjąć decyzję o doprowadzeniu na przesłuchanie. Nie mogli ot tak sobie wpaść do czyjś domu, ale mogli doprowadzić na przesłuchanie kogoś, kto był ważny dla śledztwa, a kto nie stawiał się sam. Zerknął do papierów. Andrea Meltzer mieszkała przy Viktor Rydbergsgatan. Elegancka okolica.

- Dobra. Jedziemy tam.

Przejechali przez Karsvägen. Ktoś spieszył się, przejeżdżając przez rondo, i nie zauważył drugiego kierowcy. Dwa uszkodzone samochody stały pod dziwnym kątem. Policjant w mundurze próbował ustalić, kto był sprawcą. Przepytywał dwóch mężczyzn, jak domyślił się Winter, kierowców. Na twarzy jednego z nich widać było poruszenie, ale też zakłopotanie. Takie miny zawsze towarzyszą wypadkom, w których uszkodzone są tylko karoserie, nie ludzie.

Policjant miał około pięćdziesiątki. Spojrzał na nich, kiedy ostrożnie przejeżdżali obok. Skinął głową na powitanie, a Ringmar podniósł rękę przez opuszczoną szybę.

- Sverker - powiedział Winter.

- Przepracowaliśmy razem niejedną zmianę - powiedział Ringmar. - Młodość w mundurze, piękne lata.

- Nie widziałem go od jakiegoś czasu.

- Był chory. Rak, chyba w nodze.  
- Możliwe, że coś o tym słyszałem - powiedział Winter, jadąc w górę Eklandabacken.

- Nic nikomu nie powiedział. Później szybko się to potoczyło, a potem już wyszedł ze szpitala. Tak jakby robili mu tylko jakiś błahy zabieg na skórę czy coś. I nadal stoi na własnych nogach.

Minęli kościół i zatrzymali się na parkingu przed domem Andrei Meltzer. Winter obszedł dom. Budynek był wysoki, rzucał cień na ulicę. Wejście było szerokie, zrobione w surowym stylu. Na kamiennie-marmurowej klatce schodowej panował chłód. U podnóża schodów stała rzeźba: naga kobieta z palcem wyciągniętym ku górze.

Witrażowe okno trzy metry wyżej wpuszczało do środka wybrane części dnia. Pachniało pieniędzmi i czymś, co przypominało mydło.

- Nie powiem, ładniej niż u ciebie na korytarzu.

Ślusarz już na nich czekał. Siedział na obrotowym fotelu przy drzwiach i kiedy weszli, podniósł się, żeby się przywitać.

- Drugie piętro - powiedział Winter.

- Idziemy schodami, nie chcę czekać na windę.

Weszli na górę. Wypolerowane, egzotyczne drewno i mnóstwo bujnych roślin stojących na podestach sprawiły, że Winter poczuł się jak w wykarczowanej dżungli.

Winda stała na drugim piętrze. Ślusarz zaczął się przygotowywać.

- Najpierw zadzwonię - powiedział Winter.

Nigdy nie wiadomo. Zadzwonił jeszcze raz i usłyszał kroki, ale wydawało mu się, że słyhać je z innej strony. Drzwi były masywne, wyglądały, jakby nie dało się przez nie przebić siekierą. Może trzeba użyć piły mechanicznej i tarana, do którego, z samego przodu, można by przywiązać Fredrika.

Coś zaszurało w środku i drzwi otworzyła kobieta. Mogła być w wieku Angeli. Spojrzała na nich: jeden wysoki, w dobrze

uszytym szarym garniturze, drugi odrobinę niższy, w koszuli z podwiniętymi rękawami wetkniętej w beżowe bawełniane spodnie, trzeci, najwyżej dwudziestopięcioletni, w okropnych bermudach i T-shircie, z pękiem kluczy w ręku. Może to on wyglądał najgroźniej, ale nie miało to już większego znaczenia.

Jest spokojna, pomyślał Winter. To dla niej zaskoczenie - skorzystała z prawa do prywatności, zniknęła na kilka dni.

- Tak? - zapytała.

- Andrea Meltzer?

- O co chodzi? Kim panowie są?

- Policja - powiedział Winter i wyjął legitymację.

Przyjrzała się jej. Ślusarz popatrzył na Wintera i kiedy skinął w jego kierunku, zszedł po schodach, a jego bermudy zwały się ze światłem sączącym się z witraża. Może to mundur odpowiedni do tego domu, pomyślał Ringmar.

- Czego panowie chcą? - powtórzyła Andrea Meltzer.

- Czy możemy wejść na chwilę?

- Czy pan też jest z policji?

- Tak, przepraszam. - Ringmar wyciągnął legitymację.

Rzuciła na nią okiem, a potem znów popatrzyła na Wintera. Twarz miała pokrytą piegami, których zapewne przybyło latem. Wyglądała rześko, mniej więcej tak jak Peter von Holten, zanim wymiotował na moje biurko, pomyślał. Czy nie może sobie znaleźć kogoś, kto nie jest żonaty? Wygląda na zmęczoną, ale nie zużytą.

- Zgadza się pani? - zapytał Winter, wskazując głową w kierunku wejścia. W pokoju było ciemno, ale wpadało do niego światło gdzieś z głębi mieszkania.

- W porządku - odpowiedziała i weszła do środka.

Zaprowadziła ich do salonu, który przypominał mieszkanie, w jakim Winter kiedyś mieszkał. Sztukaterie, biel i okna wychodzące na balkon, który już wyglądał na rozżarzony do białości przedpołudniowym słońcem ze wschodu.

Drzwi były otwarte i Winter zobaczył pusty kuty stolik stojący pod parasolem.

Miała na sobie płócienną koszulę i dość długie, szerokie szorty. Wyglądały na wygodne. Letnie ubrania, chociaż wrzesień był tuż-tuż.

Jutro znów założę krótkie spodenki, pomyślał Winter. I tak nie da rady chronić się przed słońcem. Pomyślał o siostrze. Dzwoniła wczoraj, znów go zapraszała. Nie wiedział dlaczego, przecież odezwałby się do niej, gdyby miał czas.

- Może powinnam zaproponować kawę albo coś do picia, ale chciałabym wiedzieć, o co chodzi - powiedziała Andrea Meltzer.

Zapytali ją, co robiła nad jeziorem Delsjö. Kiedy to było? Byli na tyle bezpośredni, na ile starczyło im śmiałości. Co było potem? Potem, kiedy Peter już poszedł, spacerowała chwilę. Dlaczego? Musiała pomyśleć. Jakbym słyszał Angelę, pomyślał Winter.

Andrea Meltzer musiała się zastanowić, dlaczego spotyka się z żonatym mężczyzną ukradkiem, jak się wyraziła. Gdyby wzięła jego samochód, skompromitowałyby się. Takiego słowa użyła. Posiedziała chwilę w aucie, a potem poszła w kierunku restauracji i tam zaczęła na taksówkę. Zamówiła ją, siedząc w samochodzie. Winter spojrzął na Ringmara. Nic nie wiedzieli o takim kursie. To się zdarza, jak zauważył Halders na jednym z pierwszych zebrań. Kierowcy taksówek milczeli, może nie ze wszystkich korporacji, ale z większości. Spisali namiary, ale kiedy spytali, czy ma rachunek, potrząsnęła głową. Może go miała i kłamała. Mogli to sprawdzić. Winter jej wierzył. Ludzie robią rzeczy dziwne, a jednocześnie zwyczajne. Może to było rozstanie z von Holtenem. Byłbym za, pomyślał i zapytał, czy coś szczególnego przykuło jej uwagę, kiedy tam siedziała.

- Kiedy zostałam sama? Kiedy Peter poszedł?

- Tak. - Potem mógł spytać o to, co robili tam we dwoje i

czy widzieli, co działo się wokół. - To ważne, proszę się nad tym zastanowić. Wszystko może nam pomóc.

- Może zrobię kawę i tymczasem pomyślę.  
- Zanim pani zacznie - powiedział Ringmar - może nam pani powiedzieć, gdzie pani była przez kilka ostatnich dni?  
- Tutaj - odparła. - I jeszcze gdzie indziej, ale głównie tutaj.  
- Szukaliśmy pani - powiedział Ringmar.  
- Nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie szukał. Odłączyłam telefon i wyłączyłam to. - Ruchem głowy wskazała leżącą na stoliku komórkę. - Nie czytałam gazet, nie słuchałam radia i nie oglądałam telewizji.

- Dlaczego?  
- Wydaje mi się, że już to wyjaśniłam.  
- Nie słyszała pani, że ktoś dzwoni do drzwi?  
- Nie. Musiałam wtedy być poza domem.  
- Nie dostała pani od niego żadnej wiadomości?  
- Peter tu był i zostawił kopertę, ale ją wyrzuciłam.  
- Co pisał?  
- Nie wiem. Nie otworzyłam jej.  
- Kiedy?

- Wczoraj. Została wyniesiona w worku na śmieci, jeśli to panów ciekawi.

Winter pokiwał głową. Nie ma nic dziwnego w tym, że ktoś się ukrywa, jeśli chce. W tym, że korzysta z prawa do prywatności.

- Miałam parę dni urlopu do wykorzystania.

Winter znów pokiwał głową. Chciał już iść, ale jeszcze nie skończyli.

- Coś jeszcze? - zapytała, kiedy ani Winter, ani Ringmar się nie odzywali.

- Co pani widziała? Jeśli coś pani widziała - zapytał Winter.

- Pomyślę o tym w kuchni - odparła.

- Oczywiście.

Wstała i wyszła z pokoju. Winter się rozejrzył. Na szafce stały

dwa oprawione zdjęcia. Podszedł do nich. Żadne nie przedstawiało Petera von Holtena. Na jednym widać było młodą parę, może jej rodziców. Zdjęcie mogło być zrobione trzydzieści lat temu. Para w klasycznych ślubnych strojach. Żadnego flirtu z ówczesną modą na flower power. Zdjęcie pachniało pieniędzmi, tak jak ten dom, mieszkanie, ulica na dole i ta część miasta.

Drugie zdjęcie zrobiono przed domem. Nie było na nim nikogo. Tylko dom stojący na skwerze. Zdjęcie było czarno-białe. Dom mógł być czerwony i stał nad skałami. Na pierwszym planie widać było, choć nieostro, część pomostu. W centrum znajdował się dom i fragmenty tła. Na niebie nie było ani jednej chmury. Po lewej widać było szyld reklamujący meble. Od pomostu do domu biegly murowane schody, chyba wykute w skale. Znał to miejsce. Widział ten dom z morza. Tak mu się wydawało. Cypel można było okrążyć z lewej strony, wpłynąć do oddalonej o trzysta metrów zatoczki i wspiąć się na wzgórze porośnięte jałowcami postrzępionymi od wiatru. Osłaniało przed nim dom. Należał do jego rodziców, kiedy był mały. Miał dwanaście lat, kiedy go sprzedali. Od tamtej pory mijał go, płynąc łodzią, ale rzadko schodził na ląd. Teraz za nim zatęsknił.

Andrea Meltzer wróciła do pokoju i zobaczyła Wintera stojącego przed zdjęciami. Wymieniła nazwę wyspy.

- Wydawało mi się, że znam to miejsce - powiedział. - Moi rodzice mieli tam dom, ale to było dawno temu.

- Moi kupili go parę lat temu.

- To dlatego pani nie rozpoznałem - powiedział, odwracając się.

Przyjrzała mu się. Postawiła tacę na stole i usiadła.

- Chodzi mi o to, że nie było tam wtedy żadnych dzieci.

Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Winter usiadł naprzeciwko. Zrobiła gest w stronę tacy i Ringmar sięgnął po



kawę. Winter nagle się zniecierpliwił, był bardziej niespokojny niż zwykle. Zdjęcie domu zrobiło na nim wrażenie. W jego głowie nie było teraz miejsca na wspomnienia. Coś go tutaj doprowadziło. Wszystko ma swój sens.

Nigdy nie wierzył w przypadek. Wiele zbrodni wyjaśniano dzięki trafowi, czemuś, co można nazwać zbiegiem okoliczności, ale Winter w to nie wierzył.

Wszystko ma sens, nawet zbieg okoliczności.

- To moja oaza - powiedziała. - To tam jestem, kiedy nie ma mnie tu. Jak wczoraj.

- Czy przypomina pani sobie coś z tamtej nocy, o której mówiliśmy?

- Pamiętam, że widziałam łódź - powiedziała. - Na jeziorze.

- Łódź? - powtórzył Ringmar.

- Była daleko?

- Kawałek od brzegu. Widziałam ją, kiedy wyszłam z samochodu. po tym jak zrozumiałam, że to był ostatni raz, kiedy pożyczyłam samochód Petera.

- Proszę opisać dokładnie, co pani widziała - powiedział Winter. - Tak dokładnie, jak pani potrafi.

- Tak jak mówiłam, łódź w oddali, wyglądała, jakby się nie ruszała. Nie było nic słyszać. Silnika ani nic.

- Widziała pani silnik?

- Nie, ale było ciemno, świecił tylko księżyc. Nawet gdyby tam był doczepiany silnik, i tak bym go nie widziała w ciemności. - Odstawiła filiżankę.

- Nic pani nie słyszała?

- Nie, ale widziałam, że ktoś tam siedział.

- Ktoś? Jedna osoba?

- Wyglądało na to, że jedna.

- Nie jest pani pewna?

- Było za ciemno.

- Czy ten ktoś mógł panią widzieć?

- Skąd mogę wiedzieć?
  - Rozpoznałaby pani łódź, gdyby ją pani zobaczyła po raz drugi?
  - Hmm. nie wiem. Ale mniej więcej pamiętam kształt i rozmiar.
  - Co pani robiła potem?
  - Jak to?
  - Jak długo pani tam stała?
  - Może z pięć minut. Nie zastanawiałam się nad tym za bardzo. Przecież ludzie czasem wędkują również w nocy.
  - Nie wiem - powiedział Ringmar. - Nie wędkuje.
  - I łódź wciąż tam była, kiedy stała pani przy samochodzie? - zapytał Winter.
  - Wyglądała, jakby cały czas była w tym samym miejscu.
  - Czy możemy jeszcze raz porozmawiać o tym, kiedy dokładnie to się działo?
- Tak dokładnie, jak tylko się da - powiedział Winter.

## 22

OGŁOSZENIE PRZYNIOSŁO REZULTATY. Ludzie dzwonili, a Möllerström był jednym z tych, którzy odbierali zgłoszenia. Wiele osób kogoś widziało, ale wszyscy z daleka. Tak to wyglądało. „Ktoś jest gdzieś”, jak mówił Möllerström. Wintera bawił ten optymizm. Był w jego stylu. Kiedy słucham Jannego, jestem dumny, bardzo dumny.

Winter ułożył tekst i wydrukowali afisze. Rozlepiono je w różnych częściach miasta. Miały wisieć, dopóki ktoś ich nie zerwie. Żadnego zdjęcia. Tekst brzmiał:

„Policja potrzebuje pomocy”. Napisał, że w czwartek osiemnastego kwietnia o czwartej rano w okolicy jeziora Stor Delsjö i Kalvelmossen zamordowano kobietę. Załączył jej opis.

„Policja prosi o kontakt każdego, kto.”. I niżej: „Jeśli ktoś wie

cokolwiek, prosimy dzwonić pod numer... Policja zdecyduje, co ma znaczenie”. To dziwne zdanie nie pasowało do reszty, ale postanowił je zostawić.

Żeby uniknąć nieporozumień, pod ogłoszeniem zamieścił podpis: Wydział Kryminalny Policji Okręgowej. Na koniec dodał: DZIĘKUJEMY ZA POMOC. W tekście pobrzmiwał jakiś dziarski ton, który mu się nie podobał. Może dzięki temu afisz przyniesie rezultaty. Pomyślał o podobnych afiszach, które wiatr porywał sprzed stacji kolejowych na przedmieściach Londynu.

- Czy w łodzi coś znaleziono? - zapytał Halders.

- Beier mówi, że to ten sam rodzaj farby - powiedział Börjesson. - I prawdopodobnie znalazła się w łodzi mniej więcej w tym samym czasie.

- O ile „znalazła się” to właściwe słowo - wtrącił Halders.

- Naniesiono ją - powiedział Börjesson.

- Coś jeszcze? - zapytał Winter.

- Ani jednego śladu buta w błocie na dnie, ale odcisków palców od cholery. Zbadanie ich trochę potrwa. Delikatnie mówiąc, jak się wyraził Beier.

- Odciski wielu osób?

- Chłopcy chętnie pożyczali łódź. Albo wynajmowali, chociaż się nie przyznają.

- Muszę z nimi porozmawiać jeszcze raz - powiedział Halders. - Wszystko wskazuje na to, że w jeziorze są ryby.

- Nie znaleźli żadnych odcisków butów na górnych krawędziach łodzi?

- Jak to? - Börjesson spojrzał na Wintera.

- Kiedy się zeskakuje na ląd, trzeba się odepchnąć od krawędzi. Przynajmniej czasami.

- Beier na pewno to sprawdził.

- Trzeba im kazać to sprawdzić - powiedział Halders.

- A Sztokholm się nie odzywał? Biuro osób zaginionych?

- Żadnych wieści ze Sztokholmu - odparł Ringmar. -

Żadne zgłoszenie nie pasuje.

- No jak, kurwa - powiedział Halders. - Mnóstwo powinno pasować. Trzydziestoletnie babki, które dały nogę.

- Dały nogę? - zapytała Sara Helander.

- Uciekły od garów - powiedział Halders. - Zwiały, żeby znaleźć sens życia.

Winter i Ringmar siedzieli w biurze Wintera i rozmawiali o samochodach. Ford escort 1.8i CLX, trzydrzwiowy. Kombi sedan, rocznik dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt trzy albo dziewięćdziesiąt cztery. Ewentualnie dziewięćdziesiąt jeden 1.6i.

W wydziale komunikacji wyszukali escorty z literami HEL i HEI w rejestracji. Zabrało im to dobę: dostali listę escortów o tablicach z taką kombinacją liter, jak również listę starszych, pierwszych modeli, które podrasowano i zaokrąglono w 1991 roku. Poprosili też o namiary na escorty o innych rejestracjach. Beier nie był pewien tych liter, mówił coś o złudzeniu optycznym. Nikt nie był niczego pewny, nawet facet od psów, jak się okazało.

Gdyby się ograniczyli do Göteborga w szerokich granicach, zatrzymali na Kungsbacka na południu, Kungälv na północy i Hindås na wschodzie, wychodziło im dwieście czternaście escortów roczników od dziewięćdziesiątego pierwszego do dziewięćdziesiątego czwartego. Dwieście czternaście podobnych do siebie samochodów. To dużo.

- Jak zwykle pojawia się kwestia priorytetów - powiedział Ringmar.

- Chodzi ci o to, że to nie jest priorytet? Dzięki. Sam wiem.

- Ale czujesz, że to ważne?

- Przyznaj, że to był dobry pomysł. - Winter spojrział na niego znad list ułożonych w grube pliki na jego biurku.

- Mogło być gorzej - powiedział Ringmar. - Moglibyśmy szukać jednego z najpopularniejszych modeli Volvo.

- Mogło też być lepiej - powiedział Winter. - Na przykład

cadillac eldorado.

- Czemu nie trabant?
- Mnie by pasowało.
- Możemy dać do tego dwóch ludzi - powiedział Ringmar po chwili. Dwóch policjantów miało przejrzeć rejestr samochodów i wyszukać wszystkich właścicieli. - Przejdziemy przez wszystkie auta na liście.
- Kto dzisiaj ukradł forda escorta? Czy dużo ich jeździ?
- Zawsze możemy spytać Fredrika. Specjalizuje się w kradzionych autach.
- Zaczniemy od aut z wypożyczalni.
- I służbowych.
- Escortów? Żartujesz.
- Drobni przedsiębiorcy - powiedział Ringmar, a Winter się uśmiechnął. - Jednoosobowe firmy.
- A później osoby prywatne.
- Część da się przecież odrzucić na początku.
- Wyznamy dwóch śledczych - powiedział Winter. - I niech zaczynają.

Tego przedpołudnia Winter miał jeszcze jedno spotkanie. Nie myślał o niczym, kiedy cicho zapukał i wszedł do biura komendanta. Wellpapp nie wstał, był przełożonym. Wskazał tylko ręką krzesło przed sobą. W oknie za jego miękko zarysowaną, okrągłą głową Winter widział stadion Nya Ullevi. Ciało Wellmana jakby do niego nie pasowało. W jego wyglądzie nie było żadnej sztywności, raczej uległość.

Asfalt przed stadionem był pusty, wyglądał jak czarne morze z białymi plamami śmieci wyrzuconych z samochodów jadących Skånegåtan. Spocony Wellpapp popijał wodę mineralną. Ma na sobie garnitur za ciepły na upały i zastanawia się, czemu ja się tak nie pocę, pomyślał Winter.

- Gorąco - powiedział Wellman, biorąc kolejnego łyka.
- Tak pan myśli?
- Lubisz upały?

- Może działać stymulująco. Wieczory są piękne, nawet jeśli do tej pory nie wykorzystywałem ich właściwie.
  - Chciałem się tylko dowiedzieć, jak idzie - powiedział Wellman. - Albo raczej na czym stoimy.
  - Robimy wszystko, co w naszej mocy - odparł Winter i zaczął się zastanawiać, czy wspominać o poszukiwaniach w wydziale komunikacji.
  - Że też nikt jej nie szuka.
  - Właśnie.
  - Czytałeś? - zapytał Wellman, sięgając po jedną z leżących przed nim gazet. - Piszą, że policja nie ma żadnych śladów.
  - Wie pan, jak jest.
  - Ale. macie jakiś ślad?
- Winter zobaczył duży autokar. Przejechał po morzu asfaltu i zatrzymał się.
- Erik. Macie jakiś ślad?
- Autokar się nie ruszał i nikt z niego nie wysiadał. Nie mógł stąd dojrzeć, czy silnik jest włączony, bo nie było widać świateł.
- Oczywiście - powiedział. - Chyba nie muszę panu składać sprawozdania.
  - Nie, nie. Ale po południu jest konferencja prasowa.
  - Wiem przecież.
  - A w gruncie rzeczy sytuacja jest do dupy przez to pieprzone zamieszanie.
  - Co pan ma na myśli?
  - Nie podoba mi się, że nie znamy imienia i nazwiska. Jeśli się zna nazwisko, łatwiej wszystko ogarnąć, do cholery. Porachunki narkotykowe, śmiertelne pobicia czy ucieczkę z miejsca wypadku.
  - I to pan woli?
  - Wolę, jak wolę. Wiesz, o co mi chodzi.
  - Jeśli od początku ma się więcej odpowiedzi, łatwiej znaleźć trop.

- Co?
  - Chodzi panu o to, że łatwiej jest, kiedy wszystko jest łatwiejsze od początku?
  - Łapiesz mnie za słowa.
  - Coś jeszcze?
  - Nie, nie. Dasz radę.
  - Jeśli nikt mi nie będzie bez przerwy przeszkadzał - powiedział Winter.
- Stał wpatrzony w autobus. Nikt z niego nie wysiadł. Zobaczył kobietę. Podeszła i przystanąła przy oknie kierowcy. Wyglądało to tak, jakby z nim rozmawiała. Potem cofnęła się kilka kroków, odwróciła i ruszyła biegiem w stronę Skånegåtan, a potem przez parking w kierunku komendy, w kierunku tego budynku, w którym właśnie stał i patrzył na coraz wyraźniejsze rysy jej twarzy. Zniknęła gdzieś pod nim. Wyglądała na przerażoną.
- Przepraszam - powiedział Winter.
- Wyszedł z biura i zjechał windą na dół.

## 23

W HOLU PANOWAŁO STRASZNE ZAMIESZANIE. Kobieta, która przed chwilą biegła przez Skånegåtan i przez parking, stała teraz przewieszona przez okienko recepcji. Winter, idąc przed siebie, widział szefa policji porządkowej w otoczeniu pięciu albo sześciu policjantów. Do tego nawinęło się jeszcze paru kryminalnych. Poza tym w holu i poczekalni, jak zwykle, pełno było kurierów rowerowych, umundurowanych patroli z radiowozów, pracowników biura, prawników i ich klientów - tych z górnych i dolnych półek, wychodzących na prostą, albo starających się wyjść, ćpunów, dziwek, złodziei samochodów, złodziei wywodzących się ze wszystkich klas, zapijaczonych meneli, asystentów prezesa, których wyrzucono z pubu i którzy wrócili do niego z łomem,

pijanych sfrustrowanych bizneswoman stawiających opór policji. Byli i tacy, którzy przyszli wypełnić druki, chcieli sobie wyrobić paszport, ale źle trafili, tacy, których bliscy nie wracali już wystarczająco długo. I tacy, którzy przyszli Bóg wie po co.

Szef policji porządkowej rozmawiał z kobietą, która wskazywała na autobus przed Ullevi. Winter podszedł bliżej, sam nie wiedział po co.

Kobieta powiedziała, że w autobusie siedzi mężczyzna z małym chłopcem i grozi, że zastrzeli dziecko i siebie i wysadzi pojazd w powietrze. Pokazał jej broń i sznurek. Jeśli za niego pociągnie - tak powiedział - autobus eksploduje.

- Okrążyć - powiedział szef do umundurowanej policjantki stojącej z boku.

Winter widział, jak rozkaz jest przekazywany dalej. Nagle w ciasnej przestrzeni recepcji zrobił się duży ruch - wychodzący policjanci mieszały się z tymi, których wezwano z różnych części miasta. Winter spojrzał na autobus, tym razem z innej perspektywy. Wydawał się mniejszy, jakby się skurczył, stojąc na słońcu na otwartej przestrzeni, bez żadnej osłony.

- Skontaktujcie się z Bertelsenem z imigracyjnego. - Winter usłyszał, jak dowodzący krzyczy za kimś, kto już wyskoczył z biura. Winter usłyszał już wystarczająco dużo, żeby się zorientować, że w autobusie siedzi zdesperowany mężczyzna, który w końcu, nie mając wyboru, zdecydował się na. Winter domyślał się, że to kolejny z tych, którzy nie są w Szwecji mile widziani, ktoś, kto musi wyruszyć w podróż dookoła świata, jeśli uda mu się tego dożyć. Kolejny wieczny tułacz, człowiek bez kraju, podróżujący po planetach na zardzewiałym statku albo w wagonie bydłowym, który tłucze się przez wszystkie bagna i pustynie na ziemi i nie zatrzymuje się w oazach. Może zastrzeli siebie i dziecko. Takie rzeczy już się zdarzały.



W jednej chwili zablokowano wjazd na Skånegatan i puszczono ruch inną drogą. Ciekawscy zaczęli się już gromadzić, jakby działające najszybciej media już rozniosły wieść o tragedii. Może tak było. Jeśli wierzyć Wellpappowi, w hallu roilo się od dziennikarzy. Winter się rozejrzał i stwierdził, że to możliwe, bo w środku było teraz mniej policjantów, a więcej ludzi ubranych po cywilnemu. Któryś z dziennikarzy mógł spełnić swój zawodowy obowiązek i donieść.

Winter wyszedł. Gapie nadciągali z różnych stron i trzeba ich było odganiać siłą, ponieważ nie zdążyli jeszcze rozciągnąć taśm. Festiwal miejski zmienił się w kolejny spektakl, a ja nie jestem lepszy od innych ciekawskich, pomyślał. Wrócił do budynku i wjechał windą do swojego biura. Jego okna wychodziły na kanał.

Szybko wyjrzał przez okno i zobaczył ludzi wchodzących na trawniki, które nagle pojawiły się tam, gdzie do niedawna był tylko wiatr i skwar. Wyglądali jak mewy zlatujące się ze skrzekiem do chleba pokruszonego na środku pustego morza.

Na biurku zadzwonił telefon.

- Tak?
- Tu Bertil. Przy Vårväderstorget jest strzelanina.
- Co?
- Świadek, który zadzwonił trzy minuty temu, powiedział, że to prawdziwa wojna gangów. Pojechał tam jeden z naszych wozów. Potwierdzają, że to strzelanina.
- Sporo się dzisiaj dzieje - odparł Winter.
- O czymś nie wiem?
- Porwanie przed komendą, czy jak tam to nazwać.
- Wisiałem na telefonie cały. Porwanie, mówisz?
- Porwany autobus, ale olać to na razie. Udało ci się już kogoś wysłać na, gdzie to było?
- Vårväderstorget. To.

- Wiem, gdzie to jest.
- Jeden radiowóz już tam jest, ale nie ma nikogo z wydziału. Ja tu, do cholery, nie mam ludzi.
- Jedziemy już - powiedział Winter. - Wóz już gotowy?
- Tak.

Wyjechali przez Smålandsgatan. Winter słyszał megafony. Pomyślał o chłopcu, który siedzi w autobusie z porywaczem. Może to ojciec i syn. Nagle poczuł gniew, czy raczej mdłości. Podchodziły aż do klatki piersiowej.

- Co się dzieje? - zapytał Ringmar, patrząc cały czas w lusterko wsteczne.
- Nie wiem wiele więcej niż ty. A to więcej to facet, który siedzi w autobusie i grozi, że zastrzeli siebie i towarzyszącego mu chłopca. Może są tam jeszcze inni.

Ringmar westchnął, tak to przynajmniej zabrzmiało.

- Możliwe też, że ma przy sobie ładunek wybuchowy - dodał Winter.
- A my jesteśmy w drodze na drugi koniec centrum wydarzeń.

Winter spojrział na niego z boku. W tym momencie odezwało się radio - jakiś policjant poinformował ich, co wydarzyło się na Vårväderstorget. Cztery strzały padły z dachów domów, które otaczały plac lub były jego częścią. Wygląda na to, że strzelało do siebie dwóch mężczyzn, którzy teraz zniknęli. Właśnie przeszukują dach i teren na dole.

- Kurwa! Znowu ktoś strzela! - krzyknął głos z radia i kontakt się urwał.
- Co tam się, kurwa, dzieje - zapytał Ringmar, stukając ręką w radioodbiornik. Słysząc było szum, ale nikt się nie odzywał. - To chyba był John Stålnacke.

Minęli most i zjechali w dół Hjalmars Brantingsgatan. Kiedy zbliżali się do Vårväderstorget, Winter zauważył dwa radiowozy i ludzi leżących na ziemi. Kiedy podjechali bliżej, zorientował się, że chcieli się w ten sposób ukryć, choć wokół

nie widać było krwi. Wysiedli i pochyleni pobiegli w stronę dwóch policjantów, którzy przykucnęli za radiowozem. Jeden z nich miał w ręku mikrofon i kiedy rozpoznał Ringmara i Wintera, skinął im głową. Sverker. Parę dni temu widzieli, jak się zajmował stłuczką na Korsvägen. Winter pomyślał o jego nowotworze i powrocie do pracy.

- Pieprzeni gangsterzy - powiedział Sverker. - Będą to tak ciągnąć?

- Co się dzieje?

- Ktoś strzela, to się dzieje - powiedział drugi z nich, umundurowany inspektor, i w tym momencie strzał huknął tuż obok nich. Cholernie niemiło było tak leżeć.

- Kurwa, to wojna - powiedział Sverker.

Kawałek dalej ktoś zaczął krzyczeć. Krzyk ucichł, ale po chwili znów się rozległ, tym razem bardziej przeciągły.

- Co to? - zapytał Ringmar.

Winter podniósł się na ugiętych kolanach i powoli wystawił głowę. Patrzył przez szyby samochodu. Trzydzieści metrów dalej na asfalcie leżał policjant. To on krzyczał, a właściwie już wrzeszczał. Najwidoczniej oberwał, bo nie mógł się ruszać. Może po prostu wołał leżeć bez ruchu. Tak czy inaczej, krzyczał. Winter nie widział krwi, ale mężczyzna leżał dziwnie wygięty, z wyprostowaną nogą przed sobą. Poruszył ręką, jakby machał, a potem zamilkł.

- Boże, to Jonne - powiedział Sverker, który też wyjrzał przez szyby. - Wyszedł do przodu, kiedy się wydawało, że już przestali strzelać. To Jonne Stålnacke.

- Macie megafon? - zapytał Winter.

- Jest w samochodzie. Wyciągnę go - powiedział Sverker i ostrożnie otworzył drzwiczki. - Wozimy go od czasu wypadku drogowego sprzed paru dni. Powinien być w każdym radiowozie.

Winter wziął megafon i krzyknął.

- TU POLICJA. MAMY TU POSTRZELONEGO

FUNKCJONARIUSZA, KTÓRY POTRZEBUJE NATYCHMIASTOWEJ POMOCY. MOGĄ TEŻ BYĆ INNI RANNI. NATYCHMIAST ODŁÓŻCIE BRO.

W tym momencie huknął kolejny strzał i Winter rzucił się na asfalt. Zadrapał sobie rękę, w której trzymał megafon.

I znów ktoś strzelił. Strzały padały gdzieś z góry, ostatnie wydawały się bardziej odległe. Może się wycofują. Dobrze by było. Przecież strzelali do siebie.

Podniósł megafon i zobaczył, że palce i knykcie jego prawej dłoni mocno krwawią.

- TU POLICJA. NATYCHMIAST ODŁÓŻCIE BRONŃ. SĄ RANNI. TU POLICJA. NATYCHMIAST ODŁÓŻCIE BRONŃ. MAMY RANNYCH, KTÓRYMI TRZEBA SIĘ ZAJĄĆ. NATYCHMIAST ODŁÓŻCIE BRONŃ.

Musiał mówić zwyczajnie. Mógł powiedzieć, że to Szwecja i że w tym kraju nie toleruje się takich rzeczy, ale nie sądził, żeby to do nich dotarło. Może to nie rywalizujące ze sobą klany z innego kręgu kulturowego strzelają tu do siebie i do ludzi. To mogą być obywatele szwedzcy, którzy zeszli na złą drogę, albo młodzi, którzy się wykole.

Za nim ulicą zbliżała się karetka na sygnale, dwie karetki. Obrócił się. Stały dwadzieścia metrów za nim. Po drugiej stronie ulicy stali ludzie. Miał wrażenie, że są ich tam tysiące. Wokół niego leżeli policjanci i cywile, którzy znaleźli się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Albo we właściwym miejscu, ale w niewłaściwym cza.

Padł kolejny strzał, ale tym razem tak odległy jak noworoczne fajerwerki w drugiej części miasta. Poszkodowany policjant coś mamrotał. Jest w szoku, pomyślał Winter. Może umrzeć.

- Musimy zabrać Jonnego - powiedział Sverker. - Może tam leżeć ktoś jeszcze.

- TU POLICJA. ODŁÓŻCIE BRONŃ. MUSIMY SIĘ ZAJĄĆ RANNYMI. WSTANIEMY TERAZ I WEJDZIEMY NA PLAC.

WSTAJEMY. TU POLICJA. ODŁÓŻCIE BRONŃ. WOKÓŁ  
JEST TU DUŻO LUDZI. KARETKA MUSI PODJECHAĆ DO  
PRZODU. MAMY RANNYCH.

Kierowca karetki zatrząbił, potwierdzając jego słowa. Ludzie patrzyli na niego, na podłużny plac z przodu, na dachy i szyldy sklepowe. Sverker trzymał w rękę służbową broń.

- Odłóż to - powiedział Winter.

Jonne znów zaczął krzyczeć. Strzały ucichły. Winter próbował zobaczyć, czy ktoś jest na dachu, ale słońce raziło go w oczy i sprawiało, że budynki wyglądały, jakby je połknęło białe światło.

- TU POLICJA. WYCHODZIMY. WEJDZIEMY NA PLAC, A  
ZA NAMI PODJEDZIE KARETKA. WYCHODZIMY.

Podniósł się i powoli okrążył samochód, wciąż z megafonem w rękę. Mądry głupek. Przeszedł kilka kroków, jak po cienkim lodzie przesuwiał się w kierunku rannego policjanta. John Stålnacke leżał nieruchomo, ale Winter słyszał słaby głos, jakby mówił do siebie.

Rozejrzał się. Ludzie leżeli na ziemi i w arkadach sklepowych, ale nie mógł stwierdzić, czy ktoś jest ranny. Obok siebie słyszał głos Sverkera. Obrócił się. Ambulans podjechał kawałek, stał przy nim Ringmar.

Winter pochylił się i ukląkł przy Jonnem. Twarz miał białą jak niebo wokół słońca. Nie widać było ust. Podbrzusze miał zalane krwią. Nie mogli tego zobaczyć, leżąc za samochodem. Winter pomyślał, że buty i skarpety ma czyste. Skóra błyszcząca jak lustro. Sverker podniósł się szybko i gwałtownie pomachał w stronę karetki, a ta ostro ruszyła do przodu. Na tych, którzy leżeli wokół, podziałało to jak sygnał. Zaczęli się podnosić, ale niektórzy byli poszkodowani tak poważnie, że przysiadali z powrotem. Winter słyszał płacz. Cały plac był w szoku. Czuł zapach kału od mężczyzny, który próbował się zbliżyć do ulicy. Podjechało więcej karettek. Nagle przejechał tramwaj. Pojawił się jak przybysz z innego

świata. Umundurowani policjanci zajęli się ludźmi i wraz z kierowcą karetki i lekarzami szukali rannych. Stálnackego wniesiono do karetki, która natychmiast odjechała. W jednej chwili Winter poczuł straszne pragnienie.

Było bardzo gorąco, więc wydawało się dziwne, że dziewczynka nie wyszła i nie wykapała się w brodziku. Upłynęło wiele dni. Nadal było gorąco, ale nie wiedziała, kiedy ostatni raz widziała dziewczynkę. I jej mamę. Wiedziała jednak, że ma już tyle lat, że mogła stracić rachubę czasu. Elmera już nie było. To on zwykł nakręcać zegarek i mówić, kiedy zbliża się wieczór. Trudno było powiedzieć, która godzina, kiedy miał zapaść zmierzch. Teraz było trochę łatwiej, bo zbliżała się jesień.

Ester Bergman słyszała głosy dzieci przez szczelinę w oknie. Nie wierzyła, że otwarte na oścież okna pomagają, kiedy jest gorąco. Wtedy w środku robi się jeszcze goręcej. U niej w domu temperatura była w sam raz.

Dzieci wskakiwały do wody, ale co to była za woda. Tak blisko morza, a nie mogąc nad nie pojechać. Może nie chciały, ale pewnie też nie mogły, była tego świadoma. Wszystkie te dzieci z czarnymi główkami i ich mamy czy ciotki, czy kto to tam, siedziały w cieniu. Może tam, skąd pochodzą, nie ma morza, tylko pustynie, góry i takie tam.

Dziewczynka nie miała czarnej główki, nie wszystkie dzieci z podwórka takie były. Podwórko było duże i nawet w nowych okularach nie widziała dobrze, co jest po drugiej stronie. Czasem miała wrażenie, że to tak daleko, że nie da się nawet dojść na drugi koniec. Dobrze, że wyjście z podwórka było tak blisko, że sama mogła chodzić do sklepu.

Zdjęła okulary, przetarła je i założyła z powrotem, ale mimo to były do niczego.

A może to oczy były do niczego. I tak powinna być zadowolona. Miała osiemdziesiąt pięć lat, a prawie mogła dojrzeć drugi kraniec podwórka i przez chwilę, dopóki się nie

zmęczyła, poczytać gazetę albo pooglądać telewizję, jeśli akurat coś leciało. No i trafiały się afisze, które mogła przeczytać. To było urozmaicenie. Zawsze ktoś czegoś potrzebował albo chciał coś sprzedać. Czasami zabawnie było czytać takie ogłoszenia.

Wydawało jej się, że dziewczynka mieszka w jednej z klatek po lewej, ale nigdy nie widziała jej wchodzącej ani wychodzącej, bo wejście zasłaniał szczyt budynku. Może to dlatego, że dziewczynka była ruda, pamiętała ją i zastanawiała się, co się z nią stało.

Te dzieci, które nie były czarne, miały jasne włosy, ale żadne inne nie było rude.

Dziewczynka przechodziła pod jej oknami w drodze na plac zabaw. Nigdy nie biegła.

Jej mama miała jasne włosy i zawsze siedziała sama. Może również z tego powodu zapamiętała to dziecko - mama nigdy z nikim nie rozmawiała. Nigdy nie były na podwórku zbyt długo. Po chwili mama zabierała dziewczynkę i odchodziły. Wchodziły do domu albo gdzieś wychodziły. Często zastanawiała się, dokąd chodzą. Ale cóż to mnie obchodzi?, myślała.

Mama paliła, Ester się to nie podobało. Z tego co widziała, niewiele kobiet z podwórka paliło. Ale kiedy dziewczynka z mamą mijały jej okna, Ester widziała, że mama pali. Jeśli się mieszka na parterze, można zauważyć takie rzeczy.

W ostatnim tygodniu kilka razy wydawało jej się, że widzi dziewczynkę, ale to nie była ona. Nie wiedziała, jak brzmi jej głos. Nie słyszała, żeby mama coś do niej mówiła, ale na pewno to robiła.

Brakuje mi tej małej, pomyślała. Musiały się przeprowadzić, chociaż nie

widziałam żadnej ciężarówki do przewozu mebli.

DOSTAŁA NOWE UBRANIA, ale nie chciała ich nosić. Pan powiedział, że wyjdzie, a ona musi się przebrać. Zdjęła więc stare ubrania, które nosiła już długo.

Zakasłała. Czowała, że buzię i całe ciało ma gorące. Skąd wzięła tę sukienkę? Nie była jej, ale nie była też nowa. Nie za ładnie pachniała.

Pana nie było. W rękę trzymała papierek. Czy kazali jej zdjąć spodnie, bo szukali tego papierka? Nic nie mówili. Rozejrzała się, ale nie miała gdzie go schować. Pomacała sukienkę i na lewej znalazła kieszonkę. Nosiła już kiedyś sukienki, więc wiedziała, że takie kieszonki są w tym miejscu.

Wciągnęła sukienkę przez głowę i zgmiotła trochę papierek, żeby wszedł do kieszonki. Zamknęła ją, ściągając materiał tak, żeby zakrył papier. Poklepała kieszonkę ręką, ale nie czuła papieru.

Miała wrażenie, że znowu są tam, gdzie wcześniej. Było dość ciemno, ale wydawało jej się, że to ten sam pokój, choć nie wyglądał tak samo. Czy przesunęli okna? Czy okna można przenieść tak jak stół albo krzesło?

Gdzieś tam na zewnątrz była mama. Myślała o mamie, ale kiedy o niej myślała, robiło jej się smutno. Zrobiło jej się smutno i poklepała się po rękach i po buzi. Przyłożyła jedną dłoń do twarzy i objęła ją ramionami, jakby obejmowała samą siebie. Wtedy właśnie wszedł pan z jedzeniem dla niej. Znow się wystraszyła i zdjęła rękę z buzi.

- Spałaś?

Próbowała powiedzieć, że spała, bo wydawało jej się, że on chce, żeby tak powiedziała. Ale kiedy chciała się odezwać, głos się z niej nie wydobył. Spróbowała jeszcze raz i udało się. Potem zakasłała. Umilkła i znow zakasłała. Pociła się. Zaczęła się pocić chwilę przed tym, jak pan przyszedł, i nic nie mogła na to poradzić. Patrzył na nią, a ona chciała przestać. Było jej gorąco. Znow zakasłała. Pan na nią spojrział i podszedł bliżej,



a ona się wzdrygnęła.

- Siedź spokojnie - powiedział.

Jedną ręką złapał ją za ramię, drugą przyłożył do głowy. Wymamrotał coś, ale nie słyszała co. Potem powiedział brzydkie słowo.

- Jesteś rozpalona - powiedział, a ona zakasłała.

Krzyknął coś do kogoś innego i usłyszała odpowiedź.

- Mała ma gorączkę.

Skądś dobiegł jakiś głos.

- Mówię, że mała jest chora!

Znow usłyszała coś, co brzmiało jak brzydkie słowo.

- Dam ci coś ciepłego do picia - powiedział pan, a ona pomyślała, że przecież i tak jest już ciepło.

Położyła się na materacu i zrobiło jej się lepiej. Zakasłała znowu, a po chwili jeszcze raz. Zamknęła oczy. Wydawało jej się, że pan wrócił, ale nie chciała patrzeć. Szturchnął ją, ale nie chciała otworzyć oczu i usiąść.

- Musisz usiąść i to wypić.

Nie chciała, ale ją podniósł.

- Musisz wypić, póki ciepłe - powiedział, a ona otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą filiżankę. - Potem możesz się znów położyć.

Czuła, że pan śmierdzi dymem. Zawsze unosił się wokół nich taki zapach.

Napiła się, ale kiedy przelykała, bolało ją gardło. Potem przeszło, ale kiedy miała wziąć kolejny łyk, znowu zaboląło.

- Boli cię?

Przytaknęła.

- Boli cię gardło?

Przytaknęła jeszcze raz.

- Po tym ci się poprawi.

Powiedziała, że chce się położyć. Ułożył ją i zabrał filiżankę. Zamknęła oczy i zapadła w sen.

RINGMAR WYSZEDŁ Z BIURA BERTILSSONA i poszedł do wspólnej kuchni. Usiadł przy stole. Zza okna słychać było głośnie, po chwili zamilkł. Z miejsca, w którym siedział, tłum ludzi na zewnątrz wydawał się większy niż w rzeczywistości. Halders wszedł i nalał sobie kubek świeżo zaparzonej kawy. Usiadł przy stole obok Ringmara i spojrział w okno.

- Co za cyrk.
- Myślisz, że to cyrk?
- Uważasz, że to źle dobrane słowo?
- No.
- Pogardliwe? Może. Ale chodziło mi przede wszystkim o gapiów.

Upłynął już cały dzień od tego, co lokalna prasa brukowa nazwała terrorem. Sprzedano dwieście tysięcy sztuk tego wydania, nie było się więc czemu dziwić. Göteborg faktycznie eksplodował, przynajmniej niektóre części miasta. Co mądrzejsi stwierdzili, że można się było tego spodziewać. Bertilsson też to przyznał na swój sposób, bez wymądrzania się.

- My, którzy mieliśmy stać w pierwszym szeregu, prowadząc innych w stronę postępu - powiedział Ringmar do Haldersa.
- Co?
- Grupa zwiadowcza. Oczekiwano, że będziemy mieć wtyczki, że będziemy kontrolować sytuację. Będziemy o krok przed nimi.
- Kto mógł to przewidzieć - powiedział Halders, wskazując ręką w kierunku Ullevi, gdzie nadal rozgrywał się dramat.
- Miałem raczej na myśli Vårvänderstorget.
- Co ze Stålnackem?
- Stracił dużo krwi - powiedział Ringmar. - Ale czuje się lepiej. Będzie mógł chodzić.
- Pytanie tylko, czy będzie mógł sikać, nie wspominając już

o tym, czy będzie mógł.

- Nie możemy przecież mieć ludzi wszędzie - przerwał mu Ringmar.

- Kto w dzisiejszych czasach może być o krok przed?

- My musimy - powiedział Ringmar. Odniósł wrażenie, że Halders parsknął.

- Czyli znowu przerzedzą nasze szeregi?

- Mamy złapać tych, którzy strzelali, tak szybko jak to możliwe.

- No, to chyba jest konkretne zadanie. Jest w co się wgrzyźć.

- Co masz na myśli?

- Morderstwo nad Delsjö stygnie. Wiesz przecież. Stygnie bez względu na to, co mówi Winter. Dlatego że jej nie zidentyfikowaliśmy. Przez to mam wrażenie, że utknęliśmy w miejscu.

- Nie mów tego głośno.

- Właśnie to mówię. Nie zgadzasz się?

Ringmar nie odpowiedział.

- Słuchaj, Bertil, myślę to samo, co inni tutaj. To byłaby totalna klęska, gdybyśmy się nie zbliżyli do wyjaśnienia tej sprawy. Choćby o krok. Może nam się nie uda. Nie wiem, ale teraz potrzebujemy czegoś więcej.

- Samochody - powiedział Ringmar. - To jest coś.

- Strzał w ciemno, ale dobra. Ford escort. To jakiś konkret, ale to przede wszystkim mnóstwo pracy.

Zza okna znów usłyszeli megafon i Ringmar wyglądał, jakby mu się przysłuchiwał.

- To okropne - powiedział.

- Co?

Wskazał tylko w kierunku okna, nie odpowiedział.

Tragiczna sytuacja przed stadionem Ullevi trwała nadal. Zaplanowany na wieczór towarzyski mecz między Szwecją i Danią odwołano. Zarząd Szwedzkiego Związku Sportowego

dyskretnie zapytał policję, czy incydent może trwać tak długo, ale w odpowiedzi nie dostał żadnej gwarancji. Wielu ludzi było zawiedzionych.

Mężczyzna z autobusu był Kurdem, a chłopiec jego synem. Po siedmiu latach spędzonych w Szwecji mieli być deportowani. Chłopiec spędził w Szwecji sześć lat i mówił w dialekcie dalslandzkim. Urząd imigracyjny był przekonany, że mężczyzna i jego rodzina pochodzą z północnego Iraku i to tam chciano ich deportować. W grę wchodziła też Turcja. Mężczyzna bronił się, twierdząc, że w obu tych krajach grozi mu więzienie lub śmierć. W każdym z innego powodu. Różne formy opresji. Urząd państwowy, coraz częściej zamiast urzędem do spraw emigracji ironicznie nazywany urzędem do spraw wydaleń, okazywał dumę i zrozumienie dla tego, co dobre i słuszne. A mężczyzna, przyjeżdżając do Szwecji, zmienił nazwisko, bo bał się, że odprawią go z powrotem do koszmaru, który zostawił za sobą. Skłamał i dlatego miał być deportowany.

Wszystko to można było przeczytać w prasie. Jego czyn był ostatnią, desperacką próbą. Groził, że zabije siebie i syna, jeśli jego rodzina nie będzie mogła zostać. Żona i dwie córki czekały w areszcie domowym na osiedlu dla uchodźców w Dalsland. Miały zostać przewiezione do aresztu w Göteborgu i tam czekać na deportację.

Mężczyzna powinien się wykazać rozsądkiem i złożyć broń. Zastanawiano się, czy pistolet jest prawdziwy, czy na wodę. Nikt go nie widział. Czy należało zaatakować? Czy było to niebezpieczne? Czy ktoś mógł zginąć?

\*

Winter stał na skraju grupy gapiów. Może powinno się tu zbudować trybunę i pobierać opłaty za wstęp? To przecież wydarzenie publiczne, rozrywka dla wszystkich. Wkrótce będziemy mieć takich więcej, pomyślał. Trzeba zapewnić

wygode tym, którzy się przyglądają i zastanawiają, co będzie potem.

Wiedział, że mężczyzna siedzący sto metrów dalej w autobusie musiał skłamać, żeby móc wjechać do Szwecji. Może porzucił posadę konsula i wilę z siedmioma pokojami w Diyarbakir albo w Tabrizie tylko po to, żeby razem z rodziną tulać się po Syrii, a potem dopłynąć na północ. Może po prostu rodzina nie umiała wyjaśnić, czemu nie chce wrócić do kraju, który opuściła. Tu w każdym razie nie było dla nich miejsca.

Tu nie ma wolnej przestrzeni, pomyślał Winter. Szwecja jest zbyt gęsto zabudowana, wśród lasów pełno jest miast i przeludnionych miścin.

Zamknął oczy i zobaczył las. Między drzewami połyskiwała woda. Pod zaciśniętymi powiekami wszystko było zielone. Zobaczył ścieżkę i jakiegoś człowieka na niej. To był on sam. Trzymał za rękę dziecko. Otworzył oczy i wszystko zrobiło się czarno-białe. Asfalt pod jego stopami był czarny, ale im bardziej podnosił wzrok w kierunku autobusu, tym stawał się bielszy. Autobus stał w słońcu. W środku musi być z pięćdziesiąt stopni, pomyślał. Nawet ktoś, kto dorastał w kraju o najgorętszym klimacie na świecie, długo tam nie wytrzyma. To kwestia godzin, może minut. Niech to się wreszcie skończy.

Niewielka grupa negocjatorów posuwała się wolno w stronę autobusu. Ludzie zachowywali się bardzo cicho. Nad ich głowami zawarczał helikopter. Gdzieś obok Winter słyszał dziennikarzy radiowych i telewizyjnych. Opisywali za niego sceny, które sam widział. To tak jak być w filmie albo oglądać rzeczywistość na ekranie. To, czego się jednocześnie nie opisuje, nie istnieje. Zamknął oczy i znów na chwilę zakreśliło mu się w głowie, jakby upadając, zawisł w powietrzu i jakby ktoś go podniósł.

To nie do wytrzymania, pomyślał. Muszę szybko

porozmawiać z lekarzem. Z Angelą. Albo z Lottą.

Ringmar coś powiedział. Przed chwilą wyszedł na zewnątrz i zauważywszy

Wintera, przystanął obok niego.

- Co jest?

- Myślę, że to się szybko skończy - powiedział Ringmar.

- No.

- Możliwe, że namierzyliśmy tych, co strzelali na Vårväderstorget.

- Słyszałem.

- Od kogo?

- Od Bertilssona.

Ringmar się zaśmiał.

- On przecież zawsze wie pierwszy.

- To chyba twoja działka, Bertil.

- To ja mu powiedziałem.

- Chodziło o wewnętrzne porachunki? - zapytał Winter.

- Zależy, jak na to patrzeć. W gruncie rzeczy tamci byli tak samo zdesperowani jak ten tutaj - odpowiedział Ringmar. - Zbliżamy się do końca stulecia i końca cywilizacji w takim kształcie, w jakim ją znamy.

- Mimo wszystko idziemy ku życiu i przyszłości.

- Oczywiście.

- Gdziekolwiek byśmy szli, idziemy ku życiu.

Kiedy wysiadał z windy, telefon w kieszeni zaczął wibrować.

- Tak?

- Cześć Erik. Myślałam, że.

- Cześć, mamó.

- Co tam u was? Dostarczyli nam gazety. Brzmi to przerażająco.

- Tak.

- Najpierw to morderstwo. A potem ktoś strzela. I do tego kidnaping!

- To nie kidnaping.

- Nie? Ktoś porwał chłopca i trzyma go.
- To ojciec i syn - powiedział Winter.
- Ojciec i syn? Nic z tego nie rozumiem.
- No.
- Ojciec i syn? To okropne.

Winter nie odpowiedział. Wszedł już do swojego biura. Telefon na biurku zaczął dzwonić.

- Mamo, poczekaj chwilę - powiedział i podniósł słuchawkę, odkładając komórkę na biurko.

- Tu Winter.

- Tu Janne. Dostaliśmy jeszcze trochę zgłoszeń i listów w sprawie afisza. Chcesz dostać kopie i odpisy czy wpadniesz do nas?

Winter spojrzał na krzesło. Czuł, że musi na chwilę usiąść i pomyśleć o śledztwie. Möllerström będzie musiał przygotować zgrabny pakiet zeznań wszystkich świadków.

- Podeślij mi je.

Odłożył słuchawkę i znów podniósł komórkę.

- Już jestem - powiedział do matki. Dzwoniła z domu, z Marbelli.

Nie słyszał w tle ojca, ale domyślał się, że jest gdzieś w pobliżu, w ręku trzyma szklankę i zmęczonym wzrokiem spogląda na zakurzone palmy i wiatr. Winter nie wiedział, jak u nich jest, nie licząc tego, co widział na zdjęciach, które wysłała mu matka i na które tylko rzucił okiem. Dom był biały i otaczały go inne, podobne. Na jednym matka siedziała w altanie zbudowanej z białego kamienia. Wyglądała na samotną. Niebo za nią jakby opadało, a było tak niebieskie, że na tle bieli wyglądało na czarne. Może to ojciec zrobił to zdjęcie, bo nie było go na nim. Matka wpatrywała się w obiektyw, jakby kogoś w nim szukała. Uśmiechała się, ale przyjrzał się zdjęciu na tyle dokładnie, by wiedzieć, że nie był to uśmiech szczęścia. Wyglądała jak ktoś, kto zrealizował swój cel, ale poczuł się po tym zagubiony czy też zawiedziony.

Winterowi przypomniał się mężczyzna, którego mijał na ulicy. Sprawiał wrażenie smutnego, mimo że na głowie miał porządny tupecik, który wyglądał niemal jak prawdziwe włosy. Mężczyzna odzyskał włosy, ale i tak nie był szczęśliwy. Jego matka była w raju, ale nie promieniała, siedząc w tej altanie.

- Lotta mówiła, że ją odwiedziłeś. Tak się ucieszyłam. Ona też, powinieneś o tym wiedzieć.

- Wiem.

- To dla niej bardzo dużo znaczy. Jest bardziej samotna, niż ci się wydaje.

To dlaczego nie wrócić?, pomyślał.

- Przyjeżdża do nas w październiku, razem z dziewczynkami.

- Może tego potrzebować.

- Kończy czterdzieści lat, pomyśl tylko.

- Wielki dzień.

- Twoja starsza siostra.

- Mamo, ja.

- Nie mam już odwagi kolejny raz cię prosić, żebyś przyjechał. Naprawdę wielka szkoda, Eriku. Tak byśmy chcieli, żebyś przyjechał. Zwłaszcza tata.

Nie odpowiedział. Wydawało mu się, że coś usłyszał w tle, czyjś głos, ale może był to tylko hiszpański wiatr. Albo ptak.

- Nie wiem, co mam z tym zrobić - powiedziała.

- Nic nie musisz robić.

- Nie mogę zrobić nic więcej.

- Nie musimy o tym rozmawiać.

- Może ty zadzwoń następnym razem. W weekend?

- Spróbuję.

- Nigdy nie dzwonisz. Nie ma nic dziwnego w tym, że cię o to proszę. Zawsze to robię. A co u Angeli?

Pytanie padło tak nagle. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Nadal się. spotykacie?



- Tak.
- Gdybym mogła poznać ją osobiście.

\*

Ester Bergman stała przed sklepem, przyglądając się dużej tablicy ogłoszeń. Pojawiła się całkiem niedawno. Była to jedyna tablica, jaką widziała w okolicy.

Miała ciężką torbę, bo zrobiła zakupy na dłużej. Trudno było się teraz odnaleźć w sklepie. Było w nim tyle nowych towarów, które kupowali ludzie z innych krajów. Jakieś dziwne warzywa i konserwy. Ona w każdym razie nie jadła warzyw zbyt często, ale niektóre z nich wyglądały tak, że nie wiadomo było, gdzie jest przód, a gdzie tył. Jak się je kroi i gotuje?

Próbowała coś odczytać. Miejscowy zespół ma mieć występ. Może pójdzie ich posłuchać, jeśli będzie miała czas. Spółdzielnia organizuje przyjęcie dla niektórych mieszkańców, ale chyba nie dla wszystkich. Zastanawiała się, dlaczego. Policja zamieściła na tablicy ogłoszenie o jakiejś zaginionej osobie. Oczywiście wielu ludzi ginie, pomyślała, i przypomniała sobie o rudej dziewczynce i jej mamie blondynce, które w milczeniu mijaly jej okna. Gdzie są teraz? Brakuje mi tej małej. Lubiłam na nią patrzeć, kiedy bawiła się w piaskownicy.

Wtedy Ester siadała w oknie i wyglądała.

Dokąd się wyprowadziły? Żałowała, że mimo wszystko nie zagadała nigdy do dziewczynki. Czegoś takiego można żałować. Kiedy człowiek się starzeje, tylu rzeczy żałuje. Dlatego trudno jest być starym. Większość starych ludzi żałuje tego, co zrobiło, a u mnie właściwie jest na odwrót. Żałuję, że nie miałam dziecka. To taka przyjemna myśl. Nie mogliśmy mieć dzieci, może nie z mojej winy. Może to przez Elmera, ale on nie chciał się zbadać, a ja pozwoliłam, żeby to on zdecydował. Teraz żałuję. Gdybym wiedziała, że na

starość będę żałować tego, czego nie zrobiłam, że będę żałować niepopelnionych grzechów.

Znów spojrzała na ogłoszenie. Musiała się dobrze przyjrzeć, bo czcionka nie była największa. Jeśli chcieli, żeby ludzie czytali ogłoszenia, powinni pisać większymi literami.

Wracając do domu, znów zaczęła rozmyślać o milczącej dziewczynce. Czemu wciąż mam ją w głowie? Przecież jest ich u nas teraz więcej.

W drodze do domu minęła budynek spółdzielni, na którym widniał napis: „Bo-Service”. To coś nowego? Był tam szyld, na którym napisano, że biuro działa od poniedziałku do piątku od ósmej do dziewiętej oraz we wtorki od szesnastej do osiemnastej. W tych godzinach przyjmował opiekun osiedla. Kto to taki? Nie wiedziała, ale musiał to być ktoś, kto wie coś o okolicy i domach. Ester wiedziała, że jest środa. Następnego dnia będzie mogła posłuchać radia i może spróbuje wyłączyć tę godzinę, między ósmą i dziewiątą. Może pójdzie do tego opiekuna osiedla i zapyta, kiedy i dokąd mama i dziewczynka się wyprowadziły.

## 26

OSTATNIEJ NOCY TEMPERATURA SPADŁA. Kiedy Winter się obudził, czuł, że powietrze w mieszkaniu jest inne. Nie było w nim czuć gorąca poprzedniego wieczoru. Pachniało inaczej - nie bielą, ale zielenią. Było chłodniej i ciemniej, jakby zapanowała żałoba po długim lecie, które wreszcie się skończyło, odchodząc w rekordowo późnym wieku.

Postawił stopy na gładkiej, świerkowej podłodze i poczuł chłód. Deski wydawały się delikatniejsze w dotyku. Ziewnął. Przypomniały o sobie godziny spędzone wczoraj w nocy nad PowerBookiem, który widział teraz przez otwarte drzwi sypialni. Leżał wciąż otwarty na biurku stojącym w rogu salonu. Dziś było tu inaczej. W ciągu czterech miesięcy

przyzwyczał się do świecącego bez przerwy słońca i mieszkania, w którym nigdzie nie można się skryć przed światłem.

Teraz miał wrażenie, że przeprowadził się gdzie indziej. Wszystko miało inny odcień i kształt. Wyraźnie zarysowane cienie zniknęły. Pomyślał, że stonowane światło z zamkniętego nieba pozwoli oczom wypocząć.

Poszedł do kuchni i podciągnął żaluzje, ale nic go nie osłepiło. Całe niebo było zasnuwane chmurami. Po drugiej stronie parku markizy połyskiwały od niewidzialnego deszczu. Tramwaje przejeżdżały w dole, wydając dźwięk przypominający statek przesuwany się po morzu. Jakieś dziecko spacerowało z psem po trawniku. Mógł to być chłopiec albo dziewczynka. Nie można było tego stwierdzić, bo dziecko miało na sobie jaskrawożółtą kurtkę przeciwdeszczową i zydwestkę w tym samym kolorze. Pies wytarzał się w trawie, a potem wstał, otrząsnął się i podskakując niezgrabnie, polizał dziecko po ręce.

Winter, ubrany w szlafrok, wrócił do salonu i otworzył drzwi na balkon. Mokry odgłos stał się wyraźniejszy. Winter miał wrażenie, jakby wyszedł z kajuty i znalazł się na środku morza. Świat na dole nagle stał się zupełnie inny. Nadal było ciepło, ale na termometrze wiszącym za kuchennym oknem widział, że temperatura spadła do dwudziestu stopni.

Wciągnął w płuca tyle powietrza, ile mógł. Było to miłe uczucie. Czuł się dobrze. Zmęczenie po nocy ustąpiło. Zrozumiał, że okrutny upał ostatnich tygodni źle wpływał na niego i jego pracę.

To jak depresja, pomyślał. Wszystko zaczęło się rozpadać na kawałki. Widać było skutki. Wszystko eksplodowało. Ludzi ogarnęło szaleństwo, strzelali do siebie. Ojciec i Tydzień wcześniej dramat, który rozegrał się przed Ullevi, zakończył się całkiem zwyczajnie. Po ponad dobie mężczyzna złożył broń i wyszedł z autobusu, trzymając chłopca za rękę.

Chłopiec wyglądał na zadowolonego i wypoczętego. Pomachał do czekającej na niego mamy, która wcześniej zaapelowała do męża.

Rodzina nadal była w Szwecji. Ich adwokat złożył nowy wniosek o zezwolenie na pobyt stały. Winter sądził, że raczej im się nie uda. Rząd stosował w tej kwestii surową politykę. Desperację traktowano jako groźbę i szantaż. Być może zwątpienie zakradło się do sumień ludzi słabych, ale osąd władz pozostał niezmieniony.

Winter spojrzął ponad matowymi dachami na zachód, a kiedy odwrócił się z powrotem w stronę placu, dziecka już nie było. Była sobota, dziewiąta rano. Wczoraj wieczorem postanowił, że dziś zostanie w domu. W piątek po południu dwa razy miał krótkie, dwusekundowe zawroty głowy, zdecydował więc, że w sobotę nie będzie wychodził na słońce. Teraz słońce zniknęło, a wraz z nim to przychodzące znieenacka wrażenie braku gruntu pod nogami. Wiedział, że na dłużej będzie miał spokój z zawrotami. Jestem mieszkańcem Północy bardziej, niż sądziłem, pomyślał. Musi mnie otaczać chłód, wtedy lepiej funkcjonuję. Choć miło było w wodzie przy Järkholmen.

Poszedł do łazienki i przemył oczy. Nawet tu, choć nie było okna, światło wyglądało teraz inaczej. Może to kwestia wzroku. Wyostrzył się, kiedy z oczu zniknęły czerwone, popękane żyłki, będące widocznym znakiem bólu i lekkich zawrotów głowy.

Winter wrócił do salonu i zatrzymał się przy biurku. Spojrzął na ekran komputera, ale go nie włączył. W nocy próbował uporządkować tory, którymi biegło śledztwo. Niczym zawiadowca kolejowy, który jedzie wzdłuż torów biegnących w różnych kierunkach, aż do końca, a potem wraca, żeby sprawdzić, czy przypadkiem coś po drodze nie wypadło do rowu lub na trawę.

Dużo czasu zajęło mu przejrzenie zgłoszeń, które spłynęły od

ludzi. Wszystkie dotyczyły trzydziestoletnich blondynek, które ktoś widział w „tajemniczych” miejscach albo które wyglądały na podejrzane lub zagubione. Sprawdzili niektóre zgłoszenia, te dotyczące zaginionych, ale żadne nie dotyczyło Helene. Winter przesłał dokumenty do Interpolu, ale jak dotąd nie dostał od nich żadnych użytecznych informacji. Uważał za mało prawdopodobne, że była cudzoziemką. Plomby w zębach zrobiono w Szwecji, również te, które założono, kiedy była jeszcze dzieckiem. Mogła mieszkać za granicą, ale to już inna historia.

Sam obdzwonił kolegów z całej Szwecji. Odezwał się do stu osób na Group Wise. Poczta na serwerze mogła być błogosławieństwem, ale i źródłem stresu - dostawało się tak wiele wiadomości. Przesłuchali jeszcze raz chłopców z łodzi. Okazało się, że mówili prawdę. Ale ktoś użył łodzi w jakimś celu. Może to właśnie ją Andrea Meltzer widziała na jeziorze. Jeśli faktycznie coś widziała. Winter myślał o niej i o jej kochanku, von Holtenie. W tej historii było coś. Nie wiedział co. Coś, co sprawiało, że nie wierzył do końca w jej zeznania. Wrócić do domu w nocy, przez dopiero co ucywilizowaną, dziką okolicę, to jedno. Ale czemu przeszła sama ten stosunkowo krótki odcinek między parkingiem i placem przed restauracją. Czemu od razu nie zadzwoniła po taksówkę? Chciała wypożyczyć samochód?

Czy była sama? Zastanawiając się nad tym, Winter zapisał to w komputerze, zanim jeszcze temperatura na dworze zaczęła spadać.

Dwóch policjantów od niemal tygodnia siedziało przy komputerze. Próbowali znaleźć w rejestrach właściciela forda escorta. Winter zdecydował się ograniczyć poszukiwania geograficznie. Mieli zacząć od samochodów, których rejestracje zaczynały się od H. Nawet tego nie byli pewni, ale był to jakiś punkt zaczepienia. Siedząc wczoraj z twarzą oświetloną niebieskim światłem z ekranu, pomyślał, że

właściwie nie wie, dokąd to ich zaprowadzi. Czy to jak terapia? Znowu rozmyślał o tej kobiecie. O bezimiennej Helene. W głębi duszy wiedział, że nie posuną się ze śledztwem, jeśli jej nie zidentyfikują. Wiedział, że inni też są tego świadomi.

Podniósł wzrok znad PowerBooka i wrócił do kuchni. W elektrycznym czajniku wstawił wodę na herbatę. Wsypał liście do dzbanka i zrobił dwa tosty z nieświeżej już bułki, którą kupił w pobliskim sklepie, wracając wczoraj wieczorem do domu. W zasadzie mógłby wrzucić na siebie spodnie i koszulkę, zjechać windą i przejść do piekarni po drugiej stronie parku. Właściwie czemu by tak nie zrobić?, pomyślał. Teraz, kiedy dałbym radę. Zostawił bułkę na stole i wrócił do sypialni. Zrzucił szlafrok i ubrał się w szorty i koszulkę.

Kupił świeżą bułkę z rodzynkami i brioszkę. Przeszedł przez trawnik. Na nogach miał sandały i czuł, jak palce u stóp robią się mokre. Patrzył pod nogi, żeby nie wejść w świeże psie gówno. Pomyślał o dziecku w jaskrawej kurtce i o psie, który na mokrej trawie wyglądał na zadowolonego.

Deszcz jeszcze nie przestał padać, choć nie było go widać. Nie padał, tylko wsiąkał w gęstą zasłonę powietrza. Wokół cudownie pachniało życiem. Tym, o czym już niemal zapomniał. Vasaplatsen, ostatnio rozżarzony do białości, stał się całkiem inny.

Wrócił do domu. Zamiast herbaty przyrządził café au lait i wycisnął sok z trzech pomarańczy. Zjadł ciepłe jeszcze bułki z masłem i dżemem z wiśni, a do tego obrane i przekrojone na pół ugotowane jajko, które posypał pieprzem. Wypił dwie filiżanki kawy i przeczytał gazetę. Czuł się gotowy na wszystko.

Ester Bergman ostrożnie wystawiła rękę na zewnątrz, próbując wyczuć deszcz. Miło było poczuć wilgoć na skórze. Trzymała rękę tak długo, aż krople wody zebrały się w zagłębieniach zmarszczek. Pomyślała, że teraz, kiedy słońce

nie zalewa już wszystkiego blaskiem, na dworze jest ciemno. Nie wychodziła od kilku dni, bo nie czuła się dobrze. Kiedy wróciła ze sklepu, poczuła, że nogi ma jak z waty. Położyła się i zasnęła. Obudziła się, kiedy w pokoju było już ciemno. Ciężko było wstać i doprowadzić się do porządku, ale w końcu jej się udało. Następnego dnia nie udało jej się pójść do biura spółdzielni. Pomyślała o mamie i dziewczynce i stwierdziła, że musi tam pójść kiedy indziej. Potem przyszła pani z opieki, której imienia nie знаła. Kręciła się po mieszkaniu, jakby sprzątała. Ale Ester wiedziała, że tak nie jest, bo kiedy wyszła, mieszkanie wyglądało tak samo jak przed jej wizytą. Trochę tylko pozmywała, to wszystko. Czasami, mimo że już pozmywałam, robi to jeszcze raz, pomyślała Ester. Kiedy myśli, że nie patrzę, wyciąga szklanki i myje je jeszcze raz, jakbym ja nie umiała tego zrobić porządnie. Zawsze zajmowałam się domem, Elmerem i zakupami!

- Co teraz robi? - zapytała, udając starszą i bardziej nieporadną, niż była w rzeczywistości.

- Porządkuję tu pani trochę - powiedziała tak, jakby Ester była głupia. Tak to już jest, starzy nie mają już nic do powiedzenia.

- A zaraz potem coś zjemy - dodała kobieta, chociaż sama nie miała jeść.

Czemu mówi „zjemy”, kiedy ma na myśli mnie?, zastanowiła się Ester.

- Podejdzie na chwilę - powiedziała i machnęła ręką, jak robią starzy ludzie. Wiele razy odwiedzała przyjaciółkę, która miała okropną sklerozę i nic już nie pamiętała. Ona macha ręką właśnie tak, pomyślała Ester, leżąc na łóżku, przed którym stanęła kobieta z opieki. Może i była miła, ale nie była nikim z rodziny. Ester Bergman myślała czasem w ten sposób, choć wiedziała, że to nie ma sensu. Choćby nie wiadomo ile o tym myślała, żadna rodzina i tak nie

przyjedzie jej odwiedzić. Nic nie mogło tego zmienić. Stara kobieta nie może mieć rodziny, jeśli jej mąż nie chciał mieć dzieci. Miała przyjaciółkę, którą nadal za taką uważała, chociaż zazwyczaj słyszała: „Znałam kiedyś Ester, też ją znałaś?”, kiedy przychodziła do niej z wizytą, siadała przy łóżku i patrzyła w oczy, w których wszyscy od lat byli obcy. Ale ona wciąż miała przyjaciółkę, a przyjaciółka miała ją. I nie miało znaczenia to, że przyjaciółka myślami już od dawna była gdzieś daleko.

- Przyjdzie tu? - powiedziała Ester.

- Już tu stoję - odpowiedziała tamta. - Jak się dziś czujemy, Ester?

- Może coś dla mnie zrobić? - powiedziała Ester. - Ja się dziś nie podniosę.

- Chyba pani Ester ma gorączkę - odparła tamta, przykładając rękę do czoła Ester.

- Starczy już tego dotykania - odpowiedziała Ester.

- Może pani Ester chce herbaty?

- Zapytałam przecie, czy może coś dla mnie zrobić.

- Widzę, że mamy dziś zły humor.

- Chcę kawy - powiedziała Ester. Zaczęło ją już męczyć mówienie w dialekcie, który usłyszała w telewizji, w filmach nakręconych na podstawie książek Astrid Lindgren. - Tak sobie leżę i zastanawiam się nad czymś.

- Tak?

- Czy zwraca pani uwagę na ludzi, którzy mieszkają tu obok?

- A o co pani Ester chodzi?

- Czy zna ich pani? Przecież chodzi pani do starszych ludzi z tej okolicy.

- Chodzi pani Ester o to, czy znam swoich klien. osoby, które odwiedzam w domu? Oczywiście, że tak.

- Nie, nie. Chodzi mi o innych z podwórka. Innych, co tu mieszkają.

- Innych?



- O dzieci i tych z podwórka! Dzieci i ich mamy!
- Aaa, to nie wiem.
- No nie.
- A chodzi o kogoś konkretnego?
- Nie. Nieważne.
- Niech pani Ester powie, jeśli chodziło o kogoś konkretnego.

Ester i Ester, za dużo już tego. Tak często słyszała swoje imię, że aż rozbolała ją głowa.

- Była tu taka dziewczynka z bardzo rudymi włosami - powiedziała. - Czasami siadała z mamą na dworze albo ona się bawiła, a mama siedziała obok. Już ich nie ma.
- Pani Ester nie widziała ich ostatnio?
- Od dawna ich nie widziałam. Zastanawiam się, czy pani je widziała.
- Dziewczynka z rudymi włosami? Ile miała lat?
- Nie wiem, taka mała. Może koło pięciu.

Kobieta z opieki wyglądała, jakby się zastanawiała. Ciekawa jestem, czy naprawdę się zastanawia, pomyślała Ester. Czuję od niej papierosy. Chce wyjść i zapalić na klatce schodowej.

- Jej mama też paliła - dodała Ester.
- Co pani Ester mówi?
- Mówię, że jej mama też paliła. Jeśli to była jej mama.
- A jak wyglądała ta mama?
- Miała jasne włosy i wyglądała ładnie, jak wszystkie młode dzisiaj.
- Pani Ester mówi, że była młoda?
- Dla mnie wszyscy są młodzi.

Kobieta z opieki się uśmiechnęła. Znów wyglądała, jakby się zastanawiała.

- Nie kojarzę ich - powiedziała. - Ale też nie widuję przecież zbyt wielu ludzi na podwórku. Wchodzimy tylko tutaj i na piętro - dodała, wciąż sprawiając wrażenie, że nad tym myśli. - Nie, nie kojarzę ich.

- Ester napiłaby się teraz kawy - powiedziała Ester.
- Kobieta przyłożyła jej rękę do czoła.
- Niech pani Ester spokojnie leży, to pójdę po filiżankę.
- Nigdzie nie pójdę.

Potem znów została sama. Pomyślała o tym teraz, kiedy na jej ręce zbierało się coraz więcej wody. Deszcz był przyjemny. Starsi ludzie ciężko znoszą upały, pomyślała. Nawet ci z innych krajów nie wychodzą z domu, kiedy na dworze jest gorąco.

Cofnęła rękę, ale okno zostawiła uchylone. Krople spływały po szybie. Widziała przez nią dzieci.

Nagle poczuła, jak coś ją gniecie w piersi. Wydawało jej się, że zauważyła rude włosy. Wychyliła się i szerzej otworzyła okno, żeby lepiej widzieć. Nie dostrzegła jednak nikogo z rudymi włosami, nikogo w ogóle. Przed jej oknem było pusto. Kilkoro dzieci bawiło się kawałek dalej, ale żadne nie miało rudych włosów. Co ja wyprawiam? Widzę już duchy.

Aneta weszła do mieszkania i zakaszła. W środku panował zaduch. Otworzyła okno i choć nie było wiatru, zobaczyła, jak odrobina kurzu unosi się w powietrzu, lecąc w głąb pokoju. Pierwszą rzeczą, która zrobiła, było włączenie muzyki, ale nie był to jazz.

Było wczesne popołudnie, ale ponieważ światło nie przenikało już wszystkiego na wskroś, miała wrażenie, że jest wieczór. Bez słońca światło jest dyskretnie, nie boli tak od niego głowa, pomyślała, nalewając sobie whisky z prawie pełnej butelki stojącej na kuchennym blacie. Ostatni raz nalewała z niej tego wieczoru, kiedy ją pobito. To było niesamowite. Siedziała tu sobie z Lis, sącząc whisky, a potem wyszły. A teraz wróciła i nalala sobie jeszcze jedną szklanekę, jakby biorąc w nawias cały ten czas. Tak powinno się na to patrzeć, pomyślała. Wolałabym jednak oberwać na służbie. Tak byłoby lepiej. Napiła się i wykrzywiła twarz na tyle, na ile pozwalała jej nastawiona szczęka. Alkohol rozszedł się po

całym ciele niczym płomiem, przedostając się do nerwów i żył. To lepsze niż tabletki przeciwbólowe, pomyślała, biorąc kolejny łyk. Pozwoliła, by płyn powoli spływał jej do gardła. Nick Cave śpiewał tak, jakby siedział w rogu okrytego cieniem pokoju, *people they ain't no good*, ale nie wsłuchiwała się w tekst. Usiadła z nogami opartymi o stół i wdychała zapach własnego domu. Czuję się świetnie, pomyślała.

## 27

ESTER BERGMAN WZIĘŁA ŁYK KAWY, ale myślami była gdzie indziej. Młody mężczyzna w radiu powiedział właśnie, że minęła ósma. Wstała już i była ubrana. Dziś nie spodziewała się nikogo z opieki, i dzięki Bogu.

Dzisiaj też padało. Cieszyło ją to, bo łatwiej jej było oddychać, chociaż zazwyczaj nie miała z tym takich problemów jak inni starsi ludzie. Nie była to ulewa, tylko przyjemny deszcz, dzięki któremu czuła, że lepiej widzi. Tak jakby ktoś wyczyścił powietrze albo porządnie przetaił parę przybrudzonych okularów.

Przystanąła przed biurem i przeczytała szyld, tak na wszelki wypadek. Stojąc tam, trochę się zdenerwowała. Żeby tak rozmawiać z kimś obcym o dziewczynce i jej mamie? Teraz wydało jej się, że to głupi pomysł. Przecież to nie jej sprawa. Lepiej chyba wrócić i sprawdzić.

- Pani Bergman, nie powinna pani stać na deszczu - powiedziała dziewczyna, która wyszła z biura. - Mogę w czymś pomóc? Czy potrzebuje pani pomocy z zakupami?

- Nie, nie, dziękuję - odpowiedziała.

Znała tę dziewczynę. Widywała ją na podwórku i mówiły sobie dzień dobry. Wiedziała, kim jest.

- Znasz moje nazwisko?

- Przecież mieszka tu pani od tak dawna - powiedziała dziewczyna. - Rozmawialiśmy już kiedyś. Nazywam się Karin Sohlberg.

- Od dawna? Tak, odkąd zbudowali to osiedle.

Tak było. Wprowadzili się tu w 1958 roku, kiedy wszystko było nowe i jasne. Elmer nigdy nie powiedział, skąd mieli na to pieniądze, a ona nie pytała. Nigdy o nic nie pytała. Nie było to zbyt mądre. Powinna była spytać o to i o tysiąc innych rzeczy.

- Pani Bergman, przemokła pani.

- Mogę wejść na chwilę? - zapytała, spoglądając na dziewczynę. - Chciałam się czegoś dowiedzieć.

- Oczywiście. Nie stójmy tu. Wezmę panią pod rękę i wejdziemy po schodach.

W środku świeciła lampka. Ester z ulgą usiadła na krześle. Na biurku dziewczyny było pełno papierów. Telefon dzwoni, ale nie ma czasu, żeby odebrać, bo pomaga staruszce usiąść. Sama mogłam się usadzić, ale skoro chciała pomóc...

Kiedy dziewczyna odebrała wreszcie telefon, nikt się nie odezwał. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na gościa. To może chwilę potrwać, ale nie szkodzi.

- Co za zmiana pogody.

Ester Bergman nie odpowiadała. Zastanawiała się, jak to wszystko powiedzieć. Nie myślała o pogodzie.

- Teraz jest całkiem przyjemnie - dodała dziewczyna.

- Chciałam zapytać o kogoś, kto mieszka kawalek za mną, na piętrze. Chodzi o mamę z córeczką.

Dziewczyna popatrzyła na nią, jakby nie dosłyszała, wołała dalej rozmawiać o pogodzie. Kiedyś to starzy rozmawiali na takie tematy, widocznie teraz robią to młodzi, pomyślała Ester.

- Mała dziewczynka z rudymi włosami.

- O co pani chodzi, pani Bergman?

- Od dawna nie widziałam tej rudej dziewczynki. Ani jej

mamy. Nie widziałam ich i dlatego pytam.

- To pani. znajome?

- Nie. A powinnam je znać?

- Nie, skąd, ale chce pani się czegoś dowiedzieć?

- Od dawna ich nie widziałam. Może ty je znasz, dziecko?

Dziewczyna wstała i podeszła do szafki. Otworzyła ją i wyciągnęła szufladę na kółkach. Wygląda, jakby szuflada miała ją uderzyć w brzuch, pomyślała Ester.

Dziewczyna wróciła ze stosem papierów i ułożyła je przed sobą na biurku. Znów spojrzała na Ester.

- To spis mieszkań, od numeru trzysta dwadzieścia sześć do czterysta osiemdziesiąt sześć.

- Aha.

- Mała dziewczynka z rudymi włosami, mówi pani? I jej mama? Jak ona wygląda?

- Nie wiem, czy to jej mama, ale można tak przypuszczać. Miała jasne włosy, więcej nie wiem. Nigdy z nią nie rozmawiałam.

- Chyba ją sobie przypominam - powiedziała dziewczyna. - Niewiele jest przecież rudych osób.

- Przynajmniej nie na naszym podwórku.

- Samotna mama - powiedziała dziewczyna, przeglądając papiery.

- Widziałam ogłoszenie policji - powiedziała ni z tego, ni z owego Ester.

Dziewczyna podniosła wzrok.

- Co pani powiedziała?

- Na tablicy wisi ogłoszenie policji. Szukają jakiejś młodej osoby. - Wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Dopiero teraz. Że też w tej samej chwili pomyślała o tym i o mamie z córeczką. - Szukają kobiety z jasnymi włosami.

- Tak?

- Nie dostarczyli tego ogłoszenia tutaj, do biura? Mówię o policji? Powinni byli to zrobić.

- Byłam na urlopie. Mieliśmy mały remont i biuro było zamknięte. Może pani czuje, że wciąż pachnie tu farbą.

- Nie.

Dziewczyna znów spojrzała w papiery.

- Mamy tu kilkoro samotnych rodziców. Pani widziała tylko mamę z dzieckiem?

- Mama miała jasne włosy, a dziewczynka rude.

- Chodziło mi o to, czy ta kobieta miała więcej dzieci. Albo męża.

- Z tego co widziałam, to nie.

- I nie wie pani, w której klatce mieszkali?

- Nie. Ale gdzieś dalej.

Dziewczyna spojrzała w papiery i zaczęła je wertować. W dzisiejszych czasach wszystko jest zapisane, pomyślała Ester.

- Sądząc po numerze lokalu. to mogła być. - powiedziała dziewczyna, ale Ester usłyszała tylko niewyraźne mrużenie.

Dziewczyna spojrzała na nią.

- Sprawdzam właśnie na liście numery mieszkań, które wchodzi w grę, i numery ewidencyjne lokatorów.

Nie pierwszy raz ktoś pyta o kogoś, kogo dawno nie widział. Zeszłej wiosny ktoś zainteresował się starszym panem mieszkającym pod nim. Staruszka nie było widać, mimo że w mieszkaniu paliły się światła. Po tygodniu sąsiad zwrócił się z tym do opiekuna osiedla. Poszła tam, ale kiedy zadzwoniła, nikt nie otworzył. Przez otwór w drzwiach zobaczyła, że w środku leży sterta listów. Ponieważ starszy pan nie miał krewnych, z którymi mogłaby się skontaktować, a sama nie miała prawa wejść do mieszkania, zadzwoniła na policję. Staruszek siedział martwy na krześle. Potem uświadomiła sobie, że nie czuła żadnego zapachu.

Dalej przeglądała kolumny danych.

- Znalazłaś coś, dziecko?

- Chyba chodzi pani o Helene Andersén. Mieszka dwie klatki za panią - powiedziała dziewczyna, wymieniając przy

tym numer lokalu, ale Ester go nie usłyszała.

- Ma rudą córeczkę?

- Takie informacje nie są tu zapisywane, proszę pani. Chociaż zastanawiam się, czy nie. proszę chwilę poczekać - powiedziała, znów spoglądając na listę. - Ma córeczkę o imieniu Jennie. Tak mam zapisane.

- Jennie?

- Tak. Może to o nie chodzi. Nie mogę powiedzieć, jak wyglądają, dopóki sama ich nie zobaczą.

- Ale już ich tu nie ma. Wyjechały.

- Kiedy ostatni raz widziała pani dziewczynkę? Albo mamę?

- Nie umiem powiedzieć dokładnie, ale jakiś miesiąc temu. Kiedy było gorąco. Potem też było gorąco, i to przez dłuższy czas. A teraz, już od paru dni, pogoda jest brzydka.

- Mogły wyjechać na wakacje. Albo pojechać w odwiedziny do kogoś znajomego.

- Na tak długo?

Dziewczyna zrobiła gest, który, jak sądziła Ester, miał chyba oznaczać, że czasem tak bywa.

- Myślałam, że może się wyprowadziły - powiedziała Ester.

- Nie. Nie wyprowadziły się.

- Ach, nie? Ale już ich tu nie ma.

- Wiem, co możemy zrobić. Pójdę tam i zadzwonię do drzwi. Zobaczymy, czy ktoś jest w domu.

- A co powiesz, dziecko, jeśli ktoś otworzy?

- Coś wymyślę - powiedziała dziewczyna z uśmiechem.

Ester nie chciała iść z Karin Sohlberg, wróciła do siebie. Dziewczyna poszła do klatki numer dwadzieścia, na drugie piętro. Zadzwoniła do drzwi i czekała. Zadzwoniła jeszcze raz i usłyszała, jak dźwięk dzwonka odbija się echem w mieszkaniu. Echo nadal rozbrzmiewało, kiedy uchyliła otwór na listy i zobaczyła nieduży stos broszur reklamowych i kopert, których nie umiała rozpoznać. Nie dało się stwierdzić, jak dużo ich tam jest.

Zeszła na parter i minutę później zadzwoniła do drzwi Ester Bergman. Starsza pani otworzyła natychmiast, jakby czekała tuż przy drzwiach.

- Nikogo nie ma.
- Przecież cały czas o tym mówiłam.
- Za drzwiami leży trochę listów, ale to można wyjaśnić na kilka sposobów.
- Ja chcę usłyszeć tylko jedno wyjaśnienie.
- Mogę zrobić dla pani jeszcze coś - powiedziała Karin. Dla siebie zresztą też, dodała w myślach. Sama chcę się dowiedzieć. - Mogę pójść do administracji dzielnicowej i sprawdzić, czy czynsz jest opłacany.
- Mogłabyś, dziecko?
- Pierwszy był już dawno, więc możemy sprawdzić, czy czynsz opłacono albo czy Helene Andersén wysłano już upomnienie.
- Mnie chodzi przede wszystkim o tę małą.
- Zrozumiała pani, co powiedziałam?
- Nie jestem ani głupia, ani głucha. Idź już, dziecko, do biura. To dobry pomysł.

Karin Sohlberg poszła do administracji dzielnicowej, mieszczącej się w budynku starej ciepłowni przy Dimvädersgatan. Sprawdziła w komputerze, czy Helene Andersén zapłaciła czynsz za ostatni miesiąc.

Pieniądze wpłynęły na przełomie sierpnia i września.

Z formalnego punktu widzenia o dzień za późno, ale to był weekend. Tak czy inaczej, czynsz wpłacono przelewem pocztowym niecałe dwa tygodnie temu. Czyli wszystko odbyło się jak zazwyczaj. Najwyraźniej Helene Andersén zawsze wpłacała pieniądze na pocztę, używając do tego specjalnej karty. Wielu ludzi tak robi, a w tej okolicy większość chodzi na pocztę przy Länsmanstorget, pomyślała Karin.

Ester Bergman mówiła, że mamy i córeczki nie ma już od



dawna. Nie można było mieć co do tego pewności. Starzy ludzie mówią jedno, a na myśli mają drugie. Może pod tym względem nie różnią się za bardzo od innych. ale czasem można odnieść wrażenie, że tydzień to miesiąc. Czas płynie dla nich wolno, a mimo to za szybko. Czasami myślała o starych ludziach pozostawionych własnym myślom i sobie samym. Noszą w sobie tyle spraw, którymi muszą się podzielić z innymi, ale też takich, które chcą zachować dla siebie.

Karin znów stanęła przed swoim biurem. Godziny przyjęć już się skończyły. Zobaczyła drzwi mieszkania Helene Andersén i spróbowała przypomnieć sobie twarz lokatorki. Nie udało jej się. Nie kojarzyła nikogo z jasnymi włosami. Może kiedyś widziała rude dziecko, ale nie była pewna. Była po długim urlopie, podczas którego chwilami widziała wokół siebie mnóstwo twarzy.

Ester Bergman była pewna swego. Może wzrok miała nie najlepszy, ale na swój sposób czujny. Nie była z tych, co chodzą i gadają bez sensu. Na pewno dużo czasu minęło, zanim zdecydowała się na wizytę w biurze. Jeśli mówiła, że już od dawna nie widziała mamy z córeczką, to mogła to być prawda. Pytanie tylko, co z tego wynika. Czynsz opłacono. Nie musiało to jednak oznaczać, że muszą tam bywać codziennie.

Może spotkała jakiegoś mężczyznę, pomyślała Karin. Poznała kogoś i przeprowadziły się do niego, ale nie chciała rezygnować z mieszkania, zanim nie będzie pewna. Może poznała go dopiero niedawno, a nie ufa facetom, bo kiedyś źle na tym wyszła. Może. Prawdopodobnie. To możliwe, często się tak zdarza, pomyślała Karin, spoglądając szybko na serdeczny palec, na którym na tle opalanej skóry odcinał się jaśniejszy pasek po pierścionku zaręczynowym.

Popatrzyła na tablicę ogłoszeń i przypomniało jej się, co Ester mówiła o policji. Podeszła i zobaczyła ogłoszenie. Było

zalaminiowane, co oznaczało, że policja chciała, by wytrzymało różne warunki pogodowe. Drobny deszcz uderzał w plastik i spływał po nim stróżkami. Plakat połyskiwał na tle innych papierowych ogłoszeń przyklejonych do drewnianej tablicy, i to przyciągnęło jej wzrok. Zauważyłam go dopiero, kiedy zaczęło padać, pomyślała. To dlatego nie widziałam go wcześniej. Było tak jasno, że wszystko znikало w świetle.

Przeczytała ogłoszenie. Z początku nie rozumiała, co jej praca ma z tym wspólnego, ale potem do głowy przyszła jej Ester Bergman. Jeśli starsza pani widziała jakiś związek, to i ona mogła go dostrzec. Tak jednak nie było. Kolejny raz pomyślała o czynszu i kolejny raz przeczytała informację o zaginionej kobiecie.

Zamknęła za sobą drzwi biura i usiadła na krześle. Nie miała czasu. Jeśli tu zostanie, ktoś przyjdzie i czasu będzie jeszcze mniej.

Wyszła z powrotem na podwórko i podeszła do klatki schodowej Helene Andersén. Po chwili stanęła przed jej drzwiami. Nacisnęła dzwonek i wsłuchiwała się w echo rozchodzące się bez końca po mieszkaniu. Znów uchyliła otwór na listy i spróbowała zajrzeć głębiej. Widziała jednak tylko rozsyłane do wszystkich reklamy oraz kilka białych i szarych kopert. Wyglądają jak rachunki, ale nie jestem pewna, pomyślała. Na pewno jednak od dawna nikt nie otwierał poczty.

Nie widziała żadnych gazet, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Niektórych nie było stać na codzienną prasę dostarczaną do domu, niektórzy rezygnowali z niej z innych powodów.

Kiedy tak stała, poczuła się dziwnie, wręcz okropnie. Jakby za chwilę miała zobaczyć czyjeś stopy idące w jej kierunku. Kiedy ta myśl przyszła jej do głowy, natychmiast odsunęła się od drzwi.

Zeszła na dół, usiadła na podwórku i zaczęła się wpatrywać w kuchenne okno Helene Andersén. Żaluzje były zaciągnięte i to wyróżniało je spośród sąsiednich okien. Kiedy był upał, wszyscy mieli zaciągnięte żaluzje, teraz jednak widać je było chyba tylko w tym oknie, na które patrzyła. Wyszła przez bramę i obeszła blok. Próbowała zlokalizować okna Helene Andersén wychodzące na drugą stronę. Nie było to trudne, bo i tutaj żaluzje były opuszczone. To normalne, kiedy ktoś wyjeżdża. Spojrzała w okno i po chwili ogarnęło ją takie samo nieprzyjemne uczucie jak przed chwilą. Zamknęła oczy, żeby nie zobaczyć przypadkiem jakiegoś cienia albo ruchu w oknie. Boże, stoję tu i węższę, pomyślała i odwróciła wzrok. Nagle przepelił ją strach. Było to niesamowite uczucie, jakby na sekundę jej wnętrze opuściło skórę. Potem wszystko minęło i wróciła do swojego ciała.

Głupio się czuła, dzwoniąc do mieszkania państwa Athanassiou, piętro niżej. Otworzył mężczyzna, kojarzyła jego twarz. Najprościej jak umiała, zapytała o mamę i dziewczynkę mieszkające na górze. W odpowiedzi mężczyzna pokręcił głową. Nie było ich już od jakiegoś czasu, ale skąd mogli wiedzieć, kiedy widzieli je ostatnio. Nie, niczego nie słyszeli. Zawsze, odkąd tam zamieszkały, zachowywały się cicho. Może czasem dziewczynka biegała, tak że było ją słyhać, ale nie za bardzo. Mój sufit to przecież czyjaś podłoga, powiedział mężczyzna, wskazując palcem w górę, co przywiodło Karin na myśl greckich filozofów.

Miała zamiar wrócić do tablicy ogłoszeń. Przyciągała ją. Mijała właśnie okna Ester Bergman. Przystanąła, kiedy zobaczyła starszą panią za szybą. Ester otworzyła okno, ale Karin nie powiedziała jej, że czynsz opłacono. Sama nie wiedziała dlaczego. Może chciała, żeby Ester mogła jeszcze nacieszyć się tą tajemnicą, tym, że coś się dzieje. Może sama chcę się tym nacieszyć, pomyślała.

Stojąc przed tablicą, zauważyła numer do wydziału śledczego

policji okręgowej. Pani Bergman mówiła, że chce do nich napisać list. Może mogłaby jej pomóc?

- Jeśli chce się pani skontaktować z policją, może pani do nich zadzwonić.

Starsza pani była zdecydowana.

- Nie lubię telefonów. Niczego się nie da przez nie powiedzieć.

## 28

KARIN SIEDZIAŁA Z ESTER BERGMAN, a deszcz uderzał o szyby kuchennego okna. Karin pomyślała, że prawdopodobnie to właśnie jest świat starszej pani. A może to tylko taki stereotyp. Ale Ester często siedziała w kuchni, przy oknie. Możliwe, że przywiązywała dużą wagę do niektórych rzeczy, które widziała, i że brakowało jej niektórych twarzy. Na jej świat składały się twarze i głosy, które widziała i słyszała, ale z którymi nie miała kontaktu.

Słysząc krzyki dzieci, ale jakby dobiegały z daleka, pomyślała Karin. Wszystko było za szybą, teraz zamgloną od dołu i pooraną strugami spływających po niej kropel. Zza szyby dochodziły ciche głosy. Widać było dzieci bawiące się na placu - wyglądały jak rozmazane plamy farby. Wraz z deszczem pojawiły się kolory, pomyślała, i odwróciła się od okna do Ester.

- Co mam napisać?

- Napisz, dziecko, że zastanawiamy się, gdzie jest mama i jej córeczka.

- Może powinnyśmy wspomnieć o ogłoszeniu, w którym piszą o tej martwej kobiecie.

- Możesz oczywiście napisać, że czytałyśmy ogłoszenie - powiedziała Ester. - I że mama dziecka ma jasne włosy.

- Tak.
- Nie zapomnij o numerze domu.
- Nie zapomnę.
- Nie musisz wspominać, ile mam lat.

Karin się uśmiechnęła, spoglądając znad papieru listowego, który dostała od Ester. Starsza pani wyciągnęła go z pięknego sekretarzyka stojącego w salonie.

- Nie musimy nic pisać o wieku.
- Możesz wspomnieć o tym, ile lat miały mama i córka - odparła Ester. - To ważne, żeby nie pomyśleli, że chodzi o kogoś innego.
- Już piszę.
- Nie zapomnij napisać, że nie ma ich już od dawna, że zniknęły na długo przed tym, zanim zaczęło padać.
- Nie jesteśmy chyba do końca pew.
- Wiem, o co ci chodzi, dziecko, ale jestem pewna, że tak było.
- Dobrze.

Karin się zastanawiała. Jakie właściwie ma prawo wtrącać się w prywatne życie Helene Andersén? Może ta kobieta chciała mieć spokój? To normalne. Dziewczynka też nie była na tyle duża, żeby musiała chodzić do szkoły.

Przyszło jej teraz do głowy, że mogła sprawdzić, czy dziewczynka nie chodziła do któregoś z przedszkoli lub zerówek. Ale czy to należy do jej obowiązków. Czy to nie zwykła ciekawość?

- Możesz się, dziecko, podpisać swoim nazwiskiem, jeśli chcesz - powiedziała Ester.
- Czemu miałabym to zrobić, proszę pani?
- Lepiej sobie poradzisz z rozmawianiem z policjantami, jeśli przyjadą tu do nas swoimi radiowozami.
- Ale to przecież pani jest bardziej pewna tego, że. że nie widać ich od dawna.
- Mówię ci, dziecko, że ty lepiej potrafisz rozmawiać. A ja nie lubię, jak jest za dużo ludzi i jak przyjeżdżają

samochodami, i jak mają ze sobą psy czy na przykład konie.

- Przecież nie będzie ich tak wielu - powiedziała Karin. - Może jedna lub dwie osoby, zadadzą parę pytań. Ale to może trochę potrwać, zanim przyjadą. A mogą wcale nie przyjechać.

- Nie? Dlaczego mieliby nie przyjechać?

Karin nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wyjrzała na dwór, jakby miała nadzieję, że zobaczy mamę i jej rudą córeczkę idące pod rękę.

- Może lepiej nie pisać żadnego listu - powiedziała Ester.

- Ale jest już gotowy.

- To może lepiej nie wysyłać go policji.

- Nie chce go pani wysłać?

- Chcę.

- No to wyślemy.

- Ale lepiej, dziecko, żebyś ty z nimi rozmawiała, kiedy przyjadą.

- A nie możemy powiedzieć, że napisałyśmy go razem i razem będziemy z nimi rozmawiać? Mogę siedzieć obok pani.

- Tak. Tak możemy chyba powiedzieć.

- W takim razie zaklejam kopertę i wysyłam - powiedziała Karin.

- Przeczytaj jeszcze raz.

Kiedy Karin to zrobiła, pomyślała, że pewnie list będzie długo leżał i czekał. Na pewno do policji przychodzą setki, może tysiące takich zgłoszeń o osobach zaginionych. Zastanawiała się, jak policja decyduje, czym zająć się na poważnie. Przecież nie mogą się zajmować wszystkim.

Winter przeczytał kolejny protokół z coraz obszerniejszej dokumentacji śledztwa: sterta papierów rosła na jego biurku. Siedział w marynarce, pracował przy otwartym oknie. W nocy przestało padać. Teraz, kiedy powietrze stało się cięższe i łatwiej było oddychać, dźwięk dobiegający z ulicy stał się bardziej wyrazisty, ale również delikatniejszy. Rozmyślał

przez chwilę nad tym paradoksem, jadąc na rowerze do pracy.

W Göteborgu i w gminach Kungvåls, Kungsbacka i Härryda były w sumie sto dwadzieścia cztery fordysy escorty 1.8 CLX kombi sedan z trojgiem drzwi, roczniki od dziewięćdziesiątego pierwszego do dziewięćdziesiątego czwartego, z rejestracją zaczynającą się od H. Co dziwne, żaden z nich nie miał rejestracji zaczynającej się od HE.

Winter długo wpatrywał się w niewyraźne zdjęcia samochodu. Był pewien jednego: pierwszą literą rejestracji było H, nie mogło to być nic innego.

Któryś z samochodów z nowej listy był samochodem z nagrania. Co tam robił?

Sto dwadzieścia cztery sztuki. Właściwie takiej liczby nie da się sprawdzić. Przesłuchanie stu dwudziestu czterech osób zajmuje dużo czasu. Mieli już numery rejestracyjne, nazwiska, numery ewidencyjne i adresy właścicieli samochodów.

Dwóch zgłosiło kradzież samochodu, zanim Helene zamordowano. Z jednej strony stanowiło to pewien problem, z drugiej mogło być wskazówką. Zaczęli od tych właśnie aut. Jedno odnaleziono z pustym bakiem, zaparkowane było jak na placu przed Swedish Match. Drugie jeszcze się nie znalazło. Mogła to być albo dodatkowa komplikacja, albo kolejny krok naprzód. Wszystko zależało od wstępnej eliminacji, od przesłuchania ludzi i wypymania ich, co robili w pewnym momencie swojego życia.

Muszą ich wysłuchać, a potem wyciągnąć wnioski, zdecydować, kto kłamie, jak bardzo i, o ile da się to stwierdzić, dlaczego.

Największy problem stanowili ci, którzy kłamali. I to nie dlatego, że popełnili jakiś czyn zabroniony czy zwyczajnie niemoralny, nieetyczny, nieuczciwy wobec najbliższych, choć niebędący wykroczeniem w rozumieniu prawa. Kłamali, bo

nie chcieli się przyznać do tego, co robili w tajemnicy. Woleli już, żeby morderca został na wolności, a pijany kierowca jeździł dalej. Jak to się mówi? Nie mieć nic do ukrycia. Cóż, oni najwidoczniej mieli.

Czekał na dalsze stenogramy z przesłuchań właścicieli samochodów, choć nie nazywano ich przesłuchaniami, tylko rozmowami, żeby nie straszyć ludzi.

Znow był rozkojarzony. Miał ochotę wyjść na dwór. Na przenośnym panasonicu stojącym na blacie przy oknie puścił płytę Coltrane'a, ale dźwięki *Trane's Slo Blues* wcale go nie uspokoiły. Wskazującym palcem lewej dłoni wybijał rytm na krawędzi biurka. Wpatrywał się w dokumenty, a z odtwarzacza dobiegały mocne uderzenia gitarowej solówki Earla Maya, nagranej w studiu w Hackensack w New Jersey szesnastego sierpnia 1957 roku. Winter nigdy tam nie był. Trzeba sobie zostawić coś na potem.

Zamyślił się na chwilę, słuchając *Lush Life*. Zauroczyła go ta charakterystyczna melodia. W tym samym momencie, w którym Red Garland zaczął swoją solówkę na pianinie, do biura wszedł Janne Möllerström.

- Ależ miły nastrój.

- To część służby.

- Ta zasada dotyczy chyba tylko szefów.

- Tak.

-Co to?-zapytał Möllerström, wskazując głową na odtwarzacz.

- The Clash.

- Co?

- The Clash. Angielska, rockowa.

- Przecież to, kurwa, żaden Clash. Mam ich.

- Żartowałem. Nie słyszysz, kto to?

- Słyszę tylko kojące dźwięki pianina. A teraz wchodzi. trąbka. To musi być Herb Albert.

Winter się zaśmiał.

- Tijuana Brass - powiedział Möllerström. - Mój ojciec też



to lubił.

- Aha.

- Żartowałem. Ponieważ to ty tego słuchasz, to musi być John Coltrane.

- Jasne, że tak. Ale chyba nie po to przyszedłeś?

- Mam tu list. Myślę, że warto, żebyś rzucił na niego okiem.

- Dobra - powiedział Winter, biorąc od niego kopię. Przeczytał i spojrzął na asystenta. Wyglądało na to, że Möllerström jest zwarty i gotowy, jak zawsze. Winter wiedział, że Möllerström czytał dokładnie wszystkie listy i większość odrzucał. Miał swego rodzaju przecucia, które często się sprawdzały.

- Czemu uważasz, że to ważne?

- Nie wiem, może dlatego, że to zgłoszenie od dwóch osób. Od starszej pani i dziewczyny, która pisze w jej imieniu.

- Chyba nie są tak do końca pewne.

- No właśnie. I są dość powściągliwe, jakby spełniały obowiązek czy coś w tym rodzaju. Nie chcą zrobić wrażenia.

- Nie żadne wariatki, o to ci chodzi?

- Tak.

- Ta, która pisze. Karin Sohlberg. dodała, że możemy zadzwonić, jeśli sądzimy, że warto to sprawdzić. Tak napisała. Warto to sprawdzić.

- Widziałem.

- A co ty o tym sądzisz, Janne?

- Jak to?

- Czy to zgłoszenie warto sprawdzić? Powinniśmy do niej zadzwonić?

- Dlatego do ciebie przyszedłem.

- Dobra - powiedział Winter i wyciągnął się, sięgając po telefon. To już kolejny raz w tym tygodniu. Już wiele razy zbaczali z głównego toru, żeby porozmawiać z krewnymi, ale zawsze „zaginięcie” dawało się wyjaśnić. Najzwyklejsze wyjaśnienie było takie, że tak naprawdę nikt nie zaginął. W

najgorszym z przypadków okazało się, że młoda kobieta trafiła do szpitala, a sąsiedzi o tym nie wiedzieli.

- Pisze tylko, że chodzi o kobietę i jej dziecko - powiedział Winter i wykręcił numer podany w liście.

- Żadnego nazwiska.

- Może chodziło o dyskrecję.

- Też tak myślę. Halo? Pani Karin Sohlberg? Tu komisarz Erik Winter z wydziału śledczego policji okręgowej. - Dał Möllerströmowi znak ręką, żeby przyciszył muzykę. - Otrzymał pani list. Dlatego dzwonię. Proszę pozwolić, że to my o tym zdecydujemy. Nie, zawsze lepiej być czujnym. Chodzi przede wszystkim o Ester się niepokoi? To może lepiej. Człowiek powinien zwracać uwagę na innych - powiedział Winter i kiwnął głową do Möllerströma, żeby wyłączył odtwarzacz.

- Helene Andersén nie widać już od jakiegoś czasu - powiedziała Karin do słuchawki.

Najpierw Winter pomyślał, że źle zrozumiał, że słyszy własne myśli, że to jego dawne wizje nagle wróciły. Widział swoją Helene - jej twarz skąpaną w obscenicznym świetle umieszczonym nad stołem w kostnicy.

- Proszę? - powiedział. - Może pani powtórzyć, jak ona się nazywa?

- Helene Andersén. To o nią chodzi, ale nie chcę.

- Zatem kobieta, której od jakiegoś czasu panie nie widziały, ma na imię Helene?

- powiedział, czując, że ton zwątpienia w jego głosie jest zbyt wyraźny. Trudno mu było mówić, miał ściśnięte gardło. Möllerström patrzył na niego dziwnie. Winter miał wrażenie, że się spocił.

- Coś nie tak? - zapytała Karin. - Czy to pomył.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Chętnie przyjedziemy i porozmawiamy z paniami. Czy możemy się umówić. - spojrział na zegarek - za pół godziny? Na podwórku, które

opisują panie w liście?

- Nie wiem, czy zdążę.

- To może być bardzo ważne.

- Czy zawsze tak to wygląda?

- Proszę?

- Czy każde zgłoszenie sprawdzacie tak. od razu?

- Najważniejsze, żebyśmy mogli się spotkać i porozmawiać.

- W takim razie możemy się umówić w moim biurze - powiedziała Karin. - Tuż przy podwórku. Widać je, kiedy się idzie od strony parkingu. - Podała mu adres. - Czy mam poprosić panią. Ester Bergman, żeby przyszła?

- Nie. Przyjedziemy, porozmawiamy chwilę, a potem możemy pójść do niej. - Winter zamilkł i zaczął się zastanawiać. - Mogłaby pani jej powiedzieć, że chcemy ją dziś spytać o kilka rzeczy? To nie potrwa długo.

- Ona się tym bardzo przejmuje. Boi się na przykład, że przyjedzie dużo ludzi.

- Rozumiem, ale będę sam.

- I że będzie. groźnie. To znaczy, że policja groźnie wygląda. Chodzi jej o mundury i psy. Na smyczach.

- Będę sam - powtórzył Winter. - Młody, sympatyczny człowiek, którego chętnie zaprosi na kawę - znów mówił spokojnie, ale czuł, jak coś łomocze mu w głowie. Wszystko ma swój sens, pomyślał.

Halders zastanawiał się właśnie, czy siedzący przed nim mężczyzna kłamie, bo po prostu jest zdenerwowany, czy też ma coś do ukrycia. Nie chodziło o nic poważnego, ale kiedy zaczynał patrzeć w inną stronę, w kącikach jego oczu przebłyskiwały małe kłamstwa. Łatwo było to zauważyć. Za każdym razem, gdy wygłaszał jakieś kłamstwo, spoglądał w inną stronę. Halders myślał, czy nie powinni przeprowadzić poważniej szego przesłuchania. Takiego, które dotyczyłoby poważniejszych kwestii.

- Nie należę do tego gangu od. dziesięciu lat - powiedział

mężczyzna. Przyjechał na komendę prosto ze swojego warsztatu samochodowego. Pod jego paznokciami Halders zauważył cienkie kreski smaru i innego syfu. Sprawiało to sympatyczne wrażenie. Koleś w ogóle wyglądał na sympatycznego, jeśli pominąć ten uciekający wzrok. Miał na sobie białą koszulę i długie spodnie khaki w odcieniu beżu. Takie, jakie zazwyczaj nosi Bertil, pomyślał Halders.

- Jakiego gangu? - zapytał Halders.
  - No, wie pan. Przecież przed chwilą pan o nim mówił.
  - Nie wspominałem nic o żadnym gangu.
  - W takim razie ktoś inny wspominał. Ja w każdym razie jestem czysty. Nie mieszam się w nic, bo się boję.
  - Jest się czego bać?
  - Jasne. Wszędzie pełno propagandy strachu.
  - Myśli pan, że to propaganda?
  - Myślę, że przesadzają - powiedział mężczyzna. Nazywał się Jonas Svensk.
  - Ale pan się boi i w nic nie miesza.
  - Proszę?
  - Tak pan się wyraził. Powiedział pan, że się pan w nic nie miesza.
  - Tak się mówi.
  - Aha.
  - To brzmi, jakbym był podejrzany.
- Halders nie odpowiedział.
- Jestem podejrzany? - powtórzył Jonas Svensk.
  - Chciałbym tylko, żeby nam pan opowiedział o Peterze Bolanderze - odparł Halders.
  - Jest zatrudniony w moim warsztacie. To wszystko, co mogę o nim powiedzieć. Jego musicie pytać.
  - On jest podejrzany - powiedział Halders.
  - Wiem, że został aresztowany w związku z tą strzelaniną na Vårvåderstorget. Z tego co wiem, twierdzi, że go tam nie było.

- Ktoś go rozpoznał - powiedział Halders. - Miał karabin w rękę, a kiedy byliśmy u niego w domu, nie było tam już jego remingtona.

Jonas Svensk wzruszył ramionami.

- Karabin można ukraść. On też tak twierdzi. A z wyglądu podobny jest do tysięcy innych ludzi. Zresztą nie wiem. Nie będę go bronił, bo nawet nie wiem, czy to zrobił, czy nie. On odpowiada sam za siebie, ale to już mówiłem. A mnie tam nie było. Mam na tę porę alibi.

Halders nie odpowiedział.

- To żadna zbrodnia przyjmować ludzi do pracy - powiedział Svensk.

- Żadna.

- Nie możecie mnie oskarżyć o coś tylko dlatego, że ja i Peter należeliśmy kiedyś do Hell's Angels. Już nie jestem ich członkiem. To taki grzech młodości.

- Rozumiem.

- A jeśli sądzicie, że to porachunki między gangami, to jesteście w błędzie.

- Czemu mielibyśmy tak sądzić?

- A nie sądzicie?

- Że to porachunki między gangami?

- No. tak.

- Albo wewnętrzne porachunki gangu?

- Tak. Nie wiem.

- Nawet dla tych, którzy się w nic nie mieszają, nie jest tajemnicą, że między członkami Hell's Angels dochodzi w Göteborgu do porachunków.

- Czytałem coś o tym w gazetach. Ale nie chodziło przypadkiem o Bandidos?

Halders znów zaczął się zastanawiać, dlaczego Svensk udaje głupszego, niż jest w rzeczywistości.

- Sprawdźcie Arabów.

- Arabów? - zapytał Halders.

- Sprawdźcie muzułmanów. Myślę, że to oni do siebie strzelali. Latem było wśród nich niespokojnie. Sami zresztą wiecie. No i spojrzcie, co się teraz dzieje w Algierii.

## 29

RINGMAR PRZEJEŹDZAŁ właśnie przez most nad Götaälv. Wagony kolejowe stały przy Frihamnen, spowite we mgle.

- Mam wrażenie, że już tędy jechaliśmy.

- Nie tak dawno - powiedział Winter. Zastanawiał się, co się stanie za chwilę.

Był spięty. Czuł, że potrzebuje cygara, wetknął więc jedno w usta, ale nie zapalał go.

- Wtedy ledwo można było zobaczyć wyciągniętą przed siebie rękę, tak świeciło słońce. Teraz też jest do dupy, tylko na odwrót - powiedział Ringmar.

- Jedzie tramwaj - ostrzegł Winter, kiedy jechali przez Vågmästarplatsen. Cygaro wypadło mu z ust. - Uważaj! Tramwaj przejechał im parę centymetrów przed maską.

- Myślą, że są sami na drodze - powiedział Ringmar i pojechał dalej.

- Z technicznego punktu widzenia są sami - stwierdził Winter. - Chodzi mi o tory.

- A mnie o ruch uliczny.

Obaj jesteście nerwowi, pomyślał Winter. Luźna rozmowa to dobry sposób na zdenerwowanie, ale czołowe zderzenie z tramwajem - niekoniecznie.

Dojechali do Vårväderstorget. Pole przy Rambergsvallen unosiło się nad ziemią, jakby było częścią basenu Lundbybadet. Wszystko, co widział wokół, było odgródzone i zamknięte, jakby ktoś spuścił z nieba ogromne ściany wody, które zajęły miejsce chmur, ograniczając pole widzenia.

Vårväderstorget ledwo było widać.

- Mam wrażenie, że minęły całe wieki - powiedział Ringmar, wskazując ruchem głowy w lewo. - Jakby inna epoka albo inny kraj.

- Bo tak jest. Czy raczej było.

- Ślady są kiepskie - powiedział Ringmar.

- Długo do siebie strzelali - odparł Winter. - Może da się coś znaleźć.

- To chyba przez ten upał.

- Skórzane kurtki się nagrzewają, kiedy jest trzydzieści stopni.

- Teraz Hell's Angels chodzą po mieście w garniturach - powiedział Ringmar, zerkając na grafitowy garnitur od Cornelianiego, który Winter miał na sobie, i na płaszcz od Oscara Jacobsona leżący na jego kolanach.

- O ile w ogóle chodzą po mieście - powiedział Winter. - To tak jak z angielskimi kibolami.

- Jak to?

- Teraz są już niewidoczni, ale i tak istnieją.

- Przecież mamy nasze aniołki na oku - powiedział Ringmar. - Albo tak nam się wydawało.

- Aniołki już nie są takie jak kiedyś - odparł Winter. Odwrócił się do Ringmara.

- I nie mówię tylko o kibolach.

Skręcili we Flygvädersgatan i skierowali się na osiedle Norra Biskopsgården. Na prawo Winter widział wielki blok. Najwyższe piętra ginęły w nisko zawieszonym niebie. Budynki były tak długie, że miał wrażenie, jakby się od niego oddalały, jakby sunęły we mgle na północ. Na ścianach aż roilo się od anten satelitarnych.

Wyglądają jak oczy skierowane w kosmos, pomyślał Winter. Albo jak wyrosnięte uszy zamienione w stal zestrzajającą głosy i ruchy z krajów, o których marzą mieszkańcy. Albo jak usta krzykiem proszące o odpowiedź.

- Nigdy nie widziałem tak dużo w jednym miejscu -

powiedział Ringmar, wskazując na czarne narośle anten na najbliższym bloku.

Winter nie odpowiedział. Patrzył na mapę.

- Dimvädersgatan [dosł. ulica mglistej pogody] - powiedział. - Spółdzielnia Bo-Service, Dimvädersgatan.

- Nazwa na czasie - stwierdził Ringmar. - I to nie tylko ta.

- Przejechał palcem po mapie, wskazując na Flygvädersgatan [dosł. ulica wietrznej pogody].

- A na końcu ulicy jest szkoła Wintera.

Karin Sohlberg czekała przed biurem. Była średniego wzrostu, miała ciemne włosy, ubrana była w kurtkę przeciwdeszczową. Wintera zaskoczył jej azjatycki wygląd. Chiny, może Korea. Kiedy rozmawiali przez telefon, mówiła z takim akcentem, jakby się wychowała w Göteborgu, na Gråberget albo na Lindholmen. Może zresztą tak było. Pomyślał o Anecie i sam nie wiedział, czemu właściwie jest zaskoczony.

Weszli do biura. zaproponowała, żeby usiedli, ale Ringmar nie skorzystał. Ona też stała, w kurtce przeciwdeszczowej zapiętej pod brodę. Winter przysiadł na krześle przed biurkiem, ale podniósł się, kiedy się zorientował, że oni stoją.

- Zatem czynsz za mieszkanie tej kobiety wpłacono we wrześniu - powiedział. Więc właściwie nie wiadomo, co my tu robimy, pomyślał. - Pierwszego września, tak?

- Tak, zaraz po weekendzie.

- Zatem nie wysłano żadnego upomnienia?

- Nie, ale to nie moja. Nie, to trochę trwa. Najpierw sprawdza się, czy czekają pokrycie. Upomnienia wysyła się po pięciu, sześciu dniach.

- I nie widziała pani Helene Andersén ani jej córeczki już od dłuższego czasu.

- Nie, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy je dobrze kojarzę. Nie było mnie dość długo.

- Jak ma na imię córka?



- Jennie.

- Skąd pani wie?

Karin powiedziała im o listach lokatorów i pokazała dokumenty leżące na biurku.

Nie ma przepisu, który by mówił, że to właściciel mieszkania musi opłacać czynsz, pomyślał Winter. Mógł to zrobić ktoś inny. Gdybym w to nie wierzył, nie siedziałbym tu teraz.

- W tych dwóch blokach jest w sumie trzysta mieszkań. Wiele osób się przeprowadza. W bloku Helene Andersén jest najwięcej lokali - powiedziała Karin.

- I tam mieszka ta starsza pani?

- Tak. Ester Bergman. Dwie klatki dalej.

- Więc chodźmy - powiedział Winter. - Czy możemy zadzwonić po ślusarza? Jest jakiś w okolicy?

Karin przytaknęła.

Nie było widać, czy deszcz przestał padać, czy nie. Wszystko ginęło we mgle. Winter widział tylko najbliższy dom, jeden z setek bloków z czerwonej cegły stanowiących środek osiedla Norra Biskopsgården. Niskie budynki kontrastowały z wybudowanymi na obrzeżach wielopiętrowymi domami, które stały tam niczym mur broniący osiedle przed otaczającym je światem. W środku znajdowały się niższe bloki, ustawione wokół podwórka, na których urządzono place zabaw i alejki do spacerowania. Z boku, przed sobą, Winter zauważył wysypane tłuczniem boisko. Powiewała nad nim poruszana lekkim wiatrem szwedzka flaga. Minęło ich kilka osób, żadna nie miała jasnych włosów. Po drugiej stronie parkingu zobaczyli sklep, a przed nim furgonetkę z napisem „Simmo Gross”.

Weszli szerokim przejściem przecinającym blok. Było dłuższe, niż Winter sądził, a to oznaczało, że mieszkania są wąskie, podłużne.

Podwórko było duże. We mgle nie było widać drugiego końca. Może dla Ester zawsze to tak wygląda. Widzę teraz

tyle co ona, pomyślała Karin.

Kilkoro dzieci wspinało się na drabinki stojące na środku podwórka. Na ławce siedziały dwie kobiety, owinięte czarnymi zwojami przypominającymi namioty. Jedno z dzieci zawołało, ale Winter nie słyszał co. Krzyk nie rozniósł się za daleko, może stłumiony przez stojące wokół domy.

Skręcili w lewo i weszli do drugiej klatki. Winter przeczytał nazwiska na liście lokatorów wiszącej przed drzwiami: Sabror, Ali, Khajavi, Gulmer, Sanchez i Bergman. Dwa mieszkania na każdym piętrze. Weszli na półpiętro i Karin zadzwoniła do drzwi. Winter spojrzał na poważną twarz Ringmara. Czuje to co ja. Kurwa, przecież powiedziałem, że będę sam, pomyślał, ale starsza pani otworzyła już drzwi, jakby stała przy nich, czekając na dzwonek.

Wypili po filiżance ściskającej trzewia sypanej kawy. Winter przytaknął, kiedy pani Bergman zaproponowała, że mu doleje. Karin spojrzała na niego wymownie. W mieszkaniu pachniało kurzem i czymś słodkim, jak u starszych ludzi. Home, sweet home, pomyślał Winter i zamieszał kawę. Przeczytał pocieszne wersy wypisane na makatkach. Okno było uchylone. Znów usłyszał wołanie dziecka.

- Zatem, pani Bergman, nie widziała pani Helene i jej dziecka od dłuższego czasu? - zapytał, starając się, by jego głos brzmiał łagodnie.

- Nie wiedziałam, jak się nazywa.

- Dziewczynka ma na imię Jennie.

- Ma rude włosy.

- Tak.

- Co się z nimi stało?

- Nie wiemy - odpowiedział Winter, pochylając się do przodu. - Dlatego tutaj jesteśmy.

- Ale coś przecież musiało się stać. Inaczej by was tu nie było. Ringmar spojrzał na Wintera. Karin wyglądała przez okno. Chyba lepiej porozmawiać z nią potem, nie teraz, pomyślał

Ringmar.

- Dostaliśmy pani list. Dlatego przyjechaliśmy - powiedział Winter.

- Czy pan na pewno jest z policji? - zapytała Ester, mrużąc oczy i spoglądając podejrzliwie na Wintera.

- Tak - powiedział, odstawiając filiżankę.

- A taki młody - odparła. Znow zaczynam mówić jak staruszka, pomyślała. Chyba jestem zdenerwowana. Ale ten młodzik nie wygląda na doświadczonego, no i ma nieprzystryżone włosy. I wygląda, jakby szedł na ślub. Policjanci powinni chyba mieć krótkie włosy? Ten drugi jest ostrzyżony i starszy, ale się nie odzywa. - Chyba jest pan niewiele starszy od niej.

- Od kogo? - zapytał Winter.

- Od niej. Od tej mamy z jasnymi włosami.

- Więc nie było ich na podwórku, odkąd zmieniła się pogoda? Odkąd skończyły się upały?

- Już wtedy ich nie było - odparła Ester. - Było gorąco i siedziałam przy oknie, ale ich nie widziałam.

Znow wyszli na podwórko. Dzieci już nie było. Zrobiło się ciemniej.

- Wchodzimy - zdecydował Winter, a Ringmar przytaknął.

- Ale najpierw zadzwonimy - powiedział Winter do Karin, a ona wyciągnęła komórkę i zadzwoniła po ślusarza. Kiedy czekali, Winter pomachał do siedzącej przy kuchennym oknie Ester.

- Czy ona zawsze tam siedzi?

- Wydaje mi się, że często. Dzięki temu nie czuje się samotna.

- Czy pani też mieszka na tym osiedlu? - zapytał Winter.

- Ja. czy to ma jakieś znaczenie?

- W pewnym sensie tak. Pytam, bo chcę wiedzieć, czy zna pani tę okolicę. Czy bywa tu pani również poza godzinami

pracy. W ciągu dnia.

- Mieszkam przy Wieselgrensplatsen.

- Aha.

- Można się tu szybko dostać tramwajem.

- Widziałem na tablicy przed biurem, że jest tu pani codziennie rano.

- Od ósmej do dziewiątej.

- Czy wszystkie mieszkania tutaj należą do waszej spółdzielni?

- Wszystkie, które tu widać.

- Teraz nie widać ich zbyt wiele.

- Cóż, może przy lepszej pogodzie też nie ma tu na co patrzeć - powiedziała Karin. - Myślę, że jest tu wiele ładnych miejsc, ale gdyby wierzyć temu, co mówią w mieście, to znaczy po drugiej stronie rzeki, nasze osiedle to Stalingrad albo coś w tym stylu.

- Jak dla mnie wygląda raczej jak Lutzen - stwierdził Winter.

- A czemu nie jak Göteborg? - spytał Ringmar.

- Ktoś idzie.

- Ślusarz.

Schody wyglądały na świeżo wyszorowane, pachniały mydłem. Jak we wszystkich klatkach, dół ścian zrobiono z czerwonej cegły, która nieco wyżej przechodziła w żółty tynk. Winter przejrzał listę lokatorów: Perez, Al. Abtah, Wong, Andersén, Shafai, Gustavsson.

Drugie piętro: Andersén. Poczł pulsowanie w skroniach. Zauważył, że Bertil też to dostrzegł. Bertil nie wiedział, że Winter już dawno nadał martwej kobiecie imię Helene, ale rozumiał. Nie pytał dlaczego. On też, jeśli czuł, że trafił na ślad, chwycił się go mocno.

Ktoś coś do niego powiedział, ale Winter, słysząc szum w uszach, zamrugał tylko oczami.

- To miało być drugie piętro? Andersén? - powtórzył ślusarz.

Winter przytaknął. Weszli na górę i stanęli przed drzwiami. Kilkadziesiąt centymetrów nad tabliczką z nazwiskiem wisiał obrazek namalowany przez dziecko. Winter pochylił się nieco. Obrazek przedstawiał statek na wodzie. Niebo było podzielone na pół: na prawo od statku padał deszcz, na lewo świeciło słońce. Statek miał okrągłe okna, a w jednym z nich widać było oczy, nos i usta, narysowane prostą kreską. Trochę niżej, na tle narysowanej wody, dziewczynka się podpisała: jeni.

Winter się wyprostował i zadzwonił do drzwi. Dźwięk był tak przenikliwy, że aż podskoczył. A może dzwonek zabrzmiał tak głośno w jego myślach.

Zadzwonił jeszcze raz i usłyszał, jak dźwięk odchodzi gdzieś dalej, na drugą

stronę mieszkania, jakby zniknął we mgle. Ringmar się pochylił i ręką w rękawiczce podniósł klapkę otworu na listy. Próbował zajrzeć do środka. Zobaczył kolorowe reklamy i przeblyskujące między nimi koperty.

Winter po raz trzeci wcisnął dzwonek. I znów ten sam dźwięk. Nagle poczuł, że chce odejść. Jakby się przestraszył tego, co może zobaczyć w środku, jakby to właśnie tam czekało to, co najgorsze. Zamknął oczy, przełknął ślinę i pulsowanie w głowie osłabło. Skinął na ślusarza, a ten włożył do zamka przygotowany wcześniej klucz. Na górze nie było dodatkowej zasuw.

Drzwi się otworzyły. Zobaczyli stertę papierów na wycieraczce i ciemny przedpokój. W najdalszym pokoju widać było odcinający się jaśniejszym kolorem prostokąt okna. Winter poprosił, by zaczekali, a sam wszedł ostrożnie do środka. Przedtem założył na nogi foliowe ochraniacze, które wyjął z kieszeni kurtki. Powoli siedł przez przedpokój. W ciszy słyszał szum lodówki. Zobaczył ją przez kuchenne drzwi, z lewej strony. Wiedział, że okna kuchni wychodzą na podwórko, tak jak u Ester Bergman. W środku pachniało

ciszą i kurzem, który zgromadził się w niewietrzonym mieszkaniu. Szedł dalej. Na prawo zobaczył zamknięte drzwi, a na wprost pokój, zapewne salon. Był tak skoncentrowany, że miał wrażenie, jakby metalowa obręcz zaciskała mu się wokół mózgu. Broń ocierała mu się o bok, bardziej niż kiedykolwiek. Miał ogromną ochotę ją wyciągnąć. Spojrzał na zamknięte drzwi. Ostrożnie wszedł do salonu. Zobaczył sofę, stół, fotele, małą witrynę, telewizor i komodę. Na dwóch małych półkach pod oknem stały uschnięte rośliny. Na podłodze leżał dywan, a na ścianie, nad sofą, wisiał obraz przedstawiający indiańską kobietę. Światło padające z okna raczej utrudniało mu pracę, niż pomagało. Wycofał się i wyciągnął broń. Stał przed drzwiami i nacisnął klamkę. Otworzył je jednym pchnięciem, przyciśnięty do ściany w przedpokoju. Odczekał chwilę, ale nie usłyszał nic poza oddechami trójki stojącej przy wejściu. Zajrzał do pokoju. Okazał się długi i wąski. Zobaczył dwa łóżka stojące pod przeciwległymi ścianami. Mniejsze stało w głębi. Okno wychodziło na podwórko. Na krótszej ścianie, obok niego, stała szafa. Jedne drzwiczki były otwarte. Ściana nad małym łóżkiem była pokryta obrazkami. Winter zrobił kilka kroków i zauważył, że większe łóżko jest z jednej strony lekko odsunięte od ściany, dzięki czemu pokój wydawał się szerszy. W oknie stały rośliny, ale w słabym świetle nie mógł dojrzeć, czy jeszcze żyją, czy już uschły. Okno było zamknięte, w pokoju było ciepło. Lato zostało w środku. Słońce nadal oświetlało łóżko dziewczynki w kilku miejscach. Deszcz padał na niektórych obrazkach. Na niektórych widać było i promienie słońca, i krople deszczu. Ciekawe, co to oznacza, pomyślał Winter. Spojrzał w stronę większego łóżka. Stał przy nim nieduży nocny stolik, a na nim telefon i pusta szklanka. Na stole leżała gazeta, a obok kolorowe zdjęcie przedstawiające jasnowłosą mamę i rudą dziewczynkę. Winter podszedł bliżej. Kobieta na zdjęciu uśmiechała się,

ledwo odsłaniając zęby - to była Helene. Stojąc przed zdjęciem, Winter pomyślał, że śmierć tak bardzo nie zmieniła jej twarzy. Helene była Helene. W pogoni za mordercą posunęli się kawałek dalej, ale jako myśliwy Winter wciąż jeszcze nie był usatysfakcjonowany. Właśnie na nowo uruchomili śledztwo, które już miało zostać zamknięte. Teraz miało się zacząć naprawdę. Za chwilę powinien poczuć przypływ sił do pracy, którą trzeba będzie kontynuować, ale teraz, patrząc na zdjęcie, czuł smutek, pasujący odcieniem do mroku panującego w tym nieszczęsnym mieszkaniu, i podniecenie podszyte strachem. Helene odzyskała swoje imię. Dziewczynka ze zdjęcia uśmiechała się szerzej niż mama, szerzej otwierała usta. Miała na imię Jennie i tu jej nie było. Najpierw Winter poczuł ulgę. Pomyślał, że nie znaleźli. nie znaleźli. Zanim jednak zdążył sformułować tę myśl, ustąpiła miejsca temu, co nienazwane, temu, co nie do pomyślenia. Polując na mordercę, nie powinni zapominać o dziecku. Winter poczuł ból w prawej dłoni. Spojrzał w dół i zobaczył, że nadal mocno ściska broń. Wcześniej zwłoki były bezimienne, teraz je zidentyfikowali. Do tego znaleźli imię bez. ciała. Ta myśl odbijała się echem w jego głowie, nie mógł jej zagłuszyć.

### 30

MIESZKANIE HELENE ANDERSÉN przeszukiwało troje policjantów oraz fotograf z wydziału technicznego, z grupy zajmującej się oględzinami. Wszystko polegało na wiedzy naukowej, ostrożnych ruchach, procedurach. Nanieśli ninhydrynę na gazetę leżącą na nocnym stoliku i na inne przedmioty o nierównej powierzchni. Metoda ninhydrynowa pozwala zdjąć odciski palców zostawione dużo wcześniej. Winter wiedział, że Krajowe Laboratorium Technik Kryminalistycznych w Linköpingu znalazło nadające się do

badania odciski palców na historycznych, stuletnich dokumentach. Sole i białko zawarte w ludzkim pocie wnikają w papier i zostają w nim niczym uścisk dłoni sprzed lat.

Śladów linii papilarnych zostawionych na stali nie da się zetrzeć. Są jak wyryte. Da się też znaleźć odciski na mokrym papierze.

Technicy zapakowali część przedmiotów w plastikowe torebki, które potem opieczętowali. Łatwiej będzie się nimi zająć w laboratorium. Zapakowali też zabawki.

Na różne powierzchnie w całym mieszkaniu nanieśli czarny pył. Winter wiedział, że Beier nie przepada za tą metodą. Beier miał na względzie stan mieszkania, a metal zawarty w pyłe rdzewiał pod wpływem wilgoci i zostawiał plamy. To głównie przez zdejmowanie odcisków palców niszczy się mieszkania.

Technicy szukali odcisków głównie przy kontaktach, drzwiach, na stole i na innych powierzchniach, których zazwyczaj dotyka się rękoma. Nanosili pył, czekali, aż jego cząsteczki wnikną w odciski, a potem zdejmowali go taśmą.

Niestety czasem pył wnika na tyle głęboko, że nie da się go w ten sposób zdjąć. Czasami więc nie ryzykowali, tylko najpierw fotografowali odcisk, a dopiero później naklejali taśmę. Robili tak zwłaszcza wtedy, gdy chodziło o poważne przestępstwo. Fotograf zawsze używał czarno-białego filmu.

Karin Sohlberg płakała. Winter siedział naprzeciwko niej w biurze spółdzielni.

- Ester miała rację - powiedziała.

- Tak.

- Jak zareagowała?

- Porozmawiam z nią za chwilę.

- To straszne - powiedziała, wycierając nos. - Dziewczynka, i w ogóle.

- Nie przypomina jej pani sobie?

- Teraz już sama nie wiem. Ale nie przypominam jej sobie.



zbyt dobrze. Może później mi się przypomni.

- Tak. Niestety będziemy musieli panią prosić o pomoc w identyfikacji.

- Co to znaczy? Będę musiała iść do kostnicy?

- Tak, niestety. Musimy mieć pewność, i to szybko. Musimy o to prosić również starszą panią. Bardzo mi przykro.

Przez chwilę zastanawiała się w milczeniu.

- Może to zabrzmiało dziwnie, ale nie pracuję tu aż tak długo, jak mówiłam. A one były chyba z tych, co nie pokazują się za często. Przynajmniej mama.

- Nie pokazują się?

- Niektórzy się nie odzywają i nie widać ich za bardzo.

Winter zrozumiał, o co jej chodzi. Samotność może sprawić, że człowiek zaczyna się ukrywać. Samotność i bieda. Winter urodził się w biednej rodzinie, która wzbogaciła się nagle, gdy wciąż był dzieckiem. W pierwszych latach życia mieszkał w jednym z tysięcy bloków na obrzeżach Göteborga. Nadal pamiętał ten świat. Kiedyś, jako chłopiec, wsiadł do tramwaju jadącego na południowy kraniec miasta i ponad pół dnia zajęło mu dojechanie na miejsce.

- Trzymają się z dala od innych - powiedział.

Karin znów wytarła nos. Niewielka grupa gapiów zebrała się przed klatką Helene Andersén, jakieś pięćdziesiąt metrów od biura. Przyglądali się, jak dwie dziewczęce drużyny grają w piłkę nożną. Winter widział przechodzących obok ludzi. Inna grupa stała przed sklepem. Przy boisku, tuż pod masztem z flagą, zaparkował radiowóz. Będzie musiał odjechać, pomyślał Winter. Od północy powiał wiatr, unosząc flagę. Powinni ją opuścić do połowy, dodał w myślach.

- Ale jej czynsz jest zapłacony. Wie pani coś więcej na ten temat?

- Nie. Tylko tyle, ile dowiedziałam się z komputera w administracji.

- Można zatem sprawdzić, że wpłacono czynsz za to

mieszkanie?

- Tak, w komputerze.
  - Zapłacono przy użyciu gotowego wydruku z poleceniem zapłaty?
  - Tak, albo przekazem pieniężnym.
  - Gdzie można je znaleźć?
  - Co?
  - Druki do przekazu.
  - Wydaje mi się, że w Poczтовым Urzędzie Usług Płatniczych w Sztokholmie. Mają je też chyba w naszym urzędzie dzielnicy, koło budynku, który nazywamy ciepłownią.
  - Czyli czynsz Helene Andersén wpłacono albo za pomocą gotowego druku, albo przekazem pieniężnym?
  - Tak.
  - Ale nie wie pani, czy tak, czy tak?
  - Nie widać tego w komputerze. Jest tam tylko informacja, że czynsz wpłacono.
  - Ale jeśli ktoś wpłaci nie za pomocą gotowego druku z poleceniem zapłaty, tylko za pomocą ręcznie wypełnionego druku, to kopia przekazu znajduje się u was?
  - Tak sądzę.
  - No i ktoś musiał napisać na przekazie jej nazwisko, żeby było wiadomo, o które mieszkanie chodzi.
  - Wystarczy numer lokalu.
  - Podajecie go na gotowych drukach z poleceniem zapłaty?
  - Tak.
  - Mają takie druki w waszym urzędzie dzielnicy?
- Karin spojrzała na zegarek.
- Tak mi się wydaje. Zajmuje się tym Lena, powinna być teraz w pracy. Mogę zadzwonić i się dowiedzieć.
- Winter przytaknął i Karin wykręciła numer. Telefon stał na biurku. Rozmawiała z kimś, a Winter czekał.
- Lena jest w urzędzie - powiedziała Karin, odkładając

słuchawkę.

- Może pani tam pojechać ze mną?

- Nie wiem, czy. - powiedziała, ocierając oczy. Pomyślała, że muszą być bardzo czerwone, ale jakie to miało teraz znaczenie, w porównaniu z tym, co się przytrafiło kobiecie niewiele starszej od niej. No i dziecko. Trzeba się spieszyć. - Tak, pojedę z panem.

Winter zadzwonił do Ringmara na komórkę. Bertil miał porozmawiać z Ester Bergman. Miał też przypilnować, żeby radiowóz odjechał sprzed bloku. Winter się rozłączył i włożył telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Grupa stojąca przed chwilą na podwórku już się rozeszła, nieco bliżej pojawiła się nowa. Winter widział ciemne twarze, prawdopodobnie z południowo-wschodniej i wschodniej Azji. Jak choćby Karin, która szła teraz obok. Nie zapytał jej o pochodzenie.

- W okolicy mieszkają osoby różnych narodowości - powiedział.

- Ponad połowa nie jest obywatelami Szwecji.

Winter spojrzął na nią, była o głowę niższa od niego.

- Ja jestem - powiedziała. - Szwedką.

- Nie pytałem.

- Korea Południowa. Zostałam adoptowana, choć niektórzy nazywają to uprowadzeniem.

Winter się nie odezwał.

- Wiem, kim byli moi prawdziwi rodzice.

- Była pani tam kiedyś?

- Jeszcze nie.

Lena Suominen czekała na nich w urzędzie. Przygotowała już kopię przekazu pieniężnego, którego użyto, wpłacając czynsz za trzypokojowe mieszkanie o powierzchni sześćdziesięciu dziewięciu przecinek dziewięć metra kwadratowego, należące do Helene Andersén.

Winter spojrzął na blankiet.

- Rozumiem, że to kopia?
- Tak. Otrzymujemy je z głównego biura, które z kolei dostaje je chyba od poczty.
- Archiwizujecie wszystkie kopie?
- Tak.
- A gdzie są oryginały?
- Oryginały blankietów?
- Tak.

- Wydaje mi się, że w Pocztownym Urzędzie Usług Płatniczych. W Sztokholmie. Tak jak gotowe druki z poleceniem zapłaty. One również tam trafiają.

Winter przyjrzał się kopii, którą miał przed sobą. Ktoś równymi cyferkami wypisał na blankiecie numer konta pocztowego: 882000-3. Kolejny numer wpisany był w tytule przelewu. Nie było ani adresu, ani nazwiska.

- Czy to numer mieszkania? - zapytał, wskazując na trzy cyfry widniejące na kopii.

- Tak. Trzysta siedemdziesiąt pięć. To właśnie to mieszkanie.

- Czyli nie trzeba pisać nazwiska?

- Nie.

- Czy ludzie często wpłacają czynsz w ten sposób?

Lena Suominen uśmiechnęła się, choć może był to tylko grymas.

- Są przecież tacy, którzy gubią gotowe druki i dzwonią do nas po numer konta pocztowego. A my go podajemy. Ale to inny numer.

- Proszę?

- Jeśli wypełnia się blankiet ręcznie, to znaczy jeśli wystawia się polecenie zapłaty, wpisuje się inny numer.

Winter spojrzął na kopię.

- Chodzi o ten numer? 882000-3?

- Nie, to normalny numer spółdzielni.

- Czyli jednak jest ważny? Jeśli ktoś płaci przekazem, może

użyć numeru, którego używa się, płacąc przy użyciu gotowych druków?

- Tak.

- Ale trzeba go znać. Na przykład przeczytać na gotowym druku - powiedział, choć właściwie mówił głównie do siebie.

- Czy ten numer jest taki sam dla wszystkich mieszkań w Göteborgu?

- Tak.

- Ile ich jest w Norra Biskopsgården? Chodzi mi o mieszkania.

Lena Suominen zaczęła się zastanawiać. Miała około pięćdziesiątki. Jej szeroka twarz wydawała się inteligentna. Mówiła fińską odmianą szwedzkiego, z miękką intonacją.

- Około tysiąca dwustu.

- I z tego co zrozumiałem, wiele osób opłaca czynsz na pocztę. Nawet jeśli płacą, używając gotowych druków?

- Tak.

- A niektórzy płacą czekiem? W banku?

- Tak - odpowiedziała Lena. - A niektórzy nie używają gotowych druków, bo nie mogą zapłacić całego czynszu od razu. To trudna sytuacja, dla nich i dla nas.

- Płacą w ratach? - zapytał Winter.

- Tak, albo przynajmniej wpłacają pierwszą ratę. Czasami na tym się kończy.

- Czy to się często zdarza?

- Coraz częściej.

Winter znów pomyślał o samotności i biedzie. Jak się czuje ktoś, kto opłacił czynsz tylko za część mieszkania? Nie wchodzi już do salonu?

- A czasem nie wiadomo, kto zapłacił, bo nie da się odczytać nazwiska, adresu czy numeru mieszkania. Ale pieniądze przychodzą.

- Dokąd trafiają te pieniądze?

- Na specjalne konto. Ja je nazywam zlewem.

Winter wczytał się w blankiet, który trzymał w ręku. Zatem oryginał można znaleźć w Poczтовым Urzędzie Usług Płatniczych w stolicy. Trzeba będzie tam zadzwonić i poprosić, żeby go znaleźli i włożyli do plastikowej torebki. To jakiś trop, na pewno.

- Domyślam się, że większość ludzi wpłaca pieniądze w najbliższym urzędzie pocztowym.

- Też mi się tak wydaje. Wiem zresztą, który to urząd. Ten przy Länsmanstorget

- powiedziała Lena.

- Ale tej informacji nie widać? To znaczy nie macie jej w systemie? - powiedział Winter, ruchem głowy wskazując na duży komputer stojący obok niej.

- Nie.

Winter kolejny raz spojrzął na kopię przekazu. Na samym dole widać było rząd cyferek - można się było z niego dowiedzieć, kiedy dokonano wpłaty. Tak jak mówiła Karin, ktoś wpłacił pieniądze pierwszego września. Wtedy Helene Andersén nie żyła już od trzynastu, czternastu dni.

Pozostałych cyfr Winter nie umiał zidentyfikować.

- Co to oznacza? - zapytał, pokazując Lenie papier.

Wzięła go od niego i spojrzała. Karin stała obok niej.

- To chyba kod urzędu pocztowego. Wydaje mi się, że te same cyfry znajdują się na kwicie, który dostaje osoba wpłacająca - odpowiedziała Lena.

Winter odczytał cyfry wpisane obok daty: 01-22370030. Nie miał pojęcia, co oznaczają, ale uznał, że trzeba to sprawdzić.

Zaczynał się domyślać, co to za kod. Może jego domysły się potwierdzą.

- Nie ma pani numeru telefonu do tego urzędu pocztowego?

- Nie.

- Czy może mi pani podać książkę telefoniczną, która leży za panią? Tę z różowymi kartkami.

Przerzucił kilka stron i znalazł numer na darmową linię

poczty. Musiał chwilę poczekać, a kiedy podano mu numer, rozłączył się. Wykręcił numer do urzędu przy Länsmanstorget. Po dwóch sygnałach w słuchawce odezwała się kobieta.

- Dzień dobry. Nazywam się Erik Winter, jestem komisarzem policji.

Prowadzimy dochodzenie i zastanawiam się, czy mogę liczyć na waszą pomoc w ustaleniu pewnych faktów. Nie, chodzi tylko o pewne. nie, myślę, że pani będzie mi mogła pomóc. Chodzi tylko o cyfrowy kod na kwi. nie chciałem pytać o konkretny kwi. Tak, chodzi mi o cyfro. Czy mogłaby mnie pani przez chwilę posłuchać? Chcę spytać o następujący kod - udało mu się podać jej cyfry i wyjaśnić, skąd je wziął.

Słuchał.

- Zatem pierwsza liczba to typ usługi? Zero jeden oznacza wpłaty i przekazy? Dziękuję. Cztery kolejne. Tak, te po zero jeden. Numer urzędu? Tego, w którym wpłaca się pieniądze?! Numer mówi, który to urząd? Tak, mam ten numer. Już go podaję, może pani sprawdzić, gdzie to jest? Czekam.

Odsunął słuchawkę o kilka centymetrów od ucha.

- Pierwsze cztery cyfry oznaczają urząd pocztowy, w którym dokonano wpłaty - powiedział do Leny i Karin. - Szukają właśnie teczki z listą kodów. Usłyszał głos w słuchawce i z powrotem przyłożył ją do ucha. - Tak? 2237, tak. Mölnlycke?! Jest pani pewna? Tak, to te cyfry. A następne? Kasa? Czyli cyfry 0030 oznaczają numer kasy, w której wpłacono pieniądze? Tak więc ta kombinacja cyfr oznacza, że czynsz za mieszkanie o tym numerze wpłacono drugiego września w urzędzie pocztowym w Mölnlycke, w określonej kasie? Zgadza się? Dziękuję.

Opuścił słuchawkę i odwrócił się do stojących obok kobiet.

- Same panie słyszały.

Winter wychodził właśnie na podwórko, kiedy w kieszeni

zawibrował mu telefon.

- Tu Winter.
- Tu Bertil. Gdzie jesteś?
- Wychodzę właśnie na podwórko. A ty?
- Przed drzwiami Helene Andersén.
- Będę za minutę.

Ringmar czekał na schodach.

- Ludzie Beiera mówią, że ktoś był w jej mieszkaniu nie tak dawno.

- Co to znaczy?
- Prawdopodobnie w ciągu ostatnich tygodni. Po jej śmierci.
- Skąd to wiedzą?

Ringmar wzruszył ramionami.

- Znają się przecież na czarach. Ale chyba wspominali coś o kurzu. Szczegóły podadzą później. Według nich wygląda na to, że ktoś tu czegoś szukał i podnosił wszystkie przedmioty, a potem odstawiał je na miejsce.

- Nie brzmi to przekonująco.
- Może to zły trop albo im się tylko wydaje. Ta kobieta, Helene Andersén mogła mieć jakiś system ustawiania rzeczy.
- Albo ktoś tam był i szukał czegoś, nie przejmując się tym, czy ktoś to zauważy.

- Ale najwidoczniej trochę się przejmował.

- Rozmawiałeś ze staruszką?

- Tak, trochę. Oczywiście jest poruszona. A tak w ogóle to pytała o ciebie.

- Powiedz, co mówiła. Wpadnę do niej potem.

- Mówiła o dziewczynce. O Jennie. Twierdzi, że tylko o niej myśli.

- Mógłbym powiedzieć to samo - stwierdził Winter. - Trudno myśleć o czymś innym.

- Media zrobią z tego telenowelę, kiedy to wyjdzie na jaw.

- W takim razie musimy dopilnować, żeby nie wyszło.

- Jak to?



- Może za kilka dni ktoś znowu przyjdzie do urzędu pocztowego w Mölnlycke zapłacić czynsz. Musimy tam wtedy być.

- Cholera.

- Jeśli teraz poinformujemy opinię publiczną, że zidentyfikowaliśmy Helene, i ogłosimy, że poszukujemy dziewczynki, stracimy okazję. Szanse są niewielkie, ale są.

- Nie wiem, co powiedzieć - odparł Ringmar.

- Wygląda to na szalony pomysł, ale w gruncie rzeczy plan jest realistyczny.

- Jest. Ale w takim razie do tego czasu mamy się ukrywać z dochodzeniem?

- Nie. Będziemy pracować jak do tej pory, z tym że bogatsi o nowe informacje.

- Nie wiem, czy to przejdzie - powiedział Ringmar. - I tak jestem zdziwiony, że nie ma tu jeszcze żadnego samochodu z telewizji.

Teraz, kiedy już zidentyfikowali Helene Andersén, przeprowadzili jeszcze raz wewnętrzne poszukiwania. Przejrzeli stare i nowe rejestry, w tym rejestr karny. Jakby się obrócili o trzysta sześćdziesiąt stopni, z tym że teraz mieli nowe dane.

Za kilka dni opublikujemy jej nazwisko i zdjęcie z czasów, kiedy jeszcze żyła. Córeczki też. Będzie razem ze swoją zmarłą mamą. Jeśli nie przyniesie to żadnych rezultatów, będzie wiadomo, że były najbardziej samotnymi osobami na świecie. Żyły, ale właściwie miały tylko imiona.

Trzeba powiadomić wszystkie władze. Winter nie przeglądał leżących w przedpokoju listów. Ale technicy nie znaleźli jak dotąd żadnego urzędowego. Może zniknęły razem z drukiem polecenia zapłaty czynszu. Tak czy inaczej, trzeba się będzie zorientować, czy dostawała jakiś zasiłek albo miała pensję. Już wkrótce będą to wiedzieć.

Miała telefon. Winter pamiętał, że stał na stoliku przy łóżku. Teraz, kiedy już wiedzieli, jak się nazywała, będą mogli

zdobyć billingi i sprawdzić połączenia wychodzące i przychodzące. Jeśli zdecydowała się na telefon, to musiała mieć z kim rozmawiać.

### 31

WINTER ZADZWONIŁ do Poczтового Urzędu Usług Płatniczych. Okazało się, że mają specjalny dział do spraw kontaktów z policją. Telefon odebrał mężczyzna. W jego głosie słyhać było niechęć. Winter wyjaśnił, o co chodzi.

- To pozamiatane - powiedział urzędnik.

- Proszę?

- Druki idą na makulaturę po dwóch tygodniach. A pan mówił chyba, że czynsz wpłacono ponad trzy tygodnie temu?

- Tak.

- W takim razie pozamiatane. Dajemy druki na maku.

- Co pan rozumie przez makulaturę?

- Mniej więcej to, że papiery przestają istnieć - odpowiedział mężczyzna.

- Dobra, a teraz przestań cwaniaczyć, bucu. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i potrzebuję odpowiedzi. Więc jeszcze raz: co to znaczy, że druki idą na makulaturę?

- Przechodzą przez niszczarkę.

- Po dwóch tygodniach?

- Czasem trwa to trochę dłużej. Zależy, ile mamy roboty.

- Jaki sens ma w takim razie wysyłanie do was oryginałów?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Sam się nad tym zastanawiałem. Właściwie to nie mamy tu miejsca.

- Więc jest szansa, że druk wysłany do was z urzędu pocztowego nie został jeszcze zniszczony?

- Nie po trzech tygodniach. No, może gdyby wpadł na sam spód albo gdyby brakowało nam pracowników. - mężczyzna zamilkł, jakby nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl. Winter wsłuchiwał się w szum wiatru krążącego między

Sztokholmem i Göteborgiem. Pierwszy większy jesienny sztorm nadciągnął właśnie z północnego zachodu. - W ostatnich tygodniach brakowało nam ludzi - powiedział urzędnik. - Niewykluczone, że jakieś papiery jeszcze się ostały. Mówił pan, że gdzie dokonano wpłaty? Wiem, że w Göteborgu, ale w którym urzędzie? Proszę podać kod urzędu i kwotę. I numer mieszkania.

Winter zrozumiał, że rozmawia z kimś, kto go w ogóle nie słucha. Powtórzył więc to, co mówił na początku. Ile szans idzie w cholerę tylko dlatego, że ludziom nie chce się słuchać?, pomyślał. Albo dlatego, że ktoś nie może powtórzyć?

- Proszę zaczekać - powiedział mężczyzna przeciągle. Winter pomyślał, że brzmi trochę jak sztokholmscy muzycy jazzowi przyjeżdżający do Göteborga na koncerty.

Grają lepiej, niż mówią.

Coś zaszeleściło w słuchawce i znów usłyszał głos.

- Może pan jeszcze trochę poczekać? Może coś tu mam.

- Co takiego?

- Jak już mówiłem, w ostatnim czasie mieliśmy trochę mało personelu. Możliwe, że coś jeszcze zostało w archiwum.

- Czekam - powiedział Winter. Więc jednak jest tam archiwum, choć nie wiadomo, czy można to tak nazwać, skoro zbiory niszczą tak szybko, jak się da. Może tym razem usprawnienia w budżetówce okażą się pomocne, pomyślał. Wyrzucono tak wielu ludzi, że ci nieliczni, którzy zostali, nie wyrabiają się z niszczeniem dokumentów. A może to po prostu pierwsza w stolicy fala zachorowań na grype.

- Mam go - powiedział głos w słuchawce.

- Znalazł się?

- Tak. Sam jestem zaskoczony.

Czyli jednak niepozamiatane, pomyślał Winter.

- A teraz proszę jednym ruchem włożyć druk do nowej koperty i umieścić w bezpiecznym miejscu. Proszę ją

zamknąć w szafce.

- Dobra.

Winter spojrzął na zegarek.

- Będzie pan tam jeszcze przez najbliższe dwie godziny?

- Tak.

- Za dwie godziny ktoś od nas przyjedzie zabrać kopertę.

Zapyta o pana - powiedział Winter, spoglądając na zapisane nazwisko. - Proszę poprosić, żeby się wylegitymował.

- Dobra.

- I dzięki za pomoc. Sorry za te przekleństwa.

Rozłączył się, zaczekał na ciągły sygnał i znów zadzwonił do Sztokholmu, tym razem do oddziału poczty zajmującego się usługami. Połączył się z konsultantem do spraw bezpieczeństwa, a on obiecał oddzwonić za pół godziny.

Winter odłożył telefon. Rozmawiając, cały czas siedział w tej samej pozycji i teraz czuł ból w łopatce. Dużo czasu spędzał, siedząc w ten sposób przy telefonie. Jego długi kręgosłup w końcu się powygina i pozwija jak kabel telefoniczny. Powinien robić jakieś ćwiczenia, tutaj, w biurze. Wieczorem, jeśli będzie miał trochę czasu, pójdzie do sauny. Sauna, a potem dom, piwo, cisza i rozmyślanie. Powinien zadzwonić do Angeli. Powinien.

Telefon zabrzączał. Dźwięk dzwonka był tak głośny, że usłyszałby go, stojąc na korytarzu w pobliżu swojego biura.

-W porządku-powiedział konsultant do spraw bezpieczeństwa. - Ta sprawa nie jest taka prosta. Mamy procedury na wypadek próby wypłaty z konta, które zablokowano, ale sygnał informujący o tym, że ktoś wpłaca, to coś nowego.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz - powiedział Winter. - Co możecie zrobić?

- Zatem chce pan jakoś kontrolować wpłaty na konto dokonywane w urzędzie pocztowym w Mölndal od końca tego tygodnia aż do drugiego dnia roboczego w październiku?

- W Mölnlycke - odparł Winter.
- Proszę? Ach tak, w Mölnlycke. W każdym razie mamy za mało czasu, żeby zainstalować na komputerach i w kasach specjalny sygnał pojawiający się na ekranie. Poza tym nie da rady tego zrobić, bo w najlepszym wypadku będziemy mieć tylko numer lokalu.
- To nie wystarczy?
- Nie możemy go wprowadzić do systemu. Poza tym jeśli oprzemy się na numerze czeku pocztowego, system będzie musiał sprawdzić jakieś pięć tysięcy ludzi.
- Rozumiem.
- Mogę jednak coś dla pana zrobić, choć to naprawdę niecodzienne rozwiązanie. Mogę wysłać wiadomość do wszystkich urzędów pocztowych, żeby spróbowali kontrolować tak oznakowane przekazy.
- Jak to możliwe?
- Jeśli mogę, wolałbym się nie wdawać w szczegóły.
- Ale może pan rozesłać wiadomość natychmiast?
- Powiedzmy, że tak. Ale, jak już mówiłem, to niecodzienna sprawa. Ostatnio robiliśmy coś takiego, kiedy próbowaliśmy powstrzymać pewną transakcję wymiany waluty. Chodzi mi o to, że jeśli taka wiadomość jest rozsyłana, to musi to być coś naprawdę ważnego. Sprawa priorytetowa.
- Taka właśnie jest.
- Rozumiem, ale tylko tyle możemy zrobić.
- W porządku.

Winter zobaczył przed sobą miliony ekranów komputerowych, na których pojawia się elektroniczny komunikat od konsultanta do spraw bezpieczeństwa. Pomyślał o urzędzie w Mölnlycke. Nigdy tam nie był, nie był nawet w samej miejscowości, leżącej dziesięć kilometrów na południe od miasta. Istniała jednak niewielka szansa, że ktoś przyjdzie tam znowu, żeby wpłacić czynsz. Ktoś, kto nie wie. Gdyby udało im się utrzymać sprawę w tajemnicy jeszcze

przez kilka dni. Gdyby mogli obserwować z ukrycia. Nie tylko dzięki systemowi alarmowemu. Mogliby też wysłać kogoś na miejsce. Jednego lub dwoje policjantów. Może w urzędzie mają już zainstalowany jakiś system bezpieczeństwa? Może kamerę? Zanotował to sobie w notatniku.

- Jest jeszcze inny sposób - powiedział konsultant do spraw bezpieczeństwa. - Może pan porozmawiać z naczelnikiem tego urzędu w Mölnnd. Mölnlycke i poprosić, żeby umieścił w kasach komunikaty dla kasjerek, żeby miały te numery i mogły zareagować.

- Tak, rozumiem. Też o tym myślałem.

- Aha. Ale tu dochodzimy do kwestii tajności informacji. To tak jak z przeszukaniem mieszkania. Poczta musi mieć pisemną prośbę od prokuratora.

- Albo od prowadzącego śledztwo - powiedział Winter. - Czyli ode mnie.

- Oczywiście. Ale mam też na myśli to, że tę wpłatę można będzie wychwycić, jeśli pracownicy urzędu będą wiedzieli, o co chodzi.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Winter. - Jestem niezmiernie wdzięczny.

- W takim razie rozsyłał wiadomość. Na wypadek gdyby coś się wydarzyło nie w Mölnndal, tylko gdzie indziej.

Winter się rozłączył i zszedł na sygnał. Lewą ręką przekartkował książkę telefoniczną i wybrał numer do działu bezpieczeństwa poczty w Göteborgu. Mężczyzna, który odebrał, przedstawił się jako Bengt Fahlander.

- Witam. Tu Erik Winter z wydziału śledczego. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa.

- Witam.

Winter opisał sytuację i zadał pytanie.

- Mamy kamerę w Lindome, w Mölnlycke nie - odpowiedział Fahlander. - W Mölnlycke od dawna nie było takiego sprzętu.

- Dlaczego?
  - Cóż, to normalne. W okręgu jest piętnaście urzędów, a systemy bezpieczeństwa montuje się w tych najbardziej narażonych na napad. Jak w Lindome. Często dochodziło tam do napadów, więc sami wyszliśmy z inicjatywą i zamontowaliśmy kamerę.
  - Ale w Mölnlycke nie.
  - Nie, ale to i tak by nie pomogło - odparł Fahlander.
  - Co?
  - Nagranie wideo. W wyjątkowych przypadkach trzymamy je przez miesiąc, ale prawie zawsze czyścimy taśmy po dwóch tygodniach. Można powiedzieć, że idą na makulaturę. Ta cholerna makulatura, pomyślał Winter. Niedługo, jak człowiek będzie chciał sięgnąć do przeszłości, nie będzie się miał na czym oprzeć. Dwa tygodnie wstecz - i na tym koniec.
  - Gdyby nawet w Mölnlycke była kamera, nagranie z tego dnia, o którym pan wspominał, zostałoby już skasowane - powiedział Fahlander. - Ale była tam kiedyś kamera. Dość dawno temu, z tego co pamiętam, tylko potem się tam uspokoiło. Można powiedzieć, że przestępczość się stamtąd wyniosła.
  - Do Lindome - odparł Winter. - Ale teraz wróciła, więc chciałbym, żeby kamera też wróciła.
  - Teraz?
  - Dziś, jeśli da radę. Tak szybko, jak się da.
  - Potrzebujemy pisemnej prośby od.
  - Wiem, czego potrzebujecie i do kogo ma to trafić. Ale chodzi o bardzo ważną sprawę. Trzeba się spieszyć.
  - Mówi pan o nadzorze miejsca publicznego - powiedział Fahlander. - Potrzebne będą tablice informujące klientów, że obiekt jest monitorowany.
- Po której ty jesteś stronie?, pomyślał Winter. Ale urzędnik miał rację.

- Ależ oczywiście - powiedział. - Sprawdzimy, czy zostały jakieś stare. Jeśli nie, zamówimy nowe.

- Czy można to zrobić w miarę dyskretnie? - zapytał Fahlander.

W sali konferencyjnej było więcej osób niż wtedy, kiedy rozpoczynali dochodzenie. Wydawało się, że to działo się wieki temu. Było ciepło i wilgotno. Ringmar otwierał właśnie okno. Winter powiesił marynarkę na obrotowym krześle i odwrócił się do grupy.

- Przez najbliższe trzy dni będziemy robić coś wyjątkowego. Chodzi o nierzucające się w oczy wizyty w domach na Norra Biskopsgården, ale to tylko część dochodzenia. O drugiej nie będziemy nic mówić.

Ringmar wstał i zabrał głos.

- Jeśli ktoś spyta, czemu działamy właśnie tam, powiemy, że przeczesujemy całe miasto, kawałek po kawałku, w poszukiwaniu niezidentyfikowanej kobiety.

- A przynajmniej większe osiedla - powiedział Halders.

- Tak - odparł Winter. - Musimy też wykorzystać ten cień szansy, jaki daje nam Mölnlycke. Teraz ten plan może się wydawać szalony, ale nie jest nierealny.

- Klucz - powiedział Bergenhem. - Ten, kto zapłacił czynsz, musi mieć jej klucz.

- Tak - przytaknął Ringmar. - Wygląda na to, że ktoś wszedł do mieszkania.

Albo ktoś tam był i czegoś szukał, albo u Helene Andersén panował dziwny porządek.

- Czyli w mieszkaniu nie było żadnych kluczy? - zapytał Bergenhem.

- Nie.

- Ile kluczy dostała ze spółdzielni?

- Dwa.

- Nie mogła jednego zostawić u przyjaciółki czy kogoś takiego?



- To możliwe - powiedział Winter. - Ale na razie wygląda na to, że była najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi.
- Czego jeszcze brakuje? - spytała Sara Helander.
- Druków z poleceniem zapłaty - odpowiedział Winter.
- I o tym mamy nic nie mówić? - zapytał Halders.
- Mamy spróbować.
- A jednocześnie, zamiast rozsyłać powiadomienia o poszukiwaniu dziewczynki, spróbujemy poszukać jej tak, żeby nikt się nie zorientował?
- Jak mówiłem, to może szalony pomysł - powiedział Winter - ale jest szansa. I jednocześnie zaczynamy od nowa, od początku, skupiając się na tych nowych zadaniach. To drugi początek śledztwa, pomyślał. To był drugi początek. Powinni zacząć od nowa, od miejsca znalezienia zwłok.
- Ale zbrodni, to znaczy morderstwa, nie popełniono w jej mieszkaniu? - zapytała Sara Helander.
- Sądząc po tym, co do tej pory zbadali ludzie Beiera, nie.
- Czy to możliwe, jeśli się weźmie pod uwagę odległość od osiedla do jeziora? - zapytał Börjesson.
- Co?
- To, że zamordowano ją w mieszkaniu, a potem przewieziono nad jezioro.
- Jeśli chodzi o czas, to możliwe, ale jak dotąd nie znaleźliśmy w mieszkaniu żadnych śladów.
- Czy nasza wizyta w mieszkaniu nie wywołała dużego zamieszania? Na tyle dużego, żeby nasz sekret się wydał? - zapytał Halders.
- Było kilkoro ciekawskich, ale to nic nadzwyczajnego, że policja odwiedza mieszkanie - odpowiedział Ringmar. - Ja w każdym razie nic nikomu nie mówiłem. - Spojrzał na Wintera, a on potrząsnął głową. - I mam nadzieję, że nasz świadek dotrzyma obietnicy i będzie milczeć.
- To co robimy z prasą? Byłoby dziwne, gdyby tego nie wyniuchali - powiedział Halders.

- Ja jeszcze nie słyszałem żadnych doniesień - odparł Ringmar.
- To dość dziwne, że jeszcze nie wiedzą - stwierdził Halders.
- Ja się zajmuję kontaktami z prasą - powiedział Winter. - Rozmawiałem już ze Sturem i Wellmanem. Czy Wellpapp będzie siedział cicho?, pomyślał Halders. Jeśli miną te trzy dni, a my nie znajdziemy mordercy i dziewczynki, albo choćby samego mordercy, albo samej dziewczynki, ogłosimy poszukiwania publicznie i wtedy zrobi się kocioł. Czy Wellpapp sobie poradzi z tym, że nie zażądał, żeby poszukiwania dziewczynki wszczęto od razu, kiedy dowiedzieliśmy się o zaginięciu? Może jest twardszy, niż myślałem.
- To cholernie dobry pomysł - powiedział, spoglądając na Wintera. - Podjąłbym taką samą decyzję. - Mówił poważnie i widział, że Winter to zauważył. Ten, kto nie podejmuje ryzyka, nic nie zyskuje. Tchorze nigdy nie będą się całować z fajnymi laskami.
- To co robimy? - zapytała Sara Helander.
- Pogadam z urzędem pocztowym w Mölnlycke - powiedział Winter. - Monitoring jest już gotowy. Może zainstalujemy dwie kamery. Niestety kable nie były wyciągnięte na zewnątrz, ale założymy je tam tak szybko i dyskretnie, jak się da. Postaramy się, żeby to wyglądało tak, jakby kamery były tam od zawsze.
- Kto będzie pilnował urzędu? - zapytał Berghem.
- Myślałem o tobie - odpowiedział Winter.
- O mnie?
- Potrzebujemy kogoś, kto wygląda tak przeciętnie, jak to możliwe - stwierdził Halders.
- No tak, nie możemy przecież wysłać kogoś, kto będzie odstraszał klientów - odparł Berghem, odwracając się w stronę Haldersa. Potem znów spojrzął na Wintera. - Kiedy

mam tam jechać?

- Teraz - odpowiedział Winter. - Porozmawiamy zaraz po zebraniu. I dostaniesz kogoś na zmianę.

- Jeszcze trochę, a takie operacje zrobią się łatwe - dodał Halders.

- Jak to? - spytała Sara Helander.

- Urzędy likwidują szybciej, niż gówniarze koszą samochody spod boiska Heden. Niedługo będzie tylko jeden wielki pieprzony urząd na samym południu miasta i jeden wielki pieprzony parking, na którym wszyscy będą musieli parkować, a wtedy jeszcze łatwiej będzie kosić samochody.

- Praktyczne rozwiązanie.

- Czyli to kwestia trzech dni - powiedziała Sara Helander. - Skąd wiemy, że ten ktoś jeszcze nie zapłacił? Albo że ma zamiar zapłacić?

- Dowiemy się dopiero, kiedy to zrobi - odpowiedział Ringmar. - Na razie nikt nie wpłacił, przynajmniej nie dziś. I, no cóż, nikt nie wie, czy będą jeszcze jakieś wpłaty.

- Czy ona sama płaciła regularnie? - zapytała Sara Helander.

- Zawsze pod koniec miesiąca - powiedział Winter. - Czasami pierwszego, jeśli akurat wypadła weekend.

- Czyli teraz.

- Tak.

- Czyli to może być ktoś, kto znał jej zwyczaje, wie, jak żyła - powiedziała Sara Helander.

W odpowiedzi Winter pokiwał głową. Pomyślał o twarzy Helene, a potem o twarzy jej córeczki. W mieszkaniu znaleźli więcej zdjęć.

- A jak idą poszukiwania w systemie? - zapytał Bergenhem. Winter spojrzął na swojego asystenta.

- Na razie nic - powiedział Möllerström. - Nie ma jej w naszych kartotekach, sprawdzamy jeszcze krajowy rejestr karny.

- Aż takiego farta nie mamy - stwierdził Halders.
- Jak to? - spytał Möllerström.
- Żeby była w rejestrze. To by oznaczało, że mamy farta, a my, wydział śledczy, nie mamy farta. Chodzi po prostu o spryt.
- Dobra, już, Fredrik - powiedział Winter. - Wiemy o tym. Ale przecież mogła coś zrobić jako nastolatka w innym mieście i w ten sposób trafić do rejestru. To by nie był fart.
- Nieletnia przestępczyni - powiedział Möllerström.
- Czemu nie - dodał Bergenhem.
- Czy grupa zwiadowcza już się w to włączyła? - zapytał Halders.
- To znaczy teraz, kiedy mamy nowe dane. Nazwisko.
- Oczywiście - odparł Ringmar.
- Zawsze się znajdzie jakiś informator, ktoś, kto coś wie - powiedział Halders. - Weźmy choćby tę strzelaninę na Vårväderstorget. Można by wyjaśnić sprawę przy pomocy waszych kapusiów. Ktoś zna kogoś, kto wie coś więcej.
- Tak, wiem - odpowiedział Ringmar.

Winter zabrał głos:

- Czekamy na listę numerów, pod które dzwoniła.
- Wtedy wszystko będzie jasne.

A może dzwoniła tylko, żeby zamówić pizzę, pomyślała Sara Helander, ale się nie odezwała.

Winter czuł, że grupa się niecierpliwi. Widać było chęć do pracy i frustrację spowodowaną wyczekiwaniem na dokumenty, listy i wyniki, które by ich poprowadziły dalej. Jeszcze jedno nazwisko i będą wiedzieć więcej. Kolejny adres. Nowy odcisk palca. Pomyślał o technikach i pochylił się nad swoimi notatkami.

- Jak idzie sprawdzanie odcisków palców z jej mieszkania? - zapytał Bergenhem.
- Mamy odciski jej córki, tak sądzimy, bo to odciski dziecka. Są też przynajmniej dwa inne odciski, należące do dwóch

różnych osób. Nie licząc oczywiście odcisków Helene.

- Przynajmniej?

- Tyle wiemy jak na razie. Jest też fragment odcisku. Ale nie skończyli jeszcze sprawdzać całego mieszkania. Została jeszcze piwnica.

- Dwie różne osoby - powtórzył Halders. - Rozumiem, że ich nie znamy?

- Nie.

- Tu też nie mamy farta - powiedziała Sara Helander.

- Co znaczy fragment odcisku? - zapytał Bergenhem.

- Według Beiera w jednym miejscu. z tego co pamiętam, na szufladzie biurka. jest kawałek odcisku. Nie wiem, jak duży i czy da się go wykorzystać do zidentyfikowania kogoś. Technicy sami jeszcze nie wiedzą. Ale jest.

- Czy to przez dziurawą rękawiczkę? - zapytała Sara Helander.

- Możliwe - odpowiedział Winter, spoglądając na nią. - Dobry pomysł. Obok odcisku znaleziono włókno. Może pochodzić z mieszkania albo skądkolwiek, ale równie dobrze ktoś mógł rozdrzeć rękawiczkę. O kant szuflady, bo tam jest ten odcisk.

## 32

WINTER ZAPARKOWAŁ przy Friskvänderstorget i ruszył pieszo na północ.

Jakiś papier unoszony wiatrem nad placem leciał na południowy wschód. Był ranek, nie padało. Mgła trochę się rozproszyła i niebo jakby się podniosło o metr. Przed jednym ze sklepów stały trzy butelki z utraconymi szyjkami. Ktoś wyrzucił kosz i wiatr roznosił papiery. Ludzie przechodzący obok Wintera użyli słowa, którego nie zrozumiał.

W całym ciele czuł napięcie. To przez agresję i skupienie się na kilku prostych myślach, które miał w głowie.

Najważniejszą rzeczą było teraz obejrzenie mieszkania i okolicy. No i zadanie paru pytań starszej pani.

Dwóch policjantów, których ledwo znał, stało przed sklepem. Składali wizyty sąsiadom. Nie mieli na sobie mundurów, ale odstawali od otoczenia jak przybysze z innego kraju. Ze mną jest tak samo, pomyślał Winter. Odstaję może nawet bardziej.

Podszedł do nich i się przywitał. Przed sklepem leżały resztki fajerwerków, żółto- czerwony papier z postrzępionymi na czarno brzegami, które strawił wybuch. Rozerwane papierowe tuby turlały się w tę i z powrotem. Jedna wturlała się Winterowi pod prawą nogę.

- To na pewno jacyś pieprzeni imigranci świętowali swój Nowy Rok - powiedział jeden z policjantów, wskazując na ziemię i nogę Wintera. Drugi się zaśmiał. - Chyba że muszą strzelać codziennie. Jak u siebie w Kurdystanie.

- Co to miało być?

- Co?

- To co przed chwilą powiedziałaś o Nowym Roku i Kurdystanie.

- Bo co?

- Co miałaś na myśli, mówiąc o imigrantach?

- Jak to, kurwa, co? To był żart. O co chodzi? - Odwrócił się do kolegi. - To

przecież był żart, no nie? - Spojrzał na Wintera. - Masz jakiś problem? Nie można sobie.

- To nie było śmieszne - powiedział Winter. - Nie mogę powierzać zadania komuś, kto chodzi po okolicy z uprzedzeniami wobec mieszkających tu ludzi. To śledztwo jest zbyt ważne.

- Ale.

- Nie chcę was tu widzieć - odparł Winter. - Zjeżdżajcie.

- Chyba cię.

- To ja decyduję, co kto tutaj robi. Rozkazuję wam wracać i

zgłosić się do komisarza Ringmara. Zleci wam coś innego. Zadzwoń do niego.

Spojrzeni po sobie. Za kogo ten dupek się uważa?

- Za kogo ty się. - zaczął jeden, ale drugi złapał go za ramię.

- Chodź, Gusse, lepiej wracajmy na komendę.

Winter ruszył dalej. Idąc, zadzwonił do Ringmara. Odebrał po drugim sygnale. Winter wyjaśnił, o co chodzi.

- Erik, tak nie można.

- Stało się. Musisz spróbować przysłać tu dwóch nowych ludzi. Potrzebujemy ich. Ringmar chyba westchnął.

- Co mam powiedzieć tym dwóm, kiedy się u mnie zjawia?

- Daj im nową robotę. Niech się zajmą samochodami.

- Tak, to chyba lepszy pomysł - powiedział Ringmar. - Jeśli któryś z właścicieli nie jest z pochodzenia cudzoziemcem. Wtedy ci kolesie będą się mieli na kim wyżyć.

- Zapytaj ich.

Winter szedł dalej, do mieszkania Helene Andersén. Słyszał głosy dzieci. W nocy się ochłodziło, zapiął skórzaną kurtkę. Odgarnął włosy z czoła i wszedł do sklepu, sto metrów od biura Karin Sohlberg.

Od razu poczuł zapach egzotycznych przypraw i ziół. Na prawo stał regał wypełniony słoikami i konserwami z południowoeuropejskim i orientalnym jedzeniem.

Nad ladą z mięsem wisiał napis: „halal”. Połowę lady zajmowały kielbasy, łopatki i baranie żołądki. W rogu leżały dwie owcze głowy. Winter od razu pomyślał o policjancie sprzed tamtego sklepu.

Stoisko z warzywami było wypełnione po brzegi paprykami w dziesięciu różnych kształtach, dużymi pomidorami w plamy, dziwnymi bulwami, sporymi pęczkami świeżej kolendry i całym naręczem innych świeżych ziół. Wybór był większy i ciekawszy niż w niejednym dużym markecie czy na targowisku w Saluhallen.

Czy Helene robiła tu zakupy? Ilu mieszkańców dzielnicy

będących rodowitymi Szwedami kupuje u Simmo?

Nie widział jeszcze spisu produktów z jej lodówki. W ciągu dnia któryś ze zwiadowców wpadnie tu, żeby zadać kilka pytań. Winter wyszedł. Mężczyzna siedzący za ladą spojrzał na niego, więc skinął mu głową.

Minął biuro Karin Sohlberg. Było zamknięte. Wzięła zwolnienie, co wydało mu się zrozumiałe. Niestety policjanci nie mogli brać zwolnienia po ciężkich przejściach. W przeciwnym razie stałoby się to normą. Zwolnienie do końca dnia nie wystarczało. Mieli jedynie Hanne. Nagle Winter zataesknął za jej głosem, czy może raczej za tym, co mówi.

Hanne Östergaard była pastorem w Skår. Göteborgska policja zatrudniała ją na pół etatu w charakterze lekarza dusz. Próbowwała rozmawiać z mężczyznami i kobietami, którzy przeżyli coś dramatycznego albo musieli patrzeć na rezultat czegoś takiego. Policjanci okazywali się równie wrażliwi jak inni i w większości wypadków ich wewnętrzne rany goiły się bardzo długo. Właściwie, jak często myślał Winter, nigdy się nie goiły.

Hanne próbuje ukoić jakoś ból naszych dusz, odrobinę pocieszyć albo być po prostu kimś, z kim można pogadać, pomyślał. Po prostu pogadać przez pół godziny, przez godzinę. Również on był jej klientem. Był tak samo wrażliwy jak inni.

Hanne połączyła urlop z przysługującą jej zgodnie z prawem przerwą na studia. Nie była w komendzie od końca wiosny. Winter rozmawiał z nią dwa razy latem, ale tylko przez telefon. Za pierwszym razem to ona zadzwoniła, za drugim on. Nie widział się jeszcze z jej zastępcą. Ci, co się widzieli, mówili, że jest w porządku. Ale Winter sądził, że niektórzy, czekając na Hanne, ukrywali swoje nieszczęścia i leczyli rany tak, jak się dało. Może kiedy wróci do pracy, poczuje, że presja jest jeszcze silniejsza. Na pewno tak będzie. Jeden bliźni na pół etatu i tysiące poranionych policjantów. I



komisarz, który w najbliższych tygodniach spodziewa się najgorszego. Kolejny raz pomyślał o dziewczynce, o Jennie Andersén. Nie umiał odegnać tych okropnych myśli. Próbował, ukrywając je pod takimi banalnymi i pustymi określeniami jak „podejrzenie gwałtu”, ale pod cienką powłoką czaił się strach.

Stał na podwórku, twarzą w stronę bloku. Mieszkanie było pod nadzorem, ale starali się nie przyciągać uwagi. Kuchenne okno było teraz ciemnym kwadratem na tle jaśniejszych cegieł. Czarne gołębie gromadziły się nad i pod oknem, jakby zaznaczając, że w mieszkaniu już zawsze będzie panować cisza. Zgromadziły się akurat koło jej okna. Dreptały, trzymając się ściany, jak szczury ze skrzydłami, pomyślał. Marzył w swojej czarnej skórzanej kurtce. Wiatr kotłujący się na podwórku podniósł mu włosy z uszu i pochwycił kilka gołębi. Oderwały się z trzepotem i wrzaskiem od ściany i zniknęły nad dachem. Winter wszedł do domu i stanął przed drzwiami mieszkania. Obrazek Jennie przedstawiający słońce i deszcz wciąż tam wisiał. Ten rysunek zdawał się przedstawiać pogodę, jaka panowała przez ostatnie sześć tygodni. Winter nie chciał o tym myśleć, ale nie mógł się powstrzymać. Śledztwo wyjaśniające, co przytrafiło się mamie dziewczynki, toczyło się w słońcu i w deszczu, pół na pół. Patrząc na statek narysowany na obrazku, pomyślał o łódce z jeziora. Ten trop nigdzie ich nie zaprowadził. Wydawało im się, że zebrali nazwiska wszystkich ludzi, którzy mieli łodzie w tamtej okolicy, ale nigdy nie można być pewnym. Czy Helene Andersén i jej córka miały dostęp do łodzi? Dlaczego dziewczynka narysowała statek, czy też łódź? Wiele takich obrazków wisiało na ścianie nad jej łóżkiem. Kiedy ludzie Beiera przeszukali mieszkanie, znaleźli dużo obrazków namalowanych dziecięcą ręką. Wypełniły sporą torbę.

Winter otworzył drzwi i stanął w przedpokoju. Ktoś tu

przyszedł po śmierci Helene. Pewnie czegoś szukał. Żeby myśleć szybciej, założył, że tym kimś był jakiś on. Czy chodziło tylko o druki z poleceniem zapłaty? Czy wiedział, gdzie ich szukać? Nie znaleźli żadnych osobistych listów. Nie było to zaskakujące. W końcu nikt się nie dopytywał o Helene Andersén, kiedy zniknęła. Nikt też się nie dopytywał o jej córeczkę. To było jeszcze smutniejsze. Jak wielka może być samotność? Jak to możliwe, że matka z dzieckiem może zniknąć i nikt nie odczuje straty? Jak to możliwe, rozmyślał Winter, krążąc po pokoju, który przepelniał niemy ból.

Wiedzieli już, że morderstwa nie dokonano tutaj, w mieszkaniu. Gdzie w takim razie? W pobliżu miejsca znalezienia zwłok? Pojechała z północno-zachodniej części miasta na wschodni kraniec, nad jeziora. Sama pokonała tę długą drogę? Czy była już martwa? Możliwe. Czy może często tam jeździła, sama lub z dzieckiem? Zaczęli sprawdzać środki komunikacji, tramwaje, autobusy, taksówki. Czy jakiś kierowca ją rozpozna? Czy jechała z dzieckiem? Jeśli robiła coś sama, gdzie było wtedy dziecko? O ile robiła coś sama.

Nie znaleźli zarejestrowanego na nią samochodu.

Winter stał w kuchni. Słyszał gruchanie gołębi za oknem. Do drzwi lodówki magnesem w kształcie żaglówki przyczepiono dziecięcy rysunek. Winter zastanawiał się, dlaczego technicy zostawili ten obrazek. Może jeszcze nie skończyli z kuchnią.

Rysunek przedstawiał samochód - jedną twarz widać było w oknie z przodu, jedną z tyłu. Samochód był biały. Na połowie nieba świeciło słońce, na drugiej padał deszcz. Winter rzucił okiem na obrazek, gdy był tu wczoraj pierwszy raz. Teraz zauważył, że człowiek siedzący z przodu jest pokazany z profilu i że ma kozią bródkę. Dobry Boże, pomyślał, czując, jak krew napływa mu do głowy.

Przyjrzał się twarzy. Z nosem i odstającą czarną brodą. Na głowie mężczyzna miał czapkę.

Osoba siedząca z tyłu miała rude włosy zaplecione w

warkocze.

Ktoś z brodą prowadzi samochód, którym jedzie dziewczynka. Pomyślał o wszystkich obrazkach, które stąd zabrali. Boże, to dziecko rysowało wszystko, co widziało i w czym brało udział. Dzieci rysują więcej niż inni. Rysują to, co przeżywają, bo nie mogą tego spisać.

Rysunki Jennie to jej pamiętnik, pomyślał. Mamy jej pamiętnik. Muszę się uspokoić, to tylko kolejna sugestia. Może to nawet nie jest trop. Ale i tak był podniecony. Ten ktoś, kto tu był, nie przyjechał po rysunki. To nie jest coś, o czym się myśli, zwłaszcza jeśli się wie, że dziecko rysuje, a przy tym chce się zataić swoją wizytę w mieszkaniu, które wyglądałoby w jakiś sposób goło bez dziecięcych rysunków.

On wiedział, że dziewczynka rysuje. Zna ją. Znał tę niewielką rodzinę. Spokojnie. Pomyśl, co Sture mówił o wielkich ambicjach. Brodacz może być kimś innym, może to przyjaciel albo taksówkarz, albo jakaś wymyślona postać. Muszę przejrzeć jej obrazki, jeden po drugim, pomyślał. Ile ich jest? Pięćset? Czy to normalne, żeby zachowywać ich aż tyle? To nie jest pytanie do mnie, ja nic nie wiem o dzieciach. Dokładnie w tym momencie przed oczami stanęła mu twarz Angeli.

Stał bez ruchu w kuchni. Może w piwnicy jest jeszcze więcej. Piwnica należąca do Helene Andersén nie była oznaczona jej nazwiskiem ani numerem mieszkania. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Po jakimś czasie trafili na właściwą. Była zamknięta na niewielką kłódkę. W mieszkaniu nie znaleźli kluczy, a ten ktoś, kto tam był, albo nie wiedział o istnieniu piwnicy, albo nie odważył się tam zejść. W środku znaleźli kilka pudeł z ubraniami, parę dziecięcych nart i krzesło.

sama kukułka na nią kuka. Wczoraj robiła to przynajmniej przez kilka godzin i dzisiaj też. Kuku, kuku, kuku. Głos dochodził z daleka, jakby zza drzew.

Włosy i ubranie miała mokre. Zamiast prześcieradła dali jej sukienkę, ona też była już mokra. Czasami robiło jej się zimno i wtedy zakładała sukienkę na spodnie i bluzkę, a potem znów robiło się ciepło i wtedy ją zdejmowała. Panowie przychodzili i patrzyli na nią, kiedy wydawało im się, że śpi, ale nie spała, chociaż to było prawie jak sen. Było jej niedobrze i na całym ciele miała gęsią skórkę, taką jaką się ma, kiedy się wyjdzie z wody i wiatr zawieje, zanim się człowiek zdąży owinąć ręcznikiem.

Ten sam pan co zwykle przychodził do niej i przynosił tabletki. Chciał, żeby je połykała, ale nie mogła. Nie umiała połykać takich tabletek.

Pan krzyknął do drugiego:

- Nie połyka!
- Powiedz, że musi.
- To nic nie daje.
- Musisz je rozetrzeć na proszek.
- Co?
- Rozetrzyj je na proszek, żeby łatwiej jej było połknąć. Albo wsyp proszek do szklanki z ciepłą wodą i cukrem.
- Wtedy połknie?
- Musisz spróbować.

Pan się pochylił i przyłożył jej rękę do czoła.

- Nie jest już taka rozpalona.
- Może w takim razie nie są już potrzebne.
- Co?
- Tabletki, kurwa.
- Myślę, że są.
- To zrób, jak mówiłem.

Kiedy przyniósł jej szklankę z niedobrym picciem, spróbowała je połknąć. Zdrzemnęła się i usłyszała dźwięk przypo-

minający grzmot albo warkot. Szybko ucichł. Nasłuchiwała kukułki, ale umilkła, kiedy rozległ się ten hałas. Czekwała na kukułkę. Była tam chyba od zawsze.

Kukułka pewnie myśli, że już mnie tu nie ma. Powinnam już być w domu, w moim nowym pokoju, z napisem „Helene” na drzwiach. Nazywam się Helene. Panowie tak na mnie nie mówią, więc sama muszę tak do siebie mówić. Wyszeptała i poczuła ból w gardle, ale i tak wyszeptała jeszcze raz: „Helene”, a potem przed oczami zrobiło jej się jasno i czerwono. Wtedy wydało jej się, że znów usłyszała kukułkę.

## Część II

W SŁUCHIWAŁ SIĘ W ODGŁOSY LASU, ale nie były już takie jak wcześniej. Nic nie przypominało o dawnym spokoju. Teraz ledwo mógł usłyszeć szum wiatru.

Wyłoniła się z przeszłości. To było jak pozdrowienie z piekła. Próbował się bronić, kiedy zadzwoniła pierwszy raz. Wybrała pani zły numer. Musi pani zadzwonić gdzie indziej.

Ten głos. Jak ten sprzed lat, ten, który od dawna nie powinien już istnieć. Którego nie powinno już być słyhać.

Zrobił wszystko, co mógł, by zapomnieć. A inni, którzy mogli mówić, odeszli.

Potem, wciąż słysząc jej głos, spojrzął na swoje ręce. To tymi rękami ją. ją. zacisnął powieki, a te przekłete dni stanęły mu przed oczami. Dom i wiatr od morza, wiejący wprost do tej cholernej chałupy, i mężczyzna, który. który. Zrobił to, co musiał. Zaplanował to najpierw, ale sądził, że może nie będzie to potrzebne. Potem jednak zrozumiał, że musi. Zrobiły to jego ręce.

Jechał między drzewami. Nie dochodziło tam żadne światło. Padał deszcz, zamknięto akurat przestrzeń powietrzną dla samolotów. Pojechał po nie na przystanek autobusowy. Nie był to ten najbliższy przystanek, ale ona rozumiała, dlaczego tak musi być. Może nawet sama to zaproponowała.

Wtedy się bał. Kiedy zadzwoniła drugi raz, nie mógł się

oprzeć. Odbierał je już drugi raz. Przyjeżdż sama, mówił jej. Nie zgodziła się.

Odpowiedział: nie, nie, nie. Kto tak powiedział?, zapytał. Spojrzała na niego, a w oczach miała szaleństwo, które on sam dobrze znał. Wtedy zamarł. Przeraził się tego, co się miało stać. Spojrzał na dach i pomyślał, pomyślał, że jest jakieś wyjście, że cały czas było. Jest szansa. Powstrzymał go strach.

Nad nimi rozległ się wrzask. Była sama. Już drugi raz przyjechała sama. Nie wiedział, czy wie o wszystkim. Przeszli zagajnikiem do drugiej poręby. Między drzewami biegały zwierzęta. Odwróciła się do niego. Nie chciał jej patrzeć w oczy. Usłyszał wołanie gdzieś z daleka, z bardzo daleka. Nagle pożałował, że nie ma z nimi dziecka. Następnym razem powinna je ze sobą zabrać.

Pot zalewał mu oczy i oślepił go. Na drodze nie było słychać samochodów. Nigdy nie robiło się naprawdę ciemno. Mruganiem próbował się pozbyć kropli potu z oczu. Jej ręce. Kiedy się odwrócił, zobaczył białą łódkę unoszącą się bezgłośnie na tafli wody. Jakby na niego czekała. Miał wrażenie, że ona spogląda na łódkę, z głową przekreśloną w bok. Spowita nocną mgłą łódź się nie ruszała. W łodzi nie widział nikogo. Spojrzał w dół, na ziemię. Kiedy odwrócił się ostatni raz, tafla wody była pusta i czarna.

## 34

Z DOMU WIDAĆ BYŁO TORFOWISKO SVARTE. Kiedy się patrzyło z zewnątrz, nic nie wskazywało na to, że w jednym z mieszkań mieści się prywatne przedszkole, trzy pokoje z kuchnią.

Wygięta linia domów ciągnęła się wzdłuż Flygvädersgatan. Przyroda otaczająca jezioro dochodziła aż tutaj, na północ od Sjumilastigen. Domy tworzyły mur okalający Norra

Biskopsgården od zachodu. Cisza była wręcz wyczuwalna, była jak jesienna pieśń dochodząca z pól.

Winter pomyślał, że architektura jest jak zamrożona muzyka, zastygłe akordy, które nadają ścianom surowy urok, a jednocześnie zamykają w sobie wszystko. Przyroda wciąż tam była, ale nie tworzyła całości z domami.

Karin Sohlberg powiedziała mu, jak iść, ale nie chciała mu towarzyszyć. Wszedł do klatki, na parter, i zadzwonił do drzwi po lewej stronie. Wisiało na nich mnóstwo dziecięcych rysunków, ułożonych wokół napisu „Osada w Gammelbyn”. Drzwi otworzył mężczyzna. Mógł mieć siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat. Ubrany był w brązową koszulę khaki i szerokie, wygodne spodnie trzymające się na szerokich szelkach. Miał siwe wąsy i gęste włosy. Winter pomyślał, że wygląda jak Święty Mikołaj, który zgolił brodę i zamieszkał wśród ludzi na dobre. Staruszek trzymał za rękę małego chłopca, który ssąc kciuk, szeroko otwartymi oczami przyglądał się dużemu, jasnowłosemu policjantowi w skórzanej kurtce.

- Dzień dobry - powiedział Winter i pochylił się odrobinę w stronę chłopca. Chłopiec zaczął płakać.

- Daj spokój, Timmy - powiedział siwy mężczyzna. Chłopiec ucichł i przycisnął głowę do nogi mężczyzny, tak że jego twarz zniknęła w nogawce. Na głowie miał żółtą czapkę z pomponem.

- No tak, dzień dobry - powtórzył Winter, wyciągając rękę. Przedstawił się i wyjaśnił, o co mu chodzi. Poszukując zaginionej osoby. Dwóch osób, dodał w myślach, dziewczynki i mordercy.

- Ernst Lundgren - przedstawił się mężczyzna z lekkim ukłonem.

Był wysoki. W młodości musiał mieć prawie dwa metry, pomyślał Winter.

- Czy możemy chwilę porozmawiać? - zapytał Winter.



Ernst Lundgren odwrócił się. Winter słyszał głosy dzieci i dorosłych, a teraz zobaczył sporo starszych osób, które pomagały maluchom się ubrać. Na podłodze porozrzucane były czapki i kurtki.

- Właśnie wychodzimy, jak pan widzi - powiedział Ernst Lundgren. - Za jakieś dziesięć minut powinno tu być spokojnie. Jeśli może pan tyle poczekać.

- Jasne - odparł Winter. Czy powinien zaproponować pomoc? Nie wiedział, jak się ubiera dzieci, ale przecież nie może być trudno założyć kozaki na. w tym momencie zobaczył kobietę do złudzenia przypominającą Ernsta Lundgrena. Usiłowała wcisnąć miękki kalosz na małą stopę. Wyglądało to na bardzo trudne zadanie. W końcu dała za wygraną i pozwoliła dziecku wyjść w jednym kaloszu. Na schodach podjęła kolejną próbę. Winter odwrócił się, żeby zobaczyć, czy jej się udało.

Mężczyzna popatrzył na Wintera.

- To zajmuje trochę czasu - powiedział.

- Widzę.

- Ma pan dzieci?

- Nie - odpowiedział Winter, wymijając trzech wysokich na metr chłopców ustawionych w rzędzie do wyjścia.

- Nie mogliśmy beczynnie patrzeć, jak im ciężko - powiedział Ernst Lundgren.

- Mówię o młodych matkach.

Winter pokiwał głową. Siedzieli w kuchni. Przez okno widział, jak gromadka przechodzi przez ulicę i znika między drzewami. Pewnie z dziesięcioro dzieci i czworo dorosłych.

- Mieszka tu wiele samotnych mam - powiedział Lundgren.

- Nie mają pracy, nikogo, kto zająłby się dzieckiem, niewielu znajomych. Wiele z nich zamyka się w swojej samotności.

Winter znów przytaknął.

- To niebezpieczne - powiedział kierownik przedszkola. - Nikt nie zniesie takiego życia na dłuższą metę.

- Od jak dawna prowadzicie to przedszkole? - zapytał Winter.
- Około roku. Zobaczymy, jak długo nam się uda je utrzymać. W okolicy nie ma drugiego takiego, jeśli przez przedszkole rozumiemy taką właśnie instytucję.
- Jaką?
- To inicjatywa grupy starszych ludzi, którzy chcą pomóc młodym, zblakany
- ludziom - powiedział Ernst Lundgren, ruchem głowy wskazując na ekspres do kawy. - Napije się pan?
- Winter przyjął propozycję. Ernst Lundgren przygotował kawę dla nich obu i usiadł przy stole.
- Część z tych biednych kobiet nie wie, do kogo się zwrócić. Potrzebują kogoś, kto by je. nie mam na to lepszego słowa, niż odciążyć. My właśnie próbujemy je odciążyć w sprawach codziennych.
- Aha.
- To znaczy, że młoda mama może zostawić u nas dziecko na parę godzin i iść do fryzjera albo skoczyć na parę godzin do miasta i pozalać swoje sprawy, albo po prostu posiedzieć sobie w domu i zrelaksować się.
- Tak, chyba rozumiem.
- Żeby mieć w tygodniu chwilę dla siebie - dodał Ernst Lundgren. - Wyobraża pan sobie, jak to jest nie mieć ani chwili dla siebie?
- Nie, ja jestem w dokładnie odwrotnej sytuacji - odparł Winter.
- Proszę?
- W przeciwnej sytuacji. Zbyt często jestem sam.
- Aha. Ale to też jest problem tych młodych kobiet, wie pan. Nie spotykają się z innymi dorosłymi - powiedział Ernst Lundgren, zakasując jeden rękaw koszuli. Winter zobaczył, że włosy na jego ręku rosną jak biały mech, sięgając aż do połowy palców. - Niektóre mają zresztą więcej niż jedno

dziecko.

- Dużo ich chce tu przychodzić?

- Całkiem sporo, ale nie możemy przyjąć więcej. Do tego potrzebowałibyśmy większego mieszkania i więcej ludzi, a i tak żyjemy na cudzej łasce. Gmina traktuje nas jak piratów. Tak ja to widzę.

- Odwalacie kawał dobrej roboty.

- Można przecież coś zrobić przed śmiercią. To zabawne. To najzabawniejsza rzecz, jaką robiłem od dawna.

- Czy w okolicy są inne takie miejsca?

- Nie. Słyszałem tylko, że kilka starszych osób z Gårdsten albo z Rannebergen

zastanawia się nad czymś takim.

Winter napił się kawy. Wciąż była ciepła.

- Mówi się mnóstwo niepotrzebnych głupot o życiu na obrzeżach i przedmieściach, ale jedno jest prawdą - powiedział Ernst Lundgren. - W takich miejscach jest mnóstwo samotności. Ci mali i samotni spychani są na margines. To dziwne. Są tu rodziny imigranckie, które mimo wszystko tworzą wspólnoty, choć z tym też różnie bywa. Ale jednak. A wśród nich żyją młode szwedzkie mamy z małymi dziećmi. Właściwie nie ma tu samotnych ojców, tylko młode kobiety z dziećmi. To dziwne połączenie.

- Rzeczywiście.

- Mój Boże, ależ się rozgadałem. Tak to chyba jest, kiedy władza przychodzi z wizytą.

- Nie bardzo lubię, jak się mnie tak nazywa. - Winter się uśmiechnął.

- Ależ jest pan przedstawicielem władzy - odparł Ernst Lundgren. - Nie ma pan uniformu, ale władzę pan ma.

Winter nie odpowiedział. Mężczyzna siedzący naprzeciwko spojrzał w okno. Winter zrobił to samo. Zobaczyli dzieci i emerytów na krawędzi lasu - wyglądali jak kolorowe punkty na arkuszu szarego papieru.

- A wiele z nich trzyma się z dala od innych - mówił dalej Lundgren, wciąż patrząc na gromadkę w oddali. - Może dlatego nie widziałem tej kobiety, o którą pan pyta. Helene, mówi pan?
- Tak. Helene Andersén. Dziewczynka nazywa się Jennie.
- Nie kojarzę. Ale mogę oczywiście spytać naszych pracowników, czy jak ich nazwać.
- Będę wdzięczny.
- Mogę popytać wśród znajomych z okolicy. Trochę ich tutaj mam.
- Z pewnością.
- Byłoby dziwne, gdyby nikt ich tutaj nie znał. Może dzieci coś wiedzą. Może pan opisać tę dziewczynkę?
- To możliwe - powiedział Ringmar, spoglądając na okazały stos dziecięcych rysunków, ułożonych w biurze Wintera.
- Pamiętnik - zasugerował Winter. - To jak pamiętnik.
- W takim wypadku mielibyśmy farta.
- Czasami żeby mieć farta, wystarczy dostrzec okazję - odparł Winter. Zabrzmiało to jak kwestia wujka Dobra Rada, pomyślał.
- A oto i okazja - zauważył Ringmar, podnosząc obrazek przedstawiający samotne drzewo na polu. Rysunek był podzielony. Deszcz - słońce. - Mamy tu i słońce, i deszcz.
- Tak jest na wielu z tych, które do tej pory obejrzałem.
- Czy to może coś znaczyć?
- Nie wiem.
- Wygląda to na przypadek dla psychologa dziecięcego.
- Też o tym myślałem.
- No i jeszcze te różne sceny.
- I figury.
- Można się ich przestraszyć. Przypominam sobie, co sam rysowałem jako dziecko. Co to może oznaczać?
- Dzieci chyba rysują dużo, nie? A co rysują? To co widzą.

Mamy tutaj to, co ona widziała.

- Deszcz, słońce i drzewo - powiedział Ringmar. - Samochód i łódź. Dokąd nas to zaprowadzi?

- Tak czy inaczej, możemy to przejrzeć. Na górze, u Beiera, nie skończyli jeszcze sprawdzać wszystkich obrazków.

- A co na to Beier?

- Że jest zestresowany.

- Na tych swoich pięknych nowych pokojach?

- Robią właśnie jakieś próby z bronią w wodzie.

- Aha. Karabin się zgadza?

Mieli łuski ze strzelaniny na Vårväderstorget, a do tego jeden podejrzany karabin. Beier zdobył podobną amunicję i wystrzelili ją w zbiorniku z wodą, żeby porównać kule z łuskami. Tu, w Göteborgu, mieli mikroskop do takich analiz. Po tym, jak zamordowano premiera, Krajowe Laboratorium Technik Kryminalistycznych w Linköpingu powinno mieć kule i łuski z wszelkich rodzajów broni, co do której podejrzewano, że za jej pomocą dokonano przestępstwa. Jeśli podejrzaną broń powiązano by z gangami motocyklowymi, laboratoria kryminalistyczne w Oslo, Helsinkach i w Kopenhadze również powinny mieć materiał do porównania. Dlatego próby prowadzone tu, w Göteborgu, są dla niego tak ciekawe, a jednocześnie tak stresujące, pomyślał Winter.

- O czym myślisz? - zapytał Ringmar.

- W tej chwili? O kulach w wodzie i o motorze forsującym zaporę drogową gdzieś w Skandynawii.

- Ja myślałem o dziewczynce - powiedział Ringmar. - I o jej mamie.

- Nadal czekam na sprawozdania z pomocy społecznej i ze szpitali.

- Wygląda na to, że nie miała krewnych ani znajomych.

- Miała. Wkrótce ich znajdziemy. Nie zajmie nam to dużo czasu.

Chwycił kurtkę wiszącą na oparciu krzesła i założył ją.

- Dokąd idziesz? - zapytał Ringmar.
- Pomyślałem, że wypada się wreszcie zgodzić na spotkanie z dziennikarzem. Nie sądzisz?
- Będziesz umiał zachować kamienną twarz?
- Po co miałbym to robić?
- Tak się tylko mówi. Nie łap mnie za słowa.
- Jakie słowa?
- I obetnij włosy przed spotkaniem z prasą. Birgersson mruzczał coś wczoraj o grzywie na Beatlesa.
- On wciąż żyje w starych, dobrych czasach - stwierdził Winter i ruszył w stronę wind.

Hans Bulow czekał w pubie w centrum. Na dworze już się ściemniało. Na stole paliła się świeczka. Za oknem ludzie przechodzili szybko, jakby się spieszyli do domu albo na jakieś spotkanie.

- Mogę cię zaprosić na piwo, teraz, kiedy nie jesteś na służbie? - zapytał Bulow.
- Wystarczy perrier.
- Stajesz się straight edge'em. Coraz bardziej.
- Oni piją perriera?
- Wodę. Zadnego alkoholu.
- Straight edge?
- Tak.
- Brzmi nieźle - powiedział Winter, zapalając cygaro. - Fajna nazwa.
- Oni nie palą.

Winter spojrzął na swoje cygaro.

- W takim razie równie dobrze mogę wypić małe piwo. Beczkowe, jeśli jest.

Bulow poszedł do baru. Po chwili wrócił z dwiema wysokimi szklankami. Skinął głową komuś znajomemu i usiadł.

- To twój kolega po fachu? - zapytał.
- Kto?

- Na drugiej, za mną. Ten, z którym się przywitałem.  
Winter spojrział nad ramieniem dziennikarza i zobaczył krótko ostrzyżoną głowę Haldersa. Halders się nie rozglądał. Winter nie widział, czy jest z kimś.

- Znasz Haldersa?

- Żartujesz? Jako dziennikarz, dla którego komenda jest domem, muszę znać siły  
dobra.

- Zaliczasz do nich Haldersa?

- On ma najlepszą reputację ze wszystkich.

- U kogo?

- U prasy oczywiście. On się nie certoli. Jeśli nie ma nic do powiedzenia, to się nie odzywa.

Winter wziął łyk piwa.

- Co się dzieje? - zapytał Bulow.

- Nadal próbujemy zidentyfikować tę zamordowaną kobietę. I prawdopodobnie poszukujemy też dziecka, ale nie jesteśmy pewni. Przeraza mnie to.

- A co, jeśli powiem, że już ją macie?

- Możesz mówić, co chcesz. Ale nie rozumiem, o co ci chodzi. Oczywiście, że ją  
mamy.

- Chodzi mi o to, że macie ją zidentyfikowaną. Wiecie już, kto to, ale nie chcecie tego ujawniać.

- Mów dalej.

- Dlaczego? - zapytał Bulow z powagą.

Winter się nie odzywał. Barman włączył cichą muzykę. Brzmiała jak rock.

- Dlaczego?

- Spotkałem się z tobą, bo chciałem wyjaśnić kilka spraw - powiedział Winter. - Ale na niektóre pytania po prostu nie mogę odpowiedzieć.

- Ze względu na sposób prowadzenia śledztwa?

- Tak.

- I tajemnicę śledztwa?

Winter przytaknął. Halders cały czas siedział plecami do niego. Może to jego sobowtór, pomyślał Winter.

- Artykuł dwieście czterdziesty pierwszy kodeksu karnego - powiedział Bulow.

- Jesteś też prawnikiem?

- Wystarczy być dziennikarzem sądowym.

- Aha.

- Zatem co możesz powiedzieć?

### 35

ŚCIEMNIŁO SIĘ. Winter był już z powrotem w swoim biurze. Bulow zgodził się poczekać z opublikowaniem pewnych informacji. Winter sądził, że dochowa tajemnicy. Nie publikuj i bądź przeklęty, powiedział. Winterowi wydawało się, że zrozumiał, co Bulow miał na myśli. Jesteś mi winien przysługę, dodał na pożegnanie. Właśnie ci ją wyświadczyłem, odparł Winter.

Otworzył okno. Słyszał szelest suchych liści na drzewach. Już niedługo widok na północ stanie się wyraźniejszy, obejmie rzekę i nieme domy po drugiej stronie. Zbudowano je w zeszłym roku, kiedy siedział w biurze, czytając o występkach i zbrodniach. Sądził, że konstrukcja budynków nie jest wystarczająco elastyczna. Domy wyglądały, jakby miały się za chwilę rozpaść. Były skąpane w słońcu, a że między nimi a jego oknem nie było drzew z liśćmi, budynki świeciły mu w oczy, jak fatamorgana.

Muzyka z odtwarzacza zagłuszała inne dźwięki dobiegające z pokoju i z budynku. Michael Brecker wygrywał właśnie *Naked Soul* z albumu *Tales from the Hudson*. Dźwięki saksofonu jakby zastygły w obnażonej duszy. Tak nazywał się ten utwór, *Naked Soul*. Winter pomyślał o twarzy i ciele Helene. Jej dusza opuściła ciało. Właściwie nadal tak samo



myślał o jej imieniu. Wiedział. Jak mu to powiedziała? Jak mu powiedziała, jak ma na imię?

Wziął do ręki rysunek leżący na samym wierzchu stosu, który ułożył na biurku. Nie było na nim nieba. Była za to postać, która mogła być dzieckiem z uniesionymi rękami. Ziemi też nie narysowano, postać wisiała w powietrzu.

Spojrzał na następny rysunek. W lewym rogu świeciło słońce, z prawej strony padało. W tej samej chwili usłyszał deszcz uderzający o szybę i poczuł podmuch wiatru, który uniósł obrazki. Wstał i podszedł do okna, żeby je zamknąć. Wrócił i z powrotem usiadł przy biurku. Przyglądał się rysunkowi. Na środku dziewczynka narysowała samochód jadący między drzewami. W oknach nie było żadnych twarzy, bo nie miał okien. Nie był pokolorowany, był biały jak papier. Drzewa były zielone, a droga brązowa. Winter podniósł następny rysunek, również przedstawiający samochód. Auto jechało między domami, które wyglądały jak wysokie klocki z oknami w kształcie nieregularnych czworoboków. Droga była czarna. Winter przejrzał stos i wyciągnął kolejny rysunek z samochodem. Jechał brązową drogą. Pięć obrazków dalej droga znów była czarna. Samochody były niepokolorowane, miały barwę papieru. Na jednym z rysunków zauważył osobę z rudymi włosami, namalowaną w oknie samochodu. W żadnym z aut nie było kierowcy.

Szukał na rysunkach liter i cyfr. Napisała swoje imię: jeni. Może umiała rozpoznać i zapisać jeszcze jakąś literę lub cyfrę? Czy niektóre pięciolatki nie potrafią już normalnie czytać i pisać?

Zacisnął powieki. Muzyka stapiała się z jego myślami i skupieniem.

Potem otworzył oczy i odłożył na prawo rysunki z samochodami i innymi pojazdami. Na niektórych pojawiało się coś, co przypominało tramwaje. Wagony były długie i miały okna. Wyglądały jak obrócone wysokie bloki, które

widział niedawno. Na jednym obrazku widać było tramwaj od przodu. Nad dużą szybą dziewczynka napisała cyfrę: 2. Odłożył kartkę i w stosie obrazków zaczął szukać tramwajów. Przełożył dziesięć kartek i znalazł jeden - nie było na nim żadnej cyfry. Szukał dalej i znalazł kolejny, tym razem cyfra 2 wypisana była na boku wagonu. W jednym z okien widać było rudą głowę: oczy, nos i usta.

Winter spojrzął na zegarek. Sięgnął po książkę telefoniczną i wyszukał numer informacji komunikacji miejskiej. Jeszcze pracowali. Wybrał numer i czekał. Odebrała kobieta. Spytał ją o trasę dwójki. Kiedy dostał odpowiedź, odłożył słuchawkę.

Zgadza się. Tramwaj przejeżdża obok Norra Biskopsgården. Najwidoczniej musiały jeździć tą linią. Może codziennie. Albo piątką. Wypytał też o inne jeżdżące tamtędy linie. Może znajdzie na obrazkach i piątkę. Poczul, że zaczął się pocić. Strużka potu ściekła mu od nasady włosów do brwi. Wstał, poszedł do toalety i nie zapalając nawet światła, przemył twarz zimną wodą. Spojrzął w lustro - twarz oświetlona światłem z korytarza była tylko ciemnym owalem. Niedbale przetarł oczy ręcznikiem i wrócił do biura. Rysunki leżały na stole, miał zamiar dalej doszukiwać się w nich życia.

Zadzwoił telefon. Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Tu Winter.
- Tu Beier. Tak myślałem, że jeszcze jesteś w pracy.
- A ty gdzie jesteś?
- Też tutaj oczywiście. Mam coś, na co pewnie chętnie rzucisz okiem.
- Co to takiego?
- Nie wiem. Skrawek papieru, który ma chyba paręset lat. No, w każdym razie na pewno jest bardzo stary.
- Skrawek papieru?
- Tak. Coś jest na nim napisane. Zabraliśmy wszystko, co było w jej piwnicy. Między innymi dwa kartony z ubraniami.

W jednym z nich było trochę dziecięcych ubrań. W jednej z sukienek, w kieszeni, był ten skrawek.

- I?

- To stara sukienka i stary skrawek.

- Już teraz możecie to stwierdzić?

- Tak, ale nie jak stary. Jeszcze nie zaczęliśmy nad nim pracować. Nie ustaliliśmy j aszcze, j ak bardzo j est stary.

- Mówisz jak archeolog, który ma same wątpliwości.

- Tak to jest w tej robocie. Trudno określić czas. Ale jak robimy? Chcesz wpaść na górę i go zobaczyć? Ja niedługo będę się zmywał.

Winter spojrział na rysunki, które zaczął układać w osobne stosy. Czuł się wybity z rytmu.

- Powinienem?

- Jak chcesz. Wszystkie te rzeczy jeszcze tu leżą. Ale. jest w tym coś dziwnego. Czuję, że coś w tym jest.

- Intuicja.

- Natchnienie.

- W takim razie lepiej przyjdę - powiedział Winter.

Odłożył słuchawkę i zanim wyszedł z biura, wyłączył muzykę. Miał wrażenie, że wraz z nią umilkły, przynajmniej na razie, jego myśli związane z rysunkami.

- Co ty na to? - zapytał Beier.

- Nie wiem - odparł Winter.

Wpatrywał się w sukienkę i skrawek papieru leżące na oświetlonym stole do badań. To mogła być sukienka Jennie, ale była jakaś staromodna, jakby z innej epoki. Winter nie był w stanie stwierdzić z jakiej, ale to chyba łatwo będzie ustalić.

Skrawek, około dziesięciu na dziesięć centymetrów, był pomięty, jakby go składano setki razy. Pożółkł i wyglądał na kruchy. Jak zwój z Qumran, pomyślał Winter.

- Faktycznie wygląda na stary. Masz kopię? - zapytał.

Beier podał mu kartkę.

- Jeszcze da się odczytać.
  - To atrament?
  - Wydaje nam się, że tusz. Ale na razie nie zadawaj trudnych pytań. Sprawdzimy to i całą resztę. Jeśli to ma sens.
  - Ma - powiedział Winter. - Ludzie czasem przechowują stare rzeczy. Nie ma w tym przecież nic dziwnego.
  - Nie, nie ma.
  - A potem znikają albo ktoś ich morduje i nagle my się pochylamy nad należącymi do nich rzeczami.
  - A wtedy może nas zainteresować dziecięca sukienka albo skrawek papieru z tajemniczym napisem - powiedział Beier. Jak wołanie z przeszłości, pomyślał Winter, trzymając kopię w rękę. Ktoś napisał na niej cyfry: „20/5”. Linijkę niżej narysował kreskę, a pod nią napisał: „16.30”. Trzecia linijka zaczynała się od: „4 - 23?”. Pod nią była kilkucentymetrowa przerwa, a pod spodem litery: „L. v - H, T”. Ostatnią wzięto w kółko. W prawym górnym rogu widać było linię, która przypominała Winterowi fragment mapy. Obok tej długiej linii, ciągnącej się w lewo, stał krzyżyk czy też dwie krótkie kreski.
  - To mogła być mapa - powiedział.
  - Ta pozioma linia zaczyna się tuż obok T - zauważył Beier.
  - To może być droga, ulica albo szosa. Albo po prostu kreska
  - stwierdził Winter.
  - To może być cokolwiek.
- Winter spojrział na cyfry i litery.
- Któreś z nich oznaczają pewnie godzinę. „16.30”. To jest godzina.
  - A „20/5” to może być data - powiedział Beier, patrząc na skrawek. - Dwudziesty maja.
  - Dwudziesty maja, wpół do piątej. Co się wtedy działo, Göran? Potrafisz sobie przypomnieć, co wtedy robiłeś? - zapytał Winter bez uśmiechu. - Taa. trzeba będzie się nad

tym zastanowić. Da radę stwierdzić, jak są stare? Sukienka i ta karteczka?

- To zależy. Im starszy jest papier, tym łatwiej stwierdzić, ile ma lat. Ale ten tutaj nie ma stu - powiedział Beier, patrząc na skrawek. - Trzeba to określić z większą dokładnością. Zapytamy producentów papieru o gatunek. I sprawdzimy jego jakość.

- To wszystko?

- W tym wypadku nie możemy zastosować metod chemicznych, jeśli o to pytasz. Z odciskami palców - może damy radę. Z określeniem, jak jest stary - nie. Może powinni go przejść ci z Krajowego Laboratorium Technik Kryminalistycznych. Jeśli potrafią badać coś, co ma dziesięć, dwadzieścia lub trzydzieści lat. Albo może są inni eksperci.

- Rozumiem.

- O ile to jest warte zachodu.

- No.

- Z ubraniami jest trochę inaczej. Mamy na przykład metkę, jak tu, co bardzo upraszcza sprawę. Nie kojarzę tej akurat firmy, ale nie ma większego znaczenia, czy jeszcze działa, czy już nie. Poza tym łatwiej określić, ile lat mają tkaniny. Z tym sobie poradzimy.

- Może skrawek ma tyle samo lat - powiedział Winter.

- Może, ale tego nie wiemy.

- A odciski palców?

- Jakies pewnie są, ale to wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć.

Winter popatrzył na ubranka skąpane w jaskrawym świetle i zrobiło mu się smutno. To naturalne. Pomyślał o tym, co powiedział o archeologach. Jaki smutek musieli odczuwać, stojąc nad otwartym grobem i wyciągając przedmioty należące do zmarłych.

Leżące przed nim ubrania mogły należeć do dziewczynki, Jennie. Wydawało mu się to jednak mało prawdopodobne.

Był przekonany, że to ubrania Helene, ale nie powiedział o tym Beierowi. Nosiła je jakieś dwadzieścia pięć lat temu, będąc mniej więcej w tym wieku, w jakim teraz była jej córka. Ubrania pochodzą z tego okresu, pomyślał. Wczesne lata siedemdziesiąte. Kiedy ja byłem nastolatkiem. Nosiła wtedy tę sukienkę i może przy jakiejś okazji włożyła do niej ten skrawek. Albo też, w zupełnie innym momencie, zrobił to ktoś inny. Może jej córeczka. Pytanie tylko dlaczego. I czy to ma znaczenie dla mnie. Tak mi się wydaje. Tak, tak właśnie mi się wydaje.

- Dla śledztwa byłoby dobrze, gdyby udało ci się ustalić, ile papier ma lat - powiedział.
- Z jaką dokładnością miałbym to określić?
- Dobre pytanie.
- Dam znać - powiedział Beier i zaczął gasić światła i zamykać drzwi.
- Teraz muszę już iść do domu, spakować się.
- Wyjeżdżasz?
- Jutro. Do Sundsvall. Tylko dwa dni, chodzi o odczyt.
- To konieczne?
- Nie zrzedź tak, Eriku. Są tu inni, którzy zajmują się twoją naszą sprawą. Poza tym nie tylko policjanci z Göteborga powinni być oświeceni.
- Rozumiem, że to ty wygłaszasz odczyt.
- No jasne.
- O czym?
- Jak stworzyć wydajny wydział techniczny.
- Kiedy dowiedzą się tego nasi?

## 36

WINTER ZAPARKOWAŁ przed minimarketem w Mölnlycke i przeszedł wąskim pasażem między domem handlowym z jednej strony a małymi butikami z drugiej. Był tam sklep z

kasetami wideo, papirniczy, księgarnia i sklep, w którym sprzedawano zarówno kosmetyki, jak i zdrową żywność. Kasza o zapachu piżma, pomyślał.

Pasaż prowadził do placu, który w sącącym się z góry świetle słonecznym wyglądał ostro, sterylnie i dwuwymiarowo, niemal jak obraz wryty w kamieniu. Niebo na północy było zimne i przejrzyste. Jesień była już wszechobecna. Okres między latem a nią znów wypełnił suchy chłód i ten wyrazisty dźwięk przypominający trzask łamanej jednym ruchem zapalki, który słycać dookoła. Z prawej zobaczył wejście na pocztę. Przyjrzał się dokładnie placowi. Stanął przy drzwiach. Z lewej centrum handlowe. Dalej, po przekątnej, naprzeciwko poczty, Jacky's Pub. Przed sobą miał plac o średnicy siedemdziesięciu pięciu metrów, przypominający park. Krzewy skąpane były w słonecznym świetle. Dalej, na prawo, stał siedmiopiętrowy dom, z zegarmistrzem i sklepem z upominkami na parterze. Widział tam też arkady ciągnące się na wschód. Zobaczył szyld banku i kwaciarni. Rozejrzał się. Jeśli ktoś opuszczał plac, skręcał zazwyczaj w prawo lub w lewo, żeby znaleźć miejsca parkingowe albo inne sklepy. On wyszedł na środek i odwrócił się. Okno urzędu pocztowego zajmowało dużą część fasady, miało ze dwadzieścia metrów kwadratowych. Usiadł na ławce, stąd też miał dobry widok. Wstał i podszedł do drzwi pubu. Był jeszcze zamknięty. Mieli go otworzyć za trzy godziny. Znów się odwrócił. Stąd też widział drzwi poczty. A dalej okno, za którym widział krzesła barowe. Wydawało mu się, że jeśli usiądzie w środku, będzie mógł obserwować wejście na pocztę.

Wrócił i wszedł do urzędu. Tuż za drzwiami znajdowały się skrytki pocztowe, dwieście pięćdziesiąt sztuk. Wyglądało to jak mały przedpokój. Żeby dotrzeć do kas, trzeba było wejść jeszcze jednymi drzwiami. To dobrze, pomyślał Winter. Potrzeba więcej czasu, żeby wejść, ale też żeby wyjść.

Wiedział, że nikt jeszcze nie opłacił czynszu za mieszkanie Helene Andersén. Chyba że to zrobił, ale więcej niż kilkanaście godzin temu. W takim wypadku nie mieliby szczęścia.

W urzędzie stało biurko, a nad nim pochylały się trzy osoby, najwidoczniej wypełniały blankiety.

W głębi widać było stanowisko: Usługi bankowe. Jako jedyne nie było osłonięte pancerną szybą. Za biurkiem stała makieta fasady niewielkiego domku letniskowego.

Na ścianie, cztery metry nad podłogą, między napisem „Usługi bankowe” a kasą numer jeden, wisiała kamera. Winter spojrzał na nią szybko. Umieszczono ją w dobrym miejscu, miała dyskretny szary kolor, taki jak ściana znajdująca się za jej poruszającym się wolno czarnym okiem. Druga wisiała nad kasą numer trzy, obok plakatu: „Nie musisz płacić za to, by było cię stać”. Zapomniał dopilnować, żeby przy drzwiach umieszczono tabliczkę z informacją, że lokal jest monitorowany. To dobrze, pomyślał. Skoro ja o tym nie pamiętałem, może inni też nie.

Po raz pierwszy od chwili kiedy wszedł, usłyszał wokół siebie głosy. Wcześniej jego organizm jakby się wyłączył. Słyszał je głośniejsz, jakby ktoś podkreślił głośność. Teraz słyszał szmer życia. Dwoje dzieci śpiewało coś, co brzmiało jak „matriken” czy „malinek”. Ludzie wchodzili i wychodzili. Berghem stał przed stojakiem z kopertami, z kopertą formatu A5 w rękę. Wyglądał na kogoś, kto uważnie dobiera koperty. Winter patrzył na niego cały czas, ale Berghem stał zwrócony w drugą stronę. Winter zauważył, że szaroniebieska wykładzina jest na środku sfałdowana. Wiedział, że to Berghem zaaranżował to w nierzucający się w oczy sposób.

Ludzie przyszli załatwić swoje sprawy. Dwie kobiety rozmawiały z dziećmi uczepionymi ich nóg. Inni coś pisali albo patrzyli przed siebie. W pomieszczeniu było mniej więcej tyle samo kobiet co mężczyzn. Nikt nie miał brody ani



nie mrugał w podejrzany sposób przed kamerami.

Może to teraz, pomyślał Winter. Może to właśnie teraz. Gdyby się trzymał regulaminu, byłoby to jutro, ale każdy może przecież zmienić swoje rutynowe zachowania.

Kasjerki zachowywały się spokojnie, pełen profesjonalizm. Same kobiety. Miały na sobie uniformy: żakiety i bluzki w cienkie paski. Chociaż każdy klient miał numerki, przed wszystkimi okienkami stały kolejki.

Kasjerki miały kartki z numerem. Czy zdążą, jeśli. Wcześniej to działało. Wszystkie wiedziały, o co chodzi. Żaden z klientów się nie przepychał, domagając się szybkiej obsługi, co mogłoby wywołać zamieszanie. Gdyby tak się stało, powinni zwiększyć czujność.

Winter wsłuchiwał się w otaczające go głosy. Miał wrażenie, że teraz mówi więcej osób. Pomyślał nagle o Helene. Milczała, a on przyglądał się obdukcji. W końcu głosy zlały się w jedno, uniosły się w górę i zlały z powietrzem i całym pomieszczeniem. Jakby słowa zamieniły się w kamienie, a głosy w wiatr wiejący pod świetlówkami.

Winter wrócił do miasta. Minął Helenevik i tunel pod autostradą. Skręcił na parking i wysiadł. Stały tam dwa samochody. Znad wody dobiegł go odgłos silnika, ale nie widział łódki. Niebo odbijało się w jeziorze. Wyglądały identycznie i kiedy podszedł bliżej, oślepiło go światło.

Kolejny raz przeczesali teren, szukając śladów, ale te, które znaleźli, nie miały bezpośredniego związku z morderstwem. Szukali też kolejnego ciała. Nikt o tym nie mówił głośno, kiedy wyruszali w teren, ale wszyscy wiedzieli, co może się kryć pod drzewami.

Pod drzewami albo w wodzie, pomyślał Winter. Powinniśmy przeszukać dno, jeśli nie znajdziemy nic na lądzie. Ta łódka, którą podobno widziała kobieta. Meltzer. Może to łódka należąca do chłopców. Było na niej mnóstwo odcisków palców należących do setek osób. Była rozchwytywana.

Chłopcy całkiem sporo na niej zarobili. Ale nie było na niej odcisków Helene, więc jako materiał dowodowy była bezwartościowa. Był w niej jednak wymalowany czerwoną farbą znak.

Ostatnia myśl przyszła mu do głowy, kiedy stał pod drzewem. Nadal był tam ten znak. Mógł być chińskim znakiem przypominającym literę H.

Taśma otaczająca teren połyskiwała od odbitego w wodzie światła. W niektórych miejscach jej krawędzie się wystrzępiły, jakby je ponadgryzały zwierzęta. Winter pochylił się i w miękkim żwirze ścieżki zauważył ślad racicy jelenia albo sarny. Zobaczył

też bobki, które jak dla niego mogły być odchodami zająca lub dzika. Za mało przebywam na łonie natury, pomyślał. Nie licząc sytuacji, kiedy muszę być w terenie służbowo.

Silniki zawarczały głośniejsze, więc wstał i wyjrzał przez gałęzie w stronę jeziora. Jakaś łódź wpływała powoli do zatoczki, a potem szerokim łukiem wykręciła z powrotem. Dostrzegł w niej dwie osoby. Jedna miała na głowie czapkę i trzymała wyciągniętą wędkę. Winterowi wydawało się przez chwilę, że widzi, jak mokra żyłka połyskuje w słonecznym świetle, które teraz padało od dołu.

- Nie są jeszcze gotowi z drukiem - powiedział Ringmar. Podrapał się po czubku nosa. Wyglądał przy tym, jakby jednocześnie cmokał. - Wysłali go ze Sztokholmu samochodem, jak mówiłeś.

- Nie mówiłem, tylko się zastanawiałem na głos.

- Tak czy inaczej, samochód powinien przyjechać.

- To ich sposób na to, żeby złagodzić tę hańbę, że muszą wykonywać polecenia z Göteborga.

- Masz kompleksy?

- Ja nie, ci ze Sztokholmu mają.

Ringmar dalej drapał się po nosie, który zrobił się jaśniejszy. Jakby Bertil odciął dopływ krwi, pomyślał Winter.

- W każdym razie na pewno na druku są odciski palców. Może nawet trzydziestu osób, a liczę tylko te, które da się zidentyfikować.

- Ale nie zdążyli jeszcze ich wrzucić do AFIS-u?

- Są w trakcie.

Już wkrótce odciski miały zacząć krążyć w nowym systemie komputerowym AFIS: Automated Fingerprint Identification System. Może ktoś, kto był kiedyś tymczasowo aresztowany lub zatrzymany, miał w rękach ten druk. Winter był podekscytowany, a z drugiej strony nie do końca w to wierzył. Ten, kto płacił, powinien mieć rękawiczki, tak na wszelki wypadek, ale nigdy nie wiadomo. Może byli już bliżej mordercy, niż on sam sądził.

Na pewno znajdą odciski Bogu ducha winnych pracowników poczty.

- Podobno ostatnio był jakiś incydent w klubie motocyklowym - powiedział Ringmar.

- Robi się coraz goręcej.

- Zastanawiam się, co się dzieje. Wydawało nam się, że już jest spokój.

- Zaufaliśmy młodzieży na motorach - stwierdził Winter.

- Większość z nich jest bardziej stara od ciebie.

- Starsza od ciebie.

- Co?

- Mówi się starsza od ciebie, nie bardziej stara.

- Spadaj.

Ringmar znów się podrapał.

- Ktoś zasiał zamęt - zauważył.

- Z pewnością można tak powiedzieć - odparł Winter, a Ringmar zrozumiał, że chodzi mu o strzelaninę na Vårvåderstorget.

- Jeszcze nie wszystko ustaliliśmy - powiedział Ringmar.

- Już prawie.

- Brakuje nam tylko winnych. Potem możemy zakończyć

sprawę.

- Jak zwykle pytanie brzmi: dlaczego?

- Nie pierwszy raz aniołki strzelały do siebie wśród nas, zwykłych śmiertelników

- powiedział Ringmar. - To po części ich pomysł na biznes.

- Chodzi ci o.

- Terror to pomysł na biznes. Dobrze jest siać strach.

- Chyba że to ciebie zastrzelą.

- John jakoś sobie radzi, dzięki Bogu.

- Zobaczymy, czy znów zatrzymamy Bolandera.

- On zszedł do podziemia.

- Podziemny aniołek - powiedział Winter. - Wypisz, wymaluj diabeł. Upadły anioł.

- A propos strzelania - dziś odesłali tego Kurda do domu. W końcu państwo podjęło słuszną decyzję.

- Wiem.

- Biedny facet. Jak myślisz, miał nadzieję, że go oskarżą o to, że groził zastrzeleniem siebie i chłopca?

- O groźbę karalną? Nie wiem. Tego chyba już się nie praktykuje. Miałby szanse tylko wtedy, gdyby naprawdę zrobił to, czym groził.

- Wtedy potraktowalibyśmy to poważnie.

Albo gdyby miał sprytnego adwokata, który by mu załatwił odroczenie, powołując się na problemy psychiczne, pomyślał Winter. Ale to akurat byłaby nieprawda. Mężczyzna zachowywał się zupełnie normalnie, może był bardzo zestresowany, ale możliwe, że miał ku temu powody, o których nie wiedzieli.

- Na pewno będzie szczęśliwy - stwierdził Ringmar.

Aneta Djanali stąpała ostrożnie po asfalcie. Przez chwilę czuła się tak, jakby uczyła się chodzić na nowo. Może to służbowa broń zakłócała jej równowagę.

- Krynci ci się w głowie? - zapytał Halders. - Wyglyndałaś, jakbyś się chwiała - wychodzili z samochodu. Za chwilę

mieli rozmawiać z właścicielem jednego z białych fordów escortów o rejestracji zaczynającej się na H.

- Co?

- Krynci ci się w głowie?

- Krynci? Czemu tak dziwnie mówisz?

- Pomyślałem sobie, że będę mówił dialektem podobnym do twojego, żeby ci ułatwić rehabilitację.

- W takim razie to Erik powinien był o tym pomyśleć, kiedy mi cię przydzielił.

- Ale skoro już tak wyszło, staram się poprawić sytuację najlepiej, jak umiem.

- Najlepiej będzie, jak się zamkniesz.

- Jak sybie życzysz.

- Czy sama mam przeprowadzić tę krótką rozmowę?

- Może będziesz potrzebować trochę wsparcia w tych pierwszych trudnych godzinach.

- Co w takim razie ty tu robisz?

- Teraz doszliśmy do drzwi - powiedział Halders. - Teraz wciskam dzwonek.

Winter był zajęty przeglądaniem sterty dziecięcych rysunków, kiedy na jego biurku zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę prawą ręką, w lewej trzymał obrazek przedstawiający rzadki las i niebo.

- Przestałeś chyba bywać w domu - powiedziała jego siostra.

- Cześć, Lotta.

- Masz tam łóżko?

- Aż tak źle nie jest.

- Znajdziesz chwilę w przyszłą sobotę?

- W sobotę?

- Przyszłą sobotę. Ósmego.

- Co wtedy będzie?

- Małe przyjęcie. Chyba ci już o tym wspominałam. Okrągła rocznica urodzin. Takich rocznic było już za wiele.

- Nie miałaś jechać do Marbelli?
- Widzę, że rozmawiałaś z mamą.
- Raczej na odwrót.
- Jadę później. Co ty na to?
- Gdzie będzie przyjęcie?
- Tutaj, w domu. Jeśli to ma jakieś znaczenie.
- Sobota wieczorem?
- Tak. O szóstej albo trochę po. Będzie swojsko, trochę ponczu i kolacja. Bez usadzania przy stole. Jeśli chcesz, będziesz mógł usiąść w kuchni.
- W takim razie.
- Dobra. Dopisuję cię do listy.
- Ile będzie osób?
- Dwustu moich najbliższych przyjaciół. A na serio, może trzydzieści. Wszyscy bardzo sympatyczni.
- No nie wiem, Lotta.
- No tak, to było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.
- Chodzi tylko o pracę. Przyjdę, jeśli będę mógł, ale nie będzie łatwo. Zobaczymy.
- Chyba, do cholery, nie musisz prowadzić dochodzenia cały czas, jeśli tylko nie śpisz. I kiedy śpisz zresztą też, o ile nadal dobrze cię znam.
- Zrobię, co mogę, żeby być u ciebie w przyszłą sobotę. O szóstej.
- Możesz przyjść później.
- Dobra.
- Oczywiście Angela też jest zaproszona.
- Angela. - powtórzył Winter.
- Twoja dziewczyna, partnerka czy jak ją nazwać. Pamiętasz ją jeszcze?

- W powietrzu czuć zapach śniegu - powiedział, siedząc na krześle w swoim biurze, do siedzącego naprzeciwko Wintera.
- Przecież nie byłeś w Kirunie.
- Północ to Północ. Tam są dokładni w tych sprawach.
- Rozmawiałeś o tym ze Sturem? - zapytał Winter.
- Wiesz przecież, że dopiero przyjechałem. A Sture nie lubi mówić o swojej przeszłości na Północy.
- Może coś ukrywa.
- A znasz kogoś, kto niczego nie ukrywa?
- To mi przypomina, po co tu przyszedłem.
- Szybki jesteś. Żądanie z wydziału śledczego, jak zwykle - „coś przecież musicie mieć?”. Chociaż ja, po podróży naukowej, nie zdążyłem jeszcze pogadać ze swoimi ludźmi.
- Mam przyjść później?
- Masz chyba czym się zająć przez chwilę?
- Za ile?
- Daj mi godzinę.

Winter wyszedł. Kiedy mijał drzwi wydziału technicznego, w kieszeni jego marynarki zadzwonił telefon.

- Tu Winter.
- Czeeeeść, Erik.
- Dzień dobry, mamó.
- Czytaliśmy w gazecie, że jacyś szaleńcy strzelali na placu w Hisingen.
- To było już dawno.
- Pojechaliśmy z dobrymi przyjaciółmi do Portugalii. Kiedy wróciliśmy, przejrzałam stos gazet i pomyślałam, że muszę zadzwonić i spytać, czy brałeś w tym udział. Nic o tym nie pisali w gazecie.
- Nie brałem w tym udziału.
- Dobrze to słyszeć.

Winter schodził po schodach. Na czwartym piętrze, przed windami, spotkał

Wellmana, który skinął do niego i zniknął za przesuwanymi

stalowymi drzwiami.

- Jesteś tam, Erik?

- Jestem.

- Gdzie jesteś?

- Tutaj.

- Chodzi mi o.

- Jestem na komendzie i idę właśnie do swojego biura.

- Ta historia z zamordowaną kobietą jest straszna.

- Tak.

- Nadal nie wiecie, kim była?

- Nie.

- To okropne.

- Muszę już koń. - zaczął Winter, ale nie zdążył dokończyć.

- Lotta przesunęła swój przyjazd do nas.

- Słyszałem.

- Rozmawiałeś z nią?

- Tak. Niedawno.

- Spotkaliście się?

- Nie, rozmawialiśmy przez telefon.

- Lotta chciałaby, żebyś ją odwiedzał trochę częściej. Ale już ci o tym mówiłam.

- Tak.

- Nie jest jej łatwo.

- Nie.

- Ale, tak czy inaczej, urządza małe przyjęcie urodzinowe.

Nie możesz chyba nie

pójść.

- Nie.

- Obiecujesz? Lotta potrzebuje swojego braciszka.

- Wiem. Musimy się tutaj troszczyć o siebie nawzajem, podczas gdy wy jesteście zajęci gdzie indziej.

- Nie powinieneś taki być, Erik. Już o tym rozmawialiśmy. Tata próbował.

Winter wszedł do swojego biura. Spojrzał na odtwarzacz i na



pokryte obrazkami biurko. W pokoju było cicho.

- Ktoś do mnie dzwoni na służbowy numer - powiedział.
- Nie słyszę żadnego sygnału.
- On miga, nie dzwoni. Trzymaj się, mamó.

Rozłączył się i podszedł do okna. Wyjął z okładki jedną z płyt leżących na parapecie i włożył ją do odtwarzacza.

Aneta Djanali zadzwoniła do drzwi, ale nikt nie otwierał. Wcisnęła dzwonek jeszcze raz, ale nadal nikt się nie pojawiał.

- Mamy inne nazwiska i samochody do sprawdzenia - powiedział Halders.

- Ten tu mieszka najdalej.
- To nie my płacimy za benzynę.
- Miałam na myśli towarzystwo i to, że może musielibyśmy przyjechać tu razem jeszcze raz.
- Aneta, dobrze, że już wróciłaś.
- Nie widać samochodu, pewnie faceta nie ma w domu.
- Możemy zrobić rundkę. Jest ładnie i spokojnie.
- Rundki można robić w czasie urlopu, jeśli komuś jeszcze trochę zostało.

Obeszli dom. Łąka jaśniała w popołudniowym słońcu. Sto metrów dalej pasły się dwa konie. Jeden z nich spojrzał na nich, a potem wrócił do jedzenia.

- Tak powinno się mieszkać - powiedział Halders.
- Chcesz tu jeszcze trochę zostać?
- Nie, wtedy jeszcze bardziej będzie mi żal wyjeżdżać.

Wrócimy tu jutro albo pojutrze.

Beier zadzwonił po Wintera.

- Przyjdź natychmiast, jeśli możesz.
- O co chodzi?
- Po prostu przyjdź szybko.

Winter wszedł do wydziału technicznego, a potem do laboratorium zajmującego się odciskami palców. Czekali na niego Beier i Sundlöf. Na stole leżał skrawek papieru z narysowaną mapą i kodami, jeśli to w istocie była mapa i

kody.

- Jedno jest już jasne - powiedział Beier. - Na papierze znajdują się odciski Helene Andersén w dwóch wydaniach.

- Co masz na myśli?

- Niektóre z okresu, kiedy była dzieckiem, a inne z okresu, kiedy była dorosła.

- Kiedy była dzieckiem?

- Tak. To te same linie, tylko mniejsze. Trzymała w ręku ten papier, kiedy była dzieckiem. Cztero-, pięcioletnim.

- Jesteś pewien, że to jej odciski? To znaczy jej jako dziecka?

- Oczywiście, że jestem pewien. Nie obrażaj mnie.

- Czyli to ona go zachowała. Dlaczego?

- To już ty musisz wyjaśnić, Erik - powiedział Beier.

- W takim razie poniekąd zlokalizowaliśmy ten papier w czasie - odparł Winter.

- Tego nie powiedziałem - stwierdził Beier. - Wiemy, że miała go w ręku jakieś dwadzieścia pięć lat temu.

- Są tu też inne odciski? - zapytał Winter, spoglądając na papier, który teraz, kiedy znał jego historię, nie wydawał się już taki stary.

- Tutaj zaczynają się schody - powiedział Beier. - Widać fragmenty linii, ale nie ma całych odcisków. W tym ci nie pomogę.

- Dobra.

- Mamy kontynuować?

- Co masz na myśli?

- Badania nad papierem. Jest aż tak ważny?

Winter wypuścił powietrze ustami i zamyślił się. Spojrzał na wyblakłe znaki i

litery.

- Może zachowała to w jakimś celu. Nie wiem, Göran. Naprawdę nie wiem.

- Pytam tylko dlatego, że mamy jeszcze do przejrzania materiał z całego mieszkania i z piwnicy. A to nie jest jedyna

sprawa, nad którą pracujemy.

- W takim razie zbadajcie jeszcze ten skrawek, jeśli będziecie mieć chwilę - powiedział Winter, jeszcze raz spoglądając na papier. - Ale co możesz zrobić z tymi niewyraźnymi odciskami?

- Żebyśmy mogli stwierdzić, że te odciski należą do konkretnej osoby, potrzebujemy dwunastu zbieżnych punktów. Rozumiesz?

Winter rozumiał, przynajmniej teoretycznie. W praktyce - mniej. Wiedział, że odcisk palca składa się z nieskończenie wielu nachodzących na siebie linii. Czasem układały się w pętle, czasem rozwidlały. Każdy taki charakterystyczny punkt badano i porównywano z odciskiem pobranym od podejrzanego i jeśli znalazło się dwanaście wspólnych punktów, odcisk można było zidentyfikować. To robota dla ekspertów. Komputer nie wie, jak wygląda odcisk palca, namierza jedynie pętle, rozwidlenia i kropki.

Oczywiście jest łatwiej, jeśli odcisk pochodzi z opuszki palca. W Szwecji jest dwudziestu ekspertów od linii papilarnych. Dwóch w Göteborgu. Jednym z nich był Bengt Sundlöf, który wciąż stał obok Wintera i Beiera.

- Trochę mnie korci, jeśli można tak powiedzieć - powiedział Sundlöf.

- To wyzwanie - powiedział Beier.

- Siedzi się i porównuje, spoglądając na oba odciski przez lupy, i wyszukuje, a potem rysuje.

- Długo to trwa - stwierdził Beier. - A potem od tego garbienia nabawiasz się bólu kręgosłupa i redukcji etatów.

- I tak dalej, aż w końcu znajduje się dwanaście punktów - powiedział Sundlöf. - Wiesz, co się wtedy mówi? - zapytał Wintera.

- Bingo?

- Jeśli się do tego dojdzie. Rozumiesz, ile to roboty? - powiedział Beier.

- Że nie wspomnę o zdolnościach.
  - Pomożemy ci - odrzekł Sundlöf. - Jesteś młody i masz długie włosy, a mimo to doceniasz umiejętności i doświadczenie.
  - We Francji potrzeba czternastu punktów, żeby zidentyfikować odcisk - powiedział Beier. - Może my tu, na Północy, ryzykujemy.
  - Oczywiście to Amerykanie mają największą na świecie bazę odcisków palców
  - dodał Sundlöf. FBI ma miliony odcisków do porównywania. Im się zdarzyło znaleźć siedem zbieżnych punktów, a potem się okazało, że to odciski dwóch różnych osób!
  - Teraz już się zgubiłem.
  - Mieli dwa odciski, z siedmioma zbieżnymi punktami - wyjaśnił Beier. - Były identyczne. A jednak okazało się, że chodzi o dwie osoby. Nikt nigdy nie znalazł tyłu wspólnych punktów u dwóch różnych osób. Nigdy.
  - Przynajmniej jeszcze nie - powiedział Winter. - Zatem dwanaście liczone jest z nawiązką?
  - Przy tyłu można właściwie być pewnym - odpowiedział Beier.
  - W takim razie zróbcie to samo z odciskami z szuflady w mieszkaniu Helene - powiedział Winter.
  - To jest odcisk peryferyjny - odparł Sundlöf. - I do tego niewyraźny, zostawiony prawdopodobnie przez rozdarcie w rękawiczce, jeśli taki będzie wynik analizy włókien. Badamy to właśnie.
  - Czyli będzie trudno? - zapytał Winter.
- Beier i Sundlöf jednocześnie pokiwali głowami.
- A pozostałe odciski z mieszkania?
  - Te dwa? Wyraźne, ale nie zidentyfikowaliśmy ich jeszcze w AFIS-ie.
  - Te nowe też wrzuciliście do systemu?

- Właśnie to robimy, komisarzu - powiedział Beier. - Przecież w jej mieszkaniu może być więcej odcisków.

- Jestem przekonany, że znajdziecie wszystkie - powiedział Winter, robiąc krok w stronę drzwi. - I dzięki za lekcję. Minął wejście. Chciał wrócić do biura, wrócić do przeglądania i sortowania rysunków. Chciał też jeszcze raz przestudiować ten skrawek, jego kopię. Kiedy przed chwilą patrzył na nią na górze, w wydziale technicznym, cyfry i litery wydały mu się wyraźniejsze, kreski dłuższe, ostrzejsze. Dostrzegł w nich jakiś sens - to była mapa.

Musiała coś znaczyć dla Helene. A może dwadzieścia pięć lat temu, po tym, jak się bawiła, przez zapomnienie zostawiła ten skrawek w kieszonce. Takie wyjaśnienie mogło być prawdopodobne dla kogoś, kto wierzy w przypadki.

Ale to nie ona to wszystko napisała i narysowała. To ręka dorosłego trzymała długopis.

Czuł w głowie ciepło, jakby mu spuchła. Potrzebował zimnego prysznicu.

### 38

ŚWIATŁO ZALEWAJĄCE PLAC było równie przenikliwe jak w ostatnich dniach. Zrobiło się cieplej. Winter usiadł na jednej z ławek, ze wzrokiem wbitym w drzwi poczty. Siedział tak już pół godziny i chciał zaraz wstać. Była za kwadrans pierwsza. Wielu ludzi wchodziło i wychodziło. Drzwi znajdowały się pod arkadami. Odbierali pensje i emerytury, płacili rachunki. Mało kto ufał czekom bankowym na tyle, żeby dokonywać wpłat z domu.

Nie był sam na placu. Ludzi chodzili między sklepami albo odpoczywali na ławkach, jak on. Grupa mężczyzn stała pod drzwiami Jacky's Pub, czekając na otwarcie. Też tam później pójde, pomyślał. Będę stamtąd widział.

Ludzie w kwiecie wieku powinni być teraz w pracy, lecz zamiast pracować, chodzili po placu skąpanym w padającym ukośnie świetle.

Sara Helander zmieniła Bergenhema półtorej godziny temu. Siedziała na jednej z ławek pod oknem, czytając broszurę o sztuce zaciągania kredytu. Na poczcie było więcej ludzi, niż sądziła. W prawej ręce trzymała numerek, tak żeby go było widać. Może dopisze im szczęście.

Zerkała na broszurę, jednocześnie próbując obserwować, co się dzieje przy kasach. Miała widok na nie, ale przez chwilę zastanawiała się, czy nie lepiej będzie wstać. Pozwolę nogom odpocząć jeszcze minutę, pomyślała. Może się czegoś dowiem, czytając tę broszurę.

Zerknęła na tekst. Wszystko można wziąć na kredyt, jeśli się ma uporządkowane finanse. Czytała właśnie rubrykę o dziwnym tytule: „Kredyt zaufania”. Jeśli się chce kupić mieszkanie albo dom letni, można otrzymać kredyt po wstępnym sprawdzeniu wiarygodności. Przydałby się jej dom letniskowy, w którym mogłaby spędzać wolny czas. Teraz spędzała go w wynajmowanych kwaterach.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że jedna z kasjerek, ta z okienka numer trzy, na prawo, daje znak ręką. Szybko podeszła bliżej, wpadając na wózek i na dziecko. Kobieta w okienku była blada, jakby zaraz miała spaść z krzesła. Opuściła rękę i wskazała na drzwi. Co, do chole...

Sara zobaczyła lampkę. Migiała szybko nad kasą, jakby jej wytykała zaniechanie. Jakiś mężczyzna, szeroki jak wiszący nad nim plakat, stanął właśnie przy kasie. Czekał, aż zostanie obsłużony. Sara szturchnęła go w bok, kiedy nagle pochyliła się, czując mdłości w żołądku i w klatce piersiowej.

- Co jest. - powiedział facet, kiedy go szturchnęła.

- Był tutaj! - powiedziała kobieta w okienku. - Próbowałam na panią patrzeć, ale nie widziała mnie pani. Lampka nie migiała?

Sara odruchowo spojrzała w górę i znów zobaczyła złośliwy sygnał lampki umieszczonej nad kasą, przy numerze okienka. Boże, wywałam mnie, dobry Boże, nie pomyślałam o. Po chwili wzięła się w garść.

- Czy to był ten sam numer?

Kobieta miała w ręku druk z poleceniem zapłaty. Wyglądała na zszokowaną i trzymała go, jakby był umaczany we krwi.

Sara złapała mały pleciony koszyk stojący na ławce, do połowy wypełniony numerkami.

- Niech pani to schowa - powiedziała, próbując przecisnąć kosz przez zdecydowanie za mały otwór w szybie. - Niech pani otworzy i schowa je w środku!

- On wy... wyszedł - powiedziała kobieta, ubrana w marynarkę od uniformu i bluzkę w cienkie paski. Głos jej się łamał.

Kurwa, pomyślała Sara, kiedy biegnąc do drzwi, potknęła się o fałdę na dywanie, straciła równowagę i o mało nie uderzyła nosem w pancerną szybę.

Kiedy Winter zobaczył Sarę wyskakującą z drzwi i rozglądającą się wokół, podniósł się i zapalił cygaro.

Coś poszło nie tak, pomyślał, wyrzucając cygaro, i ruszył biegiem w stronę. Zauważyła go.

- Był tu! - powiedziała bez tchu. - Kasjerka przyjęła druk.

- W którą stronę poszedł?

- Nie wiem.

- Kiedy?

- Przed chwilą. Parę minut temu. Bardzo mi przy.

- Nieważne. Jak wyglądał?

- Nie wiem, to się działo tak szybko.

- Bergenhem jest na obiedzie, w barze. Idź tam i każ mu natychmiast przyjść na pocztę, do tego pokoju za kamerą. Wróć z nim. Ale najpierw zadzwoń do Bertila i powiedz, żeby przysłał dwa samochody z ludźmi. Ja zadzwonię do chłopaków pilnujących parkingów.

Wystukał numer do jednego z nich, czekającego na parkingu z lewej strony, i powiedział coś do niego.

- Są gotowi - rzucił i rozłączył się. - Zobaczymy, czy uda nam się go złapać. Kurwa mać, pomyślał. Teraz trzeba się szybko uspokoić.

- Idę na pocztę, sprawdzić nagranie. Przyjdźcie jak najszybciej. Która to była kasa?

- Trójka.

Wszedł do urzędu, w którym wszystko toczyło się normalnym trybem, jak gdyby nigdy nic. Naczelnik czekał przy wewnętrznych drzwiach.

- Idę przewinąć taśmę - powiedział Winter. - Był tutaj. Proszę zwolnić kasjerkę z trójki i przysłać ją na zaplecze.

- A kto usiądzie w kasie?

- Oszalał pan? - odparł Winter. - To jest dochodzenie w sprawie mord. - zaraz się uspokoił. - Po prostu proszę ją zamknąć albo usiąść w niej samemu, jeśli to konieczne. Chcę natychmiast z nią porozmawiać.

Kamera była podłączona do odtwarzacza wideo, a ten do monitora stojącego w pokoju bez okien. Winter zatrzymał nagranie i spojrział na godzinę. Przewinął taśmę tak, by złapać obraz nagrany pół minuty przed tym, jak Sara zorientowała się, że tam był. Weszła kasjerka. Winter wcisnął play. Kasetka ruszyła z trzaskiem. Zobaczył wnętrze poczty. Zdecydował się na nagranie z kamery umieszczonej w głębi lokalu. Wyglądało to tak, jakby w urzędzie było tysiąc ludzi. Stojącą teraz przy nim kasjerkę było widać z boku, oddaloną cztery metry od kamery. Jakaś klientka odeszła od okienka. Następnie podszedł do niego czekający z tyłu mężczyzna w czapeczce i wielkiej, grubej kurtce. Winter zobaczył, jak odruchowo odkłada numerek do kosza przed sobą. Nie widać było jego twarzy, tylko profil, ujęty z ukośnie, z tyłu.



- To on - powiedziała kasjerka.
- Jest pani pewna?
- Oczywiście, że to on. Wtedy też miał na sobie czapeczkę - stwierdziła, jakby obraz, który widzieli, nie był powtórką, tylko nowym ujęciem w filmie dokumentalnym.

Winter widział, jak mężczyzna się nad czymś pochyla, a kasjerka to od niego odbiera i ze wciąż spuszczonego wzrokiem rzuca spojrzenie przed siebie, a potem patrzy na mężczyznę i stara się spojrzeć też na to, co jest za nim. Winter podążył za jej wzrokiem, przecinając lokal, i zobaczył Sarę Helander siedzącą na kanapie i wpatrzoną w broszurę. Lampka nad kasą zaczęła migać. Kasjerka powiedziała coś do mężczyzny.

- Próbowałam go zatrzymać, ale nie chciał rachunku.
- Mężczyzna w czapeczce odszedł od kasy i skierował się do drzwi. Kasjerka podniosła rękę i pomachała. Podeszedł do niej drugi mężczyzna, przyglądał się jej. Sara wstała i precyzyjnie się do okienka. Mężczyzna w czapeczce wyszedł, mijając podwójne drzwi i nie potykając się na dywanie sfałdowanym przez Bergenhema.

Bergnhem i Sara właśnie weszli i stanęli obok kasjerki.

- Boże - powiedziała Sara. Idiotka gra w filmie, pomyślała, kiedy zobaczyła samą siebie.

Winter zatrzymał taśmę i przewinął ją. Mężczyzna w czapeczce znów pojawił się na ekranie.

- To on - powiedział Winter.
- W czapeczce baseballowej.
- Nie on jeden nosi taką durną czapkę, pomyślał. Ta tutaj ma duży, jasny napis z przodu.

- Tak, to on - powtórzyła kasjerka.

Winter zadzwonił do kogoś z komórki, podał rysopis.

- Zaczęli już szukać - powiedział do Sary i Bergenhema, wciąż trzymając telefon przy uchu, w oczekiwaniu na połączenie z kimś jeszcze.

- Halo? Zablokujcie drogi na wschód i na zachód, jak się da.

Co? Nie, żadnych syren, do cholery. I nie zapomnijcie o dworcu autobusowym. Tak, o dworcu. Ktoś musi tam iść natychmiast.

Rozłączył się i podszedł do drzwi.

- Czy Bertil jedzie tu z posiłkami?

- Tak - odpowiedział Bergenhem. - Co robimy?

- Wiecie, jak wygląda - Winter spojrzał na zegarek. - Nie minęło jeszcze dziesięć minut, odkąd tu był. Mógł wsiąść do samochodu i odjechać, ale możliwe, że jeszcze gdzieś tu jest, a pilnujemy dużych parkingów i dworca. Nie sądzę, żeby coś podejrzewał. I zadzwonić jeszcze raz do Bertila, jak najszybciej.

- Dobra - odparł Bergenhem.

- On wciąż tu jest - powiedział Winter. - Czuję, że wciąż tu jest. Jedna dziewczyna z policji porządkowej stoi przed wejściem do sklepu samoobsługowego. Chcę, żebyście weszli do domu handlowego i rozejrzeli się za nią. Jak już to zrobicie, wyjdźcie, zadzwonić po mnie i zaczekajcie z pozostałymi.

Spojrzał na Sarę.

- Ty pójdziesz ze mną.

Sara nie odpowiedziała. Wyszli szybko z urzędu i skręcili w prawo.

- Okrążysz plac, idź w prawo. Spotkamy się po drugiej stronie, w rogu.

Sam wszedł do banku, wyszedł już po chwili. Mężczyzny w czapeczce nie było ani w kwiaciarni, ani w drugim banku, ani w pizzerii Bella Napoli. Nie było go też w agencji nieruchomości mieszczącej się na rogu placu.

- Nic - powiedziała Sara Helander, kiedy dotarła w umówione miejsce.

Przeszli przejściem podziemnym. Na lewo, na parkingu, Winter zobaczył radiowóz. Drugi stał przed sklepem samoobsługowym. Bertila jeszcze nie było, ale mógł

podjechać z drugiej strony.

Minęli nowo wybudowane liceum i stanęli przed domem kultury. Na lewo widać było most nad rzeką. Za nim droga się rozwidlała, dalej rozwidlała się jeszcze raz i jeszcze raz. Winter pomyślał o odciskach palców. Poczul, że puls mu przyspiesza.

Weszli do domu kultury, przeszli przez bibliotekę i inne otwarte dla wszystkich pomieszczenia. Zobaczyli tylko dwoje nastolatków w czapeczkach.

- Miał co najmniej ze czterdzieści lat - powiedziała Sara Helander.

- Tak.

Wyszli, i z lewej strony uderzył ich podmuch. Półbiegnąc, szli dalej, pod wiatr, w kierunku dworca. Winter zobaczył tyły sklepu samoobsługowego i parking, w dole, przy drodze. Fredrik i Aneta chodzili między samochodami. Wygolona głowa Haldersa aż świeciła.

Przy autobusach stali policjanci. Winter rozpoznał Ringmara, rozmawiał z Börjessonem. Bergenhem wyszedł od strony pasażu, tuż obok sklepu samoobsługowego, i kiedy zobaczył Wintera, pokręcił głową. Wszyscy się tu zebraliśmy, pomyślał Winter, cała pracowita ekipa, tylko po co?

Szedł dalej na zachód, przez stanowiska dworca autobusowego. Po drugiej stronie ulicy, na ukos, w lewo, mieściła się przychodnia, a przed nią jeszcze jeden duży parking. Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały. Winter podszedł bliżej. Trzydzieści metrów dalej stał mężczyzna. Pochylał się, żeby zamknąć czerwone volvo 740. Miał na sobie zielony, nieprzemakalny płaszcz, a na głowie czarną czapeczkę z białym napisem. Winter widział tylko górną część jego ciała, bo zasłaniał go samochód. Ruszył biegiem.

Mężczyzna spojrział na niego, czoło zakrywała mu czapeczka. Miał czerwony szalik. To tak, jakby czarno-biały film nabierał kolorów, pomyślał Winter, biegnąc.

Mężczyzna popatrzył na niego, a potem odwrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje za jego plecami. Inni też zaczęli biec. Jeden z radiowozów ruszył na sygnale z dworca i podjechał bliżej. Mężczyzna zobaczył blondyna w skórzanej kurtce biegnącego w jego stronę i coś krzyczącego. Wbił się do samochodu, wcisnął kluczyk do stacyjki i volvo zawył.

Auto było już na wstecznym, ręczny spuszczone. Ruszył do tyłu na piszczących oponach.

Faceta w skórzanej kurtce, który uczepił się drzwi, nagle odrzuciło, kiedy zmienił bieg, szybko puścił sprzęgło i pognał jak szalony do przodu. Udałoby się, gdyby przy wyjeździe pieprzona suka nie wyjechała nagle wprost na maskę. Oba auta przeleciały na drugą stronę jezdni. Wreszcie zatrzymał się, ale nie mógł otworzyć drzwiczek, wyskoczył więc od strony pasażera i stanął na drodze. I wtedy wybiegł ten pieprzony łysol.

Przyłożył mu z bańki prosto w brzuch, tak że uleciało z niego całe powietrze. Zrobił dwa kroki i padł na ziemię, krztusząc się, a łysol znów na niego ruszył.

- Jak tam? - zapytał Halders.

- To tylko zadrapanie - powiedział Winter, pokazując łokieć przez dziurę w kurtce. - Dobra robota, Fredrik.

- Więc to on - powiedział Halders, spoglądając na siedzącego na tylnym siedzeniu radiowozu mężczyznę.

- To on zapłacił czynsz.

- Wygląda na szumowinę.

- Myślę, że jest szumowiną.

- Powiedział coś?

- Ani słowa.

- Powinniśmy go poddać torturom - stwierdził Halders. - To był dobry początek. Jesteś szczęśliwy, Winter?

- Szczęśliwy?

- Cała akcja mogła iść w cholere, ale mieliśmy szczęście.

- Zobaczymy.

- Niech to, ta akcja to niezły sukces wydziału śledczego. Spójrz na niego. Wie, że wszystko nam wyśpiewa.

- Niezły cios - powtórzył Winter. - Muszę zamienić parę słów z Sarą, zanim odjedziemy.

Halders skinął głową i podszedł do stojącej przy samochodzie Anety. Wyglądał, jakby spacerował od niechcienia.

Sara Helander czekała przy dworcu.

- Zagapiłam się - powiedziała. - Tak strasznie, że można to podciągnąć pod jakiś paragraf.

- Powinniśmy byli wcześniej trochę poćwiczyć - stwierdził Winter. - Ale nie wiadomo, czy wtedy inaczej by to wyszło. W środku było dużo ludzi, a on był szybki.

- Nie gadaj - odpowiedziała Sara.

Winter zapalił cygaro. Smakowało świetnie.

- Dobra, ale mieliśmy rezerwę, która zadziałała.

- Nic nie podejrzewał. Nawet kiedy zacząłeś biec. Czy to nie dziwne?

- Zobaczymy, co powie i kto to w ogóle jest. Zobaczymy, czy nazwisko zgadza się z tym z prawa jazdy, jeśli je ma.

Wypuścił dym i obserwował, jak jego strużka unosi się z wiatrem ku niebu.

- Tak na marginesie, co cię tak zaciekawilo tam w środku? Co to za broszura?

- O Boże. Cała moja zbrodnia została sfilmowana.

- Co to było?

- Zgrywasz łagodnego, pobłażliwego ojca.

- Nie. Chcę wiedzieć.

- Nieważne. To była broszura o formach kredytu. Różne sposoby pożyczania pieniędzy, jedne lepsze, inne gorsze.

- Aha.

- Nic dla ciebie.

- Czemu?

- Chyba wystarczy ci pieniędzy?

- Skąd wiesz?
- To żadna tajemnica.
- Wszystko, co słyszałaś, to przesada.
- Tak czy inaczej, to nie moja sprawa - powiedziała Sara.
- Pieniądze nie dają szczęścia. Potraktuj to jako radę. Prowadzą tylko do nędzy.

### 39

MĘŻCZYZNA NAZYWAŁ SIĘ OSCAR JAKOBSSON i miał już numer w policyjnej kartotece. Pobrali odciski z pocztowego numerka i porównali je z tymi z rejestru. System potwierdził ich podobieństwo. Oscar Jakobsson miał przeszłość kryminalną. Niezbyt poważną. Siedział za kradzież, pobicie kolegów, kradzieże samochodów i pewnie robił inne rzeczy, o których nie wiemy, pomyślał Winter, siedząc naprzeciwko niego. A potem przyszło mu do głowy, że na jego kurtce, która teraz wisi w domu, w przedpokoju, jak również na garniturze, który miał na sobie w czwartek, jest napisane inaczej: Oscar Jakobson, przez jedno s. Wziął głęboki wdech, tak, żeby nie było widać. Jakobsson wyglądał na zdenerwowanego, ale nie zdesperowanego. Liczył się z tym, że zatrzymają go na dwanaście godzin, może trochę więcej, ale nie na długo. Przyznał, że wie, co zrobił, ale nie wie dlaczego.

- To jasne, że robisz komuś przysługę, jeśli cię o to prosi. To naturalne, tak się robi.

Włosy schowane pod czapczką były ciemnobrązowe i potargane. Jakobsson podziękował za grzebień, ale skorzystał z zaproponowanej mu kawy. Na policzku miał bliznę, jak prawdziwy kryminalista, który nie raz przez lata kariery oberwał nadtłuczoną butelką w twarz. Bardzo wyraźnie wypowiadał każde słowo, ale kiedy kończył zdanie, wyrazy rozmywały się jak w gazecie na deszczu. Język nie

dawał sobie już rady z sygnałami wysyłanymi przez mózg. A może jest na odwrót, pomyślał Winter. Może zwykłe przyjmowane przez lata sprawy, że mózg stracił kontakt z mową.

Spojrzenie Jakobssona było takie samo jak jego słowa. Ostre, a przy tym rozmyte, jakby się skupiał na szczegółach gdzieś przy linii horyzontu.

- Jesteś uczynny - powiedział Winter.

- Każdy by pomógł.

- Opowiedz jeszcze raz od początku.

- Od którego momentu?

- Od chwili kiedy poproszono cię o pomoc.

Na stole między nimi szumiał magnetofon. Obok Wintera siedział cicho prowadzący przesłuchanie Gabriel Cohen. Poza nimi w pokoju nie było nikogo. Nie było też okien. Ze ścian dochodził syk klimatyzacji. Jakobsson spytał, czy może zapalić, ale Winter mu nie pozwolił.

- Właśnie zaparkowałem - powiedział Jakobsson.

Wintera zastanowiło, jakim cudem temu facetowi tak długo udawało się jeździć. Jakim cudem nikt go nie zatrzymał. Nigdy nie miał prawa jazdy. Samochód należał do jego brata, który miało prawo jazdy, ale rzadko korzystał z auta.

- Kiedy to było?

- Kiedy zaparkowałem? W zeszłym miesiącu. A może to było pod koniec jeszcze poprzedniego? W tym samym miejscu na parkingu, na którym stanąłem teraz. Może o jedno.

- Co miałeś zamiar robić?

- Robić? Chciałem iść na zakupy.

- Gdzie?

- Do Terningen. Brat chciał tytoń, ja też, do tego chleb i ziemniaki.

- Dobra - powiedział Winter. - Zamknąłeś właśnie samochód i miałeś iść. I co się stało?

- Wtedy, kiedy czekałem, a może zrobiłem już krok czy dwa,

podeszła ona.

- Widziałeś ją wcześniej?
- Zanim wysiadłem z samochodu?
- Tak.
- Nie.
- A kiedy zaparkowałeś?
- Co to ma za znaczenie, do cholery?
- Odpowiadaj na pytania.
- Jeszcze raz. Jakie było pytanie?
- Widziałeś tę kobietę, kiedy zaparkowałeś, ale jeszcze nie wysiadłeś z samochodu?
- Już mówiłem. Podeszła do mnie z tą pieprzoną kopertą.
- Miała kopertę?
- Tak.

- Jak wyglądała koperta?

- Jak wyglądała? Chole. była brązowawa, średniej wielkości.

A. A coś tam, tak to się nazywa. Czemu o to pytacie? Przecież ją dostaliście, do cholery.

Wyciągnęliście ją ze schowka.

W samochodzie znaleźli pustą kopertę formatu A5.

- Czy wyglądała jak ta tutaj? - zapytał Winter, trzymając białą kopertę A5. - Możesz ją wziąć do ręki.

Jakobsson wziął kopertę i trzymał przed sobą.

- Ten sam rozmiar, ale tamta była brązowa.

- Więc mówisz, że do ciebie podeszła. Mówisz, że miała tę kopertę. Widziałeś ją? Trzymała ją w widocznym miej scu?

- Tak.

- Mówiła coś?

- Pytała, czy chcę trochę zarobić. Chociaż nie, nie powiedziała „trochę”. Zapytała tylko, czy chcę zarobić.

- Co odpowiedziałeś?

- Nic. Tylko się na nią gapiłem.

- Gapiłeś się na tę kobietę?

- Przecież to właśnie, do cholery, powiedziałem.



- Jak wyglądała?
  - Niewiele było widać. Czarne okulary słoneczne. Kapelusz na głowie, tak że włosów nie było widać. Sweter i długie portki. Tyle pamiętam.
  - Była biała?
  - Jak to biała?
  - Jakiego koloru miała skórę? Była biała czy czarna?
  - Nie Murzynka, jeśli o to wam chodzi. Była opalona, ale okulary były tak duże, że zasłaniały prawie całą twarz.
  - O tym porozmawiamy potem, pomyślał Winter. On wie coś więcej, i o jej wyglądzie.
  - Co powiedziała?
  - Mówiłem przecież, że spytała, czy chcę zarobić.
  - Co odpowiedziałeś?
  - Nic. Gapiłem się na nią jak jakiś pieprzony idiota. Jeśli mam być szczerzy, to była głupia akcja - ktoś pojawia się z dupy i wyciąga do ciebie rękę z kopertą.
  - Co powiedziała potem?
  - Powiedziała, że mogę zarobić, jeśli wyświadczę jej niewielką przysługę. No i powiedziała mi, o co chodzi, że na koniec każdego miesiąca mam iść na pocztę i wpłacić czynsz na ten numer mieszkania. I tyle.
  - Do czego była potrzebna ta koperta?
  - Przecież w niej były te pieprzone pieniądze. I kartka z numerem konta pocztowego i tym drugim numerem.
  - Gdzie jest teraz ta kartka?
  - Wyrzuciłem ją.
  - Dlaczego?
  - Znam już ten numer. Mam pamięć do cyfr. A poza tym nie byłem na tyle głupi, żeby nie skumać, że to jakaś ściemniona sprawa, a w takich sytuacjach nie zachowuje się żadnych kartek. Nigdy nie zachowuj kartek, to moje motto.
- Jakobsson wyglądał, jakby chciał się szyderczo uśmiechnąć. Winter poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Był

zniecierpliwiony, ale maskował to spokojem, niezbędnym, jeśli miał pchnąć przesłuchanie do przodu.

- Podaj ten numer - powiedział Winter. - Podaj numer konta pocztowego.

- Co?

- Przecież masz pamięć do cyfr. Mówiłeś, że miałeś zapłacić czynsz dwa razy i że dostałeś pięć stów za robotę. W takim razie musisz pamiętać numer.

- Miałem zapłacić trzy razy - odpowiedział Jakobsson. - I dostałem dziesięć tysięcy. I co, że niby ja nie mam pamięci do cyfr? - spojrzał na Cohena, a on pokiwał głową. - Ten człowiek nie pamięta, czy mówiłem o dwóch, czy trzech. - Cohen znów pokiwał głową.

- Dobra - odparł Winter. - Czy w takim razie możemy poznać numer konta pocztowego?

Jakobsson nie odpowiadał. Gapił się na magnetofon. Klimatyzacja syczała. Jakobsson odchrząknął.

- Cholera, to przez to przesłuchanie. Zdenerwowałem się. Nic dziwnego, sam pan, panie komisarzu, nie pamięta, o ilu czynszach mówiłem.

- Nie pamiętasz numeru?

- Pamiętam, do cholery, ale nie w tym momencie. Przecież miałem zapłacić jeszcze raz. Nie mogłem go zapomnieć. Dostałem za to kasę.

- Gdzie są te pieniądze? - zapytał Winter, chociaż wiedział, jaka będzie odpowiedź.

- No co wy? Myślicie, że wpłaciłem je do banku, żeby się z nimi ujawnić?

- To gdzie są?

- Wydane, panie komisarzu. Można powiedzieć, że skonsumowane. I to dawno temu.

- Jaki jeszcze numer miałeś zapisać na druku?

- Co?

- Miałeś zapisać na druku jeszcze jeden numer. Jaki?
- Przypominałem go sobie, kiedy stałem na poczcie.
- Już tam nie staniesz.
- Nie no. ale wiecie, o co mi chodzi. Jak trzeba, to człowiek sobie przypomina. To też takie motto.
- Rozumiesz, o co tutaj chodzi? - zapytał Winter, zbliżając się do brzegu stołu.
- Nikt mi nic nie powiedział.
- Chodzi o morderstwo i kidnaping.
- A co ja mam z tym wspólnego?
- Jesteś w to zamieszany.
- Zamie. jak, kurwa, mogę być zamieszany. Co wy gadacie? Kidnaping? Morderstwo? Co, do.. Znacie mnie przecież, to znaczy może nie wy, ale inni od was. Zapytajcie ich, zapytajcie! Jak można przypuszczać, że Oscar Jakobsson mógłby być zamieszany. teraz, kurwa, pewnie wymyślicie coś jeszcze.
- Gdzie jest kartka?
- Mówiłem przecież, że ją wyrzuciłem.
- Gdzie?
- Co?
- Gdzie ją wyrzuciłeś?
- Do kosza na śmieci, do cholery. W domu.
- Kiedy?
- Kiedy? Sto lat temu. Kiedy dostałem to gówno od tej babki.

Winter postanowił opowiedzieć dokładniej, czemu tak ich to interesuje. Cohen wstał i poszedł po kawę. Jakobsson powiedział, że tak bardzo chce mu się palić, że zaraz skona. Winter podał mu paczkę prince'ów, które kupił wcześniej. Potem podał Jakobssonowi ogień i zapalił cygaro.

- Śmierdzi jak cholera - powiedział Jakobsson, wskazując na cygaro w ustach Wintera. Winter tylko przytaknął. Cohen wrócił z kawą i drożdżówkami.

Jakobsson ugryzł bułkę i zaciągnął się papierosem.

- Może mam ją gdzieś w domu - powiedział.
- Czyli nie wzięłaś jej ze sobą, kiedy szedłeś na pocztę zapłacić? Musisz nam trochę pomóc.
- Dobra, dobra. Wyrzuciłem ją potem.
- Wyrzuciłeś ją? Kiedy w takim razie?
- Po tym, jak zapłaciłem. W tym przedsionku, przez który się przechodzi, idąc do stanowisk i do kas, jest kosz. Tam ją wyrzuciłem.
- Dlaczego ją wyrzuciłeś? Przecież miałeś zapłacić jeszcze raz?

Jakobsson palił, przypatrując się dymowi, który unosił się do sufitu.

- Dlaczego ją wyrzuciłeś?
- Dobra, dobra, nie miałem już więcej płacić.
- Nie miałeś już więcej płacić?
- Przecież mówię, że nie. Miał pan rację, chociaż pan o tym nie wiedział. Miałem zapłacić tylko dwa razy.
- Czy teraz mówisz prawdę?
- Tak.
- Czemu mielibyśmy ci teraz uwierzyć, skoro do tej pory kłamałeś?

Jakobsson wzruszył ramionami.

- To przez to, co mi powiedzieliście - odparł. - To cholernie nieprzyjemna sprawa. W coś takiego nie chcę być zamieszany - Rozejrzał się, szukając popielniczki. Cohen skinął głową w kierunku talerzyka, na którym leżały wcześniej drożdżówki. Jakobsson strząsnął długi słupek popiołu. - Nie jestem w to zamieszany. Przecież nic nie zrobiłem.
- Czemu w takim razie nie mówisz prawdy o tej kobiecie?
- O co wam znowu chodzi? Przecież nie kłamię.
- Mówiłeś, że podeszła do ciebie, kiedy wysiadłeś z samochodu. Zgadza się?

- Tak.
  - Staliście tam, a ona wyciągnęła kopertę i złożyła ci propozycję?
  - Tak.
  - Co powiedziała?
  - Nożeż kur. mówiłem to już dziesięć razy. Zapytała, czy chcę zarobić, a przy okazji wyświadczyć im przysługę.
  - Im?
  - Co?
  - Powiedziałaś: im. Kogo miałaś na myśli?
  - Tak powiedziałem? Nikogo nie miałem na myśli. Przejęzyczyłem się.
  - Nie chcesz nam pomóc. Mamy przerwać i wrócić do rozmowy, kiedy już sobie to przemyślisz?
  - Nie muszę nad tym myśleć.
  - Chcesz kontynuować?
  - Wy pytacie, ja odpowiadam. Zawsze tak jest. Jeśli zadacie dobre pytanie, to i odpowiedź będzie dobra.
  - To nie zabawa - powiedział Winter. - Gdzieś tam jest czteroletnia dziewczynka, może jeszcze żyje, a my straciliśmy już dużo czasu.
- Nie miała jeszcze pięciu lat. Udało im się ustalić, że Jennie miała cztery i pół roku.
- Jakobsson milczał. Wykrzywiony pet leżał na talerzyku. Winter trzymał dogasające cygaro w rękę.
- Od ciebie może zależeć, jak to się potoczy - powiedział Winter. - Rozumiesz? Jakobsson się nie odzywał.
  - Rozumiesz?
  - Ja nic nie zrobiłem.
  - To jest śledztwo w sprawie morderstwa, a ty jesteś podejrzany.
  - Kurwa, wszyscy tu mogą po.
  - Nikt ci nie pomoże. Jediną osobą, która to może zrobić,

jestem ja. Teraz masz szansę.

- Mogę zapalić j jeszcze j ednego?

Winter kolejny raz podał mu paczkę i pozwolił, by tym razem sam zapalił sobie papierosa.

- Przecież wszyscy wiedzą, że ja nie mam nic wspólnego z morderstwem - powiedział Jakobsson. - Wszyscy wiedzą.

- My nic nie wiemy. Jesteś poważnie podejrzany.

- Kurwa, nie.

- Czy to ty to zrobiłeś?

- Co zrobiłem?

- Zamordowałeś tę kobietę?

- Jezu.

- Przyznaj się od razu, a pomożesz i sobie, i nam.

- Oscar Jakobsson mordercą? Każdy by się uśmieł.

- Gdzie spotkałeś tę kobietę?

- Co?

- Kobietę, która, jak mówisz, złożyła ci propozycję. Gdzie ją spotkałeś?

- I znowu. Mówiłem przecież, że na parkingu.

- Nie wierzę. Jeśli nie powiesz, jak było naprawdę, nie uwierzę w nic, co mówisz. Jakobsson spojrzał na zachęcająco kiwającego głową Cohena.

- Dobra, kurrrwa, była tam kawiarnia, a wcześniej się ze mną skontaktowano.

- Skontaktowano? Telefonicznie?

- Tak.

- Kto się skontaktował?

- Ona. Ta babka, którą potem spotkałem w kawiarni.

- Zadzwoiła do ciebie?

- Tak.

- Gdzie wtedy byłeś?

- Gdzie byłem? W domu oczywiście. Nie mam komórki.

- Byłeś sam w domu?

- Kiedy? Kiedy zadzwonił telefon? Tak. brat chyba wyszedł. nie pamiętam.
- Co powiedziała?
- Że ma dla mnie propozycję i że mogę jej wyświadczyć przysługę, i wszystko to, co wałkowaliśmy już pięćdziesiąt razy.
- O czym mówisz?
- Że mówiłem już o tym, co powiedziała, tylko że mówiła to gdzie indziej. W kawiarni.
- Której kawiarni?
- W Jacky's Pub.
- To jest kawiarnia?
- Dla mnie tak. Piję tam tylko kawę. Piwo jest cholernie drogie. Zresztą i tak już nie piję.
- Kto zaproponował, żebyście się tam spotkali?
- Ja.
- Jesteś pewien?
- Nie do końca. Może to ona. To takie. czy możemy za chwilę zrobić przerwę? Mam już tego dosyć.
- Niedługo kończymy - powiedział Winter. - Spróbuj sobie przypomnieć, kto zaproponował miejsce spotkania.
- Ona.
- To ona zaproponowała?
- Tak.
- Dlaczego chciała się z tobą spotkać?
- Nie dam rady kolejny raz odpowiedzieć na to pytanie.
- Co powiedziała najpierw?
- Już, kurwa, nie pamiętam.
- Jak ona się nazywa?
- Nie mam pojęcia. Mówiłem to już ileś razy, odkąd tu usiedliśmy. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.
- Znasz ją.
- Skąd.
- Dlaczego w takim razie się do ciebie zgłosiła?

- Nie mam pojęcia.
  - Nie zdarza się, żeby ktoś dzwonił do obcych ludzi i prosił o przysługę.
  - Skąd mam wiedzieć, czemu wybrali właśnie mnie?
  - Mówiłeś, że jesteś uczynny.
  - Tak mówiłem? Tak, może to dlatego.
  - Jesteś z tego znany?
  - Mnie nie pytajcie. Ale może to właśnie dlatego, jak mówiłem. Usłyszała od kogoś, że chętnie pomagam innym, i zadzwoniła.
  - Od kogo mogła to usłyszeć?
  - Co?
  - Że chętnie pomagasz innym.
  - Pewnie od stu osób - odpowiedział Jakobsson.
  - Wylicz je - powiedział Winter, wyciągając z wewnętrznej kieszeni nowy notatnik i tępy ołówek.
  - Macie nie po kolei w głowach. Muszę iść do kibla.
  - Zaraz.
  - Muszę iść teraz. Nie rozumiecie. Jak mnie dopada, to na całego. Jeśli się nie wysikam za minutę, nie będzie miło siedzieć dalej w tym pokoju.
  - Jak ona się nazywa?
  - Mówiłem, że nie wiem. Możemy kontynuować przesłuchanie w kiblu, jeśli chcecie, ale ja.
  - Podaj mi jej imię i nazwisko.
  - Nie wiem, do kurwy nędzy!
  - Kto mógł jej podpowiedzieć, że wyświadczasz przysługi?
- Jakobsson nie odpowiadał. Wstał i podniósł się do połowy. Sądząc po plamie, która rozprzestrzeniła się po jego spodniach, przed chwilą, być może pierwszy raz w trakcie przesłuchania, mówił prawdę.



RINGMAR PRZECZYTAŁ STENOGRAM z przesłuchania Jakobssona. Również Ringmar wciągnął się na poważnie, teraz, kiedy mieli szansę dojść dalej. Byli coraz bliżej. To jak czuć zapach czegoś, o czym wiadomo, że jeśli się podejdzie bliżej, to coś okaże się jeszcze gorsze, pomyślał Winter.

- Przypuszczam, że on nie wie, w co się wpakował - powiedział Ringmar.

- To przebiegły koleś.

- Nie do końca - odparł Ringmar. - Nie w tym wypadku.

To zwykły złodziejaszek.

- Takich też czasem dopada panika.

- Jasne. Ale. coś tu nie pasuje.

- Möllerström pracuje nad jego znajomymi.

- Chyba ma ich trochę? - zapytał Ringmar.

- Nie tylu, ilu można by się spodziewać.

- Zależy, jak na to patrzeć. Wiedziałeś, że Oscar jeździł kiedyś motorem?

- Tak - powiedział Winter. - Chociaż trudno w to uwierzyć.

- Był w gangu motocyklowym. Jakaś lokalna odmiana piekielnych aniołków, ale chyba go wywalili.

- Słyszę grzmoty, od początku tego dochodzenia.

- Co mówisz?

- Nic takiego. Grzmi.

Ringmar spojrział na zwierzchnika. Był od niego młodszy. Miał cienie pod oczami i w jasnym świetle wyglądał, jakby oberwał. Długie włosy sięgały już ramion.

- Może za dużo myślę - powiedział Winter. - Może Jakobsson to tylko niewinny świadek.

- Niewinny posłaniec - dodał Ringmar. - Ale tacy nie istnieją.

- Mamy go puścić?

- Nie mam nic przeciwko, ale najpierw niech Cohen go trochę potorturuje.

Winter przeglądał stenogramy. Słowa spływały na niego z kartek. Przez ostatnie dwa czy trzy lata czytywał stenogramy z przesłuchań z niechęcią, jakby były fikcją wyjętą z rzeczywistego świata, do którego on nie mógł dotrzeć. Te rozmowy były poezją, grą, i obie strony wiedziały, że tak jest. To była wojna. Rzeczywistość, której rozmowy powinny dotyczyć, w ogóle się w nich nie pojawiała - aż do chwili kiedy jedna ze stron była wyczerpana tak bardzo, że fikcja się rozsypywała i na chwilę wyłaniało się czyste zło, przyćmione albo klarowne. Po kilku sekundach mogło znów zniknąć między wierszami i jeśli prowadzący przesłuchanie nie uchwycił go wtedy, jeśli nie zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, przegrywali, być może na zawsze.

Patrzył na zapis słów z zakończonego etapu polowania na mordercę i zastanawiał się, jak podobne mogą być głosy: wiatr niosący ze sobą smród zniszczenia. Głosy są jak wiatr, a słowa jak kamienie miotane przez burzę. Tak właśnie jest. Słowa to kamienie, a głosy to wiatr. Kiedy się zamknie oczy, można usłyszeć szum, a jeśli przy tym człowiek się nie osłoni - może oberwać słowami.

- Mówi, że kobieta miała czterdzieści albo dwadzieścia pięć lat.

- To może przez te okulary słoneczne - powiedział Ringmar. - Jeśli faktycznie je miała. Jeśli w ogóle istniała.

- Często chyba zleca się komuś takie zadania - powiedział Winter. - Ktoś taki jak Jakobsson dostaje zlecenie od kogoś, kto dostał je od kogoś innego, kto z kolei miał kontakt z samym źródłem - z mordercą.

- Tak, to zwyczajna procedura wśród przestępców - zauważył Ringmar.

- Musimy się zatem cofnąć o kilka ogniw - stwierdził Winter.

- Powinien powiedzieć od razu, jak to wyglądało - dodał Ringmar. - Kto i jak przekazał mu zlecenie.

- Też o tym myślałem.
- Gdyby po prostu wykonał zlecenie i tyle o nim nie myślał, powiedziałby nam o tym od razu.
- Tak.
- Więc zna tego, od kogo dostał zlecenie. Tę kobietę, o ile to była kobieta.
- Możliwe.
- Nie możemy też być pewni, czy w ogóle chodziło o jakieś pieniądze.
- Nie.

- Przyciśniemy go jeszcze - powiedział Ringmar. - Ale pozwalajcie mu się sikać, zanim znowu będzie za późno.

Wszczęto poszukiwania. Wellman wyjaśnił, skąd się wzięło opóźnienie, i zrobił to całkiem zgrabnie.

Wróciły wszystkie sprawy ostatniego miesiąca. Winter mógł teraz przeczytać własny raport, spisany na różne sposoby w różnych gazetach. Przejrzał prasę i odłożył ją na bok. Artykuł Bulowa stanowił całkiem niezłe wprowadzenie, ale nie było w tym nic dziwnego, bo to Winter odpowiadał za jego treść. Było to swego rodzaju porozumienie.

Zgodził się wziąć udział w konferencji prasowej następnego dnia przed południem, nie wcześniej.

Siedział sam w biurze. Poinformował centralę, żeby łączyli wszystkie rozmowy do Ringmara, a potem do Möllerströma. Obaj byli w pobliżu, czy raczej w zasięgu słuchu. Zamknął oczy i wypuszczał ustami powietrze, robiąc między wydechami równe przerwy: tototototo. Może to mu rozjaśni myśli. Kolejny raz wziął do ręki rysunki, ale znów zamknął oczy. Zacisnął powieki, żeby w głowie zrobiło się tak ciemno i cicho, jak to tylko możliwe.

Przeszukali dno jeziora. Znowu przeczesali leśne tereny nad wodą. Teraz, zadając pytania ludziom mieszkającym w okolicy, mogli być bardziej precyzyjni.

Zdjęcia z mieszkania Helene Andersén rozpowszechniono w

mediach i opublikowano na plakatach. Przejrzeli ewidencję ludności. Helene Andersén od trzech lat mieszkała w bloku na osiedlu Norra Biskopsgården, a wcześniej na osiedlu Backaplan. Jennie urodziła się w szpitalu Östra. Ojciec nieznanym. Helene sama zajmowała się dzieckiem, od początku.

Kontaktowała się z opieką społeczną, czy też raczej to opieka kontaktowała się z nią. Władze ją kontrolowały, odwiedzając w domu, ale uznały, że Helene daje sobie radę z opieką nad córeczką. Nikt, z kim rozmawiał Winter, nic nie pamiętał.

Nie miała pracy, ale nie pobierała zasiłku socjalnego. Coś tu się nie zgadzało. Nie zalegała z rachunkami, co oznaczało, że opłacała je, nie mając żadnych dochodów.

Nawet komuś, kto żyje skromnie, by się to nie udało, pomyślał Winter i otworzył oczy. Musiała dostawać pieniądze. W deklaracjach podawała, że ma niewielkie oszczędności, ale na żadnym koncie, w żadnym banku nie znaleźli jej pieniędzy. Tej kwestii jeszcze nie skończyli badać. Teraz interesowało ich, jak i gdzie mieszkała, zanim przybyła do Hisingen, do mieszkania na osiedlu Backaplan. Byli tam już i może powinni jeszcze wrócić do pewnej młodej pary, która wyglądała, jakby ją przyłapano na gorącym uczynku.

Chciał się też dowiedzieć, czym Helene się zajmowała. Jak dotąd nie zgłosił się ani żaden pracodawca, ani żadna szkoła. Nie zgłosili się też rodzice, pomyślał. Nadal więc była zupełnie sama na świecie, tylko ona i dziecko.

W książce telefonicznej Göteborga było stu czterdziestu pięciu Ande<sup>n</sup>ów, jak dotąd żaden się do nich nie zgłosił.

Helene miała telefon, podłączono go trzy miesiące temu. Wcześniej nie widniała w rejestrze abonentów.

Był październik, Helene założono linię dziesiątego kwietnia. Potem gdzieś kupiła telefon - nie wiedzieli gdzie. Dwudziestodwujęciolatka, która dostaje chyba pierwszy telefon. Czemu go zainstalowała? Czemu wcześniej nie

chciała go mieć? Czy nie starczało jej pieniędzy? Czy dostała go od kogoś?

Stało się coś, co sprawiło, że zdecydowała się na telefon, pomyślał Winter. Musiała się z kimś kontaktować, czasami szybko, jeśli zachodziła potrzeba. Bała się?

Czy telefon miał ją chronić? Czy miała być uchwytna przez całą dobę?

Siedem dni po tym, jak włączono linię, Helene już nie żyła. Zadzwoiła dwa razy, do budek telefonicznych. Jedna znajdowała się przy Vågmästareplatsen. Dzwoniła do niej czternastego sierpnia o osiemnastej trzydzięci. Druga przy dworcu autobusowym niedaleko Heden. Do tej dzwoniła dzień później, wieczorem piętnastego sierpnia. Jeśli to ona dzwoniła. Rozmowy trwały prawie tak samo długo: dwie i pół minuty. To mało, pomyślał Winter. Rozmawiał z Ringmarem dwie i pół minuty, mierząc czas - niewiele udało im się powiedzieć.

Odebrała trzy połączenia. Dwa bezpośrednio poprzedzały rozmowy wychodzące i połączono je z tych samych budek. Ktoś był na miejscu i najwidoczniej czekał na telefon. Dlaczego?, pomyślał Winter.

Trzeci raz dzwonił z numeru zarejestrowanego w mieszkaniu w Majorna. Ktoś dzwonił o wpół do szóstej po południu, szesnastego kwietnia. Rozmowa trwała minutę. Dzwoniła kobieta, Maj Svedberg, która w ogóle nie przypominała sobie takiej rozmowy. Szesnastego sierpnia? Czy ona w ogóle była wtedy w mieście? Może to wtedy, kiedy wykręciła zły numer? Odpowiedziało dziecko, a potem kobieta, i okazało się, że to pomyłka. Gdzie chciała się dodzwonić? Do dentysty, jeśli chcą sprawdzić, to ma numer do gabinetu, ale tego drugiego numeru nie pamięta.

Sprawdzili numer do dentysty, różnił się tylko jedną cyfrą.

- Sprawdźcie ją - powiedział Winter do Möllerströma.

Sterta z rysunkami Jennie robiła się coraz mniejsza i właśnie

teraz Winter do nich wrócił. Zauważył, że część jest bardziej dopracowana, linie są wyraźniejsze. To niekoniecznie musi zależeć od wieku. Może czasami dziewczynka była zmęczona. Motywy się powtarzały: łódki, samochody, kilka razy twarze w oknie. Las albo po prostu parę drzew - trudno określić. Brązowa lub czarna droga. Słońce i deszcz, prawie zawsze słońce i deszcz. Zawsze plener. Na żadnym nie widział wnętrza.

Trzymał przed sobą rysunek. Przedstawiał dom ze spadzistym dachem, z zatkniętą duńską flagą.

Duńska flaga, pomyślał Winter. Biały krzyż na czerwonym tle. Dom stał na łące, przedstawionej za pomocą kilku zielonych kresek. Ściany były białe jak papier.

Przez następne pół godziny przeglądał pozostałe rysunki. Znalazł jeszcze jeden z duńską flagą.

Miał dwa rysunki z duńską flagą.

Miał też ponad dwadzieścia rysunków przedstawiających łódkę na wodzie.

Do tego trzy z samochodem, który prowadził mężczyzna z odstającą czarną brodą.

Położył obrazki z duńską flagą obok siebie. Przyglądał się im, każdemu z osobna.

Poszukał wzrokiem podpisu, „jeni”, i nagle zamarł. Pod rysunkiem leżącym z prawej strony widniał podpis: „helene”. Poszukał podpisu na drugim rysunku. Znalazł go w prawym dolnym rogu: znów „helene”. Przełknął ślinę i znów zaczął przeglądać leżącą przed nim stertę. Jeden z rysunków przedstawiających samochody był podpisany „helene”. Nie różnił się niczym od dwóch pozostałych. Spośród obrazków, na których widać było łódkę, pięć podpisanych było „helene”. Litery były tak dziecięce jak te w podpisie „jeni”. Motywy te same, styl też wydawał się identyczny.

To jedna z najbardziej niesamowitych rzeczy, jakich

kiedykolwiek doświadczyłem, pomyślał Winter.

Wstał i przeciągnął się. Cały zdrętwiał. Długo siedział pochylony do przodu, zapominając o higienie pracy. Czuł, że zeszytniało mu ramię. Deszcz walił w okna. Słyszał pomruk motocykli i pisk mew, które, kołysząc się, przelatywały nad parkiem.

Gdzieś w głowie kołatała mu się myśl o czymś, co zobaczył, kiedy przez ostatnią godzinę przeglądał obrazki. Coś się powtarzało. coś, co widział już wcześniej i na co nie zwrócił uwagi. Jak plama w kącie, którą ledwo się zauważa i zaraz się o niej zapomina.

Podszedł z powrotem do jednego ze stołów, na których rozłożył posegregowane obrazki. Jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy. jest - chodziło o drogę biegnącą od dolnej do górnej krawędzi obrazka. To mogła być droga, ponieważ zakręcała lekko przy kilku drzewach i prowadziła do domu, który miał drzwi i okna, ale nie miał dachu.

Dalej przebierał w kartkach. Zdawały się sztywnieć mu w rękach. I znowu. Droga biegnąca przez kartkę. Dom bez dachu, okno na lewo od drzwi. I tutaj... na prawo od domu: coś przypominającego ustawiony pionowo prostokąt, z krzyżem na górze.

Linie biegly po przekątnej, krzyżując się podwójnie.

Znów spojrział na pierwszy rysunek. Taka sama, mała, ledwo zauważalna skrzynia w pustym rogu kartki, z liniami biegnącymi po przekątnej.

Wiatrak, pomyślał. To może być wiatrak.

Oba obrazki podpisane były „jeni”.

- Wzięłam koszyk - powiedziała Angela, trzymając go tak, żeby Winter mógł go zobaczyć.

- Dziś piątek? - zapytał.

- Piątek wieczorem, godzina dwudziesta zero zero.

- W takim razie nie mogę pozwolić, żebyś dalej stała na

korytarzu.

- Możesz do mnie wyjść.
- I przegapić solo na trąbce. Właśnie się zresztą zaczyna.
- Fajnie.
- Ale wejdź, zanim się skończy.
- Chyba cię nie zaskoczyłam?
- Nie, ja tylko.
- Pracowałeś? Albo myślałeś? Zapomniałeś, że miałam przyjść?
- Wszystko razem i nic - odparł Winter.
- Co to znaczy?

Nie odpowiedział, wziął tylko koszyk. Postawił go na podłodze i pomógł jej zdjąć płaszcz. Był ciężki i ładnie pachniał, nią, a przy tym miał też cierpką nutę zapachów ulicy unoszących się nad Vasaplatsen.

- Dawno tu nie byłam - powiedziała, kiedy weszli do salonu.
  - Ja też nie.
  - Domyślam się.
  - Pozwoli pani? - zapytał i chwycił ją, pociągnął za sobą po drewnianej, lakierowanej podłodze, w której odbijało się światło stojącej przy oknie lampy.
  - Co to? - zapytała, odchylając lekko głowę i patrząc na niego.
  - Donald Byrd.
  - Mam na myśli ten taniec. Zaskoczyłeś mnie.
  - Życie jest pełne niespodzianek.
  - Co z tobą? Piłeś?
  - Cicho. Po prostu ze mną tańcz - powiedział Winter.
- Obrócił ją w prawo, kiedy po solówce Byrda zaczął grać Trane. Potem Byrd wrócił, a on przyciskał ją do siebie coraz mocniej i wciąż obracali się w prawo.
- A jeśli nie chcę już tańczyć? - zapytała.
  - *Shut up* - powiedział z zamkniętymi oczami.

Tańczyli. Nie pamiętała już, kiedy to robili ostatnio. I dobrze, że tańczyli. To niezły początek piątkowego wieczoru. Taniec i



wino, które przyniosła, a do tego raki i białą.

- To wszystko odbywa się tak samo na twoich warunkach, jak na moich - wyszeptał jej do ucha.

- *Shut up* - odpowiedziała.

Tańczyli, dopóki nie skończyła się muzyka.

Wzięli jedzenie do kuchni. Winter zaczął przyrządzać dry martini w shakerze.

- Kiedy ostatni raz piłeś martini? - zapytała.

- Może z pięć lat temu? Wstrząśnięta czy zmieszana?

- Wstrząśnięta oczywiście.

- Dobra, ale może być i taka, i taka.

Spojrzała na niego. Twarz miał jakby obtłuczona, bledszą niż ostatnim razem, kiedy się widzieli. Koszulę miał u góry rozpiętą i widziała ścięgną na jego szyi. Spojrzał na nią, wstrząsając martini, i uśmiechnął się.

- Erik, świętujesz coś?

Skończył mieszać napój w naczyniu, które miało kolor lodu, i postawił je na blacie.

- Właściwie to jest na odwrót.

- Czyli?

- Czułem, że potrzebuję czegoś innego.

- Innego niż ta okropna sprawa, którą prowadzisz?

- Taa. tak, czegoś co trochę mruga i błyszczy. czegoś nowego. Jak to - powiedział, wskazując ruchem głowy na shaker.

- W takim razie polewaj - powiedziała. - Tu są kieliszki.

Nalał i zaczęli pić.

- Smakuje świetnie - powiedziała. - Zimne i wytrawne.

- Nie za dużo wermutu?

- Może, ale jest w porządku.

- Jesteś snobką.

- A tobie smakuje?

- Mogłoby być bardziej wytrawne.

- W każdym razie to coś innego.

- Tak.
- Nakryjemy do stołu i porozmawiamy o ostatnim tygodniu?
- Zaczynamy od ciebie.
- To ty bardziej potrzebujesz rozmowy - powiedziała.

## 41

KIEDY WYSZEDŁ, znów było lato. Babie lato. Nie było jeszcze ósmej, a w cieniu domu wciąż kryła się czerń nocy. Wóz zamiatający ulice przesuwiał się po drugiej stronie Vasaplatsen, wciągając w obracające się szczotki resztki porannej mgły. Ludzie czekali na tramwaj. Było jak zwykle. Ciężarówka dowiozła świeże pieczywo do baru Wasa. Winter czuł zapach chleba. Był głodny. Wypił tylko filiżankę kawy. Angela jeszcze spała. Przykrył prześcieradłem jej ciało, niczym nieosłonięte przed światłem, które obudzone na nowo lato wpuszczało do mieszkania.

Zasnął cztery godziny wcześniej, przedtem rozmyślał, pogrążony w półśnie. Wraz ze snem w jego głowie zapanował spokój, a on sam znalazł się w lesie. Stał między drzewami, przez listowie padał deszcz, a na górze świeciło słońce. Przed sobą, na ścieżce, widział biały, nieproporcjonalny samochód. Ktoś dziecięcym głosem wykrzykiwał jego imię. Wcześniej widział ten samochód stojący na tle morza, które zaczynało się tam, gdzie kończyła się ścieżka. Statek, jakby wycięty z obrazka, unosił się na wodzie. Zauważył nieznaną postać. Siedziała w samochodzie. Miała rude włosy, a potem odwróciła się w jego stronę. To była twarz dziecka. Zrobiła się większa od szyby samochodu. Stał przy relingu, a na wodzie unosił się but. Na horyzoncie widać było latarnię morską. Podeszedł bliżej i zobaczył, że to wiatrak i że jego śmigła się obracają. Zobaczył twarz, która zmieniła się w zegar, a wskazówki były poruszającymi się wargami. Słońce przeświecało przez deszcz.

Śmigła obracały się na wietrze, będąc jednocześnie zegarem wypuszczającym strzały w kierunku samochodu, którym jechali leśną drogą. On prowadził, trzymając za rękę dziewczynkę. Mała wskazywała palcem kierunek, w którym jechali. Spojrzał w dół, na stopy: na jednej miał dziecięcy bucik. Skórzane paski były przywiązane do jego palców. Teraz miał w pamięci ten ostatni obraz. Rzemyski dziecięcego buta wokół jego palców.

Przeszedł przez Kungstorget. Stragany przygotowywały się do otwarcia. Z ciężarówek wynoszono warzywa i owoce w skrzyniach i układano na półkach. W zapachach poranka Winter wyczuwał zapowiedź ciepłego dnia. Wszedł do kawiarni po drugiej stronie Kungportsplatsen i zamówił kawę i francuską bułkę z masłem i serem. Usiadł przy oknie i obserwował, jak naprzeciwko otwierają redakcję dziennika. Młoda kobieta rozwieszała afisze. Nie mógł ich stąd odczytać, ale domyślał się, co na nich napisano. Media zajęły się morderstwem i zaginięciem dziewczynki z rozmachem, jak to określił Wellman wczoraj, podczas krótkiego popołudniowego spotkania. Tak było. To było jasne. Winter miał tylko nadzieję, że nie zaszkodzą za bardzo dochodzeniu. Jak dotąd doniesienia mediów sprawiły, że zgłosiły się setki, może nawet tysiące osób. Winter zajmował się tym na tyle, na ile mógł. Próbował poważnie traktować te przypadki, które na to zasługiwały. Widać było, że chcą pomóc, ale i boją się tego, co się stało. Tego, co mogło się stać znowu.

Wstał i przeszedł się na północ, do Brunnsparken. Stanął na przystanku dwójki. Jennie narysowała tramwaj, którego koniec oznaczyła tą właśnie cyfrą. Możliwe, że jechała tramwajem, może z mamą, z Helene.

Przesłuchali motorniczych, ale żaden nie znał twarzy ludzi, których woził po mieście. Może to forma obrony. W pracy nie byli chronieni. W pobliżu Norra Biskopsgården również pokazywali zdjęcia, ale nikt nic nie wiedział, niczego nie

kojarzył.

Niektóre zdjęcia musiał zrobić ktoś inny. Serię zdjęć dziewczynki wykonano rok temu w zakładzie fotograficznym przy Vågmästareplatsen. Fotograf pamiętał, ale nic więcej nie wiedział. Tyle się dowiedzieli. Nieliczne pozostałe zdjęcia z mieszkania Helene wykonano aparatami, których nie znaleźli.

Ktoś musiał robić zdjęcia Helene i Helene z córeczką.

Na niektórych były razem i na razie to było wszystko, co na ten temat wiedzieli. Helene była sama, kiedy urodziła dziecko. Czy to tata dziewczynki robił te zdjęcia? Tylko jedno z nich przedstawiało Jennie jako niemowlaka. Siedem czy osiem zrobiono całkiem niedawno, nie w zakładzie fotograficznym. Na dwóch widniała data, to mogło im pomóc. Winter się rozejrzył. Z dziesięć osób czekało na tramwaj. Przyjechała dwójka i pod wpływem impulsu wsiadł do niej wraz z czterema mężczyznami, którzy wyglądali na Etiopczyków, i z pijanym Szwedem. Kiedy Etiopczycy wsiadli do tramwaju, który ruszył w kierunku Dworca Centralnego, pijak zaczął wykrzykiwać rasistowskie hasła. Winter podniósł się i ruszył w jego stronę przez niemal pusty wagon - facet miał na oko trzydzieści pięć lat - i pomyślał, że miło byłoby stracić równowagę i walnąć go pięścią w brzuch. Ale facet jest nieszczęśliwy, pomyślał Winter, dlatego tak się wydziera. Trzeba to zrozumieć. Chociaż ja nie mam już cierpliwości, żeby tego słuchać. To nie pierwszy raz. Wkurzają mnie rasiści, nawet ci pijani i nieszczęśliwi.

Tramwaj zatrzymał się przy Drottningtorget. Pijak wstał i wyturlał się z wagonu, nie patrząc na Wintera. Etiopczycy skomentowali jego wyjście w swoim języku. Nagle dwóch z nich podniosło się i ruszyło za pijakiem, idącym chwiejnym krokiem w kierunku dworca. Oberwie, pomyślał Winter. Może ci faceci to zawodowi bokserzy. To, że się jest czarnym, nie oznacza, że trzeba być miłym.

Przejechali przez most. W dole, nad przystanią Frihamnen, żurawie ruszały się do przodu i do tyłu, chwytając wyładowane owocami kontenery. Słońce oświetlało banany, jakby trafiły z powrotem do domu. Kawalek dalej, przy Vågmästareplatsen, Irańczycy, Hindusi i Afrykańczycy chodzili grupami, jak zawsze. Winter zastanawiał się, czy widział kiedyś kogoś ciemnoskórego, choćby Araba, idącego w pojedynkę.

Plac przy Rambergsvallen usiany był dziećmi. Grały w piłkę nożną albo ganiały własne cienie. Przy wejściu na basen Lundbybadet powieszono flagi. Pośrodku powiewała duńska. Trzeba się tym zająć, pomyślał Winter. Musi być powód, dla którego mała, dla którego obie namalowały taką flagę. Czy widziały tę tutaj, jak ja? Boże, trzeba sprawdzić podpisy i różnice między rysunkami, jeśli w ogóle są.

Duńska flaga trzepotała między innymi wiszącymi nad wejściem do Lundbybadet. Czy bywały tu regularnie?, pomyślał. Może dziewczynka jest zapisana do szkółki pływackiej, czy jak to się tam nazywa. Czy sprawdziliśmy basen? W żadnym raporcie nie widziałem wzmianki o tym.

Może Helene kogoś tam spotkała. A może w Danii? Może siedziała na promie, czekając, aż dopłynie na ląd. W Danii mogło się wydarzyć coś, co ma związek z tą sprawą. Skontaktowaliśmy się wprawdzie z Interpolem, ale wiadomo, jak to z nimi jest, pomyślał. Czy coś mogło się stać w Danii? Czy jest tam coś, co przypomina widoki z rysunków? Czy miała w Danii krewnych, których odwiedzała, a w czasie tych wizyt Jennie ciągle rysowała. a może Helene też rysowała?

Wysiadł przy Friskväderstorget. Słońce oświetlało anteny satelitarne. Wyglądały jak uszy odstające od budynków. Talerze zdawały się kołysać w rytm dźwięków dobiegających z budynku. Gdzieś ze środka słychać było muzykę. Brzmiała jak John Coltrane w fezie, zaciągający się wodną fajką. Turecki jazz, pomyślał. Nieźle kołysze. Na placu zabaw przed

budynkiem, w którym emeryci prowadzili przedszkole, wśród dzieci stał Ernst Lundgren. Wysoki staruszek schylał się tak, że mógł albo wzmocnić kręgosłup, albo połamać go na kawałki.

- Coś nowego? - zapytał, kiedy Winter się z nim przywitał. Winter streścił mu ostatnie wydarzenia.

- Ja niczego się jeszcze nie dowiedziałem - powiedział Lundgren. - Nie należała do naszego niewielkiego kółka.

- Nikt z rodziców jej nie znał?

- Żadna z mam. Nie.

- Wygląda na to, że była jedną z najbardziej samotnych osób na świecie - zauważył Winter.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Nic mnie już nie zaskoczy - powiedział Lundgren.

- Nie przypuszczałem, że jest pan cyniczny.

- Nie jestem. Po prostu już się nie dziwię.

- Samotności?

- Ona nie była jedyna. Takich jak ona jest mnóstwo. Można chyba powiedzieć, że są w większości.

Winter oglądał nagranie wideo z ostatniego przesłuchania Oscara Jakobssona. Cohen mówił jak ksiądz spowiadający bezbożnika. Ale Jakobsson nie chciał wyznać grzechów. Prowadzący przesłuchanie przypuszczał długi atak, próbując wyciągnąć to, co ich interesowało. Jakobsson się bronił.

- Nie widziałem jej i nigdy już jej nie zobaczę - powiedział.

- Nie rozumiem.

- Mówię o tej babce, co dała mi numer, kopertę i pieniądze.

- Ja mówię o Helene Andersén.

- Nigdy jej nie spotkałem.

- Dwa razy wpłacałeś za nią czynsz.

- I co z tego mam?

- Nie udawaj głupka, Oscar.

I tak dalej, i tak dalej. Winter przyglądał się przesłuchaniu z coraz większą pustką w głowie.

W mieszkaniu pachniało wiatrem i drewnem.

- Posprzątałam - powiedziała Angela. W rękę trzymała kieliszek z winem. - Prawdziwa ze mnie gospodyni.

- Nie licząc kieliszka - odparł Winter.

- Chcesz trochę?

- Nie. Wolę gin z tonikiem, skoro już zaczęłaś pić.

- To ty zaczęłaś. Nigdy nie piłeś, a teraz zaczęłaś.

- Nigdy nie jest za późno.

Weszła z nim do kuchni.

- Spędziłam tu cały dzień.

- To więcej, niż mnie się kiedykolwiek udało.

- Było naprawdę miło. Jeśli chcesz, mogę cię odprowadzić.

- Gdzie obiad?

- Co?

- Obiad powinien czekać na stole! - powiedział Winter, wskazując na okrągły stół pod oknem.

- Pójdziemy do restauracji.

- I to mówi prawdziwa gospodyni. Ale jeśli mamy wyjść, muszę najpierw wziąć prysznic. - Zaczął rozpinać koszulę. - Cały zdrętwiałem. Długo siedziałem, oglądałem nagranie.

- Nic innego nie robicie, tylko umilacie sobie czas.

- No.

Przez chwilę robiła coś przy blacie, a potem przyniosła mu gin.

- Jak idzie, Erik? - pomogła mu zdjąć koszulę i trzymała ją teraz w rękach.

- Taak. Jak idzie? Posuwamy się naprzód, ale boję się jak cholera o to dziecko. Sama wiesz, jak to wygląda.

- Myślałam trochę o tym, co o niej mówiłeś. Sprawdziliście pogotowia?

- O co pyta lekarka? Czy sprawdziliśmy szpitale. Ale tak, jasne, że tak.

- Helene. mam na myśli mamę.

- Co z nią?

- Czy nie ma krewnych? Nikt się przecież nie zgłosił. Ale musiała gdzieś dorastać.
- Jak tylko ustaliliśmy, jak się nazywała, a wiemy to od niedawna, rozesłaliśmy komunikat do wszystkich gmin i instytucji na świecie. Włączając domy dziecka, rodziny zastępcze i tym podobne.
- Rozumiem. Myślałam dziś o Helene jako dziecku. Kiedy miała tyle lat, ile teraz ma jej córeczka. Jennie, tak? Dobra, może nie ma jej w żadnym szpitalu - mówię o Jennie - albo jeszcze o tym nie wiecie. To samo dotyczy mamy. Ale może przyjęto ją do szpitala jako dziecko. Może z jakiegoś powodu trafiła na pogotowie. Mówię o Helene. Wiem, że zastanawia cię to nazwisko, Andersén.
- No. Mów dalej.
- Cóż. Przypuśćmy, że dziewczynka o imieniu Helene z jakiegoś powodu została przyjęta do szpitala, dawno temu. Jeśli tak było, to musi to być zapisane w papierach.

## 42

WINTER SPOTKAŁ SIĘ Z BERGENHEMEM na parkingu przed komendą. Winter właśnie wchodził do budynku. Berghem miał wolne przedpołudnie. W nosidełku, które miał na plecach, siedziało jego dziecko. Winter stanął za Berghemem, a Ada patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Spotkaliśmy się już kiedyś - powiedział.
- Ostatnio wczoraj - odparł Berghem.
- Nie mówię do ciebie.
- Aha.
- Jak leci? - zapytał, głaszcząc ją palcem po policzku. Jej skóra przypominała mu coś miękkiego, ale nie wiedział dokładnie co.
- W porządku - odpowiedział Berghem.



- To też nie było do ciebie.  
- Zapomniała języka w buzi. Zrobiłeś na niej wrażenie. Mógłbyś ją podnieść?

- Dam radę?  
- Jak chcesz, mogę przykucnąć.

Winter wyciągnął ręce do dziecka. Ada rozdarła się na cały głos.

- Ale ona nie chce.  
- Po prostu cię sprawdza.  
- Dobra - powiedział Winter i podniósł dziecko. Ada zamilkła. - I co teraz? - Przytulił ją do siebie.  
- Nic.

Winter wciąż trzymał małą w ramionach, a ona mu się przyglądała.

- Słyszałem, że małym ludziom, takim jak ta tutaj Ada, czasami się wydaje, że wcale nie jest tak fajnie spać w nocy.  
- Gdzie o tym słyszałeś?  
- Chyba gdzieś czytałem. Może w jakiejś książce.  
- Ada nic o tym nie słyszała.

Winter spojrział na Bergenhema, jakby ukradkiem. Inspektor kryminalny był dziesięć lat młodszy od niego. Może jednaście. Teraz miał wrażenie, że jest na odwrót. Lars jest dobry w czymś, w czym ja nie miałbym nawet szans na staż, pomyślał Winter. Dobrze, że nie ma tu Angeli.

Ostrożnie postawił dziecko na ziemi.

- Widzimy się po południu - powiedział.  
- Jeżdżę dziś z Jannem - powiedział Bergenheim. - Z pierwszej tury zostało nam już niewiele osób.  
- Będzie tylko jedna tura.  
- Tak. To jak powódź, która czekała na otwarcie tamy. Ogromna różnica, jeśli się to porówna z pierwszym etapem dochodzenia. Jakby ludzie tylko na to czekali, żeby zacząć mówić.  
- Czasami mam wrażenie, że minęło wiele lat - powiedział

Winter.

- Wczoraj dzwoniło już sporo osób, które ponoć wiedzą dokładnie, gdzie jest dziewczynka. Część przy okazji od razu się przyznała.

- Przedwczoraj było to samo.

- Przydałoby się jeszcze ze stu ludzi.

- No.

- Ale tak oczywiście nie powinno się mówić.

- Możesz mówić, co chcesz - powiedział Winter i przykucnął przed Adą, robiąc do niej śmieszne miny.

- Dzięki.

- To nie do ciebie.

Biurko Birgerssona błyszczało. Szef wydziału palił przy otwartym oknie. Winter jeszcze nie wyciągnął cygara z kieszeni marynarki. W dziennym świetle wpadającym przez okno twarz Birgerssona wyglądała na zarumienioną, jakby ją trzymał nad ogniem.

- Te poszukiwania przyciągnęły wszystkich dziennikarzy z kraju - powiedział.

- Może to dobrze.

- Teraz masz tyle materiału, że możesz czerpać wiadrom.

- W takiej sytuacji ważne jest, żeby nie być zbyt ambitnym.

- Wciąż jeszcze się za to gniewasz?

- Tak.

Birgersson uśmiechnął się i strząsnął popiół do popielniczki, którą wyciągnął z szuflady biurka. Ta sama procedura, pomyślał Winter. Ta sama, stara procedura. Birgersson podniósł głowę jak nasłuchujący pies.

- Słyszysz? Rowery suną przez miasto.

- I tak jest ich teraz mniej, niż kiedy było gorąco.

- Znow zrobiło się ciepło.

- Ale to nie to samo.

- Ta cholerna strzelanina na Hisingen. Jak on się nazywał. Bolander. Nie powinniśmy go tu ściągnąć? Nie podoba mi

się, że się od tego wymigał.

- Wiesz, jak jest, Sture.

- Tak tylko mówię. Ale musimy zdobyć coś więcej. Wiem, ile masz roboty, ale nie możemy. Nie możemy tolerować takich gangsterskich zwyczajów na miejskim placu. Gangsterskie zwyczaje! Gangsterskie!

- Przecież to gangsterzy.

- To nawet nie jest szwedzkie słowo. Obcy element w naszym kraju.

- Są u nas już od dawna.

- Niech się trzymają Danii - powiedział Birgersson. - To duński fenomen. Ewentualnie skański.

- Amerykański.

- W Danii jest najgorzej. W niektórych miastach męczą się z dwoma gangami, z aniołkami i tymi tam - Bandidos. Na przykład w Aalborgu. Strzelali do siebie przed dworcem. Przed dworcem kolejowym!

- Słyszałem o tym.

- Co też się porobiło.

Winter spotkał Möllerströma przed salą konferencyjną. Był podekscytowany. Ostatnim razem miał inne okulary, a może Winter nie przyjrzał mu się wtedy tak dokładnie. Oprawki wyglądały jak ekrany komputera, chociaż raczej cała twarz Möllerströma tak właśnie wyglądała.

- W szpitalu Sahlgrenska przeszukali karty - powiedział. - Październik 1972 roku. Data nie jest do końca pewna.

Winter pomyślał o Angeli. Zobaczył ją, ubraną w biały fartuch, w sali, obok kogoś w opatrunkach.

- Chodzi o dziecko?

- O dziewczynkę, która jakimś cudem trafiła do nich sama.

- Trafiła?

- Na pogotowie.

- W Sahlgrenska?

- Tak. Była w ciężkim stanie.

- A więc to Helene - powiedział Winter, przerywając chronologiczny wywód Möllerströma, który od razu zrobił zawiedzioną minę.

- Tak - odpowiedział krótko.

- Co się stało?

- Z tego co wiem, zaczęli szukać jej krewnych i dość szybko ktoś ją rozpoznał.

- Ale krewni się nie znaleźli? - zapytał Winter, znów wywołując zawód na twarzy Möllerströma.

- Nie.

- To ten sam schemat - powiedział Winter. - To dlatego.

- Rozpoznali ją sąsiedzi z Frölundy. Nazywała się Dellmar.

- Dellmar?

- Mieszkała z mamą w mieszkaniu we Frölundzie. Nazywały się Dellmar.

- Ale to nie mama się zgłosiła?

- Nie.

- Gdzie wtedy była?

- Nie wiem - odpowiedział Möllerström. - Wygląda na to, że nikt nie wie.

Winter trzymał w ręku kopię skrawka. Helene miała go w ręku zarówno jako dziecko, jak i jako dorosła. Jej odciski rozpoznano. Czy spocona dłoń dziecka zachowała się wyraźniej od innych?

- Zatem to było w kieszeni sukienki schowanej w pudle, w piwnicy? - zapytał Ringmar. - Co miała na sobie, kiedy trafiła do szpitala?

- Nie wiem. Nie ma nic o tym w papierach.

- Czy ktoś może wiedzieć?

- Nie mam pojęcia, Bertil. To kolejne pytanie bez odpowiedzi.

- Zastanawiam się tylko nad tą sukienką. Czy miała ją na sobie. I co się potem z nią działo.

- Rozumiem.



- Myślisz o dziecku - powiedziała.
  - Tak, ale teraz myślę o nim inaczej.
  - Jak to?
  - Wiesz, jak to się zmienia. W jednej chwili widzi się możliwości, a w następnej problemy.
  - Brzmi jak trafny opis życia.
  - I pracy. niestety. Dzisiaj, trochę wcześniej, byłem przygnębiony jej poszukiwaniami.
  - Myślisz, że mogło się stać. najgorsze?
  - Nie chcę krakać.
  - Jest nadzieja. Sam tak mówiłeś wiele razy.
  - Nadzieja w tym sensie, że nie mamy do czynienia z klasycznym przypadkiem, kiedy dziecko znika z placu zabaw i możemy podejrzewać, że porwał je jakiś skurwiel. W takich wypadkach rzadko kiedy jest nadzieja. Rzadko te dzieci znajdujemy, chyba że jakiś psychopata się przyzna i wskaże grób.
  - Ale teraz j est inaczej.
  - Tak. To wyjątkowy przypadek. Może jeszcze jest nadzieja. Ale może się skończyć czymś gorszym, niż widzieliśmy do tej pory.
  - Nie mów tak. Chociaż może musisz.
- Nie odpowiadał.
- Musisz porozmawiać z kimś innym. nie tylko z tymi kryminalistami.
  - Tak, możliwe.
  - No to słucham.
  - Chodzi też o coś innego - powiedział, opierając się na łokciu. - Nad tą sprawą ciąży niesamowita samotność. Tyle czasu zajęło nam znalezienie jej nazwiska i adresu i potwierdzenie przypuszczeń co do zaginięcia dziecka. Gdyby nie ta starsza pani, może wciąż szukalibyśmy tropu po omacku. Rozumiesz? Dojmująca samotność. Zidentyfikowaliśmy ją już, ale jak dotąd znamy tylko

niewielkie fragmenty jej życia.

- Ale teraz, kiedy rozpoczęliście poszukiwania w całym kraju, czy jak to się tam nazywa, na pewno dowiecie się więcej.

- Tak, oczywiście. Chociaż, czy ja wiem? O to mi właśnie chodzi. O tę jej straszną samotność.

- Aha.

- Nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Rozumiesz? Tak jak my teraz rozmawiamy.

- Jak my - powtórzyła Angela. Ale jak długo?, pomyślała. Nie umiem teraz odpowiedzieć. To niemożliwe, i on sobie zdaje z tego sprawę, i myśli o tym. Wygląda teraz na takiego wrażliwego, jak nigdy wcześniej. Wygląda młodziej i nie chodzi tylko o włosy. To nie czas na stawianie ultimatum. Może za godzinę albo za dwa dni.

Podniosła rękę i prawą dłonią przejechała mu po włosach.

- Jak długo jeszcze mają rosnąć?

- Rosną bez przerwy.

- Chodziło mi o to, kiedy je zetniesz.

- Kiedy znajdziemy dziewczynkę.

- To dlatego? Zrobiłeś się przesądny, czy co?

- Nie, ale tak chcę zrobić. I dobrze się z nimi czuję.

- Tylko żadnego kucyka. Nie pasuje do ciebie.

- Dobra.

- Jedyne zwierzę, które według mnie dobrze wygląda z kucykiem, to twój kolega z Londynu.

- Macdonald.

- Widzieliśmy się tylko przez chwilę, ale wyglądał w tym kucyku jak wariat.

- Ja też bym tak wyglądał?

- Nie, ale ty nie masz tego. hardego wyrazu twarzy. Sama nie wiem, jak to nazwać.

- Dzięki.

- To komplement. A tak w ogóle masz z nim kontakt?

- Z Macdonaldem?

Pokiwała głową. Zabrała rękę z jego włosów.

- Dostałem tylko pocztówkę. Może do niego zadzwonię. Może mi coś poradzi.

- Współpraca bez granic.

- To nie pierwszy raz - powiedział Winter i zwiesił nogę przez krawędź łóżka. Obrócił się i spojrzał na nią. - Angela.

- Tak?

- Dostaliśmy informację ze szpitala psychiatrycznego Lillhagen, że Helene mogła tam krótko przebywać. Leczyła depresję.

- Ojej.

- Ktoś z naszego wydziału przejrzał rejestry. To mogła być ona. Pod innym nazwiskiem. Potem została wypuszczona i już nie wróciła.

- To teraz dość powszechne.

- Że nie wracają?

- Przecież wiesz. Wiesz, jak to teraz jest. Zamyka się szpitale psychiatryczne i wypisuje się ludzi, a oni nie wracają, bo nie mają dokąd.

- No tak.

- Trafiają do nas czasami, bo robią sobie krzywdę, wykonując najprostsze codzienne czynności.

- Aha.

- Jest do dupy.

- Często biegają z krzykiem po ulicach albo wrzeszczą z okien.

- Nie wiem - powiedziała. - Ale to też jest samotność. Brak drugiego człowieka.

- Brak drugiego człowieka - powtórzył. - Czy do tego zmierzamy?

- Nie wiem.

- Da się z tego wyleczyć?

- Kogo?



- Społeczeństwo. Wiem, że to brzmi trochę historycznie, ale czasem się nad tym zastanawiam. A to ty jesteś lekarzem.
  - Samotność jako nieuleczalna choroba trawiąca społeczeństwo? To kolejna przerażająca perspektywa.
  - Nie omawialiście tego na żadnym kursie?
  - Kiedy studiowałam? Wtedy to jeszcze nie zaszło tak daleko.
  - Teraz posuwa się coraz szybciej. Chcesz kanapkę?
- Telefon zadzwonił, kiedy zakończyli wstępne poszukiwania. Winter wziął kartkę do biura i był już przygotowany. Spodziewał się czegoś już wczoraj, a nawet przedwczoraj. Wiedzieli już o domu dziecka. Siedział teraz, trzymając przed sobą nazwisko osoby, która dzwoniła. Dowiedzieli się o tym dosłownie chwilę wcześniej i wyglądało to tak, jakby Louise Keijser, bo tak się nazywała, to wyczuła.
- Chodzi o Helene... Andersén - powiedziała.
  - Skąd pani dzwoni? - zapytał.
  - Z Helsinek. Rozmawiałam z kimś z tutejszej policji i powiedzieli mi, żebym skontaktowała się z wami.
  - Tak, właśnie dostaliśmy wiadomość.
  - Jestem. to znaczy byłam jej przybraną matką. Powinnam raczej powiedzieć - jedną z nich.
  - Proszę mówić tylko o sobie - powiedział Winter. - Rozpoznała pani Helene Andersén?
  - Tak.
  - W jaki sposób?
  - Ja. widziałam zdjęcie w helsińskiej gazecie, a potem mówili o tym w telewizji. Domyśliłam się, że chodzi o Helene. - Umilkła na chwilę. - Mieszkam w Helsingborgu - dodała.
  - Kiedy ostatni raz widziała pani Helene?
  - Och. Wiele lat temu.
  - Wiele lat? Jak wiele?
  - Nie kontaktowałyśmy się ze sobą od. chwileczkę. to było

na długo przed tym, jak zmarł Johannes, mój mąż. Helene wyprowadziła się stąd jakieś dwanaście lat temu. mam to gdzieś zapisane, mogę znaleźć.

- Ale rozpoznała ją pani na zdjęciu w gazecie?

- Tak. nie wiedziałam, że miała córeczkę. Są do siebie takie podobne na zdjęciach.

- Chciałbym, żeby pani tu przyjechała, pani Keijser. Może pani?

- Przyjechała? Do Göteborga?

- Tak.

- Mam już swoje lata, ale mogę przyjechać pociągiem. Jeśli trzeba.

Winter spojrzął na zegarek.

- Jest jeszcze wczesnie. Proszę wsiąść do pociągu tak szybko, jak da pani radę. Możemy pani zarezerwować miejsce i dać znać telefonicznie. Odbierzemy panią z dworca i możemy załatwić nocleg w hotelu.

- Mam znajomych w Göteborgu.

- Jak sobie pani życzy, pani Keijser.

Zaczął od nowa przeglądać tropy. Nie wszystkie, ale wystarczająco dużo, by móc z nich ułożyć część schematu.

Birgersson i Wellman przydzielili mu tylu ludzi, żeby mógł się szybko przedrzeć przez archiwa instytucji państwowych i zadać pytania.

- To walka z czasem - powiedział Birgersson. - Morderca to jedno, ale dopilnuj, żeby znaleziono dziewczynkę.

- To się ze sobą łączy - odparł Winter.

Helene mieszkała z trzema rodzinami zastępczymi. Z tego co wiedział, nigdy jej nie adoptowano. Dość krótko, jako czteroletnia dziewczynka, przebywała w domu dziecka. Było to po tym, jak zostawiono ją w szpitalu Sahlgrenska z zapaleniem płuc, które mogło doprowadzić do śmierci. Ktoś, nie wiadomo kto, położył ją na sofie w poczekalni, kiedy akurat nie było tam nikogo z personelu. Nie zostawiono

żadnej wiadomości. Zostało tylko dziecko, które w pewnym momencie zaczęło krzyczeć przez sen.

Wiedział już o tym wszystkim. Przez parę tygodni dziewczynka się nie odzywała i minęło sporo czasu, zanim udało im się ustalić, że nazywa się Helene Dellmar. Jej matka nazywała się Brigitta Dellmar.

Kiedy Helene znalazła się w szpitalu, minęły już trzy tygodnie, odkąd jej matka wyszła z domu i nie wróciła.

Mieszkała sama z córką, przy Frölunda Torg.

Od tamtej pory tamto mieszkanie wynajmowało już trzynastu lokatorów.

Policja знаła Brigittę Dellmar. Przeprowadzili wewnętrzne poszukiwania w

krajowym rejestrze karnym. Zatrzymano ją w 1968 roku w związku z podejrzeniem o defraudację, ale została zwolniona z braku dowodów. Była wtedy w ciąży. Jej nazwisko pojawiało się też w aktach dotyczących napadu na bank w Jönköpingu w 1971 roku, ale przesłuchano ją tylko dlatego, że była w związku z jednym z zamieszanych w napad mężczyzn. Odsiedział wcześniej cztery lata za inny napad, ale nie udało się go powiązać z tą sprawą.

Mężczyzna nazywał się Sven Johansson. To jak szwedzki John Smith, pomyślał Winter i wrócił do czytania sterty papierów, które przyniósł Möllerström.

Sven Johansson. Zmarł na raka płuc przed siedmiu laty. Czy był ojcem Helene? Dlaczego nazywała się Andersén? To nazwisko nie pojawiało się w papierach, ale nie miał jeszcze dokumentów dotyczących rodzin zastępczych.

Matka zniknęła i nigdy nie wróciła. Brigitta Dellmar. Już raz tak było. Historia się powtarza. To dziwne, ale nie nadzwyczajne. Córki samotnych matek zachodzą w ciążę z mężczyznami, którzy odchodzą. Znajdujemy wszystkich, których szukamy. Znaleźliśmy Helene, a teraz jej matkę. Znajdziemy też jej ojca i faceta. Ojca Jennie.

Znajdziemy Jennie.

Co się stało z Brigittą Dellmar? W jaki sposób zaginęła? Winter czuł, że już niedługo się dowiedzą. Na tym polega praca w policji. Jego praca. Albo tropienie czy też polowanie z dużej odległości. Odległość jest duża, pomyślał.

- Wysoko - powiedział Halders, wyglądając przez okno. - Widzę halę Exercishuset.

- Zakręciło ci się w głowie?

- Tak. Zawsze mi się kręci w głowie, kiedy widzę Heden.

- Złe wspomnienia?

- Kiepsko sobie radziłem z piłką - powiedział Halders i odwrócił się w stronę pokoju. Aneta Djanali kucnęła przed odtwarzaczem CD.

- Zaskoczyłeś mnie.

- Przecież się przeprowadziłaś.

- I co z tego?

- Gdybyś potrzebowała pomocy przy przenoszeniu rzeczy, teraz, po tym. wypadku.

- Fredrik, nie noszę niczego szczęką.

- No nie.

- Jakiej muzyki słuchasz, kiedy relaksujesz się w domu?

- Nie relaksuję się.

- To czego słuchasz, kiedy się nie relaksujesz?

- Pożyczyłem od Wintera parę płyt z jazzem, ale zmęczyły mnie. Jego nie męczą.

- Nie.

- Chociaż teraz akurat wygląda na zmęczonego.

- A ty przeglądałeś się w lustrze?

- Widziałem go niedawno w pubie z Bulowem. Podejrzane.

- Z Bulowem?

- Tym dziennikarzem z „GT”, co to biega po komendzie i zgrywa ważnego.

- To tak jak ty.

- Otóż to.

- A co ty robiłeś w pubie?
  - Relaksowałem się. Nie relaksuję się w domu. Relaksuję się w pubie.
  - Chyba drogo to wychodzi.
  - Winter nie wyglądał, jakby się relaksował.
  - Dużo o nim mówisz.
  - Widziałaś jego włosy?
  - Daj spokój, Fredrik.
  - Jak jakiś pieprzony hardrockowiec.
  - Po prostu jesteś zazdrosny.
  - Zazdrosny?
  - O włosy.
  - Ja? Gdybym chciał, mógłbym mieć grzywę pudła.
- Aneta spojrzała na jego ścięte na jeża włosy i na łysinę, która w świetle lampy wyglądała jak plama słońca.
- Jasne - powiedziała. - To twój styl? Hard rock? Z tego co wiem, najbliższej tego są chyba Rolling Stonesi.
  - Nie masz jazzu?
  - Nie.
  - To dobrze.
  - Powiedz, co lubisz, Fredrik.
  - To ma jakieś znaczenie?
  - Jestem ciekawa.
  - Sądzisz, że to musi być muzyka białych?
  - Tak.
  - Jakieś nazistowskie kawałki, co?
  - Tylko dla relaksu.
  - Widzę, że naprawdę jesteś ciekawa.
  - Interesują mnie te ogromne różnice kulturowe między mną a tobą.
  - Bruckner.
  - Co?
  - Bruckner. To moja muzyka. *Te Deum*.
  - O Boże, jest gorzej, niż sądziłam.

- Wagner. Jestem fanem Wagnera.
- Skończ już.
- I Uffe Lundell. Masz coś Uffego?
- Nie.
- Nie masz *Otwartej przestrzeni* Lundella? - zapytał, znowu wyglądając na miasto. - Wysoko tu. Ludzie wyglądają jak mrówki.
- Chyba raczej chrząszcze.
- Karaluchy. Wyglądają jak karaluchy.
- Rozumiem, że to oddaje twoje podejście do ludzi.
- Jestem policjantem, do cholery.
- Jesteś jednym z szeregu.
- Oczywiście. Stoimy zwartym szeregiem, mundur przy mundurze.

Spojrzała na niego, w rękę trzymała pudełko od płyty. Halders cały czas wyglądał przez okno.

- Jak to jest, Fredrik? - zapytała, a on odwrócił się w jej stronę.
- O czym mówisz?
- Co by się stało, gdybyś choć przez sekundę był poważny?
- Mógłbym powiedzieć to samo.
- To nie ja zaczęłam.
- Oczywiście, że ty. To ty zaczęłaś!
- Fredrik, spróbuj na chwilę wyluzować.
- Mówiłem, że relaksuję się tylko w pubie. Wyjdziemy?
- Odejdź od okna, Fredrik.
- Boisz się, że wyskoczę?
- Tego nie powiedziałam.
- Ale pomyślałaś?
- Tak, przemknęło mi to przez głowę.
- Masz rację.

Winter zaparkował przed domem Benny'ego Vennerhaga. Pies sąsiadów ujadł jak wściekły. Winter słyszał szczęk jego kolczatki.

Wejście do domu było ocienione. Nacisnął dzwonek i czekał. Nacisnął jeszcze raz, ale nikt nie otwierał. Zszedł ze schodów i skręcił w lewo, w asfaltową ścieżkę. Tym razem nie czuł zapachu rosnących obok krzewów czarnych porzeczek - ani żadnego innego.

Za domem słońce nie odbijało się już w tafli basenu. W basenie w ogóle nie było wody, została tylko dziura wyłożona niebieskim betonem. Gdyby ktoś tam teraz wskoczył, zabiłby się na miejscu.

Benny Vennerhag przycinał krzewy. Obrócił się półprofilem w stronę Wintera i zauważył go, ale nie przerwał pracy.

- Właściwie powinno się to robić na wiosnę, ale nie zdążyłem - powiedział.

- I tak masz własne reguły - odparł Winter.

Vennerhag nie odpowiedział. Ciął dalej. Pod jego nogami leżały gałęzie. Otarł pot z czoła i odłożył sekator.

- Właściwie to wydawało mi się, że coś słyszałem.

- To dlaczego nie otworzyłeś?

- I tak wszedłeś.

- To mógł być ktoś inny.

- Ale niestety to ty - powiedział Vennerhag, nadal stojąc w tej samej pozycji. - Nie masz wrażenia, że ta wymiana zdań się powtarza?

- Tak. Ale tym razem jest jeszcze poważniejsza.

- Zgadzam się.

Winter podszedł bliżej.

- Nie masz chyba zamiaru znowu użyć przemocy? - zapytał Vennerhag, podnosząc sekator.

- Znasz Svena Johanssona?

- Svena Johanssona? Co to za nazwisko? Równie dobrze mógłbyś mnie spytać o Johnny'ego Smitha.

- Napadał na banki i takie tam. Zmarł na raka siedem lat temu.

- Wiem, o kogo chodzi. Nie skojarzyłem od razu. To było,

zanim nastąpiły moje czasy, ale Sven był dość znany. Również wśród glin, więc nie rozumiem, czemu przychodzisz z tym do mnie.

- Możliwe, że był związany z kobietą, która nazywała się Brigitta Dellmar. Kojarzysz to nazwisko?
- Birgit. Dell. Nigdy o niej nie słyszałem.
- Brigitta, nie Birgitta. Brigitta Dellmar.
- Nigdy o niej nie słyszałem.
- Jesteś ze mną zupełnie szczery, Benny? Wiesz, o co chodzi?
- Mniej więcej, ale nie rozumiem, w jaki sposób te nazwiska łączą się z morderstwem.
- I z zaginięciem dziewczynki.
- Tak, dzieciak zniknął. Wiem o tym.
- Brigitta Dellmar to matka ofiary.
- Aha. I co ona na to?
- Zaginęła, Benny.
- Cholera, dużo tych zaginięć.
- Dwa.
- Zaginęła, tak? To musicie jej szukać.
- Zaginęła dwadzieścia pięć lat temu.
- To chyba nie bardzo utrudnia poszukiwania?
- Nie?
- Ludzie zostawiają za sobą ślady. Zwłaszcza jeśli byli związani ze Svenem Johanssonem.
- Mów wszystko, co wiesz.
- To wystarczy?
- Mam tu jeszcze parę nazwisk.

## 44

PRZESZUKIWANIE DNA JEZIORA przyniosło rezultaty. Winter dostał zawiadomienie i natychmiast pojechał na miejsce. Właściwie nie widział, co się dzieje na drodze. Niebo



znów było bezchmurne. Widział jedynie kawałki ulicy, więc założył okulary słoneczne.

Przy brzegu, w trawie, leżał dziecięcy but. Wypełniony kamieniami, jakby ktoś chciał, żeby zatonął. Mógł leżeć w wodzie mniej więcej miesiąc. Znaleziska dokonano na północ od cypla. Cypel się zwiężał, przypominał palec, wskazujący miejsce, gdzie powinni szukać.

Winter czuł pot pod marynarką i na twarzy. Niebo się przejaśniło i promienie słońca spadały na jezioro jak świetliste granaty. Tafla wody była nieruchoma jak płachta, którą ktoś rozciągnął i przycisnął ciężarkami do brzegów. Winter czuł strach. Jego zimny uścisk wdzierał się w jakąś część jego umysłu - powinni przerwać poszukiwania, zanim oszaleją. Na razie but. Co dalej? Wokół widział twarze mężczyzn i kobiet, słyszał ich głosy. Mówiły, że dziewczynka leży na dnie.

Louise Keijser miała sześćdziesiąt lat, ale wyglądała na więcej.

- Jestem wdzięczny, że pani przyjechała, pani Keijser - powiedział Winter.

- Chociaż tyle mogłam zrobić. Gdybym wiedziała.

Winter nic nie mówił. Czekał, aż kobieta usadowi się na krześle.

- Gdybym wiedziała. Właściwie to się cieszę, że Johannes tego nie dożył. - Wyciągnęła chusteczkę i wytarła kąciki oczu. - W pociągu było mi tak smutno.

- Ile lat miała Helene, kiedy się od państwa wyprowadziła?

- Osiemnaście. Jak tylko stała się pełnoletnia. Nie chcieliśmy, żeby się wyprowadzała, ale co mogliśmy zrobić?

- Kiedy ostatnim razem się z panią kontaktowała?

- To było. wiele lat temu. Zanim jeszcze urodziła dziecko - powiedziała, znów wyciągając chusteczkę. - Nie wiedziałam o tym. Ale chyba już to mówiłam. - Dyskretnie wydmuchała nos. - Córeczka Helene jest do niej podobna. Ma inne włosy,

ale poza tym widać, że to ta sama. to okropne. Dowiedzieliście się czegoś więcej o dziecku?

- Nie - odpowiedział Winter. - Porozmawiamy o tym później. Teraz chciałbym spytać o Helene. Zgadza się pani?

- Tak, oczywiście. Przepraszam.

- Jak długo była u was. była członkiem rodziny?

- Byliśmy tylko we dwoje, Johannes i ja. ale prawie trzy lata. Mam przy sobie dokumenty, gdyby chciał pan obejrzeć. Z opieki społecznej i innych takich.

- Trzy lata - powtórzył Winter. - I tak rzadko się potem kontaktowaliście? - starał się nadać swojemu głosowi spokojny, zrównoważony ton. - Mówiła pani, że minęło wiele lat od waszej ostatniej rozmowy.

- Tak. To może oczywiście brzmieć dziwnie, wręcz okropnie, ale tak było. Próbowaliśmy, ale ona. ona nie chciała wiedzieć, co u nas - pani Keijser kolejny raz przyłożyła chusteczkę do oczu. Winter widział małe czarne kuleczki, które zostawił w kącikach oczu rozmyty łzami tusz do rzęs.

- Może pani opisać wasze relacje z Helene w czasie, kiedy z wami mieszkała?

Jak się między wami układało?

- Zawsze mi się wydawało, że dobrze. Była wyjątkową dziewczyną. ta cała historia z dzieciństwa, i w ogóle. ale dobrze się dogadywaliśmy. Bardzo mało mówiła i Johannes próbował czasami wyciągnąć z niej, co się wydarzyło, ale ona jakby nie słuchała. To głównie Johannes podejmował takie próby. Ja wolałam tę. tę ciszę w domu.

- Najpierw przeprowadziła się do Malmö - powiedział Winter. - Tyle wiemy.

- Tak. To nie tak daleko od nas. Spotkaliśmy się parę razy, ale nie wychodziło to dobrze. Próbowaliśmy ją zaprosić do siebie, ale nie chciała. Raz przyjechała, ale zachowywała się tak, jakby wcześniej nigdy nie mieszkała w naszym domu. To było dziwne czy może dziwnie brzmi, ale na swój sposób

pasowało to do Helene.

- Potem przeniosła się do Göteborga. Mieszkała tu w trzech miejscach.

- Nigdy nie dostaliśmy żadnej wiadomości o zmianie adresu. Od kiedy wyniosła się z Malmö. Próbowaliśmy dzwonić, ale przecież nie miała telefonu.

- Nie.

- Nie lubiła tego. Nie chciała rozmawiać przez telefon. Proszę nie pytać dlaczego, bo żaden ze mnie psycholog, ale może napisali o tym w dokumentacji.

- Jakiej dokumentacji?

- W tych sprawozdaniach psychologów dziecięcych, które spisano w trakcie badań. Zaczęli je robić, ale potem przestali.

- Czekaemy na te materiały.

- Nie znajdziecie jej pod nazwiskiem Andersén - powiedziała Louise Keijser.

- Wiem.

- Nazywała się Dellmar. Wiedzieliście?

- Tak.

- Kiedy u nas mieszkała, też nazywała się Dellmar. Nie wiem, kiedy nagle zmieniła nazwisko na Andersén. Wie pan? Czy policja już się dowiedziała?

- Kilka lat temu. Zmieniła nazwisko cztery lata temu.

- Dlaczego?

- Nie wiemy.

- Może to było wtedy, kiedy urodziła dziecko? Może ojciec nazywał się Andersén. Chodzi mi o ojca dziewczynki. Ma na imię Jennie, tak?

- Tego również nie wiemy - odparł Winter. - Dlatego zadajemy tyle pytań.

- Ojciec nieznan? To straszne. I nie odezwał się. teraz?

- Jeszcze nie.

- To straszne. To dokładnie tak samo jak z Helene. Dorastała, nie wiedząc, kim był jej tata.

- Rozmawialiście o tym?
  - O jej tacie? Nie. Nie chciała albo nie mogła. Nie wiem, na ile orientuje się pan w jej. problemach czy też w jej chorobie, czy jak to nazwać.
  - Słucham.
  - Ja i Johannes byliśmy jej trzecią rodziną zastępczą. Ja nie do końca to rozumiem. ale miała dziury w pamięci z okresu, kiedy była mała, a potem jakieś wspomnienie mogło wrócić i męczyć ją okropnie, a potem znów zniknąć, jakby nigdy go nie było. Była przez to bardzo samotna. Zostawiona samej sobie czy jak to inaczej powiedzieć. Próbowaliśmy jej pomóc, ale była jakby odcięta od świata.
- Winter przytaknął.
- To był problem dla rodzin zastępczych. Nie jestem żadnym ekspertem, ale ona nigdy nie była częścią niczego. Nie wiem. Bo kto to może wiedzieć? Ale to miało swoje skutki.
  - W jakim sensie?
  - W takim, że nigdy jej nie adoptowano. My chcieliśmy, ale wtedy ona już nie chciała. Można powiedzieć, że w ten sposób nigdy nie stała się częścią żadnej rodziny.
  - Nie mówiła nigdy o tym, co się stało w dzieciństwie?
  - Nigdy. Ani o tym, co było potem, to znaczy kiedy już ją przeniesiono do kogoś innego.
  - Nie pytała o mamę?
  - Nigdy. Ani ja, ani Johannes nigdy nie słyszeliśmy. Może powinien pan spytać o to innych, ale my o tym nie rozmawialiśmy. Nie wiem, czy ona wiedziała.
  - Proszę?
  - Wiedziała? Co wiedziała? Orientuje się pan?
  - Nie. Jeszcze nie.
  - A teraz już się nie dowiemy - powiedziała Louise Keijser, przyciskając chusteczkę do oczu. - Już za późno.
  - Może uda nam się znaleźć odpowiedzi na niektóre pytania.
  - Bylebyście znaleźli dziewczynkę. W pewnym sensie czuję

się babcia - powiedziała, spoglądając wprost na Wintera. - Czy to źle, że tak właśnie się czuję?

- Boże - powiedział Ringmar. - Mówisz, że nazwisko Brigitty Dellmar się tu pojawia? W tej sprawie?

- Tak. Möllerström wyciągnął wszystko, co na nią mieliśmy, i wtedy trafiliśmy na to.

- Sven Johansson też się tu pojawia?

- Był przesłuchiwany, ale nie dało się go w żaden sposób powiązać ze sprawą. Miał niepodważalne alibi.

- Ale jej nazwisko też tam było?

- Kilka osób rozpoznało ją na zdjęciach. Napadu dokonali Szwedzi, tyle wiadomo. A ktoś z personelu widział dziecko.

- Co ty mówisz, do cholery? Było z nimi dziecko? Kiedy to się stało?

- Jeszcze nie wiem, ale jest świadek. Jest tam napisane.

- Jezu. Dokąd nas to zaprowadzi?

- Do rozwiązania - odpowiedział Winter. - To kolejna komplikacja, która może nas doprowadzić do rozwiązania.

- Albo do zamknięcia sprawy - odparł Ringmar. - Wzięła ze sobą dziecko?!

- To możliwe.

- Coś kojarzę - powiedział Ringmar.

- Pamiętasz tę sprawę?

- Tak, ale słabo. Kiedy o tym mówisz. Z tego co sobie przypominam, zginął policjant. Pewnie dlatego pamiętam.

- Policjant i dwóch złodziei.

- Boże, no tak. Tak było, oczywiście.

- Przynajmniej trzech uciekło. A z nimi dziecko, jeśli to prawda.

Ringmar siedział cicho. Kiwał głową, trzymając dokumentację, której wcale nie czytał.

- Jak to możliwe, jeśli faktycznie tak było?

- Jak?

- Nie zabiera się dziecka na napad z bronią w rękę.
- Może plany wzięły w łeb - odparł Winter. - Coś mogło pójść nie tak, cokolwiek. Może miała robić za kierowcę, czas się skończył, a nie przyszedł nikt, kto mógłby się zająć dzieckiem. Nie wiem.
- Co mówią Duńczycy?
- Są w trakcie sprawdzania swoich materiałów.
- Kiedy dadzą odpowiedź?
- Dziś, jutro albo pojutrze, jeśli będzie potrzeba. Przykładają się do tego tak jak my.
- Bank Duński w Aalborgu - przeczytał Ringmar. - Poniedziałek, drugiego października 1972 roku. Bank Duński, na rogu osterågade i Bispensgade. Pięc po piątej po południu.
- Tak. Żadnych klientów, ale w banku było sporo pracowników.
- I dużo pieniędzy.
- Siedem milionów.
- Niezły łup jak na Aalborg.
- Nie tylko na Aalborg. Jest jeszcze coś.
- Co?
- Helene tu była.
- Co?!
- Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dowiedzieliśmy się o tym, oczywiście wypłynęły wszystkie pozostałe informacje związane z nazwiskiem Brigitta Dellmar.
- Tak, to jasne.
- To dzięki temu nazwisku. Nie szukaliśmy już Helene Andersén, tylko Helene Dellmar.
- A co masz na myśli, mówiąc, że tu była? Że Helene tu była?
- Była tu na rozmowie przygotowującej do przesłuchania, a potem na przesłuchaniu. Kiedy jeszcze nazywała się Helene Dellmar. - Winter spojrzał na Ringmara. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha, Bertil.

- Chyba raczej o nim usłyszał.
- Ja też dowiedziałem się o tym przed chwilą.
- O czym, na Boga, się dowiedziałeś?
- Mam tu akta. Nie ma tego za dużo, ale jest trochę informacji. Kiedy dziewczynka trafiła do szpitala Sahlgrenska czy też potem - mówię o czteroletniej Helene - Duńczycy zaczęli coś podejrzewać i skojarzyli ją z jej matką, której zniknięcie mogło się wiązać z napadem.
- Jak ją zidentyfikowano? - zapytał Ringmar. - W szpitalu? Czy później, przed przesłuchaniem, czy co to tam było. Jak ją skojarzono z matką?
- Opublikowano komunikaty ze zdjęciem. Chyba sąsiedzi ją rozpoznali.
- Trzeba to sprawdzić. Ale potem dziewczynka była u nas na rozmowie? Kto prowadził przesłuchanie?
- Według papierów Sven Anders Borg.
- Przeszedł na emeryturę jakieś pięć lat temu.
- Ale żyje?
- To twarda sztuka. Nie ma sklerozy, z tego co wiem. Ale trudno było oczekiwać, żeby sam się do nas zgłosił z tą historią.
- Gdybyśmy wcześniej mieli jej nazwisko.
- Zadzwońię do niego - powiedział Ringmar.
- Poproś, żeby do nas przeszedł tak szybko, jak to możliwe. Ringmar zadzwonił natychmiast. Winter zaczął czytać dokumenty, ale rozpraszała go ich rozmowa. Ringmar odłożył słuchawkę i odwrócił się do Wintera.
- Boli go noga, ale zaprasza nas do siebie. Mieszka w Pålvelundzie.
- Pamięta coś?
- Ma się zastanowić, kiedy będziemy do niego jechać.
- To jedziemy.

Światło nad rzeką było ostrzejsze niż kiedykolwiek. Jechali Oskarsleden. Po obu stronach połyskiwały żurawie, odbijając

blask wód Kattegatu. Właśnie mijały się dwa promy i Winter pomyślał o Danii.

- Ona rysowała duńskie flagi - powiedział do siedzącego za kierownicą Ringmara.

- Kto? Helene?

- Tak, i jej córeczka. Jennie. Rysowały duńskie flagi. - Winter patrzył na promy. Odległość między nimi się zwiększała. Większy kierował się w drugi koniec cieśniny.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

Winter powiedział mu o różnych podpisach na obrazkach.

- Wysłałeś to do analizy? - zapytał Ringmar.

- Pracują nad tym.

- Jezu.

Winter śledził wzrokiem trasę promu płynącego na zachód. Statek stawał się coraz mniej szy.

- Może tam pojechały - powiedział Ringmar. - Do Danii. Teraz wszystko jest możliwe.

- Zawsze tak jest, komisarzu.

- Najpierw nic, a potem wszystko naraz.

- Jesteś zaskoczony?

- Nie. Najwyżej trochę wyczerpany.

- To dopiero początek- powiedział Winter. - Czujesz wiatr?

Aneta Djanali przedstawiła siebie i Haldersa. Mężczyzna stojący w drzwiach zaprosił ich do środka. Dom sprawiał wrażenie, jakby miał sto lat. Z zewnątrz wyglądał na mały, ale kiedy weszli do salonu, Anecie wydał się duży. Za oknem widziała las, a kawałek dalej łąkę. Szły po niej dwa konie, jeden za drugim, z głowami pochylonymi do ziemi. Były brązowe i smukłe. Cały ten obraz tchnął spokojem.

- Piękny widok - powiedziała.

Mężczyzna spojrział tam gdzie ona, jakby pierwszy raz widział las i łąkę. Wiedzieli, że ma sześćdziesiąt dziewięć lat. Namiar na niego dostali w wydziale do spraw drogowych. Mieli nazwisko, adres i PESEL. Według rejestru pojazdów miał



białego forda o numerze zaczynającym się od H. Tyle o nim wiedzieli. Kiedy Halders spytał, czy drogówka sprawdziła go w rejestrze karnym, okazało się, że tego nie zrobili, ale nie chciał już czekać. Powinni byli to zrobić, chociaż gość wyglądał sympatycznie. Georg Bremer. Był równie łysy jak Halders, ale miał ciemne wąsy, które nie wyglądały na farbowane. Rozpięte u góry guziki jasnoniebieskiej koszuli odsłaniały pomarszczoną ze starości szyję. Poza tym miał na sobie czarne spodnie z brązowym paskiem. Był szczupły. Aneta pomyślała, że wygląda na trochę zaszuszonego. Był niższy od Fredrika, a jego mięśnie wyglądały, jakby je zastąpiono ścięgnami biegnącymi wzdłuż niezakrytych ubraniami części ciała.

Georg Bremer wciąż wyglądał przez okno. Jego profil nagle stał się surowy, kiedy niebo się zaciągnęło. Po paru sekundach słońce wyszło zza chmury i oświetlona twarz mężczyzny znów wyglądała łagodnie. To dziwne, pomyślała Aneta. Jakby ktoś zgolił ten cień. To głupie. Mam fioła na punkcie szczęk, od kiedy moją mi wybili.

- Próbowaliśmy się z panem skontaktować - powiedział Halders. - Nie odsluchuje pan automatycznej sekretarki?

- Nie było mnie jakiś czas. Wróciłem do domu wczoraj i nie zdążyłem.

Co za podejście. Zamiast uprzedzać ludzi, powinni do nich wpadać, kiedy cała rodzina siedzi przy stole, i pytać, co samochód taty lub mamy robił nocą w okolicy jeziora. Powinni łapać ludzi za gardła albo za coś innego, gdyby im pozwalało poczucie wstydu.

- Chodzi nam o samochód - powiedział Halders. - Jak się pan zapewne domyśla, to rutynowe pytania.

- Chcą państwo usiąść?

- Chętnie - odpowiedziała Aneta i usiadła na zniszczonej zielonej kanapie.

Halders i Georg Bremer stali.

- O co chodzi z tym samochodem? - zapytał Bremer.
  - Jeździ pan białym fordem escortem, rocznik dziewięćdziesiąt dwa?
  - Dziewięćdziesiąt dwa? Właściwie to nie wiem, z którego on jest roku. Musiałbym sprawdzić w dokumentach.
  - Sprawdzamy właściciele samochodów, którzy mogą nam pomóc w rozwiązaniu. pewnej sprawy.
  - Jakiej?
  - Zabójstwa.
  - I ford escort jest w to zamieszany?
  - Taki samochód widziano w pobliżu miejsca znalezienia zwłok, tej nocy, kiedy zabito ofiarę. Mamy nadzieję, że osoba prowadząca pojazd coś zauważyła.
  - Na przykład co? I gdzie?
- Halders spojrział na Anetę. Siedziała na kanapie z notatnikiem w ręce.
- Chodzi o noc z siedemnastego na osiemnasty sierpnia - odpowiedział Halders.
  - Wtedy, kiedy było jeszcze gorąco.
  - Takich upałów się nie zapomina. Konaleń tutaj z gorąca.
  - Chyba wszyscy konali - odparł Halders.
  - Co oznacza, że byłem tu wtedy - powiedział Georg Bremer. - I samochód też tu był.
  - Rozumiem.
  - Nikt nie może tego potwierdzić, bo mieszkam sam. Ale nie mam w zwyczaju jeździć po nocy. I tak kiepsko widzę za dnia.
  - Nie widziałam samochodu na podwórku - powiedziała Aneta.
  - Jest w naprawie. Od piątku. Olej zaczął się wylewać jak z sita. Możecie zresztą zobaczyć na drodze, tu, na wzgórzu. W końcu musiałem go oddać do warsztatu.
  - Kiedy to było?
  - Co?
  - Kiedy oddał pan samochód do naprawy?

- Przedwczoraj. Sam próbowałem się tym zająć, ale nie dało rady. Kręci mi się w głowie, jeśli długo leżę pod samochodem i coś przy nim robię.
  - Ale mówił pan, że wczoraj nie było pana w domu?
  - Tak, i co z tego? Czy to przesłuchanie?
  - Nie, skąd. Tak się tylko zastanawiam, bo dom stoi trochę na uboczu. Żeby się tu dostać, trzeba mieć samochód.
  - Tak, nie da rady iść od autobusu na piechotę. Ale mam motor, z którym czasem muszę się przeprosić. Stoi w stodole, jeśli chcecie zobaczyć.
  - A gdzie jest samochód? - zapytała Aneta Djanali.
- Georg Bremer podał im nazwę i adres warsztatu. Aneta zapisała je w notatniku.
- To kawałek stąd - powiedziała.
  - Tak to czasem jest. Trzeba brać tych, którzy oferują lepsze ceny.
  - Czyli sprawdzał pan inne warsztaty? - zapytał Halders.
  - Tak, zresztą ma się też trochę znajomości. Można powiedzieć, że trafiłem tam przez kolegę kolegi.
  - Gdzie mieszka najbliższy sąsiad?
  - Innych też będziecie wypytywać o samochody?
  - Kiedy się wjeżdża na wzgórze, nie widać żadnych domów.
  - Jest ich kilka w lesie, na końcu drogi, ale tutaj jestem całkiem sam. Dalej w górę, z kilometr stąd, jest jeszcze jedna zagroda. Żeby tam dojechać, na skrzyżowaniu trzeba skręcić w lewo. To chyba jakiś letni domek. Poprzedniego właściciela znałem, ale z tymi nowymi mówimy sobie tylko dzień dobry, a widzę ich może parę razy w roku.
  - Nie słyhać tu żadnych hałasów, co?
  - Nie. Chyba że samolot przelatuje w pobliżu.

- Grałeś w nogę? - zapytał Ringmar.  
- Chciałbym. Paskudne problemy z krążeniem. Jak nie wyleczę tego świństwa, będą musieli ją obciąć - powiedział, patrząc na swoją lewą nogę.

- Nie przesadzaj, Svenne.

Emerytowany policjant w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- A teraz trzeba wrócić do tej parszywej rzeczywistości. Wchodźcie.

Przeszli przez hol do pokoju, jasnego od światła wpadającego ze znajdującego się za domem ogrodu. Brud pokrywający szyby nie mógł powstrzymać promieni słonecznych, trochę je tylko przyćmiewał. W powietrzu unosił się kurz. Pachniało tytoniem i smażoną cebulą. Gdzieś w innej części domu grało radio. Borg opadł ciężko na fotel pod oknem i wskazał ręką na stojącą naprzeciwko sofę.

- Siadajcie, chłopaki.

Rozsiedli się i Ringmar zaczął coś mówić.

- Zastanawiałem się nad tym - przerwał mu Borg. - Paskudna sprawa. Koszmar dla śledczych. Najpierw nic, a potem wszystko naraz. Nie da rady uporządkować tego bajzlu.

- No - przytaknął Ringmar. - Rozmawialiśmy o tym po drodze.

- Gdybym wiedział wcześniej, dałbym wam znać. Może skojarzylibyśmy to imię, Helene, z tym nazwiskiem. Jak to było. Dellmer.

- Dellmar.

- No tak. Dellmar. Ale nie ujawniliście go.

- Nie zdążyliśmy - odpowiedział Winter. - Cały czas porządkujemy, jak to sam nazwałeś.

Borg westchnął, potem spojrział na sufit, a potem na Ringmara.

- To było mniej więcej tak - powiedział. - Słyszeliście już pewnie tę historię, o tym, jak dziecko trafiło do szpitala, a

potem zidentyfikowaliśmy matkę. Czyli tę Dellmar. Miała już jeden wyrok na koncie. Wiecie przecież, że jest w kartotece. Jak tylko się dowiedzieliśmy, kto to, pojechaliśmy do niej, ale nie było jej ani w mieszkaniu we Frölunda, ani nigdzie indziej. Zaginęła.

- Czyli zniknęła już wtedy - powiedział Ringmar. - I rozumiem, że nigdy nie natrafiliście na żaden trop?

- Niby mieliśmy sporo poszlak - odparł Borg. - Były ślady z napadu.

- Czyli połączono ją z tą sprawą? Na ile to było pewne? - zapytał Winter.

Borg popatrzył na Wintera, jakby wyelegantowany młodzik zadał mu podchwytliwe pytanie. Odszedł, zanim ten koleś zastał komisarzem. Może to i lepiej. Komisarzem nie powinno się zostawać przed pięćdziesiątką. Spójrzcie na niego. Ciuchy są w porządku, ale włosy? Przecież miał prowadzić grupę policjantów, a nie zespół popowy.

- Na ile pewne? - powiedział Borg. - Trzeba by zapytać Duńczyków. No nie, do cholery, oczywiście, że w to wierzyliśmy. Bo co znaczy pewne? Wydaje mi się, że nie dało się zajść dalej, niż zaszliśmy. Wtedy nie było jeszcze monitoringu, ale parę osób z banku widziało samochód i kobietę. Musiała się odwrócić, czy coś. Nie wiem, jak to było dokładnie, musicie sami sprawdzić w papierach.

- Jasne - powiedział Ringmar.

- Ale kilkoro przechodniów też widziało ją. i dziecko. A potem, kiedy zaczęliśmy, to znaczy kiedy Duńczycy zaczęli to badać, okazało się, że kilka osób widziało je tam parę dni wcześniej.

- Jak połączyliście ją, mówię o Brigitte Dellmar, z napadem? - zapytał Winter. - Chyba nie tylko z powodu dziecka?

- Częściowo oczywiście tak. Ale kiedy przyszło zawiadomienie z Danii, zrobiliśmy to co zawsze. Zaczęliśmy

sprawdzać te osoby, które już znaleźliśmy, a ona była jedną z nich. Była jedną z tych mniej ważnych i mniej groźnych. Była na jednym z dalszych miejsc na liście i jeszcze do niej nie doszliśmy, kiedy przysłała informacja ze szpitala.

- A wiedzieliście przecież, że tam, w Aalborgu, było z nimi dziecko.

- Tak było napisane w raporcie, ale to nie było pewne. Tak czy inaczej, sąsiedzi się zgłosili, kiedy rozpoznali dziewczynkę, i wtedy od razu na to wpadliśmy.

- Rozumiem - powiedział Ringmar.

- Zajęło nam chwilę połączenie tego z napadem w Aalborgu i zajęcie się całą resztą - zdjęciami, świadkami i tak dalej.

- Aha.

- I okazało się, że kobieta zaginęła - kontynuował Borg.

- Tak.

- Stracili ją.

- Co? - Ringmar nagle pobladł.

- To jasne, że ją stracili. Albo nastraszyli tak, że zwariowała. Trzecia możliwość jest taka, że zmarła z powodu ran. Mogliśmy o tym nie wiedzieć, ale możliwe, że oberwała w czasie napadu.

- Czemu byli tam ci policjanci? - spytał niespodziewanie Winter. - Tuż po tym, jak napad się zaczął.

- Co? Czemu. Chodziło o alarm bankowy. Włączył się, zanim napad się zaczął naprawdę. Jakieś dziwne spięcie albo może ktoś z pracowników, ale chyba chodziło o sprawy techniczne. To też lepiej sprawdźcie w duńskich aktach, jeśli wam się to przyda. W każdym razie radiowóz pojawił się, kiedy napad właśnie się zaczął. A potem zaczęła się ta cholerna historia.

- Więc sugerujesz, że mógł ją zabić któryś ze złodziei?

- Czemu nie? Dwóch uciekło razem z nią. Mieli pieniądze. Potem podrzucili dziecko, bo niewykluczone, że i dla nich były pewne granice. Nie wiem. Wiem tylko, że ona sama się nie zgłosiła. A to było przecież jej dziecko.

Ringmar kiwał głową.

- Wiecie, że wtedy groźne gangi motocyklowe dawały łapówki, żeby na dobre wykupić sobie rewiry. To, co było wcześniej, to był tylko niewinny wstęp. Nie mogliśmy tego dowieść, ale to oni, do cholery, stali za tą sprawą.

- Czytałem o tym w raportach - wtrącił Winter.

- Brigitta Dellmar miała takie znajomości - powiedział Borg. - Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby prześledzić jej nieszczęsne życie, jej przeszłość. Okazało się, że flirtowała z chłopakami z miejscowego gangu. Ale nie wiem, do jakiego stopnia był to tylko niewinny flirt.

Ringmar znowu pokiwał głową.

- Ale tam jej nie było, z tego co się zorientowaliśmy. Duńczycy też szukali u siebie, ale Dellmar zniknęła. Ot, tak. A potem jeden ze znanych złodziei z gangu wypłynął z wody w cieśninie Limfjorden, czy jak to się tam nazywa, i kasjerka, która obejrzała zwłoki, była pewna, że facet brał udział w napadzie.

- Masz dobrą pamięć, Svenne - powiedział Ringmar.

- Krążenie w głowie działa bez problemu. Coraz więcej mi się przypomina, kiedy się nad tą sprawą zastanawiam.

- Ale nie udało się powiązać tego kolesia z napadem?

- Nie wiem. Nie. Ale wiedzieliśmy swoje. Czuliśmy to. To był Duńczyk. Zaginął po napadzie, a potem pojawił się w końcu w wodzie, jak martwa ryba.

- No tak.

- No a potem tu, w Göteborgu, podrzucano dziecko i mieliśmy już opierające się na solidnych podstawach podejrzenia, że Dellmar brała udział w napadzie. Był już powód, a nawet kilka, żeby spróbować porozmawiać z dziewczynką. Tak też zrobiliśmy.

- Czytaliśmy protokół z przesłuchania - powiedział Winter.

- No to sami widzieliście. Mała nic nie powiedziała. Była wstrząśnięta po tym, co przeżyła, nie dało się tego nie

zauważyć. Ale co to było. o tym musicie chyba porozmawiać z jakimś psychiatrą. Jeden zresztą był przy rozmowie. Gadalście z nim?

- Nie - odpowiedział Winter.

- To okropne. Człowiek rozmawia z dzieciakiem, a potem dziewczyna ma trzydzieści lat i ktoś ją morduje.

- Co możesz nam powiedzieć o przesłuchaniu? - zapytał Ringmar.

- Powiedzieć? Była przerażo. nie, to nie jest dobre słowo. Pytała o mamę. Opowiadała o jakimś samochodzie - że jechała nim, a potem przesiadła się do innego. To się zgadzało z przebiegiem zdarzeń. - Borg wyprostował lewą nogę i zaczął ją masować. Potem ją zgiął i masował jeszcze pół minuty. Słońce zaszło za chmury i kurz unoszący się w pokoju przestał być tak wyraźnie widoczny. - Czytaliście przecież. Jest tam ten fragment, kiedy mała próbowała powiedzieć, że była w jakimś domu czy jakimś dziwnym pokoju. Może w piwnicy. Gdzieś, przez jakiś czas. Duńczycy wspomnieli o domu, w którym oni byli.

- Oni? - zapytał Winter. - Złodzieje?

- A o kim mówimy? - powiedział Borg. - Mam na myśli złodziei. Byli w jakimś domu pod miastem, tam się przygotowywali. Planowali akcję. Musisz spytać o to Duńczyków. - Borg spojrzał na Wintera, a potem znów zaczął ugniatać nogę. - Może pojechali tam też po napadzie. Ci, którzy przeżyli. Jeszcze na chwilę. Może było z nimi dziecko. Nie wiem. Może była i mama. Tego nie udało nam się dowiedzieć.

- I tak sporo się dowiedzieliście - powiedział Ringmar.

- Taka historia zapada w pamięć i męczy. - Borg posłał Winterowi kolejne spojrzenie. - Ale tak to już jest. Jeśli ktoś wchodzi w drogę przestępczości, musi słono zapłacić.

- Dziecko też musiało zapłacić - dodał Ringmar.

- Tak to jest z przestępstwami - odpowiedział Borg. - Płaci



się do końca życia.

- Przypomniałeś sobie coś jeszcze? - zapytał Ringmar.
- Co miałem sobie przypomnieć?
- Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc. Jakieś dodatkowe wskazówki?
- Większość z tego, co powiedziałem, i tak mogliście sami wyczytać. Ale musicie jeszcze pogadać z Duńczykami.
- No tak.
- Może to nie jest zły pomysł, żeby do nich pojechać.
- Bynajmniej. Też sobie to uświadomiłem.
- Czyli jest na to jakaś odpowiedź. Podróże mogą otworzyć nowe możliwości. - Borg surowo patrzył na Wintera. - Czytałem o twojej wyprawie do Londynu zeszłej wiosny. Winter pokiwał głową.

- A do tego podróż w czasie - powiedział Borg. - To jest też podróż w czasie.

Winter znowu przytaknął. Wyrżał przez okno, zdawało się pokryte sadzą. Borg podążył za jego wzrokiem.

- Okna trzeba umyć, moja córka zbiera się właśnie, żeby to zrobić. Wtedy znowu będzie widać ogród.

Winter się uśmiechnął i spojrzał na Borga. Borg pochylił się do przodu, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie wiedział jak.

- Jest jeszcze jedna paskudna sprawa, jeśli chcecie się jeszcze trochę pomęczyć. Mnie się tak przynajmniej wydaje. Ale chyba to sprawdziliście?

- O czym mówisz, Svenne? - Ringmar też się pochylił.

- Za moich czasów nie używano kamery w czasie przesłuchań, ale w ramach testów filmowaliśmy przesłuchania, które, jak nam się wydawało, warto byłoby zachować. Sprawdziliście to?

- Nagranie?! - wykrzyknął Winter.

- Tak. Film z przesłuchania. Taśmy czyszczone, ale może to nagranie się zachowało. To z naszej rozmowy z małą Helene.

- Nigdzie nie ma o tym żadnej wzmianki - zauważył Ringmar.

- O tym, że nagrywaliśmy, czy o tym, że zachowaliśmy nagranie?

- Ani o tym, ani o tym. Pierwszy raz o tym słyszę w związku z tą sprawą.

- No tak. Nie byłeś wtedy jednym z nas. Ktoś nawalił i nie napisał o tym albo po prostu nagranie zniszczono. Takie rzeczy się zdarzają, niestety, aż za często.

Znaleźli nagranie wśród innych, które przegrano z wąskich taśm na wideo, a potem o nich zapomniano. Kasetą była podpisana, ale nie została włączona do dokumentacji sprawy Brigitty Dellmar.

Zabrali taśmę do biura Wintera i włożyli do odtwarzacza. Ringmar zrobił gest, jakby się żegnał. Winter czuł się, jakby ktoś powoli zaciskał mu na głowie stalowy kaptur.

Na ekranie pojawił się Borg. Młodszy, musiał wtedy mieć lepsze krążenie. Pokój wyglądał jak wszystkie w komendzie - mogło to też być kiedykolwiek, bo niewiele się tu zmieniło.

Dziewczynka siedziała po drugiej stronie stołu, widać było tylko jej twarz. Powiedziała kilka słów, spojrzała na stół, a potem podniosła wzrok i popatrzyła w kamerę, wprost na Wintera i Ringmara. Winter poczuł mocniejszy ucisk na głowie. To było chyba najbardziej przerażające - siedzieć, mając przed sobą tę podpowiedź, i odbywać tę przeklętą podróż w czasie, i wykorzystywać tę cholerną, cholerną podpowiedź jako most łączący teraźniejszość z odległą przeszłością.

Przypomniawszy sobie twarz Helene u wezgłowa noszy. Dziewczynka znów spuściła głowę, spojrzała na ciężki stół i Winterowi przewinęły się przez głowę kolejne obrazy.

- Chyba, kurwa, nie dam rady - powiedział Ringmar.

Winter zobaczył, że dziecko wstaje z krzesła. Chciał, żeby coś przerwało nagranie.- A teraz idziemy znaleźć Jennie.

WINTER PRZECZYTAŁ PROTOKÓŁ z rozmowy z małą Helene. Uczestniczył w niej doświadczony psycholog, który teraz już nie żył. Próbował doszukać się czegoś w jej wspomnieniach, o których nie chciała lub nie mogła mówić. To była długa i ciężka lektura, jak wczorajszy film, na którym widać było, jak dziecko się męczy.

Winter przejrzał opinie, ale nie było w nich za wiele. Znajdowała się w nich uwaga o tym, że dziewczynka powinna odbyć na oddziale psychiatrycznym terapię poprzez rozmowę. Kiedy już będzie dorosła. I co to miało dać?, pomyślał Winter. Czy po czymś takim koszarne wspomnienia nie dokuczają jeszcze bardziej?

Nie znaleźli nic, co by wskazywało na to, że Helene odbyła taką terapię w dorosłym życiu. Kiedy trochę podrosła, przestała się leczyć, nie licząc rutynowej kontroli, którą przeprowadzono parę lat potem. po tym wszystkim. Winter zapisał w notatniku, żeby sprawdzić rodzinę zastępczą, u której wtedy przebywała.

Czytał dalej: „Jako osoba dorosła może sobie uświadomić, w jakich koszmarnych wydarzeniach brała udział. Wszystko na to wskazuje. Możliwe jednak, że przywoła w pamięci tylko niektóre obrazy”.

Ale jakie?, pomyślał Winter. Czytał już o podobnych przypadkach: dla tych, którzy przeżyli traumę w dzieciństwie, jedynym sposobem na powrót do normalnego życia jest zapomnienie, wyparcie tych doświadczeń z pamięci, zachowanie dystansu. Dopiero wtedy mogą funkcjonować wśród innych ludzi.

Winter pomyślał o samotnej kobiecie z dzieckiem, którego mieszkanie oglądał. Przypomniał sobie, jak bardzo był wtedy

przerazony. Nie było tam zbyt wielu wspomnień - jakby zostały zamknięte w schowkach.

Długo tłumione wspomnienia mogły się nagle wydostać z ukrycia i spaść w przepaść, i zniknąć.

Zdarza się, że pacjent podczas rozmowy ma luki w pamięci. Może nagle stać się kimś innym. Zaburzenia pamięci mogą sprawić, że ja pacjenta rozszczepia się na różne tożsamości.

„Świadomość chce uchronić człowieka przed trudnymi do zniesienia przeżyciami”. Co za okropne zdanie. Co się dzieje w umyśle takiego człowieka? Czy Helene taka była? Tych niewiele informacji o jej życiu, jakie udało im się zdobyć, wyraźnie na to wskazywało.

Usłyszał czyjś głos na korytarzu i podniósł wzrok, ale po chwili zrobiło się cicho. Żeby się skoncentrować, puścił Dona Cherry'ego. Dźwięki trąbki zmieszały się zkrążającym po pokoju powietrzem.

Deszcz znowu rytmicznie uderzał w szyby. Winter na chwilę zatrzymał wzrok na dziecięcych obrazkach wiszących na ścianie. Flagi, wiatraki, brodaci mężczyźni prowadzący samochód. Padał deszcz i świeciło słońce. Niebo wykazuje rozdwojenie jaźni, pomyślał.

„Mając trzydzieści kilka lat, osoba, która w dzieciństwie przeżyła traumę, staje się bardziej świadoma ciągnącego się za nią koszmaru”. Kolejne straszne zdanie. Długo tłumione wspomnienia. Kiedy świadomość powraca, człowiek może się znaleźć zupełnie gdzie indziej i nie wiedzieć, jak tam trafił.

Rozdwojenie jaźni - przeczytał tę frazę jeszcze raz. Gdzie indziej.

Czy to możliwe?, zastanawiał się. Czy to przytrafiało się Helene? Jeśli tak, kto wówczas zajmował się jej dzieckiem?

Czy ktoś dał jej klucz do przeszłości? Sekretne klucze, których być może nie powinno się dotykać?

Uświadomił sobie nagle, że nie podali, kiedy zaginęła dziewczynka. Jennie. Nie wiedzieli, kiedy Helene i Jennie

widziano razem po raz ostatni. Czy dziecko zniknęło wcześniej, przed Helene? Czy Helene była świadoma, gdzie się znajduje? Może traciła orientację na dłużej? Czy to możliwe?, powtórzył w myślach.

Zanotował, że trzeba będzie jeszcze porozmawiać z Ester Bergman.

Wstał i poszedł do regału stojącego na prawo od drzwi. Wyciągnął książkę o poważnych przestępstwach opisanych z perspektywy uczuć i pamięci: „Od czasu do czasu słyszy głosy. Zdarza się, że niektóre z nich są zdecydowanie wyraźniejsze i przebijają się przez inne, wzywając ją do natychmiastowego działania. Zazwyczaj jednak przypominają stłumiony pomruk. Zdają się ze sobą rozmawiać”.

Halders wstał z krzesła i poszedł do łazienki. Zapalił lampę i pochylił się przed lustrem. Włosy po bokach znów zaczęły odrastać. Stwierdził, że w weekend musi iść do fryzjera przyciąć je maszynką.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i przesunął ręką po twarzy, naciągając skórę pod lewym okiem i na policzku. Potem ją puścił. Chwilę potrwało, zanim odzyskała normalny kolor. Białe plamy zniknęły powoli. Zaczynasz się starzeć, pomyślał.

Zastanawiał się, czy nie położyć się w wannie, ale miał wrażenie, że to byłby zbyt duży wysiłek. Pomyślał też, czy nie pójść do baru na piwo. Stwierdził jednak, że to za daleko. Nie miał też siły, żeby sobie zrobić coś do jedzenia.

Kurwa, pomyślał. Ledwo dam radę dojść do sypialni i walnąć się na łóżko.

Stwierdził, że właściwie mógłby do kogoś zadzwonić, ale nie przychodził mu do głowy nikt, z kim chciałby gadać albo kogo chciałby słuchać. No, z Anetą mógłby.

Stał przy oknie i spojrzał na klony, z których już niedługo miały opaść wszystkie liście. Widok czarnych drzew sprawił,

że poczucie pustki stało się jeszcze bardziej dojmujące.  
Ktoś, z kim można pogadać, pomyślał. To chyba niezbyt  
wysokie wymagania.

Ale ja tego nie potrzebuję. Mam pracę, do cholery.

Poszedł do kuchni i wyciągnął z lodówki butelkę piwa.

Siedział z pilotem przed telewizorem i zastanawiał się, czy go  
włączyć.

- Nie możemy dłużej przetrzymywać Jakobssona -  
powiedział Ringmar.

- Wiem - odparł Winter. - Ale. kurwa, szkoda.

- On tylko zapłacił za kogoś czynsz.

- Musimy mieć na niego oko.

- Po tym, co przeżył, pójdzie do monopolowego, a potem  
zniknie na dwa tygodnie.

- Wydaje mi się, że jednego z nich można powiązać z bronią  
i strzelaniną - powiedział Winter.

- Świetnie - odpowiedział Birgersson. - Bolandera.

- Oczywiście nie przyznaje się, ale był tam.

- Nadal nie rozumiem dlaczego. O ile to nie była ich kolejna  
szalona demonstracja siły.

- Może i się nie mylicz.

- Albo kolejne upomnienie, chociaż to właściwie to samo.  
Oznaczałoby to dla nas stratę jednego z naszych.

- Tak.

- W Skanii znów zrobiło się niespokojnie - powiedział  
Birgersson. - Jakby te dranie znowu coś knuły. To nie wróży  
nic dobrego. Ten gang coś kombinuje, do cholery. I nie  
chodzi tylko o kontrolę nad własnymi członkami.

- No właśnie. Kontrola.

- To jakaś pieprzona wewnętrzna dyktatura. Wewnętrzna i  
zewewnętrzna. Jak jakaś piekielna sekta.

- Taką zresztą mają nazwę.

- No.

- W Danii jest teraz trochę spokojniej.

- A propos. Gadałem z Wellmanem - mamy zielone światło.
  - Pojadę, jak tylko przeczytam trochę więcej materiałów, które od nich dostaliśmy - powiedział Winter.
  - Znasz kogoś w Aalborgu?
  - Kogoś z policji? Nie. A ty?
  - Już nie. A co sądzisz o tym wątku psychologicznym? O dziewczynie, kiedy była dzieckiem i później - jaka mogła być jako dorosła?
  - Jeszcze nic nie mogę powiedzieć. I nie mów „wątek”, nie cierpię tego słowa.
- Winter pił właśnie kawę z Beierem, w eleganckim pokoju socjalnym wydziału technicznego. Byli w nim sami i wydawał się dwa razy większy niż zazwyczaj.
- Teraz potrzebujemy tylko materiału porównawczego - powiedział Beier. - Znaleźliśmy jeszcze kilka wyraźnych śladów nienależących ani do mamy, ani do dziewczynki.
  - Wcześniej mieszkał tam ktoś inny.
  - No właśnie.
  - Ale ktoś mógł ją odwiedzać.
  - Z tego co mówiłeś, raczej nie - zauważył Beier. - Nikt nie odwiedzał tego samotnego domu.
- Halders wszedł do biura Wintera z miną kogoś, kto jest mocno wkurwiony i komu jednocześnie kamień spadł z serca.
- Możemy postawić krzyżyk na jednym z tropów.
- Winter czekał.
- Słucham?
  - Znak na drzewie. Było tak, jak przypuszczałem. A nie mówiłem? Jakiś gówniarz go namalował.
  - Gówniarz?
  - Te dzieciaki od łódki pomogły nam, choć niechętnie, i powiedziały, komu pożyczały łódź. Trochę było takich osób.
  - No.

- Sprawdziliśmy tę listę i na samym dole znaleźliśmy odpowiedź. Jak zwykle, no nie? Odpowiedź zawsze jest na samym dole. To tam powinniśmy zaczynać.

- A nie robimy tak?

- Dobra, dobra. Dwóch chłopaków, młodszych od tych z łódką, pożyczycy ją, i to oni namalowali znak.

- Byli u nas i się przyznali?

- Jak mówiłem, właśnie sprawdziliśmy ludzi z listy. Gadałem z jednym z nich przez telefon i zastanowiło mnie trochę to, co usłyszałem, więc pojechałem z nim pogadać, do szkoły. Miał właśnie jedno z nieskończenie wielu okienek.

- Przyznał się?

- Od razu. Wydawało im się, że to świetna zabawa.

- Kiedy to było?

- Co?

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Przed chwilą, do cholery. Wiem, że trochę nam zajęło przebrnięcie przez to, ale niezupełnie.

- Udało wam się sprawdzić, czy podobne znaki nie są namalowane nad innymi jeziorami?

- Tak. Jak dotąd nie znaleźliśmy żadnego.

- Wiedzieli, że chcecie się tego dowiedzieć?

- Chłopak mówi, że wcześniej nigdzie takich nie widział.

- Kłamie?

- Oczywiście. Ale nie w kwestii tego znaku.

Wieczór był dość jasny i łagodny. Winter jechał rowerem przez Sandarna i przez centrum Kungsten. Långedragsvägen słabo oświetlały latarnie. Wiatr niósł szum i bryzę nad morza. Skały podchodziły do drogi tam, gdzie opadała w stronę Haden. Po prawej stronie na skałach połyskiwały domy nowego osiedla, wybudowanego w iście funkcjonalistycznym stylu. W takim miejscu można mieszkać, pomyślał Winter. Jeśli się ma rodzinę.

Na ulicy przed domem Lotty parkowało mnóstwo



samochodów. Przez otwarte drzwi i okna słyhać było odgłosy przyjęcia. Bim i Kristina umieściły nad wejściem napis: „Sto lat, Mamo”. Przyczepiły też balony - zdecydowały się na białe i niebieskie. Winter ściągnął gumki przytrzymujące nogawkę i wszedł po schodkach. Wziął głęboki wdech i przez uchylone drzwi wkroczył do środka.

W holu stali ludzie, których nigdy wcześniej nie widział. Skinął głową jakiejś trójce stojącej w drzwiach kuchni i zarzucił kurtkę na wieszak, na którym było chyba ze sto innych okryć. Wyglądził marynarkę i wcisnął koszulkę polo w czarne spodnie od garnituru. Pod pachą trzymał paczkę.

Muzyka grała głośniej, niż mu się wydawało, kiedy stał pod domem. Rock, ale z tego co słyshał, raczej nie The Clash. Przez otwarte drzwi salonu widział tańczących ludzi. Beatlesi, pomyślał. Teraz poznaję, to Beatlesi.

- Erik!

Lotta wyszła z kuchni.

- Cześć, siostra.

- Więc jednak udało ci się przyjść!

- Obiecałem. No i chciałem przyjść.

Przytuliła go i pogłaskała po policzku. Pachniała tak jak wieczorne powietrze na dworze. Poczul też od niej delikatny zapach wina.

- Sto lat - powiedział, podając jej paczkę.

- Wszystkie prezenty mają być ułożone obok siebie. Otworzę je wszystkie naraz, przy toaście.

- Czyli kiedy?

- A cóż to za pytanie?

- Przepraszam.

- Chyba aż tak się nie spieszysz?

- Nie, nie.

- To pomysł dziewczynek.

- Akurat, tobie też się podoba. Wszystko w świetle reflektorów.

- Czyli zupełnie inaczej niż u ciebie. - Zrobiła krok w tył i zmierzyła go wzrokiem. - Ładny garnitur. Bez krawata.
  - Oscar Jacobson - powiedział i pomyślał o mężczyźnie, który zapewne właśnie świętuje wyjście z aresztu i odzyskanie wolności. - Droższy, niż wygląda.
  - Ale Angela nie mogła przyjść.
  - Wezwali ją do szpitala.
  - Tak, szkoda. Dzwoniła do mnie.
  - Tak?
  - Pozdrawia cię. Najwidoczniej to ja muszę przekazywać pozdrowienia.
  - Aż tak źle nie jest. Jest. lepiej.
  - Czego się napijesz? - zapytała, wskazując w kierunku kuchni. - Jest wino, piwo i inne napoje.
  - Nie ma wody?
  - W taki dzień? Oczywiście, że nie.
  - Wujek Erik! - Bim i Kristina złapały Wintera i pociągnęły za sobą do kuchni.
  - A więc to właśnie jest człowiek, który rozwiązuje problemy.
  - Proszę?
  - *Troubleshooter of crime.* - Mężczyzna machnął kieliszkiem. - Znany z prasy, radia, telewizji.
  - Staram się raczej nie być widoczny - odparł Winter. Skąd on się wziął?, dodał w myślach. Żadna ze mnie gwiazda, miałem nadzieję, że ominą mnie takie gadki.
  - Poznaję cię - powiedział mężczyzna. - Byłeś wczoraj wieczorem w telewizji. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, jakby chciał z niej wyciągnąć zeszyt, żeby poprosić o autograf.
- Winter zobaczył, że Lotta stoi z kimś, kogo znał, i macha do niego z drugiego końca pokoju.
- Przepraszam - powiedział do swojego wielbiciela i ruszył przez pokój, lawirując między tańczącymi i pijącymi ludźmi.

- Kto to był? - zapytała Lotta.
- Nie mam pojęcia. To chyba ty powinnaś wiedzieć?
- W życiu go nie widziałam. Nie zauważyłam też, jak wszedł. Spojrzeli na mężczyznę. Szedł właśnie do kuchni, żeby sobie dolać.
- Pewnie jest tu z kimś, kogo znasz.
- Myślę, że po prostu przechodził obok.
- Tutaj? Na tym zadupiu?
- Zresztą nieważne - powiedziała, odwracając się do opalonego mężczyzny stojącego obok. - Co o tym sądzisz, Peter?
- Nieważne.
- Znasz chyba Erika?
- Spotkaliśmy się jakiś czas temu - powiedział Peter i wyciągnął rękę do Wintera. Winter ją uścisnął.
- Peter Krumlinde - odpowiedział. - Myślałem, że jesteś jeszcze w rejsie dookoła świata.
- Wróciłem latem.
- I jak się czujesz w domu?
- Wspaniale. Wszystko pachnie w szczególny sposób, no i mam stały grunt pod nogami.
- Przynajmniej przez chwilę - dodała Lotta.
- Chyba napiję się jeszcze whisky - powiedział Peter.
- Przyniosę ci. - Lotta wzięła od niego szklanekę.
- Nie powinnaś tak biegać. To twoje urodziny.
- Lubię być gospodynią - powiedziała i zaczęła się przedzierać przez tłum gości, śląc uśmiechy na prawo i lewo.

DŁUGIE STÓŁY USTAWIONO w kształcie litery T. Jadalnia była większa od salonu. Jako dziecko Winter siadał tu i czekał, aż przeciągające się obiady i kolacje z rodziną i przyjaciółmi rodziców się skończą i będzie mógł iść do siebie.

Teraz było odrobinę inaczej. Przyjęcie trwało nadal, ale on mógł pójść do swojego pokoju, z którego rozciągał się widok na Fattighusån, i dalej wpatrywać się w bezludny krajobraz. Różnica między ciepłą atmosferą panującą tu, w środku, a pokiereszowaną rzeczywistością na zewnątrz była jak granica między słońcem a deszczem na rysunkach dziewczynki. Granica oddzielająca świat od obrazka.

- Wyglądasz jak człowiek zagubiony w przestrzeni kosmicznej - powiedział Peter Krumlinde. Właśnie dosiadł się do Wintera i napełnił mu szklankę.

- Co? - Winter prawie podskoczył.

- No właśnie. Odplynąłeś.

- Raczej zagubiony w świecie.

- Przecież umiesz się o siebie zatroszczyć.

- Nie wiem.

- Daj spokój - powiedział Krumlinde. Rozgryzł oliwkę i dwoma palcami wyciągnął pestkę z ust. - Nie da rady odłożyć spraw, którymi się człowiek zajmuje, tylko dlatego, że jest się na przyjęciu - powiedział, sięgając po jeszcze jedną oliwkę. - Rozumiem to. Ale pomyśl o siostrze. Postaraj się czasem zachowywać, jakbyś był naprawdę obecny.

- Wystarczy jej, że tu jestem. Mam nadzieję. Ale podoba mi się tu. Jest fajnie, chociaż przyjęcia nie są raczej najważniejszą rzeczą w moim życiu.

- Więc co nią jest? Może oliwki? - zapytał Krumlinde, popijając ze szklanki i trzymając talerzyk z przekąskami.

- Właśnie - odpowiedział Winter. - Oliwki i sardele.

- Jak dla mnie wystarczy - odparł Krumlinde. - No i saksofon tenorowy.

Winter milczał. Nagle zatęsknił za muzyką.

- Nadal szukasz pomocy w jazzie przy rozwiązywaniu spraw? - zapytał Krumlinde.

- Bardziej niż kiedykolwiek.

- Więcej trąbki?
- Nie.
- Przecież sam na niej grywałeś w szalonych latach młodości?
- Nie za dużo.

Był blady świt, słońce powoli wyciągało dzień znad dachów. Winter pił kawę z mlekiem i czytał gazety. Michael Brecker dał ostro w saksofon, a jego muzyka, choć przyciszona, rozchodziła się po mieszkaniu.

Najgorsze mamy już za sobą, pomyślał i przeczytał oświadczenie komendanta Wellmana na temat wstępnego śledztwa. Wellman jest dobry w wypowiedaniu się publicznie na temat rzeczy, o których nie da się nic powiedzieć. W tym sensie jest świetny jako szef rejonowej policji, pomyślał. Ja nigdy do tego nie dojdę, nie wytrzymałbym.

Sprawie poświęcono trzy kolumny na dole trzeciej strony i mały wstęp na jedynce. Dziennikarze nie wiedzieli o Brigitte Dellmar albo przynajmniej nic o niej nie pisali. O Oscarze Jakobssonie zrobiło się głośno po aresztowaniu w Mölnlycke, ale jego tożsamość nie została ujawniona.

Gdziekolwiek pojawiają się nieścisłości, pomyślał Winter. Duńscy dziennikarze niezbyt dokładnie sprawdzają nazwiska i inne tego typu detale.

Powrócił myślami do Brigitty Dellmar. Czy wcześniej, kiedy to się stało, jej nazwisko znalazło się w duńskich gazetach?

Milczeli o wątku duńskim, ale nie mogło to trwać długo. Być może ujawnienie niektórych informacji byłoby korzystne, ale Winter chciał najpierw sam tam pojechać, żeby... żeby móc sobie wyobrazić, może poczuć, jak to było.

Coraz bardziej oczywiste było, że wszystko, co się stało w Aalborgu, miało znaczenie dla tej sprawy. Może kluczowe znaczenie - jak długi tunel łączący przeszłość z przyszłością, jak wołanie z oddali albo jak głos... Głos Helene albo jej matki, albo córeczki, Jennie, rozbrzmiewający w okrutnie

powtarzającej się historii.

Winter zaparzył świeżą kawę. Wyszedł od Lotty około pierwszej i dojechał do domu na rowerze. Wypił trzy kieliszki wina, ale alkohol przestał już działać.

Lotta uściskała go w holu. Stał w jej mocnych objęciach, z twarzą częściowo zasłoniętą jej włosami, i widział pokój, w którym przyjęcie wkroczyło w trzecią czy może czwartą fazę. Wstał, poszedł do salonu i wyłączył Breckera. Stanął przy biurku, wziął telefon i wybrał numer zapisany w notesiku w czerwonej okładce.

- *Hello?* - usłyszał dziecięcy głos.

- *Hello. I would like to speak to Steve, please. My name is Erik.*

- *Daaaaaady* - rozdarło się dziecko Steve'a Macdonalda w domu w Kent, na południe od Londynu. Steve miał bliźniaki. Coś trzasnęło w słuchawce. Winter słyszał odległe głosy, w tym głos Macdonalda.

- *Steve speaking.*

- Tu Winter.

- No proszę. Co za niespodzianka.

- Słuchałem właśnie The Clash i przyszło mi do głowy, że powinienem zadzwonić i ci o tym opowiedzieć.

- Miło to słyszeć. Naprawdę. Jazzowy snob zaczyna wreszcie słuchać muzyki rzeczywistości.

- Nie przeszkadzam przypadkiem?

- Skądże. Przygotowuję się właśnie do meczu.

Komisarz Steve Macdonald w każdą sobotę rozgrywał mecz ze swoją drużyną z pubu, a potem, w każdy poniedziałek, chodził po ulicach Croydon, kulejąc.

- Przynajmniej zakwalifikowaliście się do mistrzostw świata

- powiedział

Winter.

- Nasza drużyna z pubu? Mam nadzieję, że nie mówisz o Anglii, do cholery - odpowiedział Macdonald, Szkot.

- Nie, o Szkocji.
- Niestety nie mogę ci pogratulować tego samego.
- Ano, tak to jest.
- Któregoś dnia widziałem Broлина w telewizji - powiedział Macdonald. - Nigdy nie przypuszczałem, że światowej rangi gracz skończy w tej zapadłej dziurze, jaką jest stadion Selhurst Park. Jeśli się pójdzie Whitehorse Lane, to kilometr od mojego biura. Zadupie.
- Ano, tak to jest.
- Facet wyglądał, jakby potrzebował pomocy dietyka, a i tak był najlepszy na boisku. To chyba świadczy o kondycji dumnej Premier League.
- Może tylko o tej drużynie, o Crystal Palace.
- Gdyby ktoś o jego fizjonomii przyszedł do nas, pytając, czy może grać w naszej drużynie, z miejsca byśmy go odprawili. A nie widziałeś chłopaków z mojej drużyny.
- Nie, jakoś się nie złożyło.
- Kiedy wpadniesz?
- Może przed Bożym Narodzeniem. Nie wiem.
- Nowe buty i nowe koszule? Przy Tottenham Court Road jest mały sklepik z męskimi parasolami za mniej niż dwieście funtów.
- Cena z wyższej półki - odpowiedział Winter. - Ale najpierw muszę jechać do Danii. Opowiedział o sprawie. Macdonald pochrząkiwał.
- Jak przejechali do Szwecji po napadzie? - zapytał. - Najpóźniej godzinę po blokady musiały już być ustawione. Nie wspominając o kontrolach na promie.
- To prawda. Ale wiesz, do ilu pomyłek może dojść. To jedna z rzeczy, które muszę omówić z duńską policją.
- Ale przypuszczam, że przedostanie się na drugą stronę to nic trudnego dla kogoś, kto naprawdę chce. Przygotowana wcześniej łódka i... przeprawa nie zajmuje chyba tak dużo czasu?

- Nie.
  - To chyba wody znane z przemytu?
  - Tak. W czasie wojny wielu Żydów przepłynęło z Danii do Szwecji.
  - Sprawdziliście swoje wybrzeże? - zapytał Macdonald. - To upierdliwa robota, ale może ktoś coś widział. Na przykład tajemniczą łódź w środku nocy.
  - Tradycyjnie ludzie mieszkający na wybrzeżu siedzą cicho.
  - Rozumiem. Ci z wybrzeży to jedna wielka pieprzona banda, jak ziemia długa i szeroka.
  - Zaliczasz do niej również mieszkańców Göteborga?
  - Tak. I Brighton. Za pół godziny spotykamy się na meczu honorowym z ich dumną morderczą reprezentacją, The Lamb Football Club.
  - W takim razie, Steve, musisz już iść, żeby zdążyć się rozciągnąć.
  - Tak czy inaczej, muszę już kończyć, ale pomyślę o twojej sprawie, pijąc herbatę. Zaginione dzieci. To najgorsze ze wszystkiego.
  - I morderstwa - dodał Winter.
  - Niewyjaśnione morderstwa - powiedział Macdonald. - Nigdy mi się takie nie zdarzyło. To musi być okropne uczucie dla komisarza kryminalnego.
  - *Fuck off*
  - *All the best to you too, sir* - powiedział Macdonald i odłożył słuchawkę.
- Macdonald miał rację. To okropne uczucie. Winter usiadł przy biurku. Zbliżała się dwunasta. Słońce zaglądało do środka przez duże okna. Otworzył drzwi balkonowe i usłyszał szum niewielkiego, niedzielnego ruchu ulicznego. Po niebie przeleciało stado mew, zawzięcie dyskutując na wietrze. Pieprzona banda, pomyślał, uśmiechając się na wspomnienie wyrażenia, którego użył Macdonald.
- Uśmiech zniknął mu z twarzy, gdy kolejny raz spojrzął na



zdjęcie Brigitty Dellmar. Zrobiono je trzy tygodnie przed jej zniknięciem. Zaginęła drugiego października 1972 roku, parę minut po siedemnastej. Zdjęcie zrobiono w zakładzie fotograficznym w zachodnim Göteborgu trzy tygodnie wcześniej, z dokładnością do jednego dnia. Znaleźli je w jej domu we Frölunda. Było tam zdjęcie jej i Helene. Czy był jakiś powód, żeby robić sobie zdjęcie właśnie wtedy? Winter przyglądał się twarzy uwiecznionej na fotografii. Wyglądała, jakby omijała wzrokiem obiektyw, jakby patrzyła na coś stojącego obok aparatu. Jakby była zamyślona. Czy patrzyła na swoją córkę? Czy to Helene tam stała i czy to dlatego była na drugim zdjęciu?

Między matką i córką było widać wyraźne podobieństwo. Usta miały pociągłe, wargi pełne. Oczy szeroko osadzone. Włosy blond. Wysokie kości policzkowe. Obie były piękne. Obie zaginęły, mając mniej więcej tyle samo lat, pomyślał Winter.

Jennie odziedziczyła rysy po mamie i babci, włosy po kimś innym. Kto mógł zostawić swoje dziecko?, pomyślał Winter. Gdzie jest ojciec Jennie? Umarł? Kto był ojcem Helene? Jeden z tych, którzy zginęli w czasie napadu? A może ojciec też zginął? Może to męczczyzna, którego zwłoki wypłynęły z Limfjorden?

Kim był ojciec Helene?

W tym pytaniu kryło się częściowo rozwiązanie zagadki. Przeszłość rzucała ciemny cień na teraźniejszość.

Brigitta miała na sobie modny w tamtych latach obcisły sweter. Na zdjęciu widać go było tylko do ramion. Czy wiedziała, co się stanie? Nie musiała wiedzieć wszystkiego. ale czy wiedziała, co się stanie za trzy tygodnie? Czy знаła plan napadu? Czy to naprawdę ona tam była? Winter, choć w głębi serca wiedział, nadal w to wątpił.

Na zdjęciu lekko pochylała twarz do przodu, jakby nie mogła utrzymać głowy wyżej. Winter miał wrażenie, że patrzy na

coś ukradkiem, choć właściwie wcale tak nie wyglądała. W jej postawie widać było pewien dystans, wycofanie. Była na zdjęciu sama. Żadnych rekwizytów. Z atelier, w którym siedziała, wręcz biła samotność. Zdjęcie było czarno-białe, ale przedstawiony na nim obraz i tak byłby bezbarwny, pomyślał Winter. Kiedy myślał o matce Helene, nie widział kolorów. Gdy przed oczyma stawała mu Helene, widział czerwień i ten zimny niebieski kolor, która unosił się bezgłośnie w powietrzu w prosektorium. Kiedy myślał o Jennie, obraz był czarny.

Przejeżdżając na rowerze przez Heden, widział studentów grających w błocie w piłkę nożną.

W koszyku wiszącym na drzwiach biura czekał na niego faks. Duńska policja wyczekiwała już jego przyjazdu. Może nie kłamali. Niewyjaśniona sprawa napadu i śmierci policjanta przez lata dręczyła stróżów prawa z Aalborgu.

- Wiesz, że w Danii komisarz to inspektor, a inspektor to komisarz? - zapytał go Ringmar po porannym zebraniu.

- W takim razie mam się przedstawiać jako inspektor?

- Mówię, żebyś wiedział.

- Może i powinienem przetłumaczyć swój stopień, ale aż tak się tym nie przejmuję.

- Kiedy jedziesz?

- Jutro z samego rana. Katamaranem.

Ringmar siedział w milczeniu, mieszając kawę łyżeczką.

- Nie ma wyjścia, Bertil. Mam wrażenie, że teraz jestem tam bardziej potrzebny niż tutaj.

- Chyba masz rację. Po prostu jak sobie pomyślę, że pojedziesz tam i stwierdzisz, że faktycznie tak było, i będziemy nad tym dalej pracować, ale nadal nie będziemy mogli trafić na właściwy trop. - Ringmar się rozejrzył. - Zaczynamy zwalniać obroty. Nawet poszukiwania dziecka wydają się przygasać. Ludzie zwieszają już trochę głowy.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - odparł Winter. - Ja nie

- zwieszam głowy. Ty też nie. - Do pokoju wszedł Bergenhem.
- I Lars też nie zwiesza głowy - dodał Winter.
  - Co? - zapytał Bergenhem, stając przed ekspresem do kawy.
  - Cieszymy się właśnie, że nikt z wydziału nie chodzi ze zwieszoną głową.

## 48

WINTER WJECHAŁ NA STATEK i zaparkował we wnętrzu kadłuba. Zamknął mercedesa, wziął teczkę i poszedł na pokład dla pasażerów. Kiedy katamaran ruszył, Winter stanął na pokładzie, przy rufie. Światło dnia mieszało się jeszcze z mrokiem nocy. Resztki ciemności unosiły się nad rzeką, napływając z południa, i znikwały wśród nierównych domów stojących przy północnym krańcu mostu. Wyraźnie wiał wiatr, nad Kattegat pewnie z prędkością czterech metrów na sekundę.

Wszedł do środka i minął bar. Siedzieli tam już ludzie o wymiętych twarzach, pijąc pierwsze tego dnia piwo. Dym z papierosów tworzył nad ich głowami obłok, a alkohol zaczynał powoli wygładzać ich pomarszczone rysy.

Usiadł w pojedynczym rzędzie foteli przy oknie. Kiedy dopłynęli do fiordu Dana, katamaran przyspieszył. Winter widział, jak ostre światło słoneczne wyłania się zza skał. Archipelag wyglądał jak rozświetlone drobiny, w porannym słońcu zmieniające się w stal, ziemię i granit. Niebo przytłaczało cienkie chmury, spychając je w dół i na boki.

Minęli dwie żaglówki, których czerwone żagle sunęły ponad zastygłą, ołowianą taflą. Świat odbijał się w szybach. Wody Północy stopniowo zamierały w bezruchu przed zbliżającą się zimą.

Na wysokości Vingti katamaran rozwinął prędkość czterdziestu węzłów. Winter zobaczył trzy dzikie kaczki. Dość

długo leciały obok statku. Ich skrzydła cięły powietrze jak śmigła. Potem skrzyły pod kątem prostym i zniknęły w promieniach słońca.

Po chwili ląd zniknął. Wintera otaczało tylko morze i niekończąca się linia horyzontu. W wodzie odbijał się blask życia. Brzask już minął i niebieskie flagi nieba rozpościerały się między pojedynczymi jasnymi chmurami.

Minęli prom płynący na wschód. Winter widział też nieruchome rybackie łodzie. Trwał połów. Słońce zaczęło mu świecić w oczy, więc poszedł do baru i kupił kanapkę z serem i kawę.

Głosów w barze przybywało, zaczynały się zmieniać w szum. Wymięte wcześniej twarze teraz były już gładkie, a powietrze coraz gęstsze od dymu. Winter zastanawiał się, czy nie wyjść jeszcze na zewnątrz, żeby zapalić cygaro, ale stwierdził, że przecież dopiero co wszedł.

Wrócił na swoje miejsce. Przegryzł kanapkę i wypił kawę. Myślał o rozmowie, którą odbył wczoraj wieczorem.

- Obiecuję, że zrobię, co mogę, żebyś znalazł tę małą - powiedział Benny Vennerhag. - Ale nasz świat nie jest już taki jak kiedyś.

- O jakim świecie mówisz? O półświatku?

Vennerhag nie odpowiedział.

- Nie jest już tak łatwo zdobywać informacje. Ludzie nie mówią więcej, niż muszą.

- Mnie interesuje świat tej dziewczynki - odparł Winter. - Świat jej mamy i babci.

- To nie za wesoły świat.

- Co masz na myśli?

- No, w pewnym sensie były zostawione same sobie. Nie brak przecież poranionych dusz na świecie. Ludzi okaleczonych z różnych powodów. Słysząc czasem głosy, że sens życia polega na tym, żeby je zakończyć dość szybko. Ale

zaden ze mnie pracownik społeczny ani psycholog.

- Gadasz, jakbyś nim był.

- Czasem się człowiek zastanawia, po której właściwie stronie stoi. Nie jestem biedny i nie żyję w nędzy, ale mimo wszystko. Jak wychodzę z domu, otaczają mnie ludzie, których życie źle potraktowało.

- Daj spokój, Benny Hood.

- Otaczają mnie ci, którzy zamiast odprawy dostają kopa na drogę.

- Dużo rozmyślałeś, Benny.

- To źle, że popadam w zadumę nad naszymi czasami?

- Bynajmniej, ale jesteś złodziejem - powiedział Winter. - Żyjesz w półświatku. A musi w nim jeszcze żyć ktoś, kto znał Brigitte Dellmar. To przecież nie był taki duży krąg.

- Może i nie - odparł Vennerhag. - Ale mnie jeszcze wtedy w nim nie było.

- Pewnie słyszałeś swoje.

- Zauważ, że to się nie działo w Szwecji, Winter.

- Zauważ, że potem tu przyjechali.

- Kogo dokładnie masz na myśli? Jednego z nich? Dwóch, trzech czy czterech?

- Nie wiem.

- Wiesz, co Lotta dostała ode mnie na czterdzieste urodziny?

- Nie.

- Nie? Nie byłeś na przyjęciu?

- Byłem. Ale nie kojarzę, żeby otwierała prezent od ciebie.

- No myślę, bo nie dało się go otworzyć. To niemożliwe.

- Taa...

- Nie jesteś ciekawy, co to było?

- Nie.

- Nie powiem ci, ale pewnie spytasz Lotte.

- Nie.

- Zanim się skończy jesień, spytasz ją.

Winter zamknął oczy. Przysnął, wsłuchany w szum wibrujących silników. Jego mięśnie nie były już tak spięte. Pomyślał, że powinien wstać i pójść do sklepu wolnoćlowego na zakupy, ale sama myśl sprawiła, że jego ciało stało się bardziej ociężałe, powieki opadły. Znalazł się na połyskującej, granitowej wyspie. Coś uczepiło się jego ramion, wlokło się za nim od łódki wciąganej na ląd przez dwóch chłopców malujących na skałach czerwone chińskie znaki. Podeszła do niego kobieta i zacisnęła mu sznur na ramionach, a potem pociągnęła jego końce, okręcając je sobie wokół dłoni. Winter powiedział jej, że to łańcuch poszlak. Nie ruszaj mojego łańcucha poszlak, powiedział, ale ona była już na szczycie latarni morskiej i zaczęła krzyczeć, że to jej łańcuch i jej ogniwa, a potem zleciała, a jej ręce przypominały śmigła. Zerwała mu łańcuch z ramion i Winter uniósł dłonie. Machał nimi, żeby się osłonić, ale jego własny łańcuch.

Uderzył dłonią w opuszczany stolik przed sobą. Stojący na nim papierowy kubek podskoczył i Winter się obudził z tym dziwnym uczuciem, które opada człowieka, kiedy niespodziewanie zaśnie.

Przeciągnął się i wyrzwał na wodę. Katamaran zbliżał się do brzegu. Czuł, że płyną coraz wolniej, i miał wrażenie, że jego krwiobieg też zwalnia obroty, jakby wyhamowywał.

Jechał drogą E45 do Aalborga. Za tunelem biegnącym pod Limfjorden skręcił w kierunku miasta. Ostatni raz był tu wieki temu. Miasto wydawało się większe niż to, które pamiętał. Droga wjazdowa prowadziła przez tereny portowe. Magazyny zasłaniały słońce. Para unosząca się nad fabryką wódki sprawiała, że niebo było białe, jakby pokryte kredą.

Zaparkował przed stacją kolejową i, przecinając plac Johna Kennedy'ego, doszedł do Park Hotelu. Młody mężczyzna siedzący w recepcji skinął głową na powitanie i szybko znalazł jego nazwisko w książce. Winter wpisał się i dostał

klucz do pokoju na drugim piętrze. Wsiadł do windy z walizką i z teczką. Nie zdążył zrobić zakupów w sklepie wolnołowym.

Pokój był mały i unosił się w nim kwaśny zapach tytoniu. Okno wychodziło na ciemne podwórko za budynkiem, na którym stos kartonów wspinał się wysoko, sięgając jego pokoju. Słysząc było szum systemu wentylacyjnego, uczeponego muru za oknem niczym aluminiowe dzikie wino. Dźwięk przypominał Winterowi wibrujący katamaran. Wziął walizki i zjechał stuletnią chyba windą z powrotem do recepcji. Miał ochotę złapać za komórkę i zadzwonić do komendy w Göteborgu, żeby zapytać, kto i dlaczego zarezerwował mu ten hotel. Powstrzymał się jednak. Może zrobił to sam Wellman. Oszczędności szukają również na górze.

- Chcę dostać inny pokój - powiedział do młodego recepcjonisty, a ten przytaknął, jakby czymś normalnym było, że po pięciu minutach gość wraca z takim żądaniem.

- Nie mamy już wolnych jedynek.

- W takim razie proszę o dwójkę.

- Dwójka kosztuje.

- Nie ma znaczenia, ile kosztuje - powiedział Winter. -

Chcę pokój na trzecim piętrze, z oknami wychodzącymi na rynek - dodał, wskazując ręką w stronę foyer i Placu Kennedy'ego. Chłopak przyglądał się czemuś na biurku, a potem odwrócił się do tablicy wyłożonej czerwonym filcem, na której, rządkiem przy rządkiem, wisiły klucze. Przekraczając Kattgat, zmieniłem strefę czasową i wylądowałem w dziewiętnastym wieku, pomyślał Winter i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, chłopak wyciągał do niego rękę z kluczem.

- Ma pan szczęście. Trzecie piętro, pokój dwuosobowy z widokiem na rynek.

Winter kolejny raz wjechał z walizkami na górę i otworzył drzwi ważącym siedem kilogramów kluczem zrobionym z

ółowiowi powlekanego mosiądzem lub złotem.

Pokój był duży i wyglądał na czysty. Winter podszedł do okna i przez ciężkie firany spojrział na rynek i stojący po drugiej stronie placu budynek banku DSB. Przed dworcem stało dwóch żołnierzy. Wyglądali, jakby pilnowali jego samochodu. Autobusy jeździły w tę i z powrotem. Widząc mężczyznę idącego przez plac z hot dogiem w ręku, Winter poczuł, że sam jest głodny. W budynku dworca, obok miejsca, gdzie zaparkował, był bar. Poszedł do łazienki się wysikać, a potem, myjąc ręce, dokładnie obejrzał twarz w lustrze. Po rejsie popękały mu naczynka w oczach. Długie, sięgające już ramion włosy zaczesał za uszy. Wrócił do pokoju, rozejrzał się, a potem wyszedł i zostawił klucz w recepcji, w której siedział już ktoś inny. Słońce stało nad placem w zenicie. Ciepły październik jeszcze się nie skończył. Zamówił dwie kielbaski w bułce ze smażoną cebulką i carlsberga. Usiadł przy wysokim stole i zaczął jeść. Był jedynym klientem. Pachniało mięsem, tłuszczem do smażenia i słodem.

Z prawej strony widział dworzec autobusowy, a przed nim, na parkingu, cztery motocykle. Wyglądały, jakby ktoś je przyczepił łańcuchami na samym środku wjazdu. Właściciele stali obok, rozmawiali. Mieli na sobie czarne skóry, dżinsowe kurtki i czarne buty z ostro zakończonymi obcasami. Wszyscy mieli ciemny zarost i włosy tak długie jak on. Dwóch miało kucyki. Pili piwo. Samochody musiały wjeżdżać na parking, wymijając półkolem to obozowisko rozłożone przez motocyklowy gang. Ale Winter nie widział, żeby którykolwiek z kierowców walił w klakson, każąc im spieszyć. Ten widok wydawał się zwyczajnym elementem krajobrazu miasteczka. Może w Aalborgu wszyscy żyją sobie szczęśliwie obok siebie.

Skończył jeść i poszedł do samochodu. Zgodnie ze wskazówkami hotelowego recepcjonisty objechał budynki,



wjechał z powrotem na bulwar po prawej stronie i zaparkował w prostej uliczce biegnącej wzdłuż hotelu. Wysiadł, zamknął samochód i wrócił na rynek, znów mijając stację. Motocykle już odjechały z rykiem silników.

Jeszcze było go słycać nad fiordem. Winter szedł Jyllandsgade, minął dwie przecznice. Po lewej zobaczył komendę policji. Wyglądała jak futurystyczny pałac zbudowany z węgla i srebra. Wiedział, że coś tam przebudowano, coś dobudowano, ale nie wiedział, z jakim rozmachem to zrobiono. Szerokie schody kończyły się ścianami z czarnego szkła. Winter pomyślał, że szwedzka policja też nie powinna sobie żałować i stawiać równie okazałe siedziby.

Pałac połyskiwał w słońcu. W jego ścianach odbijała się ciągnąca się na północ od fiordu część miasta. Jeśli im się tu trafi jakieś przestępstwo, pewnie się specjalnie na tę okazję przebierają, pomyślał Winter. Naprzeciwko stał kościół ewangelicki. Obok komendy mieściło się biuro agencji Securitas, a za nim klub AA. Winter widział kilkoro anonimowych. Stali przed budynkiem i wygrzewali na słońcu zmęczone twarze.

W budynku komendy dominowały czarna skóra, stal i marmurowe podłogi. Szklane ściany zawitały do miasta. Winter zgłosił się do umundurowanego policjanta siedzącego za niewielką ladą z prawej strony. Ten poprosił go, żeby usiadł i wypełnił formularz. Jasno tu i przestronnie, pomyślał Winter, mając w pamięci wąską norę w Göteborgu, która miała pomieścić wszystkich obywateli chcących coś załatwić na policji. Podeszedł do pustej lady i wziął do ręki kilka formularzy: podanie o zmianę danych w prawie jazdy, podanie o przyznanie duńskiego paszportu, przegląd i/lub rejestracja pojazdów. Przypomniały mu się motocykle przed dworcem. Jeden z formularzy zatytułowany był po prostu „podanie”. Winter wetknął go do kieszeni marynarki. Takie

coś może się kiedyś przydać. Wrócił do dużego holu. Obok umundurowanego policjanta za ladą stała teraz kobieta w czarnej koszuli i czarnych dżinsach. Była szczupła i miała jasne, gęste włosy, związane do tyłu. Winter zauważył paczkę papierosów wystającą częściowo z kieszeni jej koszuli. Kobieta miała niebieskie oczy. Winter zobaczył ich kolor, bo odbijało się w nich światło ze szklanych ścian. Wyglądała na młodszą od niego. To niemożliwe, żeby ktoś młodszy ode mnie zajmował wysokie stanowisko, pomyślał, ściskając wyciągniętą do niego rękę.

- Witam, inspektorze Winter.

- Dziękuję. inspektor Poulsen?

- Zgadza się. Michaela. Mówmy sobie na ty.

- W Szwecji mam stopień komisarza - powiedział. - Tu chyba jest na odwrót.

- Tutaj wiele rzeczy jest na odwrót - powiedział Michaela Poulsen. Winter spoglądał przez szklane ściany. Popatrzyła w tym samym kierunku. - Ładny, prawda? I nie chodzi mi o dworzec tam dalej, tylko o nasz budynek. O komendę.

- Jestem pod wrażeniem.

- Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem decyzji zwierzchników. Chłopaki miały gest. Nie mamy komputerów, ale mamy piękny budynek, w którym nam ich brakuje - spojrzała na Wintera. - Pierwszy raz jesteś u nas w mieście?

- Nie, ale ostatnim razem byłem dawno temu.

- Przez lata kontaktowaliśmy się ze szwedzką policją - Michaela wskazała ręką na windy. Wyglądały jak portale schowane pod schodami. - Jedziemy na drugie piętro.

## 49

POLICJA KRYMINALNA REZYDOWAŁA w małych biurach połączonych długimi korytarzami. Przypomniały Winterowi jego miejsce pracy w Göteborgu.

Na korytarzu, wzdłuż ścian, stały kartony i różne części komputerowe. Chwilami Winter musiał iść slalomem.

- Mamy tu mały bałagan - rzuciła Michaela przez ramię. - Kończymy właśnie etap komputeryzacji, a to zajmuje trochę czasu i miejsca.

- Tak - potwierdził Winter. - Sami nie tak dawno przechodziliśmy to samo.

- Kosztowało nas to dwieście pięćdziesiąt sześć stanowisk. Mam na myśli Danię. Mają zostać zlikwidowane do końca 2010 roku.

Wprowadziła go do biura. Na końcu korytarza, po prawej stronie. Na stole stał

komputer, na biurku leżały teczki. I telefon. Przez okno widać było anonimowych alkoholików stojących przed budynkiem.

- To było ładnych parę lat temu - powiedziała Michaela. - Poprosiłam o przesłanie tych akt, których nie mieliśmy, z naszego archiwum w Viborgu. - Wskazała głową na komputer. Stał szary i głuchy na małym stoliku obok biurka.

- Jak już mówiłam, komputeryzujemy właśnie archiwa. Boję się, że nie znajdziesz za dużo w kompie.

- Na pewno będzie okej. - Winter się rozejrzył.

- Będziemy wdzięczni, jeśli szwedzka policja pomoże nam przy tej starej sprawie. Oczywiście mnie jeszcze tu wtedy nie było, ale są tacy, którzy nie zapomnieli. Właściwie niektórzy koledzy zajmowali się osobiście sprawą napadu i śmierci. Na przykład Jens Bendrup. Chętnie z tobą pogada, tak szybko, jak zechcesz.

- Dzięki.

- Nie ma za co. To była parszywa sprawa.

Michaela usiadła na jednym z dwóch prostych krzeseł stojących pod oknem. Zrobiła ręką gest, jakby chciała odsunąć z twarzy grzywkę, której nie miała. Kiedy tu szli, wstąpiła do swojego biura po marynarkę w wąskie czarno-

białe paski. W świetle wpadającym przez okno marynarka nabrała zupełnie innego koloru, ale kiedy Michaela na niego spojrzała, zauważył, że oczy ma tak samo niebieskie.

- Właśnie dlatego przyjechałem. Chciałbym poznać trochę szczegółów.

- Najpierw zawołamy Jensa. - Podniosła się i wyszła. Winter dalej stał przy biurku. Wziął jedną z teczek z numerem sprawy, doliczył się ich pięciu. Była tam też szara koperta formatu A4, w której mogły się znajdować zdjęcia i inne materiały.

Podniósł wzrok. Michaela już wróciła, z komisarzem Jensem Bendrupem. Wyglądał na silnego, był barczysty, niższy od Michaeli. Ubrany był na luzie: w koszulę, sweter i dżinsy. Winter domyślał się, że do emerytury zostały mu dwa, trzy lata. Kiedy się z nim witał, Bendrup wyczuł zapach cygar. Winter mógł z kolei poczuć woń dwóch piw, które Bendrup wypił do lunchu.

- Witamy na miejscu zbrodni - powiedział Bendrup.

- Dziękuję, że mnie tak miło przyjeście.

- Muszę zapalić. Teraz to twoje biuro, więc to ty musisz wydać pozwolenie.

Bendrup wyciągnął groźnie wyglądającego papierosa. Winter spojrzął na Michaelę, a ona skinęła głową.

- Zazwyczaj szefowa jest surowa - powiedział Bendrup, wskazując na Michaelę zapalką, którą właśnie zapalił papierosa. - Najlepiej by było, gdybyś się przyłączył.

Winter potrząsnął głową. Nie wyciągnął cygara z kieszeni marynarki, postanowił się nacieszyć biernym paleniem. Bendrup usiadł.

- Młody aspirant stracił życie - powiedział, a twarz mu spoważniała. - Sam musiałem przekazać tę wiadomość wdowie po nim, a takich rzeczy się nie zapomina. Była wtedy w ciąży.

- Co się stało?

- Pomagał im ktoś z wewnątrz, to jasne, ale nie udało nam się tego udowodnić. Chyba właśnie to najbardziej nie daje mi spokoju - zaciągnął się i wypuścił dym. Winterowi przypominał lokomotywę. - Przecież w banku było wtedy siedem milionów i złodzieje o tym wiedzieli.

- Skąd tyle pieniędzy akurat tego dnia?

- Przeorganizowywali systemy. Ręczne, nie te zautomatyzowane. Na to nałożyła się jakaś inwentaryzacja i przebudowa skarbcza. - Bendrup wzruszył ramionami. Wpatrywał się w swojego papierosa. - Takie rzeczy są możliwe tylko w Danii.

- Bank nie był zamknięty? - zapytał Winter. - Przecież było już po godzinach pracy?

- Formalnie był zamknięty, ale drzwi były otwarte. Potem wszyscy zrzucali winę na siebie nawzajem. Ale nie dlatego podejrzewam, że to robota kogoś z banku. Rozumiesz. w tamtych czasach to było normalne, że się nie zamykało drzwi. Przynajmniej tutaj, w naszej starej, dobrej Danii. Ludzie wiedzieli, że jest zamknięte, i nawet jeśli widzieli kogoś w środku, nie wchodzili, żeby coś załatwić. To nie przez te otwarte drzwi.

- W ten sposób dostali się do środka - dodała Michaela. - Były tam pieniądze. Weszło czterech mężczyzn, oczywiście w czarnych maskach na twarzach. Trzech weszło dalej, jeden stanął przy drzwiach.

- Wiecie, jak to dokładnie wyglądało?

- Była tam kamera - powiedział Bendrup. - Tu wszystko wygląda na dziewiętnasty wiek, ale była tam kamera, więc mogliśmy zobaczyć napad.

Winter pokiwał głową.

- A potem wszystko się spieprzyło. - Bendrup dmuchnął w papierosa, który

jarzył mu się przed ustami. - Cały plan poszedł w cholerę, bo my byliśmy w drodze, zanim jeszcze te szuje przeszły

przez próg.

- Słyszałem o tym - powiedział Winter. - Jak do tego doszło?

- Takie coś przytrafia się tylko wariatom i geniuszom. Cholerni robotnicy przeprowadzali właśnie nowe przewody elektryczne do skarbcza, kiedy uruchomił się alarm połączony z komendą policji, która znajdowała się tu gdzie teraz, choć nie była wtedy taka elegancka.

Winter skinął głową. Michaela stała, oparta o biurko. Pod oknem zatrzymała się ciężarówka z włączonym silnikiem. Winter usłyszał też pociąg. Ciężarówka zarzęziła i ucichła.

- Pracownicy siedzieli tam z siedmioma milionami w starych banknotach. Oczywiście do nich zadzwoniliśmy, oni do nas też, ale robotnicy, włączając alarm, odcięli jednocześnie kable telefoniczne. Nikt nie odbierał, więc pierwszy radiowóz ruszył na osterågade i trafił w sam środek imprezy. Czy raczej w sam jej koniec. Samochód zatrzymał się na Nytorv akurat wtedy, gdy złodzieje wychodzili. Soren Christiansen wyskoczył pierwszy i pierwszy został zastrzelony, bo złodzieje mieli broń. AK-4. Rozrywa ciało na strzępy, nawet jeśli strzelec jest marny. - Bendrup spojrział w okno, a potem na Wintera. Papieros zgasł, kiedy mówił, ale nadal trzymał go w ustach. - Kurwa. Jeśli się ma trochę wyobraźni, nadal można zobaczyć krew Sorena.

- Ale odpowiedzieliście ogniem? - zapytał Winter.

- Tak, chłopaki, które były tam z Sorenem, wskoczyły za samochód i zaczęły strzelać. Wtedy od strony Ved Stranden podjechał drugi radiowóz. Mogę ci potem pokazać, gdzie to było. Wiedzieli już, co się dzieje, i zaszli tych skurwieli od tyłu. Padły kolejne strzały. Jak w Bonnie i Clyde. Niektórzy nazywali potem tę sprawę „Bonnie i Clyde”. - Bendrup spojrział na Michaelę. - Ale nie ja. To była zbyt poważna sprawa, żeby z niej żartować.

- Dwóch złodziei zginęło - powiedział Winter.

- Jeden zmarł na miejscu. Kula trafiła go w oko. To chyba był ślepy traf, jak to się mówi. Drugi jeszcze żył, kiedy wszystko się skończyło, ale był w ciężkim stanie. Myśleliśmy, że z tego wyjdzie, ale zmarł, zanim się wybudził. Lekarze mówili, że doszło do zatoru tłuszczowego. Orientujesz się w tym?

- Słabo.

- Ja też się nie orientowałem, ale musiałem się nauczyć. Oberwał w kilku miejscach i złamania spowodowały, że szpik kostny dostał się do krwioobiegu, tworząc czopy, które spowodowały zgon. Byliśmy zawiedzeni. Nie było kogo przesłuchać.

- No tak - odparł Winter. - Pozostali uciekli.

- Uciekli. Dwóch mężczyzn, kierowca i możliwe, że dziecko też. Prowadziła kobieta. Jeden aspirant i dwóch inspektorów przysięgało, że widzieli twarz dziecka leżącego na podłodze, kiedy złodzieje przed odjazdem otworzyli drzwi samochodu.

- Byli tego pewni - dodała Michaela. - Tak samo jak tego, że prowadziła kobieta.

- Brigitta Dellmar.

- Dopiero potem ją zidentyfikowano.

- Nie była tu znana - powiedział Bendrup.

- Czyli uciekli - stwierdził Winter bezbarwnym głosem.

Bendrup spojrział na niego podejrzliwie.

- Może to i źle, nie wiem - powiedział. - Ale policjanci z drugiego radiowozu najpierw chcieli ratować Christiansena, no i rannych złodziei. Nikt przecież nie wiedział, że Soren już nie żyje. Drugi patrol nie mógł ruszyć, dwie opony mieli przestrelone. I kiedy przyjechał następny radiowóz, tamci byli już za mostem przy Limfjorden i zniknęli w slumsach na Norresundby.

Winter kolejny raz przytaknął. Za oknem znowu zawarczała ciężarówka.

- Tak to mniej więcej wyglądało. A zakończenie jest takie, że

pojechali do domku letniskowego w Blokhus. A zwłoki trzeciego złodzieja wypłynęły koło fiordu parę tygodni później. W każdym razie sądzono, że to on. Był kolegą tych dwóch, którzy zginęli, albo przynajmniej jednego.

- Co ich łączyło z gangiem motocyklowym? - zapytał Winter.

- Cóż. - Bendrup próbował na nowo zapalić papierosa. Winter czekał. Michaela, poirytowana hałasem, podeszła do okna. Kiedy wyjrzała, zrobiło się cicho. - Cóż. Wtedy gang dopiero się tu organizował. Moda przyszła z Kalifornii, wiesz, Beach Boys i inne gówna. Wydaje mi się, że pod pewnymi względami w Danii byli mocniejsi niż w innych krajach Europy. Tak czy inaczej, byli pionierami, a dwóch z tych nieszczęsnych złodziei należało właśnie do pionierów. Tyle mniej więcej wiemy, ale mamy też przypuszczenia.

- Jakie w takim razie macie przypuszczenia?

- Przypuszczamy, a przynajmniej ja przypuszczam, że to była zwykła robota na zlecenie gangu. Potrzebowali kasy. W 1972 roku siedem milionów to było mnóstwo pieniędzy. A ci, którzy chcą zbudować silną organizację, potrzebują kapitału. Powinieneś wiedzieć, że w tamtym czasie zamach na Bank Duński nie był ani jedynym, ani pierwszym. To była część planowanej serii, choć ten napad był największy. I najkrwawszy.

- Za tą hipotezą przemawia też to, że j ednego ze złodziei zabili j ego towarzysze - powiedziała Michaela.

- Co masz na myśli? - zapytał Winter.

- Stracono go, bo nie był już potrzebny. Brzmi to szokująco, ale bywały już takie przypadki. Albo z ich punktu widzenia był mięczakiem, na którym nie można było polegać.

- Albo po prostu o coś się pokłócili - powiedział Bendrup. - To mógł być jakiś wolny strzelec, który nie pasował do większego planu. Kontakty z gangiem - tak, wysłannik szefów - nie. Tak mogło być.

- Powiedziałaś, że mogli się o coś pokłócić. Co to mogło być?



- zapytał Winter. Czuł, jak zimno przepływa mu przez głowę i włosy. Nagle puls mu przyspieszył.
  - Chyba wiem, o co ci chodzi - odparł Bendrup. - Teraz rozumiem. Niezbyt przyjemna wizja.
  - Czy to możliwe, że kobieta i dziecko mieli zniknąć? - spytał Winter.
  - Tak - odpowiedział Bendrup. - Dużo o tym myślałem. Mogło tak być. Albo z góry przyszedł rozkaz, że ci słabi mają zostać wyeliminowani, albo po akcji coś się wydarzyło między złodziejami. Może mężczyźni pobili się o to, czy kobieta i dziecko mają przeżyć. Może chodziło o życie ich wszystkich. Może to tylko kwestia przypadku, że tak się to potoczyło, chociaż nie sądzę. W każdym razie można powiedzieć, że to koszmarna historia.
  - Że tak się to potoczyło? Masz na myśli tego faceta, którego zamordowano?
  - Tak. Zastrzelili go, ale czemu właśnie jego?
- Winter milczał. Wstał i zaczął szukać w kieszeni cygar.
- Dobra - powiedział, zapalając corpse'a. - Więc uciekają. Gdzieś się ukrywają. Może inni członkowie domniemanego gangu wiedzą gdzie, może nie. Coś się dzieje. Mogli się rozdzielić wcześniej, ale załóżmy, że jeden z nich ginie, kiedy wciąż są razem. Pozostaje mężczyzna, kobieta, a może i dziecko. Kobieta jest ze Szwecji. Udaje im się wrócić do Szwecji.
  - Boże - powiedział Bendrup. - Robiliśmy, co w naszej mocy, ale to nie wystarczyło. Musieli mieć kontakty. Przewiół ich pewnie jakiś znajomy przemytnik.
  - Albo narajono im kogoś nowego. Mieli przecież pieniądze - zauważyła Michaela.
  - Jeśli jeszcze jakieś im zostały - powiedział Bendrup. - To znaczy jeśli mieli je przy sobie. Mogli je już przekazać skarbnikowi gangu.
  - Ale jeśli dziecko faktycznie było z nimi w czasie napadu, to

wiemy, że ono również przyjechało do Szwecji, a potem trafiło do szpitala w Göteborgu - dodał Winter.

- Pytanie tylko, kto jeszcze przedostał się do Szwecji.

- Może nikt - powiedział Bendrup. - Niewykluczone, że kobieta i ten trzeci facet też nie żyją. Może zginęli zaraz po napadzie. Stracono ich.

- Albo przyłączyli się do tamtych - zauważyła Michaela.

- No i tego faceta nie udało się zidentyfikować - dodał Winter.

- Nie, ale mógł być Szwedem. Kobieta była ze Szwecji, to i on mógł być.

- Dlaczego w takim razie przyjechali tutaj? Czemu brali udział właśnie w tym napadzie?

- Może w Göteborgu działał bliźniaczy gang, ale nigdy nie udało nam się tego ustalić - powiedział Bendrup. - To znaczy po tym, jak się dowiedzieliśmy o dziecku w szpitalu, powiązaliśmy Brigitte Dellmar ze sprawą i ustaliliśmy, że była tu w czasie napadu.

- Nie udało wam się jej powiązać z żadnym z tych Duńczyków, którzy zginęli? - zapytał Winter.

- Nie, ani z nikim z tego tworzącego się gangu. Ale mogło tak być. Miłość ponad granicami. To tak jak ze współpracą ponad granicami. Rozproszenie ryzyka i tym podobne.

- Naprawdę ich szukaliśmy - powiedziała Michaela. - Kobiety i mężczyzn.

- Przecież już nigdy nikt o niej nie usłyszał - dodał Bendrup. - A miała małe dziecko. To czegoś dowodzi.

- A co z tym domem? - spytał Winter. - Gdzie to było? Nie pamiętam już tej nazwy z akt.

- Blokhus. Za miastem, przy cieśninie. To miejscowość letniskowa.

- Udało wam się ustalić, że tam byli?

- Widzieli ich tam świadkowie. Sprawdziliśmy dom, ale był zupełnie pusty.

- Co istotne, to było długo po napadzie - powiedziała Michaela.

- Co?

- Mieli wytrych albo coś w tym stylu i dostali się do środka. Albo klucz. Nikt wtedy nie zauważył nic podejrzanego. Ten dom stał na uboczu. W tym sensie, że wtedy nikt nie mieszkał w okolicy na stałe. Teraz jest inaczej, ale wtedy wzdłuż drogi stały tylko domki letniskowe. Nie zostawili za sobą żadnych śladów. Po paru tygodniach od ich wyjazdu przyjechał właściciel i kontynuował remont, który trwał już od jakiegoś czasu. Tapetowanie, malowanie. I wreszcie ktoś mieszkający kawałek dalej zareagował na komunikaty nadawane po napadzie. Więc wolno to szło.

- Wolno jak cholera - powiedział Bendrup. - Ci, co mieszkają na wybrzeżu, zawsze trzymają gęby na kłódkę, w każdym kraju. To jedna wielka pieprzona banda.

- Jak powiązano złodziei właśnie z tym domem? - zapytał Winter. - Przecież mieszkańcy odezwali się dużo później.

- Znaleźli coś - odpowiedział Bendrup. - Mówię o właścicielach domu. - Wstał i wziął do ręki teczkę. Znalazł tę, której szukał, i zaczął przeglądać jej zawartość. - Kontynuowali remont. - Bendrup odłożył teczkę i wziął następną. - Powinno to gdzieś tu być.

- Chodziło o dziecięcy sweterek ze zwitkiem papieru wcisniętym do kieszeni - powiedziała Michaela. - Zaczęli robić podłogę i rozwalać wewnętrzny pułap. Jedna deska w rogu pod oknem była obluzowana. Pod nią leżał sweterek. Zwitek wypadł, kiedy go podnieśli. To był skrawek papieru z jakimś rysunkiem, przypominającym mapę.

- Tu jest. - Bendrup podał teczkę Winterowi, który w tym momencie poczuł mdłości, a jednocześnie ogromne podniecenie. - Źle się czujesz?

Winter potrząsnął głową. Wziął teczkę. W foliowej koszulce zobaczył kopię mapy czy też wiadomości, którą tyle razy

oglądał w Göteborgu. Te same litery, cyfry i rysunek. Mogły wskazywać jakieś miejsce albo cokolwiek innego: 20/5, - 16.30, 4 - 23?, L.v. - H, T.

- Znam ten skrawek - opowiedział im całą historię.

Słuchali w napięciu. Michaela zdjęła marynarkę.

- Dobry Boże - powiedziała.

- Tak, tego się nie spodziewaliśmy - dodał Bendrup. - Ale jest to jakiś postęp.

- Znaleźliście jakieś odciski palców? - zapytał Winter.

- Głównie tych, którzy później trzymali papier - odpowiedział Bendrup. - Ale dostaliśmy ekspertyzę, która wskazywała na Andersena.

- Andersena? Nie widziałem nic o żadnym Andersenie w waszych aktach - powiedział Winter.

- Co? Nie, do cholery, gmatwam. Złodziej, którego znaleźliśmy później, ten, którego zwłoki wypłynęły przy Limfjorden, nazywał się Moller, i pod takim nazwiskiem pojawia się we wszystkich papierach, ale kiedy sprawdziliśmy go z kolegami, okazało się, że na mieście miał ksywę Andersen. Właściwie to wszyscy w gangu mieli po dwa nazwiska.

Winterowi zaschło w ustach. Trudno mu było przełknąć ślinę, ale czuł, że musi to zrobić, żeby móc coś powiedzieć.

- Ta. ta zamordowana kobieta z Göteborga miała na nazwisko Andersén - powiedział. - Helene Andersén. Przyjęła to nazwisko parę lat temu. To ona mogła być tym dzieckiem.

- Dobry Boże - powtórzyła Michaela.

- Kiedy się o tym dowiedzieliście? - zapytał Bendrup. - To znaczy kiedy ją zidentyfikowaliście jako Andersén?

- Dopiero kilka dni temu - odpowiedział Winter. - Potem już wszystko potoczyło się szybko. Nie dostaliście od nas jej nazwiska? Mój asystent miał przesłać większość materiałów przed moim przyjazdem.

Michaela spojrzała na Bendrupa.

- Cholera. Miałem wolne przez trzy ostatnie dni. Wróciłem dziś przed południem. Na biurku leżą różne rzeczy. Pewnie i te materiały, bo nikt nie zwrócił na nie uwagi.

- To moja wina - powiedziała Michaela. - Powinam dokładniej sprawdzać pocztę. Ale chyba się dogadaliśmy. - Spojrzała na Wintera. - Jeśli chcesz, możemy teraz pojechać do miasta. Gdybyś chciał zobaczyć, gdzie się to działo.

- Ale najpierw napijmy się piwa - zaproponował Bendrup.

## 50

WINTER I BENDRUP SIEDZIELI z piwem w La Stradzie, naprzeciwko Banku Duńskiego, u zbiegu osterågade i Bispensgade. Na zewnątrz, na deptaku, było pełno ludzi. Michaela piła wodę mineralną z cytryną. Byli w barze sami, ale rozmawiali cicho. Barman zniknął za kotarą.

- W większości Szwedzi. - Bendrup wskazał ruchem głowy na deptak.

- To popularne miasto wśród Szwedów - stwierdził Winter. Michaela przyglądała mu się, doszukując się ironii w jego słowach, ale Winter spuścił wzrok. Zaglądał do kufła, a potem wpatrywał się w stół, aż w końcu spojrział w okno.

- Szwedzi zazwyczaj zachowują się przyzwoicie - zauważył Bendrup. - Macie specyficzny gust w kwestii alkoholu, ale wiadomo, zawsze są plusy i minusy.

- Jakie zatem są plusy, Jens? - zapytała Michaela.

- Plusy? No, Szwedzi mówią przecież, że Szwecja jest fantastyczna.

- A minusy?

- Szwedów jest po prostu za dużo.

Winter szczerze się uśmieł.

- Przepraszam za mojego podwładnego - powiedziała Michaela.

- Daj spokój, myślę, że to było naprawdę zabawne - odparł Winter.

Wyjrzał przez okno i przez lukę, która akurat powstała w tłumie zbyt wielu Szwedów, popatrzył na bank. Mieścił się w budynku, który wyglądał jak kościół zbudowany w późnym średniowieczu, ale odkąd wszyscy mieszkańcy Aalborga pamiętali, w tym miej scu był właśnie bank. Ściany zbudowano z chropowatego, grubo ciosanego kamienia. Duże okna wprawiono chyba sto lat temu. Obok głównego wejścia, dokładnie na wprost miejsca, w którym siedział Winter, stała budka telefoniczna.

- Zastanawiam się, ile razy tu byli wcześniej, planując robotę - powiedział, odwracając się do duńskich kolegów.

- Mógł to zrobić ktoś inny - zauważył Bendrup. - Albo tylko jeden z nich.

- Wiemy też, że kierowca. ta kobieta. najpierw próbowała pojechać Nytorv, na wschód, ale ta droga była zablokowana - powiedziała Michaela. - Pokażę ci, jak wyjdziemy.

- Czyli ucieczka przez most nie była planowana?

Machnęła ręką.

- Mogła być zaplanowana, ale może chcieli wjechać od innej strony. Nie wiemy

dokładnie. Chodzi mi o to, że może nie wszystko było zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach.

Bank był już zamknięty. Byli sami z dwoma pracownikami. Wraz z nastaniem zmierzchu ruch za oknem coraz bardziej gęstniał. O tej porze wielu ludzi przyjeżdżało do miasta się zabawić. Winter rekonstruował w myślach przebieg zdarzeń, podczas gdy Bendrup i jego szefowa pokazywali i wyjaśniali. Winter zauważył kamery na ścianach i przypomniał sobie pocztę w Mölnlycke. Było to tak niedawno, a wydawało mu się, że minęły lata.

Złodzieje wpadli do środka w czarnych maskach, powtarzając schemat tyłu wcześniejszych napadów w historii

przestępczości, schemat wspólny dla wszystkich krajów. Napad z bronią w rękę. Broń - prawdziwa albo fałszywa. Pieniądze - też prawdziwe albo fałszywe. Groźby - serio albo udawane.

I śmierć - również serio.

Młody policjant, Christiansen, upadł na zewnątrz. Dwóch złodziei też. Ich nazwiska i pozostałe dane znajdowały się w materiałach, które Winter zabrał, żeby je przeczytać w hotelu.

Bendrup pokazał mu, kto gdzie stał i gdzie upadł. W końcu Winterowi zaczęły się mieszać informacje i kierunki. Poczul się zmęczony. Skupienie uchodziło z niego jak światło znikające właśnie w ścianach budynków schowanych w tym zakątku świata, w którym ludzie zginęli z powodu pieniędzy. A może chodziło o coś więcej? Pomyślał, że może w grę wchodziła też ideologia. przerażająca ideologia władzy, kontroli i czystego terroru. - na północ - powiedział Bendrup.

Winter podążył spojrzeniem za jego ledwie widocznym gestem. Wskazywał na lokal, który wyglądał jak kopia angielskiego pubu.

- My zostaliśmy tu, ale to już chyba mówiłem. Zaczynało się ściemniać. Przecież to było prawie o tej samej porze roku.

Winter chciał już wrócić do hotelu. Godzinna drzemka, a potem praca i coś do jedzenia. Chciał znów być sam.

Nad placem przeleciało ogromne stado jaskółek, uformowane w chmurę, która zdawała się ciągnąć za sobą noc. Latarnie uliczne i neony zaczynały rozświetlać domy. Bank Jutlandii znajdujący się po przeciwnej stronie połyskiwał w świetle przypominającej kształtem żelazko reklamy Burger Kinga wiszącej na sąsiednim domu. Autobusy jeździły we wszystkie strony.

- Taa. - powiedział Bendrup. - Możemy ci pokazać coś jeszcze? To znaczy czy jest jeszcze coś, co chciałbyś zobaczyć?

- Nie teraz - odparł Winter. - Muszę powiedzieć, że byliście bardzo pomocni.

- Z czysto egoistycznych pobudek. Ty rozwiążesz sprawę, a zaszczyty spłyną na nas.

- Jasne - odpowiedział Winter. Swada Bendrupa też zaczynała go już lekko męczyć.

- Może postaramy się być trochę bardziej profesjonalni - wtrąciła Michaela. - W takim razie jedziemy. Możemy cię podrzucić do hotelu.

- Chętnie się przejdę. To chyba niezbyt daleko?

- Skąd, do cholery. Po prostu idź prosto tą ulicą. Dojdziesz do placu przed dworcem, do placu Kennedy'ego. Tam jest twój hotel.

Winter podniósł rękę na pożegnanie i ruszył.

- Przyjdę rano.

Michaela pomachała do niego i kiwnęła głową. Bendrup powiedział na razie i ruszył do samochodu.

Przysnął na chwilę, obudził go ryk motocykli. W końcu człowiek się przyzwyczaja, powiedziała mu Michaela. To tak jak z mieszkaniem przy torach. Tu miał i jedno, i drugie: motocykle i pociągi. Wstał z łóżka i podszedł do okna. W pokoju było ciemno, bo zapadł już zmrok, wpadało tylko światło z gdzieś tam oświetlonego placu, czworoboku wciśniętego między hotel i dworzec. Za oknem stały dwa motocykle z włączonymi silnikami. Minutę po tym, jak Winter wyrzwał, odjechały. Pojechały w prawo. Jakby czekały, aż w oknie pojawi się jego sylwetka. Oczywiście wcale tak nie jest, ale tak się dziwnie złożyło, pomyślał.

Usłyszał przyciszone głosy i spojrzął na plac. Do jednej z dwóch budek telefonicznych wcisnęły się trzy dziewczyny. Rozmawiały z chłopakami. Na pewno, można poznać po chichocie, pomyślał.

Dobiegał go też szum autobusów stojących na przystankach na drugim końcu placu. Na prawo widział przyćmione



światło neonu Mallorca Bar. Do środka weszło dwóch zataczających się mężczyzn, jeden wyszedł.

Winter zaciągnął zasłony i rozebrał się. Zostawił ubranie na podłodze i poszedł do łazienki.

Woda niemal od razu osiągnęła dobrą temperaturę. Długo stał pod prysznicem, zanim wreszcie się namydlił i spłukał pianę, wystawiając twarz na strumienie.

Rozsunął zasłony i otworzył okno, wciągając wieczorne powietrze. Wrócił do pokoju i z dużej teczki wyciągnął PowerBooka. Postawił go na stole, na prawo od okna.

Najpierw muszę coś zjeść, pomyślał i zawiesił palec nad przyciskiem włączającym komputer. Dwie kielbaski i dwa piwo to za mało.

Ubrał się, ale zanim założył czarne buty i ściągnął z wiszącego w szafie wieszaka brązową wełnianą marynarkę, zadzwonił do Ringmara.

Winter zamówił stek z frytkami i sałatą. Nie miał zamiaru włożyć się od restauracji do restauracji, czytając karty dań wywieszane przed wejściami.

Przeszedł bulwarem na północ i kawałek przed bankiem skręcił w lewo. Pierwsza restauracja, jaką zobaczył, nazywała się Jensens Bofhus. Wszedł. Kelnerka mierzyła go wzrokiem dłużej niż dwie sekundy, a potem posadziła przy jednym z niewielu wolnych stolików. Zapytała, czy życzy sobie coś do picia. Zamówił domowe wino i butelkę wody mineralnej. Potem przeczytał menu i wybrał mięso. Nie mieli zresztą nic poza mięsem.

Wchodziło coraz więcej ludzi. Kiedy Winter czekał na jedzenie, widział mniejsze i większe grupy zajmujące kolejne wolne stoliki, aż do ostatniego. Dobrze, że siedzę, pomyślał. Kelnerka przyniosła mu wino i wodę i zapytała, czy wszystko w porządku. To zależy, o co pyta, pomyślał, ale nie mógł tak odpowiedzieć. Powiedział tylko tak i napił się wody.

Pachniało mięsem z grilla i winem. Z tego co widział,

restauracja składała się z kilku pomieszczeń. Przy stole obok siedziała para młodych Duńczyków. Trzymali się za ręce. Dla nich to była wyjątkowa chwila. Naprzeciwko, po drugiej stronie wąskiego przejścia, zamówienie składała szwedzka rodzina. Dzieci krążyły w tę i z powrotem. Chodziły do znajdującego się w drugim końcu sali samoobsługowego stoiska z lodami. Mała dziewczynka ruszyła biegiem, trzymając przed sobą porcję lodów przypominającą wieżę. Potknęła się i lody, prawdopodobnie waniliowe, zataczając piękny łuk, wylądowały na bucie Wintera, który właśnie wyciągnął nogi przed siebie, żeby zapalić cygaro. Dziewczynka zaczęła płakać i natychmiast pojawiła się młoda kobieta, pytając, co się stało. Dziewczynka wskazała na Wintera i kobieta zauważyła lody na jego bucie. Winter się nie ruszał. W prawej dłoni wciąż trzymał niezapaloną zapalniczkę, w ustach cygaro. Kobieta otworzyła usta, dziewczynka płakała, a podłogę między nimi pokrywały lody. Kobieta zaczęła coś mówić, ale Winter jej nie słyszał, bo nagle zaczął się śmiać. Potem roześmiał się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, jak cienkie cygaro, które wypuścił z ust spadło na lody i utknęło w nich, jak dekoracja.

- Bardzo przepraszamy - powiedziała kelnerka. Przyniosła czysty ręcznik. - Niektóre dzieci nie umieją się opanować, kiedy przychodzi pora na lody. To właściwie nasza wina, to przez to samoobsługowe stoisko.

- Nie ma sprawy - odparł Winter, ścierając lody z buta. - Dzięki temu skóra będzie gładsza.

- Czy możemy panu coś zaproponować? - zapytała, znowu mu się przyglądając, kiedy się wyprostował i oddał jej ręcznik.

- Nie trzeba.

- Może coś do kawy?

- Albo do lodów - odpowiedział, a kelnerka zaśmiała się uroczo.

Wypił kawę, ale bez alkoholu. Kelnerka podeszła do jego stolika jeszcze raz. Miała może ze trzydzieści lat, była blondynką. Jej włosy miały specyficzny duński odcień - były w nich pasemka koloru piasku. Wyglądała na zawiedzioną, kiedy wychodził.

W centrum na ulicach wciąż było sporo ludzi. Winter wracał bulwarem, na południe. Kiedy zbliżał się do dworca, tłum rzedł coraz bardziej. Wieczór był na tyle ciepły, że mógł iść w rozpiętej marynarce.

Zobaczył dwóch mężczyzn stojących przed Boulevard-Cafén naprzeciwko hotelu. Kiedy podszedł bliżej, weszli do baru. Przez otwarte okna słyszał gwar głosów. Przeszedł przez ulicę. W otwartym oknie baru zauważył kątem oka mężczyznę. Idąc, zapalił kolejne cygaro. Skorzystał z okazji, żeby jeszcze raz spojrzeć na okno. Stał w nim mężczyzna, nadal okryty półcieniem od światła zza pleców, częściowo schowany za ciężką zasłoną.

Wcale nie musi tak być, pomyślał Winter. Może to ten sam facet, którego widziałem przed bankiem, albo ten, który zamawiał przy mnie hamburgera. to w końcu małe miasto.

Mijał właśnie swój samochód. Otworzył go i zaczął udawać, że szuka czegoś w schowku. Mężczyzna nadal stał w oknie, ale przesunął się trochę, być może po to, żeby lepiej widzieć, co robi Winter.

Winter wysiadł z auta, skręcił za róg i wszedł do hotelu. Odebrał klucz. Winda utknęła na którymś z pięter. Wbiegł więc po schodach i stanął z kluczem przed drzwiami pokoju. Czekał, aż automatycznie wyłączane światło na korytarzu zgaśnie. Wtedy przekręcił klucz i wszedł z ciemności w ciemność, natychmiast zamykając za sobą drzwi.

Światło wpadające z placu i z ulicy rzucało na pokój srebrzystą poświatę. Winter ukląkł i na czworakach przeszedł przez pokój.

Zatrzymał się pod oknem. Przesunął się na bok i wstał

powoli, chowając się w gęsto udrapowanej zasłonie. Przez wąską szparę widział róg budynku i przeciwną stronę ślepej uliczki. Słyszał wrzaski z Mallorca Bar, zauważył idącego chwiejnym krokiem mężczyznę. Nie widział Boulevard-Caffén. Czekał. Po chwili do mężczyzny stojącego przed Mallorcą podszedł drugi pijak. Krzyczał coś po duńsku. Wtedy zauważył jakiś ruch z prawej strony. Cofnął się odrobinę, żeby nie stracić widoku.

Dwaj pijani mężczyźni wyszli z uliczki i przecinali plac. Przeszli pod oknami. Winter zobaczył, że to ci sami, których widział przed chwilą przed barem. Był prawie pewien, że spotkał ich też wcześniej na Nytorv. Właściwie nie prawie, a niemal zupełnie pewien. Zwracał uwagę na to, co widzi, to była część jego pracy i powód, dla którego robił to, co robił, i dla którego robił to dobrze.

Przechodząc pod oknem, popatrzyli w górę. Nie widzą mnie, pomyślał Winter. Jeden z nich długo patrzył w okno. Winter się nie ruszał.

W końcu przeszli.

Najgłupsza rzecz, jaką można teraz zrobić, to zejść na dół i iść za nimi, pomyślał. Chyba nie wiedzą, że ja wiem. A może to tylko zbieg okoliczności albo zwykła obserwacja szwedzkiego gliny, który pojawił się w mieście.

## 51

GŁOWA MU PULSOWAŁA OD HAŁASU, j akby ktoś nasypał do niej rozżarzonych węgli. Obudził się z głębokiego snu. Nic mu się nie śniło tej nocy. Zmęczenie po wczorajszym dniu doszło do głosu i pozwoliło mu wypocząć. Leżał bez ruchu dwie minuty, przygotowując się do wstania. Otworzył oczy i zobaczył pokój, rozjaśniony światłem poranka nad placem Kennedy'ego. Kiedy wygrzebał się z łóżka, pokój zaczął drgać od dobiegającego z zewnątrz potwornego

hałasu. Przez chwilę myślał, że to motocykle, ale to brzmiało inaczej. Spojrzał na zegarek. Było wpół do siódmej. W tym momencie zadzwonił stojący na nocnym stoliku budzik.

Rozsunął zasłony i obok budek telefonicznych zobaczył beczkowóz z węzami spuszczoneymi do kanałów. Cóż, zdarza się, że kiedy się nocuje w hotelu, bladym światem zaczynają oczyszczać studzienki pod oknem, pomyślał. I tak wstanę.

Niebo rozciągające się nad widokiem z okna było beznadziejnie stalowe. Sprzed dworca odjeżdżały autobusy z porannymi nieszczęśnikami. Przed budynkiem wciąż stali żołnierze. Może to ich stały posterunek, pomyślał.

Hałas ucichł i parę sekund później ustały też drgania. Mężczyźni oczyszczający studzienki zaciągnęli dźwignie, wcisnęli odpowiednie przyciski i poszli na śniadanie.

Teraz Winter mógł się wsłuchać w odgłosy poranka, ciche, ale wyraźne.

Podłogi w Park Hotel pokryte były czerwoną wykładziną z monogramami. W niektórych miejscach widać było sploty włókien. Schody trzeszczały. Przed pokojem Wintera, na ścianach korytarza i wzdłuż schodów, wisiały ponure obrazy Eline Herts Jespersen, namalowane w 1918 i 1919 roku. Opustoszałe kościoły, drzewa, krajobrazy w brązach przechodzących w żółcie każdego mogą przyprawić o rozpacz z powodu znikomości życia, pomyślał Winter, zatrzymując się na chwilę przed obrazami. Chciał przeczytać nazwisko malarza. Wpatrywał się w obrazy i wśród naturalistycznych motywów próbował znaleźć żywe stworzenia, ale na obrazach Jespersen ludzi wchłonęły budynki i martwa natura. To była najbardziej przynębiająca kolekcja, jaką kiedykolwiek widział. Warta była nikłego uśmiechu. Zastanawiał się, dlaczego kierownictwo hotelu wybrało właśnie te obrazy. Było w tym coś wzbudzającego sympatię, jakaś ujmująca egzystencjalna prawda, jakaś próba udzielenia odpowiedzi na pytanie o sens życia. Sens życia polega na tym, że się

umiera, powiedział kiedyś Winter Angeli. Załamał ją tym zdaniem. Pomyślał o niej teraz, kiedy zatrzeszczał przedostatni stopień schodów. Zadzwońię do niej wieczorem. Teraz idę na śniadanie.

Na drugie piętro eskortował go jakiś aspirant. Nie odezwał się do niego ani słowem. Michaela Poulsen przyszła po minucie.

- Śledzą mnie - powiedział.

- Nie jestem zaskoczona. - Winter zauważył, że nie zapytała, czy jest pewny. - Twój przyjazd nie jest przecież tajemnicą.

- To normalne?

- Właściwie nie, ale zrozumiałe. Komisarz ze Szwecji.

- Czyli wiedzą o mojej wizycie?

- Na pewno jesteś nową twarzą, ale wydaje mi się, że wiedzą, kim jesteś.

- Oni, czyli...

- Kto cię śledzi? Żeby wiedzieć, musiałabym zobaczyć paru z nich.

- W takim razie zapraszam cię na wieczór do miasta. Sprawdzisz, dyskretnie wyglądając mi zza ramienia.

- Dobra, ale dopiero po ósmej.

- Może któryś z motocyklowych gangów dostał wiadomość ze Szwecji.

- Albo ogłoszono alarm.

- Tak. alarm. To co nieco wyjaśnia.

- Musisz pamiętać, że mówimy o organizacji, której członkowie są wyjątkowo. nerwowi. Czy może o subkulturze, jak ją nazywają niektórzy romantycy, włączając w to niektórych duńskich kryminologów.

- Jest jeszcze coś - powiedział Winter. - Chodzi o Andersena alias Mollera. Tego, którego zabito po napadzie.

- Kim Moller.

- Nazwijmy go Kim Andersen. Wczoraj wieczorem czytałem

o nim, siedząc w pokoju. Czegoś tu nie rozumiem. Wygląda na to, że był. mimowolnym świadkiem. Mimowolnym członkiem gangu. W aktach nie ma o nim zbyt wiele.

- Wcześniej policja go nie знаła.

- Jego pierwszy raz?

- Pierwszy i ostatni.

- Mówisz teraz o napadach na banki?

- Tak, o poważniejszych przestępstwach.

- Z tego co widziałem, jego rodzice nie byli zbyt rozmowni.

- Bardzo się bali. Praktycznie rzecz biorąc, bali się śmiertelnie. Parę miesięcy później ojciec zmarł. To mogło być serce albo coś innego.

- Matka żyje?

- Tak. - Michaela spojrzała na Wintera. - Chcesz ją przesłuchać? To znaczy chcesz, żebyśmy my ją przesłuchali?

- Tak, ja przecież nie mam prawa. Czy to nie jest dobry pomysł? Jeśli istniał związek.

- Ze Szwecją i z twoim morderstwem... z Helene Andersén? Oczywiście, że to dobry pomysł. Sama o tym wczoraj myślałam. I dziś rano.

- Gdzie ona jest?

- Myślę, że w domu. Nie jest taka stara. ma około sześćdziesięciu pięciu lat. Jej syn nie miał jeszcze trzydziestu, kiedy go zamordowano.

- Możesz to załatwić?

- Możemy spróbować. Ale jeśli odmówi, będziemy musieli się zgłosić do prokuratora.

- Spróbujcie najpierw z nią.

Michaela wyszła z biura. Wróciła po pięciu minutach.

- Nikt nie odbiera, nie ma automatycznej sekretarki.

- Masz adres?

- Tak, ale to nie jest najlepszy pomysł. Jeśli nagle zapukamy do drzwi, może się wszystkiego wyprzeć. I jeśli wtedy się bała, to i teraz się boi. Kontaktowaliśmy się z nią parę razy

przez te lata.

- Pilnują jej? Oni?

- Tak sędzę.

Winter został sam w biurze. Przyglądał się kartce z rysunkiem mapy przypominającej tę, którą pierwszy raz zobaczył na stole Beiera w Göteborgu. Wziął ze sobą kopię i trzymał teraz w rękach oba skrawki, porównywał je. Charakter pisma różny, ale wiadomość ta sama. Kreski zakreślały w tym samym kierunku. Kiedy patrzyło się na to z odpowiedniej perspektywy, rysunek przypominał mapę. Widać było drogi, a z lewej strony, u góry, zaznaczono chyba dom. Cyfry i litery mogły oznaczać czas i liczbę.

Liczbę osób, pieniądze? A może i to, i to? Inicjały wskazujące nazwę miejsca lub nazwisko? Poczul, jak podnoszą mu się włókna skóry na ciele. Może zrobił krok naprzód. To, co nieuchwytnie, przybrało bardziej konkretne kształty. Może z czasem da się wyjaśnić. Cofnął się, by móc pójść do przodu. Postęp był widoczny. Przed sobą, na biurku i w plikach na komputerze, miał fragmenty odpowiedzi. Kiedy wróci do domu, od razu usiądzie nad aktami i innymi materiałami i bardzo dokładnie przejrzy dokumentację dochodzenia wstępnego, poczynając od osiemnastego sierpnia aż do teraz. Spojrzał na podobiznę Kima Andersena. Połyskiwała od plastiku, którym była obłożona. Poczynając od drugiego października aż do teraz, dodał w myślach. Twarz Andersena wyglądała jak żywa, było na niej widać jakiś ciężar, który wyrażał nie wiadomo co. Winter wiedział, że Andersen zmarł po roku. W ten czy inny sposób był wtedy członkiem gangu. Miał harleya, siedemset pięćdziesiątkę. Oczywiście miał czarne, na brodę z lewej strony padał cień, sprawiając, że rysy były nieostre. Winter długo siedział wpatrzony w fotografię.

Wiedział, czego w niej szuka, ale w podobiznie młodego Kima Andersona sprzed dwudziestu pięciu lat nie mógł się dopatrzeć wyraźnego podobieństwa do Helene



Andersén.

Przejechał most i skręcił w lewo, w Vesterbrogade. Tędy jechali. Brigitta prowadziła. Helene siedziała z tyłu albo leżała przyciśnięta do podłogi. Albo ktoś ją trzymał. Jak było? Jak bardzo bało się dziecko? A matka? Czy wiedziała, dokąd jedzie? Bendrup mówił, że kilkoro świadków widziało fiata, który wjechał z dużą prędkością między wysokie budynki. Dalej, tam gdzie ulica przechodzi w Thistedvej, ciągnęły się wille z szarego kamienia.

Winter z różnych powodów co chwilę spoglądał we wsteczne lustro. W terenie zabudowanym ruch był dość duży, ale zmniejszał się tam, gdzie droga prowadziła między polami. Krajobraz zrobił się płaski. Winter słyszał wiatr. Poza miastem światło się zmieniało, pojawiał się w nim jaśniejszy odcień, nadchodził od strony morza. Przed Aarbybro spojrzął w prawo i zobaczył trakty spacerowe kilometrowej długości, prowadzące przez nierówny teren.

Jeden z nich biegł równolegle do drogi. Winter kolejny raz spojrzął w prawo: między drzewami zauważył ruch, coś posuwało się z tą samą prędkością. Popatrzył jeszcze raz - to coś wciąż się poruszało. Teraz drogi biegły obok siebie, przez Store Vildmose. Winterowi wydawało się, że dzieli je jakieś trzysta metrów. Słońce wyszło zza chmur. Popatrzył przed siebie. Ani przed sobą, ani w lusterku nie widział samochodów. Kolejny raz spojrzął w prawo i teraz był już pewien. Traktem jechały dwa motocykle. Kiedy mijaly kolejne drzewa, słońce odbijało się w ich wypolerowanych, chromowanych bokach.

Trakt nagle się urywał, jakby wytyczającemu go inżynierowi się znudziło i jakby odłożył ołówek. W tym samym momencie motocykle zniknęły z pola widzenia. Winter przejechał jeszcze pół kilometra, ale nie widział już nikogo, kto by jechał obok. Zahamował szybko i zjechał na parking. Stał z włączonym silnikiem i próbował obserwować trakt we

wstecznym lusterku. Widział miejsce, w którym trakt się kończył i zawracał. Musieli się zatrzymać przy ostatnim drzewie, pomyślał Winter. Wiedzieli, jak tam jest. Może nie zauważyli, że ich zauważyłem. Może to nie oni. Muszę zachować spokój.

Ruszył i pojechał dalej. Skręcił w lewo, w Pandrup, prowadzącą do Blokhus.

Przy wjeździe letnisko wyglądało jak zwykle: gęsto zabudowane osiedle. Zrobiło się bardziej bezludnie, kiedy wjechał między stojące bliżej morza, puste poza sezonem domki.

Na skrzyżowaniu skręcił w prawo i zatrzymał się dwieście metrów dalej, przed Bellevue Hotel. Budynek, cały z drewna i szkła, smagały uderzenia wiatru przelatującego ponad wydrami. Balkony wyglądały jak opustoszałe strefy wolnocłowe wyczekujące przyszłego roku. Na jednej z wieżyczek budynku, zrobionej ze złotej kratownicy, powiewała poszarpana na strzępy chorągiew.

Winter wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę i przeczytał ją. Złodziei widziano, kiedy opuszczali Blokhus, korzystając z przejazdu między wydrami, które wówczas znajdowały się w tym samym miejscu.

Wysiadł z samochodu, a wiatr uniósł mu włosy. Kołnierz kurtki wcisnął się w szyję. Piach z położonej poniżej plaży zwiąło na drugą stronę drogi, aż tutaj. Wyglądał jak zaspę śniegu. Piętrzyły się coraz wyżej, podchodząc pod jeden z nielicznych otwartych sklepów, w którym ubrania wiszące na wieszakach machały na powitanie pustymi rękawami.

Nawiedzone miasteczko, pomyślał Winter.

Nie spotkał jeszcze żywej duszy, ale właśnie usłyszał samochód. Nadszedł od strony skrzyżowania i minął go, znikając między wydrami. Przejazd rozszerzał się dalej w dwie drogi: jedna prowadziła na wschód, druga na zachód. Ciągnęły się aż po horyzont. Gdzieniedzie stały samochody.

Na plaży wiatr zamiatał piach, unosząc tumany dziesięć centymetrów nad ziemią. Huk morza zagłuszał inne dźwięki. Drogowskaz informował, że Rodhus znajduje się sześć kilometrów na zachód. A pięć kilometrów na wschód Slatum. Prowadziła do niego droga biegnąca wzdłuż brzegu. To nią jechali złodzieje - niektórzy z nich, może jeden. Wiatr musiał się wbijać pazurami w szyby i lakier samochodu. Dziecko na pewno było przerażone.

Samochody znikaly wśród piachu, słońca i delikatnej mgły przemieszanej z bryzą, którą zawiewało na ląd. Za pustym plażowym sklepikiem grupa ludzi puszczała latawce. Tańczyły na wietrze jak szalone. Winter podszedł bliżej brzegu. Fale były wyższe od człowieka. Winter wziął do ręki kamień. Poczul jego mokry chłód i rzucił go w fale. Patrzył, jak znika w kredowobiałym bałwanie. Dziesiątki tysięcy lat zajęło mu przesunięcie się stamtąd tutaj, a ja wrzuciłem go z powrotem, pomyślał Winter. Co ja narobiłem.

Nowy rynek wyznaczał centrum Blokhuis. Mieściły się przy nim Cowboyland i Skybar. Zacienione okna domów wyglądały jak czarne dziury. Przed kolejnym sklepem z ubraniami sukienki i marynarki, rozdęte przez wiatr, machały rękawami. Winter nie widział ptaków. Może w tym mieście groteskowe strachy na wróble uczezione wieszaków napędyły ptakom stracha jak cholera.

Dom stał za rynkiem. Trzeci budynek po prawej stronie Jens Brentsvej - zwirowej drogi prowadzącej do morza wśród rachitycznych traw. Rozmiarami przypominał raczej dom wczasowy, nie letniskowy domek, pokryty był szarym, przybrudzonym tynkiem.

Potem Winter zauważył schowaną z tyłu dobudówkę, w której mógł się mieścić pokój. Dobudowana część domu wyglądała równie staro jak reszta. Nie było płotu. Przed domem, na środku niewielkiego trawnika, stała zardzewiała kosiarka. Jakby ktoś dopiero co ją zostawił. O ścianę opierał

się czarny rower z pustymi oponami. W ogródku na sznurach powiewały ubrania. Komin kiedyś musiał być biały. W oknach nie było widać żadnych oznak życia. Winterowi przypomniały się ponure pejzaże Eline Herts wiszące w hotelu.

Zatem to tutaj. To tutaj. To tutaj, powtórzył w myślach. Tu byli. Dziecko, czyli Helene, też tu było. I ktoś jeszcze. Może matka, może nie. Może ojciec, może nie.

Słuchaj ojca swego. Opiekuj się nim. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, pomyślał Winter.

Czy ojca zamordowano tutaj?

Wracając do Aalborga, zastanawiał się, ile policja była w stanie wtedy zrobić. Oględziny domu. Duńscy technicy znaleźli ślady Helene, ale nikogo innego, nie licząc właścicieli. Dom odnowiono. Trudno było w to teraz uwierzyć. Ale położyli nowe tapety. Winter pomyślał o odciskach palców. tapety. Ile razy od tamtej pory dom był remontowany w środku. Kwestia nowych tapet musiała wypłynąć, kiedy policja z Aalborga i Brønderslev dowiedziała się, że byli tu złodzieje. Czy zdarli nowe tapety, dogrzebując się do starych? Będzie musiał zapytać Michaelę. W aktach nie widział żadnej wzmianki na ten temat. Chyba jednak musieli to zrobić.

Chciał wejść do domu od razu, ale decyzja należała do prokuratora z Hjørringu. Dom zmieniał właściciela trzy razy. Kiedy dojechał do traktu, między drzewami było cicho i spokojnie. Zachodzące słońce pokryło krajobraz płatkami złota. Założył okulary słoneczne i wjechał do miasta. Zaparkował przed czarną rezydencją policji. Coraz bardziej przypominała mu statek kosmiczny, który wylądował w środku duńskiej konglomeracji, pośród klubów i restauracji. Michaela wciąż była w swoim biurze. Ekran komputera połyskiwał, konkurując ze słońcem wpadającym przez wypucowane szyby.

- Beate Moller nie jest zainteresowana przesłuchaniem - powiedziała, zapisując tekst.

- Ani nawet rozmową?

- Jeśli mam być szczerą, to kazała mi spieprzać w cholere, choć wyraziła to oględniej.

- Aha.

- Jej syn nigdy nie zrobił nic złego. To jego spotkało samo zło.

- A gdybyśmy mogli jej pomóc się dowiedzieć, co to za zło go wtedy spotkało?

- To właśnie próbowałam jej powiedzieć.

- Mogę spróbować?

- Ona raczej wie, że nie masz prawa. Zresztą to nie ma znaczenia. Ona się na to nie odważy.

- Boi się? Jest zastraszona?

- Tak sędzę.

- Nadal?

- Może na nowo.

- Gdzie mieszka?

- Czemu pytasz? Nie chcesz chyba zrobić nic głupiego?

- Nigdy na służbie - odparł, a Michaela się roześmiała.

- I pewnie chodzi ci o to, że jesteś tu w roli obserwatora, czyli nie na służbie.

- To twoja interpretacja. A propos, widziałem dwóch motocyklistów. Jechali traktem w kierunku Blokhus.

- Twoje cienie znów za tobą jechały?

- Tym razem sami chowali się w cieniu drzew. Ale nie wiem, czy byli tam dlatego, że ja tam byłem.

- Kochają naturę. Taka subkultura.

Winter spytał ją o sprawy, nad którymi się zastanawiał, wracając do miasta. Michaela słuchała.

- Nie wiem, kto jest teraz właścicielem domu, ale można to sprawdzić. Jeśli mamy wystarczająco dużo poszlak, dostaniemy nakaz rewizji od prokuratora z Hjorringu. Jeśli

chodzi o ślady, to chyba wszystko znajdziesz w materiałach, które masz w biurze. I jestem pewna, że technicy porządnie przeczesał dom.

- Szukali nawet pod nowymi tapetami?

- Tego akurat nie jestem pewna, ale szybko możemy to sprawdzić. I możemy sprawdzić w CBI, w Centralnym Biurze Identyfikacji w Kopenhadze.

- Dobra. Jak duży jest wasz wydział techniczny?

- Jak to? Myślisz, że nie wyrabiają się z robotą?

- Nie, skąd. Chciałem po prostu. wiedzieć.

- Ale masz rację. Czasami nie dają rady. Jedenastu techników z wydziału obejmuje cały teren północnej Jutlandii, aż do Aarhus. Inspektor Preben Bendtsen, ich szef, regularnie mi o tym przypomina. Ale odwalają kawał dobrej roboty. Mają też fotografa. No i czasami w oględzinach uczestniczą specjaliści z Kopenhagi. Zdarza się, że skomplikowane kwestie balistyczne i trudne do przeanalizowania próbki krwi wysyłamy do Komendy Głównej.

Zadzwoił stojący na biurku telefon. Podniosła słuchawkę.

- Do ciebie. Ze Szwecji.

## 52

ZANIM RINGMAR ZDAŹYŁ COŚ POWIEDZIEĆ, Winter usłyszał j ego oddech niosący się ponad Kattegatem. W słuchawce coś trzaskało, jakby przewodami telefonicznymi kołysał sztorm.

- Tu Winter.

- Cześć, Erik. Tu Bertil. Dzwoniłem na komórkę, ale nie odbierałeś.

Michaela dała mu znak ręką i wskazała w stronę korytarza. Zostawiła mu swoje biuro. Winter słyszał, jak zamyka drzwi

za jego plecami. Wyciągnął komórkę i spojrzął na nią.

- Wygląda normalnie.

- Nie chodzi mi o wygląd, tylko o dźwięk dzwonka.

- Najwidoczniej coś było nie tak - powiedział Winter, wyświetlając rozmowy przychodzące. Żadnych połączeń, odkąd przyjechał do Danii. - Nic nie ma. Coś musiało się stać z baterią albo z czymś innym.

- Dobra. Tak czy inaczej, zdzwoniliśmy się. Nie znaleźliśmy u nas żadnego Mollera. A przynajmniej nikogo, kto by pasował. Jeszcze nie. Ale nie dlatego dzwonię.

- Tak?

- Wczoraj nieźle się napracowaliśmy nad zgłoszeniami w sprawie zaginięcia dziewczynki. wiesz, jak to jest. Ale mamy parę ciekawych. Jedno przyszło przed godziną. Kierowca autobusu mówi, że widział dziewczynkę wśród pasażerów.

- Samą?

- Mówi, że była z nią kobieta. Gadałem z nim tylko przez telefon. Ma tu być lada moment.

- To dobrze. Jeśli można mu wierzyć. W końcu niełatwo rozpoznać jednego z pasażerów.

- Podobno o tym czytał, ale nie skojarzył, że dwa i dwa to cztery. Tak się wyraził.

- Kiedy to było?

- Kiedy wreszcie skojarzył?

- Kiedy widział dziewczynkę? - Znów usłyszał trzask, linie były przeciążone.

- Ma sobie przypomnieć, jadąc do nas. Sprawdzi swój grafik, ale trudno to teraz stwierdzić. W każdym razie dawno.

- Jak dawno?

- Parę miesięcy temu. Może wtedy, kiedy ją zamordowano.

- Albo wcześniej.

- Co?

- Nic. Omówimy to później, jak przyjadę.

- A kiedy przyjeżdżasz?
- Chyba jutro wieczorem. Właściwie powinienem zostać dłużej, ale zawsze mogę tu wrócić.
- Jak dzisiaj poszło?
- Jeszcze nie wiem. Ale to tu się zaczyna to, co się dzieło później. Jest coś. muszę to przemyśleć.
- Jasne.
- Wydaje mi się też, że tutejszy gang motocyklowy, albo i gangi, ma mnie na oku. Ktoś na pewno ma.
- Śledzą cię?
- Możliwe, ale albo chcą, żebym o tym wiedział, albo popełnili błąd.
- Pracujemy nad powiązaniem tych dwóch ze sprawą. Chyba się udało.
- Co poza tym?
- Halders i Aneta, i ich grupa sprawdzili już wszystkie samochody z rejestracją na H. Siedzę teraz nad protokołami przesłuchań. Sto dwadzieścia cztery krótkie rozmowy. Cholera, napracowali się.
- Coś podkreślonego na czerwono?
- Halders coś miał. chociaż nie, to chyba dotyczyło strzelaniny. Nie wiem, ale mam to gdzieś w teczce z protokołami. Nie wiem, czy jestem w stanie przeczytać to teraz, kiedy ludzie zasypują nas zgłoszeniami. Sam potem przeczytasz. To twoje zadanie. Nie możesz bez końca siedzieć i zajadać duńskich kanapek.
- Nie zjadłem j jeszcze ani j ednej.
- Czyli nie masz tam po co zostawać. Skoro nie zamierzasz jeść ich pysznych kanapek.
- Na razie, wuju. - Winter odłożył słuchawkę. Jakaś policjantka odprowadziła go do wyjścia. Skądś dobiegł go wrzask.
- To z aresztu dla pijanych.
- Wielu ludzi sprawia wrażenie pijanych - powiedział.



Spojrzała na niego.

- U nas jest ich od cholery. Co zrobić. Ktoś dzwoni i składa skargę, i musimy zgarnąć parę osób z baru.

- Ludzie lubią się napić tam, gdzie piją inni - odpowiedział Winter. - Szukają kontaktu z innymi.

- Tu na pewno mają kontakt z podobnymi do siebie.

Zszedł na dół. Było już po zmierzchu. Z dworca towarowego po drugiej stronie ulicy dochodził szczeł żelaza. Winter poszedł na zachód, w stronę hotelu. Mijały go rowery i samochody. Przed kioskiem wisiał krzykliwy afisz z najnowszymi nagłówkami

miejscowej gazety: „Rzeźnia w kopenhaskim burdelu - nożownik wpadł w szal. Kilka prostytutek nie żyje”.

Przed schodami prowadzącymi do hotelu się zawahał i w końcu skręcił w lewo. Przeszedł przez bulwar. W oknach Boulevarden-Cafén nikt już nie stał. Wszedł po obtłuczonych schodach i otworzył drzwi. Od razu uderzył go zapach alkoholu i dymu papierosowego, którego obłok unosił się w obu salach. Nieliczne stoliki stojące przy oknie były wolne. Usiadł przy jednym z nich. Przez tłustą szybę widział fasadę hotelu. W niewielu oknach paliło się światło. Jego pokoju nie było stąd widać.

Bar znajdował się w drugiej sali. Przy stoliku stojącym przed kontuarem kilku kolesi wyśpiewywało hymny o wierze, nadziei, miłości i alkoholu. Obok siedziała kobieta w białej bluzce i czarnej spódnicy. Jadła kolację. Kiedy zauważyła Wintera, wstała i wytarła usta ściereczką przyczepioną do paska spódnicy. Faceci odwrócili głowy w stronę Wintera, a potem wrócili do swojej śpiewki. Kobieta podeszła do Wintera. Zamówił piwo. Kobieta wróciła do baru i z dużej lodówki stojącej za kontuarem wyciągnęła butelkę. Przyniosła mu ją razem ze szklanką. Zapłacił dosłownie parę koron. Pierwszego łyka wypił dopiero, kiedy kelnerka usiadła z powrotem nad talerzem. Kiedy uniósł szklankę, zobaczył, że

jest tak samo brudna jak okno. Chwycił za szyjkę butelki i pociągnął z gwinta, jak prawdziwy Duńczyk. Pijąc, uświadomił sobie, jak był spragniony.

Okno, w którym wtedy stał ten człowiek, znajdowało się kawałek dalej, w stronę baru. Teraz go tu nie było. Byli tylko rozśpiewani faceci i kobieta jedząca wśród nich kolację z takim spokojem, jakby była sama. To dziwny widok, pomyślał Winter. Jak odrobinę wystylizowane przedstawienie teatralne albo sen.

Przy stoliku w najdalszym końcu sali siedział mężczyzna w brązowej kurtce. Przed nim stało piwo i butelka brandy. Kiedy nie pił, wpatrywał się w alkohol, nie poruszając głową. Zgięte ramię unosiło się w równych odstępach czasu. Profesjonalista. Kiedy kelnerka skończyła jeść, zaniósła mu kolejne piwo, choć z tego, co widział Winter, nie dał jej żadnego znaku. Winter dopił carlsberga i wstał. Faceci śpiewali. Nikt nie odprowadził go wzrokiem.

Michaela Poulsen zadzwoniła z hotelowego foyer. Było tuż po ósmej. Winter był gotowy. Zszedł na dół, mijając oprawione w ramy posępne krajobrazy.

Miała na sobie prostą marynarkę i spodnie. Włosy związała w kucyk. Wyglądała młodo. W jadalni grupa Szwedów zasiadła do kolacji. Winter słyszał stamtąd ojczysty język.

- W mieście jest pełno Szwedów - powiedział. - Najwidoczniej wielu tu mieszka.

- Zastanawiam się dlaczego - odparła Michaela, rozglądając się po dziewiętnastowiecznym wnętrzu. - Wyjdziemy stąd? Wrócimy do rzeczywistości?

Szli bulwarem, który kawałek dalej przechodził w osterågade. Wielu ludzi spędzało ten wieczór w mieście. Winter słyszał Szwedów i Niemców. Mijali mniej lub bardziej liczne grupy. Każda szła w swoją stronę. Na placu, po lewej stronie, uliczny muzyk śpiewał o wiecznej młodości. Kiedy do niego doszli, zaczął właśnie pukać do bram nieba.

Wiało. Wiatr targał Winterowi włosy.

Stanęli przed skrzyżowaniem przy Bispensgade.

- Zawsze jak tu jestem, ogarnia mnie przygnębienie - powiedziała Michaela.

- Rozumiem.

- Właściwie to częste w naszej pracy.

- Wiem, o co ci chodzi.

- Teraz będę mówić, a ty dalej patrz na wprost. Wydaje mi się, że pod księgarnią stoi jakiś koleś, bardziej zainteresowany nami niż książkami na wystawie.

Winter z trudem się powstrzymał, żeby nie spojrzeć w lewo. Wpatrywał się przed siebie, w ciemne kamienne ściany banku. Stali przed La Scalą, za nimi przechodzili ludzie.

- Poznajesz go?

- Stąd niewiele widać, ale mam wątpliwości. Chyba nie są aż tak głupi, żeby nasyłać na nas kogoś znanego. To znaczy znanego mnie.

- Najwidoczniej mają spore zasoby ludzkie.

- Nabór trwa bez przerwy. Może spojrzysz na chwilę w prawo? Zobaczmy, co się stanie.

Przesunęli się odrobinę w bok i spojrzeli na bank.

- Możemy rozmawiać dalej - powiedziała Michaela. - Pamiętasz, o czym mówiliśmy?

- O przygnębieniu, które dopada cię w pracy.

W milczeniu patrzyli na bank.

- Mogę ci powiedzieć, że koleś spod księgarni poszedł dalej - powiedziała. - Nie musisz patrzeć w tamtą stronę, ale właściwie możemy tamtędy przejść. Zaczynam się niepokoić.

Minęli księgarnię. Na wystawie domu mody Nordjylland stały nagie manekiny. Patrzyły szklanymi oczami. Na ścianach wisiały reklamy duńskich bestsellerów.

- Pewnie czytuje Iba Michaela albo Susanne Brogger - stwierdziła.

- Czemu nie oboje?
- A ty co czytasz? - spytała.
- Niestety najczęściej protokoły ze śledztwa.
- Czasami nie czyta się już nic innego poza materiałami.
- Teraz będzie inaczej - odparł.

Szli dalej Bispensgade, aż do dzielnicy restauracyjnej przy Jomfru Ane Gade. Trudno było się przeciskać przez tłumy krążące między knajpami i barami. Ze wszystkich stron słyhać było muzykę. Winterowi przypominało to festiwal w Göteborgu. Taka sama atmosfera, przepełniona delikatnym, a zarazem silnym niepokojem albo zwykłym, starym jak świat pragnieniem znalezienia spokoju.

- Usiądziemy gdzieś? Chyba już ustaliliśmy, że nas obserwują - powiedziała Michaela.

- Siadamy.
- Przecnicę stąd jest przyzwoita knajpa. Czy próbujemy się wcisnąć w ten tłum?
- Tłum jest najlepszy. Łatwiej im nas obserwować tak, żebyśmy nie zauważyli.
- Minął nas z tyłu, na siódmej.
- Jesteś w tym niezła.
- Tu, w Danii, musimy być w tym niezli. Od tego zależy nasze życie.

Winter nie był pewien, czy Michaela żartuje.

- Dalej tam jest.
- W takim razie musimy znaleźć stolik dla trojga - stwierdził Winter.

Michaela się roześmiała.

Winter się rozejrzył. Oślepiły go setki jaskrawych neonów: L.A. Bar, Fyrtojet, RockNielsen, Down Under, Rendezvous, Faklen, Rockcaféen, Duty, Jules Verne, Sunrise, Dirch på Regensen, Fru Jensen, Gaslight, Pusterummet, Corner, Jomfru Ane's Dansbar, Giraffen, Musikhuset, Spirit of America.

Weszli do knajpy w bocznej uliczce. Mottem lokalu było hasło: „Noc jest nasza”.

Michaela zamówiła dwa butelkowe carlsbergi. Cisnęli się przy barze. Z głośników popłynęła kolejna piosenka.

- The Clash - powiedział Winter. - London Calling.

- Wiedziałam, że jesteś rockowcem. Wyglądasz jak lider jakiegoś zespołu. Ja nie przepadam za rockiem.

Winter chciał coś powiedzieć, ale Michaela mu przerwała:

- Przeszedł się ulicą. A teraz wraca.

Winter podniósł butelkę do ust i nieznacznie obrócił głowę.

Widział ludzi za oknem, ale nie zauważył faceta.

- Zniknął mi z oczu - powiedziała Michaela. - Ale na pewno nas śledzi.

- Jaki z tego wniosek?

- Po pierwsze możesz się uznać za człowieka darzonego szacunkiem. Po drugie sprawa jest poważna. Myślę, że twój przyjazd wywołał spore zamieszanie.

- Ale jesteśmy coraz bliżej rozwiązania.

- Cieszysz się tym, ale i przeraża.

- Teraz musimy odnaleźć ostatniego faceta z tej grupy - powiedział Winter. - Z grupy, która wpadła z wizytą do banku.

- Myślisz, że jeszcze żyje?

- Tak. Zabił jej ojca i zabił ją, Helene Andersén.

Michaela popatrzyła na niego. W rękę trzymała wypitą do połowy butelkę piwa.

- Po dwudziestu pięciu latach. Dlaczego?

- Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Między innymi dlatego tu jestem.

- Mógł to zrobić. od razu.

- Nie. Może taki miał zamiar. Ale stało się inaczej. Może Kim Andersen pokrzyżował mu plany.

- Co w takim razie stało się z mamą? Z Brigittą?

- Ją też zabił. Zabił Brigittę Dellmar i Kima Andersena, a

dziecko trafiło do Szwecji. Plan był taki, żeby zatrzeć wszelkie ślady.

- Dlaczego w takim razie Helene zabił po tak długim czasie?

- Nie wiem. Coś się musiało stać. Może się czegoś dowiedziała. Dowiedziała się kto to i spotkała się z nim - z człowiekiem, który zabił jej matkę i ojca. Cały czas szukałem jednego zabójcy.

- I dziecka. To przerażająca historia. - Michaela odstawiła butelkę na bar. - To hipotezy. Pytanie brzmi: czy nasi motocykliści są w to zamieszani bezpośrednio?

- Wystarczy spojrzeć na tego kolesia, który nas śledzi.

- Może wiedzą. Tylko czy grupa od początku liczyła więcej niż pięć osób?

- Sześć. Zapominasz o dziecku. O Helene.

- Gdzie jest twój morderca w takim razie? Pojechał do Szwecji czy nadal jest w Danii? Może tu, w Aalborgu.

- Może właśnie przeszedł ulicą przed barem. Nie, nie wiem. Morderstwa dokonano w sierpniu w Göteborgu. To nie musi oznaczać, że facet mieszka w Szwecji na stałe, ale wtedy tam był.

- Jeśli to on.

Winter nic nie odpowiedział, pokiwał tylko głową.

- Można też wymyślić inną teorię - powiedziała Michaela. - Może przeżyła tylko jedna osoba z całej szóstki. nie mężczyzna, tylko kobieta. Brigitta.

Winter znów pokiwał głową.

- Chyba zbladłeś. Zresztą ja chyba też. To jeszcze bardziej przerażająca wizja.

- Pozwoliłaby, żeby zabili jej dziecko?

- Może nie miała wyboru. Może nie wiedziała. Wiesz równie dobrze jak ja, że

chodzimy po krawędzi przepaści, w którą staczają się ludzie.

- Tak, to część naszej pracy.

- Ale to też tylko hipoteza.

Winter rozejrzał się po bulwarze. We wciśniętym w zakątek placu pubie nikt na niego nie czekał. Nikt nie stał w oknie. Tłum wydzierał się przed Mallorca Bar.

Zrobił to samo co poprzedniego wieczoru.

Kiedy stał w półmroku, na krawędzi strugi światła wpadającej do pokoju z placu Johna Kennedy'ego zobaczył, jak ten sam mężczyzna co wczoraj przechodzi tuż pod jego oknami.

Zadzwoiła komórka. Nosił ją ze sobą, chociaż nie mógł jej używać. Wyciągnął ją z kieszeni, spoglądając podejrzliwie. Wyświetlił się numer Angeli. Odebrał.

- To tylko ja - powiedziała.
- Próbowałaś dzwonić wcześniej?
- Nie, dlaczego?
- Komórka mi nie działa, odkąd tu przyjechałem.
- Chyba tak się zdarza, kiedy się jest w innym kraju.
- Tylko jeśli się jest nowym abonentem.
- Ale teraz działa. Jak leci, Erik? Co tam w Aalborgu? Którą odpowiedź miał wybrać? Było ich wiele.
- Beznadzieja.

## 53

ZANIM ZADZWONIŁ BUDZIK, obudził go deszcz uderzający o szyby. Niebo zniknęło za chmurami, a wraz z nim światło padające na ścianę i na przejście między łóżkiem a toaletą.

Winter zwiesił nogi z łóżka. Kiedy szedł do toalety, zawadził o nocny stolik i uderzył się w palec u nogi. Zdarzało mu się to cztery razy w roku: wiosną, latem, jesienią i zimą.

Zaklął i przysiadł, żeby rozmasować palec. Ból osłabł, ćmiło go tylko lekko.

Wstał i poszedł opróżnić pęcherz.

Kiedy był z powrotem w łóżku, zaczął myśleć o Beate Moller, której nigdy nie widział. Czy powinien to zrobić? Czy

powinien pojechać do jej domu, do wschodniej części miasta, po to tylko, żeby zaparkować przed nim i obserwować, jak wchodzi i wychodzi?

Pewnie nie byłby sam. Gdzieś obok powinien zauważyć samochód albo motocykl. A może nie? To byłaby prowokacja. Czy może z tego wyniknąć coś dobrego?

Lepiej, żeby Michaela z nią porozmawiała, pomyślał. Narobiłbym tylko kłopotów.

- Mamy jeszcze dwa niewyjaśnione morderstwa, które nas dręczą w głębi duszy - powiedział Jens Bendrup, siedząc na biurku w pokoju Wintera. - Krążą po zakamarkach naszych dusz jak komórki przekazujące geny.

- Słucham? - Winter oderwał wzrok od ekranu komputera.

- Stare, niewyjaśnione morderstwa, że nie wspomnę o kilku niewyjaśnionych napadach z bronią. Zdajesz sobie sprawę, że napad na Bank Duński się przedawnił? To przecież już dwadzieścia lat. W Danii przestępstwa, za które grozi osiem lat więzienia, przedawniają się po dwudziestu latach. To dotyczy również morderstw. Ale to chyba nie ma znaczenia teraz, kiedy łączymy przeszłość z teraźniejszością?

- Mam nadzieję.

- Kto dopuszcza się czynu, którego następstwem jest śmierć człowieka, podlega karze przynajmniej pięciu lat więzienia lub dożywotniego pozbawienia wolności. Duński kodeks karny. Rozdział dwudziesty piąty, paragraf dwieście trzydziesty siódmy.

Kto dopuszcza się czynu, powtórzył Winter w myślach. Co za górnolotny język.

- Brzmi ładnie i niezbyt surowo - powiedział Bendrup. - Chyba chodzi o to, żeby zmylić przestępców wczytujących się w kodeks.

- Co to za niewyjaśnione sprawy? - zapytał Winter.

- Jedna to zabójstwo dokonane przez gang motocyklowy, tak sądzę. Ale jak zwykle trudno poprzeć podejrzenia



dowodami.

- Co się stało?

- W dworcowej toalecie znaleziono dwudziestopięcioletnią kobietę z podciętym gardłem. W podręcznej walizce miała bilet do Fredrikshavn. Pociąg miał odjechać z półgodzinnym opóźnieniem, ale ona już wtedy nie żyła. To było czternaście lat temu, w 1984 roku. Tego wieczoru pokazywali w telewizji *Francuskiego łącznika*. Zawsze będę kojarzył to morderstwo z tym tytułem.

- Francuski łącznik - powtórzył Winter.

- To tak jak teraz. Tę sprawę można by nazwać „szwedzki łącznik”.

- Albo „duński łącznik” - powiedział Winter.

- Parę razy do roku wyciągam akta tej sprawy i przeglądam protokoły. Fallet Jutte. Nazywała się Jutte. Ta zamordowana z dworca. To moje śledztwo. Mam całą dokumentację z dochodzenia wstępnego, a teraz wrzucamy ją też do komputera. Może to coś da. Nigdy o tym nie zapomnę. Sprawa leży z boku, a ja wciąż o niej pamiętam.

- Jakież nowe ślady?

- Co roku pojawiają się jakieś drobiazgi, ale nic, na czym można by się oprzeć.

Od czasu do czasu dzwoni jakiś Pedersen z Ringsted i przyznaje się. Do wszystkiego. Ale wy chyba też macie z tym problem.

- Tak. To zajmuje czas. - Winter wyłączył komputer. - Więc myślisz, że morderstwo tej. Jutte można połączyć z gangiem motocyklowym?

- Z Bandidos. Była swego rodzaju bierną członkinią. Jej chłopak był mechanikiem, a do tego też biernym członkiem. Ale w ich kręgach coś takiego nie istnieje. Może właśnie taką wiadomość przekazali nam. jej... w tej pieprzonej toalecie. W każdym razie nie zrobił tego jej chłopak.

- Inni podejrzeni?

- Nic pewnego. Najwięcej podejrzeń wzbudził list pożegnalny jakiegoś nieszczęśnika, jednego z tych, co to się przyznają. Ale nigdy nie udało nam się ustalić, czy to rzeczywiście on napisał list. Wiesz, jak to jest. Czasami rzecz polega na tym, żeby udowodnić, że wyznanie winy jest prawdziwe. - Bendrup zamilkł. Pogrążył się w zadumie nad absurdem ich zawodu. Deszcz uderzający o szybę zdawał się padać coraz gęściej i mocniej. Zagłuszał inne dźwięki.

- Wspomniałeś o jeszcze jednym zabójstwie - powiedział Winter.

- Co? A, tak. Chodziło o panią Bertelsen. Cztery lata temu. Mieszkała w domu opieki, jednym z tych tańszych. Wyszła z niego sama i zaginęła. Osiem miesięcy później jakieś zwierzę wykopało szkielet na pustkowiu, za przystanią. Nie znaleźliśmy żadnych rzeczy osobistych. Nic. Była zupełnie naga, a po tych ośmiu miesiącach nawet bardziej niż naga. Ale zgłoszono ją jako osobę zaginioną i zidentyfikowaliśmy ją po zębach.

Tylko tyle udało się ustalić.

Winter pomyślał o Helene. Zobaczył jezioro i wąski rów przypominający grób. Torfowisko. Wodnego ptaka wykrzykującego ostrzeżenie.

Chciał załatwić jeszcze jedną sprawę. Najpierw zadzwonił do biura firmy SeaCat we Fredrikshavn i zarezerwował jeden z ostatnich biletów na prom do Szwecji o piętnastej piętnaście. Wymeldował się już z hotelu. Walizka czekała w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko lokalu stowarzyszenia anonimowych alkoholików. Właśnie minęło południe. Winter wstał i przeszedł korytarzem do biura Michaeli. Drzwi były otwarte. Zobaczył, jak pochyła się nad biurkiem. Dziś miała rozpuszczone włosy. Zapukał, a ona podniosła wzrok i gestem zaprosiła go do środka.

- Będę się zbierał.

- Aha. Coś nowego wydarzyło się w Szwecji?

- Możliwe. Kierowca autobusu widział dziewczynkę. Może. No i ciągnie mnie, żeby znów wczytać się w akta sprawy.
  - Wspominałeś o tym wczoraj.
  - Zdzwonimy się niedługo?
  - Mam nadzieję. Spróbuję porozmawiać z Beate Moller. Na początek. Potem porozmawiam z prokuratorem o domu w Blokhuis. I z obecnym właścicielem. - Spojrzała na rozłożone na biurku dokumenty i pokręciła głową. - Kiedy ja się przekopię przez tę stertę śmieci.
  - Co to jest?
  - Śmieci. Prawdziwe śmieci w postaci osiemdziesięciu tysięcy litrów alkoholu z przemytu. Znaleźliśmy osiemdziesiąt tysięcy litrów wódki na terenie zagrody, w połowie drogi do Fedrikshavn. Osiemdziesiąt tysięcy litrów! To dopiero coś.
  - Właściciela nie ma?
  - Nie. To nawet nie jest państwowe. A zatem masz już też ogląd naszego życia codziennego. Przemyt narkotyków, a przede wszystkim alkoholu, to chleb powszedni w naszym małym Aalborgu. Przemyt do Szwecji i innych krajów. Chociaż głównie chodzi o Skandynawię.
  - To pięknie. - Winter pomachał jej na pożegnanie i ostatni raz przeszedł korytarzem wydziału policji kryminalnej. Czterdzieści cztery osoby, włączając w to szefów, walczyły tu z przygnębieniem. Minał wydział badający przestępstwa finansowe i kolejny, zajmujący się narkotykami. Widział Michaelę, wciąż pochyloną nad spisem przemycanego alkoholu. I kolejne biura: trzydzieści osób rozdzielonych po równo: do pracy nad kradzieżami i włamaniami, poważnymi pobiciami, gwałtami i morderstwami. Kraj inny, ale przestępstwa te same.
- Winter siedział sam w pokoju na najniższym piętrze. Na drzwiach wisiała tabliczka „Prasa - mikrofilmy”. Umieścił rolkę z filmem w aparacie i wstał, żeby otworzyć okno.

Zobaczył przejście dla pieszych. Palilo się czerwone światło. Kiedy zasłaniał szybę, nadal świecił się czerwony ludzik.

Czytał pierwszą stronę lokalnej gazety. Język był ostry, wiadomość o napadzie na bank zajmowała ponad pół strony: **UZBROJONY MĘŻCZYZNA ZABIŁ POLICJANTA**. Dalej opisano pozostałe ofiary.

Wiadomości zajmowały dwie strony, ogłoszeń było niewiele. Ponieważ do zdarzenia doszło po południu, w gazecie wydanej dzień po napadzie było więcej prawdziwych, a mniej fałszywych informacji niż zazwyczaj. Wypowiadał się Jens Bendrup i Winter nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc młodego Bendrupa z długimi włosami i śmiesznymi baczkami. Na zdjęciach z trzeciego października 1972 roku wszyscy mężczyźni mieli śmieszne baczki.

Bendrup trochę kłamał. Mówił prawdę tylko wtedy, gdy było to niezbędne.

Winter i tak wiedział, jak było. Zwierzchnicy Bendrupa przekazywali prasie nieliczne informacje o tym, czego właściwie nie wiedzą. Zawsze trzeba trzymać ostatniego asa w rękawie, powiedział mu Bendrup przed południem.

W tym wypadku tak zrobili. Pytanie tylko, czy as faktycznie istniał, a jeśli tak, to gdzie był.

Artykuły w prasie pokazują, że świadomie robiono zamieszanie, i odzwierciedlają pierwsze godziny dochodzenia wstępnego, pomyślał Winter. Zawsze tak jest. Zobaczył zdjęcia zabitego policjanta i złodzieja, który zginął na miejscu. W duńskiej prasie obowiązuje inna etyka. Czy przekazy nie są trochę ostrożniejsze niż w Szwecji? Albo były kiedyś. Przy okazji będzie musiał zapytać o to Bulowa.

Czytał dalej, ale nie znalazł nic ważniejszego od tego, co już wiedział. Skończył przewijać film i ruch, który widział kątem oka, ustał. Czuł lekkie mdłości. Może to przez powietrze w pokoju, a może przez film i zmieniającą się prędkość przewijania. Czuł się przez to, jakby siedział w samochodzie i

jakby za oknem przesuwiał się krajobraz nadrukowany na papierze.

Wstał i podszedł do okna. Ludzik wciąż był czerwony. Piesi już dawno zaczęli omijać to przejście.

Wrócił do aparatu. Usiadł i powoli zaczął przewijać czas i wydarzenia. Jak było? Jak było, kiedy były tu Helene i Brigitta? Czy Brigitta czytała to, co on przed chwilą?

Czy już wtedy nie żyła? Winter przejrzał artykuł o tym, że dziennikarze tej właśnie gazety powiedzieli nie Unii Europejskiej, podczas gdy pisarz Leif Pandrup powiedział jej tak, ze względu na „osoby o słabej pozycji społecznej”.

Sytuacja naprawdę się poprawiła, pomyślał Winter. Czytał dalej: złodziej rabujący na drogach dostał pięć lat, strażnik raniony przez uzbrojonego mężczyznę. Pomyślał o napadzie dokonany przez motocyklową brać, o którym opowiedzieli mu duńscy koledzy.

Kontynuował powolną podróż wehikułem czasu: Dania największym eksporterem piwa w 1972 roku. Rysunek przedstawiający infrastrukturę w Aalborgu planowaną na rok 1990 - tory otaczały miasto, jakby ten, kto je wytyczył, wzorował się na kolejce z wesołego miasteczka. Transport zbiorowy przy użyciu helikoptera. Winter pozazdrościł ówczesnym dziennikarzom wiary w przyszłość. Sam miał wówczas dwanaście lat: bez przerwy w ruchu, bez przerwy w domku do zabawy na działce w Hagen.

Senat a bombardowania w północnym Wietnamie. Dziewiętnaście i pół korony za lunch w stołówce redakcyjnej magazynu „Faklen”. Rabaty przy drogach miejskich oczyszczone przed zimą. Blondynka z gołym biustem siedząca na masce jaguara V-12 na wystawie w Paryżu. To chyba wraca, pomyślał Winter. Lata siedemdziesiąte wróciły. Kapitan angielskiej drużyny futbolowej Alf Ramsley przed kwalifikacjami do Mistrzostw Świata '74 stawia na stare gwiazdy. Na zdjęciu byli Bobby Moore i młody Ray

Clemence, i dwudziestojednoletni Kevin Keegan z baczkami jeszcze gorszymi niż te Jensa Bendrupa, uwiecznione siedem stron wcześniej.

Linda i Paul McCartney założyli zoo. Na uniwersytetach położono kres nadużywaniu władzy przez studentów.

Od patrzenia na migoczący ekran Winterowi zrobiło się jeszcze bardziej niedobrze. Spojrzał na zegarek, jednocześnie przewijając film do przodu. Pora skończyć i wracać do Szwecji. Kiedy znów popatrzył na ekran, zobaczył stronę z lokalnej gazety z Pandrup i okolic. Zauważył nazwę Blokhus w tytule artykułu o budowie dużego hotelu, który mijał wczoraj, przechodząc przez opustoszały rynek. Chyba rozpoznawał to miejsce. Na zdjęciu nie było ludzi, przedstawiało posezonową pustkę, czyli stan, który sam oglądał poprzedniego dnia.

Na stronie poświęconej Blokhus był jeszcze jeden artykuł. Z tego, co Winter zrozumiał, traktował o podziale ziemi. Obok tekstu widniało zdjęcie terenu przylegającego do rynku, przy ulicach Sonder i By. Właśnie tam stał fotograf. Winter przyjrzał się zdjęciu i zamarł. Wiedział, gdzie dokładnie stał fotograf, robiąc zdjęcie do artykułu o podziale i parcelacji gruntów ciągnących się od ulicy do morza. Przeczytał wstęp i podpis pod zdjęciem: coś o dzielonej właśnie działce. Na zdjęciu ukazującym całą uliczkę Jens B^rentsvej widać było siedem czy osiem domów. Winter wiedział, gdzie to jest, znał trzeci dom po prawej, otoczony żwirem ciągnącym się pośród żółkłej trawy aż do morza. Szary, przybrudzony tynk i rozmiar domu wczasowego, nie letniskowego domku. Żadnego płotu. Żadnych oznak życia w oknach. Zdjęcie mogło zostać zrobione w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, ale Winter wiedział, że łączy się z reportażem, który ilustruje. Był pewien. Czuł ucisk w głowie i w przeponie. Na drodze przed zniszczonym domem stał samochód. Od aparatu dzieliło go pięćdziesiąt metrów, może więcej. Przed

domem widać było dwie postacie, wchodzące lub wychodzące. Nie dało się rozpoznać twarzy, ale było widać, że to ktoś dorosły i dziecko.

Zastanawiał się, co robić. W końcu pojechał do Fredrikshavn. Wcześniej zadzwonił do Michaeli i powiedział jej o zdjęciu z gazety.

- Będziesz musiała sprawdzić, kiedy je zrobiono.

- Jasne. Skontaktuję się z gazetą. I z fotografem, jeśli jeszcze żyje.

- Będziesz tak miła i wyślesz mi dobrze powiększone zdjęcie tak szybko, jak się da? Żebyśmy mogli nad tym dalej pracować. Równolegle z wami.

- Jasne - powtórzyła.

We włosach czuł wiatr. Stał na pokładzie i patrzył, jak Dania staje się coraz mniejsza i w końcu znika. Nad morzem zapadał zmrok. Kiedy wpłynęli na wody międzynarodowe, przestało padać. Winter miał wrażenie, że ma gorączkę. Czuł, że ma przyspieszony puls. Był już w połowie drogi do domu. Wszedł do baru, tłumnie odwiedzanego przez klientów ze szklistymi oczami, którzy po godzinach spędzonych we Fredrikshavn pili dalej tutaj. Wielu z nich siedziało na wózkach. Przyszło mu do głowy, że to chyba całkiem wygodne, kiedy się człowiek chce uchlać.

Na stołach stały szeregi butelek i puszek. Ludzie wyglądają, jakby ich kontury się zacierały, pomyślał. Stają się częścią historii, upodabniają się do średniowiecznych błaznów albo trędowatych.

Dym jeszcze bardziej zacierał rysy twarzy gości. Winter wyszedł na zewnątrz. Chciał zaczerpnąć tyle świeżego powietrza, żeby znów nabrać ochoty na cygaro. Katamaran minął Vingę. Czarne sylwetki przelatujących kaczek odcinały się od nieba. Latarnia rzucała na wodę stożki światła. Winter zapalił i poczuł, jak jego puls zwalnia. Minęli Arendal. Duże promy kursujące po Morzu Północnym płynęły w kierunku

göteborskiego portu. Przypominały Winterowi bloki okalające osiedle Biskopsgården. Zamiast anten satelitarnych miały tysiące oczu skierowanych w przestrzeń.

Winter wjechał na piętro, na którym mieściły się pokoje policji kryminalnej, i wszedł do swojego biura. Obrazki jaśniały na ścianie. Zapalił lampkę na biurku, a do tego główne światło i stanął dwa metry przed nimi. Miał wrażenie, że duńska flaga na rysunkach nabrała innego znaczenia.

Droga nadal biegła przez las. Śmigła wiatraka się obracały.

Tramwaj jechał przed siebie.

Winter przetarł twarz. Po podróży czuł się zmęczony, ale i podekscytowany. Uczucie złożone jak motyw powracający na obrazkach Jennie - słońce i deszcz.

Ringmar zapukał w otwarte drzwi i wszedł.

- Witaj w domu. Winter się odwrócił.

- Dzięki. Co tam?

- To chyba ja powinienem spytać.

- Jak poszło z kierowcą?

- To mogła być ona.

- W takim razie mamy kolejne zagadnienie do zbadania.

- Będzie co badać. Ta linia ma długą trasę. Ale, oczywiście.

- Przytrafiło mi się coś niezwykłego - powiedział Winter. -

W gazecie z tamtego czasu, z 1972 roku, zobaczyłem zdjęcie,

na którym może być Helene, i myślałem tylko o niej. -

Winter wskazał głową w kierunku obrazków na ścianie. - O

Jennie. To ją widziałem.

- Nie ma w tym chyba nic dziwnego.

- Nie rozumiesz? Wszystko się zlewa. Niedługo nie będę już wiedział, kto jest kim. A może to tylko chwilowe? Może jestem po prostu zmęczony?

- Jesteś blady jak cholera, Erik. Idź do domu, wypocznij.

- Muszę poczytać.

- Idź do domu i odpocznij. Poczytasz potem.

- To ty przesłuchiwałaś kierowcę?



Halders walił palcami w blat. Nie wykonywał całej roboty sam, ale to on był odpowiedzialny. *Executive Inspector*, inspektor wykonawczy, pomyślał. Odpowiadam za to wszystko.

Papiery były schludnie poukładane w szarych, plastikowych teczkach. To on jako pierwszy widział całą dokumentację: stu dwudziestu czterech właścicieli fordów escortów o numerach rejestracyjnych zaczynających się na H.

Jeszcze nikogo nie złapali. Właściwie nie zauważyli nic niezwykłego. Sprawa jednego ze skradzionych samochodów nie była do końca jasna, ale właściciel miał alibi i nieskazitelną przeszłość.

Ale nie wszyscy mieli. Jedna ósma ze stu dwudziestu czterech właścicieli była kiedyś skazana za niewielkie, ewentualnie troszkę poważniejsze wykroczenia, ale Halders już zbyt długo był policjantem, by móc zdecydować, czy to dużo, czy mało. Może to tak mało, że powinno napawać optymizmem? Właściwie to w niczym im nie pomagało. To, że kogoś skazano za wykroczenie drogowe, pijaństwo, jazdę po pijanemu, niegroźne pobicie, drobną kradzież albo włamanie, nie oznaczało, że ktoś jest mordercą. Ci z wyrokami sprawiali raczej niepotrzebny kłopot, bo przeglądanie kartoteki zajmowało czas.

Ale nie to nie dawało mu spokoju. Chodziło o jednego z wcześniej skazanych. o Bremera. Georga Bremera. Facet raz siedział za włamanie. Pół roku, siedem lat temu. Halders przypomniał sobie jego dom, gdzieś na zadupiu. Drogę prowadzącą przez pustkowie. Konie na skraju pola. Równinę ciągnącą się aż do Landvetter i Härrydy. Ta nazwa brzmiała jak uderzenie pioruna.

Kurwa, pomyślał Halders. Co było nie tak? Czego nie sprawdziłem? Co odłożyłem na następny dzień?

Przerzuczał kartki i czytał. Chodziło o warsztat.

Aneta zrobiła notatki. On sam spisał raport, ale kto sprawdził

warsztat, do którego Bremer oddał samochód? Czy on powinien był to zrobić? Nie. Ktoś inny dostał to zadanie. Kto to był? Nie było tego w papierach. Nie było w nich informacji o tym, jaki to warsztat. Przecież Halders zapisywał nazwę. To było coś niezbyt konkretnego, coś jak Wulkanizacja AB albo coś w tym stylu. W każdym razie nikt tego nie zrobił. A może zrobił, ale nie złożył raportu. Spojrzał na zegarek i zadzwonił do Möllerströma. Möllerström odebrał po trzecim sygnale.

- Tu Fredrik. Możesz mi w czymś pomóc?

Halders siedział nad napisanym przez siebie protokołem z przesłuchania. To Veine Carlberg sprawdzał warsztat. Nic dziwnego. Bremer oddał samochód do jakiegoś zakładu na Hisingen. Czas zgadzał się z tym, co powiedział. Trochę dziwne, że przewiółł ciekący samochód ze swojego zadupia na drugi koniec miasta, ale właściciel warsztatu był przecież jego znajomym.

Jonas Svensk. Jego też znał. Niedawno go przesłuchiwał. Pamiętał tę rozmowę, dzięki pamięci i protokołowi odtworzył ją prawie w całości. Svensk miał za sobą przeszłość, z którą ponoć zerwał. Halders mu nie wierzył.

Czy powinien porozmawiać z Winterem o Bremerze i Svensku? Czy najpierw sam powinien sprawdzić dokładniej? Winter wrócił już z krainy kanapek z jakimiś dziwnymi opowieściami o cieniach przesuwających się między drzewami na trakcie. Może dobrze zrobił, jadąc do Danii, ale on, Halders, też mógł zrobić coś przydatnego.

Próbował myśleć. Mieli tropy prowadzące w różnych kierunkach. Z badaniem niektórych powinni się wstrzymać, skupić się na innych. Teraz akurat badali trop prowadzący do Billdal. Podczas dzisiejszego porannego zebrania Winter mówił o domu w Danii i o powiązaniu Andersena ze sprawą. Czy związku ze sprawą, czy cholera wie, jak to nazwać.

Halders się zastanawiał. Bremer miał dużą działkę. Aneta uważała, że to dom letniskowy.

WINTER SIEDZIAŁ U CHRISTINY WALLIN, psycholożki i psychoterapeutki. Zgłaszał się do niej przy dwóch wcześniejszych sprawach. Próbował wcześniej znaleźć fragmenty układanki w niezbyt obszernych rejestrach szpitalnych, ale przeżycia małej Helene nie były w nich opisane. A może były, ale między wierszami? Pomyślał, że może jakiś terapeuta rozmawiał z dorosłą już Helene, takie pobożne życzenie.

- Potrzebowała takiej rozmowy - powiedziała Christina Wallin.

- Może taka rozmowa się odbyła, a my o tym nie wiemy?

- Nie sprawdziliście tego?

- Przecież są setki prywatnych terapeutów. Dzwonimy i sprawdzamy, ale na razie bez skutku. Zdarza się, że ludzie umierają. Terapeuci też. Spojrzała na niego.

- Przepraszam za to ostatnie. Wie pani, o co mi chodzi. Przychodzę do pani właściwie z niczym.

- Przeżyła straszną traumę, to sprawiło, że ona czy też raczej jej instynkt samozachowawczy zdecydował o wykasowaniu tego z pamięci. Tak ja to odczytuję.

- Czyli nie pamiętała tego?

- Z jednej strony nie, ale z drugiej była tego świadoma. Mówimy o chorym człowieku. - Christina Wallin znów podniosła wzrok. - Nie można stwierdzić, w jakim stanie psychicznym była, kiedy zginęła.

- Czy mogła być świadoma tego, że. nie tego, co się wydarzyło, ale tego, że była chora?

- Jak najbardziej. Wiedziała przecież, że emocje ma stłumione. Zamknięte w jakimś zakamarku w jej wnętrzu.

Winter słuchał. Stał oparty o ścianę.

- Może wiedziała też, że jeśli. jeśli skonfrontuje się z tymi

wspomnieniami i stłumionymi emocjami, to ją to uzdrowi.  
To mógł być klucz.

- Czy to nie terapeuta musiałby jej coś takiego uświadomić?
- Ludzie dużo o sobie wiedzą - odparła Christina Wallin.
- Czy obrazy z przeszłości nie mogą się nagle objawić?
- Tak, mogą.
- Co się wtedy dzieje?
- Trudno powiedzieć. Może to być straszne przeżycie albo klucz, jak już wspomniałam. Fragment klucza. To zależy też od wspomnień. Od tego, co się działo w przeszłości.
- Ale istotne jest to, że miała mocno obciążoną pamięć, z którą unikała kontaktu?
- Po części tak. Jej myśli mogły być rozszczepione.
- Rozumiem.
- No i chodzi też o. poczucie bliskości. O możliwość porozmawiania z kimś bliskim. Jeśli ktoś taki istnieje.
- Rozmawialiśmy z rodzicami zastępczymi. Myślę, że nie miała z nimi zbyt bliskiego kontaktu. Dlatego właśnie to nie działało na dłuższą metę.
- Niektóre dzieci znajdują sobie innych powierników. To może być lalka, albo jakieś ubranie.
- Ubranie?
- To smutne, nie sądzi pan? Za najlepszego przyjaciela mieć ubranie. - Spojrzała na niego. Nie miał na sobie garnitur. Wiem, co sobie teraz wyobraża, pomyślał.
- Zatem jej życie było w pewnym sensie podzielone na kawałki.
- Tak sądzę.
- Ale dawała sobie radę. żyła samotnie, z dzieckiem.
- Można sobie dawać radę w życiu codziennym. No i nie wie pan, czy ktoś jej nie pomagał.

Winter przypomniał sobie o pieniądzach Helene. Skądś czerpała środki na życie. Jak to było z pomocą z zewnątrz? Czy pomagał jej jakiś terapeuta? Czy nie dowiedziała się

czegoś, co spowodowało. coś innego?

- Czy ktoś mógł odsłonić przed nią jej przeszłość?
- Co ma pan na myśli?
- Sam nie wiem. czy ktoś mógł jej w końcu opowiedzieć, co się stało? Ktoś, kto wiedział i sprawił, że mu uwierzyła i że pamięć jej wróciła?
- Albo potwierdził to, co wiedziała.
- Tak, potwierdził, że te straszne rzeczy są prawdą, nie tylko fragmentarycznym wspomnieniem. W ten sposób mogła się dowiedzieć, co się stało, i. do czegoś ją to doprowadziło.
- Do czego?
- Do śmierci.

Chwilę później Winter pokazał jej rysunki.

- Co pani o tym sądzi? - zapytał, mając na myśli podwójny przekaz. - Słońce i deszcz.
- Nie wiem, co powiedzieć.
- Na ile można polegać na rysunkach odzwierciedlających to, co widziała?
- W stu procentach. Ale rozumiem, że obie rysowały? Czy nie mówił pan, że mogło je namalować jedno dziecko, ale że widać różnice?
- Tak. Helene rysowała jak dziecko. Czy to się da zrozumieć? Umie to pani wyjaśnić?
- To część tej fragmentaryczności, o której mówiliśmy. Część wspomnień. Ale zanim powiem coś więcej, muszę się bliżej przyjrzeć tym rysunkom.
- Ale te obrazki to nie fantazje?
- Nie.
- W takim razie można je zinterpretować.
- Jeśli trzeba. To las, a to woda - powiedziała Christina Wallin, wskazując palcem na narysowaną drogę.
- Co to jest w takim razie? - Winter podszedł bliżej i wskazał na rysunek. Podążyła wzrokiem za jego palcem.
- Co?

- To tutaj, na prawo od tego czegoś, co musi być domem. Co to takiego?
- Myślę, że to wygląda jak mały wiatrak.

## 55

WINTER ZNÓW SIEDZIAŁ SAM W BIURZE i powoli przeglądał dokumentację dochodzenia wstępnego. Zrobił trochę notatek, wypił kawę. Kiedy czuł, że musi sobie zrobić przerwę w myśleniu, wychodził zapalić. Czekał na telefon od Michaeli. Był już pewien przebiegu tej rozmowy.

- Przez chwilę sądziłam, że jesteśmy większymi nieudacznikami, niż jesteśmy - powie Michaela.

- Bez komentarza - odpowie jej.

-Jakiś czujny aspirant przejrzał gazety, wtedy kiedy to się wydarzyło, i trafił na artykuły o Blokhus, dokładnie tak jak ty.

- W dokumentacji, którą przejrzałem, nie było o tym żadnej wzmianki.

- Prawdopodobnie dlatego, że nie było to nic istotnego.

- Skąd wiesz, że nie?

- Pytałam Jensa Bendrupa.

- No tak, to przesądza sprawę.

- W tym wypadku tak. Przypomniał sobie sprawę i tę kobietę z dzieckiem przed domem. Jasne, że ich to mocno zainteresowało.

- Ale to nie te osoby, których szukacie. Szukamy.

- Tak, to byli ci, którzy tam mieszka.

Telefon zadzwonił.

- Przez chwilę sądziłam, że jesteśmy większymi nieudacznikami, niż jesteśmy, i okazało się, że to prawda - powiedziała Michaela. Winter się wyprostował. Otworzył notatnik na czystej stronie.

- Nie mogę nic znaleźć o tym zdjęciu.

- Nie widziałem o nim żadnej wzmianki w dokumentacji,

którą przeczytałam.

- Spieprzyliśmy sprawę. Nie wiem, co powiedzieć.
- Przecież ciebie jeszcze tam wtedy nie było.
- Chodzi ci o to, że nie ponoszę za to winy?
- To nie jest kwestia winy. Wtedy szukaliście czegoś innego.
- Przyjeżdża szwedzki glina i od razu znajduje to, co powinniśmy byli znaleźć dwadzieścia pięć lat temu. Trudno się do tego przyznać.
- To się nie przyznawaj.
- Jens wie. I na pewno tego nie rozpowie. W każdym razie starałam się choć trochę zadośćuczynić.
- Zamieniam się w słuch.
- Facet, który zrobił zdjęcie, żyje, jest na emeryturze. To miejscowy dziennikarz, nie zawodowy fotograf. Zresztą nieważne. Gadałam z nim. Pamięta historię z parcelacją gruntów. ale nie przypomina sobie samego zdjęcia. Pojechałam do niego i pokazałam mu tę stronę z gazety, ale i tak sobie nie przypomniał. Ale twierdzi, że to on musiał zrobić to zdjęcie.
- Kiedy to było?
- Nie pamięta, kiedy dokładnie, ale to musiało być trochę przed ukazaniem się artykułu. Rada miasta podjęła decyzję chwilę wcześniej, to znaczy trzy dni przed publikacją. Czyli musiał zrobić zdjęcie w ciągu tych trzech dni. Albo dwóch.
- Ma odbitki?
- Nie. Zdjęcia były przekazywane dalej. Codziennie po południu przekazywał rolkę z filmem rolnikowi przewożącemu świnie albo coś innego. Czasem dawał ją kierowcy autobusu. Potem film był wywoływany w redakcji w mieście i robiono kopie. Wszystko jest w archiwum gazety, porządnie poukładane. Wiem, bo właśnie stąd dzwonię.
- Widziałaś odbitkę?
- Zrobili mi ją na szybko i mam negatyw. Jest kilka rolek. Zabiorę je na komendę i poproszę, żeby fotograf z wydziału

technicznego nad nimi popracował. Kiedy będziemy mieć dobre powiększenia, dam znać.

- Świetnie.

- Rozmawiałam też z prokuratorem z Hjørringu. Ma poważne wątpliwości co do rewizji w Blokhus. Powołuje się na paragraf siedemset dziewięćdziesiąty czwarty: musi istnieć poważna podstawa do przypuszczeń, że na miejscu będzie można znaleźć ślad dotyczący przestępstwa albo przedmiot, który będzie można zarekwirować.

- Do kogo należy dom?

- To opuszczona ruina.

- Rzeczywiście.

- Właściciele mieszkają w Aarhus i nie byli tam od dawna.

- Ja to było? Poważna podstawa? W takim razie musimy ją znaleźć.

- Odezwę się w sprawie zdjęć - powiedziała Michaela i odłożyła słuchawkę.

- Jakobsson zniknął - powiedział Ringmar. - Jego brat podejrzewa, że to sprawa kryminalna.

- Ten facet sam w sobie jest sprawą kryminalną - odparł Halders. - Pewnie się gdzieś zaszył i zalewa się w trupa.

- Tak czy inaczej, nie ma go - stwierdził Winter. - Wyszedł z domu przedwczoraj, a teraz brat zgłosił jego zaginięcie.

- Co o tym sądzicie? - zapytał Berghem, kierując pytanie w powietrze.

- Spodziewamy się najgorszego - odpowiedział Ringmar.

Winter odwrócił się do Sary Helander i Anety Djanali.

- Słyszałem, że w Billdal nikt nic nie widział.

- To prawdziwa wieś ze starymi chałupami, a do tego nowe, eleganckie domy. Ale niewiele osób się tam zna. - Aneta spojrzała na Sarę. - Nasza grupa wyszła z punktu północnego, ale nikt nie widział obcej dziewczynki z rudymi włosami.

- Przy przystanku, na którym wysiadły, jak sądzi kierowca autobusu, też nic - dodała Sara.



- Byliśmy we wszystkich tamtejszych domach - powiedział Börjesson. Wstał i podszedł do mapy wiszącej na ścianie. - Przeszliśmy stąd tu.

- Może powinniśmy zacząć w ziemi - powiedział Halders. - Przekopać teren - odwrócił się do Anety. - Tak to wygląda.

- Ja nic nie mówiłam.

Halders został w sali po tym późnym, popołudniowym zebraniu. Zanim zaczęli, opisał Winterowi sprawę w kilku słowach.

- Chodźmy do mnie - powiedział Winter.

Kiedy weszli, Halders popatrzył na obrazki, ale nic nie powiedział. Przeciągnął ręką po głowie, jakby podkreślając różnicę między swoją fryzurą na jeża a długą grzywą Wintera. Winter odgarnął włosy z czoła i wsunął je za uszy.

- Udało ci się przejrzeć wszystkie protokoły z rozmów z właścicielami samochodów? - zapytał Halders.

- Nie. Leżą tutaj. - Winter kiwnął głową w stronę biurka, zavalonego teczkami i dokumentami poukładanymi w oddzielne stosy. Koszyczki z podpisami „dobre” i „do wyrzucenia” odeszły już w zapomnienie.

- Jest tam jedno nazwisko. - powiedział Halders.

Georg Bremer. Winter przeczytał jego życiorys. Na dworze zapadł już wieczór. W środku paliła się lampa, a Charlie Haden wygrywał swoją solówkę z odtwarzacza stojącego w cieniu, pod oknem. Niezbyt głośno. Bas Hadena wnikał w ściany pokoju. Bremera wsadzono za włamanie i szkody majątkowe. Wyrok odsiadywał w więzieniu w Härlandzie, we wschodnim Göteborgu. Żadnego godnego uwagi nagannego zachowania. Wyszedł i zniknął z przestępczego i policyjnego świata. Miał forda escorta, ale to żadna zbrodnia. Znał kolesia, który, w przekonaniu policji, należał kiedyś do gangu motocyklowego. Jego samochód mógł, ale nie musiał, jechać trasą na Borås tamtej nocy, kiedy doszło do morderstwa. Winter umieścił kasetę wideo na nowym regale. Skierował

lampę w jego stronę. Snop światła odbił się w ekranie telewizora i rozjaśnił grzbiety kasety.

Winter wstał, podszedł do regału i wyciągnął książkę telefoniczną. Przeglądał nazwiska na B z Hindås. Znalazł adres Bremera, Georga. Mieszkał w Ödegård w Härrydie. Nie w Övergård, tylko w Ödegård. Inna nazwa.

Podniósł słuchawkę i siedział z palcem zawieszonym nad przyciskami. Nie. Lepiej zaczekać do jutra. Właściwie chciał tylko usłyszeć jego głos. Może tylko po to, żeby zyskać pewność, że to kolejny poboczny trop, na który nie mają teraz czasu. Wiedział jednak, że jutro rano i tak będzie musiał tam pojechać.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziała Angela.
- Przytul mnie. Albo nie, zrób mi masaż.
- Najpierw cię przytulę. - Objęła go. Stali bez słowa pół minuty. - A teraz siadaj.

Stała za nim i zaczęła mu ugniatać szyję i ramiona.

- Jestem spięty czy spięty?
- Nic nie mów.

Winter siedział cicho, zamknął oczy. Czuł, jak jej silne pięści pobudzają jego krążenie i rozluźniają mięśnie. Angela masowała dalej.

- Prawie wcale nie boli.
- Powinno boleć. Jesteś jak kołek. Gorzej.
- Spinam się, kiedy czytam.
- A i tak przynosisz akta do domu.

Nie odpowiedział. Nie wiedział co. Czuł zapach jedzenia wpadający do pokoju wraz z zimnym wiatrem przez balkonowe drzwi.

- Chyba wystarczy- powiedział.-Teraz możesz przynieść kaptcie.
- Nie jestem kurą domową. Masażystką tak. Kurą domową nie.
- Nie nadawałabyś się.

- I znów jesteśmy w tym samym punkcie.
  - To znaczy?
  - Akurat jesteśmy razem w twoim mieszkaniu, ale tylko na chwilę.
  - Angela.
  - Nie. Wiem, że przyjechałeś z Danii z kolejnymi ciężkimi zagwozdkami i że szukacie dziewczynki i mordercy. I w ogóle. Wiem. Staram się nie narzucać.
  - Angela.
  - Już o tym rozmawialiśmy. Wciąż pojawiają się nowe sprawy. Nowe okropieństwa. Ale jeśli nic nie powiem, to będzie się to ciągnąć jak dotychczas. Tobie to odpowiada. Jeśli nic nie mówię, to jest tak, jak zawsze było. W końcu spojrzymy w lustro i okaże się, że jesteśmy emerytami. Nie wiedział, co powiedzieć. Miała rację. Czas płynął, a oni się starzeli.
  - Nie chcę. zrzedzić. Wiesz, że nie chcę, ale teraz sprawa jest poważna. Znowu.
  - Odwróciła się i zdjęła rękę z jego ramion. - I nie dlatego, że zaraz będę miała okres, jeśli tak sądzisz. Stała, on siedział. Teraz się podniósł. Wciąż stała tyłem do niego.
  - Idę do domu. Chcę, żebyś podjął decyzję. To chyba nie jest dla ciebie zaskoczeniem.
- Odwróciła się w jego stronę. Zobaczył, że ma wilgotne oczy.
- Zawsze jest niewłaściwy moment. Jesteś zmęczony. Musisz odpowiedzieć na wiele pytań. Ale ja też. My musimy sobie odpowiedzieć na wiele pytań. Nie chcę już być. sama. Nie chcę. Nie chcę! Odwróciła się i wyszła do holu. Zawołał ją, ale nie odpowiedziała. Stał jak sparaliżowany. Wreszcie się ruszył i poszedł za nią, ale właśnie wtedy zamknęła za sobą drzwi. Usłyszał jej kroki na schodach. Jego teczka stała przy drzwiach, oparta o wysoki próg. Przez otwór w skórze wystawał róg kartki. Kopnął teczkę. Uderzyła o ścianę, wydając głuchy odgłos.

### Część III

KIEDY STAŁA NA POKŁADZIE, silny wiatr dął jej w twarz. Słońce już zaszło, została z niego tylko cienka kreska na widnokręgu. To była ostatnia podróż. Zaczęło padać, ale zauważyła to dopiero, kiedy odwróciła wzrok od opadającego za horyzont dnia. Błysnęło raz, potem drugi. Przypominało to jej własne przebłyski pamięci. Były równie nagłe i pozostawiały w myślach ogromne luki - czuła się po nich, jakby, wytracona ze snu, obudziła się w innym życiu. Krzyki nadal rozbrzmiewały echem w jej głowie.

Znaleźć zło, żeby je unicestwić, mówił jej wewnętrzny głos. Wracał do niej i opowiadał. Opowiadał!

Na podwórku było ciemno. Stojąca w oknie staruszka uniosła przypominającą ptasie skrzydło rękę. Od strony huštawek dobiegały jakieś głosy.

Tramwaj nie wydawał żadnych dźwięków. Było w nim ciemno. Na zewnątrz było cicho.

Przez pierwsze dni krążyła wokół stołu w salonie. Było gorąco, ale nie otwierała okien. Była wcześniej w piwnicy, ale wróciła. Nie mogła tam zostać.

Słońce świeciło, a potem zniknęło w jednej chwili. Wszystko działo się jednocześnie. Zimno mi, mamó. Za chwilę będzie lepiej. Pachniało deszczową nocą, a potem już znów mogła się ruszyć.

Długo siedziała z mamą. Przysnęła na chwilę na tylnym siedzeniu, ale potem znów usiadła. W samochodzie było zimno. Mama uruchomiła silnik, a po chwili zgasła. Nie

odpowiedziała na jej pytanie, powtórzyła je, ale głos miała szorstki. Więc zamilkła.

Stał obok. Wyciągnął jej z rąk nożyczki. Miała jeszcze tylko jedno pytanie. Usłyszała kukulkę. Trzymał ją. Usłyszała kukulkę i jej skrzydła łopoczące na wietrze. Pod niebem rozległ się krzyk.

## 56

HALDERS PROWADZIŁ, Aneta Djanali siedziała obok. Winter z tyłu. Zjechali z autostrady i przebijali się przez lasy.

- To Kapiszonlandia - powiedział Halders. - Zaraz wyskoczą skądś koleś w kalesonach, z wiatrówką.

- Cicho, Fredrik - uciszyła go Aneta.

Las miejscami był gęstszy, miejscami rzadszy. Poręby zaczynały na nowo zarastać. Pradawna puszcza pięła się w górę, podzielona na małe rezerваты.

- Patrzcie - powiedziała Aneta.

Przez drogę przebiegła sarna i szybko zniknęła w lesie. Jej biały ogon poruszał się jak fale unoszące się nad ziemią.

Dojechali do kolejnego skrzyżowania.

- To już ostatnie - powiedział Halders, skręcając w prawo.

Kilometr dalej, może mniej, droga wspinała się na zbocze i urywała przed domem. Halders zaparkował i wysiedli. Dom był lekko pochylony, ale dość stabilny. Winterowi wydało się, że już go gdzieś widział. Język wysechł mu na wiór. Na stoku przed domem rozciągał się ogród. Z tyłu zobaczył las i kawałek łąki. Usłyszał stłumiony odgłos dudniących o ziemię kopyt. Gdzieś zza domu wybiegły konie, może wystraszył je ryk silnika. Halders zatrzymał się przy eskorcie Bremera. Samochód był cały w błocie. Jeżdżenie leśnymi duktami pod koniec października sprawiło, że białego, opalizującego lakieru prawie nie było widać spod brudu. Winter nie mógł nawet odczytać tablic rejestracyjnych.

Kiedy umilkł koński tętent, zrobiło się cicho. Nikt nie wychodził z domu. Winter czekał przy samochodzie.

Dziesięć metrów od niego i dziesięć od skraju lasu stał wiatrak.

Był żółty, śmigła się nie poruszały. Miał może z półtora metra wysokości.

Rysunki mówią prawdę. Spokojnie, Erik.

Podszedł bliżej. Spokojnie.

Halders zapukał do drzwi. Było w nich okienko z zasłonką.

Nikt nie otworzył.

Nie uprzedzili go telefonicznie.

- O co znowu chodzi? - Mężczyzna wyszedł zza domu. - To znowu wy. - Zbliżył się do nich i pokazał palcem. - Samochód stoi tam, gdyby was to ciekawiło. - Spojrzał na Haldersa i Anetę. - Was pamiętam.

Winter uściskał mu rękę. Bremer był wysoki, miał suche dłonie. Nie patrzył na Wintera, tylko gdzieś obok. Na koszulę narzucił cienki kaftan, na nogach miał kalosze. Winter zauważył, że jeden but jest wgnieciony tuż nad stopą. Na głowie miał zrobioną na drutach czapkę. Winter wiedział, że ma sześćdziesiąt dziewięć lat i że pod czapką kryje się łysina. Wąsy miał ciemne. Był szczupły i zasuszony, jak powiedziała Aneta, kiedy tu jechali.

- Czego chcecie tym razem? Znowu chodzi o samochód?

- Możemy wejść na chwilę? - zapytał Winter i spojrzał na wiszące nisko nad porębą niebo. - Oczywiście znowu zaczęło padać.

- Trochę deszczu nikomu nie zaszkodzi - powiedział Bremer. - Ale jasne, możemy wejść.

Spojrzenia Anety i Wintera spotkały się, kiedy wchodzili na ganek. Weszli do domu. W korytarzu było ciemno. Bremer zdjął kalosze. Oni też ściągnęli buty i poszli za nim do pokoju, którego okna wychodziły na tył domu. Ogród przechodził w łąkę, a dalej w las. Winter zobaczył konie,

które wcześniej słyszał. Bremer stał na środku pokoju. Nikt nie usiadł.

Winter zastanawiał się, co powiedzieć. Nie przygotował się po drodze.

Wpatrywał się tylko w las i w prześwitujące między drzewami słońce.

- Czego chcecie? - powtórzył Bremer.

Winter wyjrzał przez okno, koni już nie było. Odwrócił się do Bremera i zrobił krok do przodu.

- Znów chodzi o samochód. I jeszcze parę innych rzeczy.

- Co z samochodem?

- Rozmawiamy z właścicielami tego właśnie modelu. Może przypomina pan sobie jeszcze coś, co mogłoby nam pomóc.

- Pomóc w czym?

- Nie wie pan, że to dochodzenie w sprawie morderstwa? - zapytał Winter. - I związanego z nim zaginięcia?

Bremer spojrzał na Haldersa.

- Ten tutaj nic o tym nie wspominał.

- Wiesz tylko to, co usłyszałeś od niego? - Winter przeszedł z pan na ty, ale Bremer zdawał się tym nie przejmować.

- Może coś tam słyszałem w radiu i telewizji. Nie wiem. Zajmuję się własnymi sprawami.

Winter był już pewien. Wtedy zobaczył konie wychodzące z krzaków. Ruszały się, zachowując idealną symetrię. Sunęły ponad wysoką trawą.

- Znasz Jonasa Svenska?

- Co?

- Zastanawiam się, czy znasz Jonasa Svenska - powtórzył Winter, rzucając szybkie spojrzenie na Haldersa.

- Svenska? Tak, to przecież on ma ten warsztat, w którym zostawiam auto, jak coś w nim nawala. Bo co?

- Sprawdzamy właśnie różne powiązania. - Winter starał się wyrażać tak niejasno, jak tylko się da.

- Chcielibyśmy o tym porozmawiać.

- Jakie powiązania? Co ma z tym wspólnego mój samochód?

- Nie wspominałem nic o samochodzie.

- Jak to nie? Przecież była mowa o warsztacie.

Winter wziął wdech.

- Chcę, żebyś pojechał z nami na komendę, żebyśmy mogli to dokładnie wyjaśnić.

Twarz Bremera wyglądała, jakby ją zakryły czarne chmury. Zrobił krok w stronę Wintera. Halders się poruszył.

- Co wy gadacie? - Bremer przystanął po jednym kroku. - Nie mogę teraz jechać. Mam co innego do roboty.

- To by nam pomogło.

- O co w tym wszystkim chodzi? Jeśli myślicie, że przewożę autem jakiś kradziony towar, albo co, to proszę, sprawdźcie sami.

Winter nie odpowiedział.

- Myślicie, że możecie się pieprzyć z takimi jak ja, jak długo się da? Odsiedziałem swoje i skończyłem z tym. Zapytajcie kogokolwiek, to się przekonacie. Chodzi o Svenska? On nic nie zrobił. Chodzi o tę strzelaninę? To przez to?

- Proszę jechać z nami - powiedział Winter.

Bremer spojrział na Haldersa i Anetę, jakby mogli podważyć decyzję Wintera. Zrobił jeszcze krok i przystanął. Wygląda, jakby się zapadał, pomyślał Winter. Głowa chowa mu się do środka.

- Na jak długo? - zapytał, nagle się poddając. Może poddał się od razu, pomyślała Aneta.

Winter milczał.

- Sześć godzin. - Bremer sam odpowiedział, rzucając słowa w powietrze.

Sześć plus sześć, dodała w myślach Aneta. O ile na tym się skończy.

Ringmar czekał. Wszedł do biura Wintera. Zostawili tam na chwilę Bremera samego.



- Ja tylko korzystam ze swoich praw - powiedział Winter, podnosząc rękę.
  - Przecież nic nie powiedziałem.
  - Samochód stoi na zewnątrz. Aneta została. Niech go tutaj od razu ściągną i przeszukają.
  - Chyba raczej rozbiorą na części.
  - Niech zrobią, co trzeba.
  - Nie zapytam, czy według ciebie jechali tym samochodem.
  - Obejrzymy nagranie. - Winter włożył do odtwarzacza kasetę kontroli drogowej. Samochód przejechał, a potem wrócił. Przejechał i wrócił.
  - Jeśli to on, to nie powinien jechać w stronę miasta, tylko do domu - powiedział Ringmar.
  - Może kogoś odwiedzał. Albo nie - pojechał do jej mieszkania.
  - Ktokolwiek by jechał tym samochodem, i tak odciski, które znaleźliśmy w jej mieszkaniu, nie należą do Bremera.
  - Aż tak łatwo nie będzie - odparł Winter. Wcisnął pauzę. Potem znów play i znów zatrzymał obraz. - Wciąż widać, że w środku siedzi facet i że to ford.
  - Ale teraz mamy samochód do porównania. To już coś. Powinniśmy rozebrać ten film na części, tak jak samochód.
  - Chcę dostać wszystko, co mamy o Svensku. Wszystko.
  - A ja wszystko o gangu motocyklowym - powiedział Ringmar. - Wszystko.
  - I chcę wiedzieć, gdzie jest Jakobsson - dodał Winter.
  - Chcesz zrobić rewizję u Bremera?
- Winter pokręcił głową.
- Za wcześniej?
  - Za wcześniej na to?
  - Poczekamy. Chcę mieć zgodę prokuratora, wtedy przeczczemy dom.
  - Już wiesz.
  - Chyba już najwyższa pora?

Winter sam przeprowadził przesłuchanie. Zanim wszedł do pokoju, przeczytał raport o przeszukaniu dna jeziora.

Bremer siedział na krześle. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Spojrzał na Wintera, jakby go tam nie było. Świeciło jaskrawe światło. Winter zrezygnował z kamery. Włączył magnetofon i wyrecytował do mikrofonu obowiązkowy prolog. Potem zaczęło się przesłuchanie.

Bremer odpoczywał w areszcie. Winter wszedł do zaciemnionego biura i poczuł, jak w głowie rośnie mu ciśnienie. Zapalił lampę na biurku i usiadł w rzucanym przez nią kręgu światła. Zapalił, a dym unosił się niczym lekka mgła między nim a rozłożonymi na biurku zdjęciami. Michaela była szybka. Fotograf i człowiek wywołujący odbitki też. Zdjęcia poleciały do Kopenhagi, a stamtąd na lotnisko Landvetter.

Winter zamknął oczy. Chciał się wstrzymać pół minuty z otwarciem koperty. Zaciągnął się i zgasił cygaro. Może na dobre. We współczesnym świecie nie ma miejsca dla palaczy. Zanim wstał, zapalił kolejne. Podeszedł do ściany, na której wisały obrazki.

Lotnisko Landvetter. Kiedy wyjeżdżali z zagrody Bremera, boeing przeleciał z łoskotem nad domem. Bremer jakby w ogóle tego nie zauważył. Kiedy samolot pojawił się ni stąd, ni zowąd, Aneta aż podskoczyła. Winter spojrzał w górę - podwozie samolotu przesłoniło niebo, kiedy dudnienie dotarło już do autostrady po drugiej stronie lasu.

Widział to na jednym z rysunków Jennie. w jej pamiętniku. Ten akurat nie wisiał na ścianie. Podeszedł do stołu, na którym leżały posegregowane rysunki. W trzeciej stercie od lewej - tej z pojazdami różnego rodzaju - znalazł dwa obrazki przedstawiające podłużny obiekt sunący ponad lasem i domem. Były udane. Winter niemal słyszał łoskot samolotu przecinającego zarówno słoneczną, jak i deszczową stronę obrazka.

Wrócił na krzesło i otworzył kopertę. Było w niej pięć zdjęć. To z wierzchu przedstawiało dwie osoby stojące na wysokości domu. Wchodziły na podwórko. Kobieta trzymała dziewczynkę za rękę. Obie patrzyły przed siebie. Nie dało się rozpoznać twarzy.

Na drugim zdjęciu były już przy domu. Dziecko odwróciło się do obiektywu albo w jego stronę. Może zauważyło fotografa. Winter miał przed oczami twarz, którą widział na nagraniu z przesłuchania. To Helene. Twarzy kobiety nadal nie było widać.

Trzecie zdjęcie przedstawiało to samo, co poprzednie, ale było powiększone. Winterowi przypominał się film, który oglądał w kinie dziesięć lat temu. Albo i więcej. Myślał o nim już wcześniej, kiedy rozmawiał o zdjęciach z Michaelą. Film z lat sześćdziesiątych opowiadał o fotografii z Londynu, który zobaczył scenę morderstwa, powiększając zrobione na chybił trafił zdjęcia. Tak to zapamiętał Winter - zdjęcia zrobione tak, że nie wiadomo, co w końcu będą przedstawiać, co naprawdę na nich będzie.

Tak samo było tutaj. Zdjęcie zrobiono w jakimś celu, ale potem nabrało nowego znaczenia, stając się dowodem w śledztwie. *Blow up*. Tak nazywał się ten film. Powiększenie, pomyślał. Groteskowo powiększone obrazy.

Na trzecim zdjęciu postaci były już bliżej aparatu. Twarz dziewczynki była jeszcze wyraźniejsza. Kobieta stała bokiem. Chciał, żeby ten profil łączył się z nazwiskiem, które miał teraz w myślach, ale nie był pewien.

Co innego sprawiło, że zmarł i zrobiło mu się zimno. Zamknął na chwilę oczy i spojrzał znowu. Pomiędzy kobietą a drzwiami było okno, a w nim majaczyła niewyraźnie trzecia postać. Znów zacisnął na chwilę powieki, żeby wyostrzyć wzrok. Za cienką firanką wciąż było widać kontury jakiejś postaci: twarz i tułów. Wszystko było zamazane.

Pod długimi, opadającymi na kark włosami Winter poczuł, że

się poci.

Zetnę te klaki, pomyślał przez ułamek sekundy.

Przyglądał się zarysowi. Czy ci z Danii to widzieli? Oczywiście, że tak. Zajrzał do koperty i znalazł list dołączony do zdjęć. Utknął w środku. Przeczytał go szybko. Michaela pisała o postaci w oknie. „Pracujemy nad naszym blow up. Nie wiemy kto to”.

Czwarte zdjęcie zrobiono kilka sekund później, kiedy kobieta i mała doszły już do drzwi. Postać z okna zniknęła. Winter widział plecy dwóch osób.

Piąte zdjęcie przedstawiało dom. Było powiększone najbardziej, przez co stało się nierówne i ziarniste. Zrobiono je chyba po minucie. Dziennikarz zrobił sobie krótką przerwę w uwiecznianiu zbliżającej się parceli, a potem pstryknął ostatni raz. Mężczyzna w oknie odsunął trochę firankę, żeby lepiej widzieć, co właściwie dzieje się na zewnątrz. Odsłonił się bez zastanowienia.

To mógł być młody Georg Bremer. Miał wąsy i nasuniętą na czoło czapkę. Zaraz mnie cholera strzeli, pomyślał Winter. Strzeli mnie we własnym biurze.

Zadzwoił telefon. Matka.

- Tata źle się czuje - powiedziała.

- Przykro mi to słyszeć. - Włożył zdjęcia z powrotem do koperty, a list do teczki w szufladzie. - Co się stało?

- Po południu kiepsko się czuł, więc poprosiliśmy Magnergåra, lekarza, który mieszka w okolicy, żeby wpadł, i on powiedział, że powinniśmy pojechać do kliniki w mieście. Winter próbował sobie wyobrazić Marbellę, ale nie udało mu się. Widział tylko mapę miasta w internecie.

- Co jest nie tak?

- Dzwonię właśnie z kliniki. Lekarze go obejrzeni i zrobili mu EKG, ale badanie nic nie wykazało.

- To chyba dobrze.

- Ale odczuwa ból w klatce piersiowej.

- I co się dzieje teraz?
  - Odpoczywa. Jeśli to coś z sercem, to nie powinien się teraz ruszać.
  - Może to tylko z przemęczenia - powiedział, dodając w myślach „po grze w golfa”. Chciał mieć w głowie jasność, ale mdłości nie ustawały. Nawet się nasilały.
  - Nie przemęczył się - odparła matka. - Nie robiliśmy nic innego niż zazwyczaj.
  - Aha.
  - Martwię się, Eriku. Jeśli na tym się nie skończy, będziesz musiał przyjechać.
- Nie odpowiedział. Ktoś zastukał do drzwi. Krzyknął: - Proszę chwilę poczekać! - i znów przyłożył ucho do słuchawki.
- Co to?
  - Nic takiego. Ktoś puka do drzwi.
  - Jesteś jeszcze w pracy? No tak, musisz tam być, jest dopiero wieczór.
  - Tak.
- Usłyszał oddalające się od drzwi kroki. Mama coś powiedziała.
- Przepraszam, mamó, nie usłyszałem.
  - Jeśli coś się stanie, będziesz musiał przyjechać.
  - Nic się nie stanie. Musicie żyć spokojniej. Żadnych spontanicznych wypraw na Gibraltar.
  - Eriku, obiecujesz? Przyjedziesz, jeśli jego stan się pogorszy? Rozmawiałam z Lottą. Ona też sądzi, że musisz przyjechać. Oboje musicie.
  - Obiecuję.
  - Obiecałeś. Zadzwoń później. Ty też możesz zadzwonić. - Podała mu numer do kliniki. - Będę tu cały czas.
  - Może już niedługo będziecie mogli pojechać do domu.
  - Muszę już kończyć, Eriku.

Siedział z telefonem w ręce. Znów ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść! - krzyknął. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Ringmar.

- Jego siostra mieszka na Västergatan - powiedział, siadając. - To w Annedal.

- Wiem.

- Greta Bremer. Nasz Georg nie miał jej aktualnego adresu.

- Mówił, że nie widzieli się od lat - zauważył Winter.

- Z tego co zrozumiałem, w ogóle nie chciał o niej mówić.

- Taa... Albo raczej nie pojmował, czemu chcemy się kontaktować z jego krewnymi. Nie podawał przecież alibi.

- Czyli co robimy?

Winter spojrzął na zegarek. Dochodziła szósta. Georg Bremer niechętnie opowiedział im o swojej jedynej siostrze Grecie. Nie wspominał o nikim innym. Mogli go przetrzymać cały wieczór i wypuścić tuż po północy. Nie było sensu iść z tym teraz do prokuratora.

- Mówiąc serio, Erik.

- Serio?

- Musimy go wypuścić.

- Może wyjść po północy. Jak idzie z samochodem?

- Pracują na pełnych obrotach.

- Będzie chciał pojechać nim do domu. Musimy mu go oddać.

- Wiem. Oni też.

- Nie chcę już z nim rozmawiać. Pozwolimy mu jechać do domu, a pojutrze zgarniemy go znowu.

- Jesteś pewien?

- Nie.

Ringmar założył nogę na nogę. Miał na sobie spodnie khaki. Wyglądał jak człowiek spędzający mnóstwo czasu na łonie natury. Wygląda, jakby był na górskim szlaku, pomyślał Winter.

- Powiedzieć ci, na co liczyłem przez ostatnie miesiące? -

zapytał Ringmar.

- No?

- Na to, że odezwie się do nas ojciec dziewczynki. Kurwa. Jego była nie żyje, a dziecko zaginęło. Szukamy go, i wie o tym cały kraj. A on się nie odzywa.

- Może nie może.

- Też o tym myślałem, ale nie jestem pewien. Oczywiście, może nie żyć.

- Albo się boi.

- Strach to chyba motyw przewodni tego śledztwa.

- Albo nie wie, że ma dziecko.

Ringmar zmienił pozycję.

- Trudno prześledzić jej przeszłość - powiedział. - Praktycznie rzecz biorąc, nic nie mamy.

- No właśnie - odparł Winter i wyprostował się. - O to chodzi. Jej przeszłość nie istniała, ale już się pojawiła. Wraca do niej. Jest częścią tego, co się działo później. Wyjaśnia tę sprawę. - Wziął głęboki wdech. Ringmar się nie odzywał. - Przyjechała do tego miasta i jej życie się skończyło. Jej życie jako osoby dorosłej. Najpierw zniknęła wiedza o życiu, a potem samo życie.

Winter pojechał do Hagen. Zadzwoił, otworzyła Lotta. Uściskała go, a on ją przytulił.

- Odsłuchiłam twoją wiadomość na sekretarce. Dopiero co przyszłam.

- Gdzie dziewczynki?

- Bim na basenie, a Kristina poszła się uczyć do koleżanki. Tak przynajmniej mówiła rano. - Lotta uśmiechnęła się słabo. - Rozumiem, że rozmawiałeś z mamą.

- Tak. To nie brzmi zbyt groźnie.

- Zadzwoiła, kiedy byłam na dyżurze. Próbowalam porozmawiać z lekarzem, ale gadał od rzeczy. Potem się okazało, że to recepcjonista.

Winter się uśmiechnął.

- *Que?* - zapytał.
- Nie rozmawiałam w końcu z lekarzem, ale myślę, że jest gorzej, niż mama mówi.
- Chce, żebyśmy przyjechali, jeśli mu się pogorszy.
- I pojedziesz?
- Tak. Oczywiście, że tak. Teraz nie mogę, ale pojedę, jeśli to będzie konieczne.
- Za chwilę jeszcze raz spróbuję do nich zadzwonić. Chcesz kawy?

Winter spojrzał na zegarek.

- Jedziesz gdzieś? - zapytała.
- Do domu. Muszę pomyśleć.
- Jak idzie?
- Jesteśmy już bliżej rozwiązania. - Opowiedział jej w skrócie o wydarzeniach ostatnich dni. - Czasami to przypomina film.
- Nie wyglądasz na tak pochłoniętego, jak wcześniej bywało.
- Jestem pochłonięty. Ale teraz jest inaczej. Próbuję myśleć, mimo ucisku w głowie. Ucisk się zwiększa, a potem maleje i wtedy człowiek próbuje podtrzymać myśl na tym samym poziomie. Rozumiesz?
- To jakieś brednie.

## 57

KILKA MINUT PO PÓŁNOCY Bremer odjechał samochodem sprzed komendy. Nic nie mówił. Winter nie zszedł z nim do garażu. Beier, który jeszcze siedział w pracy, osobiście do niego przyszedł.

- W samochodzie było mnóstwo syfu - powiedział.
- Nie da się stwierdzić, czy go porządnie wysprzątał.
- Na pewno wysprzątał, tylko kiedy? Od osiemnastego



sierpnia już trochę minęło, przyszła jesień.

- Czyli to niemożliwe?

- Tego nie powiedziałem. Stwierdziłem tylko, że w samochodzie jest mnóstwo syfu. W bagażniku, na podłodze, w schowku i tak dalej, i tak dalej.

- Aha.

- Znaleźliśmy pety w popielniczkach i jednego pod belką siedzenia. Zastanawiam się, co tam robił.

- Co?

- Mały pet leżał między wykładziną podłogową a belką siedzenia. Trochę potrwało, zanim na niego trafiliśmy. Do znalezienia czegoś takiego potrzeba profesjonalistów.

- Czyli był tam ukryty?

- Może. To prawie sam filtr. Nie wiesz, jakie papierosy paliła Helene Andersén?

- Nie. To może być jej pet?

- Po prostu staram się być optymistą w tej kwestii. W każdym razie znaleźliśmy go i wysłamy do Laboratorium Technik Kryminalistycznych.

- Cholera - powiedział Winter. - Miną miesiące, zanim zrobią analizę DNA.

- Chcesz ją zrobić sam?

- Musimy zrobić z tego sprawę priorytetową. Cieszysz się dobrą opinią w Linköpingu, Göran.

- Zrobię, co mogę. Schlebiasz mi, ale jak dobrze wiesz, zazwyczaj trzeba czekać w kolejce.

- Przecież mamy, do cholery, materiał porównawczy. Powiedz im to. Nie będą tego robić na ślepo. Nie musimy czekać na decyzję prokuratora o oględzinach ciała.

Mamy przecież ciało. Mamy je już od dawna, pomyślał.

Wrócił do swojego biura i usiadł. Wieczorem w głowie wykwitła mu kolejna myśl. Rosła wraz z nasilającym się zmęczeniem. W ostatnim czasie nie miał czasu się zastanowić, dlaczego ciało Helene zostawiono właśnie tam,

gdzie zostawiono. Dlaczego w rowie nad jeziorem? Czemu właśnie tam? Zwłoki znaleziono bardzo daleko od jej domu. I daleko od domu Bremera. Jeśli faktycznie Bremer ma z tym coś wspólnego. Winter zamknął oczy i zaczął rozmyślać o miejscu, gdzie znaleźli zwłoki. Daleko zarówno od domu Helene, jak i od domu Bremera.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Otworzył oczy, podniósł się i przeszedł korytarzem do sali konferencyjnej. Stał przed wiszącą na ścianie dużą mapą Göteborga i okolic. Samoprzylepną karteczką oznaczył w przybliżeniu mieszkanie Helene na

osiedlu Biskopsgården. Potem spojrział na wschodnią część miasta i odnalazł dom Bremera. Ödegård było zaznaczone na mapie. Oznaczył je drugą karteczką.

Kolejną przykleił w miejscu znalezienia zwłok, nad jeziorem Delsjö.

Zmierzył odległość od Biskopsgården do jeziora, potem zrobił to samo z Ödegård.

Jeśli się patrzyło z lotu ptaka, odległości były identyczne.

Wyminął tramwaj na Västergatan i poszedł na południe, między zasłaniającymi się nawzajem domami. Była dziewiąta. Podeszedł do bramy i wstukał kod, który dostał wczoraj. Zamek pstryknął i Winter wszedł na klatkę schodową, i dalej, na drugie piętro. Na drzwiach wisiała tabliczka: Greta Bremer. Przycisnął dzwonek i czekał. Usłyszał kroki i po chwili ktoś ostrożnie uchylił drzwi. Zobaczył tylko cień.

- Tak?

- Nazywam się Erik Winter. Jestem komisarzem wydziału śledczego komendy w Göteborgu. Dzwoniłem wczoraj.

- To on - dobiegł go głos ze środka. - Ten, co miał przyjść. Kobieta otworzyła drzwi. Miała jakieś pięćdziesiąt lat, może mniej. Miała na sobie fartuch. Włosy schowała pod szalem lub chustą. W rękę trzymała małą szczotkę, chyba do ubrań.

Cofnęła się do przedpokoju i Winter wszedł. Trzy metry dalej na wózk siedziała kobieta. Kryła się w mroku i Winter nie widział rysów jej twarzy. Wydawało mu się, że ma długie włosy. W mieszkaniu unosił się zapach biegnącej pod nim ulicy. Dopiero co wietrzyły, pomyślał.

- Proszę wejść - odezwał się głos z wózka. Kobieta zręcznym ruchem chwyciła koła i odjechała do tyłu. Winter schylił się, żeby zdjąć buty.

- Nie trzeba. Proszę wejść. Miejmy to już z głowy.

Winter wszedł za nią do salonu. Widać było, że pokój wietrzono, bo doniczki stały na podłodze. Okna były otwarte. Kobieta, która otworzyła mu drzwi, przeprosiła i wyszła.

- To moja pomoc domowa - powiedziała Greta Bremer. - Jeśli człowiek ledwo co się rusza, bez pomocy nie daje rady.

Teraz Winter zobaczył wreszcie jej twarz, a przynajmniej jej fragmenty. Miała ciemne okulary, bardziej brązowe niż czarne. Widział tylko zarys oczu, nic więcej.

Włosy miała siwe, niezbyt dokładnie ułożone, a skórę kruchą, jakby pękała regularnie od dłuższego czasu. Winter domyślał się, że ma siedemdziesiąt lat, może więcej. Ale choroba, na którą chyba cierpiała, dodawała jej lat. Nie wiedział jeszcze, ile ma lat naprawdę.

- Niedługo oczywiście zrobią cięcia i zabiorą mi ją - powiedziała.

- Proszę?

- Zabiorą stąd pomoc domową i umieszczą mnie w domu opieki.

- Jest aż tak źle?

Nie odpowiedziała. Widział, jak spłotła dłonie. Palce miała blade i szczupłe. Za oknem ze świstem przejechał tramwaj. Świst zabrzmiał tym głośniejszy, że odbijał się od ściany przeciwległego budynku, który stał tak blisko, że tory tworzyły jedynie wąską przerwę.

- Chodzi zatem o mojego brata - powiedziała, nie patrząc

na Wintera. - Ale proszę, niech pan najpierw usiądzie. - Nadal nie zwróciła twarzy w jego kierunku. Zachowywała się jak niewidoma i Winter zastanawiał się, czy przypadkiem rzeczywiście nie jest. Nie chciał zadawać pytań. I tak mu powie. - Chce pan mnie pytać o brata. Nie wiem, czy będę umiała udzielić choć jednej odpowiedzi.

- Chciałbym.

- Nie widzieliśmy się od lat.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Odwróciła się do niego, ale nie widział jej oczu.

- Co mogę powiedzieć? Nie mieliśmy o czym rozmawiać. Chyba lepiej się nie spotykać, skoro nie ma się ze sobą o czym rozmawiać.

- Nigdy do siebie nie dzwoniście? Nawet, na święta i takie tam?

- Nigdy. Ja tak chciałam. Nie chciałam go już nigdy więcej widzieć.

Jej głos ma neutralną barwę, przez to brzmi jeszcze straszniej, pomyślał Winter. Nie ma w nim goryczy. Tylko głos, który równie dobrze mógłby wydobywać się ze ściany, nie z żywego człowieka.

- Co się takiego stało?

- Czy muszę panu mówić? To nie ma nic wspólnego ze sprawą, z którą pan tu przyszedł. - Nie patrzyła na niego. Jej profil rozjaśniało wpadające przez okno słońce. -

Dlaczego pan przyszedł, komisarzu?

- Pokrótkę wyjaśniłem to już przez telefon.

Opowiedział jej trochę więcej. O nielicznych śladach, które mieli. Czuł, że nie brzmi to przekonująco.

- Nie mam na ten temat nic do powiedzenia - odparła. - Nic o nim nie wiem.

- Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

Milczała. Winter nie był pewny, czy zastanawia się nad

odpowiedzią. Powtórzył pytanie.

- Nie wiem.
  - Więcej niż dziesięć lat?
  - Nie wiem.
  - Od jak dawna pani... choruje?
  - Nie choruję. Jeżdżę na wózku i nie mogę podnosić rąk, ale nie choruję. Zabiorą mi pewnie pomoc domową, prawda?
- Winter spojrział w stronę przedpokoju. Pomoc domowa nie zdążyła na czas ukryć twarzy w cieniu. Słucha naszej rozmowy, pomyślał. Jest ciekawska. Zrobiłbym tak samo.
- Był w więzieniu - powiedziała Greta Bremer. - Ale to już wiece.

Winter przytaknął.

- Macie przecież wszystko w archiwum, czyż nie?
  - Proszę?
  - Możecie sprawdzić, co ludzie robią albo robili.
  - Nie do końca rozumiem, pani Bremer.
  - Panno Bremer. Jestem panną.
  - Czy może pa.
  - Musi pan przychodzić do mnie z pytaniami, na które nie mogę odpowiedzieć? Nie macie informatyków, których moglibyście spytać? Nie macie żadnego archiwum?
  - Mamy archiwum - odparł Winter. Ta rozmowa staje się coraz bardziej absurdalna, pomyślał. Ona nie chce albo nie może powiedzieć więcej.
  - Nie widziałam go od lat, i Bogu dzięki - dodała, nie poruszając się.
  - Była pani u niego w domu? - zapytał.
  - Tak, ale to było dawno temu, jak już mówiłam.
  - Kiedy?
  - Nie ma sensu pytać. Zapytajcie w archiwum.
- Znowu to archiwum. Winter zapisał coś w notatniku. Odwrócił głowę w stronę przedpokoju, ale pomocy domowej już nie było.

- Od jak dawna tam mieszka?
- Nie wie pan?
- Pytam panią.
- To nie mnie powinniście pytać.

Winter wstał i podszedł bliżej. Greta Bremer wciąż siedziała w tej samej pozycji. Winter stanął obok. Ostrożnie chwycił za wózek.

- Czy to jeden z nowszych modeli?
- A co to za różnica?
- Zauważyłem, że z łatwością manewruje nim pani sama.
- To łatwiejsze niż kazać komuś innemu prowadzić wózek.

Niech pan sam spróbuje i zobaczy, jak ciężko się idzie z tyłu. Stał za wózkiem, a ona podciągnęła blokadę. Jej włosy poruszały się pod jego twarzą. Jeden leżał na ubraniu, drugi na cienkiej, szerokiej poduszce, którą miała za plecami.

- Niech pan spróbuje zrobić kółko. - Winter wycofał wózek i podjechał nim dwa metry do przodu. - Ciężko, co?
- Bardzo - odpowiedział.
- Może mnie pan zawieźć do przedpokoju. Rozumiem, że już pan wychodzi.

Kiedy opuszczał jej mieszkanie, zobaczył pomoc domową pochyloną nad kuchennym blatem, zwróconą do niego plecami.

Kiedy był już na ulicy, w kieszeni jego kurtki odezwał się telefon. Wyświetlił się napis: numer prywatny.

- Jego stan się nie zmienił od wczorajszego wieczoru - powiedziała.
- Ale co mu jest?
- Dzięki Bogu to przynajmniej nie zawał.
- Aha.
- Ale jakieś zapalenie. Tata ma zostać na obserwacji.
- Lekarze wiedzą, co robią.
- Czasami w to wątpię - powiedziała matka.
- Przecież sami zdecydowaliście, że będziecie tam mieszkać.

- Nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Teraz najważniejsze, żeby tata wyzdrowiał.

- Tak.

- Odezwę się po południu. Wtedy przyjdą wyniki niektórych badań. Rozmawiałam z Lottą. Tak się cieszę, że spotykacie się trochę częściej.

- Ja też się cieszę.

- Ale będziesz mógł przyjechać, jeśli okaże się to konieczne?

- Przecież obiecałem.

- Może jednak w końcu wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję.

Winter wszedł do biura Ringmara. Ringmar akurat rozmawiał przez telefon. Wskazał mu krzesło przy biurku. Winter poczekał, aż skończy.

- Możemy się zająć naszym rodzeństwem - powiedział Ringmar. - Papiery się zgadzają. Siostra ma sześćdziesiąt sześć lat. Za stara, żeby ją podejrzewać.

- Nie ma to jak miłość między rodzeństwem.

- Co? A, tak. Różnie w życiu bywa. To musiała być dziwna rozmowa, co?

- Wyglądała, jakby była nieobecna duchem. - Winter trzymał w ręku kopię skrawka, który znaleźli w sukience Helene w piwnicy. - Ale to po to przyszedłem. Jeśli dobrze zrozumiałem raport, znaleziono to przy Helene, kiedy trafiła do szpitala.

- Tak. Są tak pedantyczni, że zajęli się tą kartką. Włożyli ją do koperty razem z pozostałymi rzeczami. Nie miała ich za dużo: spodnie, sweterek, sukienka. Niewiele więcej.

- A ona zachowała ją przez resztę życia.

- Tego przecież nie wiemy - zauważył Ringmar. - Nie wiemy, czy to ona wetknęła kartkę do kieszeni sukienki.

- Ale nie piszą o niej nic w raportach z tamtych czasów. Z jej wizyty u nas.

- Będziemy musieli jakoś z tym żyć.

- Ktoś mógł jej dać kartkę niedawno - powiedział Winter. - Może o niej zapomniała, a potem ją dostała. Potem mogła ją zobaczyć.
- Do czego zmierzasz?
- Nie wiem. Ale, jak widzisz, nie daje mi to spokoju. Mam ją w ręku. Jest jeszcze coś.
- Tak?
- Myślałem o tym kodzie. ale o tym za chwilę. Przyjrzałem się też tym liniom, które wyglądają jak mapa. - Winter pochylił się i pokazał kartkę Ringmarowi. - Kiedy się dowiedzieliśmy, gdzie mieszka Bremer. spojrzałem na mapę w sali konferencyjnej i porównałem z tymi liniami z kartki. Widzisz? Jeśli się skręci przed zabudowaniami lotniska Landvetter i pojedzie równoległe do autostrady. tą starą drogą, i skręci w lewo, tak jak my wtedy. skrzyżowanie w lesie wygląda podobnie. to zgadza się to, do cholery, z trasą dojazdu do domu Bremera. Dom też jest zaznaczony, tu, na samej górze, z lewej, za ostatnim krzyżykiem.
- Porównałeś to z mapą?
- Szczegółowo. Sam później zobaczysz.
- Hm, nie wiem, co powiedzieć.
- Powiedz, że mam bujną wyobraźnię. Ale czasem mi pomaga. - Winter znów spojrział na kartkę. - Sam nie wiem, co powiedzieć, ale wszystko się zgadza. A w tym układzie L oznaczałoby Landvetter, a H Hirrydę.
- A T Torpet.
- Być może.
- Miejsce, gdzie mieli się potem znowu spotkać? - zastanawiał się Ringmar. - Nie wystarczyła ustna wiadomość?
- Musieliby mówić w tym samym języku. Kartka miała pewnie zostać zniszczona po wszystkim.
- Ale tak się nie stało.
- Nie. Są na niej odciski palców małej Helene. Takie są fakty.



- O Boże. - Ringmar wpatrzył się w litery i cyfry. - A reszta?  
- Nie wiem. To może być liczba osób, ilość pieniędzy, godzina od. - Winter zamilkł.

- Co jest?

- Przyszło mi do głowy, że. to 23 ze znakiem zapytania. Może to godzina odjazdu? Na przykład godzina, o której odpływał prom?

- Chyba nie byli aż takimi wariatami, żeby zaplanować sobie podróż promem, po tym jak zrobili jeden z większych napadów w Danii?

- Nie. Ale może ktoś miał to od nich odebrać. Ktoś, kto nie brał udziału w napadzie. albo ktoś, kogo by nie rozpoznano. Możesz sprawdzić, czy o dwudziestej trzeciej są promy z Fredrikshavn?

Po południu przyszło kolejne powiększone zdjęcie z Danii. Postać w oknie okazała się mężczyzną. To mógł być młody Georg Bremer. Nie można było tego dowieść przed prokuratorem ani tym bardziej przed sądem, ale sąd tak czy inaczej dał im zielone światło. Winter dowiedział się o tym, kiedy zadzwoniła Michaela.

- To dzięki tym powiększonym zdjęciom - powiedziała. - Wchodzimy po południu. Akurat jest tu facet z Centralnego Biura Identyfikacji z Kopenhagi, więc potem nic nie trzeba będzie im wysyłać do analizy. Jeśli coś znajdziemy. To jeden z najlepszych ekspertów od linii papilarnych w Danii.

- Może tam być sporo warstw tapety.

- Ten facet tylko pokręcił głową. To tylko sprawia, że jako śledczy bardziej skupiasz się na celu, no nie?

- Tak. Ale jest jeszcze coś. Udało ci się wyjaśnić, dlaczego odważyli się tak długo zostać w tym domu? To, delikatnie mówiąc, dziwne.

- Nie, jeśli się wie, kto naprawdę był wtedy właścicielem domu. Udało nam się to teraz ustalić. Ci ludzie, którzy

przyjechali tam później, zaczęli tapetować i znaleźli. hm, mam nadzieję, że to były dowody. oni wynajmowali dom z drugiej ręki.

Kiedy Halders wpadł bez tchu do biura, Winter był już zdecydowany. To było jak potwierdzenie jego decyzji. To było potwierdzenie jego decyzji.

- Zgarniamy go znowu - powiedział Winter.

## 58

GEORG BREMER SIEDZIAŁ pod lampą w pokoju przesłuchań, z głową spuszczoną nad stołem. Nie chciał, żeby mu towarzyszył adwokat. Odkąd wrócił do aresztu, nie odezwał się do Wintera ani słowem. Winter postanowił sam przeprowadzić przesłuchanie. Był z nim Cohen. Sam Gabriel Cohen nie budził respektu.

Wintera świerzbili palce. Zaciskał je, idąc do pokoju, w którym czekał Bremer. Może krew mi źle krąży, pomyślał. Usiadł i rozpoczął przesłuchanie.

E.W.: Jeszcze raz poprosiliśmy cię o przyjście, żebyś mógł nam odpowiedzieć na kolejne pytania.

G.B.: To oczywiste.

E.W.: Wcześniej wykazywałaś chęć pomocy w tej sprawie.

G.B.: Naprawdę?

E.W.: Tak zrozumiałem.

G.B.: To nic nie rozumiałeś.

E.W.: Możesz wyjaśnić, co chcesz przez to powiedzieć?

G.B.: Przez co?

E.W.: Że nic nie rozumiałem.

G.B.: Nie ma nic do rozumienia.

E.W.: Ale my naprawdę próbujemy. Robimy wszystko, żeby zrozumieć, co się wydarzyło.

G.B.: Powodzenia, tylko tyle mogę powiedzieć.

E.W.: Tylko tyle?

G.B.: Tak. Co jeszcze mam powiedzieć? Ja się zajmuję własnymi sprawami.

E.W.: Rozumiem. Ale musisz mieć jakichś znajomych. To właśnie w tej sprawie potrzebujemy twojej pomocy. Gdybyś mógł poprosić niektórych z nich, żeby z nami porozmawiali...

G.B.: Przecież.

E.W.: Nie usłyszałem odpowiedzi.

G.B.: Bo jej nie było. Nic nie odpowiedziałem.

E.W.: Gdyby ktoś z twoich znajomych mógł nam opowiedzieć, co robiłeś tego wieczoru, o którym mówimy, pomogłoby to nam wszystkim.

G.B.: Mówiłem już, że byłem sam.

E.W.: Cały wieczór spędziłeś w domu?

G.B.: Tak.

E.W.: Co robiłeś w nocy?

G.B.: Której nocy?

E.W.: W nocy z siedemnastego na osiemnasty sierpnia tego roku.

G.B.: Byłem w domu.

E.W.: Pożyczasz komuś samochód?

G.B.: Co?

E.W.: Czy pożyczasz komuś samochód?

G.B.: Nigdy. Jak bym bez niego wrócił do domu?

E.W.: Masz motocykl.

G.B.: Tak, i co z tego?

E.W.: Czyli miałbyś czym wrócić.

G.B.: Nie ma szans. Motocykl jest bez przerwy rozkręcony. Gdybym chciał nim gdzieś jechać, musiałbym go poskładać, a to zajmuje tygodnie.

E.W.: Jesteś dobrym mechanikiem?

G.B.: Potrafię rozkręcić motor i złożyć go z powrotem.

E.W.: Od jak dawna masz motor?

G.B.: Od dawna. Byłem jeszcze młody, a to było dawno temu.

E.W.: Jeździłeś na motocyklu, kiedy dokonywałeś włamań.

G.B.: Co?

E.W.: Jeździłeś na motocyklu, kiedy dokonywałeś włamań.

G.B.: Może tak. Ale już spłaciłem dług wobec społeczeństwa.

E.W.: Nie byłeś wtedy sam.

G.B.: Co?

E.W.: Było was więcej. Jeździliście na motorach i włamywaliście się.

G.B.: Nic mi o tym nie wiadomo. Odbyłem już karę. Od tej pory żyję sam, tak jak chcę. Wcześniej zresztą też tak było.

E.W.: Przecież nadal masz kumpli z tamtych lat.

G.B.: Nie.

E.W.: Samochód zostawiłeś u kumpla. U Jonasa Svenska.

G.B.: To nie mój kumpel.

E.W.: To kim dla ciebie jest?

G.B.: To.

E.W.: Nie słyszałem, co powiedziałaś.

G.B.: To mechanik samochodowy. Naprawia samochody.

E.W.: Rozmawialiśmy już o twoim samochodzie. Widziano go tamtej nocy, osiemnastego sierpnia.

G.B.: Akurat, kurwa. Gdzie?

E.W.: Zaprzeczasz temu, że ktoś widział twój samochód osiemnastego sierpnia w nocy?

G.B.: Byłem w domu, spałem. Jeśli mój samochód gdzieś widziano, to ktoś musiał go zwinąć, a potem odstawić z powrotem, zanim się obudziłem.

E.W.: Więc mówisz, że samochód skradziono, a potem odstawiono?

G.B.: Mówię, że to kłamstwo, że mój samochód był gdzieś poza moją zagrodą. Chciałem tylko uświadomić wam, jak bezsensownie to brzmi.

E.W.: Świadcowie widzieli, jak ktoś jedzie twoim samochodem tej nocy, o której mówimy.

G.B.: Jacy świadkowie? Pewnie wy sami. Kiedy potrzeba

świadców, są nimi gliny.

E.W.: Co przez to rozumiesz?

G.B.: Że wymyślacie.

E.W.: Nie wymyśliłem sobie, że świadkowie widzieli, jak prowadzisz samochód z pasażerem w środku.

G.B.: A to co znowu? Coś nowego?

E.W.: Czy w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś cię odwiedzał w domu?

G.B.: Co?

E.W.: Czy w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś cię odwiedzał w domu?

G.B.: Może. Trzech miesięcy? Może tak.

E.W.: Kto cię odwiedzał?

G.B.: Choćby sąsiad, kiedy przechodził obok. Czasem sąsiedzi do siebie wpadają.

E.W.: Od najbliższego sąsiada dzielą cię trzy kilometry.

G.B.: No tak, nieczęsto ktoś koło mnie przechodzi.

E.W.: Kogo zapraszałeś?

G.B.: Nikogo. Nigdy nikogo nie zapraszałem.

E.W.: Świadkowie widzieli, jak prowadzisz samochód. A w środku siedzieli kobieta i dziecko.

G.B.: To kłamstwo. Nie jechałem z nikim takim.

E.W.: Mamy ludzi, którzy tak twierdzą.

G.B.: To sąsiedzi? A co sam mówiłeś przed chwilą? Że do najbliższego sąsiada mam trzy kilometry. W takim razie muszą mieć dobry wzrok.

E.W.: Niektóre domy stoją przy drodze.

G.B.: Nikt w nich nie mieszka.

E.W.: Przy drodze są i takie, w których ktoś mieszka.

G.B.: Tak? Nigdy tam nikogo nie widziałem.

E.W.: Ale ciebie ktoś widział.

Ktoś widział Bremera. Halders i Aneta Djanali zaczęli wypytywać wszystkich, którzy mieli domy lub domki letniskowe w pobliżu zagrody Bremera. Większość domów

znajdowała się na południe i na wschód od Ödegård.

- Widziałem faceta, jak tędy przejeżdżał. Parę razy, z jakimiś pasażerami. - Mężczyzna był świeżo po rozwodzie. Udało mu się tanio wynająć jakąś szopę. Przesiadywał w niej, rozmyślając o tym, jak głęboki może być żal. Dużo pił i chodził na długie spacery po lesie, a że był skacowany i zestresowany, czujność miał wyostrzoną. - Z mojej chaty, ale dzieliło nas paręset metrów. Raz byłem niedaleko jego domu. Musiał być jego, bo poznałem samochód na podwórku.

- Widział tam pan kogoś jeszcze?

- Nie, nie wtedy. Ale kilka razy widziałem, jak przejeżdżał z kimś. Na pewno z dzieckiem, z kobietą chyba też. A może to był facet. Włosy ten ktoś miał dość długie, blond.

- Potrafi pan określić, kiedy mniej więcej to było?

- Latem, ale nie wiem, kiedy dokładnie. Rozwiod. aaa, nieważne. W każdym razie było gorąco. Lipiec, sierpień. Może początek sierpnia. Zanim zaczęło padać.

- Nadal mieszka pan w tej chacie?

- Czasami, raczej rzadko.

- Widział pan tego mężczyznę, odkąd skończyło się lato? Powiedzmy. po końcu sierpnia?

- Jasne.

- Czy ktoś z nim był? Odwiedzał go ktoś?

- Bywali tu ludzie. Nieczęsto, ale czasem ktoś jechał w jego stronę. Samochody, motocykle.

- Motocykle też?

- Przecież on też ma motor, no nie? Przynajmniej raz jechał na motorze. Parę razy. Było tu paru kolesi na motorach.

- Kolesi na motorach?

- Parę razy. Ale nie wychodziłem się z nimi witać.

- Rozpoznałby pan kogoś z nich, gdyby go pan znowu zobaczył?

- Nie ma mowy. Wialem, jak tylko pojawial sie ten gang.
- To dziecko, ktore pan wtedy widzial. i ta osoba, mozliwe, ze kobieta... kiedy ostatni raz ich pan widzial?
- Dawno temu. Latem, jak juz mowilem.
- Kiedy bylo goraco?
- Kiedy bylo goraco jak cholera.

Winter spotkal sie z Vennerhagiem w ustronnym miejscu. Siedzieli w samochodzie. Widzieli statki i slyszeli odglosy z mostu, pod ktorym stalo auto.

- Nie przychodz wiecej do mnie do domu - powiedzial Vennerhag. - Zle to wyglada.
- No tak, co powiedza sasiedzi.
- Na miescie jest niespokojnie. Nie chce, zeby kojarzyli mnie jako pieprzonego kapusia.
- Jesteś informatorem, Benny. I moim szwagrem. Prawie.
- Ach, wiec teraz tak to wyglada?
- Czego chcesz?
- Krązą słuchy, że Jakobssona usunęli. Ale to plotka.
- Skąd się wzięła?
- Nie wiem. Tak to jest z plotkami.

Winter milczal. Przez chwile sie zastanawial, czy bmw, w ktorym siedza, jest kradzione, czy moze sciagniete z zagranicy. Z gory, z mostu, dobiegl melodyjny dzwiek, kiedy przejezdzal tramwaj jadacy w strone Hisingen. Wokol staly zaparkowane auta. Winter domyslal sie, ze dziesiec procent z nich jest kradziona. Kiedy konczyla sie benzyna, epuny porzucaly samochody tutaj i zwijaly nowe, zeby moc dojechać z polozonego niedaleko domu handlowego Femman do blokowisk na polnocy miasta. Halders to rozpracowal.

- Diabelskie aniolki znów się podzieliły. Utworzyła się nowa grupa - powiedzial Winter po trwajacej minucie ciszy. - Wiesz cos o tym?
- Nie wiem nic o tych pieprzonych psychopatach. -

- Vennerhag obrócił się na siedzeniu i spojrział na Wintera. - Absolutnie nic. Chyba znasz mnie wystarczająco dobrze.
- Żadnych plotek z tamtych kręgów? Albo plotek o nich?
  - Zatkaliśmy uszy, gdybym jakieś słyszał. To niebezpieczne. Uwierz mi. Im mniej się wie... i tak dalej.
  - Niewielu wie.
  - To część ich planu.
  - A oni są częścią społeczeństwa, tak?
  - To wy jesteście częścią społeczeństwa. Siły policyjne są częścią społeczeństwa. a te pozostałe siły też są jego częścią.
  - Filozof z ciebie, Benny.
  - A mimo to twoja siostra mnie nie chce.
  - Ty też jesteś częścią społeczeństwa.
  - Dzięki Bogu.
  - Czyżby? Nie mam na myśli miłego, dobrego społeczeństwa.
  - Jasne. W takim społeczeństwie jest miejsce tylko dla glin. Ale powiem ci, Eriku, że żaden z nas nie jest niezastąpiony. Obaj jesteśmy tak samo godni współczucia. Dokładnie tak samo.
  - Spierdalaj.
  - Czyżbym trafił w czuły punkt?
  - Jesteś żaloszny. Może ciebie można zastąpić, ale mnie nie.
  - Zapomnij, co powiedziałem. Pewnego dnia i ty tak będziesz uważał. Niestety.
- Winter nie chciał już go słuchać. W oddali, przy stacji Shella, zobaczył przejeżdżający radiowóz. Może już spisali numery samochodu, w którym siedział.
- Nawet jeśli nic nie wiesz o aniołkach, i tak musisz mi pomóc z Georgem Bremerem.
  - Mówiłem ci już, że to nikt ważny. Jeśli mówi, że od wyjścia z więzienia jest czysty, to jest. Ja przynajmniej nic o tym nie wiem. Nie słyszałem o nim, dopóki nie wspomniałeś tego nazwiska.



- Mówię o twoich. tych, z którymi robisz interesy. Może ktoś coś wie. Niekoniecznie musiał popełnić przestępstwo czy zrobić jakiś szwindel. Chcę tylko wiedzieć, gdzie był przez te lata. Czy ktoś go widział. Gdzieś. I czy znał Jakobssona. Był wczesny wieczór, kiedy Winter zadzwonił do Angeli.
- Co robisz? - zapytał.
- Dochodzę do siebie po dyżurze. Przy winie i muzyce.
- Coltrane?
- Tak. *Boogie Woogie Band* Svena Coltrane'a.
- Brzmi ciekawie.
- Szczerze mówiąc, lepsze niż The Clash.
- Właśnie ich słucham.
- W pracy?
- Tak, ale chyba nie powinienem ci tego mówić.
- Mów, co chcesz. - Umilkła, jakby chciała, żeby jej głos nabrał innej barwy. Faktycznie brzmiał inaczej, kiedy się znów odezwała: - Przykro mi z powodu twojego taty. Słyszałam od Lotty.
- Rozmawiałaś z nią?
- Dzwoniła ostatnio, żeby spytać, jak leci, i jeszcze raz podziękować za prezent, który jej dałeś dzień po urodzinach. Dwa dni.
- Wiem.
- Nie, przepraszam, to głupstwo. Ale tata najwyraźniej czuje się coraz lepiej.
- Zapalenie mięśnia sercowego.
- To poważna sprawa.
- Mama chyba dzwoni do mnie na komórkę. Słyszysz?
- Lepiej odbierz.
- Muszę popracować wieczorem. Muszę. poczytać. Zadzwonię później.
- Porozmawiaj z mamą.

PROKURATOR WÄLLDE PODJĄŁ PRZED POŁUDNIEM decyzję o tymczasowym zatrzymaniu Bremera. Mogli go trzymać w areszcie przy placu Ernsta Fontella najwyżej cztery dni, do rozpoczęcia postępowania, które miało zdecydować o dalszym zatrzymaniu.

- Zrób, co w twojej mocy - powiedział Winter. Chciał, żeby Wällde wydłużył areszt, ignorując dyrektywę, zgodnie z którą decyzję o wypuszczeniu należy podejmować niezwłocznie.

- Mam wrażenie, że właściwie nie ma podstaw do zatrzymania - powiedział Wällde.

- A jednak podjąłeś taką decyzję.

- Ze względu na ciebie, komisarzu. No i może coś jeszcze z tego wyjdzie.

- Na pewno nic dobrego.

- Mówisz o dziewczynce? Chyba jeszcze żyje? Chyba powinniśmy w to wierzyć, mimo wszystko?

Winter nie odpowiedział.

-Z ręką na sercu, Eriku, myślisz, że dziewczynka jeszcze żyje? Winter rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy ktoś nie zakradł się do jego biura, żeby podsłuchać, co powie.

- Nie. Myślę, że już jest po wszystkim. - Widział, że Ringmar też jest o tym przekonany. Pięćdziesięcioletnia twarz Ringmara była blada i wyglądała na zniszczoną w słabym świetle, które kładło się nad miejskim krajobrazem, jakby przygotowując go do zimy. - Może znajdziemy jej zwłoki, jeśli uda nam się coś wydusić z Bremera. Albo z kogoś innego.

- Albo z kogoś innego - powtórzył Ringmar.

- Jesteś zmęczony, Bertil?

- Padnięty.

- To przez tę pogodę. - Winter wyjrzał przez okno. - Już niedługo będziemy musieli nosić na czołach lampki, jak

górnicy.

- Nie próbuj mnie pocieszać. Wiesz, o co chodzi.

Winter przeciągnął lewą dłoń po twarzy. Przetarł oczy i spojrzął na Ringmara.

- Celowo schowała tam tego peta - powiedział.

- Co? - zapytał Ringmar.

- Myślę, że to pet Helene. Wiedziała, że coś się stanie. Wepchnęła go tak głęboko, jak się dało. Tam nikt by go nie znalazł, chyba że szukałby tak jak ekipa Beiera.

- Przeczuwała coś?

- Bardzo prawdopodobne. Przeszła już przez jedno piekło i może zdawała sobie sprawę, że czeka ją kolejne, gorsze.

- Dopiero kiedy laboratorium w Linköpingu skończy badania, będziemy wiedzieć, czy to jej ślina.

Zanim Winter zaczął się starać o nakaz rewizji w domu Bremera, odwiedził Beiera. Dla szefa wydziału technicznego to był trudny moment. Był zmęczony nadskakiwaniem Laboratorium Technik Kryminalistycznych, a może również dyskretnym naprowadzaniem techników na właściwy trop. Nie wiedział też, jak jego działania zostaną odebrane w Linköpingu.

- Możemy zrobić rewizję? - zapytał najpierw. - Wällde się zgadza?

- Mam wstępną zgodę. - Winter wyjął zapaliki i zapalił cygaro.

- A niech mnie!

- To akurat nie był największy problem. Najważniejsze jest pytanie, czy są jakieś szanse. Ty jesteś ekspertem.

- Wiem. Akurat teraz to dla mnie obciążenie.

- Weź się w garść, Göran, i powiedz mi, jakie jest prawdopodobieństwo.

- Odciski palców po dwudziestu pięciu latach. Mamy zderzyć tapety i przekopać się przez nie wiadomo ile ich warstw, może przez trzy, może pięć, po to, żeby zobaczyć, czy

pod spodem, albo gdzieś pomiędzy, nie ma odcisków.

- Tak. Możliwe, że chodzi tylko o jedną warstwę. Tę na samym wierzchu. Wtedy mamy problem z głowy.

- Nie zapominaj, że mamy przeszukać całą chałupę.

- Jasne, ale może. Podkreślam - może. Czy coś mogło się zachować pod spodem? Jakies odciski palców?

- Tak naprawdę to nie wiem, Erik. Zobaczą na miejscu.

Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zdejmował odciski palców albo ich ślady w taki sposób. Chcesz wiedzieć, jakie

jest prawdopodobieństwo? Myślę, że małe, może zerowe.

- Dlaczego?

- Klej do tapet mógł wszystko zniszczyć. Zwłaszcza po tak długim czasie. Jest wilgotny i wnika w strukturę podłoża.

- Ale nie przysięgniesz, że tak właśnie się stało?

- Rzadko kiedy przysięgam.

- W takim razie chcę, żebyście spróbowali. Spróbujecie, Göran?

- Zastanawiałem się nad czymś innym. Załóżmy, że ktoś położył gazety albo jakieś inne papiery na belkach pułapu, dajmy na to. dwadzieścia pięć lat temu. Jeśli wtedy, biorąc je do ręki, ten ktoś był spocony, to ślady mogły przetrwać i dwadzieścia pięć lat. A mamy na to dobre metody chemiczne, które może zapamiętałeś z lekcji, którą ci daliśmy. Metoda ninhydrynowa.

- Świetnie. Będę wdzięczny, jeśli się za to weźmiecie. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Dobra, spróbujemy.

- Duńczycy robią to samo.

- Co?

- Jeszcze się do ciebie nie odezwali? W takim razie zrobią to lada moment. Zeskrobuja tapety w tej chałupie w Blokhus.

- W ten sam sposób? Co chcą znaleźć? Coś konkretnego?

- Ślady z tamtego okresu. Wiemy, że Helene tam była. A może i Georg Bremer? A może uda nam się to udowodnić? A

może uda się też udowodnić, że Helene Andersén była w domu Bremera jako dziecko. Albo jako osoba dorosła.

- Wtedy trzeba będzie pojechać do Waszyngtonu i dać wykład w siedzibie FBI. To znaczy ja będę musiał to zrobić.

- Zawsze to coś więcej niż wykład w Sundsvall.

Wiatry krążyły wokół domu w Ödegård, przekrzykując się na wyścigi ze ścianami, które, otoczone, poddały się. Niebo było czarne, mimo że był środek dnia. Noc w dzień, pomyślał Winter, stojąc przed wiatrakiem. Śmigła kręciły się bez celu we wszystkie strony. Tym razem krawędź lasu była bliżej domu. Drzewa pochylały się w stronę Wintera i wszystkich, którzy przyjechali szukać śladów. Między innymi Birgerssona. Przybył na miejsce razem z Wellmanem, co było sporą sensacją.

- Jakim cudem udało ci się uniknąć dziennikarzy ukrytych w szeregach techników? - zapytał Wellman.

- Myślałem, że to ty się tym zajmiesz.

Wellman nie odpowiedział i słowa Wintera uleciały z wiatrem, okrążając działkę i porębę. Rozejrzał się.

- Cholerna, parszywa dziura. Ödegård. [ [dosł. opustoszała zagroda](#) ]

Odpowiednia nazwa. Usłyszeli trzask dobiegający z domu. Piła była już w ruchu. Szpadle może też.

- Ktoś kopał w piwnicy - powiedział Birgersson.

- Co powiedziałeś? - zapytał Winter.

- Niedawno ktoś kopał w piwnicy - powtórzył Birgersson i spojrzał w niebo. Nad ich głowami przelatywał z hukiem samolot. Podchodził do lądowania.

- Mój Boże - powiedział Wellman. - To sen czy jawa?

- Rzeczywistość - odparł Birgersson, jakby nie miał co do tego wątpliwości.

Nic nie wiesz o rzeczywistości, pomyślał Winter. Masz ją tylko w papierach, które dostajesz ode mnie i które trzymasz w szufladach.

- A co to jest? - zapytał Wellman, chcąc się oderwać od własnych myśli.

Wskazał na stojącą przed nimi konstrukcję.

- Nie widzisz, że to wiatrak? - zapytał Birgersson. - Każdy by się zorientował, że to wiatrak.

- Nie jestem każdym - odparł Wellman. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

- Pojadę z tobą - powiedział Birgersson, kiedy Winter ruszył w stronę samochodu. Wellman już wcześniej wrócił do biura. Jechali przez las. Winter widział jednak przed sobą tylko ten wyrysowany kredkami, naturalistyczny, taki jaki był naprawdę.

- Wiesz, że nie możemy dłużej przetrzymywać tego skurwiela, jeśli nie znajdziemy nic nowego - powiedział Birgersson. Winter zjechał na prawo, na żwirowe pobocze, bo mijali ich radiowóz jadący do Ödegård.

- Śledztwo polega również na eliminowaniu podejrzanych. Nauczyłem się tego od ciebie, Sture.

- Starasz się psychicznie przygotować na porażkę?

- W tej pracy często tak to się właśnie kończy.

- Budujesz piękny łańcuch poszlak. Piękny, ale cienki.

- Ładnie powiedziane.

- Daj spokój, do cholery.

Winter wjechał na autostradę. Przyspieszył i Birgersson zamknął okno. Samochody było widać tylko dzięki krótkim światłom. Im bliżej byli miasta, tym mgła na polach wokół drogi stawała się gęstsza. Wyprzedził ich autobus jadący na lotnisko. Spieszył się tak bardzo, że aż zarzuciło go na drodze.

- Ten skurwysyn chyba wierzy w reinkarnację - powiedział Birgersson.

- Właściwie to powinniśmy zatrzymać tego idiotę.

- Wczoraj przesłuchiwałem Bolandera - powiedział Winter.

- Założyciela kolejnej grupy. Usadźmy go za strzelaninę na

His.

- Wiem, o kogo ci chodzi. Jestem w końcu twoim przełożonym.

- Oczywiście do niczego się nie przyznał, ale wciąż można go wiązać z gangami. Próbowałem się na tym skoncentrować, czytając akta. W sprawę zamieszanych jest więcej osób mających takie powiązania.

- Z czym?

- Z tymi gangami. Używam liczby mnogiej, bo jest ich więcej.

- I?

- To wszystko. Dalej się nie posunęliśmy. Dostaniesz potem wszystko na papierze, żebyś mógł to zarchiwizować, Sture. Widzimy ewentualne powiązania, ale na tym się kończy. Przejrzeliśmy wszystkie akta w tę i z powrotem, szukaliśmy w przeszłości. sam wiesz, Brigitta Dellmar, Dania, zastraszanie mnie. Prawdopodobnie to było zastraszanie.

- Nie zauważyłeś nic takiego tutaj?

- Nic mi o tym nie wiadomo. No i jeszcze warto wspomnieć o tym, co się stało z Jakobssonem. taa, to kolejne zaginięcie. Birgersson wyglądał, jakby się zapadał w fotel. Zbliżali się do zjazdu nad jezioro Delsjö. Birgersson spojrział w stronę wody i parkingu, który znajdował się pod trasą.

- Prasa przestaje się interesować dzieckiem - powiedział. - To niedobrze. Zresztą jeśli chodzi o prasę, to z nimi nigdy nie jest dobrze. Kiedy śledztwo się zaczyna i rzucają się na nas, są jak wrzód na dupie. Kiedy śledztwo się kończy, zaczynają się interesować czymś innym, i człowiek uświadamia sobie, że sprawa może nigdy nie zostanie rozwiązana.

- Zostanie - odpowiedział Winter. - A media znów się zainteresowały po tym, jak pojawił się Bremer.

- Mam nadzieję, że masz rację.

Winter zadzwonił do drzwi siostry Bremera. Nie zapowiedział się. Ulicą przejechał tramwaj, z dużą siłą

rozbryzgując wodę. Jesień wkraczała w listopad i w deszcz. Na czole i na dłoniach czuł wilgoć.

Jeszcze raz wcisnął dzwonek. Z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Zadzwoił trzeci raz, w środku coś zaszeleściło. Ktoś otworzył zasuwę. Drzwi otworzyły się powoli i Winter zobaczył jej twarz. Przez kilka sekund mierzyła go wzrokiem.

- To znowu pan?

- Chciałbym pani zadać jeszcze kilka pytań.

Miał wrażenie, że staruszka ciężko westchnęła. Siedziała bez ruchu na wózku.

- Spałam. Zazwyczaj śpię w wózku, kiedy moja pomoc domowa jest gdzie indziej, opiekuje się innymi bezwartościowymi starcami.

- Mogę wejść?

- Nie. - Ani drgnęła. - Jeśli to tylko kilka pytań, może pan je zadać tutaj.

- Jest parę kwestii dotyczących pani brata. jego przeszłości.

- O wszystkim zapomniałam. Nie ma po co pytać. Spałam.

- Mogę przyjść później.

- To nie ma sensu.

- To ważne. Przyjdę później.

Minęło półtora dnia. Winter kolejny raz przesłuchał Georga Bremera, ale czuł, że dalsze rozmowy nie mają sensu. Słowa płynęły bez sensu, w tę i z powrotem. Przeczytał protokoły z ostatnich miesięcy. Czekał. Porozmawiał z Beierem. Musisz się uzbroić w cierpliwość, Erik, powiedział mu.

Potem Beier zadzwonił z Ödegård.

- Jest druga warstwa, nie wiem jak stara, ale są na niej odciski. Może należą do Bremera, jeśli to on kładł tapety. To by oznaczało, że nadal jesteśmy na polu numer jeden. Ale może to odciski kogoś innego. Nie ma ich dużo i są małe.

- Małe?

- Małe. Więcej nie mogę powiedzieć. To zależy od tego, ile



mają lat, od kleju, od wilgotności. Będziemy pracować szybko, obiecuję. Ale nie rób sobie nadziei.

- Może jednak pojedziesz do tego Waszyngtonu. Pamiętaj o tym.

## 60

ZADZWONIŁA MICHAELA. Winter szedł właśnie przesłuchać Bremera. Jej głos brzmiał dość beznamyślnie.

- Może na spodniej warstwie były odciski, ale technicy mówią, że klej do tapet zniszczył wszystkie ślady.

- No tak. Nie może być zbyt pięknie.

- A jak u was?

- Nasze kleje nie są tak dobre jak duńskie. Coś udało się znaleźć.

- Serio? - Teraz usłyszał w jej głosie odrobinę entuzjazmu. - Co takiego?

- Jeszcze nie wiem.

- Ale u nas właściwie też jeszcze nie skończyli. Na razie mamy substancje ciężkie. Metale ciężkie, biały ołów, który się trzyma bardzo mocno, na przykład tłustych powierzchni.

- Biały ołów? Przecież nie można go stosować.

- U was jest taki zakaz, u nas nie. Ale może powinni go wprowadzić. Zresztą funkcjonuje już w praktyce. Tym razem jednak podejmiemy ryzyko.

Winter siedział, odrobinę odsunięty od stołu, i słuchał. Cohen prowadził przesłuchanie. Bremer zdawał się być w innym, własnym świecie, który pewnie stworzył sobie już dawno temu.

G.C.: Wczoraj mówiłeś, że kiedy dokonywałeś włamań, o które cię pytaliśmy, współpracowałeś z innymi.

G.B.: To było wczoraj?

G.C.: Tak, wczoraj. Potwierdziłeś, że byłeś członkiem gangu.

G.B.: Nie członkiem. Nigdy nie byłem członkiem żadnej

organizacji.

G.C.: Tak mówiłeś wczoraj.

G.B.: W takim razie źle się wyraziłem. Nie chodziło mi o członka.

G.C.: Często jeździsz samochodem po mieście?

G.B.: Co?

G.C.: Często jeździsz samochodem po mieście?

G.B.: A co to za pytanie?

G.C.: Mam ci to wyjaśnić?

G.B.: Tak.

G.C.: Jeździsz samochodem po mieście bez określonego celu?

G.B.: Nadal nie rozumiem.

G.C.: Niektórzy po prostu jeżdżą po mieście. Ot, tak. Dla relaksu. Sam tak czasem robię.

G.B.: Pewnie i mnie się zdarzało.

G.C.: Jeździsz wtedy w jakieś konkretne miejsca?

G.B.: Nie.

G.C.: Nie możesz wymienić ani jednego?

G.B.: Nie bardzo wiem po co. Parę razy pojechałem nad morze. Patrzyłem na wodę. Jak się mieszka w lesie, to czasem chce się popatrzeć na morze.

Winter widział, że Bremer patrzy na prawo, wpatruje się w ścianę, jakby było w niej okno, przez które mogłyby zobaczyć morze. Na jego twarzy było widać napięcie, kontury były rozmazane. Odkąd tu siedzi, chyba zrobił się niewyraźny, pomyślał Winter. To nie kwestia mojego wzroku. On tak wygląda.

G.C.: Mówiliśmy ci, że świadkowie widzieli, jak kogoś wiesz samochodem. Przypominasz sobie?

G.B.: Tak.

G.C.: Przyznajesz, że w samochodzie byli pasażerowie?

G.B.: Nie na to pytanie odpowiedziałem.

G.C.: A na które?

G.B.: Tak, przypominam sobie. Przypominam sobie, jak mówiliście, że ktoś mnie widział.

G.C.: Kilka osób widziało pasażerów w twoim samochodzie.

G.B.: Kto? To nieprawda.

Winter wiedział, że Cohen powinien go teraz trochę docisnąć. O ile to było możliwe w wewnętrznym świecie, w którym Bremer się znajdował.

G.C.: Czemu się nie przyznasz, że to prawda?

G.B.: Co?

G.C.: Czemu się nie przyznasz, że wiozłeś samochodem Helene Andersén i jej córeczkę Jennie?

G.B.: Nie wiozłem ich.

G.C.: Podwieźć kogoś to żadna zbrodnia.

G.B.: Wiem.

G.C.: To się przyznaj. G.C.: Że te dwie osoby jechały twoim samochodem. Że byliście u ciebie w domu.

G.B.: Nie byliśmy u mnie w domu. U siebie w domu bywam tylko ja.

Winter starał się uważnie przyglądać pochylonej twarzy Bremera. Było coś w jego oczach, co mu przypominało Gretę Bremer. Przyćmiony błysk, ale też coś więcej. Ból. a może świadomość. a może to tylko strach. W jego spojrzeniu nie było głębi, oczy przypominały wysuszone jeziora.

Greta Bremer siedziała w salonie. Jej pomoc domowa stała w przedpokoju. Czekala, aż zaczną rozmawiać. W pokoju nie było drzwi i Winter, choć chciałby, nie mógł jej zamknąć w kuchni.

Teraz, po południu, kiedy dzień się skończył, Greta Bremer wyglądała na jeszcze bardziej schorowaną. Jej twarz oświetlało słabe światło stojącej lampy.

- Wprasza się pan. Czego pan znowu chce?
- To tylko kilka pytań. Dotyczą pani brata.
- On zawsze da sobie radę. Znacie przecież jego przeszłość?
- Proszę?

- Sprawdziliście chyba w swoim archiwum? - Spojrzała na niego albo na pomoc domową, która, Winter był tego pewien, słuchała schowana w cieniu przedpokoju.

- Sprawdzamy to - powiedział. - Ale jest parę spraw. - przerwał. Czekał, aż ucichnie łoskot przejeżdżającego za oknem tramwaju.

- Co pan chce wiedzieć?

- Czy wie pani, że Georg jeździł swego czasu do Danii?

- Do Danii? Po cóż miałby tam jeździć?

- Proszę się tylko zastanowić, czy jeździł, czy nie.

- Nie muszę się nad tym zastanawiać. Nie wiem.

- Chodzi mi o przeszłość. Dwadzieścia pięć, trzydzieści lat temu.

- Nie wiem, co wtedy robił. Włamania, oto czym się zajmował. Włamania i inne

- Inne? Co pani ma na myśli?

- Nie wiem. Może wy wiecie.

- To ja pytam panią, pani Bremer.

- Włamywał się do ludzi.

- W Danii?

- To już wy wiecie lepiej ode mnie.

- Co pani ma na myśli?

- Przecież jesteście z policji. Wiecie.

Sąd nie dopatrzył się podstaw do zatrzymania Bremera.

- Wyjdzie na wolność. Pieprzony sąd - powiedział Halders w czasie popołudniowego zebrania wydziału. - Jakby pojechali do tej zagrody, toby zrozumieli. - Winter jeszcze nigdy nie widział, żeby miał tak duże oczy.

- Sędzia sam zdecydował - powiedział Ringmar.

Winter się nie odzywał. Wygląda, jakby przebywał we własnym świecie, pomyślała Aneta Djanali.

- Widziałem, jak wychodził z sądu - dodał Halders. - Nie patrzył w żadną stronę. Co mam teraz zrobić? - Winter nie odpowiadał, więc Halders powtórzył pytanie.

- Dziewczynka - powiedział Winter po chwili milczenia. - Teraz chodzi o dziewczynkę.

Halders wstał i wyszedł z sali. Chyba mnie szlag trafi, pomyślał.

Minął kolejny dzień. Winter zadzwonił do Hiszpanii. Był przygotowany na to, że odbierze ojciec. Ale nie, w słuchawce rozległ się głos matki.

- Jak się teraz czuje?

- O wiele lepiej, Erik. To miło, że dzwonisz. Jesteśmy już w domu, jak się pewnie domyślasz.- To zapalenie?

- Raczej przemęczenie, jak sądziłam. Tata nie jest już młody.

- To dobrze, że mu się poprawiło.

- Masz zmęczony głos, Erik.

- Jestem trochę zmęczony. Nie za bardzo.

- Czytałam, że macie podejrzanego. To było chyba wczoraj. Gazeta była z. nie pamiętam. Trochę straciłam orientację przez te ostatnie dni.

- Nic dziwnego.

- Ale macie już podejrzanego w celi, z tego co zrozumiałam.

- Już nie. Musieliśmy go wypuścić. Ale nadal jest podejrzany.

- To możliwe?

- Tak. Takie jest prawo.

- Kiedy to wszystko się już skończy, musisz przyjechać tu do nas i trochę odpocząć. Tata się ucieszy.

Winter odpowiedział coś niewyraźnie i pożegnał się. Odłożył słuchawkę i wstał. Teraz za oknem bez wątpienia widać było listopad. Światła samochodów rozciągały się po placu. Niedługo będzie Boże Narodzenie. Angela będzie wtedy miała dyżur. A może nie mam już Angeli, pomyślał. Czy powinienem zacząć się do tego naprawdę przygotowywać?

Wstał i poszedł do laboratorium Beiera. Bengt Sundlöf siedział pochylony nad lupami. Chyba nie była to zbyt wygodna pozycja. Ekspert od linii papilarnych był tak

skoncentrowany, że nie usłyszał Wintera. Winter zobaczył arkusz, na którym Sundlöf rysował wzorki z oczek i widełek. Dopiero kiedy podniósł wzrok, żeby spojrzeć w drugą lupę, zorientował się, że ma towarzystwo.

- Chcesz wiedzieć, jak idzie?

- Jak idzie?

- Jest ślad, ale nie mogę jeszcze powiedzieć, czy dojdziemy do dwunastu punktów. Czy choćby dziesięciu.

- A ile już masz?

- Wolę nie odpowiadać. Ale to wyjątkowe zadanie. siedzieć nad tym.

- Co masz na myśli?

- No, okazuje się, że to możliwe. Nigdy w to nie wierzyłem, jeśli mam być szczerzy.

- Ja też nie.

- Ale nie rób sobie nadziei.

- To naprawdę odcisk dziecka?

- Tak wygląda. Mam tutaj dwie wersje i porównuję je ze sobą - jej odcisk jako dziecka i jako dorosłej osoby.

Winter się odwrócił.

- Przy czymś takim człowiek zaczyna się zastanawiać nad sensem życia.

Winter podskoczył na łóżku. Dzwonił telefon. Lampa nad wezłowiec była zapalona, a on wciąż miał w ręce papiery. Zegarek pokazywał trzecią w nocy. Telefon nie przestawał dzwonić.

- Halo?

- Tu Göran. Pora wstawać.

- Co jest?

- Dwie sprawy. Po pierwsze laboratorium w Linköpingu ma gotową analizę DNA. Mogren był mi winien przysługę, zadzwonił pół godziny temu. To jej pet. Helene. Miała go w ustach.

- To chyba wiedzieliśmy?

- Nie wiemy nic, dopóki nie zostanie to udowodnione. A teraz zostało. Mamy też kolejny dowód. Sundlöf stoi tu obok, sam ci opowie.

W słuchawce rozległ się głos Sundlöfa:

- Zidentyfikowałem je. Mamy dwanaście punktów.

Winter miał wrażenie, jakby ktoś wsadził mu twarz w ogień, jakby włosy zniknęły mu z głowy.

- Mieliśmy szczęście, że ten odcisk znaleziony na zewnątrz pochodził z opuszki - powiedział Sundlöf. - Inaczej nigdy by się nie udało.

- Jesteś pewien?

- Jak, cholera, Winter. Mamy odciski palców, które pokazują, że ona. Boże, pomieszałem je. ona, to znaczy Helene, że była w tym domu jako dziecko. - Sundlöf zrobił przerwę, żeby złapać oddech. - Facet starł wszystko, co było na wierzchniej warstwie tapety, ale nie usunął tego, co było pod spodem.

- Nie. - Winter wciąż czuł ogień na twarzy. - Nie usunął wszystkiego.

- Oddaję słuchawkę Göranowi.

- Jesteśmy tu wszyscy, cała ekipa. Masz zamiar od razu do nas dołączyć?

- Możesz być, kurwa, pewien, że tak. - Winter dopiero teraz poczuł chłód. Wpadał do pokoju wraz z wiatrem przez wpółotwarte drzwi balkonowe w jego sypialni.

- To czekam - powiedział Beier.

Halders prowadził. Winter zadzwonił do niego natychmiast, on z kolei poinformował Anetę. Siedziała teraz obok niego na przednim siedzeniu. Winter i Ringmar z tyłu. Beier jechał radiowozem, za nimi.

Las był bezbarwny. Było wpół do piątej. Tym razem żaden samolot nie przeciął powietrza nad ich głowami. W zasięgu wzroku nie mieli żadnego elektrycznego światła. Jechali jak przez bezgwiazdną galaktykę. Światła miasta tak daleko nie

sięgały.

- Nigdy nie widziałam nic równie czarnego - powiedziała Aneta. Mam nadzieję, że Fredrik nie powie: no chyba że siebie ani nic równie głupiego, pomyślała. Ale Halders siedział cicho.

Nad gankiem paliła się słaba żarówka. Ford Bremera stał przed domem. Wyglądało na to, że zaparkował go w pośpiechu. Lakier połyskiwał niewyraźnie w świetle spowitej mgłą lampy.

- Co to? - zapytała Aneta, kiedy wysiedli.

- Konie, z tyłu - odpowiedział Winter. - Zaniepokoiły się.

- Ja się czuję podobnie - odparła.

Radiowóz jadący za nimi też się zatrzymał. Wysiadł z niego Beier i umundurowani policjanci. Jak w prawdziwym państwie policyjnym, pomyślał Winter. Aresztowanie o świcie.

Z domu nie dobiegały żadne dźwięki. W środku nie paliło się też żadne światło. Teraz dom jeszcze bardziej przypomina ten narysowany przez Helene i Jennie, pomyślał Winter. Kiedy jest ciemno, proporcje się zmieniają.

Przygotowywali się. Winter zastukał i głuchy łomot rozniósł się echem po domu. Zastukał jeszcze raz, ale żadna postać w koszuli nocnej nie podeszła do drzwi. Wymacał klamkę i nacisnął ją. Drzwi się otworzyły. Zawołał:

- Georg Bremer?! - Ale nikt nie odpowiedział.

- Wchodzimy do pieprzonego piekła - wyszeptał stojący za nim Halders do Anety, a może kogoś innego.

Ringmar stał obok niego, Winter słyszał jego oddech. Miał wrażenie, że stoją w próżni.

- Wchodzimy - powiedział do Ringmara i do reszty. - Bertil i ja wchodzimy. Dwójka niech idzie na tyły, Fredrik i Aneta czekają tutaj.

Weszli na korytarz. Z pokoi dochodził zapach ziemi, a może i



koni.

- Cholera, ale zimno - powiedział cicho Ringmar. - Nie ma centralnego?

Było zimno. Nie tak jak na zewnątrz, jak w długo nieogrzewanym domu. Wilgotny ziąb. Może zresztą było zimniej niż na dworze.

Stali w kuchni. Winter dotknął pieca i poczuł pod ręką jego chłód. Przez okno widział łąkę za domem. Z tej strony niebo było większe, widać na nim było trochę światła. Nadchodził poranek. Winter usłyszał ptaka, chyba gdzieś od południa. Tak, brzmiało to jak odgłos z południa.

- Nie ma go na dole.

- Może w ogóle go tu nie ma.

Ringmar milczał.

- Idziemy na górę - powiedział Winter i zawrócił, żeby poinformować pozostałych.

- Idę z wami.- Georg Bremer?! - zawołał znowu Winter.

W rękę trzymał broń. W rękę Haldersa też połyskiwała stal. Kiedy stali w korytarzu, nagle promień księżyca wpadł między nich i odbił się od pistoletów. Winter podążył za nim wzrokiem, od prawej do lewej. Promień oświetlał półmetrowy skrawek podłogi w korytarzu i wpadał dalej, przez znajdujące się kawałek dalej drzwi. Zatrzymał się na parze bosych stóp unoszących się w powietrzu nad podłogą.

- Ożeż kurwa! - krzyknął Ringmar. Też to zauważył.

Wyskoczył przed nich i dopadł drzwi. Winter pobiegł za nim i zobaczył, jak Ringmar podnosi stopy i ciało wiszące w ciemnym pokoju.

- Gdzie jest kontakt?! - zawołał Halders, obmacując ścianę przy drzwiach. Wisząca pod sufitem lampa nagle rozbłysła, wypełniając pokój światłem. Winter zamrugał i próbował coś zobaczyć. Ringmar trzymał ciało wiszące na sznurze, zaczepionym o gruby, żelazny hak wbity w sufit obok lampy. Widząc światło, Winter miał wrażenie, że patrzy w ogień.

Halders próbował ściągnąć pętlę przez poczerniałą twarz Georga Bremera, ale nie dał rady. Wyciągnął nóż i przeciął sznur, a Winter i Ringmar ułożyli ciało na podłodze. Dopiero teraz Winter poczuł unoszące się w pokoju zapachy. Wiedział, że Halders też je poczuł - jego twarz znieruchomiała, a wygolona głowa wyglądała w jaskrawym świetle jak czaszka. Nie widział twarzy pochylającego się nad ciałem Ringmara. Ringmar spojrział na niego i wskazał coś palcem. Winter zobaczył kartkę formatu A4, którą Bremer przyczepił szpilkami do swetra na klatce piersiowej. Jedna ze szpilek wypadła, kiedy zdejmowali ciało, i teraz kartka leżała luźno na tułowi. Winter musiał się pochylić, żeby odczytać wielkie litery wypisane czarnym tuszem: ZABIŁEM DZIECKO. PANIE, MIEJ LITOŚĆ NAD MOJĄ DUSZĄ. Winter przeczytał tekst dwa razy, nie rozumiejąc go do końca. Obok siebie słyszał świszczący jak wiatr oddech Ringmara. Słyszał, jak Halders wymiotuje na progu pokoju. Przeczytał jeszcze raz i zamknął oczy. Z parteru dochodziły jakieś głosy. W mroku korytarza zobaczył sylwetki. Widział, jak Aneta pochyła się nad Haldersem. Leżąc jak długi na progu, z głową na korytarzu. Słyszał, jak Ringmar z kimś o czymś rozmawia. Za drugim razem zrozumiał:

- Nie zważajcie na ludzi i sprzęt. Musimy kopać. Musimy przekopać ziemię.

## 61

W ÖDEGÅRD ROZLEGŁ SIĘ RYK MASZYN. W piwnicy, pod cementową podłogą, znaleźli ubrania. Wszyscy próbowali przygotować się psychicznie, i nie tylko.

Kiedy jechał z powrotem do miasta, miał wrażenie, że świat stracił głębię, że stał się płaskim, spowitym mgłą polem łączącym śmierć z życiem. Ödegård było śmiercią, miasto życiem. W oddali, przez mżawkę, widział już światła

Göteborga i szary poranek, przypominający zasikany, brudny śnieg. Kiedy przeczytał wiadomość, którą Beier zostawił mu na biurku, poszedł do wydziału technicznego. Ostatni raz.

Pojechał do domu i wstawił samochód do garażu. Przeszedł na drugą stronę wzgórza i zadzwonił do drzwi. Nikt nie otwierał. Tak jak ostatnio. Jeszcze raz nacisnął dzwonek, drzwi się uchyliły. W środku, poniżej swojej twarzy, zobaczył jej połyskujące oczy. Nie słyszał wózka.

- Znowu - powiedziała.

- Tym razem musi mnie pani wpuścić. Proszę otworzyć, żebym mógł wejść.

- Czemu miałabym to zrobić?

- Wszystko skończone, Brigitta.

- To daje trochę mniejsze prawdopodobieństwo - powiedział mu wcześniej Beier.

- Ale wystarczy?

- Tak, w przeciwnym razie test nie byłby tak drogi i nie trwałby tak długo.

- Ile ich przeprowadzili?

- Mnie nie pytaj. Wróć, kiedy będzie już wprowadzony rejestr. Może zresztą pojawi się jeszcze w tym roku.

Wjechała przed nim do pokoju. Za oknem przejeżdżał tramwaj i cały pokój podskakiwał. W tym pokoju nie da się żyć. A może ona tu wcale nie żyje. Żyje, ale to nie jest życie.

- Jak pan mnie nazwał?

- Pani prawdziwym imieniem. Brigitta.

- Nigdy go nie słyszałam.

- Powiedziałem, że wszystko skończone. Już nie musi się pani bać.

- Akurat!

- Mogę pani pomóc.

Nie odpowiadała. Do pokoju wpadało światło dnia, jej twarz przesłaniał delikatny cień.

- Słyszysz mnie pani, Brigitto?

- Dlaczego pan tak do mnie mówi?
- Bo tak ma pani na imię.
- Chodzi mi o to, dlaczego nagle zaczął pan tak mówić, dlaczego pan tak sądzi.
- Nie sądzę. Wiem.
- Skąd?
- Nie chodzi o fałszywe papiery na nazwisko Greta Bremer. Jeśli się nie wie, trudno się zorientować, trudno się czegoś dopatrzeć. Dokumenty są świetnie zrobione. Przytaknęła. Tak mu się wydawało.
- Ani o pani. wygląd. Wydaje się niemożliwe, żeby pani była pięćdziesięcioletnią Brigittą Dellmar.
- Rzeczywiście. Poza tym ledwo się poruszam.
- Chciałem wierzyć, że jest pani Brigittą. Ale to się wydawało. niemożliwe. A nie miałem żadnych innych wskazówek.

Pierwszy raz zwróciła twarz w jego stronę.

- Tak? A dlaczego teraz jest pan pewny?
- Winter zrobił krok w kierunku wózka. Szybko wyciągnął rękę i chwycił coś z poduszki za jej plecami.
- Dlatego - powiedział, trzymając w dłoni włos. Mogła go chyba zobaczyć we wpadającym przez okno świetle.
  - Co to? Mój włos?
  - Tak. Pani pojedynczy włos. Słyszała pani o badaniach DNA?
  - Nie.
  - Czy kiedykolwiek słyszała pani o DNA?
  - Tak.

Winter wypuścił włos z ręki i cofnął się w głąb pokoju. Usiadł na jednym z foteli.

- W jądrze komórkowym znajduje się zwykle DNA. Inny rodzaj DNA. występuje w mitochondrium, w plazmie komórkowej. Trudniej je zidentyfikować.
- Wymamrotała coś. Winter czekał, aż powie to wyraźnie, ale

zamilkła.

- To DNA dziecko dziedziczy po matce.

Znów pochyliła głowę, reagując na dźwięki jak ptak.

- Zmyśla pan.

- Nie. To prawda. Matka przekazuje DNA. córce. Albo synowi. To DNA występuje w pewnych częściach organizmu, w których nie występuje zwykle DNA. Na przykład we włosach.

- Zabrał pan włos za pierwszym razem, gdy pan tu był. Stał pan za mną, kiedy siedziałam w wózku.

- Tak. Nagle zauważyłem okazję.

- Ten przeklęty wózek.

- Jest pani Brigittą Dellmar?

- Przecież sam pan tak powiedział.

- Chcę to usłyszeć od pani.

- Czy to ma znaczenie?

- Tak.

Zacisnęła dłonie na zdeformowanych nogach.

- Nazywam się Brigitta Dellmar. Jestem Brigittą Dellmar, ale to nikogo nie uszczęśliwia.

- A Georg Bremer nie jest pani bratem.

- Nie.

- Czemu powiedział nam, że jest pani jego siostrą?

- Myślał, że może mnie nastraszyć. No i przez tyle lat uchodziłam za jego siostrę, którą nie byłam. Musiałam odgrywać tę rolę. Oni tak zdecydowali. - Spojrzała Winterowi w oczy. - Ale on nie mógł mnie nastraszyć.

Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

- Tak? - powiedziała, a potem słuchała. - Proszę poczekać

- poprosiła i odwróciła się do Wintera. - Czy to zajmie jeszcze dużo czasu?

Winter nie odpowiedział na to dziwaczne pytanie.

- Zadzwonię potem - powiedziała i rozłączyła się.

- Dwa dni temu dzwoniła pani stąd do Bremera.

- Skąd pan wie, że to ja?
- A nie?
- Tak, to ja. Zadzwoiłam, kiedy za drugim razem wrócił z aresztu.
- Nie przyszło pani do głowy, że będziemy sprawdzać, kto do niego dzwoni?
- Może.
- Dlaczego pani do niego dzwoniła?
- Była najwyższa pora, żeby umarł. Żył za długo. Zabił moje dziecko - powiedziała, a jej twarz pękła w tym momencie jak szkło. Osunęła się na bok wózka i tkwiła w tej pozycji jak martwa, ze zniszczoną twarzą skierowaną ku podłodze. Nagle, na oczach Wintera, stała się stulatką. Mówiła coś, ale jej słowa zagłuszyło obicie wózka. Usiadła prosto i Winter zobaczył lzy spływające jej po twarzy. - Powiedziałam mu, że zamordował moje dziecko. Że wiedziałam o tym. On nie wiedział, że ja wiedziałam - zaczęła podnosić głos. Na początku stłumiony, powoli rósł i zamieniał się w krzyk: - Nie wiedział, że to ja byłam wszystkiemu winna! - Zamilkła i patrzyła na Wintera. Muszę tylko przeczekać, pomyślał. Oparła brodę na piersi. Po chwili podniosła. - Powiedziałam mu, że zabił własne dziecko. Powiedziałam mu to! Winter milczał. Za oknem cicho przejechał tramwaj, zegar wiszący na ścianie nie chodził.
- Powiedziałam mu, że zabił swoje dziecko. Że Helene była jego córką. - Spojrzała Winterowi prosto w oczy. - Najokropniejsze, co może być, to zabić drugiego człowieka. Co zatem powiedzieć o zamordowaniu własnego dziecka?
- Powiedziała mu pani, że Helene była jego córką?
- Tak.
- A było tak? Czy to prawda?
- Nie.
- Ale powiedziała mu pani co innego?
- Chciałam, żeby cierpiał za to, co zrobił. On nigdy nie

cierpiał. Nie wie, czym jest cierpienie. Nie wiedział i nie wie.

- Co ma pani na myśli, mówiąc, że jest winna wszystkiemu?
- zapytał Winter.
- To była moja dziewczynka - odrzekła Brigitta Dellmar tak, jakby przeniosła się w czasie. - Helene była moją dziewczynką. Była inna niż wszyscy. Zawsze byliśmy inne.
- To jest pani dziewczynka - powiedział Winter.
- Było jej tak ciężko - rzekła Brigitta. Pochyliła się nad stołem i wzięła dłonie Wintera w swoje. - Cierpiała, z mojej winy, i w końcu nie mogłam się powstrzymać i... powiedziałam. Więc powiedziałam.
- Co pani powiedziała? Że jest pani jej matką?
- Co? Że ja... wiedziała, że jestem jej matką. Wiedziała o tym. Winter poczuł jej uścisk na swoich palcach. Raz był ciepły, raz zimny. Czuł jej puls.
- Kiedy się dowiedziała? - zapytał, pochylając się do przodu. - Kiedy się dowiedziała?
- Zawsze o tym wiedziała. Wiedziała... już kiedy była dzieckiem.
- Ale przecież żyła z... wiele lat żyła w rodzinach zastępczych. Była... samotna, kiedy... tu wróciła - powiedział Winter.
- Wiedziała - powiedziała Brigitta. - W środku wiedziała. Kiedy tu wróciła i była dużą dziewczyną, dowiedziała się ponownie.

Winter pytał, ona odpowiadała. Była ranna. Oni trzymali ją w ukryciu, a potem sama kryła się przed światem tak długo, że przestał dla niej istnieć. Nie było środków, po które by nie sięgnęła, żeby odebrać sobie życie. Za każdym razem spotykało ją to samo rozczarowanie. Nie wiedziała... ile to już lat. Nie wiedziała. Pozwolili jej zachować trochę pieniędzy i zmienić tożsamość. Wróciła do Szwecji, do swojego tak zwanego brata. Ha, ha.

Kiedy dziewczyna urodziła dziecko i próbowała jakoś żyć,

była przy niej. Nagle się odnalazła.

- Kim był ojciec Jennie? - zapytał Winter.
- Nikt tego nie wie - odpowiedziała Brigitta.
- Nawet pani?
- Mam wrażenie, że chciała, żebym była ostatnią osobą, która się o tym dowie.
- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami. Winter znów zaczął spokojnie oddychać. Włosy na karku miał mokre od potu.

- To wszystko moja wina. Zadzwoiłam do niej jeszcze raz. Już wcześniej kontakty z ludźmi były dla niej trudne, a wtedy stały się barierą nie do pokonania. Coraz bardziej zamykała się w sobie.

- Jak często się spotykałyście?
- Niezbyt często.
- Tutaj?
- Czasami. Pomagałam jej odzyskać wspomnienia. To spowodowało na nią śmierć.
- Przepraszam, może pani powtórzyć?
- Jej pamięć. Ona spowodowała na nią śmierć.
- Co ma pani na myśli?
- Opowiadałam tak, żeby nic z tego nie rozumiała. Tak, żeby nigdy się nie dowiedziała i nawet nie myślała o tym dużo. O tym, co się stało.

Winter kiwnął głową.

- Bremer zabił jej ojca. To on wykonał wyrok - ciągnęła Brigitta.
- Jej ojca?
- Kima. Mojego Kima.
- Kima Andersena? Mówi pani o Kimie Andersenie? Tym, który nazywał się też Kim Moller?
- Bremer go zamordował.
- Powiedziała pani o tym Helene?
- Powiedziałam wszystko. O wszystkim jej opowiedziałam.



Odwiedziła go. Wiedziała, gdzie mieszka. Była u niego wiele razy. W końcu wiedziała tyle, że mu to powiedziała. Ale on myślał, że kłamie. Był pewien, że jest jej ojcem. Byłam wystraszona, okropnie się bałam. Helene wydawała się spokojna, kiedy się dowiedziała... co się stało z jej ojcem... Kimem. Że Bremer go zabił. I co się stało z nią samą...

Brigitta Dellmar ciężko spuściła głowę. Wyglądała na wykończoną długą rozmową.

- Chciałam również dostać moje pieniądze. Bałam się, ale potrzebowałam ich... Helene ich potrzebowała. Należały się nam. Także Jennie. Miałyśmy prawo do pieniędzy, które zostały. Większość przepadła... oni je wzięli... ale część została.

Winter był podekscytowany, coraz ciężiej mu było oddychać.

- Gdzie jest Jennie?

Spojrzała w jego stronę, ale nie na niego. Wzrok miała rozbiegany.

- Mógł znów zabić. Zrobił to.

- Zrobił to? Zamordował Jennie? - zapytał Winter, a jego usta były tak suche, że nie słyszał nawet swoich słów.

- Mógł to zrobić jeszcze raz - powiedziała Brigitta. - Był szalony. Zabił Oscara. Biedny Oscar. To też był mój błąd. Musiał to zrobić.

- Oscara Jakobssona? Bremer zabił Jakobssona?

Nadal siedziała bez ruchu, a Winterowi trudno było określić, jaka część jej osoby nadal jest w pokoju razem z nim. Zaczęła kołysać głową w tę i z powrotem.

- Czy Bremer zabił Jakobssona? - powtórzył Winter.

- Musiał to zrobić. Oscar stwarzał kolejne zagrożenie. Dokładnie tak jak...

Helene. Skontaktowała się z Bremerem, ale nie wiem, kiedy dokładnie. Musiał żałować, że wtedy nie... że nie...

- Żałować? Co chciał zrobić? Czego miał żałować?

- Ona chciała wiedzieć. Tylko tyle. Ona po prostu chciała

wiedzieć. Chciała tego, do czego miała prawo. Mówiła mi, ale niewiele. Później było już za późno.

- Na co było za późno?

- Nie wiem, co się stało - odpowiedziała Brigitta, ale na inne pytanie, to, które padło w jej głowie. Prowadziła tam inną rozmowę. - Może to jednak był wypadek. Nieszczęśliwy wypadek. Nie wiem... jak to się stało. Wiem, że się stało. Moja Helene nie wróciła. I już nie wróci.

- Gdzie jest Jennie? - powtórzył Winter. - Musi pani odpowiedzieć.

- Biedny Oscar. O niczym nie wiedział. Był miły. Znali się. Nie wiedzieliście o tym? Byli starymi... znajomymi.

- Starych znajomych miał wielu - odparł Winter. Bremer dał mu pieniądze, żeby zapłacił czynsz, pomyślał. Może po to, żebyśmy pomyśleli, że to Jakobsson. Nie. Inaczej. Może po to, żebyśmy go złapali i ukarali za to, co zrobił dziecku, które uważał za swoje.

- Próbowaliśmy znaleźć odpowiedź - dodał.

- Ja sama nie miałam odwagi - rzekła.

Nagle znów była w tym pokoju. Jej oczy odzyskały ostry błysk.

- Nie miałam odwagi. Nadal nie mam. Jest w tym i moja wina. Oni wiedzą. Oni widzą.

- Jacy oni... są?

- Wiecie, jacy.

- Wiemy i nie wiemy. Nie możemy niczego udowodnić.

- Zawsze tak było - powiedziała. - Nikt się nigdy nie uwolnił.

- Bremer nie żyje. - Winter spojrzał na nią.

- Nie żyje?

- Tak.

- Wreszcie umarł? To prawda?

Winter uświadomił sobie, że nie wiedziała.

- Nie podaliśmy tego do wiadomości publicznej -

odpowiedział. - Ale już go... nie ma. Powiesił się.

- Posłuchał mnie - powiedziała.

- Gdzie jest Jennie? - kolejny raz zapytał Winter.

- Próbowałam ją chronić - powiedziała Brigitta. - Próbowałam ją chronić, kiedy się dowiedziałam, że Helene chce poznać całą... prawdę.

- Chronić? Przed kim?

- Przed nim. Przed nimi wszystkimi. Próbowałam ją chronić

- powtórzyła i spojrzała na Wintera. - Ona też była... sama.

Potrzebowała ochrony.

- Dlaczego nie zgłosiła pani zaginięcia Helene? Przecież mogła to pani zrobić anonimowo.

- Nie wiedziałam.

- Nie wiedziała pani, że jej... nie ma?

- Początkowo nie. Nie wtedy. Kontakt nam się urwał... wtedy. Nie widziałam jej od dłuższego czasu. Tak z nią było... nagle nie chciała się ze mną spotykać. Zresztą rozumiałam ją. Spojrzała Winterowi prosto w oczy.

- Może to wszystko sen, może bajka - powiedziała, a jej zniszczone ciało drgnęło. - Może nigdy nic się nie stało. Nic takiego.

To zła bajka, pomyślał Winter. Nie mogę żądać, żeby mi wszystko wyjaśniła. Ale musiałem się upewnić. Możemy przekopać całą zagrodę, ale po co, jeśli niczego nie znajdziemy.

Wyprostowała się. Zadzwoił telefon.

- Niech dzwoni - powiedziała. - Ma pan samochód? Podniesie mnie pan?

Kazała mu jechać na południe, w kierunku trasy na Särö. Widzieli morze. Nie odezwała się już ani słowem. Winter przejechał dwadzieścia kilometrów, minął Billdal. Asfaltowa droga szybko przeszła w żwirową. Winterowi przypomniało się Ödegård, ale tutaj trasa prowadziła wzdłuż morza. Morskie ptaki leciały w kluczu. Winterowi ciężko się

oddychało. Miał wrażenie, że ktoś wyciska mu powietrze z płuc. Opuścił szybę. Im bliżej morza byli, tym bardziej czuć było słoną wilgoć.

Pokazała palcem w lewo. Droga się zwięzała. Zadzwoiła z jego komórki. Zobaczyli polanę. Chmury nagle zniknęły. Słońce, choć dalekie, świeciło na niebie. Dom stał w niewielkiej dolinie, otoczony płotem. Kiedy zatrzymali się przed masywną bramą, podszedł do nich uzbrojony mężczyzna. Brigitta Dellmar skinęła mu głową i wjechali na podwórko. Odgłosy morza stały się wyraźniejsze, przechodziły w szum w głowie. Słońce zaczynało się zanurzać w wodzie. Brigitta siedziała bez ruchu obok Wintera. Wskazała w lewo. Winter wysiadł i przeszedł parę kroków, a ona zrobiła ręką kolejny ruch. Zwariowała, pomyślał. Ja też. Mężczyzna dalej stał przy bramie, z karabinem maszynowym w rękach. Winter był już przy ścianie szczytowej domu. Wszedł na ganek i zobaczył, że polana dochodzi do wody. Słońce raziło go w oczy. Usłyszał głosy i przyłożył dłoń do czoła, żeby coś zobaczyć. Od strony morza zbliżało się do niego dziecko. Obok szła kobieta. Dziecko trzymało coś w ręce. Były coraz bliżej. Kobieta była blondynką. Dzielilo go od nich dwadzieścia pięć metrów, potem coraz mniej. Widział tylko kontury twarzy kobiety, zarysowane przez słońce. Stały przed nim. Jennie miała w ręku kamyki i jakieś sznurki, może wodorosty. Słońce, wilgoć i pot spływający mu po twarzy sprawiły, że nic nie widział. Przykucnął przed dzieckiem. Kobieta stała tam nadal. Nie ruszała się. Zamknął oczy, a kiedy je otworzył, już jej nie było, jakby zniknęła we mgle. Winter delikatnie uniósł rękę i położył ją na ramieniu dziewczynki. Miał wrażenie, że dotyka ptaka. Mała nie była wystraszona.

- Kim jesteś? - zapytała.

Druga po "Tańcu z aniołem" część nowej skandynawskiej serii kryminalnej Åke Edwardsona.

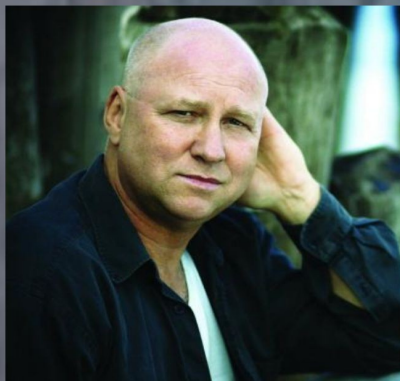
Kryminalna powieść o samotności i zagrożeniu oraz o przeszłości, która kładzie się cieniem na tym, co dopiero ma się wydarzyć.

Dobiega końca gorące lato. Urlop komisarza Erika Wintera zostaje przerwany nagle, o czwartej rano. Nad jeziorem w pobliżu Göteborga znaleziono zwłoki młodej kobiety. Nikt nie wie, jak się nazywała, najprawdopodobniej nikt nie zgłosił jej zaginięcia. Jediną rzeczą, której Winter jest pewien, jest to, że kobieta miała dziecko. Stopniowo komisarz dochodzi do wniosku, że aby znaleźć odpowiedź na mnożące się pytania, musi cofnąć się daleko w przeszłość

## Åke Edwardson

Pracował jako dziennikarz i wykładowca na uniwersytecie w Göteborgu.

Jako pisarz kryminałów zadebiutował w 1995 roku. Powieścią „Dans med en ängel” (1997) i zapoczątkował słynną serię kryminalną o komisarzu Eriku Winterze. Obecnie jest jednym z najchętniej czytanych pisarzy nie tylko w Szwecji, lecz także za granicą. Jego książki zostały przetłumaczone na 20 języków. Laureat wielu prestiżowych nagród, uznany za najlepszego pisarza roku 2003 w Szwecji



Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

Cena: 34,90 zł



Ali-Baba